



Sandra Brown



Twardziel

Tytuł oryginału TOUGH CUSTOMER

Prolog

WYSKOCZYŁ Z CIĘŻARÓWKI PROSTO W OBŁOK PYŁU UNOSZĄCY się jeszcze spod opon.

Światła karetki pogotowia pulsowały, wydobywając z mroku las. Drzwi ambulansu były otwarte, pozostawione tak przez sanitariuszy, którzy chyba znajdowali się już w środku.

Podeszwy jego butów zachrzęściły na żwirze, gdy trzema długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od ganku. Wszedł do domu przez stojące otworem frontowe drzwi i trafił prosto do dużego holu. Omiótł wzrokiem salon po lewej – wydawało się, że wszystko pozostało tu na swoim miejscu. Na stoliku do kawy przed sofą dostrzegł dwa puste kieliszki do wina. Jeden miał ślad szminki, drugi był czysty.

Kanapę ustawiono przed kamiennym kominkiem, w którym na lato miejsce drewnianych szczap zajął okazały iglak w donicy. Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Bujany fotel z siedzeniem z rafii. Patchworkowa narzuta na oparciu krzesła. Czasopisma i książki na półkach, tu i ówdzie w stosach na blatach stołów i stolików. Lampy do czytania. Całe wnętrze wydało mu się miłe i przytulne, a przy tym tchnęło spokojem.

Wszystko to zarejestrował w ciągu paru sekund. Za salonem otwierała się jadalnia z ogromnym półokrągłym oknem, nie zdążył jednak zrobić nawet kroku w tamtą stronę, ponieważ hałasy na górze skupiły jego spojrzenie na zajmującej całą szerokość domu galeryjce. Pokonując po dwa stopnie naraz, wbiegł na półpiętro, wyminął podtrzymujący schody słup i pognął wyżej.

Pokonawszy galeryjkę i krótki korytarz, dotarł do otwartych drzwi

sypialni i znowu jednym spojrzeniem ogarnął cały pokój. Lampki po obu stronach wielkiego łóżka z rozrzuconą pościelą tworzyły kręgi światła na ścianach w jasnym brzoskwiowym odcieniu. Pod sufitem wiatrak z łopatkami z palmowych liści pracowicie rozgarniał gorące powietrze. Trzy duże, częściowo przesłonięte żaluzjami okna wychodziły na podjazd, gdzie wciąż migotały pomarańczowe światła karetki.

Sanitariusze klęczeli przy leżącym na podłodze człowieku, mężczyźnie, sądząc po szerokich bosych stopach i owłosionych nogach, pod którym jasny chodnik przybrał krwistą barwę.

Jeden z sanitariuszy zerknął przez ramię na przybysza i skinął mu głową.

– Cześć, Ski! Spodziewaliśmy się ciebie!

Ten podszedł bliżej.

– Co tu macie?

– Paskudne rany postrzałowe w lewej dolnej części torsu.

– Przeżyje?

– Na razie trudno powiedzieć.

Ski dopiero teraz zauważył, że drugą osobą z załogi ambulansu jest kobieta.

– Ta pani, która nas wezwała, mówi, że do naszego przybycia był przytomny – odezwała się teraz. – To dobry znak.

– Pani? – powtórzył Ski.

Pierwszy sanitariusz ruchem głowy wskazał otwarte drzwi tuż za nimi.

– Zadzwoń na pogotowie – potwierdził.

– Jak się nazywa?

– Ona? Zaraz, chwileczkę... – Sanitariusz zajął się poprawianiem kroplówki.

– King – odparła jego koleżanka.

– Caroline King, właścicielka agencji nieruchomości? – ze zdumieniem zapytał Ski. – To jej dom?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Takie dane podała nam telefonistka.

– Nazwisko rannego?

– Caroline King powiedziała, że on nazywa się Ben Lofland.

– Poza nimi nie ma tu nikogo innego?

– Na to wygląda. Drzwi na dole zastaliśmy otwarte na oścież. Kiedy nas usłyszała, zaczęła wołać z góry. Znaleźliśmy faceta leżącego tutaj, w takiej pozycji. Ona klęczała obok niego, ścisnęła go za rękę i szlochała. Nie widzieliśmy nikogo więcej. Wyglądała na zszokowaną.

– Ona go postrzeliła?

– Ustalenie sprawcy to już twoja działka – odparła sanitariuszka.

Stwierdziwszy, że stan rannego jest na tyle stabilny, że transport nie zagraża jego życiu, sanitariusze sprawnie przenieśli go na nosze. Ski dopiero teraz mógł mu się dokładniej przyjrzeć – mężczyzna, ubrany jedynie w bieliznę z szarej dzianiny, wyglądał na trzydzieści parę lat, miał regularne rysy i wysportowane ciało tenisisty. Był gładko ogolony, nie dało się zauważyć żadnych widocznych tatuaży, blizn ani szram. Spod rozcięcia koszulki z lewej strony wyglądał gruby opatrunek. Sanitariuszka okryła rannego kocem. Choć nieprzytomny, podczas przypinania pasami do noszy kilka razy głucho jęknął.

Słyszając głośne kroki na schodach, Ski odwrócił się w chwili, gdy w drzwiach stanął drugi zastępca szeryfa.

– Przyjechałem jak najszybciej się dało – sapnął.

Przyjrzał się dokładnie ciemnej, wilgotnej plamie na chodniku i

dopiero po chwili podniósł wzrok na leżącą na noszach ofiarę.

Świeżo przybyły stróż prawa był o ponad dziesięć lat młodszy od Ski, blisko trzydzieści centymetrów niższy i tęgi, z wyraźnie wystającym brzuchem. Okrągłe jak jabłka policzki miał zarumienione i ciężko dyszał, może z podniecenia, a może z powodu biegu po schodach. Służbę zaczął niedawno i postrzelony człowiek okazał się pierwszą ofiarą przestępstwa, z jaką miał do czynienia. Ski nie wątpił, że dla jego młodszego kolegi jest to wielka chwila.

– Pomóż im, dobrze? – rzucił. – Nielatwo będzie wynieść stąd te nosze. I nie dotykaj niczego, dopóki nie włożysz rękawiczek!

– Jasne!

– Hal jest już w drodze.

– Trochę mu to zajmie.

– Do jego przybycia ty odpowiadasz za to, żeby nikt nie wszedł do domu, Andy – powiedział Ski. – Dotyczy to także naszych ludzi. Liczę na ciebie, kapujesz?

– Kapuję!

Młody zastępca szeryfa poprawił pas na broń i wyszedł na zewnątrz razem z załogą ambulansu.

Ski szybkim krokiem przeciął pokój i otworzył drzwi, do tej pory zablokowane przez leżącego na podłodze rannego.

Wetknął głowę do łazienki i ujrzał siedzącą na brzegu wanny kobietę, która ukryła twarz w dłoniach i kołysała się rytmicznie. Z góry wyraźnie widział przedziałek na środku jej głowy. Włosy miały chyba ciemnokasztanowy kolor, nie mógł jednak dokładnie określić odcienia, ponieważ były mokre. Ciężkimi falami opadały w dół po obu stronach twarzy.

W niedbale zawiązanym w pasie letnim szlafrocisku szerokie rękawy zsunęły się, odsłaniając szczupłe ramiona usiane jasnymi piegami. Spod niego wyzierały gołe kolana, palce stóp wczepiły się w puchaty dywanik.

Z całą pewnością nie była to Caroline King.

Na wewnętrznej powierzchni wanny perliły się krople wody. Trzy porcelanowe pierścienie, podtrzymujące zasłonę prysznic, oderwały się od metalowego pręta i mokry płat folii zwisał smętnie i nierówno. W kącie, na brzegu wanny, stała otwarta buteleczka z szamponem.

Do tragedii musiało dojść w czasie, gdy kobieta brała prysznic. Tłumaczyło to wilgotne plamy na szlafroku w miejscach, gdzie tkanina przylgnęła do mokrej skóry. Na podłodze, kilkanaście centymetrów od różowych palców jej stopy, wyglądający zupełnie absurdalnie w tym miejscu, leżał rewolwer, kaliber trzydzieści osiem, idealna zabawka na sobotni wieczór. Dolna krawędź szafki zasłaniała broń od strony drzwi i pewnie dlatego sanitariusze niczego nie zauważyli. Ski od razu zaczął się zastanawiać, czy sprawca celowo właśnie tam ją porzucił.

Wyjął z kieszeni dzinsów lateksowe rękawiczki, wsunął prawą dłoń w jedną, schylił się i ostrożnie podniósł narzędzie zbrodni. Wysunął cylinder. We wszystkich sześciu komorach tkwiły nienaruszone naboje. Powąchał lufę. Nie miał cienia wątpliwości, że z tej broni nikt ostatnio nie strzelał.

Kobieta opuściła ręce i spojrzała na niego, zupełnie jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności. Jej jasnobrązowe oczy były nieprzytomne, białka zaczerwienione od płaczu. Skórę miała bladą, wargi właściwie bezbarwne.

Głośno przełknęła ślinę.

– Nic mu nie jest?

– Trudno to tak nazwać.

Jęknęła i przeniosła wzrok na widoczną za progiem krwawą plamę.

– O mój Boże... – Przycisnęła rozdygotane palce do ust. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Co się stało?

– Powinnam być przy nim, muszę jechać.

Spróbowała wstać, lecz Ski położył rękę na jej ramieniu i przytrzymał ją.

– Nie teraz.

Po raz pierwszy popatrzyła na niego przytomnie i uważnie.

– Czy pan... Kim pan jest?

Otworzył skórzany pokrowiec na pasku i pokazał jej legitymację.

– Ski Nyland, zastępca szeryfa hrabstwa Merritt.

– Rozumiem.

Ski miał poważne wątpliwości, czy kobieta rzeczywiście coś rozumie.

Powoli odgarnęła mokre włosy za uszy i utkwiała w nim załzawione oczy.

– Proszę mi powiedzieć, że nic mu nie będzie.

– Pani nazwisko?

Chwilę milczała.

– Berry Malone – odparła w końcu zachrypniętym głosem.

Nie nosiła nazwiska postrzelonego mężczyzny. Co więcej, żadne z tej dwójki nie nazywało się King.

– Ranny to Ben Lofland, prawda? – zagadnął.

Szybko skinęła głową.

– Wiozą go już do szpitala, zaraz trafi na oddział intensywnej opieki medycznej.

– Żyje?

– Tak, w każdym razie żył, kiedy z nim odjeżdżali.

- Strasznie krwawił.
- Tak, to prawda.
- Nie może umrzeć.
- Może, niestety.

Kobieta zachłysnęła się powietrzem.

- Muszę zadzwonić do jego żony – szepnęła.
- Do jego żony?

Parę sekund wpatrywała się w niego bez słowa, a potem ukryła twarz w dłoniach i zanosła się głośnym, bolesnym płaczem.

Ski szerzej rozstawił nogi na kafelkach podłogi.

- Co stało się tu dziś wieczorem? – zapytał.

Berry Malone jęknęła prosto w złożone dłonie i potrząsnęła głową.

- Czy to pani rewolwer? To pani postrzeliła Loflanda?

Nie sądził, by to zrobiła, w każdym razie na pewno nie z rewolweru, który w tej chwili trzymał w dłoni. Chciał tylko się zorientować, jak zareaguje na jego pytanie.

Opuściła ręce i popatrzyła na niego jak na kosmitę.

- Co takiego?!
- Czy to pani...
- Nie! – Zerwała się, zatoczyła lekko i odzyskała równowagę, opierając się o brzeg umywalki. – Wyjęłam broń dopiero po tym, jak zadzwoniłam na policję.

- Po tym, jak zadzwoniła pani na policję? – powtórzył powoli.

Kiwnęła głową i wzięła głęboki oddech.

- Bałam się. Bałam się, że on wróci.
- Kto?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, na dole trzasnęły drzwi i rozległy się

podniesione głosy. Ski usłyszał, jak Andy informuje kogoś, że nie można wchodzić do środka. Sekundę później drugi głos, kobiecy i nie mniej zdecydowany, kazał mu odsunąć się na bok. Nie ulegało wątpliwości, że Berry Malone rozpoznała tę kobietę, bo nagle krzyknęła i wybiegła z łazienki, zgrabnie wymijając zastępcę szeryfa.

– Hej! – Ski rzucił się za nią, w ostatniej chwili przeskakując plamę na chodniku.

Dopał ją w połowie drogi do sypialni i usiłował złapać za ramię, lecz w ręce został mu tylko cienki materiał. Okręciła się wokół własnej osi i wyszarpnęła szlafrok z jego dłoni, odsłaniając nagie ciało. Tkanina zawirowała kolorami i Berry Malone zniknęła za drzwiami.

Ski ruszył w pogoń. Oboje przebiegli przez galeryjkę i pomknęli w dół po schodach.

Rozdział 1

KIEDY NATARCZYWY DZWONEK KOMÓRKI WYRWAŁ GO Z GŁĘBO – kiego snu, Dodge był pewny, że ujrzy na wyświetlaczu numer Dereka. Przez głowę przemknęła mu myśl, iż jego pracodawca doznał jednego ze swych słynnych genialnych olśnień w środku nocy i życzy sobie, aby Dodge natychmiast spełnił jego polecenia.

Dodge nie miał pojęcia, co jest aż tak ważne, że nie można poczekać z tym do rana, ale Derek płacił mu za całkowitą dyspozycyjność, dwadzieścia cztery godziny na dobę, głównie po to, aby mieć na kim testować swoje pomysły.

Na ślepo sięgnął w ciemności po komórkę.

– Tak? – warknął nieprzyjaźnie, pewny, że zaraz zostanie wysłany z jakimś zleceniem.

– Dodge?

Zaskoczony, że słyszy kobiecy głos, usiadł na łóżku, opuścił nogi na podłogę i zapalił lampkę. Wargami wyciągnął papieros z paczki i pstryknął zapalniczką. Zaciągając się, próbował zgadnąć, którą z ogromnej liczby znanych mu kobiet zdołał tym razem wkurzyć. Nie przypominał sobie, aby ostatnio nadepnął komuś na odcisk, ale może właśnie na tym polegał jego błąd.

– Rozmawiam z Dodge'em Hanleyem? – niepewnie zapytała kobieta, ponieważ wcześniej nie odpowiedział.

Dodge nie miał najmniejszej ochoty potwierdzać, dopóki się nie zorientuje, z kim rozmawia. Zachowywanie ostrożności było jego specjalnością. Prawo jazdy nosił przy sobie tylko dlatego, że nie mógłby bez niego funkcjonować. Miał kartę kredytową, lecz została wystawiona na

Dereka i Dodge posługiwał się nią wyłącznie, załatwiając rozmaite sprawy dla biura adwokackiego. Za swoje wydatki zawsze płacił gotówką i nawet Derek nie znał jego adresu.

– Dodge? To ty?

– Taaa... – odpowiedział dźwiękiem, który w połowie był słowem, a w połowie suchym chrząknięciem.

– Tu Caroline.

Zapalniczka wymknęła mu się z palców i upadła na podłogę.

– Caroline King.

Zupełnie jakby musiała precyzować, o którą Caroline chodzi! Jakby musiała potrząsać jego pamięcią!

– Jesteś tam jeszcze? – odezwała się po dłuższej chwili.

Dodge zassał dym do płuc i powoli go wypuścił.

– Tak... Tak.

Aby przekonać samego siebie, że ten telefon nie jest fragmentem snu, wstał i zrobił kilka kroków w stronę okna, ale nogi drżały mu tak mocno, że po chwili cofnął się i usiadł na zapadającym się materacu.

– Czy słusznie przypuszczam, że mocno cię zaskoczyłam?

– Tak. – Wyglądało na to, że jest to jedyne słowo, które potrafi z siebie wydusić.

Ile było już tych „tak”? Cztery? Pięć?

– Przepraszam, że dzwonię w środku nocy – powiedziała. – Tutaj jest już późno, a zdaję sobie sprawę, że w Atlancie jest jeszcze o godzinę później.

– Tak.

Szóste „tak”.

– Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Tak.

Cholera jasna! Zupełnie zapomniał języka w gębie! Przypomnij sobie parę innych słów, człowieku!

– Wszystko w porządku. O tyle, o ile, wiesz, jak to jest.

Wszystko w porządku, jasne, tyle że w mózgu miał wielką białą plamę, serce waliło mu jak tuż przed zawałem i z wielkim trudem chwycił powietrze. Wygrzebał popielniczkę z bałaganu na nocnym stoliku i położył w niej papierosa.

– To dobrze – powiedziała. – Miło mi to słyszeć.

Oboje milczeli tak długo, że cisza wydawała się dzwonić w słuchawce.

– Dodge, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby cię niepokoić, gdyby nie... Cóż, wolałabym o nic cię nie prosić, przecież wiesz, ale to wyjątkowo ważna sprawa. Bardzo ważna.

Jezu Chryste! Pewnie była chora, umierająca! Potrzebowała przeszczepu wątroby, nerki, serca...

Rozpaczliwym gestem przeczesał palcami włosy i oparł czoło o otwartą dłoń.

– O co chodzi? – zapytał, bojąc się odpowiedzi. – Jesteś chora?

– Chora? Nie, nie! Nic z tych rzeczy.

Uczucie ulgi kompletnie go obezwładniło, zaraz jednak wpadł w gniew, bo przecież... Przecież ta rozmowa kosztowała go sporo nerwów. Próbując zignorować tę głupią wrażliwość, odchrząknął ze zniecierpliwieniem.

– Więc dlaczego dzwonicz?

– Znalazłam się w sytuacji, z którą nie bardzo umiem sobie poradzić.

– W jakiej sytuacji?

– Mam kłopoty.

- Jakiego rodzaju kłopoty?
- Mógłbyś przyjechać?
- Do Houston? – warknął. – Po co?

Obiecał sobie, że nigdy nie wróci do tego miasta.

- To skomplikowane.
- Co z twoim mężem? Dla niego to też skomplikowane? Czy to może on jest sprawcą tych kłopotów?

Milczała kilka sekund.

- Mój mąż umarł, Dodge. Kilka lat temu.

Ta wiadomość wypełniła jego uszy i głowę, sprawiła, że ciśnienie zaczęło pulsować mu w skroniach. Jej mąż nie żył. Nie była już mężatką. Nie wiedział o tym, bo niby dlaczego miałby wiedzieć. Raczej nie liczył na to, że Caroline przyśle mu zawiadomienie.

Słyszając łomot własnego serca, czekał, czy powie mu coś więcej o śmierci męża, lecz ona milczała.

- Nie wyjaśniłaś mi jeszcze, co to za kłopoty – odezwał się wreszcie.
- Takie, w jakich się specjalizujesz.
- To szerokie pojęcie.
- Nie chcę wdawać się teraz w szczegóły, Dodge. Mogę liczyć na to, że przyjedziesz?

- Kiedy?

- Jak najszybciej. Przyjedziesz?

Upór, z jakim odmawiała podzielenia się z nim jakimikolwiek informacjami, mocno go rozjuszył.

- Raczej nie.

Tym razem milczenie po obu stronach zawibrowało wrogością. Dodge sięgnął po papierosa, zaciągnął się, wypuścił dym z płuc. Miał wielką ochotę

natychmiast odłożyć słuchawkę. I ogromnie żałował, że nie jest w stanie tego zrobić.

– Rozumiem twoje opory przed zaangażowaniem się w moje sprawy – powiedziała cicho. – Naprawdę.

– A czego się spodziewałaś, Caroline?

– Nie wiem, czego się spodziewałam. Zadzwoiłam do ciebie pod wpływem impulsu, bez zastanowienia.

– Stawiasz mnie na nogi w środku nocy, do cholery! Nie chcesz mi nic powiedzieć, ale oczekujesz, że rzucę wszystko i przylecę rozwiązać twoje niesprecyzowane problemy, tak? – Na moment dla lepszego efektu zawiesił głos. – Zaraz, zaraz, skąd ja to znam, co? Skąd ja to znam, do diabła?!

Odpowiedziała dokładnie tak, jak się spodziewał – zjadliwie.

– Nie proszę cię o pomoc dla siebie!

– No i dobrze, bo...

– To Berry ma kłopoty.

– Wygląda na to, że ktoś tu naprawdę gotuje! – Dodge usadowił się przy stole w kuchni Dereka i Julie. – Co za nowość!

Derek parsknął śmiechem.

– Nie przypominam sobie, żebym chociaż raz w życiu włączył piekarnik, zanim ożeniłem się z Julie! – Zachęcającym gestem uniósł dzbanek z kawą.

– Poproszę – odparł Dodge. – I dwie kostki cukru, prawdziwego!

Derek przyniósł kubek z kawą, cukierniczkę, łyżeczkę i płócienną serwetkę. Dodge dotknął frędzelków na jej brzegu i rzucił pracodawcy

pytające spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Julie woli serwetki płócienne – wyjaśnił Derek.

Dodge prychnął i wsypał do kawy dwie łyżeczki cukru.

– Naprawdę używa wszystkich tych zabaweczek?

Derek podążył za wzrokiem Dodge'a ku glinianemu dzbankowi mieszczącemu część używanych przez Julie narzędzi pomocnych przy gotowaniu.

– Tak. Nie uwierzyłybyś, ale ludzie wymyślają gadżety dosłownie do wszystkiego.

– Gdzie Julie?

– Na górze, wymiotuje.

Dodge dmuchnął w kawę i pociągnął duży łyk.

– To przykre!

– Nie, Julie jest całkiem zadowolona.

– Lubi rzygać?

– Poranne mdłości to dobry znak. Ich występowanie świadczy o tym, że płód zakotwiczył się w ścianie macicy, bo właśnie to wywołuje cały ten hormonalny chaos, a poza tym...

– Serdeczne dzięki – wymamrotał Dodge. – Nie chcę nic wiedzieć o macicy Julie. Powiem więcej, nie zależy mi na żadnych informacjach na temat sekretów ludzkiego rozmnażania.

– Wydawało mi się, że słyszę twój głos. – Julie, kwitnąca jak nigdy, weszła do kuchni i posłała Dodge'owi serdeczny uśmiech. – Strasznie wcześnie jak na ciebie, co? Zwłaszcza w sobotę.

– Podobno masz za sobą marny ranek.

– Nie bardzo mi to przeszkadza. Mdłości szybko miną, zresztą to dobry znak, bo ich występowanie świadczy o tym, że płód...

Derek roześmiał się

– Już mu to mówiłem! Dodge nie chce tego słuchać!

– W porządku.

Julie spytała, czy Derek poczęstował gościa czymś oprócz kawy, i kiedy usłyszała, że nie, ukroiła kawałek piaskowej babki. Dodge chętnie go przyjął, ponieważ wiedział, że Julie jest znakomitą kucharką.

– Gdybym to ja się z tobą ożenił, ważyłbym już dobre dziesięć kilo więcej – zamruczał, przełykając drugi kęs ciasta.

– A widziałeś ostatnio gołego Dereka?

– Hej! – mąż Julie żartobliwie trzepnął ją po pupie, posadził sobie na kolanach i przywarł wargami do jej karku. – To ty robisz się okrągłutka! – Położył dłoń na jej brzuchu, jak dotąd zupełnie płaskim.

Julie przykryła rękę męża swoją. Spojrzeli sobie w oczy z głęboką czułością.

Dodge odchrząknął.

– Mam wyjść czy jak?

Julie wstała z kolan Dereka i usiadła na krześle naprzeciwko Dodge'a.

– Nie, bardzo mi miło, że wpadłeś – uśmiechnęła się. – Derek widuje cię prawie codziennie, ale ja nie.

Dodge często pokpiwał z małżeńskich uniesień szefa, cieszył się jednak szczęściem tych dwojga. Derek i Julie Mitchell należeli do niewielu osób na ziemi, które mniej więcej tolerował. Mógłby nawet powiedzieć, że darzy ich szacunkiem i sympatią, chociaż, podobnie jak wszystkich znajomych, trzymał ich na dystans, bardziej dla ich dobra niż własnego. Miał świadomość, że w jego charakterze kryje się coś destrukcyjnego.

– Co cię sprowadza, Dodge?

Pytanie Dereka wydawało się dość niewinne, ale Dodge wiedział, że

jego szef ma niezwykły instynkt i intuicję, cechy, które wiele razy przysłużyły mu się w karierze adwokata. Kiedy ostatnio Dodge zjawił się u niego w sobotę rano? Nigdy.

Z udawaną obojętnością wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy. Czuł się nieswojo – wcale nie chciał okłamywać kogoś, z kim łączyło go coś bardzo zbliżonego do przyjaźni.

– Wściekłbyś się, gdybym poprosił o parę dni urlopu? – spytał, nie odrywając oczu od zawartości kubka i wyczuwając zdumione spojrzenia, jakie Derek wymienił z żoną.

– W ogóle bym się nie wściekł – odparł. – Zasłużyłeś na urlop.

– Zastanów się, zanim coś powiesz, panie adwokacie, bo nie chciałbym wyjechać i gdzieś tam odbierać w środku nocy twoich poleceń, żebym dopadł jakiegoś zbira, który...

– Dodge, nie zamierzam się z tobą spierać! Należy ci się urlop, i tyle. Jeżeli nawet w czasie twojej nieobecności wydarzy się coś nieprzewidzianego, sprawa poczeka, aż wrócisz.

– Akurat! Nawet jeśli ty się zgadzasz, ważniacy, którzy dla ciebie pracują, dostaną zbiorowego wylewu. Zwracają się do mnie wyłącznie z pytaniem „kiedy”, na przykład: „Kiedy zdobędziesz dla mnie informacje do tej sprawy, Dodge?” albo „Kiedy dostarczysz mi skórę tego gościa?”.

– Wszyscy w kancelarii polegają na tobie.

– Właśnie o tym mówię! Jeżeli wyjadę na kilka dni, ta cholerna firma przestanie istnieć!

Dodge bardzo pomógł Derekowi rozwiązać sprawę, w którą wplątała się Julie. Morderstwo Paula Wheelera było ogromną tragedią, lecz jego pośrednim rezultatem okazał się związek Julie i Dereka. Początkowo Dodge podejrzewał, że Julie jest oszustką, manipulatorką i nie tylko, ona jednak z

godnością zniosła jego wrogie nastawienie i najwyraźniej nie zachowała urazy w sercu. Dodge przypuszczał nawet, że żona szefa trochę go lubi.

Teraz przeniósł wzrok właśnie na nią. Niewykluczone, że popełnił błąd, bo Julie przyglądała mu się z niepokojem i troską, a to, biorąc pod uwagę jego obecny stan umysłu, było może groźniejsze od przenikliwości jej męża.

– Mam nadzieję, że przyczyną prośby o urlop nie jest złe samopoczucie – odezwała się cicho.

– Że niby co, umieram na raka płuc czy coś w tym rodzaju? – uśmiechnął się Dodge, próbując ją uspokoić. – Nie, nic z tych rzeczy. No, w każdym razie nic mi na ten temat nie wiadomo i na pewno jeszcze nie wybieram się na tamten świat!

Poprawił się na krześle i poklepał po kieszonce koszuli, upewniając się, czy paczka papierosów znajduje się na swoim miejscu. Oczywiście raczej nasikałby na Monę Lisę, niż zapalił w kuchni Julie, ale zawsze lepiej wiedzieć.

– Nieważne, niepotrzebnie wyskoczyłem z tym urlopem – zwrócił się do Dereka, kładąc rękę na sercu. – Firma mnie potrzebuje, a ja jestem absolutnie lojalny wobec kancelarii „Mitchell i Wspólnicy”, rzecz jasna.

– Przestań gadać bzdury! Co się dzieje?

– Co się dzieje? Nic! Chciałem tylko...

– Wziąć parę dni wolnego, a ja się zgodziłem – wszedł mu w słowo Derek. – I teraz wyklócasz się ze mną! Dlaczego?

– Bez powodu. To był durny pomysł, i tyle. Przyszło mi do głowy, że mógłbym gdzieś pojechać, ale...

– Miałeś na: myśli jakieś konkretne miejsce? – Derek uśmiechnął się szeroko. – Może jedną z tych tropikalnych wysp, o których ciągle gadasz?

Taką jak te, które opisują w „National Geographic”, gdzie laski chodzą topless?

- Żałuję, ale nie.
- Więc gdzie chcesz jechać?
- Do Buttfuck w Teksasie.

Dodge o mało nie kopnął się w kostkę. Po co z tym wyskoczył? Przecież wcale nie miał zamiaru.

Derek wpatrywał się w niego przez chwilę.

- Czy coś takiego ma kod pocztowy? – rzucił.

Dodge wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia. I tak tam nie pojedę.

Wszyscy troje długo milczeli. Dodge wyczuł, że Derek i Julie znowu wymienili pytające spojrzenia.

- Co jest w Teksasie? – zagadnęła Julie.
- Tekszańcy!

Niezwykłe dowcipna odpowiedź nie wzbudziła entuzjazmu, którego spodziewał się Dodge. Ostrożnie zerknął na Julie, niepewny, dlaczego tego ranka tak bardzo skupiała na sobie jego uwagę. Była bardzo atrakcyjna, jasne, jak zawsze, ale to chyba cała ta hormonalna burza w jej wnętrzu budziła w nim sentymentalne, miękkie uczucia, całkowicie wbrew jego naturze.

Zazwyczaj, gdy ktoś zadawał mu jakieś osobiste pytanie, nawet tak niewinne jak „Co jest w Teksasie? ”, odpowiadał, że to nie jego interes, lecz teraz w ogóle nie czuł złości.

- Sprawy zawodowe – odrzekł spokojnie.
- Zawodowe? – zdziwił się Derek.
- Spokojnie, szefie, nie szukam innej pracy! To moje osobiste sprawy

zawodowe.

– Twoje osobiste sprawy zawodowe.

– Boże, czy to echo?! – zdenerwował się Dodge. – Po co robisz z tego wielką sprawę, stary? Przecież osobistą sprawą zawodową może być na przykład zaparcie, nie?

– Chyba pierwszy raz w życiu masz osobistą sprawę zawodową! I to w Teksasie!

– To tylko dowodzi, że nie wiesz wszystkiego, prawda? Poza tym dlaczego jeszcze nie zeszliśmy z tego tematu? Nigdzie nie jadę. Dobrze wiem, że ledwo bym tam dotarł, a ta cholerna komórka już zaczęłaby dzwonić jak szalona. I wiesz, kto by tak do mnie wydzwaniał? Ty, z pytaniem, kiedy wreszcie wrócę! Dlatego gra jest niewarta świeczki, zapomnij, że pytałem, i już. – Dodge rzucił serwetkę z frędzlami na stół i wstał. – Dzięki za kawę. Pyszne ciasto, Julie, na mnie już czas.

– Siadaj!

– Słucham?

Derek zacisnął zęby i wysunął szczękę do przodu.

– Nie wyjdiesz z tego domu, dopóki nie powiesz nam, co to za sprawa, do diabła!

– Mówiłem, przyszło mi do głowy, żeby...

– Tu nie chodzi o urlop. Siadaj.

Usiadł, postanowił jednak nie ukrywać, że wcale mu to nie w smak. Obaj z Derekiem długo wpatrywali się w siebie wrogo, aż w końcu Dodge bezradnie rozłożył ręce.

– No, co? – warknął.

– Pamiętasz, jak powiedziałem ci o Julie i o mnie? – zagadnął Derek.

– O waszej podróży do Paryża?

– Właśnie. Przyznałem się przed tobą, dlaczego wpakowałem się w konflikt interesów i nie mogę reprezentować Creightona Wheelera, obnażyłem przed tobą duszę, ponieważ wiedziałem, że mogę ci absolutnie zaufać, powierzyć ci najgłębiej skrywany, najmroczniejszy sekret. Niczego przed tobą nie ukrywałem, złożyłem w twoje ręce moją karierę i moje życie.

– No, dobra! Więc co?

– Taki akt zaufania działa w obie strony, Dodge. Ja i Julie mamy do ciebie zaufanie, a ty? Co się dzieje?

Derek zamilkł, czekając, aż mężczyzna odpowie. Bezskutecznie.

– Widzę, że chodzi o coś naprawdę ważnego, bo inaczej nie robiłbyś takiego cyrku z tych kilku dni urlopu – podjął po chwili. – Jesteś tutaj, ponieważ chciałeś nam o czymś powiedzieć, ale nie masz pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Zostałeś ostatnio psychoterapeutą? To, że jesteś najbardziej zajęтым adwokatem w całej Georgii, już ci nie wystarcza?

Derek nawet nie drgnął.

– Co takiego jest w Teksasie, Dodge? – powtórzyła Julie.

Miękka nuta w jej głosie poruszyła Dodge'a bardziej niż upór Dereka. Opuścił ręce, wreszcie pokonany.

– Nie: co – odparł. – Raczej: kto.

– Więc kto?

Ominął ich wzrokiem, wziął kubek, wstał, podszedł do zlewu i wylał resztę kawy.

– Moja córka.

Poczuł ich zdziwienie, jeszcze zanim odwrócił się i zobaczył wyraz zaskoczenia malujący się na obu twarzach.

– Przecież ty nie masz córki – odezwał się Derek.

- Mam.
- Odkąd to?
- Od trzydziestu lat.

Derek potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić jej zawartość.

- Wyraźnie powiedziałeś mi, że nie masz córki!
- Niczego takiego nie mówiłem.

– Dodge, doskonale pamiętam tamtą rozmowę! Sprawdzaleś wtedy rozmaite fakty z życiorysu Creightona Wheelera i powiedziałeś, że nie chciałbyś, aby twoja córka się z nim spotykała, biorąc pod uwagę różne jego sprawki. Na to ja odparłem, że nie masz córki, a ty oświadczyłeś, że nie chciałbyś, gdybyś ją miał.

- Widzisz? To ty powiedziałeś, że nie mam córki, nie ja.
- Ale ty to jednoznacznie zasugerowałeś!
- Pozwij mnie za to.

– Chyba nie jest to szczególnie konstruktywna wymiana zdań. – Julie obrzuciła obu mężczyzn pełnym dezaprobaty spojrzeniem i zatrzymała wzrok na twarzy Dodge'a. – Po prostu jesteśmy zaskoczeni, mój drogi. Mówiłeś nam o swoich dwóch byłych żonach, ale nie o dzieciach.

- Nie mam dzieci, mam jedno dziecko.

Dodge uważnie przyjrzał się swoim butom, zastanawiając się, kiedy ostatni raz je czyścił, jeśli w ogóle. Naprawdę powinien trochę o nie zadbać. Może na lotnisku będzie miał parę minut.

Na lotnisku? Nigdy w życiu! Nigdzie się nie wybierał!

- Kiedy widziałeś ją ostatni raz? – zapytała Julie.
- W jej urodziny.
- Ostatnie?

Dodge zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. W dzień jej narodzin.

W pełnej oszołomienia ciszy zawisły pytania, na które nie miał ochoty odpowiadać. Okazało się jednak, że Derek jest uparty jak buldog.

– Więc dlaczego zamierzasz zobaczyć się z nią teraz?

– Nie zamierzam.

– Na miłość boską, załóżmy, że masz taki zamiar!

Dodge ze zdenerwowania przygryzł wewnętrzną stronę policzka i ku swojemu zdumieniu usłyszał, jak wyjaśnia Julie i Derekowi, że jego córka wpakowała się w jakieś kłopoty.

– Nie znam szczegółów, ale sprawą zajęła się policja. Jej... Pewnej osobie przyszło do głowy, że prawdopodobnie, przy moim doświadczeniu, mógłbym pomóc, ale ja wcale tak nie myślę, a poza tym właściwie dlaczego miałbym to robić?

Derek i Julie nadal wpatrywali się w niego bez słowa. Ich spojrzenia mówiły wszystko. Dodge spuścił głowę, dotknął kciukiem i palcem środkowym kącików oczu, z rezygnacją machnął ręką i westchnął.

– Cholera jasna, cholera jasna, psiakrew – wymamrotał.

Rozdział 2

BEERY I CAROLINE JUŻ PRAWIE PÓŁ GODZINY SIEDZIAŁY na twardych drewnianych ławkach, trochę podobnych do kościelnych, tuż przy wejściu do gmachu sądu Merritt County. Kiedy Ski Nyland wreszcie do nich podszedł, wyglądał jak człowiek, który spóźnił się na ważne spotkanie.

– Przepraszam, że musiały panie czekać – powiedział. – Miałem telefon.

– Dobre wiadomości? – zapytała Caroline.

– Raczej nie, pani King. Oren Starks wciąż jest na wolności i za parę minut muszę przyłączyć się do ekipy, która prowadzi poszukiwania. – Dotknął przyczepionej do pasa komórki, jakby chciał się upewnić, że nadal ma szansę na kontakt z otoczeniem.

Jego szare oczy spoczęły na Berry, pierwszy raz od początku rozmowy.

– Gotowa? – zagadnął.

– Od dłuższego czasu.

– Pewnie specjaliści od marketingu bardziej skrupulatnie przestrzegają planu dnia niż pracownicy wymiaru sprawiedliwości – odparł po chwili milczenia.

Trafiona, szeryfie – pomyślała Berry. Jej uwaga była złośliwa, lecz właśnie złośliwość starała się w sobie wypracować. Tak czy inaczej, biorąc pod uwagę skomplikowane okoliczności, uznała teraz, że może mu trochę odpuścić.

– Po prostu wydawało mi się, że wczoraj powiedziałam panu już wszystko, co wiem – odezwała się odrobinę łagodniejszym tonem. – Nie spodziewałam się, że dziś rano znowu zostanę tu wezwana.

– Szeryf Drummond poprosił o spotkanie. Pani adwokat już u niego czeka.

– W takim razie powinniśmy jak najszybciej do nich dołączyć – oświadczyła Caroline z uprzejmością, jakiej Berry zawsze jej zazdrościła.

Ona sama nigdy nie opanowała tej umiejętności, która matce przychodziła w zupełnie naturalny sposób.

Nyland gestem pokazał im drogę. Idąc przed nim przez hol, Berry zastanawiała się, dlaczego nie włożył munduru. Poprzedniego dnia też nie miał go na sobie, przypuszczała jednak, że jej alarmujący telefon zakłócił mu spokojny piątkowy wieczór.

Teraz ubrał się jak na rodeo, oczywiście jeśli nie liczyć sportowej kurtki – w dżinsy, wysokie buty i nienagannie wyprasowaną białą koszulę w westernowym stylu. I był równie lakoniczny jak filmowy kowboj. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może widział się w roli bohatera Dzikiego Zachodu. Przydałby mu się jeszcze duży jasny kapelusz, okazała metalowa gwiazda na piersi i rewolwery w olstrach nisko na biodrach.

Mogłaby przysiąc, że ma przy sobie broń. Prawdopodobnie zostawiał ją gdzieś, gdy wchodził do gmachu sądu, lecz niewykluczone, że po prostu ukrywał ją pod kurtką, podobnie jak ukrywał policyjnego koguta za kratą swego zmęczonego terenowego wozu, którym poprzedniego wieczoru przywiózł ją tutaj, aby wysłuchać zeznań w sprawie „incydentu z użyciem broni palnej”, jak to nazwał.

Czekając na windę, Berry zwróciła uwagę, że w porównaniu z zastępcą szeryfa matka wygląda jak karlica. Nawet ona sama, od czasów siódmej klasy wyższa od wszystkich chłopców, a na ostatnim roku studiów niższa tylko od kilku, przy nim wydawała się raczej nieduża.

Postanowili nie czekać dłużej na windę. Kiedy wchodzili na pierwsze

piętro po schodach, Berry czuła, jak spojrzenie Nylanda wbija się w środkową część jej kręgosłupa.

Siedzibę sądu zbudowano w 1898 roku, była jednak w doskonałym stanie. Biuro szeryfa mogło poszczycić się oryginalną boazerią i ręcznie wykonanymi plafonami. Szyby zrobiono z grubego matowego szkła, co dodawało pokojowi charakteru. Po obu stronach szerokiego biurka stały flagi, a na ścianie, między sztandarem stanu Teksas i starym sztandarem Południa, wisiał obraz przedstawiający poddanie się Santa Anny Samowi Houstonowi.

Kiedy cała trójka pojawiła się w drzwiach, znajdujący się w gabinecie dwaj mężczyźni wstali. Jednym z nich był adwokat, którego matka Berry ściągnęła tu poprzedniego wieczoru, drugim zaś szeryf Tom Drummond.

Szeryf pośpiesznie wyszedł zza biurka, zbliżył się do Caroline, objął ją i ucałował w policzek.

– Zawsze cieszy mnie możliwość spotkania z tobą, ale okoliczności dzisiejszego spotkania budzą we mnie zupełnie inne odczucia – rzekł.

– Mogę powiedzieć dokładnie to samo, Tom! – Caroline odwróciła się i ruchem ręki wskazała Berry. – Wydaje mi się, że w zeszłym roku miałeś okazję poznać moją córkę na majowym pikniku organizowanym przez nasz country club.

– Oczywiście. Miło mi, pani Malone.

– Mam na imię Berry i będę wdzięczna, jeżeli tak będzie się pan do mnie zwracał.

Szeryf ujął dłoń młodszej kobiety i serdecznie ją poklepał.

– Zapewniam cię, że poświęcamy tej sprawie całą naszą uwagę – oświadczył. – Firma twojej matki stała się niezwykle ważna dla lokalnej społeczności, ponieważ ożywiła rynek handlu nieruchomościami. Wszystko,

co ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie, interesuje także i mnie, a szczególnie dotyczy to twojego bezpieczeństwa, moja droga. Zamierzamy schwytać tego typa, daję ci słowo.

– Dziękuję. Mam całkowite zaufanie do biura szeryfa.

Adwokat – Carlisle Harris albo Harris Carlisle, Berry nie mogła sobie tego przypomnieć – był mniej więcej w wieku szeryfa. Sprawiał wrażenie sympatycznego dżentelmena, lecz Berry miała pewność, że jej matka wybrała go ze względu na spryt i umiejętności zawodowe, a nie dla lśniących czarnych oczu i miłego sposobu bycia.

Poprzedniego dnia zjawił się w domu nad jeziorem tak szybko, jakby Caroline wyczarowała go za pomocą różdżki. Kiedy tylko dowiedziała się, co się stało i że Ski Nyland zaczął zadawać pytania na temat rewolweru Berry, uprzejmie poprosiła zastępcę szeryfa, aby wstrzymał się z przesłuchaniem do chwili przybycia na miejsce jej adwokata. Nyland nie był zadowolony, ale zgodził się i w rezultacie do chwili zjawienia się prawnika Berry nie powiedziała już ani słowa.

Teraz adwokat postąpił naprzód i uściskiem dłoni przywitał się z kobietami.

Szeryf musiał wyczuć zniecierpliwienie Nylanda, ponieważ szybko zakończył wymianę uprzejmości i zaproponował, aby wszyscy usiedli. Berry i jej matka zajęły miejsca na wytartej skórzanej kanapie, a mężczyźni w trzech fotelach naprzeciwko.

– Ski streścił mi, co wydarzyło się w domu nad jeziorem, no i mam tu kopię twojego oficjalnego zeznania, Berry – zaczął Tom Drummond. – Dostałeś kopię, Harry?

– Tak jest – odparł Harris Carlisle. – Dziękuję.

– Czy chciałabyś dodać coś do wczorajszego zeznania? – zapytał

szeryf. – Może przypomniałaś sobie jakieś fakty, które mogłyby pomóc nam wytropić tego faceta?

Berry potrząsnęła głową.

– Staralam się powiedzieć w zeznaniu absolutnie wszystko. Ujmując rzecz w dużym skrócie: Oren Starks prześladował mnie od paru miesięcy, a wczoraj wieczorem zjawił się nad jeziorem, postrzelił Bena i groził mi śmiercią.

– Poznałaś Starksa w pracy, prawda?

– W firmie Delray Marketing w Houston.

– Podobno został wyrzucony, tak?

– Tak, parę miesięcy temu.

– Znasz powód zwolnienia?

– Nie był dobrym pracownikiem – odparła. – W każdym razie takie pogłoski krążyły po firmie.

– A pani uważa inaczej?

Berry odwróciła się do zastępcy Nylanda, który zadał to pytanie.

– Nie do mnie należy wystawianie ocen kolegom z pracy – rzuciła chłodno.

– Bądź z nami szczerą – poprosił szeryf. – Czy twoim zdaniem Oren Starks to dobry pracownik?

– Nie.

– Dlaczego? Nie radził sobie ze zlecanymi mu zadaniami?

Berry uśmiechnęła się nieznacznie.

– Oren nie był w tym, co robił, dobry, on był genialny!

– Nie rozumiem. – Szeryf ściągnął brwi. – Ski mówi, że nakreśliłaś bardzo nieciekawy portret tego gościa.

– Jego osobowość nie ma nic wspólnego z umiejętnościami –

powiedziała Berry. – Marketing wymaga kreatywności, sprawnego stosowania strategii oraz mnóstwa innych rzeczy składających się na harmonijną całość. Jeden wadliwy element psuje ostateczny efekt. W firmie to do Orena zwracaliśmy się o radę, gdy kampania nie przynosiła oczekiwanych rezultatów. Miał szczególną zdolność wyłapywania tego jej elementu, który się nie sprawdzał, nie pasował do całości.

– A jednak to sam Starks nie pasował do reszty pracowników – zauważył szeryf.

– Tak, jak na ironię. Ludzie zawsze czuli się przy nim nieswojo, szczególnie kobiety. Nie byłam pierwsza, którą obdarzył niechcianymi względami.

– Czy postawiono mu zarzut molestowania seksualnego?

Berry przecząco potrząsnęła głową.

– Oficjalnie nigdy. Oren nie robił nic, co pozwoliłoby zgłosić sprawę policji. Nie dotykał swoich wybranek, nie przysyłał obscenicznych e – maili ani trącających pornografią tekstów. Jest na to zbyt inteligentny i przebiegły. Nie pozwoliłby sobie na coś, co mogłoby go wkopać, no i potrafił po mistrzowsku posługiwać się półsłówkami oraz niedomówieniami, budując iluzję intymności, która w ogóle nie istniała. – Berry zamyśliła się na chwilę. – Gdy ktoś atakował go za jakąś uwagę, Oren zawsze twierdził, że został źle zrozumiany, i jeszcze umiał wzbudzić w atakującym poczucie winy.

– Przeżyłaś coś takiego? – zagadnął szeryf.

– Tak, na początku. Doszłam do wniosku, że błędnie odczytuję słowa i zachowanie Starksa, lecz on po zwolnieniu z pracy stał się bardziej natarczywy i agresywny, aż w końcu zaczęłam się go bać. Pomyślałam, że jeśli przyjadę nad jezioro, do letniego domu mamy, która od dawna mnie na

to namawiała, jeżeli na jakiś czas zniknę, Oren zniechęci się albo po prostu straci zainteresowanie moją osobą i zostawi mnie w spokoju.

– Mówisz o nękanii, prześladowaniu. – Drummond wychylił się do przodu, zachęcając Berry do rozwinięcia tematu.

– Telefonował do mnie kilka razy dziennie i ciągle wysyłał mi SMSy.

– Dlaczego nie zmieniła pani numeru? – zapytał Nyland.

– Za dużo osób zna numer mojej komórki, więc byłoby to ogromnie kłopotliwe. Klienci, współpracownicy, ludzie, którzy próbują mnie złapać, żebym im doradziła w jakiejś pilnej sprawie.

– Zmiana numeru jest bardziej kłopotliwa niż taka sytuacja?

– Nie musisz odpowiadać na to pytanie, Berry – odezwał się adwokat.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego znowu skupiła uwagę na szeryfie.

– Oren zjawiał się w moim domu bez zaproszenia – podjęła wątek. – Czasami siedział w zaparkowanym przy krawężniku samochodzie, kiedy indziej na ganku i czekał na mój powrót. Pojawiał się w restauracjach, gdzie ja – dałam kolacje, i przysyłał mi kwiaty z bilecikami, które wskazywały na łączący nas związek, chociaż nie łączyło nas nic poza pracą, zapewniam. Przesyłał mi drobne podarunki, które...

– Na przykład jakie?

Zbita z tropu powtarzającymi się sceptycznymi pytaniami zastępcy szeryfa Berry zamyśliła się na moment.

– Kiedyś przysłał mi grę wideo, jedną z tych w konwencji *fantasy*, lochy i smoki, tego typu sprawy. Czarownicy, magowie, zamki, labirynty, na pewno wiecie, o co mi chodzi...

– Lubi pani takie rzeczy?

– Wręcz przeciwnie, panie Nyland, ale Oren jest wielkim fanem tych gier. Uwielbia wszelkiego rodzaju zagadki i świetnie sobie z nimi radzi.

– Co niewątpliwie w jakimś stopniu przyczynia się do jego sprawności w rozwiązywaniu problemów kampanii marketingowych – uzupełnił Nyland.

– Właśnie!

– Co jeszcze? Jakie jeszcze prezenty pani przysyłał?

– Bestseller autora, którego lubię, o czym Oren wiedział. Stał w kolejce parę godzin, a w każdym razie tak twierdził, żeby zdobyć dla mnie dedykację. Płyte CD, którą sam wypalił. Najbardziej osobistym podarunkiem była srebrna bransoletka z zawieszka, cienki łańcuszek z serduszkiem.

– Zwróciła mu pani te rzeczy? – spytał Nyland.

– Początkowo próbowałam, ale Oren nie chciał ich przyjąć. W końcu je zatrzymałam.

– Dlaczego?

– Ponieważ próba zwrotu oznaczała konieczność spotkania się z nim i rozmowy, a tego starałam się za wszelką cenę uniknąć.

– Sądzę, że wszyscy rozumiemy ideę prześladowania bądź molestowania, prawda? – wtrącił się Harris Carlisle. – Facet nieustannie nękał Berry i wreszcie wczoraj wieczorem jego obsesja znalazła wyraz w ataku agresji.

Szeryf skinął głową.

– Kontynuuj, Berry, bardzo proszę.

– Zapomniałam, o czym mówiłam.

– Przeniosłaś się tutaj na lato.

– Tak, z nadzieją, że uda mi się raz na zawsze pozbyć Orena. Nie mam pojęcia, jak zdobył adres, bo w książce telefonicznej go nie ma. Tak czy inaczej zjawił się tutaj.

Wspomnienia ostatnich wydarzeń sprawiły, że zamilkła i kilka razy z trudem przełknęła ślinę. Matka cicho zapytała ją, czy nie napiłaby się wody, lecz Berry zdecydowanie potrząsnęła głową. Caroline ujęła córkę za rękę, aby dodać jej odwagi. Zastępca szeryfa poprawił się na krześle, powodując w starym meblu trzaski, i zerknął w kierunku drzwi, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie wyjdzie z gabinetu.

Berry miała ochotę zagadnąć, czy nie przeszkadza mu przypadkiem w zaplanowanych zajęciach, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że pewnie rzeczywiście tak jest. Nyland koordynował przecież poszukiwania Orena, więc im szybciej będzie wolny, tym lepiej.

– Wczoraj wieczorem Oren zjawił się w domu nad jeziorem – podjęła szybko. – Potwornie mnie wystraszył. Brałam właśnie prysznic i nagle ktoś szarpnął zasłonę, zupełnie jak u Hitchcocka. Tyle że Oren miał w ręku nie nóż, lecz rewolwer i mierzył z niego do mnie.

Szeryf odwrócił się do Caroline.

– Rozumiem, że nie było cię wtedy w domu.

– Od rana. Celowo wyjechałam wcześniej. Berry uprzedziła mnie, że ona i pan Lofland będą pracować nad bardzo ważnym projektem, więc nie chciałam im przeszkadzać. Po pracy prosto z biura pojechałam na kolację, na którą zaprosili mnie moi byli klienci. Urządzili coś w rodzaju parapełki. Zawiadomiłam Berry, żeby na mnie nie czekała, bo nie wiedziałam, kiedy wrócę. Ostatecznie przyjechałam do domu zaraz po przybyciu szeryfa Nylanda. Inny funkcjonariusz stał przy frontowych drzwiach i zabronił mi wejść do środka. Berry próbowała dodzwonić się do mnie, ale komórkę miałam w torebce, wyciszoną na czas imprezy, a nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy ktoś telefonował, zanim wyruszyłam w drogę powrotną do domu.

Szeryf Drummond spojrział na Nylanda.

– Kiedy Caroline przyjechała, wy dwoje, ty i Berry, byliście na górze?

– Usłyszeliśmy ożywioną wymianę zdań między Andym i panią King. Zszedłem na dół. Pani King zadzwoniła do pana Carlisle’a.

– Miałam prawo to zrobić!

Zastępca potwierdził jej słowa krótkim ruchem głowy.

– Gdy pan Carlisle przyjechał, podjąłem przesłuchiwanie pani Malone. Na samym początku zapytałem, czy Starks włamał się do domu. Okazało się, że nie.

– Tak jest, szeryfie – wtrąciła Berry. – Wszystkie drzwi były otwarte. Ben i ja siedzieliśmy nad basenem. Przygotowaliśmy sobie na grillu w ogrodzie steki na kolację i przez cały wieczór wchodziliśmy do środka i wychodziliśmy na zewnątrz. Nie zdążyłam jeszcze zamknąć domu na noc, więc Oren po prostu wparował frontowymi drzwiami. Tak mi się w każdym razie wydaje, bo tamtędy również uciekł. Od chwili, gdy zdarł zasłonę prysznic, do momentu, kiedy wezwałam policję, mogło minąć najwyżej parę minut. Wszystko działo się tak szybko.

– W swoim zeznaniu określiłaś go jako maniaka.

– Powiedziała, że jest niezrównoważony.

Berry szybko spojrzała na Nylanda, zaskoczona, że tak dokładnie zapamiętał słowa, jakimi opisała stan umysłu Orena.

– Tak. Miał zupełnie nieprzytomne oczy, jękał się, krzyczał: „Muszę cię zabić! Wiesz o tym, prawda? Muszę cię zabić! ”.

Siedząca obok córki Caroline zadrżała i mocniej ścisnęła jej rękę.

– Kiedy zobaczyłam go z bronią, krzyknęłam. To jeszcze bardziej go rozstroiło. Zaczął mnie uciszać i ciągle powtarzał: „Nie mam wyboru, muszę

to zrobić! Nie rozumiesz? Nie zdajesz sobie z tego sprawy? ”. Powtarzał to w kółko jak jakiś refren. Był...

Słuchająca Berry czwórka patrzyła na nią wyczekująco. Młoda kobieta szukała w myśli właściwego słowa. Powiodła wzrokiem po ich twarzach i zatrzymała spojrzenie na zastępcy szeryfa, którego szare oczy wpatrywały się w nią nieruchomo.

– Zachowywał się jak kompletnie wytrącony z równowagi – dokończyła, bezradnie wzruszając ramionami. – Trudno mi lepiej to opisać.

– No, przyjechał tam, żeby cię zabić – sucho skomentował adwokat. – Trudno oczekiwać, aby zachowywał się racjonalnie.

– Tak.

– Widziałaś go już kiedyś w takim stanie? – zapytał szeryf.

– Tylko raz. Wściekł się wtedy na mnie, bo odrzuciłam jego zaloty, ale wczoraj wieczorem zupełnie przestał się kontrolować.

Chciała chyba zastanowić się chwilę, lecz kiedy Nyland rzucił następne spojrzenie w kierunku drzwi, postanowiła mówić dalej.

– Ben musiał usłyszeć mój krzyk i wrzaski Orena. Słyszałam, jak biegnie z sypialni. Gdy stanął w drzwiach łazienki, Oren odwrócił się i strzelił do niego.

Przerwała, od nowa przeżywając tamte straszne chwile – huk wystrzału, widok Bena padającego do tyłu, wyraz dzikiego oszołomienia na twarzy Orena, kiedy znowu spojrzał na nią. Cały czas powtarzała sobie w myślach, że to niemożliwe, że takie traumatyczne, straszne wydarzenia nie mają miejsca w życiu normalnych, zwyczajnych, porządnych ludzi, takich jak ona.

A jednak przydarzyło się to właśnie jej. Teraz, starając się opisać tamtą scenę i swoje odczucia, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie uda jej się

wyrazić słowami tego, co przeżyła.

– Mogę tylko powiedzieć, że wydawało mi się to zupełnie nierzeczywiste, chociaż był to po prostu inny wymiar rzeczywistości. Wszystkie moje uczucia, ich siła, wykraczały poza wszelką skalę. Pamiętam, że po wystrzale ogarnęło mnie poczucie zawieszenia w czasie, do chwili, kiedy Oren nagle odwrócił się i wybiegł. Nachyliłam się nad Benem, powiedziałam mu, że zaraz sprowadzę pomoc, i popędziłam za Orenem. Chciałam wiedzieć, co robi i dokąd pobiegł.

– Nie bałaś się, że do ciebie także strzeli?

– Berry wyjaśniała to już wczoraj wieczorem zastępcy Nylandowi!

– Spokojnie, Harry – powiedział szeryf, łagodnie napominając adwokata. – Pytam tylko z ciekawości.

Harris Carlisle gestem polecił Berry, aby podjęła opowieść.

– Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym, bo inaczej pewnie zostałabym przy Benie. Zrobiłam to, co podpowiedział mi instynkt. Pobiegłam za Orenem i kiedy znalazłam się na galeryjce, on już był w połowie schodów. Na półpiętrze potknął się i upadł, poleciał kilka stopni w dół i wylądował na plecach. Zobaczył mnie, dźwignął się, przykleknął i wymierzył do mnie z rewolweru. W tamtej chwili byłam pewna, że zaraz zginę. Rzuciłam się na podłogę, próbując ukryć się za barierką. Pociągnął za spust, raz, drugi, trzeci. Strzelał, aż zabrakło mu naboju. – Caroline poderwała rękę do ust, powstrzymując niski, rozpaczliwy jęk. – Jakimś cudem wszystkie strzały chybiły – kontynuowała Berry. – Gdy uświadomił sobie, że nie ma więcej amunicji, podniósł się. „Zabiję cię!”, wrzasnął, „Musisz umrzeć!”. Powtórzył to kilka razy, potem odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Nie załadował broni? – zapytał Nyland po krótkim milczeniu.

– Nie.

– Po prostu wybiegł, zarzekając się, że panią zabije?

– Tak.

– Zgadza się to z tym, co powiedziała ci wczoraj wieczorem, Ski – przypomniał adwokat.

– Tak, wiem.

Nyland patrzył Berry prosto w oczy i młoda kobieta czuła, jak w jego szarych oczach wirują zębate koła.

– Lofland leżał na ziemi, postrzelony – odezwał się zastępca szeryfa.

– Poza wami w domu nie było żywej duszy, była pani zupełnie bezbronna.

– Tak.

– Starks zaskoczył panią w wannie, mógł strzelić do pani z bardzo bliskiej odległości, właściwie nie sposób nie trafić. Tymczasem on rzucił się do ucieczki, a pani pobiegła za nim, z pustymi rękami, tak?

– Tak.

– Bo nie wyjęła pani jeszcze swojego rewolweru, prawda?

– Właśnie.

– Starks opróżnił magazynek, strzelając pod ryzykownym kątem, z odległości. Jakiej? Stu metrów?

– Chyba tak, nie wiem.

Szeryf Drummond wychylił się do przodu.

– Do czego zmierzasz, Ski?

Nyland spojrzał na szefa.

– Skoro Starksowi rzeczywiście tak zależało na tym, żeby ją zabić, dlaczego nie zastrzelił jej w wannie? Po co wywrzaskiwał refren gróźb pod jej adresem? Dlaczego odwrócił się i zaczął uciekać, przecież mógł załatwić ją jednym strzałem, bez najmniejszego trudu. Wszystko to razem wydaje się

kompletnie bez sensu!

– Ludzie często zachowują się jak wariaci – powiedział szeryf. – Starks stchórzył. Doznał objawienia, zobaczył anioła, kto to może wiedzieć. Kiedy musiał podjąć ostateczną decyzję, potrafił zdobyć się tylko na to, żeby rzucać groźbami.

– Może i tak. – Jego zastępca popatrzył na niego bez przekonania.

– Mogę przypomnieć sobie tylko to, co naprawdę się wydarzyło, szeryfie Nyland – oświadczyła Berry. – Nie jestem w stanie wytłumaczyć czy zinterpretować postępowania Orena. Nie mam pojęcia, dlaczego nie skorzystał z okazji, żeby mnie zastrzelić, ale cieszę się, że tego nie zrobił.

– To chyba oczywiste – mruknął Nyland.

– Mów dalej, Berry – zachęcił szeryf. – Co było później?

– Gdy Oren zniknął, pobiegłam z powrotem do łazienki i zadzwoniłam na policję z telefonu stacjonarnego. Nie słyszałam warkotu silnika, więc nie miałam pewności, czy Oren nie wróci. Bałam się, że lada chwila znowu go zobaczę, dlatego wyjęłam rewolwer z szuflady nocnej szafki. Włożyłam go tam w dniu przyjazdu do domu mamy.

– Nawet już po wyjeździe z Houston obawiała się o swoje bezpieczeństwo – wtrącił adwokat. – Kupiła broń, ponieważ czuła, że ten człowiek może okazać się groźny. Rewolwer jest zarejestrowany na jej nazwisko, Berry ma pozwolenie.

– Wierzę ci, Harry! – szeryfowi wymknęło się pełne zniecierpliwienia westchnienie. – Moja żona zawsze trzyma dwudziestkędwójkę w szafce nocnej, no, chyba że akurat mamy u siebie wnuki.

Odwrócił się do Berry.

– Nie mam już nic więcej do powiedzenia. Zostałam w sypialni przy Benie aż do przyjazdu pogotowia.

Drummond pokiwał głową.

– Naprawdę mamy szczęście, że jesteś tu dziś z nami.

– Ogromne! – poważnie przytaknęła Caroline.

– Jakie są najświeższe wieści o stanie Bena Loflanda? – zagadnął szeryf.

– Rokowania są nie najgorsze – odparł Nyland. – Lofland przebywa na oddziale pooperacyjnym, jego żona jest przy nim.

Berry dobrze wiedziała, że to ostatnie zdanie dorzucił wyłącznie po to, aby wprawić ją w zażenowanie. Posłała zastępcy szeryfa zimne spojrzenie, lecz on rozmawiał właśnie z Drummondem i w ogóle tego nie zauważył.

– Wydział policji w Houston i Harris County będą pomagać w poszukiwaniach Starksa – rzekł.

– Masz nakaz aresztowania?

– Tutaj. – Nyland poklepał kieszeń na piersi. – Po drodze wstąpiłem do biura prokuratora okręgowego, dlatego się spóźniłem. – Zerknął na Berry. – Czy Starks był już wcześniej aresztowany?

Nyland przeniósł wzrok na swego szefa i potrząsnął głową.

– Nie, nie ma na koncie żadnych zatrzymań ani aresztowań, jest czysty jak łąza. Nic, nawet mandatu za złe parkowanie. Nie przebywa w domu, chociaż zarejestrowany na niego samochód stoi w garażu.

– Mógł wynająć wóz – podsunęła Berry.

– Nic na to nie wskazuje, pytaliśmy we wszystkich okolicznych agencjach.

– Więc pewnie ukradł samochód – rzuciła, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Albo pożyczył! Albo przyjechał na wrotkach! Nie mam pojęcia, jak się tutaj dostał, wiem tylko, że jest zdecydowanie za inteligentny, aby posłużyć się własnym autem, szczególnie jeśli miał zamiar

mnie zabić!

– Szeryfie Nyland, pewnie poczułybyśmy się trochę spokojniej, gdyby powiedział nam pan, jakie wysiłki podjęto, aby schwytać Starksa – odezwała się Caroline.

Szare jak kamień oczy Nylanda spoczęły na matce Berry.

– Oczywiście, proszę pani. Podczas gdy ja wczoraj wieczorem przesłuchiwałem panią Malone, pozostali zastępcy powiadamiali o incydencie szeryfów sąsiednich okręgów, którzy natychmiast wysłali swoich ludzi w teren. Warto jednak pamiętać, że sam okręg Merritt ma grubo ponad tysiąc kilometrów kwadratowych powierzchni, z czego sporą część stanowią tereny dziewicze. W naszym wydziale pracuje tylko dwunastu ludzi, w tym sądowy woźny, strażnik aresztu oraz emerytowany nauczyciel, który trzy razy w tygodniu pomaga nam w papierkowej robocie.

– Tak jest – kiwnął głową szeryf. – A sąsiednie okręgi mają podobną powierzchnię i jeszcze mniej liczny personel.

– Chodzi nam o to, że w tej części stanu istnieje mnóstwo miejsc, które mogą stanowić znakomitą kryjówkę – dokończył Nyland. – Natomiast przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości jest raczej niewielu.

Berry była przekonana, że jej matka nie zamierzała kwestionować kompetencji Nylanda, nawet podświadomie, nie ulegało jednak wątpliwości, iż zastępca szeryfa jest bardzo wrażliwy na wszelkie przejawy krytyki.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– To niemal pewne, że w czasie ucieczki Oren skręcił nogę albo porządnie ją sobie stłukł, kiedy upadł na schodach – odezwała się Berry. – Gdy biegł do drzwi, praktycznie skakał na prawej.

– Przeczesałicie przychodnie i punkty sanitarne w okolicy, prawda?
– Szeryf Drummond spojrzał na podwładnego.

– Wczoraj w nocy. I w dalszym ciągu wypytujemy, czy gdzieś się nie zgłosił.

– Zawiadomiliście wszystkie wydziały policji, służb porządkowych i tak dalej?

– Oczywiście. Wczoraj wysłałem e – mail do służb policyjnych, porządkowych, Strażników Teksasu, straży miejskiej. Dołączyłem rysopis Starksa. Nie wiemy, jakim samochodem jeździ, niestety.

– Może powinnam była wybiec za nim – ze skrucłą w głosie powiedziała Berry. – Przykro mi. Nie wiedziałam, czy Ben żyje, czy nie, dlatego czułam, że przede wszystkim muszę ściągnąć pomoc.

– To całkowicie zrozumiałe – rzekł szeryf.

Nyland znowu uważnie popatrzył na młodą kobietę.

– Ma pani jakieś jego zdjęcie?

– Orena? Nie.

– W czasie przeszukania jego domu nie znaleziono żadnych fotografii.

– Ani jednej? – ze zdziwieniem spytała Caroline. – To chyba dziwne, nie sądzicie?

– Cała ta sprawa jest dziwna – wymamrotał zastępca szeryfa. – Poproszę naszych kolegów z Houston, żeby zgłosili się do tej firmy marketingowej i sprawdzili, czy ich dział kadr nie ma jakiegoś zdjęcia Starksa. Dobrze by było, gdybyśmy mogli je rozesłać. – Wstał z fotela. – Przepraszam, ale muszę wracać w teren. Szefie, w razie czego wie pan, jak mnie złapać.

– Chcę być z tobą w bezpośrednim kontakcie, Ski. Nie dzwoń do biura, tylko od razu na moją komórkę, w porządku?

– Tak jest! – Nyland kiwnął głową adwokatowi i uchylił kapelusza,

odwracając się do Caroline i Berry. – Żegnam panie.

– Ski może i nie jest salonowcem, ale trudno byłoby znaleźć lepszego specja do prowadzenia poszukiwań – odezwał się szeryf, kiedy jego zastępca zamknął za sobą drzwi. – Pochodzi z...

Przerwał mu przyciszony sygnał komórki.

– Przepraszam cię, Tom. – Caroline wyjęła aparat z torebki, spojrzała na wyświetlacz i zerwała się na równe nogi. – Czekałam na ten telefon! Muszę zaraz odpowiedzieć, naprawdę!

Bez dalszych wyjaśnień wyszła z biura. Berry patrzyła chwilę za matką, zaskoczona jej nietypową szorstkością.

– Pewnie coś bardzo ważnego – głośno zauważył szeryf.

– Na pewno – przytaknęła Berry.

Rozdział 3

DODGE KILKA RAZY SOCZYŚCIE PRZEKŁĄŁ DOTYKOWĄ klawiaturę komórki, zastanawiając się, kto, u diabła, ma wystarczająco małe palce, aby coś na niej napisać.

– Cholerni komputerowi dziwacy! – mruknął pod nosem z wściekłością.

Oczywiście poszłoby mu lepiej, gdyby w tym samym czasie nie prowadził nieznanego samochodu i nie próbował zapalić papierosa. Ostatecznie wysłał tekst wiadomości z kilkoma błędami. Najważniejsze było to, aby Caroline otrzymała ją, zanim on sam dotrze do Merritt.

Nadal nie mógł uwierzyć, że skontaktowała się z nim po ponad trzydziestu latach milczenia. W jej głosie brzmiała naprawdę rozpaczliwa nuta, gdy prosiła o pomoc dla Berry, nie dla siebie.

Nie proszę cię o pomoc dla siebie, Dodge, powiedziała.

To dobrze, odparł. Naprawdę tak myślał. Gdyby oczekiwała czegoś dla siebie, bez sekundy wahania przerwałby połączenie. Na pewno. No, prawie na pewno...

Jednak Caroline była zbyt inteligentna, aby zrobić coś takiego. Zwróciła się do niego o ratunek dla ich dziecka. Cóż, wyszedłby na ostatniego drania, gdyby nie stawił się na wezwanie i przynajmniej nie sprawdził, co się dzieje.

Derek i Julie też byli tego zdania i nie ukrywali przed nim swojej opinii, o, nie. Uparli się, że odwiozą go na lotnisko, zapakowali do swojego samochodu, i już. Przepchnęli go nawet przez punkt sprzedaży biletów i odprowadzili aż do stanowiska kontroli dokumentów, podejrzewając chyba, że może wycofać się nawet w ostatnim momencie.

Przez cały lot Dodge powtarzał sobie, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby wykonał ten manewr na lotnisku w Houston. Mógł przecież od razu wrócić do Georgii albo wyskoczyć gdzieś dalej na parę dni. Może do Meksyku, który kusił tequilą i brązowookimi panienkami, a może na jakąś karaibską wysepkę. Na Karaibach czekały na niego dziewczęta w skąpych bikini i mocne drinki w pastelowych kolorach. Tak, piasek, deska do surfowania i mnóstwo alkoholu. Doskonały pomysł!

Zamiast jednak zrealizować ten plan, zadzwonił do Caroline zaraz po wylądowaniu, jeszcze zanim samolot podjechał bliżej przejścia dla pasażerów.

Kiedy odebrała, miał wrażenie, że zabrakło jej tchu (może z ulgi?). Powiedziała, że nie może rozmawiać, ale zaraz prześle mu wskazówki, jak dojechać na miejsce spotkania. Do tej wiadomości dodała postscriptum z prośbą, aby wysłał jej SMS – a, kiedy będzie już w drodze, za kierownicą wynajętego samochodu.

Dodge zrobił to i teraz od chwili, gdy miał ją ujrzeć, dzieliło go jeszcze dziewięćdziesiąt minut. Myśl o spotkaniu napełniała go mdlącym niepokojem, który sprawiał, że był na siebie po prostu wściekły. Postanowił z miejsca wyjaśnić jej, że nie pozwoli wciągnąć się w kłopoty, do których nie przyłożył ręki. Przyjechał tu wyłącznie po to, aby wysłuchać Caroline, udzielić, w miarę swoich możliwości, jakichś rad i jak najszybciej wyjechać. Gdyby w którymś momencie doszedł do wniosku, że Caroline grubo przesadza czy wręcz koloryzuje, zamierzał wysłać ją do diabła i wyjaśnić, że musi radzić sobie sama, skoro wcześniej sama podjęła taką decyzję. A podjęła, i to wiele lat temu, może nie?

Powinien powiedzieć jej to od razu poprzedniego dnia, kiedy tylko usłyszał, kto dzwoni. Trzeba było przerwać połączenie, dopalić papierosa,

przewrócić się na drugi bok i znowu zasnąć.

Niestety, on wstał z łóżka, wziął prysznic i ubrał się. Spakował nawet walizkę, tak na wszelki wypadek, gdyby do końca postradał zmysły i posłuchał jej wezwania.

Czekając na świt, a później odliczając czas do chwili, gdy mógł już pojechać do Dereka, z nadzieją, że ten odmówi mu urlopu, siedział nieruchomo w byle jakim pokoju, na podwójnym łóżku, wpatrzony w pustą ciemność, i zastanawiał się, czy telefon od Caroline nie był przypadkiem snem.

Ponieważ wcześniej nie śnił o niej od... hmm... Od co najmniej trzech, czterech nocy.

Nie znał Merritt, nie miał nawet pewności, czy w ogóle słyszał o tym miejscu. Wyjechał z Houston na północ międzystanową autostradą, skręcił na czteropasmówkę, zbaczając lekko na wschód, przejechał nią ponad sto kilometrów i zjechał na dwupasmową drogę przecinającą sosnowy las i biegnącą prosto jak strzała.

Okolica była piękna, gęsto porośnięta lasami, które ludziom zwykle nie kojarzyły się z Teksasem. Ta nazwa najczęściej przywoływała na myśl obrazy nagich równin, gnanych wiatrem kulistych krzewinek oraz malujących się na tle rozległego, ogromnego nieba szybów naftowych. Naturalnie, to słuszne skojarzenia – we wschodniej części stanu znajdowało się mnóstwo pól naftowych i gazowych, lecz gęste lasy skrzętnie je ukrywały. W tej części Teksasu niebo wydawało się mniejsze i bliższe ziemi.

Trzydzieści parę kilometrów przed Merritt dostrzegł pierwsze billboardy reklamujące sklepy z przynętą, warsztaty wypychania zwierząt, myśliwskie domki do wynajęcia, a także campingi. Dwa kilometry przed

miastem zauważył różowo – białą reklamę kawiarni „U Mabel” i jego żołądek wykonał ostre salto.

Spotkamy się „U Mabel”, po lewej stronie szosy, zaraz za granicą miasta, o 14. 30. Taką wiadomość przysłała mu Caroline w odpowiedzi na jego SMS – a, że jest już w drodze.

Zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej i zorientował się, że spokojnie zdąży. Miał nawet nadzieję, że uda mu się przyjechać trochę wcześniej, by mógł być na miejscu przed nią i zobaczyć ją wchodzącą.

Trzydzieści lat mogło wyrządzić poważne szkody. Dodge zastanawiał się, jak uroda Caroline wytrzymała próbę czasu. Możliwe, że osiwiała, niewykluczone, że utyla, że jej twarz poznały zmarszczki. Jeżeli tak, to on wypadnie przy niej całkiem nie najgorzej.

Najbardziej obawiał się, iż od razu odczyta z jego twarzy i zachowania, jaki styl życia prowadził przez ostatnie trzy dekady. Że dostrzeże zmarszczki i bruzdy pozostawione przez wady, grzechy i całkowity brak szacunku dla własnego zdrowia.

Cóż, teraz już za późno, żeby się tym martwić. Co było, to było! Czekał na nią tutaj, i tyle.

Kawiarnię zdobiły koronkowe firanki w oknach i duże, drewniane, białe skrzynki z różowym geranium po obu stronach wejścia. Dodge przyłapał się na tym, że próbuje zgadnąć, który z trzech zaparkowanych przed lokalem samochodów należy do Caroline.

Cieszył się, że wyczyścił sobie buty na lotnisku. Może wypadło też znaleźć fryzjera, ostrzyć się i ogolić jak trzeba, ale wtedy na pewno nie zdążyłby na 14. 30.

Chętnie zapaliłby jeszcze jednego papierosa. Porządne sztachnięcie mogłoby pomóc mu przetrwać następnych kilka sekund. Ale...

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Mały dzwoneczek nad wejściem odezwał się dyskretnie, lecz jak dla Dodge'a donośnie niczym Big Ben. Kawiarnia składała się z jednej sali. Trzy małe stoliki były zajęte. Jeden przez Caroline.

Kiedy ją ujrzął, jego niewierne serce zadygotało i na moment przestało bić. Boże, jaka była piękna. Absolutnie, oszałamiająco piękna, tak samo jak wtedy, gdy widział ją ostatni raz.

Ponieważ okazał się jedyną osobą z jądrami, która znajdowała się w tej kawiarni, idąc ku niej, czuł się jak obficie owłosiony mamut na środku balowej sali. Gdy podszedł do stolika, podniosła się z krzesła i wyciągnęła do niego prawą rękę.

W ten sposób od razu otrzymał odpowiedź na jedno z gnębiących go pytań – żadnych uścisków, żadnych czułości po tak długim czasie.

– Dziękuję, że przyjechałeś, Dodge.

Chociaż przez komórkę nie od razu rozpoznał jej głos, pewnie dlatego, że nie spodziewał się takiego telefonu, teraz zorientował się, że upływ lat wcale nie zmienił jego brzmienia. Lekko drżał, to prawda, ale być może Caroline również była zdenerwowana ich spotkaniem.

– Bałam się, że nie zechcesz przyjechać – dodała.

– Z początku nie chciałem.

Uścisnęła jego rękę, natychmiast ją wypuściła i usiadła. Dodge przysunął krzesło i zajął miejsce naprzeciwko niej. Potem długo przypatrywali się sobie bez słowa.

Włosy miała jaśniejsze, niż pamiętał. Może rozjaśniała je, żeby zamaskować siwe pasma, ale jemu ten odcień bardzo się podobał. Nadal był to ten głęboki kolor cynamonu, którego nigdy wcześniej ani później u nikogo nie widział.

I oczy koloru sherry. Kiedyś, gdy wpadł w poetycki nastrój (poetycki jak na niego, rzecz jasna!) i zaczął opisywać to, jak ją widzi, Caroline parsknęła śmiechem. *Cynamon i sherry? Chyba przeczytałeś to w jakiejś książce kucharskiej! Może i tak*, odparł. *Może i tak, bo wyglądasz tak smakowicie, że mógłbym cię zjeść.*

Był gotów się założyć, że dałby radę zamknąć jej talię w obu dłoniach. Wystarczyłby silniejszy podmuch wiatru, by uniosła się w górę jak piórko. Gdy przyjrzał się dokładniej, dostrzegł kilka niewielkich zmarszczek w kącikach oczu i lekkie rozluźnienie skóry wzdłuż linii szczęki, lecz jej cera pozostała nieskazitelna. Kiedy na nią patrzył, całe ciało bolało go z wielkiego pragnienia.

Wyczuł, że ta długa chwila była równie trudna dla niej, jak i dla niego. Dla niego, ponieważ nie mógł nasycić się jej widokiem, dla niej, bo w jego twarzy widziała niszczące skutki życia, jakie prowadził od ich ostatniego spotkania.

Odchrząknęła.

– Jak upłynęła ci podróż?

– W porządku.

– Na drodze był duży ruch?

– Raczej nie.

– Czy moje wskazówki okazały się jasne i dokładne?

– Dotarłem tutaj – próbował się uśmiechnąć, ale wargi miał dziwnie sztywne.

– Witamy w kawiarni „U Mabel”! Co państwu podać?

Dodge nawet nie zauważył, że kelnerka podeszła do ich stolika. Bezradnie spojrział na Caroline.

– Filizankę darjeeling – zamówiła z uśmiechem.

Nie miał zielonego pojęcia, co to takiego. Zmuszając usta do ruchu, zapytał, czy mają zwyczajną colę, a gdy kelnerka przytaknęła, poprosił o jedną.

– Coś do jedzenia? Nasze rogaliki z morelą są warte grzechu.

– Ja dziękuję – odparła Caroline.

– Ja też.

Kelnerka odeszła. Dodge ani wtedy, ani później nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała, czy była młoda, stara, wysoka, niska, szczupła, pulchna, czy zrobiła rozczarowaną minę, kiedy odmówili spróbowania rogalików z morelą, czy nic ją to nie obeszło, ponieważ zależało jej tylko na tym, żeby skończyć zmianę i jak najszybciej wrócić do domu. Nie widział nic, co działo się wokół niego.

Caroline musiała wyczuć jego zagubienie.

– Wybrałam tę kawiarnię, bo nigdy wcześniej tu nie byłam – odezwała się. – Znam wielu ludzi w mieście, wszyscy się tu znamy, dlatego pomyślałam, że najpierw musimy umówić się gdzieś, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Miał ochotę zapytać, dlaczego nie mogli pójść do niej do domu, ale już znał odpowiedź. Caroline wołała spotkać się z nim w miejscu publicznym, bo to zdecydowanie nie sprzyja scenom.

– Bardzo tu miło – rozejrzał się dookoła. – Tylko wszędzie... Wszędzie pełno falbanek...

Uśmiechnęła się, co pomogło mu trochę się rozluźnić.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć – powiedziała. – Nic nie wiem o twoim życiu w Atlancie.

– A co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego tam?

– Bo właśnie tam zabrakło mi benzyny. I doszedłem do wniosku, że to równie dobre miejsce jak każde inne.

– Wstąpiłeś do policji?

– Zgłosiłem się do biura szeryfa. Właśnie kogoś szukali, więc zacząłem pracę w dochodzeniówce. Dobra robota za przyzwoite wynagrodzenie. Spędziłem tam dwadzieścia pięć lat. Niestety, miasto rozrosło się, głównie pod względem liczby urzędów i regulaminów. Męczyły mnie te wszystkie zasady i prawne obowiązki. W tym okresie rozwiązałem pewną sprawę i musiałem złożyć zeznanie w sądzie. Wtedy poznałem Dereka Mitchella, adwokata. Przesłuchiwał mnie i chociaż byliśmy po przeciwnych stronach, obaj zrobiliśmy na sobie dobre wrażenie. Niedługo potem Derek zapytał, czy byłbym zainteresowany pracą w jego firmie, jako detektyw.

– Mniej zasad i regulaminów?

Dodge wzruszył ramionami.

– Jak dotąd wszystko jest w porządku.

– Bardzo to miło, że pan Mitchell udzielił ci urlopu praktycznie bez uprzedzenia.

– Dobry z niego szef.

Caroline z ogromną uwagą wygładziła serwetkę na kolanach, ani na moment nie odrywając od niej wzroku.

– Założyłeś rodzinę?

– Nie.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

Dodge prychnął cicho, jego zdaniem wymownie. Wydawało mu się, że Caroline ma ochotę zapytać go o szczegóły, ale dała sobie spokój. Bardzo rozsądnie.

– Do wczoraj nie wiedziałeś, że owdowiałam, prawda? – zagadnęła.

– Nie.

– Nadal zajmuję się handlem nieruchomościami. Wiedziałeś o tym?

– Tak przypuszczałem.

– Sądziłam, że może... No, biorąc pod uwagę, że jesteś detektywem, myślałam, że może...

– Że przez wszystkie te lata miałem cię na oku?

– Tak, jeśli mam być szczerą.

– Przez jakiś czas rzeczywiście tak było, jeśli mam być szczerą, ale później... Później zrezygnowałem.

– Straciłeś zainteresowanie?

– Straciłem nadzieję.

Boże, zachowywał się jak żaloszny dupek. Co ona sobie o nim pomyśli?

– Pewnie nie wolno tu palić, co? – warknął.

Caroline odchyliła głowę do tyłu.

– Palisz?

Ton jej głosu od razu go rozbawił.

– Nie tyle palę, ile się zaciągam. Palenie zajmuje za dużo czasu, a mnie zależy tylko na tym, żeby nikotyna jak najszybciej trafiła do mojej krwi.

– Kiedy zacząłeś?

– Trzydzieści lat temu.

Drgnęła lekko i długo wpatrywała się w niego bez słowa.

– Powinieneś rzucić – powiedziała w końcu.

– Po co?

Patrzyli na siebie, dopóki kelnerka nie przyniosła herbaty oraz coli w jednej z tych staroświeckich butelek, z wysoką szklanką z lodem na

spodeczku przykrytą białą papierową serwetą. Czyżby w Merritt w stanie Teksas nie mieli coli w zwyczajnych puszkach? Dodge starał się niczego nie dotykać, pewny, że zaraz stłucze butelkę albo szklanę.

Caroline podziękowała kelnerce, wsypała trochę cukru do filiżanki i sięgnęła po mały biały imbryczek w różowe kwiatki.

– Herbata nie zdążyła się jeszcze zaparzyć – zauważyła z niezadowolaniem.

Dosyć tych bzdur – pomyślał Dodge.

– Powiesz mi, o co chodzi, czy nie?

Oparła łyżeczkę o spodek. Metal zadźwięczał cicho, jakby nagle zadrżała jej ręka.

– Wczoraj wieczorem w moim domu postrzelono pewnego człowieka – zaczęła. – Jest poważnie ranny. Berry tam była.

Dodge oparł łokieć o brzeg stolika i zasłonił usta dłonią. Przez następny kwadrans Caroline opowiadała, tylko od czasu do czasu przerywając na moment, żeby podkreślić jakieś spostrzeżenie albo uporządkować myśli. Słuchał uważnie, ani razu nie przerywając. Bardzo chętnie siedziałby tak, wpatrzony w nią i zasłuchany, do końca świata.

Wreszcie umilkła i wzięła głęboki oddech.

– Koło południa miałyśmy krótką rozmowę z szeryfem, Tomem Drummondem – podjęła. – To miły człowiek, często spotykamy się na gruncie towarzyskim. Sprawuje ten urząd od bardzo dawna, chyba nikt w okolicy nie pamięta już, od ilu lat. Berry omówiła z nim wydarzenia ostatniego wieczoru, wydaje mi się jednak, że to spotkanie było tylko uprzejmym gestem pod moim adresem. Obowiązki Toma są raczej ściśle administracyjne, bo stroną dochodzeniową wszystkich spraw zajmuje się jego zastępca, szeryf Nyland.

– Miałyście przy sobie adwokata?

– Tak. I wczoraj wieczorem, i dzisiaj.

– To dobrze.

– W gruncie rzeczy jego obecność nie jest konieczna, Berry o nic nie podejrzewają. Powtórzyła tylko wcześniejsze zeznanie złożone wobec Nylanda.

– Wierzą jej?

Jego pytanie mocno ją zaskoczyło.

– Dlaczego mieliby nie wierzyć?

– Wierzą czy nie?

– Wydaje mi się, że tak.

Dodge powstrzymał się od komentarza.

– Więc jak sprawa wygląda w tej chwili? – zapytał.

– Policja poszukuje Orena Starksa, żeby go przesłuchać, ale zastępca szeryfa Nyland postarał się już o nakaz aresztowania. Kiedy skończyli zabezpieczanie śladów w moim domu, natychmiast wynajęłam firmę do posprzątania całego bałaganu. Sprzątanie jeszcze trwa. Zależało mi, żeby Berry weszła tam dopiero wtedy, gdy wszystko będzie wyglądało zupełnie normalnie, więc po spotkaniu w sądzie pojechałyśmy na lunch do miejscowego klubu, a potem podwiozłam ją do szpitala, bo chciała dowiedzieć się o stan zdrowia swojego przyjaciela. Sama przyjechałam tutaj.

Caroline przełknęła pierwszy łyk herbaty, która z pewnością już wystygła. Dodge patrzył na jej smukłe dłonie, trzymające delikatną filiżankę i spodeczek. Jej palce były prawie tak przejrzyste jak porcelana.

– W tej chwili to wszystko.

Odczekał parę sekund.

– Czy ona wie, że tu jestem? – spytał.

Caroline przecząco potrząsnęła głową.

– A że do mnie dzwoniłaś?

Ta sama odpowiedź.

W powietrzu wisiało wiele pytań, których na razie nie należało zadawać.

– Ten zastępca szeryfa, Nyland... Potrafi znaleźć po ciemku własny tyłek?

Uśmiechnęła się.

– Widzę, że wciąż masz bardzo barwne słownictwo!

– Podaj mnie za to do sądu – odpalił.

Roześmiała się. Jej śmiech brzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka. Nagle znowu spoważniała, zastanawiając się nad odpowiedzią. Kiedy starała się skoncentrować, marszczyła czoło. Zmarszczki trochę się pogłębiły.

– Tom ma o nim bardzo dobre zdanie i ufa mu.

– Jasne, Nyland jest jego zastępcą!

– Na mnie zrobił wrażenie całkowicie kompetentnego.

– Jaki jest?

– Chodzi ci o charakter? Poważny. Czujny, uważny. Małomówny, czasami odrobinę szorstki.

– Znam wielu sztywnych, kurczowo trzymających się regulaminu gliniarzy, którzy nigdy w życiu nie rozwiązali żadnej sprawy ani nie schwytali zbiega – mruknął Dodge. – Wracając do mojego pytania...

– Nie umiem określić stopnia jego kompetencji, Dodge! – zniecierpliwiła się. – Między innymi dlatego poprosiłam cię o pomoc!

Chciał wiedzieć, dlaczego jeszcze, ale zostawił to sobie na później.

Jeżeli będzie jakieś „później”, rzecz jasna, bo na razie cała ta sprawa wyglądała dość niewinnie, prawdę mówiąc... Postrzał, utrata krwi, i tyle. Raczej nie przypominało to tragicznego wydarzenia, które sobie wyobraził poprzedniej nocy, pakując walizkę.

– A ten wariat, Starks? – zagadnął. – Co o nim wiesz?

– Tylko to, co powiedziała mi Berry.

– Będę potrzebował znacznie więcej informacji. Muszę wiedzieć wszystko, czego ci nie powiedziała albo czego sama nie wie.

– Domyśliłam się tego. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że ten facet nękał ją od paru miesięcy. Była na granicy wytrzymałości, kiedy przekonałam ją do wyjazdu na lato z Houston. Przystała na moją propozycję, ale z oporami.

– Co masz na myśli?

– Berry jest bardzo ambitna. W domu nad jeziorem pracuje tak samo ciężko jak zawsze, ale to jednak co innego niż biuro. Wiem, bo sama tego doświadczyłam. Z pracą poza biurem wiążą się nieuniknione problemy. Berry nie zwierzała mi się, jakie napotyka trudności, widzę jednak, że się denerwuje i...

– Jesteście blisko ze sobą?

– Bardzo blisko – odparła Caroline. – Bardzo.

Serce ścisnęło mu się z bólu na myśl, jak ogromnie ważna musiała być dla nich ta wzajemna bliskość. Nie ulegało wątpliwości, że nie mogłyby bez siebie żyć. Cóż, on sam nie zrobił dosłownie nic, aby odegrać jakąkolwiek rolę w ich życiu. Nie stało się to bez powodu, ale jednak...

Poczucie winy jest jak pasożyt, który potrafi zeżreć człowieka żywcem, oczywiście jeżeli mu się na to pozwoli. Dodge pośpiesznie odsunął od siebie wyrzuty sumienia i skoncentrował się na tym, co Caroline mówiła mu o córce, której nie znał.

– Oren Starks zmienił jej życie w piekło, bo inaczej za żadne skarby nie przeniosłaby się do Merritt, nawet na krótko. Nadal siedziałyby w Houston, w Delray, i harowałyby od świtu do nocy. Berry uwielbia swoją pracę, żyje nią. Kiedy w zeszłym roku ktoś inny awansował na stanowisko, na które liczyła, była kompletnie załamana, ale szybko się pozbierała i wykorzystwała to rozczarowanie jako siłę napędową do jeszcze większego wysiłku. Nie mam cienia wątpliwości, że następnym razem dostanie upragniony awans. – Przez twarz Caroline przemknął cień niepokoju. – Gdyby nie uznała, że nie ma innego wyjścia, nigdy nie zgodziłaby się na to wygnanie. Jej decyzja najlepiej tłumaczy, jak bardzo bała się tego człowieka. Nazwałeś Orena Starksa wariatem, ale ja sądzę, że on jest śmiertelnie niebezpieczny. Berry ma podobne obawy, zresztą to, co zrobił wczoraj, całkowicie potwierdza nasze odczucia.

– No, dobrze. Pomówmy jeszcze o wczorajszym wieczorze. – Dodge zepchnął w głąb podświadomości lęk przed przedmiotami ze szkła i porcelany, i pociągnął łyk coli prosto z butelki. – Co z tym Benem Loflandem?

– Wyjdzie z tego.

– Nie o to mi chodziło!

Caroline zaczęła bawić się łyżeczką, wyraźnie unikając jego spojrzenia.

– On i Berry są przyjaciółmi.

– Facet jest żonaty!

– Szczęśliwie żonaty, zdaniem Berry.

Jego przedłużające się milczenie skłoniło ją wreszcie do podniesienia oczu.

– Wierzę jej, Dodge! Nigdy mnie nie okłamywała. Skoro mówi, że

łączy ją z nim tylko platoniczna przyjaźń, to znaczy, że tak właśnie jest!

Pociągnął drugi łyk coli, wciąż patrząc jej prosto w twarz.

– Doskonale! Gość przyłapany w samych bokserkach wraca do zdrowia po postrzale i żyje długo i szczęśliwie ze swoją niesamowicie wyrozumiałą żoną. Niezwykle kompetentny i doświadczony szeryf Tom, twój sympatyczny znajomy, do spółki z trochę sztywnym, ale godnym najwyższego zaufania zastępcą łapią złego bandytę i umieszczają go za kratkami. Berry wraca do biura w Houston, życie toczy się dalej, wszyscy są zadowoleni. – Nachylił się nad blatem stolika. – Po co mnie tu wezwałaś, co? Powiedz mi coś więcej, bo inaczej od razu wracam do Atlanty!

– Zagrożenie dla zdrowia i życia Berry to za mało?

– Próbuję wydobyć z ciebie, o co tu chodzi – szepnął ze złością. – Groźby ze strony nie zrównoważonego faceta nie mogą być traktowane poważnie, chyba że znamy motywację jego postępowania. Dlatego albo zaraz wykrztusisz to, czego mi jeszcze nie powiedziałaś, albo się stąd zabieram.

Oczy Caroline zabłyśły.

– Nadal uwielbiasz straszyć ludzi, prawda?

– Tak. I nadal pragnę pieprzyć się z tobą tak samo jak wtedy, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem!

Rozdział 4

Houston, Teksas, 1978

DODGE POSTAWIŁ NA KONTUARZE DWA STYROPIANOWE kubki z kawą.

Kasjerka uśmiechnęła się do niego.

– Może dorzuciłabyś mi te pączki gratis, co ty na to?

Wskazał gablotę z przezroczystego plastiku, która rano zawsze pełna była świeżych i pysznych wypieków. O tej porze zostały w niej tylko dwa pączki – jeden z lukrem, drugi z polewą czekoladową.

– Nie, nie ma mowy!

– I tak ich już nie sprzedasz. Wyszły na wiór, widzisz te kratery w czekoladzie?

– Kiedy ostatnim razem dorzuciłam ci coś gratis – to eskimoskie ciastko, pamiętasz? – szef zrobił mi niezłą awanturę.

– Daj spokój, Doris! – nie poddawał się Dodge. – Nie ma go tutaj. – Mrugnął. – A ja na pewno na ciebie nie doniosę.

– To Arab, przecież wiesz – ściszyła głos. – Uzna to za kradzież i jeszcze utnie mi rękę albo coś w tym rodzaju.

– Bardzo cię proszę! Bardzo słodziutko...

– Och, ty draniu! – Doris zerknęła w stronę kamery. – Przynajmniej udawaj, że mi za nie płacisz.

– Jesteś wspaniała!

– A ty tylko gadasz. Nie zapomniałam, że obiecałeś zabrać mnie na tańce.

Dodge posłał jej szeroki uśmiech.

– Biorę lekcje.

– Już ci wierzę!

Kątem oka dostrzegł błysk przednich świateł zaparkowanego przed barem patrolowego radiowozu.

– Muszę lecieć! Nie wkładaj pączków do torebki, nie trzeba, połóż je na kubkach, dobrze?

Doris spełniła jego prośbę.

– Trzymam cię za słowo, nie wymigasz się od tej randki! – pogroziła mu palcem, kiedy wycofywał się w kierunku drzwi z kawą i pączkami.

Partner Dodge'a trzymał silnik na chodzie. Teraz wychylił się w bok i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Poszczęściło nam się!

Dodge zsunął pączki na deskę rozdzielczą.

– Ty bierzesz lukier, ja czekoladę – oznajmił.

– Ostatni raz bierzesz czekoladę!

– Podaj mnie do sądu. – Dodge umieścił kubek w otworze i zapiał pas. – To ja okradam Araba i na dodatek któregoś dnia będę musiał wywiązać się z obietnicy, którą dałem Doris, tak? Co mamy? – Nałożył plastikową przykrywkę na kubek, żeby jego partner mógł pić podczas jazdy.

– Przemoc domową.

– Cholera! – Dodge, podobnie jak większość policjantów, nie znośił zajmować się tego rodzaju przypadkami, ponieważ prześladowcy często na nich skupiali swoją wściekłość.

Wielu funkcjonariuszy ginęło właśnie w takich okolicznościach.

Dodge wbił zęby w czerstwy pączek.

– Kto wezwał pomoc? – zapytał.

– Domniemana ofiara.

– To dobrze. Znaczy, że jeszcze jej nie zabił!

– Jeszcze nie – ponuro potwierdził Jimmy Gonzales.

Gonzales był jasnowłosym, wysokim blondynem. Kiedy zostali partnerami, Dodge zapytał go, skąd to hiszpańsko brzmiące nazwisko.

– Nie mam pojęcia – Gonzales wzruszył ramionami. – Pewnie z racji jakiegoś hiszpańskiego czy meksykańskiego genu.

– Podała nazwisko? – zagadnął Dodge.

– Nie, rozłączyła się zaraz po podaniu adresu. Kiedy nasza telefonistka oddzwaniała, nikt nie podnosił słuchawki. Ten dom jest wynajmowany.

Gonzales okazał się dobrym kolegą. Zawsze można było na niego liczyć i trochę z nim pożartować, wiedział jednak, kiedy trzeba się zamknąć i skupić na robocie. Tak jak teraz, gdy pokonywali krótką odległość między sklepem z barkiem i zadbanym domem przy cichej uliczce w porządnej dzielnicy.

Wjechali na podjazd i stanęli, nie wyłączając świateł. Powiadomili centralę o przybyciu na miejsce i wysiedli. Zbliżali się do domu ostrożnie i czujnie. Dodge'owi szczególnie nie podobały się okna na parterze i zewnętrzne oświetlenie budynku, zbyt jasne, jak na jego gust, i czyniące z nich doskonały cel.

Bezpiecznie dotarli na ganek, co uznał za dobry omen. Kiedy zatrzymali się przed drzwiami, Gonzales odsunął się na bok, trzymając dłoń na kolbie służbowego pistoletu. Dodge podniósł mosiężną kołatkę i kilka razy głośno zastukał.

– Policja! Mają państwo jakieś problemy?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich dwudziestokilkuletni mężczyzna. Brzeg koszuli wystawał mu ze spodni, ale ubranie wyglądało na drogie. Facet był przystojny i gładko ogolony, chociaż jego czarne włosy

sprawiały wrażenie przeczesanych grabiami. Wyraz twarzy świadczył o potężnym zdenerwowaniu.

Z niesmakiem popatrzył na obu stróżów prawa.

– Nie mogę uwierzyć, że wezwała policję!

– Gdzie ona jest? – warknął Dodge.

– Nic jej nie będzie, zirytowała się tylko i...

– Gdzie ona jest? – powtórzył Dodge z pogrózką w głosie.

Mężczyzna wskazał kciukiem korytarz za swoimi plecami.

– W łazience... Na końcu korytarza, po prawej. Zamknęła się tam.

Możecie wyłączyć to cholerne światło na dachu radiowozu?

Dodge nie zniżył się do odpowiedzi. Przepchnął się obok mężczyzny i szybkim krokiem przeszedł przez salon do ciemnego holu. Usłyszał, jak Gonzales mówi temu sukinsynowi, że migające światła mają być włączone, a następnie pyta, czy trzeba wezwać karetkę.

– Nie, do diabła! – wściekł się facet. – Nic jej nie zrobiłem!

– Może jednak wezwę – mruknął Gonzales.

– Mówię przecież, że nic jej nie jest!

– Jak się pan nazywa?

– Jezus!

– Przeklina pan czy robi sobie żarty?

Dodge nie słyszał dalszego ciągu. Dotarł do końca korytarza i zapukał do drzwi łazienki.

– Proszę pani? Tu policja, sierżant Dodge Hanley! Proszę otworzyć drzwi, dobrze?

Nacisnął klamkę. Bezskutecznie.

– Proszę pani? Nic pani nie jest? Słyszysz mnie pani?

Dobiegł go cichy trzask zamka i drzwi otworzyły się.

Była drobniutka, sięgała mu najwyżej do obojczyka.

Facet, z którym Gonzales zmagął się w salonie, był wzrostu Dodge'a, czyli ponad metr osiemdziesiąt. Dodge nie znał jeszcze okoliczności zdarzenia, ale już miał ochotę tamtego udusić.

Padające spod sufitu światło załśniło na rudawych włosach. Opuściła głowę, do górnej części policzka przyciskając złożoną wilgotną ściereczkę. Kobieta miała na sobie kompletne ubranie, chociaż jej strój był wyraźnie w nieładzie, jakby przed chwilą z kimś się szarpała.

– Potrzebuje pani pomocy medycznej?

Potrząsnęła głową, opuściła kompres i uniosła twarz.

Dodge miał wrażenie, że całe jego ciało wzdęło się i poszybowało w górę, jak jeden z tych ogromnych balonów na paradzie z okazji Święta Dziękczynienia. Chwilę później jej oczy schwytały go w sieć rdzawego spojrzenia, które zaciążyło na nim niczym kotwica, wciąż jednak nie odzyskał jeszcze równowagi.

– Nic mi nie jest.

Jej tęczyki miały odcień sherry, a jeśli stara, szlachetna whisky wydawałaby jakieś dźwięki, brzmiałyby one dokładnie tak jak jej głos.

– Powinnam była zadzwonić jeszcze raz, powiedzieć, że nie trzeba wysyłać radiowozu, ale Roger zabrał mi telefon i bałam się...

– ... wyjść z łazienki – dokończył za nią Dodge.

Znowu spuściła głowę i przyłożyła kompres na policzek.

– Jak się pani nazywa?

– Caroline King.

– To pani mąż?

– Chłopak.

– Czyj to dom?

– Mój. To znaczy, ja go wynajmuję.

– On też tu mieszka?

– Nie.

– Płaci czynsz?

Szybko podniosła głowę i Dodge bez trudu zorientował się, że uraził ją tym pytaniem.

– Nie, sama płacę.

Ta odpowiedź szczerze go ucieszyła. Gestem wskazał na jej policzek.

– Mogę obejrzeć?

Zdjęła kompres. W okolicach zewnętrznego kącika oka skóra była mocno zaczerwieniona i zaczynała puchnąć.

– Zawieziemy panią na pogotowie.

– Nie trzeba, naprawdę.

– W takim razie zrobmy przynajmniej okład z lodu. – Odsunął się, żeby ją przepuścić.

Minęła go i poszła do salonu, gdzie jej prześladowca siedział na kanapie przesłuchiwany przez Gonzalesa. Na jej widok młody mężczyzna zerwał się na równe nogi.

– Widzisz, co narobiłaś, Caroline?! – krzyknął. – Masz satysfakcję, że tak mnie upokorzyłaś?!

– W porządku, panie Campton, proszę się uspokoić!

– Nie mów mi, co mam robić! – Mężczyzna obiema rękami odepchnął Gonzalesa. – Wiecie, kim jestem?!

– Jasne! – zanim Campton zdążył zareagować, Gonzales jednym ruchem odwrócił go tyłem do siebie i przy – dusił do kanapy, twarzą w dół, drugą ręką skuwając mu nadgarstki kajdankami. – Jesteś gościem, który zaraz wyląduje w areszcie!

Skuty Campton wyrzucił z siebie litanię przekleństw pod adresem Gonzalesa.

– Nic jej nie jest? – zagadnął policjant, odwracając się do Dodge'a. –
Trzeba wzywać karetkę?

– Chyba nie. Ucisz go, dobra?

Caroline King pośpiesznie wyszła z pokoju. Dodge znalazł ją w malutkiej kuchni, obiema rękami opartą o brzeg zlewozmywaka.

– Zostanie aresztowany?

– Tak, proszę pani.

– Trafi do więzienia?

– No, tak. – Dodge nie zdołał powstrzymać pełnego satysfakcji uśmiechu.

Odwróciła się twarzą do niego.

– Będą z tego kłopoty – powiedziała. – Jego rodzina ma pieniądze, duże pieniądze! I cały legion adwokatów!

Dodge lekko wzruszył ramionami.

– Ma tu pani gdzieś lód?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył zamrażarkę i wyjął tackę z kostkami lodu. Wytrząsnął je na ścierkę, którą znalazł na blacie, skręcił ją w węzełek i podał zaimprovizowany kompres dziewczynie.

Wzięła go i przyłożyła do policzka.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Wysunął krzesło spod stołu, zaczekał, aż Caroline usiądzie, i dopiero wtedy sam zajął miejsce naprzeciwko niej. Z kieszonki mundurowej koszuli wyłowił mały kołnotatnik i długopis. Zapisał jej imię i nazwisko.

– Jak on się nazywa?

– Roger Campton – odparła cicho po chwili wahania.

Dodge postawił znak zapytania obok danych sprawcy, zastanawiając się, dlaczego to nazwisko wydaje mu się znajome.

– Pochodzi z rodziny Camptonów, tych od firmy Campton Industries – wyjaśniła, najwyraźniej czytając w jego myślach.

Cholera jasna! Duże pieniądze, rzeczywiście. Miała całkowitą rację.

Kuchnia, cały dom i okolica nosiły na sobie piętno klasy średniej. Porządnie utrzymane, ale nie bogate. Na jego twarzy musiał odmalować się wyraz zdziwienia, bo uśmiechnęła się lekko.

– Pewnie zastanawia się pan, jak się poznaliśmy, Roger i ja...

Kiwnął głową.

– Sam mi się przedstawił, na gwiazdkowym przyjęciu w domu jego rodziców.

Dodge uniósł brwi.

– Była tam pani gościem?

– Kelnerką. Pracowałam wtedy dla firmy cateringowej i dostałam to zlecenie w ostatniej chwili, na czarno.

To wyznanie powiedziało Dodge'owi kilka rzeczy. Caroline to samotna pracująca kobieta, której zarobki wymagały dorabiania na czarno. Utrzymywała się z własnej pracy i nie ukrywała tego. Jej delikatna uroda przyciągnęła uwagę bogatego chłopaka, co wcale nie wydawało się dziwne. Dodge'a nie zaskoczyło też i to, że kontynuowała tę znajomość. Spadkobierca Camptonów, ogromna forsa i wszystko, co to oznaczało – dziewczyna miała nadzieję na lepsze życie, to oczywiste.

W tej chwili owocem tej nadziei było podbite oko, na którego widok Dodge skręcał się ze złości. Dlaczego kobieta, która sprawia wrażenie niezależnej i rozsądnej, godzi się na coś takiego?

- Robił to już wcześniej? – zapytał.
- Nigdy.
- Nigdy nie zrobił tego pani czy w ogóle nigdy nikomu?
- Nigdy nie zrobił tego mnie. Nie wiem, czy w ogóle...

Dodge zanotował tę informację, obiecując sobie, że sprawdzi ją w policyjnych aktach.

- Co go tak rozwścieczyło?

Caroline bezradnie uniosła ramiona i Dodge znowu pomyślał, że jest niezwykle drobna i krucha.

– Po prostu trochę się pokłóciliśmy, mieliśmy odmienne zdanie na jakiś temat i nagle on wpadł w furję. Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie. – Nerwowo oblizwała wargi. – Ale ostatnio wciąż żył w napięciu.

- Jakiego rodzaju?

– On i jego ojciec nie zgadzali się w różnych sprawach zawodowych, ciągle dochodziło między nimi do nieporozumień. Roger bierze to sobie bardzo do serca.

- Co takiego pani zrobiła czy powiedziała, że panią uderzył?

– Zauważyłam, że jego ojciec ma większe doświadczenie i że może tym razem Roger powinien uznać jego wątpliwości, coś w tym rodzaju.

- Wzięła pani stronę jego ojca i opowiedziała się przeciwko niemu.

Caroline spuściła głowę i utkwiała wzrok w obrusie.

- Tak to chyba mogło zabrzmieć.

- To żadna wymówka, zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda?

– Tak.

- Zamierza pani z nim zostać?

Uniosła głowę i zmierzyła go zdumionym spojrzeniem.

- Oczywiście!

Dodge przyglądał jej się bez słowa.

Znowu oblizła wargi.

– Jestem pewna, że to się nie powtórzy! Roger po prostu stracił cierpliwość, wybuchnął. Coś takiego może przydarzyć się każdemu, kto żyje w stresie.

Dodge zdecydowanie pokręcił głową.

– Większość ludzi żyje w takim czy innym stresie, a jednak nikogo nie biją. Coś takiego, jak to pani nazywa, zdarza się tylko osobom o bardzo gwałtownym usposobieniu.

Odłożyła chłodny kompres ze ścierki na blat. Kostki lodu rozpuszczały się i tkanina nasiąkła wodą. Caroline wstała.

– Lód pomógł, już mnie nie boli – powiedziała. – Nie chcę pana zatrzymywać, macie przecież inne obowiązki.

Dodge niechętnie włożył notatnik i długopis do kieszeni koszuli i poszedł za kobietą do salonu. Przez okno zobaczyli, jak Gonzales niezbyt łagodnie spycha głowę Camptona w dół, żeby ten nie uderzył się o krawędź dachu samochodu, i zatrząskuje za nim drzwi radiowozu.

– Zostanie oskarżony o przestępstwo? – zapytała.

– O napaść na policjanta – odparł Dodge. – To, czy oskarżenie zostanie utrzymane w mocy, nie zależy jednak ode mnie ani od oficera Gonzalesa. – Przerwał na chwilę. – Pani jest w lepszej sytuacji, może oskarżyć go o napaść. Powinna pani zdecydować się na ten krok.

– Obiecuję, że się zastanowię.

Ponieważ starannie unikała jego wzroku, Dodge uznał, że jest to obietnica bez pokrycia.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechaliście – powiedziała.

– Nie musi mi pani dziękować, to nasz obowiązek.

– Wiem, ale mimo to dziękuję.

Uśmiechnęła się delikatnie drżącymi wargami. Dodge był pewny, że zaraz po jego wyjściu rozplacze się na całego. Z wyraźnym trudem powstrzymywała łzy.

– Dobranoc. – Bezradnie potrząsnęła głową. – Przepraszam, nie pamiętam pana nazwiska.

– Hanley. Dodge Hanley. Dobranoc, panno King. – Ruchem głowy wskazał radiowóz, na którego tylnym siedzeniu pisał się Roger Campton. – Zostanie zwolniony najwcześniej rano. Nie będziemy się spieszyć z papierkową robotą, ale na wszelki wypadek proszę przekręcić klucz w zamku.

– Oczywiście.

W progu zawahał się i długą chwilę patrzył na nią w skupieniu, nie przyszło mu jednak do głowy nic, co mógłby jeszcze dodać. Nie miał już żadnej wymówki, żeby przedłużyć pobyt w jej domu, skinął więc głową i odwrócił się w stronę radiowozu.

* * *

– Pomyślałem sobie, że powinniśmy zgłosić się na ochotnika – powiedział Gonzales.

Dodge, do tej pory nieobecny duchem, utkwiał wzrok w twarzy kolegi. Ich zmiana skończyła się pół godziny wcześniej i teraz siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w barze Denny'ego, gdzie zamówili śniadanie przed powrotem do domu.

– Co?

– Nie słuchałeś, prawda? – Gonzales rozmieszał widelcem cukier w kawie, oblizał go i zabrał się do jaj po ranczersku. – Ciągłe myślisz o tej lasce?

– Jakiej lasce?

Gonzales prychnął lekceważąco.

– Nie udawaj głupiego! O tej małej z rudymi włosami, przecież wiesz!

Dodge ze złością nabił na widelec kawałek ziemniaka i wetknął go sobie do ust.

– Ona nie jest żadną laską!

Gonzales uśmiechnął się szeroko.

– Ależ jesteś wrażliwy na jej punkcie.

– Daj spokój!

Partner Dodge'a spokojnie wzruszył ramionami i wrócił do poprzedniego tematu.

– Mówiłem, że powinniśmy zgłosić się do tej grupy, którą formują, żeby schwytać gościa od napadów na banki. – Wrzucił sobie truskawkę do ust i zaczął ją hałaśliwie przeżuwać. – Co ty na to?

– Czytasz w moich myślach.

– Naprawdę?

Dodge rzeczywiście miał to na uwadze od paru dni, odkąd usłyszał o formowaniu nowej grupy. Przez ponad rok uzbrojony mężczyzna napadał w okolicy na banki, a ostatnim razem postrzelił strażnika, który przebywał jeszcze w szpitalu. Wszyscy się obawiali, że jeżeli bandyta nie zostanie złapany, w końcu kogoś zabije. Z każdym napadem stawał się coraz bardziej bezczelny i jego wyczyny wyraźnie świadczyły o tym, że zła sława sprawia mu przyjemność. Świetnie się bawił i uważał, że może jeszcze wielokrotnie zakpić z prawa.

Dowództwo policji w Houston nawiązało współpracę z kilkoma rządowymi agencjami, między innymi z FBI, dokładając wszelkich starań, aby schwytać przestępcę. Sporządzono listę potencjalnych podejrzanych,

złożoną z kryminalistów oskarżonych wcześniej o podobne przestępstwa, tych, którzy odsiedzieli już wyrok lub zostali zwolnieni warunkowo, nic nie wskazywało jednak, aby to któryś z nich miał związek z napadami. Bandyta mógł być człowiekiem z listy albo sprytnym nowicjuszem, z powodzeniem debiutującym w przestępczym świecie.

Tak czy inaczej przedstawiciele prawa nie wpadli jeszcze na żaden istotny trop i właśnie dlatego postanowiono powołać grupę specjalną.

Dodge wstąpił do policji w Houston zaraz po zrobieniu licencjatu na politechnice. Chciał jak najszybciej zostać detektywem i trafić do wydziału zabójstw. Miał wrodzony talent oraz znakomity instynkt, musiał więc tylko przejść kolejne stopnie i zwrócić na siebie uwagę przełożonych.

Doszedł do wniosku, że praca w grupie specjalnej może okazać się doskonałą szansą. Gdyby w znaczący sposób przyczynił się do schwytania przestępcy, mogłoby to przyspieszyć jego awans.

– Wczoraj po południu wpisałem się na listę – powiedział.

– Naprawdę? – Gonzales spojrział na niego z rozczarowaniem. – Ach, tak.

Dodge uśmiechnął się pod nosem.

– Ciebie też wpisałem!

Gonzales rozpromienił się w jednej chwili.

– Świetnie! Obaj będziemy znacznie lepiej wyglądać bez mundurów.

– Spokojnie, spokojnie. Wielu gliniarzy chce się tam dostać, jeszcze nas nie wybrali!

– Ale wybiorą! Ciebie to już na pewno!

– Dlaczego mnie to już na pewno? – zapytał Dodge.

– Bo do tej roboty szukają idealnych kandydatów na tajniaków. –

Gonzales zabawnie poruszył brwiami. – A to twoja specjalność, partnerze.

Dodge rozkroił niedosmażony stek.

– To plotki!

Gonzales rzucił mu znaczące spojrzenie.

– Akurat!

– Wszystkie te plotki na mój temat? – zaśmiał się Dodge. – To czyste bzdury!

Gonzales odsunął pusty talerz i pochylił się nad stołem.

– A to morderstwo w klubie striptizerskim w zeszłym miesiącu?

– Co z tym morderstwem?

– Niby nic, jasne, ale gdy detektywi przesłuchiwali tak zwanych naocznych świadków, ty poprosiłeś hostessę z klubu na słówko, może nie?

– Byłem już po służbie, po prostu akurat tam się znalazłem. Przypadek, i tyle.

– Przypadek? – prychnął Gonzales. – Akurat! Nie minęło dwadzieścia minut, a dziewczyna wydała faceta, który strzelał! Zaprowadziłeś detektywów do jego kryjówki i po sprawie.

Dodge sięgnął po kubek z kawą.

– Nic takiego nie zrobiłem.

– Zupełnie nic, tylko przekonałeś ją, żeby powiedziała, gdzie się ukrył!

– Nie było to takie znowu trudne. – Dodge uśmiechnął się szeroko. – Wystarczyło ją przekonać, że ten facet jest nie dla niej, bo może trafić na kogoś znacznie lepszego.

Gonzales roześmiał się i z podziwem pokręcił głową.

– To ty powiedziałeś, że rozwiązanie prawie wszystkich tajemnic można znaleźć pod damską spódniczką, tak?

– Nigdy nie powiedziałem niczego takiego.

– Ale kumple cię cytują.

– Takie tam gadanie. – Uśmiech Dodge’a wyraźnie mówił, że Gonzales wcale się nie myli.

Skończyli śniadanie, zapłacili po połowie i wyszli.

– Trochę mi lepiej, kiedy pomyślę, że jest jedna kobieta, której nie możesz mieć – oświadczył Gonzales, gdy rozstawali się pod restauracją. – Ta ruda nie zrezygnuje dla zwyczajnego gliniarza z superbogatego gościa, nawet takiego, który od czasu do czasu da jej w twarz. Będziesz musiał żyć bez niej, Dodge.

Okazało się, że Gonzales miał całkowitą rację. Gdy wieczorem Dodge zgłosił się na służbę, dowiedział się, że Roger Campton jeszcze przed południem został zwolniony z aresztu. Jego adwokaci – w liczbie mnogiej – zagrozili wytoczeniem oskarżenia przeciwko policji, a panna Caroline King zrezygnowała z wystąpienia przeciwko niemu. Prawnicy Camptona twierdzili nawet, że sama uznała, iż niepotrzebnie wezwała policję, że wszystko to nieporozumienie, burza w szklance wody i tak dalej.

Dodge zrozumiał, że cała sprawa na tym się skończy, ale nie podobało mu się to i nie chciał tak tego zostawić. Po zmianie powiedział Gonzalesowi, że nie ma ochoty na śniadanie, i pojechał prosto do domu Caroline King. Zaparkował przy krawężniku w momencie, gdy wyszła zabrać poranną gazetę. Wsiadł z samochodu i ruszył w stronę kobiety.

– Dzień dobry pani – odezwał się.

Caroline osłoniła oczy przed słońcem i zmierzyła go czujnym spojrzeniem.

– Sierżant Hanley! Dzień dobry.

Miała na sobie szorty i T-shirt, była boso. Przy jego butach w rozmiarze czterdzieści pięć jej stopy wyglądały jak stopki dziecka.

– Nie poznałam pana bez munduru!

– Właśnie skończyłem służbę i pomyślałem, że przed powrotem do domu wpadnę zajrzeć, jak pani się czuje.

– Wszystko w porządku.

– Ma pani siniaka!

Opuszkami palców musnęła zewnętrzny kącik oka.

– Nic dziwnego, mam tak delikatną i jasną cerę, że wystarczy na mnie dłużej popatrzeć, i już robi mi się siniak.

– On zrobił coś więcej, dobrze pani wie!

Rzucone ostrym tonem słowa wymknęły mu się, zanim zdążył je powstrzymać. Zdawał sobie sprawę, że robi wrażenie bardziej niebezpiecznego niż mężczyzna, który ją uderzył, nie przeprosił jednak za to, co powiedział.

Caroline wyglądała na zażenowaną, może nawet przestraszoną.

– Nie złożyłam oskarżenia.

– Wiem, sprawdziłem.

– Roger był wstrząśnięty swoim zachowaniem. Wcześniej poważnie pokłócił się z ojcem i wyładował gniew na mnie. Obaj bardzo mnie przepaszali, Roger uroczyście obiecał, że nigdy się to nie powtórzy, i jestem przekonana, że dotrzyma słowa.

Dodge nie miał co do tego pewności, zatrzymał jednak wątpliwości dla siebie.

– Więc wszystko jest w porządku, tak?

– Tak, oczywiście.

Stał przed nią, czując się jak głupi koł, szukając jakichś słów, aby przedłużyć rozmowę. I nic, po prostu nic nie przychodziło mu do głowy.

– Muszę... – Wykonała ruch w kierunku otwartych drzwi domu. –

Spóźnię się do pracy.

– Jasne, przepraszam! Zajrzałem tylko sprawdzić, czy... Czy wszystko w porządku, rozumie pani.

– Doceniam pana profesjonalne podejście, naprawdę! Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Stał przed domem, dopóki nie weszła do środka i nie zamknęła za sobą drzwi.

Dodge i Gonzales zostali osobno wezwani na rozmowy kwalifikacyjne do grupy specjalnej. Dodge'a przyjęto, Gonzalesa nie.

– Hej, Dodge, nie przejmuj się, stary!

– Skoro ich zdaniem mój partner nie nadaje się do tej pieprzonej grupy, to mam ich w dupie!

Język Dodge'a stał się równie szorstki jak jego nastrój od chwili, gdy rano odwiedził Caroline King i z jej własnych ust usłyszał, że sprawy między nią i Rogerem Camptonem układają się jak najlepiej.

Dodge był w tak podłym nastroju, że ludzie zaczęli go unikać. Nawet Doris, kasjerka z nocnej zmiany w sklepie z kafejką „7 – Eleven”, wyczuła, że lepiej dać spokój z żarcikami na temat randki z tańcami, i teraz ich rozmowy przy kasie stały się znacznie krótsze.

Tylko Gonzales wydawał się kompletnie niewrażliwy na przejawy złego humoru partnera.

– Słuchaj, stary, doceniam twoją lojalność, ale nie zmarnuj szansy, do cholery! – rzekł w odpowiedzi na wyrażoną przez Dodge'a opinię o grupie specjalnej. – Zależało ci, żeby tam się dostać, i dostałeś się, więc się

postaraj, żebym mógł być z ciebie dumny, dobra?

Dodge dalej mamrotał coś wrogo i protestował, lecz Gonzales nie chciał słuchać o jego rezygnacji z udziału w pracach grupy.

– Byliśmy partnerami przez bite dwa lata – powiedział. – Ja na pewno otrzymam jeszcze szansę od losu, zobaczysz! Pokaż im, na co cię stać, i skop tyłek temu bandziorowi!

Poklepał Dodge'a po plecach i odwrócił się, żeby odejść, gdy nagle zatrzymał się i strzelił palcami.

– Prawie zapomniałem! Widziałeś niedzielną gazetę? Twoja dziewczyna i bogaty chłopak oficjalnie się zaręczyli!

Rozdział 5

KLIENCI RÓŻOWO – BIAŁEJ CUKIERNI NA PEWNO NIECZĘSTO słyszeli niecenzuralne słowa. Caroline zaniemówiła z wrażenia. Dawniej bywało inaczej, minęło jednak trzydzieści lat od czasu, gdy często przebywała w towarzystwie Dodge'a, i najwyraźniej jej uszy zdążyły się odzwyczaić.

Odezwał się tak celowo, po to, aby do niej trafić. Miał dosyć mętnych opowieści o sprawie, w którą zaangażowana była ich córka, i doskonale wiedział, że czasami terapia wstrząsowa jest jedyną metodą uzyskania informacji od ludzi, którzy woleliby się nimi z nikim nie dzielić.

– Mów, co jest grane, Caroline!

Odchrząknęła.

– Myślę... Cóż, obawiam się, że Oren Starks nie rzucał słów na wiatr, kiedy groził, że zabije Berry.

– Nie jest świrem, który po prostu bredzi?

– Wręcz przeciwnie. Berry twierdzi, że to genialny człowiek.

– Geniusze często dostają świra. Wpadają w furie, zazdroszczą konkurencji, mówią od rzeczy, gadają, co im ślina na język przyniesie. Wrzeszczą, że kogoś zabiją, ale niezwykle rzadko realizują te groźby. Gdyby wszyscy, którzy komuś grożą...

– Dobrze, dobrze! – warknęła. – Rozumiem, o co ci chodzi!

Dodge czekał. Caroline milczała. Zerknął przez ramię i zorientował się, że poza nimi w sali nie ma już nikogo. Kelnerka przyniosła im zamówione napoje i zniknęła.

– Pytam ostatni raz, słowo daję – rzekł cicho. – Co przede mną ukrywasz?

– Nic, przysięgam!

– Dobrze. W takim razie powiedz mi, jakie masz podejrzenia!

Zesztywniała.

– To bardzo policyjne określenie.

– Określenie, które wywołało u ciebie reakcję obronną, a to wskazuje, że trafiłem w dziesiątkę!

– Taki z ciebie spryciarz?

Uderzył pięścią w stół, lekko, lecz na tyle mocno, by zagrzechotały naczynia.

– Tak uważasz, bo inaczej nie dzwoniłabyś do mnie w środku nocy, prosząc, żebym rzucił wszystko i targał tu tylek! Szkoda tylko, że rzeczywiście przyleciałem na gwizdek jak ostatni idiota! Szczerze tego żałuję!

W jej oczach błysnął gniew. Dodge zawsze umiał ją zdenerwować.

– Berry jest do mnie pod wieloma względami podobna – powiedziała ostro.

– Cudownie! Świat powinien dziękować wam za to na kolanach! W czym tkwi problem?

– Problem polega na tym, że... – Caroline zawahała się. – Że bardziej niż do mnie jest podobna do ciebie.

Wreszcie powiedziała jedyną rzecz, która mogła go tu zatrzymać.

Berry stała oparta o ścianę szpitalnego korytarza i wpatrywała się w przestrzeń, kiedy kątem oka dostrzegła Ski Nylanda.

Rozmawiał z pielęgniarką w rejestracji. Kobieta krótko skinęła głową, wskazując Berry. Ski odwrócił się, pochwycił jej spojrzenie, z roztargnieniem podziękował pielęgniarce i ruszył w stronę panny Malone.

Zawsze, gdy na nią patrzył, czuła się dziwnie obnażona i narażona na krytykę. Czego wypatrywały te jego czujne szare oczy? Czego szukały?

– Jakieś postępy w dochodzeniu? – zaatakowała pierwsza, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że znowu przyparł ją do muru.

– Na przykład?

– Widziano gdzieś Orena?

– Nie, proszę pani, a w każdym razie nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie otrzymałem żadnych takich informacji.

Nuta lekkiej ironii, która zabrzmiała w jego głosie, bynajmniej nie uszła jej uwagi.

– Dlaczego pan to robi?

– Co takiego?

– Dlaczego traktuje mnie pan w tak protekcyjny sposób? Z taką wyższością?

Nie zaprzeczył. Już miał jej odpowiedzieć, gdy nagle zmienił zdanie i wskazał zamknięte drzwi pokoju.

– Prosiłem, aby zawiadomili mnie, kiedy tylko Lofland zostanie przeniesiony z bloku pooperacyjnego do normalnego pokoju – powiedział.

– Przywieźli go dosłownie przed chwilą. – Machnęła ręką w stronę tabliczki na drzwiach. – Nie zdążyli nawet włożyć tu jego karty!

– Rozmawiała z nim pani?

– Jeszcze nie. Pielęgniarka pomaga mu się ułożyć.

– Gdzie jego żona?

– Ma na imię Amanda. Ona też tam jest.

– Pogadajmy!

Nie była to propozycja, zaproszenie ani prośba, lecz rozkaz, Berry doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie nie robić z tego wielkiej sprawy. Ski poprowadził ją korytarzem do małej poczekalni. Kiedy weszli do środka, obojętnym tonem zauważyła, że najwyraźniej dobrze zna układ budynku.

– Moja mama leżała tu kiedyś całe dwa tygodnie – wyjaśnił. – Drzemałem w tym pokoju, gdy umarła.

Berry przystanęła i odwróciła się do niego.

– Przykro mi – powiedziała całkiem szczerze.

– Dziękuję.

Zajrzała mu w twarz, spodziewając się, że powie coś więcej, ale on milczał. Wskazał jej małą sofę, która wyglądała na potwornie twardą i niewygodną, i nie mijало się to z prawdą. Ale był to największy mebel w całym pokoju i Berry pomyślała, że pewnie właśnie tu wyciągnął się tamtej nocy, aby choć chwilę się przespać.

Natychmiast pochwycił jej spojrzenie.

– Co?

– Nic.

– Chciała pani coś powiedzieć?

– Tylko tyle, że... Że bardzo panu współczuję.

– Współczuje mi pani?

– Tak. Nie wyobrażam sobie życia bez mojej matki. Byliście sobie bliscy?

– Tak. Była cudowna, ale bardzo cierpiała.

Zakasłał, zasłaniając usta pięścią. Zbędny, świadczący o onieśmieleniu gest. Jego oczy na moment straciły twardy połysk, podsuwając Berry podejrzenie, że gdzieś tam w głębi kryje się niepozbaniona uczuć ludzka istota, zdolna do miłości i współczucia. Może Ski Nyland wcale nie był tak bezwzględny, jak udawał.

Przesunął krzesło po wykładzinie i usiadł naprzeciwko Berry, z szeroko rozsuniętymi kolanami, aby nawet przypadkiem jej nie dotknąć. Zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen czy też może raczej dawał

wyraz swojej słabości?

Co za idiotyczna myśl, skarciła się pośpiesznie. Przecież to on trzymał w ręku wszystkie liczące się karty. Dlaczego miałyby celowo unikać jej dotyku, nawet przypadkowego?

– Zanim przesłucham Loflanda, chcę zadać pani kilka pytań na temat Orena Starksa – odezwał się.

Dziwna, niemal intymna chwila minęła i Nyland znowu był stuprocentowym policjantem. I dobrze.

– Pan Carlisle pewnie wolałby uczestniczyć w naszej rozmowie – zauważyła.

– Może pani do niego zatelefonować, ale to chyba zbędne. Zależy mi na informacjach, które mogą rzucić jakieś światło na osobowość Starksa, jego charakter, nawyki, takie tam.

Berry wahała się tylko chwilę.

– Dobrze – powiedziała. – Chętnie odpowiem na pana pytania, oczywiście o ile będę w stanie to zrobić. Jestem pewna, że Ben okaże się tak samo chętny do współpracy.

– Nie ma wyboru, jest głównym świadkiem. Muszę poznać jego wersję wydarzeń.

– Jego wersję? Uważa pan, że kłamię?

Ski nawet nie mrugnął.

– Uważam, że dwie osoby mogą patrzeć na to samo zdarzenie z dwóch zupełnie innych punktów widzenia.

– Bardzo dyplomatycznie powiedziane, szeryfie!

Wzruszył ramionami.

– Lofland może rzucić nowe światło na sprawę, podsunąć mi pomysł, dokąd mógł udać się Starks.

- Niewykluczone, że Starks jest teraz bardzo daleko stąd.
- Niewykluczone, ale jeżeli został ranny, prawdopodobnie nie wyruszył w daleką podróż. Może przyczaił się gdzieś tutaj, w najbliższej okolicy.
- A może ktoś udzielił mu schronienia.
- Na przykład przyjaciele? Albo rodzina? Proszę mnie oświecić, panno Malone! Wie pani, kto mógłby go ukryć?
- Nie, naprawdę...
- My również nie. Policja z Houston pomaga nam pod tym kątem, lecz oni też są bezradni. Starks nigdzie nie pracuje, od momentu zwolnienia z Delray pobiera zasiłek dla bezrobotnych. Najbliższą mu osobą jest jego matka, kobieta w podeszłym wieku. Przebywa w domu opieki dla chorych na alzheimera, już od paru lat, i teraz jej choroba jest już w ostatnim stadium. W gruncie rzeczy... – Ski wykonał krótki gest, wskazujący ponad wszelką wątpliwość, że jej umysłowe władze uległy całkowitemu unicestwieniu. – W gruncie rzeczy jej już nie ma. Sąsiedzi twierdzą, że Starks to samotnik. Nie urządza imprez, nikt nie pamięta, żeby kiedykolwiek odwiedzali go jacyś znajomi. Pytaliśmy ich, czy ma jakieś zainteresowania, na przykład czy chodzi na siłownię, tenisa, golfa albo na jakieś zebrania kościelne, ale nic nie wiedzą. Powtarzają, że trzymał się od wszystkich z daleka i nie nawiązywał żadnych przyjaźni.

Obrzucił Berry leniwym spojrzeniem, takim, którego żadna kobieta nie jest w stanie błędnie odczytać.

- Wygląda na to, że pani stała się jego jedyną pasją – dodał niepokojącym tonem.
- Nieprawda! Mówiłam panu o jego rozmaitych pasjach!
- Słusznie. Łamigłówki, zgadywanki, gry w rozwiązywanie

problemów. Spece, którzy przeszukali jego dom, potwierdzają, że pamięć stacjonarnego komputera wskazuje na zainteresowanie rozrywkami tego rodzaju. Starks regularnie odwiedza internetowe strony z informacjami na ten temat, ale sam nigdy nie zostawia wiadomości. – Jego oczy znowu przesunęły się po jej ciele. – Tak czy inaczej wątpię, by różne labirynty i rebusy mogły się z panią równać.

– Może to kwestia opinii – zauważyła chłodno.

– Może. – Długą chwilę milczał. – Jest poszukiwany w całej południowo – wschodniej części Teksasu i w Luizjanie, sprawdzamy wszystkie hotele, chociaż mocno wątpię, aby wybrał akurat taką kryjówkę, bo w recepcji wymagają zwykle płatności kartą kredytową, a od tygodnia żadna z jego kart nie została użyta. Ostatnią operacją była wypłata dwustu dolarów w oddziale pewnego banku w Houston.

– Na pewno nie zostawiłby tropu, na który tak łatwo można wpaść.

– Dotarło to już do mnie. – Ski powoli pokiwał głową. – Tak czy inaczej sprawdzamy hotele, motele, pensjonaty, pokoje do wynajęcia i tak dalej. – Ściągnął brwi. – Niepokoi mnie przede wszystkim fakt, że mamy tu mnóstwo przestrzeni, mnóstwo miejsc, gdzie można się ukryć.

– Wspominał pan już o tym dziś rano.

– Jeżeli schował się gdzieś w lasach...

– W lasach? – zaśmiała się Berry. – Musiałby być wariatem!

– Pani zdaniem Starks jest wariatem.

– Powiedziałam, że jest niezrównoważony!

– A to nie to samo?

– Nie!

– Na czym polega różnica?

– Na trwałości stanu. Bycie wariatem to stan stały, utrata równowagi

psychicznej czy emocjonalnej to tylko reakcja.

– Kiedy przyłapał panią z Loflandem, całkowicie stracił panowanie nad sobą i zwariował!

– Nie przyłapał mnie z Benem! Zastał mnie pod prysznicem, samą!

– Tak jest. Kiedy przyjechałem, była pani jeszcze mokra. – Kilka chwil nie odrywał od niej wzroku. – W rozmowie z szeryfem Drummondem powiedziała pani, że wcześniej tylko jeden raz widziała go pani w takim stanie. Kiedy dokładnie?

– Na początku lata, tuż przed moją przeprowadzką do Merritt.

– Starks stracił głowę i to była ostatnia kropla, tak?

– Właśnie! Przestraszyłam się.

– Sądzi pani, że Starks pogrąża się w psychozie?

– Nie mam pojęcia, nie jestem psychiatrą. Mogę tylko powiedzieć, że zazwyczaj Oren nie zachowuje się jak szaleniec.

Nyland oparł but na kolanie drugiej nogi i założył ręce na szerokiej piersi.

– Proszę opisać, jaki on jest zazwyczaj, jak pani to ujęła...

– Przede wszystkim nie jest człowiekiem, który dobrze się czuje na łonie natury. Nie potrafię wyobrazić go sobie poza miastem, a tym bardziej w lesie. Może pan wykreślić taką możliwość, naprawdę!

– No, dobrze. W takim razie gdzie pani zdaniem się ukrył?

Berry schyliła się i otwartą dłonią potarła czoło.

– Nie mam pojęcia, szeryfie.

– Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Ski.

Popatrzyła na niego, ale nie zareagowała na propozycję. -

– Oren to pedant. Straszny z niego porządniś.

– Ma obsesję na punkcie porządku?

– Coś w tym rodzaju. – Z roztargnieniem kiwnęła głową. – Dawno temu żartowałam sobie, że jego biurko jest zawsze najporządniej sprzątnięte w całej firmie. Wszystko na swoim miejscu, wszędzie idealny ład. Jego umysł działa w tak samo uporządkowany sposób.

– Na przykład?

– Na przykład podczas dyskusji nad jakimś projektem. Ja przeskakiwałam z jednego punktu na drugi, natomiast Oren nie przechodził od punktu A do B, dopóki punkt A nie został całkowicie omówiony i zaaprobowany. Czasami wracał do jakiejś sprawy dziesiątki razy, potrafił drażnić jakąś kwestię do chwili, gdy uznał, że jest zupełnie usatysfakcjonowany.

– Czyli wraca do czegoś tak długo, aż wreszcie osiągnie wytyczony cel?

– Tak – odparła zachrypniętym głosem. – Dopóki nie będę martwa.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec!

– Dziękuję.

– I naprawdę nie ma pani żadnego pomysłu, dokąd mógł uciec?

– Żadnego.

– W porządku. – Ski opuścił nogę na podłogę i wychylił się do przodu. – Mówiłaś, że Starks zalecał się także do innych pracujących w Delray kobiet, nie tylko do ciebie.

– Tak.

Wyjął z kieszeni na piersi notatnik i długopis i poprosił Berry o wymienienie nazwisk.

– Sally Buckland – zaczęła wyliczać. – Złożyła wymówienie na początku roku i śmiało można powiedzieć, że na tę decyzję w dużym stopniu wpłynęło zachowanie Orena.

– Jest pani tego pewna?

– Oczywiście! Oren był nią bardzo zauroczony. Sally nie wyrażała zainteresowania i za wszelką cenę starała się go unikać, ale on nie ustępował. Kilka razy skarżyła mi się nawet, że Starks nie rozumie odmowy.

– Odmowy dotyczącej czego?

– Wszystkiego! Sytuacja tak się skomplikowała, że zaczęło to mieć wpływ na jakość jej pracy, więc próbowałam się za nią wstawić. Powiedziałam Orenowi, że Sally nie jest nim zainteresowana i że marnuje czas, starając się ją zdobyć.

– Jak zareagował?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Skupił uwagę na mnie.

– Czy kiedyś była pani nim zainteresowana?

– Uczuciowo? Nie, nigdy!

Ski uniósł jedną rozjaśnioną słońcem brew.

– Absolutnie nie! – zaśmiała się. – Kiedy go zobaczysz, zrozumiesz, że to nie jest mężczyzna w moim typie.

– Kto jest w pani typie?

Jego pytanie stłumiło jej rozbawienie, ponieważ pierwszym słowem, jakie nasunęło się Berry w odpowiedzi, było: „ty”. Zaskoczyło ją to, wstrząsnęło nią do głębi, bo gdyby nie to, że prowadził dochodzenie w jej sprawie i wyraźnie jej nie ufał, nawet bardziej niż przedstawiciele prawa zwykle nie ufają świadkom, uznałaby go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Jego imponujący wzrost i postawa, nawet te cholerne szare oczy, wszystko tworzyło naprawdę pociągającą całość.

On jednak sprawiał wrażenie skupionego jedynie na tym, by przyłapać ją na jakimś kłamstwie, co naturalnie budziło jej głęboką niechęć. I pewnie

dzięki temu szybko wzięła się w garść.

– Oren był moim kolegą – powiedziała. – Błyskotliwym, wybitnie utalentowanym. Z czasem stał się jednak odrzuconym zalotnikiem, który zaczął mnie prześladować, a wczoraj wieczorem przysiągł, że mnie zabije. Oświadczył, że musi to zrobić.

Nyland wpatrywał się w nią długą chwilę. Wreszcie włożył notatnik i długopis z powrotem do kieszeni i wstał.

– Może Lofland zdążył się już wygodnie ułożyć – mruknął.

Kiedy Ski wszedł do pokoju, okazało się, że jego pojawienie się nikomu nie sprawiło przyjemności. Ani pielęgniarce, która natychmiast poinformowała go, że pacjent jest jeszcze bardzo osłabiony i nie można z nim długo rozmawiać, ani pani Lofland, która potraktowała go uprzejmie, lecz tylko z konieczności, ani samemu choremu, który przyjął obecność Nylanda z jeszcze mniejszym entuzjazmem.

Ben Lofland, świeżo po opuszczeniu oddziału pooperacyjnego, przyłączony do różnych rurek i stojaków, wyglądał jak zdjęty z krzyża. Kula Orena Starksa przeszła przez niego, wyrządzając stosunkowo niewielkie szkody i omijając organy wewnętrzne. Najgorszą sprawą okazała się poważna utrata krwi. Albo Lofland nie zasłużył jeszcze na śmierć, albo miał diabelne szczęście.

Ski stawiał na tę drugą możliwość.

Stan poszkodowanego był daleki od krytycznego, lecz Nyland od razu pomyślał, że ma przed sobą faceta, który po prostu uwielbia narzekać i uzalać się nad sobą.

Kiedy się przywitali i pielęgniarka wyszła z pokoju, Lofland obrzucił szeryfa pełnym irytacji spojrzeniem.

– Naprawdę nie czuję się na siłach – zaczął jęczącym głosem.

– Będę się streszczał – obiecał Ski.

– Dlaczego musi pan rozmawiać z Benem? Czy ona nie opowiedziała panu, jak to było?

Ski odwrócił się do Amandy Lofland, która położyła wyraźny nacisk na słowo „ona”, wymawiając je w taki sposób, jakby odnosiło się do czegoś wyjątkowo paskudnego.

– Pani Malone przedstawiła nam szczegółowe zeznanie wczoraj wieczorem i dziś rano, ale schwytanie Starksa mogłoby okazać się łatwiejsze, gdyby...

– Jeszcze go nie złapaliście?

Nylandowi bardzo nie podobał się ton Loflanda, który wyraźnie sugerował niekompetencję policji.

– Panna Malone nie widziała samochodu Starksa. Była zajęta ratowaniem pana, gdy wykrwawiał się pan na podłodze jej sypialni.

Ski doskonale zdawał sobie sprawę, że Ben Lofland skrzywił się nie z bólu, lecz na wzmiankę o sypialni Berry Malone. Chory natychmiast rzucił niespokojne spojrzenie żonie, która obejmowała się ramionami w talii, zupełnie jakby lada chwila miała rozpaść się na drobne kawałki.

– Usłyszałem krzyk Berry – odezwał się, tym razem bez najmniejszego ponaglania ze strony szeryfa. – Słyszałem ich głosy. Zerwałem się i...

– Spał pan? – Ski wyjął notatnik i długopis z kieszeni sportowej marynarki.

– Słucham?

– Czy to krzyk pana obudził?

– Nie, nie... Jeszcze nie zasnąłem.

Lofland znowu zerknął na żonę, która podeszła do okna i przez szpary

między deseczkami żaluzji patrzyła na kominki wentylacyjne na dachu.

– Więc jeszcze pan nie spał – powtórzył Ski.

– Nie.

– Ale nie słyszał pan, jak Starks wszedł do domu?

– Nie.

– Ani warkotu silnika samochodu lub łodzi?

– Sądzi pan, że przyplłynął łodzią?

– To możliwe. Sprawdzamy taką wersję.

– Nie słyszałem silnika motorówki.

– Ani żadnych innych odgłosów?

– Nie.

– W porządku.

Lofland milczał, czekając, czy Ski zapyta o coś jeszcze.

– Przebiegłem galeryjką na drugą stronę domu – podjął po chwili. Spojrzał na żonę, jakby chciał się upewnić, czy dotarło do niej, jak duża odległość dzieliła dwie sypialnie. – Kiedy wpadłem do pokoju Berry i rzuciłem się do łazienki, bo właśnie stamtąd dobiegały podniesione głosy,

Oren stał przed wanną, plecami do mnie. Musiał mnie usłyszeć. W ułamku sekundy odwrócił się i strzelił.

– Powiedział coś?

– Nie. – Lofland znowu skrzywił się boleśnie. – Poproszę trochę wody.

Amanda podeszła do łóżka. Nalała nieco wody z karafki do plastikowego kubka, schyliła się i wsunęła zgiętą rurkę między wargi męża. Lofland napił się, podniósł na nią wzrok i lekko dotknął jej dłoni.

– Dziękuję, kochanie.

Rzuciła mu chłodnawy uśmiech, postawiła kubeczek na stoliku przy

łóżku i wróciła do obserwacji wentylatorów za oknem.

– Odwrócił się, zobaczył pana w bokserkach i nacisnął spust – powtórzył Ski.

– Tak. Wyglądał na kompletnie szalonego.

– Jak pan myśli, co doprowadziło go do takiego stanu? Zazdrość spowodowana świadomością, że przebywaliście razem w tym domu?

– Nie znam przyczyn szczególnego stanu umysłu Orena, szeryfie!

Ski doszedł do wniosku, że ton Loflanda naprawdę bardzo mu się nie podoba. Usiłując stłumić instynkt, który zachęcał go do zrzucenia nadętego dupka z łóżka na podłogę, przerzucił kilka kartek notatnika.

– Co zdarzyło się później? – zagadnął.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, straciłem przytomność.

– Panna Malone mówi, że aż do przyjazdu karetki pogotowia był pan przytomny.

– Naprawdę? Jeżeli nawet, to i tak nie mogę sobie niczego przypomnieć. Pewnie byłem w szoku. Nie czułem nawet bólu aż do chwili, gdy dziś rano ocknąłem się w sali pooperacyjnej. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Dopiero pielęgniarka powiedziała mi, że zostałem postrzelony i przeszedłem operację. Wtedy zacząłem sobie coś przypominać, nie pamiętam jednak niczego od momentu postrzału aż do odzyskania przytomności.

– Jak dobrze zna pan Starksa?

– Tylko jako kolegę z pracy.

– Nie widywał go pan po tym, jak został zwolniony?

– Nie.

– Czy wy dwaj spotykaliście się wcześniej poza pracą? Chodziliście może razem na piwo, czy coś w tym rodzaju?

Lofland zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nigdy nie spotykałem się z nim na gruncie towarzyskim.
- Pani Lofland?

Kiedy Ski wymówił jej nazwisko, Amanda drgnęła nerwowo i szybko się odwróciła.

- Jakie wrażenie wywarł na pani Oren Starks?
- W ogóle nie wywarł na mnie wrażenia.
- Nie poznała go pani?
- Poznałam go, tak. Ben przedstawił nas sobie na jakiejś firmowej imprezie.

- I widziała go pani tylko raz, właśnie wtedy?
- Raz czy dwa... Nie pamiętam.
- Nic nie rzuciło się pani w oczy?
- To tylko firmowa impreza, szeryfie, żadna ważna okazja. Gdybym wiedziała, że pewnego dnia Starks spróbuje zabić mojego męża, zwróciłabym na niego większą uwagę.

Zdaniem Nylanda Ben Lofland i jego żona byli wprost stworzeni dla siebie. Oboje wydawali mu się równie mało sympatyczni. Odwrócił się do poszkodowanego.

- Czy pan i Starks nie mieliście zatargów w pracy?
- Wiele osób nie znosiło Orena, ale między nami nigdy nie było żadnych nieporozumień.
- A panna Malone?
- Uważa pan, że nękanie kogoś można nazwać nieporozumieniem?

Pełen wyższości ton Loflanda znowu mocno zirytował zastępcę szeryfa. Ski miał teraz ochotę szarpnąć rurkę cewnika odprowadzającą mocz z pęcherza chorego, zadowolili się jednak zimnym jak lód spojrzeniem,

którym obrzucił nieuprzejmego rozmówcę.

Lofland zrozumiał, że daleko w ten sposób nie zajędzie.

– Berry powiedziała mi, że Oren ją prześladował – dodał, już zupełnie neutralnym głosem.

– Kiedy?

– Kiedy mi powiedziała? Gdy oznajmiła, że postanowiła spędzić lato tutaj, w Merritt. Byłem zaskoczony, rzecz jasna.

– Dlaczego?

– Berry to pracoholiczka. Rzadko brała urlop, codziennie pierwsza zjawiała się w pracy i ostatnia wychodziła. Wyznała mi jednak, że Oren uporczywie ją nęka i dlatego chciałyby zniknąć na miesiąc lub dwa. Miała nadzieję, że Starks przestanie się nią interesować. Pracowała w domu nad jeziorem.

– Czy taka formuła się sprawdziła?

– Nie tak dobrze jak praca w biurze, to chyba oczywiste. Stanowimy zespół, planowaliśmy szczegóły kampanii dla ważnego klienta.

Lofland znowu rzucił spojrzenie w kierunku żony.

– Praca na odległość stu pięćdziesięciu kilometrów to na pewno nie to samo – zauważył Ski.

– Właśnie. Stwarzało to różne problemy. Tutaj, na wsi, łącza internetowe nie działają tak sprawnie jak w mieście, zwłaszcza w okolicach jeziora, ale jakoś sobie radziliśmy. Byłem gotowy pokonać wszelkie niedogodności, jeżeli miało to pomóc Berry zgubić Orena.

– Hmm... – Ski udawał, że głęboko zastanawia się nad tym stwierdzeniem. – Wczoraj przywiózł jej pan rozmaite materiały.

Barki Amandy Lofland uniosły się i opadły, poruszone głębokim westchnieniem. Jej mąż jęknął, szukając wygodniejszej pozycji.

– Jak długo jeszcze zamierza mnie pan przesłuchiwać, szeryfie?
– Już kończymy. Więc wczoraj przywiózł jej pan materiały z pracy.
– Musieliśmy ostatecznie dopracować proponowany projekt przed przedstawieniem go klientowi w przyszłym tygodniu. Niektórych materiałów nie dało się przerzucić w pliku PDF, więc Berry zapytała, czy nie mógłbym ich jej przywieźć. Chciała zobaczyć je w całości, okiem klienta, i przejrzeć parę ostatnio dodanych elementów. Właśnie dlatego moja wyprawa do Merritt okazała się absolutnie konieczna.

– Kto wiedział o pana przyjeździe?
– No, Amanda...
– A poza nią? Ludzie z Delray?
– Musiałem powiadomić współpracowników, że wyjeżdżam na cały dzień, więc powiedziałem paru osobom, tak.

– Trzem, czterem?
– Sekretarce, która odbiera telefony w naszym dziale – zaczął wyliczać Lofland, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Mojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi oraz jego zastępcy. Mogę podać panu nazwiska.

– Czy poza nimi nikt nie wiedział o pańskiej podróży?
– Nie, chyba że któreś z nich powiedziało jeszcze komuś.
– Mogli wspomnieć Orenowi Starksowi, że zamierza pan spędzić dzień w towarzystwie Berry?

– Wątpię, żeby pozostawali w kontakcie z Orenem, ale jeśli chce pan mieć całkowitą pewność, będzie pan musiał ich zapytać.

Przez twarz Nylanda przemknął uśmiech.

– Już to zrobiłem. O której przyjechał pan tu wczoraj rano? – kontynuował, nie czekając na reakcję rozmówcy.

– Koło dziesiątej trzydzieści. Od razu zabraliśmy się do roboty i

przepracowaliśmy cały dzień.

Ski przerzucił kilka kartek w notatniku.

– Korzystaliście z basenu? – zapytał spokojnie.

Lofland posłał krótkie spojrzenie w kierunku żony, która wciąż stała przy oknie, odwrócona plecami do pokoju.

– Kiedy skończyliśmy, każde z nas przepłynęło parę długości basenu, ot tak, żeby trochę się ochłodzić i zrelaksować.

– Przywiózł pan ze sobą slipy do pływania?

Pytanie zastępcy szeryfa wyraźnie zaskoczyło Loflanda.

– Nie, nie. Miałem w samochodzie szorty, w których ćwiczę na siłowni.

– Dobrze, że były pod ręką!

Lofland milczał.

– Te szorty są pewnie gdzieś w domu? – zagadnął Ski.

– Powiesiłem je na drążku na ręczniki w łazience, tej przy pokoju gościnnym.

– Rozumiem.

Ski chwilę kiwał głową, jakby zastanawiał się nad wagą tego stwierdzenia, chociaż sam znalazł szorty w łazience obok gościnnego pokoju zgodnie z oświadczeniem rannego. Zależało mu na tym, by rozdrażnić albo przestraszyć Loflanda w obecności jego żony i zobaczyć, co z tego wyniknie. Znowu zajrzał do notatnika, chociaż wcale nie musiał tego robić.

– Na kolację przygotowaliście sobie steki.

– Nie zrobiliśmy przerwy na lunch, nie byliśmy głodni.

– Zrobiło się późno i postanowił pan zostać na noc.

– Oczywiście wcześniej uzgodniłem to z Amandą – pośpiesznie wyjaśnił Lofland. – Gdy zjedliśmy kolację i pomogłem Berry posprzątać,

było już ciemno od dobrej godziny, a teraz zmrok zapada koło dwudziestej pierwszej czy nawet później. Wtedy zatelefonowałem do domu.

– Trzy po jedenastej – odezwała się Amanda, nie zmieniając pozycji.

Lofland lekko zbladł.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że zrobiło się aż tak późno. W każdym razie żona powiedziała, żebym nie wracał do Houston po ciemku.

Ski kiwnął głową.

– Dobra rada!

– Właśnie. Do domu dotarłbym dopiero koło pierwszej.

– I oczywiście był pan po alkoholu.

Amanda odwróciła się gwałtownie i popatrzyła na męża. Lofland przeniósł na Nylanda niespokojne i zdecydowanie pozbawione sympatii spojrzenie.

– Berry i ja wypiliśmy trochę czerwonego wina do steków.

– I piwo!

Ben przygryzł dolną wargę.

– Wypiłem ze dwa piwa, czekając, aż grill się rozgrzeje.

– A panna Malone?

– Wypiła ze mną jedno.

– Ach, tak... – Ski zerknął na sztywno wyprostowane plecy Amandy Lofland i wrócił wzrokiem do jej męża. – Zjedliście kolację w salonie?

– Nie, w aneksie kuchennym.

Nyland długo wpatrywał się w twarz mężczyzny, dając mu jasno do zrozumienia, że widział dwa kieliszki do wina w salonie, na stoliku do kawy przed kanapą, która wyglądała na bardzo, bardzo wygodną. Doszedł do wniosku, że Lofland powinien sam wytłumaczyć żonie znaczenie ostatniego pytania.

Zamknął notatnik i wsunął długopis z powrotem do kieszeni.

– Na razie to chyba wszystko.

– To dobrze – rzekł Lofland. – Czuję się okropnie i chętnie zasnę.

Ski zostawił ich samych, obiecując, że nie zakłóci spokoju chorego, chyba że okaże się to absolutnie konieczne, i że będzie regularnie informował oboje o przebiegu poszukiwań Orena Starksa. W drzwiach minął pielęgniarkę z zestawem do pobierania krwi. Przytrzymał jej drzwi i wyszedł na korytarz, gdzie Berry Malone wciąż stała pod przeciwległą ścianą jak żołnierz na warcie.

– Trzeba dać im parę chwil na pobranie krwi – powiedział.

Skinęła głową.

– Jak on się czuje?

– Lepiej, niż gdyby był martwy, co łatwo mogło się zdarzyć.

Zdenerwowała się.

– Znowu pan to robi!

– Słucham?

– Rzuca pan te swoje drobne uwagi, w większości zjadliwie sarkastyczne, chociaż wystarczyłoby proste zdanie!

Ski wsunął dłonie do tylnych kieszeni dżinsów, lecz natychmiast uświadomił sobie, że taka pozycja podkreśla pas z bronią na jego biodrach, i opuścił ramiona.

– Pani przyjaciel niewątpliwie cierpi, ale chirurg, z którym rozmawiałem przez telefon w drodze do szpitala, twierdzi, że rana jest czysta i nic mu nie będzie. Zostanie blizna, rzecz jasna, którą pan Lofland będzie mógł chwalić się w szatni siłowni.

Z pokoju wyszła pielęgniarka, niosąc kilka próbek z pobraną krwią, lecz Berry wciąż wahała się, co zrobić.

– W jakim jest nastroju? – zagadnęła. – Na pewno mnie nienawidzi.
– Dlaczego miałby panią nienawidzić?
– Bo ściągnęłam go tutaj chyba tylko po to, żeby ten wariat go postrzelił! Biedna Amanda.

– Lofland mówi, że do niej dzwonił.
– Dzwonił!
– I że pozwoliła mu zostać u pani na noc.
– Było już bardzo późno.
– O tym raczej wiedziała. – Ski spojrzał na nią spod oka. – Nie wiedziała natomiast o winie do kolacji i wcześniejszych koktajlach.

Berry podniosła rękę, jakby chciała się bronić.

– Zamierza pan robić wielką sprawę z tego, że wypiliśmy dwa czy trzy drinki?

– Nie. Zastanawiałem się tylko...
– Nad czym?
– Jaki gatunek czerwonego wina pasuje do pracy?
– Wino piliśmy dopiero do kolacji – oświadczyła z wymuszoną cierpliwością. – A do steków najlepsze jest cabernet.

– Kiedy włożyła pani szlafrok?

Patrzyła na niego kilka sekund, potem potrząsnęła głową, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Słucham?

Ski postąpił krok w jej stronę.

– Gdy zjawiłem się na miejscu przestępstwa, miała pani na sobie tylko lekki szlafroczek.

Szlafroczek z miękkiego, przejrzystego materiału, który kleił się do jej wilgotnego ciała i prawie rozpląnął pod jego palcami. Pamięć sama

podsunęła mu ten wyraźny, żywy obraz, a on wcale nie był z tego zadowolony.

– W którym momencie włożyła pani ten szlafrok? – powtórzył z irracjonalną złością. – Kiedy zdjęła pani mokry kostium? Czy w czasie kolacji z Loflandem nie miała pani na sobie nic więcej?

Pochylił się nad nią, zupełnie niepotrzebnie. Dlaczego? Żeby ją przestraszyć, żeby wydusić z niej prawdziwą odpowiedź? Czy też z innego powodu, niemającego żadnego związku z dochodzeniem?

Amanda Lofland wybrała właśnie tę chwilę, aby opuścić pokój męża. Niechęć, jaką poczuła na widok Berry, była prawie namacalna.

Ski cofnął się szybko.

– Witaj, Amando! – odezwała się Berry.

Nyland pomyślał, że przepraszający, pełen współczucia ton jej głosu brzmiał zupełnie szczerze.

– Jak czuje się Ben?

– Śpi.

Ta krótka odpowiedź doskonale wyrażała emanujący z żony Loflanda gniew. Ski zauważył, że jej dłonie są zaciśnięte w pięści.

– Jest mi potwornie przykro z powodu tego, co go spotkało – powiedziała Berry. – Wolałabym, żeby Oren postrzelił mnie niż...

Amanda parsknęła gorzkim śmiechem.

– Och, bardzo w to wątpię!

– Naprawdę – głos Berry załamał się pod naporem łez. – Nigdy bym nie pomyślała, że Oren jest zdolny do czegoś takiego.

Amanda wydawała się w ogóle nie słuchać. Jej oczy zwięzły się z wściekłości.

– Musiałaś to zademonstrować, prawda?

– Co zademonstrować?
– Że wystarczy, abyś strzeliła palcami, i Ben natychmiast przyleci!
– O czym ty mówisz?!
– Nie mogłaś znieść myśli, że jest ze mną szczęśliwy, więc zwabiłaś go tutaj, żeby...

– Amando, co...
– Trudno mi było pogodzić się ze świadomością, że spędzi z tobą cały dzień, ale udawałam, że wcale mi to nie przeszkadza! Ostatecznie chodziło o pracę i...

– Naprawdę chodziło o pracę! Na przygotowanie tej kampanii mieliśmy czas do poniedziałku, jesteśmy związani terminową umową!

– No, właśnie! Musiałabym być ostatnią jędzą, żeby powiedzieć: Nie, nie możesz jechać! Okazałabym się złą żoną, gdybym nie ufała mężowi!

– Możesz mu ufać! Ben cię uwielbia! Dzwonił do ciebie kilka razy, słyszałam!

– Tak, jasne! Dzwonił co jakiś czas, żeby mnie zapewnić, jak ciężko pracujecie!

– Bo pracowaliśmy!

– W przerwach między zabawami w basenie i pochłanianiem butelek wina!

Berry jęknęła.

– To nie tak! Proszę cię, nie zachowuj się w ten sposób!

Wyciągnęła do Amandy ręce, ale pani Lofland rzuciła się do tyłu, jakby próbowała uniknąć kontaktu z jadowitym wężem.

– Nie dotykaj mnie! – syknęła. – I trzymaj się z daleka od mojego męża!

Wyminęła Berry i zastępcę szeryfa i pognęła przed siebie, zderzając

się ze stojącą parę metrów dalej parą, która niewątpliwie wszystko słyszała.

Ski zauważył ich dopiero teraz. Caroline King wpatrywała się w córkę z przerażeniem. Nyland większe problemy miał z interpretacją wyrazu twarzy towarzyszącego jej twardziela, którego głęboko osadzone oczy także utkwione były w Berry.

TTLR

Rozdział 6

DOBRCZE SIĘ STAŁO, ŻE DODGE NIE MUSIAŁ SIĘ OD RAZU ODE-
zwać, ponieważ i tak nie byłby w stanie wykrztusić z siebie ani słowa,
nawet gdyby zależało od tego jego życie.

Doskonale znał świat i czuł się nim zmęczony. Nie było rzeczy, które
robiłyby na nim wrażenie. Przywykł, że ludzie traktują się z wyrafinowanym
okrucieństwem, i przestał się tym przejmować. Och, oczywiście wzruszały
go fotografie głodujących dzieci w Afryce albo ciał poszarpanych na strzępy
w imię jakiegoś guru, reagował jednak raczej wściekłością niż smutkiem. Na
smutek nie ma miejsca w sercu twardego cynika i to samo dotyczyło
wszystkich delikatniejszych uczuć.

Sądził, że przygotował się wewnątrz na spotkanie z córką.
Ostatecznie w ogóle jej nie znał, prawda? Nie wyglądało to tak, że kiedyś
był z nią blisko związany, a później musieli się rozstać. Nie miał z nią
wspólnych zdjęć. Nie miał nawet żadnych związanych z nią wspomnień;
jego wspomnienia dotyczyły tylko Caroline.

Z dzieckiem nie łączyło go nic poza więzami krwi. Przypuszczał, że na
jej widok może serce zabije mu mocniej, a dłonie zwilgotnieją ze
zdenerwowania, lecz nic więcej, a i to szybko minie.

Dlatego kompletnie zaskoczyła go silna reakcja fizyczna, której
doznał, gdy wyszedł zza rogu szpitalnego korytarza i usłyszał głos
towarzyszącej mu Caroline: „To ona! ”.

Widok bardzo szczupłej, kasztanowowłosej młodej kobiety podziałał
na niego tak, jakby wszystkie komórki jego ciała w ułamku sekundy stanęły
na baczność i oświadczyły, że ją znają. Serce prawie przestało mu bić, uszy
wypełnił szum powietrza. Zakreśliło mu się w głowie, pociemniało w oczach

i na moment do tego stopnia stracił kontrolę nad tym, co się z nim działo, że niewiele brakowało, a wyciągnąłby rękę, aby oprzeć się na ramieniu Caroline.

Jeszcze bardziej zdumiewająca niż reakcja fizyczna okazała się reakcja emocjonalna. Miał wrażenie, że coś szarpnęło jego sercem, wbiło mu się w duszę, a wszystko to razem przeżywał boleśnie intensywnie.

Ta piękna dziewczyna o włosach i oczach matki była krwią z jego krwi, ciałem z jego ciała, jego dzieckiem. Fakt jej istnienia oszołomił go już po raz drugi, ale za pierwszym razem był zbyt młody i głupi, za bardzo zakochany w jej matce, aby w pełni docenić cud, jakim jest dziecko.

Obok tamtych reakcji pojawiła się inna, jeszcze bardziej zaskakująca, lecz równie gwałtowna. Dodge nagle stał się Conanem Barbarzyńcą gotowym walczyć o nią i bronić jej za wszelką cenę. Boże, dopomóż tym, którzy próbowaliby położyć rękę na jego córce! Rozerwałby ich gardła zębami bez chwili wahania!

Tak, biorąc pod uwagę wszystkie te nowe i niebezpieczne impulsy, powinien dziękować losowi, że nie musiał nic mówić. Bóg, czy jakaś istota, która kieruje światem, zmiłował się nad nim, pozwolił przetrwać następnym kilka chwil i nie zrobić z siebie idioty.

Wyłącznie dzięki tej łasce Dodge zdołał spokojnie iść dalej u boku Caroline, krokiem względnie normalnym jak na człowieka, którego kolana zmieniły się w galaretę. Był głęboko szczęśliwy, że widzi Berry, lecz Caroline uprzedziła go, iż nawet ona nie potrafi przewidzieć reakcji córki na widok ojca.

Dodge wyobrażał sobie, że Berry może się okazać równie zdenerwowana jak on, gotowa napluć mu w twarz, odmówić uznania go za swojego ojca, dostać ataku hysterii albo zacząć krzyczeć i zemdleć. I zdawał

sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak dziewczyna zareaguje i jak poradzi sobie z tą sytuacją, on będzie musiał jakoś to przeżyć. Nie oczekiwał najlepszego, zasługiwał na najgorsze i przygotował się na wszystko.

W pierwszej chwili nic się nie stało, ponieważ Berry była zajęta czym innym. Dodge i Caroline znajdowali się już dość blisko, aby usłyszeć wymianę zdań między nią i blondynką, której ładna twarz wydawała się zniekształcona gniewem.

– O, tak! Od czasu do czasu dzwonił, żeby mnie zapewnić, jak ciężko pracujecie!

– Bo pracowaliśmy!

– W przerwach między zabawą w basenie i pochłanianiem butelek wina!

Berry jęknęła.

– To nie tak, naprawdę! Proszę cię, nie zachowuj się w taki sposób!

Jej pojednawczy gest został zlekceważony. Blondynka kazała Berry trzymać się z daleka od jej męża, wyminęła wielkiego faceta w kowbojkach, wpadła na Dodge'a i Caroline, wymamrotała przeprosiny i popędziła dalej.

Dodge wsunął rękę pod łokieć Caroline.

– O mało cię nie przewróciła – powiedział. – Wszystko w porządku?

Kobieta kiwnęła głową i szybko podeszła do córki.

– Dobry Boże, co się dzieje, Berry?

– Och, mamo, cała ta sytuacja staje się nie do wytrzymania!

Caroline wzięła dziewczynę na stronę i obie zaczęły rozmawiać przyciszonym tonem. Wypchnięci poza nawias poufnej wymiany zdań między matką i córką, Dodge i kowboj zmierzyli się uważnie wzrokiem.

– Ski Nyland – odezwał się w końcu ten drugi.

Dodge chwycił wyciągniętą ku niemu dużą dłoń i ją uścisnął.

– Zastępca szeryfa, prawda?

– Tak jest.

Nyland miał chłodne jasnoszare oczy i zdecydowany sposób bycia, zgodnie z opisem Caroline.

– Słyszałem o panu – powiedział Dodge.

– Rozumiem. A kim pan jest?

W tej wyjątkowej sytuacji Dodge postanowił przyjąć bezpośrednio pytanie za dobrą monetę.

– Przyjacielem rodziny – odparł.

Spojrzał przez ramię w stronę, w którą przed chwilą poszła blondynka, lecz jej już nie było. Odwrócił się do Nylanda.

– Żona Bena Loflanda? – zagadnął.

Zastępca szeryfa kiwnął głową.

– I nieszczęśliwa kobieta – dodał, sięgając po komórkę, która właśnie się rozdzwoniła. – Przepraszam, muszę odebrać.

Berry i Caroline nadal rozmawiały szeptem. Pozostawiony samemu sobie Dodge postanowił rozejrzeć się w poszukiwaniu żony Loflanda, która niewątpliwie rozpaczliwie potrzebowała kogoś, z kim mogłaby zamienić parę słów.

I nagle dotarło do niego, że już siedzi w sprawie po uszy. Zaangażował się. To jego dziecko, jego problem, jego walka.

Pół godziny później zadzwoniła komórka Dodge'a. Spojrzał na ekran – telefonowała Caroline.

– Gdzie się podziewałeś? – Spytała, gdy tylko odebrał połączenie.

– Wyszedłem na zewnątrz, zapalić.

– My też zbieramy się do wyjścia.

– Powiedziałaś Berry?

– Nie.

Przełknął to jakoś, chociaż nie było łatwo.

– Będę w samochodzie – rzucił.

Rozłączyli się. Dodge ruszył w kierunku parkingu ścieżkami wytyczonymi wśród zadbanych trawników na terenie szpitalnego kampusu. Już na miejscu dopalił papierosa, wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce, żeby móc włączyć klimatyzację.

W Atlancie często zdarzały się parne, duszne dni, ale tutaj powietrze przypominało wilgotny koc. Gęste i ciężkie, oblepiało mu włosy, ubranie, skórę. Wilgoć utrudniała oddychanie; jej jedynej nie było mu brak, kiedy przed trzydziestu laty opuścił przybrzeżne równiny Teksasu. Jej jedynej.

Ponieważ nie spuszczał wzroku z wyjścia, natychmiast spostrzegł dwie kobiety. Berry przerosła Caroline o głowę, lecz jej ramiona i nogi były równie smukłe, a sposób poruszania się pełen tej samej gracji. Gdy dotarły do samochodów, Caroline schyliła się i zbliżyła głowę do otwartego okna po stronie pasażera w wynajętym przez Dodge'a wozie.

– Jedź za mną – poleciła.

Dodge skinął głową i przeniósł spojrzenie na Berry. Młoda kobieta otworzyła drzwi samochodu matki, zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i uważnie przyjrzała się nieznanemu. Po długiej chwili, w czasie której serce Dodge'a galopowało niczym rozpędzony koń, poprawiła szklę i wsiadła.

Minęło parę minut, nim jego tętno trochę się uspokoiło. Wciąż się zastanawiał, w jaki sposób Caroline przedstawiła go córce. Jak wyjaśniła jego nagłe pojawienie się w ich życiu?

Cóż, niedługo wszystkiego się dowie.

Droga ze szpitalnego parkingu do domu nad jeziorem zajęła im

siedemnaście minut, z czego trzy przestali na światłach na Bowie Street, głównej arterii przecinającej Merritt.

Zaraz za szkolnym stadionem piłkarskim na obrzeżach miasta Caroline skręciła w Lake Road, nazwaną tak nie bez przyczyny, ponieważ kończyła się w niewielkiej odległości od jeziora. Od drogi oddzielał je teren, na którym stał sklep z artykułami wędkarskimi, pomost dla wędkarzy i ogólnie dostępne molo ze słupkami do kotwiczenia łodzi. Na lewo i prawo rozbiegały się wąskie drogi, z obu stron otoczone lasami, głównie sosnowymi.

Caroline skręciła w lewo. Droga tworzyła zakręty i zakola wytyczone przez linię brzegową jeziora. Nieliczne domy, które mijali, wyglądały na własność bardzo bogatych ludzi, sądząc po starannie zaprojektowanych trawnikach, kwietnikach i ogrodzeniach posesji. Niektóre, podobnie jak parę przylegających do jeziora działek, wystawione były na sprzedaż.

„Agencja Handlu Nieruchomościami Caroline King” – głosiły tablice. Imię i nazwisko wypisano białymi literami na ciemnozielonym tle, nad „K” widniała mała złota korona.

Dom Caroline stał ponad sto metrów od drogi, na polanie wykrojonej z lasu. Bliżej brzegu jeziora sosny i dęby ustępowały miejsca cyprysom, nieruchoma woda odbijała słońce jak lustro. W akwen wcinał się krótki pomost, jednak nigdzie nie było widać żadnej łodzi.

Dom okazał się zaskakująco skromny, w niczym nie przypominał imponujących rezydencji, które Dodge widział wcześniej. Ściany z desek pomalowano na gołębi kolor, a odcień ten podkreślały białe żaluzje i kolumnienki na ganku. Przed budynkiem i za nim znajdowały się niewielkie placyki porośnięte jasnozieloną trawą, która na obrzeżach pięknie wtapiała się w leśne poszycie. Zadbane kwietniki tworzyły barwne plamy,

intensywnie odcinające się od sosnowego igliwia.

Dodge zaparkował obok wozu Caroline, wyłączył silnik i wysiadł. I tym razem także poczuł, że kolana uginają się pod nim, jakby nie było w nich stawów.

– Wejdziemy do środka i wtedy dokonamy prezentacji! – pogodnie zawołała Caroline. – Zejdźmy ze słońca, bo ja i Berry łatwo dostajemy piegów.

Wiem – miał ochotę powiedzieć Dodge. Dawno temu spędził całą noc na całowaniu jej piegów, każdego z osobna.

Nadal nie wiedział, co Caroline powiedziała o nim córce, dlatego bez słowa podążył za obiema kobietami przez tylne drzwi prosto do kuchni.

– Proszę nie mieć mi za złe, że weszliśmy od tyłu, panie Hanley – odezwała się Caroline, gdy znaleźli się w środku. – Nie przesadzamy tu z formalnościami i rzadko używamy drzwi frontowych. – Była lekko zdyszana, tak samo jak w cukierni „U Mabel”, kiedy witała się z Dodge’em. – Berry, to jest Dodge Hanley.

Berry zdjęła ciemne okulary, położyła je obok torebki na kuchennym stole i wyciągnęła rękę do mężczyzny.

– Miło mi.

Ujął tę dłoń ze świadomością, że dotyka jej pierwszy raz w życiu.

– Mnie również – wymamrotał z trudem.

– Może napijemy się mrożonej herbaty? – zagadnęła Caroline, wciąż tym samym sztucznie wesołym głosem.

Berry nadal uważnie wpatrywała się w Dodge’a.

– Dobry pomysł – odparła z roztargnieniem.

– Chętnie się napiję – oświadczył Dodge.

Caroline zaproponowała, żeby przeszli do salonu i u – siedli, podczas

gdy ona przygotowuje herbatę.

– Tędy – powiedziała Berry, znikając za otwartymi drzwiami.

Dodge rzucił Caroline niespokojne spojrzenie.

– Idź! – szepnęła. – Wszystko w porządku!

Dodge wszedł za młodą kobietą do dużego, jasnego pokoju.

– Mama mówi, że jest pan prywatnym detektywem – Berry od razu przeszła do rzeczy.

Najwyraźniej Caroline postanowiła powiedzieć jej jakąś część prawdy. Cóż, prawda zawsze pomaga, kiedy trzeba kłamać – pomyślał Dodge.

– Tak.

– Nigdy nie miałam do czynienia z prywatnym detektywem.

– Mój zawód ma niewiele wspólnego z obrazem pokazywanym w telewizji.

– Czym różni się od filmowych wersji?

– Przede wszystkim nigdy nie musiałem skakać z wieżowca, aby ujść przestępcy, z bronią w rękę, ani zastanawiać się, jak wymknąć się z ciemnego zaułka, w który mnie zapędzono. Zwykle śledzę dokumenty, nie ludzi.

Uśmiechnęła się lekko, jakby nie była pewna, czy mu wierzyć.

– Pochodzi pan z Atlanty?

– Teraz tam mieszkam. Pracuję dla pewnego adwokata, najlepszego, albo może najgorszego, w zależności od punktu widzenia.

– Jest ostry?

– Najostrzejszy. Słyszałem kiedyś, jak jeden z zastępców prokuratora okręgowego mówił, że Derek codziennie rano posypuje sobie chrupki do mleka tłuczonym szkłem.

Uśmiechnęła się znowu, zaraz jednak ściągnęła brwi. Podeszła do

drzwi i włączyła zainstalowany pod sufitem wiatrak.

– Dziś rano byli tu ludzie z firmy sprzątającej i czuję zapach środków czyszczących – powiedziała. – A pan?

– Ja mam poważnie upośledzony węch, więc nic nie czuję. Za dużo palę.

– Kiedy byłam w liceum, zapaliłam raz papierosa, ale mama od razu mnie przyłapała. W tamtych czasach miałam pewność, że posiada nadzwyczajne moce, oczy z tyłu głowy, paranormalny słuch i tak dalej. Tak czy inaczej oboje z tatą o mało nie dostali wtedy zawału! Na całe dwa tygodnie zabronili mi wychodzić z domu wieczorem, a co najgorsze, zabrali mi komórkę i oddali ją dopiero po miesiącu. Nigdy więcej nie próbowałam palić!

Dodge uśmiechnął się, chociaż serce zakłuło go na dźwięk słowa „tata”.

– Bardzo dobrze – rzekł. – To paskudny nawyk!

Długą chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Potem potrząsnęła głową i wskazała fotel na biegunach.

– Przepraszam, dzisiaj jakoś zupełnie nie potrafię się zachować. Niech pan siada, bardzo proszę!

Sama usadowiła się na kanapie w momencie, gdy do salonu weszła Caroline, niosąc tacę z trzema wysokimi szklankami mrożonej herbaty.

Berry spojrzała na tacę i drgnęła.

– Stały tu kieliszki do wina – mruknęła cicho.

Dodge wziął szklankę, którą podała mu Caroline. Chociaż przyniosła też cukiernicę, nie podsunęła mu jej, ponieważ wiedziała, że kawę sładził dwiema łyżeczkami cukru, ale herbatę wolał gorzką. Dodge zastanawiał się, czy Berry to zauważyła, ona jednak wciąż w zamyśleniu wpatrywała się w

tacę.

– O co chodzi, kochanie? – spytała Caroline, wsypując łyżeczkę cukru do szklanki córki.

Berry wzięła napój, pociągnęła łyk i wreszcie podniosła głowę.

– Nic, nic...

Popatrzyła na Dodge'a, który starał się siedzieć nieruchomo, bo pleciony fotel trzeszczał, czy może raczej jęczał rozpaczliwie.

Berry odstawiła szkło, wytarła dłonie, wilgotne od zimnej rosy zgromadzonej na ściankach naczynia, zerknęła na matkę i znowu przeniosła wzrok na gościa.

– Nie jestem pewna, dlaczego mama pana zatrzymała – powiedziała z wahaniem.

– Mówiłam ci, dlaczego! – odezwała się Caroline. – Pan Hanley został mi polecony, ma bardzo pochlebne rekomendacje.

– Tak, mamo. Dowiedziałas się o panu Hanleyu od znajomego z Houston, dla którego wykonał zlecenie, ale... Ale ja nie wiem, co właściwie może pan zrobić dla mnie. Dla nas...

– Ja też tego nie wiem, jednak biorąc pod uwagę to, co usłyszałem od twojej matki, no i tę scenę, którą widziałem w szpitalu, nie mam najmniejszych wątpliwości, że wpadłaś w poważne kłopoty.

– Panie Hanley... – zaczęła Caroline.

– Słuchaj, przestań zwracać się do mnie *per* pan, dobrze?

Caroline zamrugnęła, uciszona jego ostrym tonem. Dodge natychmiast tego pożałował, ale cała ta zabawa w chowanego mocno go zirytowała, zwłaszcza że... Nie, nie powinien teraz o tym myśleć.

– Przepraszam – powiedziała. – Jeżeli wolisz, żeby mówić ci po imieniu.

– Nalegam, Caroline!

– W porządku, Dodge.

– W takim razie do mnie powinieneś także mówić po imieniu. – Ich córka wydawała się rozbawiona i trochę zdumiona tą wymianą zdań. – O czym mówiłaś, mammo?

– Że Dodge ma wieloletnie doświadczenie w prowadzeniu dochodzeń. Pomyślałam, że dobrze byłoby mieć pod ręką kogoś z takimi umiejętnościami i znajomością spraw kryminalnych.

– W jakim celu? – spytała Berry.

– Na początek po to, aby znaleźć tego dupka, który groził ci śmiercią – chłodno oświadczył Dodge. – Przepraszam za określenie.

Berry ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

– Trzeba go odszukać, zanim zrealizuje swoje groźby – dokończył.

– Czy to nie zadanie policji?

Dodge'owi wyrwało się lekceważące prychnięcie.

– Dzikiego Billa Hickoka? – rzucił.

Berry stłumiła wybuch śmiechu.

– Masz na myśli zastępcę szeryfa?

– Ten Nyland całkiem mi się podoba – oświadczyła Caroline.

Berry spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Wydawało mi się, że wczoraj wieczorem widziałas go pierwszy raz w życiu.

– Tak, ale podoba mi się to, co zobaczyłam.

Ukłucie zazdrości, które poczuł Dodge, było zupełnie nie na miejscu, a jednak... Co takiego podobało się Caroline, gdy patrzyła na wysokiego, trochę nieokrzesanego zastępcę szeryfa? Ogorzała od słońca twarz i jasne włosy? Szerokie bary i płaski jak deska brzuch? Surowa linia ust i dołek w

brodzie?

– Na pewno można na nim polegać – mruknął. – To kompetentny facet, ale ja nie mam wielkiego zaufania do przedstawicieli prawa, Berry. Znajdowałem już zbiegów w sytuacjach, gdy policjanci dopiero zabierali się do organizowania poszukiwań. Nie muszę wypełniać setek formularzy ani czekać na pozwolenie gości o wiele głupszych ode mnie. Nie muszę przestrzegać zasad ani trząść się ze strachu, że zostanę zdegradowany, jeżeli coś pójdzie nie tak.

Berry popatrzyła na matkę, która ujęła jej rękę w obie dłonie i lekko ją ścisnęła.

– Dodge może śledzić sytuację na bieżąco i o wszystkim nas informować – powiedziała Caroline. – Nie chcę, żeby coś nas zaskoczyło, zwłaszcza ponowne pojawienie się Orena Starksa.

– Też wolałabym tego uniknąć! – Berry odrzuciła włosy do tyłu. – Nie musisz mieć licencji wystawionej przez stan, w którym akurat pracujesz?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może tak, to całkiem prawdopodobne.

Roześmiała się.

– Nie przejmujesz się takimi szczegółami?

– A ty?

Berry popatrzyła na Caroline, która chyba nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

– My... – zaczęła niepewnie. – Dodge i ja nie mieliśmy jeszcze czasu omówić wszystkich detali jego... Jego włączenia się w tę sprawę.

– Przedstawiłem się Nylandowi jako przyjaciel rodziny – wtrącił Dodge. – Nie jestem tu oficjalnie.

– Dopóki nie przyjdzie do płacenia rachunku, który wystawisz – sucho odezwała się Berry. – Ile bierzesz za zajęcie się taką sprawą jak ta?

– Nieprzesadnie dużo, nie oskubię cię, obiecuję. I jeśli nie podpiszemy żadnej umowy, zawsze możemy powiedzieć Nylandowi albo komuś innemu, że działałam nieoficjalnie.

Berry nie wyglądała na całkowicie przekonaną.

– To dziwny układ. Z drugiej strony trzeba przyznać, że wszystkie okoliczności tej sprawy są trochę dziwne, w każdym razie naszym zdaniem, mamy i moim. Nikomu nie powinno chyba przeszkadzać, że ktoś będzie dla nas pracował.

– Sądzę, że pomoc Dodge'a okaże się naprawdę nieoceniona – powiedziała Caroline.

– Czy pan Carlisle wie, że go zaangażowałaś?

– Powiadomię go w odpowiednim momencie, kochanie!

Berry uwolniła dłoń z uścisku matki, wstała i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

– W ogóle nie bardzo rozumiem, po co mi adwokat! – oświadczyła. – Nie zrobiłam przecież nic złego!

– To absolutnie konieczne – rzekł Dodge. – Na pytania Nylanda możesz odpowiadać wyłącznie w obecności prawnika.

– Ale ja rozmawiałam z nim w cztery oczy.

Dodge zaklął pod nosem.

– Kiedy? – zapytała Caroline.

– W szpitalu, zanim przyszlście.

– O czym?

– O charakterze Orena, jego cechach, wszystkim, co mogłoby stanowić jakiś trop. Nie powiedziałam nic, co mogłoby mi zaszkodzić!

– Nie rób tego więcej, zrozumiano? – rzucił Dodge. – Mój szef poradziłby ci to samo.

– Oczywiście, przecież właśnie w ten sposób zarabia na życie.

– To prawda, zbija na tym majątek, ale ja mam do niego całkowite zaufanie, podobnie jak mnóstwo innych ludzi.

– Winnych, prawda?

– Także niewinnych – odparł spokojnie. – Jak na przykład kobieta, którą poślubił.

Caroline wyprostowała się.

– Ożenił się z klientką? Wyczuwam interesującą historię!

Dodge spojrział na nią spod oka.

– Tak – mruknął. – To historia kobiety w kłopotach i mężczyzny, który pośpieszył jej z pomocą. Bardzo staroświecka opowieść. Chłopak poznaje dziewczynę i zakochuje się w niej bez pamięci.

– I chłopak traci dziewczynę? – Berry lekko uniosła brwi.

– Nie. Na szczęście dla Dereka i Julie ich historia zakończyła się bardzo dobrze.

Dodge wciąż wpatrywał się w Caroline, i to ona pierwsza odwróciła wzrok. Poprawił się na skrzypiącym fotelu, wskazał stojącą na stoliku do kawy tacę i spojrział na Berry.

– Wcześniej coś ci się przypomniało, wspomniałaś o kieliszkach do wina.

Młoda kobieta podwinęła nogi pod siebie.

– Po kolacji Ben i ja postanowiliśmy wypić resztkę wina, więc przed pójściem na górę usiedliśmy tutaj. Szeryf Nyland musiał zobaczyć kieliszki na stoliku i pochopnie doszedł do zupełnie niewłaściwego wniosku.

– Że pod wpływem alkoholu pozwoliliście sobie na to i owo? –

zagadnął Dodge.

– Coś w tym rodzaju. – Między brwiami Berry pojawiła się cienka pionowa zmarszczka. – Ciekawe, czy grzebał w śmieciach, żeby przeliczyć butelki piwa i wina.

– Tak czy inaczej szczęśliwie się złożyło, że pani Lofland odeszła, kiedy się zjawiliśmy – zauważył Dodge.

Obie kobiety rzuciły mu pytające spojrzenia.

– Rozmawiałem z nią – wyjaśnił.

– Rozmawiałeś z nią?

– Kiedy?

Zadały pytania dokładnie w tym samym momencie.

– Zaraz po tej paskudnej scenie pod pokojem jej męża – odparł. – Wy zajęłyście się rozmową, Nyland musiał odebrać telefon, pomyślałem więc, że poszukam jej i dowiem się, co kobiecie leży na wątrobie. Znalazłem ją w szpitalnej kawiarence, samą, tylko z colą do towarzystwa. Płakała. Podszedłem, powiedziałem, że trudno nie zauważyć, jak bardzo była zdenerwowana, zapytałem, czy mogę jej jakoś pomóc.

Słowo w słowo powtórzył im rozmowę, którą odbył z żoną Bena. To, czego się dowiedział, wiele wyjaśniało i niewątpliwie musiało budzić niepokój.

Kiedy skończył, ani Caroline, ani Berry nie mogły spojrzeć mu w oczy. Cienki łańcuszek zwisający spod wentylatora podzwaniał cicho, rytmicznie obijając się o metalowe łopatki. Dodge oddychał ciężko i powoli, fotel skrzypiał. Wszystkie te dźwięki podkreślały milczenie obu kobiet.

– Czy to prawda, Berry? – zapytał w końcu.

Kiwnęła głową.

Dodge zmarszczył brwi i popatrzył na Caroline, która siedziała ze

wzrokiem utkwionym w spoczywające na kolanach własne dłonie. Po paru chwilach odchrząknął i się podniósł.

– Muszę zapalić!

Był już prawie przy drzwiach, gdy Berry, nie podnosząc głowy, powiedziała:

– Kiedy wrócisz, wytłumaczę ci wszystko.

– Dobry pomysł.

– Nie rozumiem tylko...

– Tak?

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Poznałeś już wcześniej Amandę Lofland?

– Nie widziałem jej nigdy w życiu, aż do chwili, gdy usłyszałem, jak każe ci trzymać się z daleka od jej męża.

– A jednak w ciągu pół godziny otworzyła przed tobą serce, prawda? Jakim cudem tak szybko zdobyłeś jej zaufanie?

– To jego specjalność – cicho odezwała się Caroline.

Rozdział 7

Houston, Teksas, 1978

GRUPA ZADANIOWA OKAZAŁA SIĘ JEDNYM WIELKIM NIEPORO –
zumieniem.

Tak w każdym razie uważał Dodge. Nowa praca nie stawiała mu wyzwań, jakich się spodziewał, i nie okazała się tak ekscytująca, jak to sobie wyobrażał. Cieszył się, że nie musi nosić munduru i pracować na nocnej zmianie, lecz był mocno rozczarowany, że jego obowiązki ograniczają się do obligatoryjnego uczestniczenia w spotkaniach prowadzonych przez zapatrzonych w siebie durniów, którzy w gruncie rzeczy nie mieli do przekazania nic konstruktywnego ani istotnego.

Grupa wyłonionych w drodze wyboru oficerów policji oraz agentów FBI zbierała się codziennie w pomieszczeniu zwanym kwaterą główną, które to dumne określenie było oczywistym eufemizmem. Biuro znajdowało się na parterze nijakiego budynku niedaleko centrum miasta, w zaniedbanej dzielnicy. Jedynym plusem tej lokalizacji pozostawała niska cena wynajmu.

Spotykali się, aby omawiać zeznania świadków dotyczące napadów, oglądać nagrania wideo z kamer w bankach, uzupełniać wiedzę o tropach i poszlakach, no i ustalać strategię dalszego postępowania.

Założenie, jakoby miała to być grupa elitarna, było po prostu śmieszne. Wracali do zeznań i nagrań tak długo, aż wreszcie nauczyli się ich na pamięć, nie mieli żadnych poszlak i, co za tym idzie, nie zdołali opracować żadnej strategii. Tak zwane spotkania na najwyższym szczeblu najczęściej przeradzały się w przerzucanie się opowieściami o domniemanych osiągnięciach członków zespołu.

Wulgarne dowcipy były na porządku dziennym. O samochodach rozmawiano z wielkim entuzjazmem, podobnie jak o wydarzeniach

sportowych, obstawiając wygranych i przegranych. Wszyscy pochłaniali litrami kawę i jedli czipsy oraz inne przekąski tego rodzaju. Wymieniali obraźliwe uwagi na temat swoich ubrań, wozów, ukończonych szkół, żon, matek i psów. Organizowali konkursy w puszczeniu bąków. Bez końca gadali o kobietach, które przelecieli i które chcieliby przelecieć. Pałacy napelniali pokój kłębamii dymu.

Rzecz jasna, nie złapali bandyty, który dokonywał napadów na banki.

Pod koniec drugiego miesiąca nawet wulgarne żarty zdążyły im się przejeść, nie mówiąc o czipsach. Nastroje uległy wyraźnemu pogorszeniu, zwłaszcza jeśli chodzi o wysokich rangą oficerów policji, którzy źle znosili nasilającą się krytykę ze strony zwierzchników i pogardliwe spojrzenia kolegów.

W celu omówienia sytuacji zwołano zebranie wyłącznie dla oficerów policji z Houston.

– Nawet szef ciągle obrywa od burmistrza, który chce, żebyśmy złapali tego gościa jak najszybciej, bo przecież niedługo mamy wybory!

Kapitan policji, prowadzący „obradę”, dawno już przestał widywać swoje stopy, ponieważ skutecznie zasłaniał mu je wydatny brzuch. Dodge słuchał wykładu z rosnącą pogardą. Zastanawiał się, ile lat minęło od chwili, gdy ten tłuścioch wytropił i aresztował jakiegoś przestępcę. Jedno było pewne – nie brakowało mu beczelności, skoro wciąż dogryzał podległym sobie oficerom, podczas gdy sam odznaczył się jedynie opowiadaniem najgłupszych kawałów.

Ponieważ nie mieli nic nowego do przedyskutowania, zajęli się bezsensownymi rozważaniami, który z listy mało prawdopodobnych podejrzanych najlepiej pasuje do profilu sprawcy. Jeden został aresztowany w poprzedni weekend za jazdę po pijanemu.

– Siedzi teraz za pogwałcenie zwolnienia warunkowego, więc jeśli to on, w najbliższym czasie raczej nie napadnie na żaden bank – oświadczył kapitan.

– Nie wydaje mi się, żeby to był facet, którego szukamy – zauważył jeden z policjantów. – Ten aresztowany to narwany kogut, brak mu opanowania, jakiego wymagało zaplanowanie i przeprowadzenie akcji!

– W czasie ostatniego napadu gość wyłączył kamery – powiedział inny.

– Więc?

– Więc to jest coś, co zrobiłby spryciarz, a naszemu facetowi na pewno nie brak inteligencji! Na dodatek uwielbia robić oko do świadków.

– Zza maski, prawda?

– No tak, ale rozumiecie, o co mi chodzi!

Rozgorzała dyskusja. Dodge, który zgadzał się z pierwszym oficerem, nie miał nic do dodania, wyłączył się więc i bezskutecznie próbował powstrzymać ziewanie.

– Hanley! – usłyszał nagle.

Otrząsnął się i wyprostował.

– Słucham, sir!

– Jak daleko posunąłeś się z tą dziewczyną Madisona?

Tommy Ray Madison, jeden z podejrzanych, również przebywał na zwolnieniu warunkowym po odsiadce za napad z bronią w rękę na fast food, miał też na koncie wcześniejszy napad na bank. Ogólnie rzecz biorąc, pod względem wzrostu i budowy ciała dość dobrze pasował do ustalonego opisu sprawcy.

– Niezbyt daleko, sir – odparł Dodge.

– Niezbyt daleko? – zarechotał jego sąsiad. – Wypadłeś z gry,

przyznaj się!

Dodge ze znużeniem kiwnął głową.

– Wypadłem z gry, panie kapitanie.

– Jak to możliwe? Cieszysz się przecież opinią wydziałowego romea!

– Mój urok nie działa. Dama wpadła.

– O cholera! Z kim, z Madisonem?

Dodge uniósł kciuk w górę.

– Jest w czwartym miesiącu. Ona i Tommy Ray są w sobie zakochani. On staje na głowie, żeby się w coś nie wpakować, kocha ją i dziecko, chce się z nią ożenić.

– Mówiłeś, że to bystra dziewczyna.

– Takie odniosłem wrażenie.

– A przecież Madison jest bandytą! – krzyknął kapitan. – Dała się złapać na miłosne wyznania i kwiatki?!

Dodge wzruszył ramionami.

– Tak to już jest z tą miłością! Poza tym ona twierdzi, że Tommy Ray odnalazł w więzieniu Jezusa.

– Jezus był w Huntsville? – zakpił inny oficer.

– Zawsze jest tam, gdzie nikt Go nie szuka! – dorzucił drugi.

Kapitan ruchem ręki powstrzymał ogólny wybuch śmiechu.

– Za kogo ona cię uważa? – zwrócił się do Dodge'a.

– Za nikogo specjalnego, za klienta, który zawsze zamawia fajita combo. Przynosi mi piwo, zanim jeszcze złożę zamówienie, a do niego dwie ćwiartki limonki. Zostawiam jej przyzwoite napiwki i jestem dobrym słuchaczem.

– Dużo rozmawiacie?

– Staram się w żaden sposób nie wzbudzić jej podejrzeń, ale zwykle

siedzę prawie do zamknięcia. Kiedy po kolacji ludzie wychodzą, ona często na dłużej zatrzymuje się przy moim stoliku. Wydaje mi się, że zdobyłem jej zaufanie.

– Jaką historyjkę jej opowiedziałeś?

– Nie mam dokąd iść i nienawidzę spędzać wieczorów w pustym mieszkaniu, gdzie mieszkam sam, ponieważ moja żona została w naszym domu z innym facetem.

– Zaraz zacznę płakać! – jeden z policjantów szerokim gestem otarł nieistniejące łzy.

– Brzmi to jak smutna piosenka country!

Dodge dużo myślał o Tommym Rayu Madisonie i jego dziewczynie. Chociaż nikt w pokoju nie prosił go o wyrażenie szczerzej opinii, postanowił podzielić się nią z zebranymi.

– To miła dziewczyna, za dobra dla Madisona, ale kto jest w stanie trafić za zakochanymi. Nie można też wykluczyć, że Madison rzeczywiście nawrócił się w więzieniu i zmienił. Poza tym jeśli Tommy Ray napadałby teraz na banki, to gdyby ona choć podejrzewała, że złamał warunki zwolnienia, moim zdaniem rzuciłaby go mimo to, że jest w ciąży. Myślę, że wydałaby go dla jego własnego dobra. Robi wrażenie bardzo uczciwej osoby, więc nie wierzę, żeby z nim była, jeśli to on jest naszym facetem.

– Chcesz powiedzieć, że to nie on, tak?

– Nie mam absolutnej pewności, rzecz jasna, ale Tom – my nie zajmuje pierwszego miejsca na mojej liście podejrzanych, panie kapitanie.

Pozostali członkowie grupy, teraz już całkiem poważni, długą chwilę zastanawiali się nad jego słowami. Dodge'owi naprawdę pochlebiło, że przywiązują tak dużą wagę do jego opinii. Kapitan przesunął ręką po pyzatej twarzy.

– Trzymaj tak dalej – powiedział. – Obserwuj, czy coś się nie zmienia w ich wzajemnych stosunkach.

Dodge'owi nie trzeba było tego mówić, lecz skinął głową, jakby chciał podziękować kapitanowi za wspaniałą myśl.

– A co z tą drugą? Z tą laską Albrighta?

Franklin Albright był innym warunkowo zwolnionym z więzienia podejrzanym, ale do tego faktu ograniczało się podobieństwo między nim i Tommym Rayem Madisonem. Albright, paskudny gość, zdaniem Dodge'a z całą pewnością nigdy nawet nie szukał Jezusa, nie mówiąc już o tym, że mógłby Go znaleźć i wstąpić na nową drogę.

– Dziewczyna ma na imię Crystal – odpowiedział na pytanie kapitana, lekko marszcząc brwi. – Ten przypadek jest bardziej skomplikowany.

– Jak to?

– Z powodu trudniejszego dostępu. Albright jest zazdrosny i pilnuje dziewczyny jak sęp. Codziennie rano odwozi ją do pracy, a potem po nią przyjeżdża. Crystal nigdzie bez niego nie wychodzi, nawet po zakupy. Supermarket to doskonałe miejsce, żeby niby przypadkiem potrącić kogoś i zacząć rozmowę, lecz Albright wszędzie jej towarzyszy. Odizolował ją od rodziny i przyjaciół. I na tym polega problem. Nie miałem dotąd szansy, żeby się do niej zbliżyć, a co dopiero zostać znajomym, któremu mogłaby się z czegoś zwierzyć.

Kapitan w zamyśleniu pogłaskał się po podbródku.

– Gdzie ona pracuje?

– I teraz ten gruby dupek zatrudnił mnie tam, gdzie ona pracuje!

Gonzales parsknął śmiechem i zakrztusił się sokiem pomarańczowym.

– Żartujesz! – zapiał, spazmatycznie łapiąc powietrze.

– Skąd, przysięgam, że to prawda! Skrócił spotkanie, wykonał kilka telefonów i dwanaście godzin później zgłosiłem się na pierwszą zmianę jako dozorca w fabryce opon!

– O, gościu...

– Mam wiadro z mopem, froterkę i koszulę z nazwiskiem wyszytym na kieszeni, dasz wiarę? Ale trzeba przyznać, że zyskałem też dostęp do wszystkich pomieszczeń, mogę wszędzie wejść i nikt nie będzie się dziwił! Dobrze chociaż, że nie muszę cały dzień tkwić w jednym miejscu.

Bo przecież mógł stanąć przy taśmie montażowej i składać części śrub do kołpaków, prawda? Zamiast tego wymieniał przepalone świetlówki i opróżniał pojemniki na śmieci. Tak czy inaczej była to marna robota.

– Dozorca, co? – Gonzales z trudem stłumił kolejny wybuch śmiechu.

– Kto wie, może później zdecydujesz się na dobre zmienić zawód!

– Pieprzę to wszystko i ciebie też! – Dodge obficie polał jajka sosem tabasco.

Umówili się na śniadanie po nocnej zmianie Gonzalesa i przed zmianą Dodge'a.

– Spotkałeś już swój cel? – zapytał blondyn.

– Miałem z nią tylko kontakt wzrokowy. Jest urzędniczką w księgowości.

– Jak wygląda?

Dodge uśmiechnął się szeroko.

– Powiedzmy, że nie będzie to nieprzyjemne zadanie.

– Cycuszki?

– Dwa! – Dodge roześmiał się, widząc wyraz twarzy przyjaciela. – No, miseczka C albo i D, a na dodatek niezłe nogi!

Gonzales popatrzył na niego z mieszanką podziwu i zazdrości.

– I jeszcze płacą ci, żebyś się do niej przystawiał! – jęknął.

Dodge się rozejrzył.

– To nie jest moje oficjalne zadanie, rozumiesz. – Zrobił poważną minę. – Dowództwo policji w Houston nigdy nie sugerowałoby oficerowi posłużenia się...

– Oszczędź sobie! – rzucił Gonzales i nachylił się nad blatem stołu. – Obaj wiemy, że właśnie tego od ciebie oczekują! – Wepchnął sobie do ust złożonego w trzy warstwy naleśnika z syropem. – Prowadzisz cudowne życie, przyjacielu!

– Nie zapominaj, że jej chłopakiem jest bandyta. Z tego, co o nim słyszałem, jasno wynika, że nie wahałby się poderżnąć mi gardła za jedno spojrzenie na jej cycuszki, co tam, za samą myśl o takim spojrzeniu!

– Paskuda z niego, co?

– Prawdziwa paskuda. Ma za sobą serię napadów z bronią w rękę, dwa poważne pobicia i jedno wycofane przez powódkę oskarżenie o gwałt. Był podejrzany o zranienie nożem ze skutkiem śmiertelnym pod prysznicem w więzieniu, nie odnaleziono jednak broni, a świadkowie, jeżeli byli, woleli się nie zgłaszać – Dodge ponuro pokiwał głową. – Straszny facet, bez dwóch zdań!

Gonzales spojrzał na niego z zaniepokojeniem.

– Wyciągnij informacje od jego dziewczyny, złap tego od napadów na banki, odbierz medal i nominację na detektywa, ale nie daj się zabić, dobra?

– Postaram się.

Dodge nie mógł zdradzić więcej żadnych szczegółów swojego zadania, nawet zaufanemu dawnemu partnerowi. Gonzales dobrze to rozumiał, więc kiedy Dodge zapytał o jego nowego partnera, chętnie zmienił temat.

– Nieżle się rozumiemy, ale on to nie ty, to chyba jasne – powiedział.

– Tęsknisz za mną? – zakpił Dodge.

– Nie, do diabła! Miałem tylko na myśli, że jest lepszy od ciebie, kapujesz? Tęskni to Doris z „7 – Eleven”! Ze smutku utuczyła się na pączkach i lodowych batonikach!

Skończyli śniadanie i zapłacili rachunek. Kiedy wyszli na parking, Gonzales przystanął i popatrzył w kierunku autostrady, gdzie teraz, w porze szczytu, samochody poruszały się z prędkością kilku kilometrów na godzinę. Później spojrzął w niebo, na sunące znad zatoki chmury. Wyraźnie unikał wzroku Dodge’a, który natychmiast wyczuł, że kumpel zмага się z wahaniem.

– O co chodzi, partnerze?

– Właściwie o nic. – Gonzales zerknął na Dodge’a i znowu uciekł wzrokiem w bok. – Słuchaj, to nie moja sprawa, ale... Pewnie i tak nie ma to żadnego znaczenia.

– Ale?

Gonzales w końcu spojrzął Dodge’owi prosto w oczy.

– Przedwczoraj wieczorem odebraliśmy wezwanie z Shadydale.

Uważnie obserwował Dodge’a, niepewny, czy ta nazwa wywoła jakieś skojarzenie.

Wywołała, rzecz jasna. Minęły już dwa miesiące, odkąd Dodge pośpieszył na pomoc Caroline King, ale wciąż wydawało mu się, że było to poprzedniego dnia. Całe ciało Dodge’a zeszywniało z gniewu i lęku.

– Zrobił jej coś złego?

– Nie. Nic jej się nie stało, naprawdę! Zadzwoiła do nas sąsiadka, która usłyszała krzyki i obraźliwe wyrazy. Zanim dotarliśmy na miejsce, Campton dał już nogę. Porozmawiałem chwilę z panną King. Wyglądała na

bardzo zażenowaną, przestraszyła się, że sąsiadka była aż tak zaniepokojona. Tym razem Campton jej nie uderzył, ale... – Gonzales zawahał się. – Nie wiedziałem, czy ty nadal... No, wiesz... – Szybko wzruszył ramionami. – Powiedziałem ci o tym, bo... Pamiętasz, kiedy byliśmy tam we dwóch... No, wydawało mi się, że poważnie się zainteresowałeś losem tej pani.

Dodge bez słowa zacisnął zęby.

– Nadal są zaręczeni – ciągnął Gonzales. – Wiem, bo ją zapytałem. Trudno zresztą przeoczyć ten brylant na jej ręce.

Dodge skinął głową. Gonzales mlasnął językiem o podniebienie.

– Kurde, niepotrzebnie ci o tym powiedziałem.

– Nie, cieszę się, że to zrobiłeś, Jimmy! Dzięki.

Chwilę obaj milczeli.

– Nie zrobisz chyba nic głupiego, co? – zagadnął Gonzales, teraz zaniepokojony z innego powodu.

Dodge zmusił się do uśmiechu.

– Ja? Co ty! Zamierzam zostać detektywem, zapomniałeś? Nie będę ryzykował, spokojnie!

Pół godziny później był już w pracy. W czasie przerwy na lunch zobaczył Crystal w sali rekreacyjnej i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała uśmiechem, ale zaraz nieśmiało odwróciła głowę i więcej już na niego nie spojrzała.

Kiedy skończył, podbił kartę i pojechał poszukać Rogera Camptona. Znalazł go i sprzął na kwaśne jabłko, dokładając starań, żeby bolało.

Było już ciemno, lecz Dodge zrobiłby to samo i za dnia. Przyłapał go na parkingu ekskluzywnego klubu fitness, do którego ten należał. Campton miał włosy wilgotne po prysznicu i pachniał dobrą wodą kolońską. Dodge

zaszedł go od tyłu, założył mu nelsona i wymierzył mocny cios w prawą nerkę.

Campton upuścił torbę ze strojem do siłowni. Ponieważ Dodge dusił go, z otwartych ust młodego mężczyzny wydobywały się jedynie gardłowe, niezrozumiałe dźwięki. Po kilku następnych uderzeniach ugięły się pod nim kolana, a wtedy Dodge odwrócił go przodem do siebie, uderzył w twarz podstawą dłoni i poczuł, jak nos napadniętego łamie się z trzaskiem, eksplodując fontanną krwi.

Zawłókł Camptona do jego mercedesa i rzucił plecami na przód lśniącej maski. Wepchnął dłoń pod jego podbródek, żeby utrzymać mu głowę w pionie, i kilka razy z siłą pneumatycznego młota uderzył go w brzuch oraz żebra.

Kiedy w końcu puścił go i się odsunął, Campton bezwładnie ześlizgnął się po masce i opadł na chodnik niczym stos brudnych szmat. Dodge wymierzył mu kopniaka w żebra i, z czystej złości, w jądra. Facet wrzasnął i stracił przytomność.

Dodge przyklęknął i złapał go za włosy. Bił Camptona po twarzy tak długo, aż ten wreszcie oprzytomniał.

– Słyszysz mnie?

– Nie zabijaj – zajęczał Campton.

Z powodu strzaskanego nosa wydobywające się z jego ust miaukliwe dźwięki brzmiały prawie komicznie.

– Nie dzisiaj, ale teraz uważnie mnie posłuchaj, pieprzony gówniarzu! Może wydaje ci się, że dzięki pieniądzom ojca wolno ci robić, co zechcesz, zresztą do tej pory rzeczywiście ci się to udawało! Zapamiętaj sobie jedno – jeśli znowu skrzywdzisz Caroline King, jeśli choćby dotkniesz jej palcem, umrzesz, rozumiesz?!

Puścił włosy Camptona, aby ten mógł potwierdzająco kiwnąć głową.

– Nie zapomnisz tego, co ci powiedziałem, Roger?

Campton potrząsnął głową.

– Bo jeżeli zapomnisz, jeżeli podniesiesz na nią rękę jutro, za tydzień albo za dziesięć lat, zabiję cię! Kapujesz?!

Roger Campton znowu stracił przytomność. Kiedy Dodge tym razem go puścił, zostawił na chodniku, głęboko żałując, że nie może bezkarnie skurwysyna zabić.

* * *

Zapadał już zmrok, ale nadal było bardzo duszno. Zachód słońca nie uwolnił Houston od upału. Dodge siedział na betonowej ławce na zewnętrznym dziedzińcu między czterema kwadratowymi szklanymi budynkami, z których każdy miał sześć pięter. Czekał, zdenerwowany jak dziwka w kościele, zastanawiając się, dlaczego poprosiła go o to spotkanie, pełen nadziei, że wyniknie z tego coś dobrego.

Wyszła przez obrotowe drzwi biurowca numer dwa, pięć minut po ustalonym czasie. Tył koszuli zdążył mu się już przykleić do pleców, a po skórze ściekały wąziutkie strumyczki potu. Gdy podeszła, wstał, modląc się, aby dezodorant go nie zawiódł, i żałując, że tylko raz użył miętowego sprayu do ust.

Miała na sobie czarne spodnie i kremowy top. Różowawe cienie zmierzchu nadały jej włosom wygląd płynnej miedzi. Ramiona kobiety były niewiarygodnie smukłe, a sandały na płaskiej podeszwie nie dodawały jej wzrostu.

Od razu zauważył, że ta fizyczna kruchość nie ma nic wspólnego z bojowym krokiem, a kiedy zbliżyła się na tyle, by mógł spojrzeć jej w twarz, wszystkie jego nadzieje w jednej chwili wzięły w łeb.

Każdy rudy włos na głowie Caroline King wibrował gniewem.

– To pana sprawka? – zapytała ostro.

Dodge nie udawał, że nie wie, o co chodzi, nie zamierzał jednak przyznać się do napadu i pobicia. W milczeniu wskazał jej ławkę.

– Nie, dziękuję! – odparła sztywno. – Wolę postać! I żądam informacji, czy to pan tak pobił Rogera! Ze szpitala wyjdzie najwcześniej za tydzień. Mógł umrzeć!

– Słyszałem. Powiedział mi Jimmy Gonzales.

Jimmy dzwonił na pager byłego partnera poprzedniego dnia wieczorem, ale Dodge mógł oddzwonić dopiero tego ranka. Gonzales powiedział mu, że Roger Campton trafił do szpitala z poważnymi obrażeniami, których doznał w rezultacie napadu. Sprawca ataku pozostał niezidentyfikowany.

Później w słuchawce zapadło milczenie. W końcu Dodge zapytał, czy był to napad rabunkowy, a Gonzales odparł, że napastnik nie zabrał Camptonowi portfela z kartami kredytowymi i kilkuset dolarami.

Gonzales, uczciwy glina, nie chciał wiedzieć, czy za napaść odpowiada Dodge, i wolał nie szukać potwierdzenia swoich podejrzeń. Dodge miał świadomość, że jego były partner szczerze boleje nad współudziałem w tej sprawie, współudziałem, który co prawda ograniczał się do powiadomienia przyjaciela o ostatnim wezwaniu policji do domu Caroline King, ale jednak... Coś takiego musiało zżerać człowieka o twardych zasadach etycznych.

Dodge nienawidził samego siebie za to, że postawił Jimmy'ego w takiej sytuacji, lecz i dlatego, że miał absolutną pewność, iż ten nigdy by na niego nie doniósł. No, chyba że chodziłoby o dokonane z zimną krwią morderstwo.

Na koniec Gonzales kompletnie go zaskoczył.

– Ona chce się z tobą zobaczyć.

I podał Dodge'owi adres oraz godzinę spotkania.

Teraz Dodge stał przed Caroline King, która mierzyła go oskarżycielskim spojrzeniem.

– Sierżant Gonzales nie musiał panu mówić o Rogerze, prawda? – rzuciła. – Bo to pan go zaatakował!

– Może usiądziemy? – Dodge znowu wskazał ławkę.

Tym razem Caroline usiadła. On zrobił to samo, ale w pewnej odległości od niej. Widział pierścionek z brylantem na jej palcu, trudny zresztą do przeoczenia, bo kamień był wielkości żarówki. Podejrzewał, że na świecie żyje wiele tysięcy kobiet, które bez słowa protestu pogodziłyby się z okazjonalnym pobiciem w zamian za taki klejnot.

Nie mógł jednak uwierzyć, że dotyczy to również i tej kobiety. Wydawała się zdecydowanie zbyt silna i zbyt inteligentna, aby przystać na coś podobnego. Zastanawiał się, jakie ukryte zalety Rogera Camptona sprawiają, że jest wart tych karatów. Może miał magicznego kutasa? A może to jego fundusz inwestycyjny skusił Caroline King?

Szybko przegnał te myśli.

– Gonzales powiedział, że była pani bardzo zdenerwowana, kiedy do niego zatelefonowała – wyjaśnił.

– A pan by się nie zdenerwował, gdyby ktoś, na kim panu zależy, został tak pobity?

– Tak – odrzekł cicho. – Owszem.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Doskonale wiedział, że rozumiała podtekst jego odpowiedzi. Wreszcie przeniosła wzrok na budynek, z którego wyszła, chociaż Dodge był pewny, że wcale nie widziała

tego, na co patrzyła.

– Pracuje tam pani? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Pracuję w okręgowym urzędzie podatkowym w centrum. Tu przyjeżdżam trzy razy w tygodniu, na zajęcia.

– Jakie zajęcia?

– Dotyczące handlu nieruchomościami, chcę zrobić licencjat. O siódmej mamy przerwę, dlatego poprosiłam sierżanta Gonzalesa, żeby zapytał, czy mógłby pan przyjechać tutaj o tej porze. Obiecał, że spróbuje.

– Dlaczego pani sama do mnie nie zadzwoniła?

– Nie wiedziałam, jak pana złapać. Sierżant Gonzales dał mi swój numer tamtego wieczoru, gdy...

Umilkła.

– Gdy przyjechał w odpowiedzi na kolejne zawiadomienie o awanturze w pani domu – uzupełnił Dodge.

– Nic się nie stało, moja sąsiadka przesadziła! Krzyczeliśmy tylko na siebie, nic więcej!

– Tym razem.

Prawą dłoń oparł na udzie, więc gdy spuściła wzrok, zobaczyła wszystko mówiące obrzmienia i siniaki. Później popatrzyła na jego lewą rękę, wciąż noszącą ślady zadrapań. Zanim Roger Campton osunął się na ziemię, bezskutecznie próbował oderwać ramię Dodge'a od swojej szyi; podrapał wtedy skórę na jego przedramieniu i wierzchu dłoni. Dodge nie starał się ukryć tego dowodu przed Caroline. Chciał, aby wiedziała, jak ostra była ich walka.

– Po co pan to zrobił – upomniała go cicho. – Przecież nawet go pan nie zna. Ani mnie... Jest pan policjantem. – Podniosła głowę i spojrzała mu

w oczy. – Dlaczego pan to zrobił?

Długo milczał, a potem odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Dlaczego z góry pani założyła, że to ja?

– Nie założyłam, ja to wiem. Od chwili, gdy usłyszałam o napadzie na Rogera, nie miałam cienia wątpliwości, że to pan.

– Skąd przyszło to pani do głowy?

Wiedział, że Caroline bez trudu znajdzie odpowiedź na swoje pytanie we własnej odpowiedzi. Odgadła, że to on ponosi winę za napad, ponieważ widziała, jak na nią patrzył. Może i nie miała dobrego gustu, jeśli chodzi o narzeczonych, ale nie była głupia. Ani ślepa. Ani głucha.

Tamtej nocy, gdy sama wezwała policję i siedzieli tylko we dwoje w kuchni, najpewniej wyczuła, że jego troska i niepokój wykraczają daleko poza przeciętne zainteresowanie sprawą. A jeśli jeszcze miała jakieś wątpliwości, musiały one zniknąć bez śladu, kiedy rankiem pojawił się pod jej domem, aby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

Teraz też pewnie zdawała sobie sprawę, że ze wszystkich sił pragnie dotknąć jej włosów, całować wargi, zamknąć drobne ciało w ramionach i przytulić ją tak mocno, by mógł poczuć rytm jej serca. W myślach błagał ją, żeby zrozumiała intensywność jego uczuć, musiał jednak posunąć się za daleko, bo nagle szybko podniosła się z miejsca.

– Przekroczył pan swoje uprawnienia, panie Hanley! Nic panu do mojego życia. Pańska odpowiedzialność za mój los wygasła w momencie, kiedy tamtej nocy wypełnił pan swoje obowiązki jako policjant. Zamierzam wyjść za Rogera.

Dodge także wstał.

– Pożałuje pani tej decyzji.

– Jeżeli jeszcze raz wtrąci się pan w nasze życie, będę zmuszona

złożyć na pana skargę. A co do tej napaści, proszę mi obiecać, że nigdy więcej nie zrobi pan czegoś takiego!

Dodge milczał. Nie miał najmniejszego zamiaru składać jej żadnych przyrzeczeń, które stałyby w oczywistej sprzeczności z obietnicą, którą wcześniej złożył Camptonowi.

– W porządku, ostrzegłam pana!

Rzuciła mu ostatnie gniewne spojrzenie, odwróciła się i ruszyła w stronę budynku. Zrobiła tylko parę kroków, gdy nagle przystanęła i zawróciła.

– Sierżant Gonzales mówił, że został pan przydzielony do specjalnej grupy zadaniowej.

– To prawda.

– Czy to niebezpieczne?

– Nie aż tak niebezpieczne jak sytuacja, w którą sama się pani pakuje!

Miała chyba ochotę zaprotestować, ale rozmyśliła się.

– Proszę na siebie uważać.

Odeszła.

Wrócił do samochodu, sprawdził pager, podjechał do najbliższego automatu i zatelefonował na numer gorącej linii grupy specjalnej.

– Halo? – usłyszał szorstki głos.

– Tu Hanley. Ktoś do mnie dzwonił?

– Gdzie ty byłeś, do diabła?! Kapitan prawie dostał zawału, wysłał ci co najmniej dziesięć wiadomości!

– Zatrąłem się czymś, złapało mnie dziś po południu. Od wyjścia z fabryki bez przerwy siedziałem w kłopotach.

– Niedobrze! Zbieraj się, stary! Tylko szybko, najlepiej, żebyś był

tutaj za parę minut!

– Co jest?

– Nasz facio wkroczył do banku tuż przed zamknięciem, zgarnął koło trzydziestu tysiączków i skasował strażnika!

– Skasował, czyli wziął jako zakładnika?

– Nie. Skasował, czyli zabił.

TTLR

Rozdział 8

PANI BUCKLAND?

– Tak?

Głos w komórce brzmiał tak słabo, że Ski prawie go nie słyszał. Pośpiesznie zatkał drugie ucho wskazującym palcem.

– Sally Buckland?

– Tak. Nazywam się Sally Buckland.

– Mówi Ski Nyland, zastępca szeryfa okręgu Merritt.

Kobieta milczała.

– Wczoraj w nocy mieliśmy tu pewien incydent i tak się składa, że zna pani osoby, których ta sprawa dotyczy – dodał.

– Mówi pan o Orenie i Berry... Słyszałam o tym w wiadomościach...

Ski nie był zaskoczony, że media w Houston wychwyciły informację o strzelaninie. Najprawdopodobniej ostatniej nocy miało miejsce kilkadziesiąt podobnych wypadków, ale zanim Caroline King przeprowadziła się do Merritt, była ważną osobistością na rynku obrotu nieruchomościami w Houston i okolicach. Jej nazwisko przyciągnęło uwagę dziennikarzy i Ski był z tego bardzo zadowolony. Dzięki nagłośnieniu sprawy kilka milionów ludzi będzie rozglądało się za Orenem Starksem.

Uzyskał od Sally Buckland potwierdzenie, że Starks i Berry Malone pracowali z nią w firmie Delray Marketing i że знаła także ofiarę napadu, Bena Loflanda.

– Mówili, że stan Bena jest poważny.

– Trochę przesadzili – uspokoił ją. – Nic mu nie będzie.

Dwóch innych zastępców szeryfa weszło do sali z hamburgerami w papierowych torebkach. Pozostali rzucili się na przyniesione jedzenie jak

kojoty na padlinę. Ski przykrył dłonią komórkę i krzyknął, żeby się zamknęli. Donośne burczenie w brzuchu przypomniało mu, że od rana prawie nic nie jadł.

– Czy mogłaby pani odpowiedzieć na parę pytań? – spytał. – Bardzo by mi to pomogło.

– Nie.

Jej gwałtowna reakcja trochę go zdziwiła.

– Obiecuję, że nie zajmę pani dużo czasu.

– Dlaczego pan do mnie zadzwonił?

– Ponieważ prowadzę dochodzenie, a pani zna trzy osoby zamieszane w tę sprawę. Oren Starks wygłosił kilka poważnych gróźb i wciąż jest na wolności. Wszystko, co może mi pani powiedzieć, na pewno w jakimś stopniu ułatwi dalszy przebieg poszukiwań.

Milczała tak długo, że musiał ją trochę ponaglić.

– Pani Buckland?

– Przykro mi, ale ja nic nie wiem.

Jeden z zastępców podszedł do Nylanda i podsunął mu ociekającego stopionym żółtym serem burgera, lecz Ski zbył go machnięciem ręki, chociaż ślina natychmiast napłynęła mu do ust.

– Pani Malone oświadczyła, że Oren Starks postrzelił pana Loflanda.

Sally Buckland milczała.

– Czy pracując w Delray, zauważyła pani jakieś oznaki wrogości pana Starksa wobec Loflanda?

– Nie.

– Jakież sygnały, że ich stosunki nie są normalne?

– Nie.

– W porządku. W takim razie...

– To naprawdę nie moja sprawa!

Sally Buckland była bardzo zdenerwowana bez wyraźnego powodu. Z doświadczenia Ski wynikało, że ludzie, szczególnie ci, którzy nie mają nic do ukrycia, zazwyczaj z zadowoleniem przyjmują fakt, iż władze starają się z nimi skontaktować. Najczęściej napawali się poczuciem ważności i z przyjemnością przyjmowali możliwość udzielenia policji informacji, nawet niemających związku z dochodzeniem.

– Jeszcze tylko kilka pytań, bardzo panią proszę.

– Ale ja naprawdę nic o tym wszystkim nie wiem! Odeszłam z firmy wiele miesięcy temu i od tamtej pory nie widziałam tych ludzi!

– Czy zwolniła się pani z Delray z powodu Orena Starksa?

– Kto to panu powiedział?

– Czy to Starks był powodem pani odejścia?

– To śmieszne!

– Zachowanie Starksa nie miało żadnego wpływu na pani decyzję o zwolnieniu się z pracy?

– Oczywiście, że nie!

Ski chciał wyjaśnić wszystkie wątpliwości w tej kwestii.

– Czy Oren Starks próbował zalecać się do pani? Czy dążył do stworzenia uczuciowego związku między wami?

– Skądże znowu!

– Czy zrezygnowała pani z pracy, aby uniknąć niechcianych przejawów uczucia z jego strony?

Sally Buckland nie odpowiadała, lecz Ski doskonale słyszał jej oddech.

– Proszę pani?

– To wszystko nieprawda! Jeżeli Berry podsunęła panu te podejrzenia, jeśli wmówiła panu, że Oren ją prześladowa, to okłamała pana!

Przepraszam, ale muszę już kończyć, śpieszy mi się.

Zanim Ski zdążył ją powstrzymać, przerwała połączenie.

– Doskonała robota, Sally! Świetnie się spisałaś, zwłaszcza biorąc pod uwagę skomplikowane okoliczności i twoje zdenerwowanie, słowo daję! Powiedziałaś dokładnie to, co chciałem przekazać szeryfowi, dziękuję ci!

Oren Starks przykrył ręką dłoń kobiety, która nadal ścisnęła w niej słuchawkę stacjonarnego telefonu.

– Puść, Sally! – zaśmiał się łagodnie. – Ktoś mógłby pomyśleć, że w tym telefonie kryje się twoja jedyna szansa na przeżycie.

Puściła słuchawkę i, nie poruszając głową, popatrzyła w lewo, starając się dostrzec go kątem oka, tego samego, obok którego przyciskał lufę rewolweru.

– Zrobiłam, o co mnie prosiłeś, Oren.

– A ja ci podziękowałem, prawda?

– Więc teraz odejdziesz?

Uśmiechnął się z udawanym żalem.

– Nie, obawiam się, że nie.

– Ale powiedziałaś...

– Powiedziałem, że odejdę, kiedy zrobisz to, o co cię proszę.

– Zrobiłam!

– Jeszcze nie skończyłaś, Sally. – Przesunął lufą wzdłuż linii jej szczęki i znowu przejechał w górę, aż do skroni.

Jej rozpaczliwy jęk najwyraźniej sprawił mu ogromną przyjemność.

– Wprowadzając w błąd tego szeryfa, wynagrodziłaś mi drobną część zła, jakie mi wyrządziłaś, ale to nie wszystko... Nasze rachunki nie są jeszcze wyrównane. O nie, moja droga!

– Skąd... Skąd wiedziałeś, że on do mnie zatelefonuje?

– Nie trzeba geniusza, żeby się tego domyślić, Sally. To jedno z pierwszych zaleceń podręcznika dla prowadzących dochodzenie. Prowadzący dochodzenie – w tym wypadku nasz zastępca szeryfa – musi się dowiedzieć, dlaczego wczoraj wieczorem postrzeliłem Bena Loflanda. Berry na pewno powiedziała mu, że jestem odrzuconym zalotnikiem. On ją zapytał, czy ktoś mógłby potwierdzić jej zarzuty, a wtedy ona... wymieniła... ciebie!

Trzy razy stuknął rewolwerem w jej głowę, podkreślając każde słowo. Przy ostatnim mocno wcisnął lufę w jej policzek.

– Oczywiście zastępca musiał sprawdzić, czy mówiła prawdę, więc zadzwonił. Powiedz mi jeszcze raz, jak on się nazywa.

– Ny... Ny... Nyland... – wyjąkała Sally. – Tak mi się wydaje.

Starks obojętnie wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy to bez znaczenia. Istotne jest tylko to, że zaprzeczyłaś oskarżeniom Berry i wpędziłaś ją w niezłe kłopoty.

– Ten policjant może jednak uznać, że Berry mówiła prawdę. Może wcale nie wprowadziłam go w błąd.

– Och, chyba jednak tak. Twój głos brzmiał bardzo przekonująco, moja droga.

– Ale policja nigdy nie traktuje żadnych zeznań jako absolutnie pewnych. Mógł usłyszeć zdenerwowanie w moim głosie, może w tej chwili zastanawia się już...

– Sally, Sally, niepotrzebnie budzisz w swoim sercu nadzieję!

– Niepotrzebnie budzę nadzieję?

– Nadzieję, że coś cię uratuje. – Starks znowu posłał jej smutny uśmiech. – Wierz mi, policjanci z okręgu Merritt mają dziś mnóstwo roboty

i nie będą zastanawiać się nad niepewną nutą w głosiku takiej mało ważnej osobki.

Dolna warga Sally zaczęła dygotać. Gdy Oren pogłaskał ją opuszką wskazującego palca, młoda kobieta instynktownie szarpnęła się do tyłu.

– Przestań! – mocno trzepnął palcem w jej wargę.

Całkowicie kontrolował sytuację, lecz mimo to jej reakcja natychmiast go rozgniewała. Jak ona śmiała się odsunąć, gdy jej dotknął?

To on miał teraz władzę. Sally zdała sobie z tego sprawę w chwili, gdy weszła do domu z torbą pełną zakupów i zobaczyła go, stojącego na środku jej kuchni. Wydała zduszony okrzyk, upuściła torbę na podłogę i potknęła się o nią, próbując uciec.

Starks złapał Sally i przytrzymał. Chcąc uniknąć szarpaniny, zapewnił, że nie zamierza zrobić jej krzywdy, ale ona oczywiście słyszała o wydarzeniach w Merritt i cel zasadzki, w którą wpadła, od początku był dla niej jasny. Starła się uwolnić, dopóki nie przystawił jej broni do głowy. Wtedy złagodniała i obiecała, że będzie z nim współpracować, nadal jednak pochlipywała i raz po raz pytała, czego właściwie od niej chce.

Powiedział, że zaczekają, aż ktoś z policji zatelefonuje do niej albo się zjawi, aby zadać parę pytań na jego temat. Czekał, wyjaśnił, co powinna odpowiedzieć stróżowi prawa, i kazał jej te odpowiedzi powtórzyć.

Przyrzekł, że jeśli wypełni jego polecenia, przeżyje. Jeśli nie, zastrzeli ją bez wahania. Najwyraźniej mu uwierzyła, bo odpowiedziała na pytania Nylanda tak pewnie, jakby czytała przygotowany przez Orena scenariusz.

Jednak teraz, po rozmowie z policjantem, wydawała się jeszcze bardziej przerażona niż wcześniej. Może pytania zastępcy szeryfa przypomniały jej, jak okropnie potraktowała Orena, kto wie. Odrzuciła przecież jego uczucie i na dodatek przyczyniła się do zwolnienia go z pracy,

którą uwielbiał i do której był po prostu stworzony.

Nic więc dziwnego, że teraz trzęsła się ze strachu, prawda?

Postukał lufą w skroń dziewczyny, aby sobie przypomniała, że jej los zależy wyłącznie od niego.

– Co... Co jeszcze... Co jeszcze mam zrobić, Oren?

– Jakoś nie przypominam sobie, żebyś dawniej tak się okropnie jąkała, Sally! A już z całą pewnością nie jąkałaś się, kiedy raz po raz odrzucałaś moje zaproszenia na kolację ani kiedy oddałaś mi róże, które przysłałem ci na walentynki. Wtedy byłaś wystarczająco elokwentna, aby zwierzyć się naszym kolegom z pracy, że nie możesz znieść, kiedy kręcę się w pobliżu.

– Ja nigdy...

Mocno uderzył ją w głowę kolbą. Jej krzyk przerażenia i bólu sprawił mu znacznie większą przyjemność niż pieszczotliwe słówka, które mogłaby szeptać mu do ucha.

– Nie podkreślaj swojego okrucieństwa kłamstwem, Sally! I nie obrażaj mojej inteligencji!

Teraz rozpląkała się na całego. Jej twarz, która kiedyś wydawała mu się taka ładna, wyglądała okropnie – rysy zniekształcone były bólem i strachem, policzki mokre od łez, a z nosa płynęły gile.

– Oren, proszę cię...

– O co mnie prosisz, Sally? – zapytał słodko.

– Nie rób mi krzywdy...

– Ale ty mogłaś mnie skrzywdzić, tak? Wyrządziłaś mi krzywdę na gruncie osobistym i zawodowym.

– Nigdy nie chciałam cię zranić! – jej głos załamał się na ostatnich dwóch słowach; dygotała tak mocno, jakby miała padaczkę.

– Daj spokój, Sally – zamruczał kojąco. – Nie płacz tak. Czego się boisz? Powiedziałem ci przecież, że nic ci się nie stanie, jeżeli zrobisz wszystko, o co cię poproszę, prawda?

– Tak.

– Obiecałem, że nie zrobię ci krzywdy, jeśli zdyskredytujesz Berry?

– Tak.

– No, sama widzisz. Jak na razie dotrzymałem słowa, czyż nie?

Kiwnęła głową.

Wciąż przyciskając lufę rewolweru do jej skroni, otoczył ramieniem barki kobiety i popchnął ją w stronę drzwi.

– Niestety, jedna krótka pogawędka z zastępcą szeryfa nie naprawi wszystkich krzywd, jakie mi wyrządziłaś, więc teraz chodźmy do sypialni.

Zaparła się obiema nogami.

– Po co? – wyszeptała.

– Użyj wyobraźni, dobrze?

Zaniosła się głośnym łkaniem.

– Proszę cię, Oren! Przepraszam! Przepraszam za wszystko! Nie rób mi krzywdy! Spełnię wszystkie twoje polecenia, naprawdę!

Starks zaśmiał się cicho.

– Och, na to właśnie liczę!

* * *

Ski ponownie wybierał numer Sally Buckland, gdy jego komórka wydała piskliwy sygnał. Połączenie z zewnątrz miało pierwszeństwo.

– Nyland – rzucił.

– Tu Andy.

– O co chodzi?

– Pamiętasz sprzedawcę z nocnej zmiany w sklepie z przynętą?

– Na Lake Road?

Przed południem Ski przesłuchał już tego mężczyznę, który twierdził, że poprzedniej nocy nie widział ani nie słyszał niczego niezwykłego.

– Co z nim? – zapytał niecierpliwie.

– W czasie długiej zmiany facet praktycznie bez przerwy ogląda telewizję. Widział wszystkie odcinki serialu *Prawo i porządek*, także powtórki na kablówce. Co wieczór puszczają tam kilka odcinków, jeden po drugim, wiesz, o czym mówię?

– Tak.

– Ten gość jest bardzo uważnym widzem. Dokładnie obserwuje, jak filmowi policjanci rozwiązują sprawy, pasjonuje go to, i dziś postanowił przeprowadzić amatorskie dochodzenie...

O Chryste! Ski zanurzył palce we włosy, gorzko żałując, że nie wziął tego hamburgera. Miał wrażenie, że żołądek wgryza mu się w kręgosłup, a Andy gadał dalej.

– Wygrzebał wszystkie paragony z ostatniego wieczoru.

– Przejrzałem je już. Żadna z kart kredytowych nie należała do Starksa, a nikt, kto płacił gotówką, nie odpowiada jego opisowi.

– Tak, ale ten sprzedawca przejrzał absolutnie wszystkie operacje! Chciał sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył, zwłaszcza że klientów miał niewielu, jak mówi. Tak czy inaczej wytropił faceta, który brał paliwo do motorówki, wczoraj wieczorem, mniej więcej w porze strzelaniny. I właśnie ten facet, właściciel tej motorówki, przypomniał sobie, że kiedy brał paliwo, widział innego mężczyznę. Tamten wszedł do męskiej toalety i podobno był ranny w nogę.

Rozdział 9

PANI POZWOLI. – DODGE STRZELIŁ PŁOMYKIEM JEDNORAZOWEJ zapalniczki.

– Dziękuję. – Kobieta uśmiechnęła się, nie wyjmując papierosa z ust. Pochyliła się do przodu, żeby przytknąć jego koniec do płomienia, i zaciągnęła się kilka razy.

Dodge także zapalił i odpowiedział zachęcającym uśmiechem.

– Co za czasy! – Kobieta wypuściła dym z płuc. – Nie można nawet spokojnie zapalić w barze.

Mężczyzna westchnął.

– No właśnie.

Rozpoczął flirt przy piwie, które pił powoli, aby mieć czas na ocenę baru i klienteli. Uważnie obejrzał wszystkich gości, którzy wpadali tu na godzinkę relaksu, i doszedł do wniosku, że najlepiej wyjdzie na rozmowie z kobietą nalewającą drinki.

Miała czterdzieści parę lat i z pewnością nie wyglądała młodziej. Jej twarz nosiła piętno trudnych przeżyć i licznych rozczarowań, w oczach malowała się smutna rezygnacja, lecz uśmiech był ciepły i serdeczny, i nikomu go nie skąpiła. Wszyscy wchodzący do baru, mężczyźni i kobiety, mówili jej po imieniu, a ona wydawała się wiedzieć, jakie lubią drinki, czym się zajmują, co robią w wolnym czasie i tak dalej. Podśluchał, jak pytała kogoś o nową pracę, kogoś innego o wędkarską eskapadę, jeszcze kogoś o schorowanych rodziców, problemy z dziećmi i o kulawego konia.

Kiedy przekazała bar młodszemu mężczyźnie, żeby zrobić sobie przerwę, Dodge poszedł za nią przez krótki korytarz do tylnego wyjścia.

Teraz, gdy oboje zapalili, uniosła włosy z karku i przytrzymała je w

górze, przybierając prowokacyjną pozę i otwarcie zachęcając Dodge'a, aby nacieszył oczy widokiem, który faktycznie był całkiem przyjemny.

– Jestem Grace.

– Dodge.

– Cześć, Dodge!

– Cześć, Grace!

Uśmiechnęli się do siebie. Grace opuściła rękę i pozwoliła włosom opaść.

– Nie mieszkasz w Merritt, bo wiedziałabym o tym – zauważyła.

– Mieszkam w Atlancie.

– W Atlancie w Teksasie?

– Nie, w Georgii.

– Nie żartujesz? Wypuściłeś się daleko od domu! Czym tam się zajmujesz?

– Trochę tym, trochę tamtym...

Rzuciła mu uśmiech, który mówił, że rozumie, o co mu chodzi.

– Mężczyzna pełen tajemnic.

– Ja? Skądże znowu, proszę pani!

Roześmiała się.

– Co sprowadza cię do południowo – wschodniego Teksasu?

Miał przygotowaną historyjkę o prawdopodobnej przeprowadzce do Houston.

– Brat namawia mnie, żebym wszedł z nim w spółkę w interesie budowlanym. Przedsięwzięcie ma dobre perspektywy i nic nie trzyma mnie w Atlancie, więc poważnie się nad tym zastanawiam. Nie dam jednak rady cały czas siedzieć w mieście ani z moim bratem, jeśli już o to chodzi, dlatego pomyślałem sobie, że będzie mi potrzebne jakieś miejsce poza

Houston. Nic specjalnego, po prostu jakiś domek na weekendowe wyjazdy, żeby trochę powędkować i odetchnąć na łonie natury. – W świetle uśmiechu Dodge’a masło roztopiłoby się w sekundę. – To miasto robi dobre wrażenie.

– Tak, masz rację. W weekendy liczba mieszkańców wzrasta tu co najmniej trzykrotnie, szczególnie wiosną i latem.

– Jak wygląda rynek nieruchomości? Więcej sprzedających czy kupujących?

– Nie mam pojęcia! – Parsknęła zachrypniętym śmiechem, rzuciła niedopałek na chodnik i przydeptała go czubkiem buta. – Nie stać mnie na kupno domu, dlatego w ogóle mnie to nie interesuje!

– Widziałem w okolicy dużo tablic z logo jakiejś agencji. Takie zielone ze złotą koroną.

– Caroline King! Należy do niej chyba największa agencja w Merritt. Dodge znowu podsunął jej ogień.

– Pewnie za wysokie ceny dla kogoś takiego jak ja... – mruknął. Grace wypuściła dym z ust i potrząsnęła głową.

– Ta firma zajmuje się dużymi, średnimi i małymi nieruchomościami, bez różnicy. Caroline King, właścicielka, jest bardzo miła.

– Robiłaś z nią interesy?

– Coś ty! – Zachłysnęła się śmiechem. – Może kiedy wygram na loterii! Znam ją z widzenia, nic więcej. Od czasu do czasu wpada do naszego baru z klientami na lampkę wina, przy omawianiu umowy czy coś takiego. Parę tygodni temu przyjechała z młodą kobietą, którą przedstawiła jako swoją córkę. Wcześniej nigdy jej tutaj nie widziałam. Pani King ma dom nad jeziorem. Wczoraj wieczorem coś się tam działo.

– Co takiego?

– Była jakaś strzelanina.

Dodge udał, że się krztusi.

– Strzelanina?! – powtórzył.

– Ktoś postrzelił faceta, z którym pracuje córka pani King. Ludzie gadają coś o miłosnym trójkącie.

– No, masz! A ja sądziłem, że to takie senne i nudne miasteczko!

– Mamy tu własne skandale, możesz mi wierzyć. – Grace przewróciła oczami. – Ale kiedy usłyszałam o tej awanturze w domu pani King, o mało nie zemdlałam! Ani ona, ani jej córka wcale nie wyglądają na takie.

– Jakie?

– Na takie, które mają problemy z mężczyznami. Cóż, najwyraźniej nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

– Czy to nie tytuł piosenki?

Uśmiechnęła się, zadowolona.

– Lubisz country?

Zanim Dodge dopalił pierwszego papierosa i zaczął następnego, wyczerpali temat muzyki country, a przynajmniej tak mu się wydawało. Postanowił wrócić do kwestii, która rzeczywiście go interesowała.

– Pewnie ta właścicielka agencji nieruchomości będzie teraz zbyt zajęta, by przyjmować nowych klientów – rzucił, lekko ściągając brwi. – Biorąc pod uwagę kłopoty, w jakie wpakowała się jej córka.

– No, nie wiem! Zawsze możesz spróbować, pani King jest prawdziwą kobietą interesu. Podobno w Houston osiągała najlepsze wyniki. Przeprowadziła się do Merritt, żeby odpocząć na emeryturze.

– Kiedy?

– Parę lat temu, dwa czy trzy.

– Źle znosiła ten odpoczynek, co?

– Chyba tak! – zaśmiała się Grace. – Ledwie osiadła, a już weszła w

układ z miejscową firmą budowlaną i...

– Weszła w układ? – Dodge kilka razy zabawnie poruszył brwiami. – Jeden z tych za zamkniętymi drzwiami?

Grace trąciła go w ramię i jakimś cudem w rezultacie tego ruchu łokieć Dodge'a dotknął jej pełnego biustu.

– Pani King jest co najmniej dwadzieścia lat starsza od dewelopera, o którym mówię!

– To teraz w modzie, prawda? Starsza kobieta i młodszy mężczyzna...

– Może, ale ten ma piękną żonę i trójkę wspaniałych dzieciaków. Jego stosunki z panią King ograniczają się do interesów. Dogadali się, że ona spróbuje sprzedać wybudowane przez niego domy, i zrobiła to w rekordowym czasie! – Grace wzruszyła ramionami i rzuciła drugi niedopałek na asfalt. – Wtedy doszła do wniosku, że emerytura nie jest dla niej, w każdym razie nie teraz. W każdym razie jeszcze bardziej wzbogaciła się na sprzedaży nowiutkich nieruchomości w Merritt.

– Musi mieć łeb jak sklep!

Grace kiwnęła głową.

– I ciężko pracuje! Bardzo ją za to szanuję, podobnie jak wszyscy inni. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił o niej coś złego. Oczywiście teraz, po tej strzelaninie w jej domu, ludzie będą plotkować jak szaleni, ale co tam... – Spojrzała na zegarek. – Och, pewnie pomyślą, że mnie porwałś!

W uśmiechu, który posłała mu przez ramię, krył się cień nadziei.

Dodge zaciągnął się ostatni raz, rzucił niedopałek i też wrócił do baru. Grace tak hojnie obdarowała go posiadanymi informacjami, że poczuł się w obowiązku kupić jeszcze jedno piwo. Wypił parę łyków i gestem poprosił kobietę, aby przygotowała jego rachunek.

– Długo zostaniesz w naszym mieście, Dodge?

Postanowił powiedzieć jej prawdę, w żaden sposób nie-
upiększoną.

- Nie wiem.
- Wpadnij jeszcze!
- Na pewno wpadnę.
- Masz żonę?
- Ostatnio nie miałem.

Roześmiała się.

- Kłamiesz?
- Nie.

Położyła na kontuarze małą białą wizytową kartkę.

– Dopóki będziesz w Merritt i zechcesz się dowiedzieć, gdzie jest jakaś dobra knajpka czy cokolwiek innego, albo po prostu zapalić z kimś papierosa, zadzwoń do mnie.

Dodge zostawił samochód na ulicy równoległej do Bo – wie Street, wybierając płatne miejsce pod rozłożystym drzewem. Rzucany przez gałęzie cień okazał się prawdziwym zbawieniem – gdyby nie on, wewnątrz wynajętego wozu niczym nie różniłoby się od rozgrzanego piekarnika.

Pośpiesznie przekręcił kluczyk w stacyjce, żeby móc włączyć klimatyzację.

Zapalił papierosa i wyjął z kieszeni wążutką różową komórkę. Komórkę Amandy Lofland. Niedbale położyła ją na stoliku, kiedy bez reszty pochłonęła ją rozmowa z Dodge'em, i właśnie wtedy niepostrzeżenie zgarnął aparat, podczas gdy ona osuszała łzy wilgotną chusteczką higieniczną.

Większość detektywów podążała za motywem pieniężnym, natomiast on skupiał uwagę na porzuconych, zranionych kobietach.

Stuknął w ikonkę umożliwiającą dostęp do listy ostatnich połączeń i

szybko ją przejrzał. Poprzedniego dnia, także wieczorem, do Amandy dzwoniło wyłącznie z jednego numeru. Dodge wybrał go bez chwili wahania.

– Cześć, tu Ben, zostaw wiadomość! – usłyszał pogodny głos.

Oznaczało to, że małżonkowie cały dzień pozostawali w bliskim kontakcie. Dodge poczuł się nieco rozczarowany, ponieważ podważało to jego teorię o zazdrosnych kobietach jako najbardziej prawdopodobnych podejrzanych.

Z drugiej strony, może jednak nie do końca. Lofland mógł wydzwaniać do żony, by jakoś zrekompensować jej zdradę, jeśli nawet nie fizyczną, to emocjonalną.

Tak czy inaczej Dodge nadal uważał, że warto bliżej przyjrzeć się Amandzie Lofland.

Wrócił do menu komórki i otworzył listę kontaktów.

Trzymając się ustalonego protokołu, Dodge wszedł do domu tylnymi drzwiami. Caroline stała przy kuchni i mieszała zawartość sporego rondla.

– Dobrze, że już jesteś! – odezwała się. – Kolacja prawie gotowa!

– Co będziemy jedli?

– Spaghetti z mięsnym sosem.

– To jedna z twoich specjalności.

Niespokojnie zerknęła w stronę wewnętrznych drzwi do pozostałej części domu.

– Postaraj się nie mówić takich rzeczy! Skąd niby mógłbyś wiedzieć, że to moja specjalność?

– A skąd ty mogłabyś wiedzieć, że piję herbatę bez cukru?

Zastanawiała się chwilę.

– Dowiedziałam się dziś po południu – odparła w końcu, nie kryjąc

zdenerwowania.

– Hmm...

– Niektóre drobiazgi zapadają w pamięć.

– I wpędzają człowieka w kłopoty! – dokończył.

Biała wizytówka z numerem telefonu Grace paliła go jak rozżarzony węgiel.

– Pomóc ci? – zagadnął.

– Nie, dziękuję.

– Mogę nakryć do stołu. Chyba jeszcze pamiętam, z której strony kładzie się widelec.

– Już nakryłam. Napijesz się czegoś?

Potrząsnął głową.

– Wypiłem piwo w mieście.

Widział, że Caroline ma ochotę zadać mu pytanie, na które wolałby nie odpowiadać, postanowił więc odwrócić jej uwagę.

– Gdzie Berry? – spytał.

– Jeszcze śpi, a w każdym razie spała, kiedy do niej zaglądałam.

Nie omówili jeszcze tego, co w szpitalnej kawiarence powiedziała mu Amanda Lofland. Powtórzył jej słowa Caroline i Berry i wyszedł na papierosa, a gdy wrócił, Caroline zasugerowała, aby jej córka szczegółowo streściła mu przebieg całego wieczoru i pokazała miejsca wszystkich wydarzeń. Uprzedziła go, ponieważ sam zamierzał zaproponować to Berry.

Przez następną godzinę chodzili po pokojach, a ona w chronologicznym porządku opowiadała, co działo się poprzedniego wieczoru. W łazience zasłona prysznicza została już umocowana, przesiąknięty krwią chodnik zabrano z sypialni, zastępując go innym, aby przykryć rdzawą plamę, która zdążyła głęboko przebarwić drewno podłogi.

Mimo tych starań pokój wciąż emanował szczególnym napięciem, charakterystycznym dla miejsc, gdzie wydarzyło się coś wstrząsającego.

Dodge przykleknął tam, gdzie upadł Ben Lofland, i odsunął czysty chodnik, żeby obejrzeć plamę krwi. Później przeszli do łazienki. Gdy stanął przy wannie, odwrócił się i wzrokiem zmierzył odległość dzielącą go od plamy.

– Starks stał tutaj w momencie oddania strzału?

Berry kiwnęła głową.

– To najwyżej dziesięć metrów! Lofland ma szczęście, że żyje!

– Oren pewnie marnie strzela.

– Pewnie tak.

Na galerijce z bliska obejrzał dziury w ścianie pozostawione przez kule, które wcześniej usunął Nyland albo ktoś inny z dochodzeniówki. Poprosił Berry, aby pokazała mu, gdzie Starks wylądował po upadku ze schodów i z jakiej pozycji zaczął strzelać.

Położył się na plecach na podłodze i patrzył, jak Berry przy kuca za barierką, odgrywając zachowanie z poprzedniego dnia. Caroline stała w pobliżu z ramionami splecionymi na piersi.

– Nie mogę uwierzyć, jak niewiele brakowało, żebyś zginęła – odezwała się bliska płaczu.

Dodge'a tak samo poruszył fakt, że Berry dosłownie cudem uniknęła kuli. Gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, telefon, który odebrał od Caroline, miałby zupełnie inny charakter. Może zresztą w ogóle nie zawracałaby sobie głowy, żeby do niego dzwonić, kto wie... Nie był w stanie się nad tym zastanawiać.

Zaraz potem Berry powiedziała im, że jest wykończona, i zapytała, czy nie mogliby odłożyć rozmowy o niej i Loflandzie do czasu, gdy trochę

odpocznie.

– Ten temat jest jak słoń na środku pokoju – westchnęła. – Wiem, że muszę wam to wyjaśnić, ale chyba można zaczekać, aż się zdrzemnę, prawda?

Dodge i Caroline przyglądali się, jak wyraźnie zmęczona wchodziła po schodach. Dotarła do pokoju gościnnego i zamknęła za sobą drzwi. Dodge przypuszczał, że przebywanie w sypialni, gdzie przerażające wspomnienia były wciąż zbyt żywe, wydawało jej się czymś ponad siły.

Kiedy nie mogła ich już usłyszeć, Caroline odwróciła się do Dodge'a.

– Co takiego powiedziała ci Amanda Lofland? – zapytała defensywnym tonem. – Czy naprawdę jej wyznania mogą cokolwiek zmienić?

– Niczego takiego nie twierdziłem.

– Ale sugerowałaś!

– W żadnym razie!

– Wiem, jak działa twój umysł, Dodge! Jesteś urodzonym sceptykiem, dlaczego więc miałbyś wierzyć Amandzie Lofland i kwestionować słowa własnej córki?

Aby jego gniewny głos nie dotarł na piętro do pokoju gościnnego, Dodge popchnął Caroline w kierunku kuchni. Kiedy tam weszli, zamknął drzwi i nachylił się w stronę kobiety.

– Wyciągasz ten fakt przy każdej okazji, gdy chcesz mi przypomnieć, że mam być ślepo lojalny wobec Berry, ale kiedy się urodziła, jakoś mi nie tłumaczyłaś, co jestem winien mojej córce!

– Masz do mnie o to pretensję?

– Nie, Caroline! Miałaś słuszość, a ja byłem w błędzie, już dawno to przyznałem!

– To niczego nie załatwiło!

– Dobrze o tym wiem!

Popatrzyła na niego z zimną złością, ale nie spuścił wzroku i z satysfakcją odnotował, że w końcu to ona pierwsza odwróciła głowę.

– Chyba powinnaś się przygotować – odezwał się po chwili milczenia.

– Na co?

– Na ewentualność, że Berry nie była z tobą tak szczerą, jak sądziłaś.

Chciała się odezwać, lecz powstrzymał ją gwałtownym ruchem dłoni.

– Tego się boisz, prawda? Powiedziałaś mi o tym w tej cukierni.

– Powiedziałam, że...

– Zapytałem, na czym polega problem, a ty odparłaś, że Berry jest do mnie bardzo podobna. Wiedziałaś, że to jedyny sposób, aby mnie tu zatrzymać. Tak, oboje zdajemy sobie sprawę, że geny, które odziedziczyła po mnie, mogą okazać się dość trudne i nie tak przyjemne, jak byśmy chcieli... Jeżeli wpakowała się w kłopoty, wydobędę ją z nich, ale nie ma żadnej gwarancji, że cały ten proces nie będzie dość paskudny, łagodnie mówiąc.

– Dokąd jedziesz?

– Do miasta.

– Po co?

– Muszę się gdzieś zatrzymać. Kiedy już znajdę pokój i zostawię w nim rzeczy, chciałbym trochę powęszyć w okolicy, poszukać jakiegoś źródła plotek.

– Jak długo cię nie będzie?

– Nie wiem.

– Wróć na kolację!

Przystanął w drodze do drzwi i popatrzył na nią uważnie. Wyglądała

na zdenerwowaną, zupełnie jakby się obawiała, że może nie wrócić, mimo to, co powiedział. Miał ochotę zapytać, czy rzeczywiście obchodzi ją, co zrobi, i jak bardzo.

– Gdyby coś się działo, masz numer mojej komórki – powiedział tylko.

Teraz wrócił, a ponieważ nie telefonowała w czasie jego nieobecności, przyjął, że nie ma mu nic nowego do przekazania.

Przebrała się w białe spodnie i żółtą koszulkę, przez którą widział zarys biustonosza. Zawsze uważała, że ma za małe piersi, natomiast on twierdził, że są idealne i na dodatek cudownie wrażliwe.

– Znalazłeś pokój?

Z pewnym trudem oderwał wzrok od jej biustu i przeniósł na bardziej neutralne terytorium.

– Och, tak. W hotelu Cypress Lodge.

– W Merritt są lepsze miejsca. Wiem, że niektórzy właściciele domów w okolicy wynajmują je poza sezonem, powinnam była pomyśleć i zarezerwować dla ciebie któryś z nich, ale... Jakoś nie mogę pozbierać myśli, mogłabym jednak zadzwonić do agencji i...

– Cypress Lodge jest w porządku, nie mam wygórowanych wymagań. Pokój jest bardzo wygodny, no i z pewnością bardziej komfortowy niż moje mieszkanie w Atlancie.

Caroline zanurzyła drewnianą łyżkę w sosie, nabrała nieco, podmuchała, spróbowała i odłożyła ją na glinianą podstawkę obok płyty kuchenki. Przykryła rondel, wróciła do stołu, usiadła i wskazała Dodge'owi krzesło po przeciwnej stronie.

– Pan Mitchell nie płaci ci dość dobrze? – zagadnęła, gdy zajął miejsce.

– Płaci mi bardzo dobrze, znacznie więcej, niż jestem wart. –
Przerwał na chwilę. – Jednak nie zarabiam tyle, ile ty na sprzedawaniu domów.

– Poszczyło mi się.

– Ciężko harujesz na to szczęście.

Przyznała mu słuszność lekkim uśmiechem.

– Może i tak, ale kocham swoją pracę.

– Zbiłaś majątek, najpierw w Houston, teraz tutaj.

Założyła ramiona na piersi i zmierzyła go bystrym spojrzeniem.

– Z kim rozmawiałeś? Nie, zaczekaj! Gdzie poszedłeś na piwo?

– Do jakiegoś baru przy Bowie Street.

– „Chat & Chill”?

Dodge zakasłał, zasłaniając usta pięścią.

– Chyba tak.

– Grace! Wyciągnąłeś te informacje od Grace! – Uważnie popatrzyła mu w oczy. – Ile cię to kosztowało?

– Dwa piwa i dwa papierosy.

Uśmiechnęła się znowu, tym razem z wyraźnym smutkiem.

– Nic się nie zmieniło.

– Wszystko się zmieniło, Caroline! Trzydzieści lat temu kochaliśmy się, czekając, aż sos do spaghetti będzie gotowy.

Z jej twarzy bez trudu wyczytał, że pamiętała tamten dzień równie dobrze jak on. Postanowili trochę się zabawić i zupełnie wyleciało im z głowy, że na włączonej fajerce stoi rondel z sosem. Dopiero zapach przypalających się pomidorów uświadomił im potencjalne zagrożenie. Dodge polecił Caroline, żeby mocno się go trzymała, jakimś cudem podniósł się z łóżka, z nią zawieszoną na jego szyi, i zaniósł ją do kuchni. Tam,

natychmiast po wyłączeniu kuchenki, wrócili do poprzedniego zajęcia.

Teraz Caroline zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Byliśmy młodzi.

– I trochę szaleni! Szaleni z miłości.

– Przestań, Dodge – szepnęła błagalnie.

– O co ci chodzi? Mam o tym nie mówić? Nie pamiętać? Nic na to nie poradzę, mam dobrą pamięć! Tamtego dnia, kiedy przypaliliśmy pomidorowy sos, kochaliśmy się jak szaleni.

Rzeczywiście kochali się jak szaleni, ponaglani pożądaniem i śmiechem. Jeszcze teraz, na samą myśl o tamtym wieczorze, dostał potężnej erekcji.

Caroline oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach. Dodge nie wiedział, czy ukrywa wstyd, czy wesołość. Może płakała? Kiedy jednak w końcu uniosła głowę, w jej oczach nie było śladu łez, a twarz wydawała się zupełnie obojętna, niezdradzająca ani cienia emocji.

– Jeżeli ten adwokat tak dobrze ci płaci, to dlaczego twoje mieszkanie jest mniej komfortowe niż pokój w Cypress Lodge? – zapytała.

– Ponieważ taka mysia dziura nie wymaga żadnych dodatkowych zabiegów, a ja mam wydatki, które mimo przyzwoitych dochodów poważnie ograniczają mój budżet.

Rzuciła mu pytające spojrzenie. Dodge pomacał kieszeń koszuli w poszukiwaniu papierosów, zastanawiając się, czy starczy mu śmiałości, aby zapalić.

– Alimenty – wyjaśnił. – Razy dwa.

– Byłeś dwukrotnie żonaty?

– Pierwszy raz wyłącznie po to, aby dowieść sobie, że jestem w stanie to zrobić.

– Zrobić co?

– Zapomnieć o tobie. Drugi rozwód utwierdził mnie w przekonaniu, że jednak nie potrafię.

Patrzyła na niego długo, potem wstała, podeszła do zlewu, puściła wodę i natychmiast zakręciła kran.

– Przestań opowiadać takie rzeczy!

– Pozwij mnie.

Odwróciła się gwałtownie, z błyskiem gniewu w oczach.

– Nie bądź taki dowcipny, Dodge! Nie zmienisz niczego żadną ze swoich sprytnych odzywek! Ta sytuacja...

– Śmierdzi. – Podniósł się z krzesła i postąpił parę kroków w jej stronę. – Ta sytuacja śmierdzi, i tyle. Wstydzisz się?

– Czego miałabym się wstydzić?

– Dlaczego nie powiedziałaś Berry, kim jestem?

– Dlaczego sam tego nie zrobiłeś?

To go powstrzymało. Nie umiał wymyślić zgrabnej odpowiedzi, zatkało go.

– Cholera jasna – wymamrotał.

W kuchni zapadła długa, nabrzmiała napięciem cisza.

– Nie powinnam była do ciebie dzwonić – przerwała ją wreszcie Caroline. – Niepotrzebnie przysłałeś mi swój numer telefonu.

Kilka lat wcześniej, pewnego wieczoru, bardzo pijany, samotny i pełen żalu, napisał numer swojej komórki na kartce pocztowej i dodał dwa słowa: „Pozwij mnie! ”. Caroline zawsze mówiła, że to jego firmowe hasło, i pewnie miała rację, ponieważ wiedział, że gdy ona je przeczyta, od razu odgadnie, czyj to telefon. Na pocztówce znajdowało się zdjęcie domu Margaret Mitchell, aby Caroline wiedziała, że wysłał ją z Atlanty.

Teraz jego stare serce zabiło mocniej na myśl, że nie wrzuciła kartki do biurowej niszcarki ani nie wyrzuciła do kosza.

– Nikt nie zmuszał cię do zachowania tej pocztówki, Caroline – odezwał się. – Do chwili, gdy do mnie zadzwoniłaś, nie wiedziałem nawet, czy w ogóle ją dostałaś. Kiedy ją wysyłałem, nie byłem pewny, czy dalej pracujesz w tej samej firmie. Zaadresowałem kartkę do Caroline King, ale nie miałem pojęcia, czy jeszcze używasz tego nazwiska.

– Zostałam przy panieńskim.

– Dlaczego?

– Z przyczyn zawodowych.

– Co on o tym myślał?

– Nie sprzeciwiał się.

Serce Dodge'a zakłuło boleśnie, jakby ktoś ścisnął je w imadle, musiał jednak zadać jej to pytanie, po prostu musiał.

– Dlaczego za niego wyszłaś?

– Dodge...

– Powiedz mi! Dlaczego?

– Bo chciałam!

– Żeby zrobić mi na złość?

– Nie pochlebiaj sobie!

– Kochałaś go?

– Tak.

– Kochałaś...

– Tak!

– Po tym wszystkim, co mieliśmy, co przeżyliśmy razem, tak łatwo...

Przerwał, gdy jej oczy zatrzymały się na jakimś punkcie za jego plecami. Odwrócił się. W otwartych drzwiach stała Berry, czujnie

obserwując jego i matkę.

– Co się dzieje?

Caroline odezwała się pierwsza.

– Okazuje się, że nasz gość ma bardzo zdecydowane zdanie co do tego, jak długo należy gotować makaron.

Uśmiechnęła się do Dodge'a, który z trudem postarał się o podobny wyraz twarzy, a w każdym razie spróbował to zrobić.

– Tak czy inaczej spaghetti zaraz będzie na stole – ciągnęła Caroline.

– Jeżeli chcesz umyć ręce, Dodge, toaleta jest tam.

Wskazała mu kierunek.

– Tak, jasne, dziękuję – mruknął.

Wyminął Berry i wyszedł z zaparowanej kuchni.

Przez całą kolację rozmowę prowadziła Caroline. Dodge starał się dotrzymać jej kroku, świadomy, że Berry milczy i uważnie im się przygląda. Patrzyła na niego nawet wtedy, gdy udawała, że wcale tego nie robi.

Pod względem fizycznym była bardzo podobna do Caroline, dzięki Bogu. Jednak to także jego dziecko, i jeżeli odziedziczyła po nim zdolność dedukcji, prowadzona przez Caroline gra nie miała wielkich szans powodzenia. Dodge uważał, że prawdopodobnie oboje zbyt wyraźnie starają się zachowywać normalnie, i ten wysiłek łatwo przejrzeć. Może zresztą tylko mu się tak wydawało, może popadał w paranoję.

Caroline skłoniła go, aby opowiedział im o paru interesujących sprawach, nad którymi pracował. Przedstawił im także bardziej szczegółowy opis romansu Dereka i Julie.

– Nie była to zwyczajna historia miłosna, o nie! – Uśmiechnął się. – Oboje grali o wysoką stawkę, zakochali się jednak w sobie bez pamięci, i tyle. Teraz, kiedy spodziewają się dziecka, są po prostu niemożliwi. Derek,

który dawniej spędzał prawie cały wolny czas w klubach, jest kompletnie oswojony i udomowiony. Używa serwetek z frędzelkami, na miłość boską! Mógłbym oskarżyć Julie o pozbawienie go męskości, gdyby nie to, że chyba jednak ma słabość do jego jaj!

Berry parsknęła śmiechem. Caroline zamrugła, zaskoczona i może trochę zgorszona, ale zaraz także roześmiała się głośno. Ich śmiech sprawił, że gardło ścisnęło się Dodge'owi ze wzruszenia.

Jednak widmo jego rozmowy z Amandą Lofland cały czas wisiało nad stołem, z każdą chwilą coraz większe

i wyraźniejsze. Dodge odetchnął z ulgą, kiedy posiłek dobiegł wreszcie końca, bo teraz mógł przeprosić obie kobiety i wyjść na zewnątrz, aby zapalić.

– Jeden papieros! – powiedział do Berry. – Potem musimy pogadać o tobie i Loflandzie!

Rozdział 10

SKI BYŁ TUŻ ZA PLECAMI MĘŻCZYZNY, KIEDY TEN odwrócił się nagle z pistoletem wymierzonym w jego głowę.

– Stój!

– Cholera jasna! – Dodge opuścił rękę i obrzucił zastępcę szeryfa wściekłym wzrokiem. – O mało cię nie zastrzeliłem!

– Nie byłoby to dobre dla żadnego z nas.

– Gorsze dla ciebie. – Dodge wsunął pistolet do kabury, którą nosił na pasku z tyłu.

– Ma pan pozwolenie na broń? – zapytał Ski.

– W Georgii.

– To jest Teksas!

Dodge wzruszył ramionami.

– Czy Georgia nie ma w sprawie pozwoleń porozumienia z Teksasem?

– Nie pofatygował się pan, żeby to sprawdzić?

– Nie. Ma czy nie ma?

– Ma.

– Więc w czym problem?

Ski odsunął na bok młode drzewko i podszedł do pniaka, na którym siedział jeszcze przed chwilą Dodge. Las rozbrzmiewał chóralnym cykaniem insektów i basowym kumkaniem ropuch znad jeziora, które to odgłosy skutecznie zamaskowały kroki zbliżającego się Ski.

Noc była upalna i bezwietrzna, drzewa stały cicho, nie – poruszone choćby najlżejszym powiewem. Światło bijące z okien domu Caroline King wydobywało z mroku część posesji i obaj mężczyźni widzieli się dość

wyraźnie.

Dodge wrócił na swoje poprzednie miejsce i zapalił papierosa.

– Jesteś Indianinem, czy co? – zapytał, gasząc zapalną w powietrzu i mierząc Nylanda uważnym spojrzeniem. – Pochodzisz z jednego z tutejszych plemion?

– A wyglądam na Indianina?

– Usłyszałem cię dopiero, gdy byłeś parę metrów ode mnie. Ledwo zdążyłem wyciągnąć broń.

Ski przysiadł na piętach i oparł się plecami o pień sosny.

– Służyłem w wojsku, w oddziałach specjalnych – odparł. – Brałem udział w tajnych misjach.

– Dobry jesteś!

– Gdyby tak było, poderżnąłbym panu gardło, zanim zorientowałby się pan, że tu jestem!

– Myślałeś, że to może Starks wrócił na miejsce przestępstwa?

Ski potrząsnął przecząco głową.

– Poczulem zapach tytoniu. Starks nie pali.

Dodge przyglądał mu się chwilę.

– Dlaczego odszedłeś z wojska?

– Byłem ranny.

– W Iraku?

– W Afganistanie, jeszcze zanim wszyscy zaczęli tam jeździć – sucho rzucił Ski. – Postrzelili mnie i minęło parę miesięcy, zanim doszedłem do siebie. Gdy wypisali mnie ze szpitala, mój kontrakt już dobiegał końca. Nie odnowiłem go.

Dodge palił w milczeniu. Nyland pomyślał nagle, że z niejasnych dla niego samego powodów bardzo chciałby zasłużyć na aprobatę tego

człowieka.

– Zrobiłem licencjat, ale wróciłem na teksaski uniwersytet i zaliczyłem zajęcia z kryminologii, a potem, już po ukończeniu studiów, przyjechałem tutaj, do mojego rodzinnego miasta.

– Dlaczego zdecydowałeś się na pracę na tym zadupiu? Czemu nie zgłosiłeś się do policji w dużym mieście?

– Lubię jeździć na nartach.

Dodge popatrzył na niego obojętnie.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – mruknął.

– Lubię narty wodne. Pływam, żegluję, wędkuję i tak dalej. W dużym mieście nie da się uprawiać sportów wodnych.

Dodge chrząknął, dając wyraz swoim wątpliwościom.

– Może też być i tak, że jesteś leniwy i mało ambitny.

– Słyszałem takie komentarze – szczerze powiedział Ski, nie tłumacząc się ani nie zaprzeczając.

Dodge rzucił niedopałek na ziemię i zmiażdżył go obcasem buta.

– Lubisz jeździć na nartach – mruknął. – Czy to stąd ten twój przydomek? Ski, jak narta?

Nyland podniósł kawałek kory i podrzucił go na dłoni.

– Pewnej letniej nocy, chyba w dziewiątej albo dziesiątej klasie, razem z kilkoma kumplami wykombinowaliśmy parę butelek whisky i wykradliśmy motorówkę ojca jednego z moich kolegów. Założyłem się i zламаłem rękę, kilka żeber oraz obojczyk. Od tamtego czasu wszyscy nazywają mnie „Ski”.

– O co się założyłeś?

– Że pokonam niecały kilometr z zasłoniętymi oczami.

Dodge zakrztusił się śmiechem.

– Jezu!

– Całkiem możliwe, że byłem dość trzeźwy, aby mi się udało, ale gość, który siedział za sterem, był kompletnie zalany. Zaciągnął mnie na mieliznę i rzucił w zagajnik cyprysów. – Ski przyłapał się na tym, że sam śmieje się ze swojego szaleńczego pomysłu, zaraz jednak otrzeźwiał i przybrał poważną minę. – Jeżeli teraz złapię kogoś, kto prowadzi łódź po pijaku, wsadzam go do aresztu. Żadnej wyrozumiałości, zero wymówek!

Dodge zapalił następnego papierosa.

– Kim pan jest? – zagadnął Ski po chwili milczenia. – I proszę nie mówić, że przyjacielem rodziny, bo zawód ma pan wypisany na twarzy. Jest pan gliną, prawda?

– Byłem gliną. Teraz prowadzę dochodzenia dla kancelarii adwokackiej w Atlancie.

– W porządku...

– Co – w porządku?

– Co pan tutaj robi?

– Pracuję na zlecenie.

– Przyjechał pan do pani King naprawdę szybko.

– Parę lat temu robiłem zlecenie dla jednego z jej przyjaciół w Houston. Poleciała mu wtedy moje usługi, więc czuję się zobowiązany.

– Rzucił pan wszystko i przyleciał, tak po prostu?

– Słyszałem, że Caroline King ma mnóstwo pieniędzy, a mnie przyda się dodatkowy dochód. Mam dwie chciwe byłe żony, które całkiem dosłownie wysysają ze mnie krew.

Ski zastanawiał się, co takiego zrobił, że Dodge Hanley uznał go za dość głupiego, aby przełknął te bzdury. Przyszło mu nawet do głowy, że może powinien wyznać, czego dowiedział się po paru rozmowach

telefonicznych, które odbył tego dnia, lecz ostatecznie postanowił udawać, że jest równie mało inteligentny jak pniak, na którym usadowił się Dodge.

– Ale co pan tu robi, oczywiście poza paleniem? – zapytał.

Dodge dmuchnął dymem w bok i wskazał jezioro.

– Pomyślałem, że może Starks przyplłynął łodzią, ale obejrzałem teren wokół pomostu i wzdłuż brzegu i nigdzie nie zauważyłem żadnych śladów.

– Popatrzył na Nylanda spod zmarszczonych brwi. – W każdym razie żadnych tak oczywistych, jak te świeże ślady opon, które znalazłeś.

Ski uśmiechnął się lekko.

– Kogo poddał pan torturom, żeby wyciągnąć tę informację?

– Nikogo. Wystarczy trochę posiedzieć w budynku sądu i zawsze usłyszysz się coś ciekawego. Wszystkie sądowe gmachy przeciekają jak zardzewiałe rury.

Ski długo przyglądał się Dodge'owi. Wreszcie podjął decyzję, wstał i ruchem głowy wskazał las.

– Ma pan ochotę trochę się przejść?

Dodge podniósł się z pniaka.

– Prowadź!

– Niech pan zgasi papierosa! Nie chcę, żeby spalił nam pan las.

Dodge zaciągnął się dymem i wymamrotał pod nosem litanię nieprzyjaznych uwag. Zgasił papierosa i spojrzał na Nylanda, który cofnął się w stronę drogi, odsuwając gałęzie drzew i wymijając naturalne przeszkody.

– Zostawiłem tu gdzieś latarkę – powiedział Ski. – Dobrze pan widzi?

– O mnie się nie martw! – mruknął Dodge.

Ski schylił się, aby przejść pod grubszym konarem; miał nadzieję, że Dodge poszedł za jego przykładem. Nie zamierzał dzielić się informacjami o

dochodzeniu, nie miał jednak nic przeciwko temu, aby posłuchać uwag byłego policjanta.

– Wie pan, gdzie jest ten sklep z przynętą na ryby przy rozjeździe obok Lake Road? – odezwał się.

– No, wiem.

– Rozmawiałem z facetem, który wczoraj koło północy brał tam paliwo.

Duma nie pozwoliła mu powiedzieć staremu specowi od dochodzeń, że wędkarza, który udzielił istotnych dla sprawy informacji, wytropił zwyczajny cywil.

– O północy? Trochę późno, co?

– Przygotowywał łódź, bo z samego rana chciał wypłynąć, jeszcze przed świtem.

– To jeden z powodów, dlaczego nigdy nie wędkowałem – mruknął Dodge. – Za wcześnie trzeba wstawać.

– Tak czy inaczej facet napełniał właśnie kanister, kiedy z boku budynku stacji podjechała toyota – ciągnął Ski. – Godzina mniej więcej zgadza się z czasem telefonu pani Malone.

– Czy samochód nadjechał od tej strony?

– Tak.

– I wędkarz jest pewny, że to była toyota?

– Absolutnie pewny. Jego córka ma ten sam model. Powiedział, że kierowca wysiadł i mocno utykając, wszedł do męskiej toalety.

– Zewnętrznym wejściem?

– Tak jest.

– I utykał?

– Tak. Gość od kanistra pokazał mi, jak to wyglądało. Kiedy nalał

benzyny, pomyślał, że może powinien sprawdzić, co z nim, więc poszedł, zapukał do drzwi i powiedział do tamtego, że zauważył, iż ma jakiś problem z nogą. Zapytał, czy mógłby jakoś pomóc, a wtedy on krzyknął ze środka.

– Nie otworzył?

– Nie. Krzyknął, że nic mu nie jest i że chciał się tylko odlać, dokładnie tymi słowami. Wędkarz jest konserwatywnym ewangelikiem i nie miał ochoty więcej słuchać, cytuję, „takich wulgarnych wyrażen”.

– Wygląda na to, że twój świadek nie ma za grosz poczucia humoru!

Ski przystanął i podniósł latarkę z ziemi u stóp drzewa, gdzie wcześniej ją zostawił. Włączył ją, odwrócił się i spojrzał na Dodge'a, który z trudem dotrzymywał mu kroku i ciężko dyszał.

– Dobrze się pan czuje?

– Mam na nogach miejskie buty.

Buty z pewnością nie były przyczyną rozpaczliwych odgłosów wydobywających się z jego oskrzeli.

– Powinien pan rzucić palenie!

– Idź dalej!

Ski skierował pasmo światła na ziemię, co znacznie ułatwiło im marsz.

– Nasz wędkarz poszedł do łodzi i przestał myśleć o facecie z chorą nogą.

– Nie pomyślał o nim nawet wtedy, kiedy usłyszał, że w tej okolicy mniej więcej koło północy miała miejsce strzelanina?

– Cały dzień spędził na jeziorze i o strzelaninie dowiedział się dopiero po południu, po powrocie do domu, a już wieczorem skontaktowaliśmy się z nim.

– Opisał tamtego?

– Zdołał mu się dość dokładnie przyjrzeć, bo nad drzwiami toalety

wisi lampa. Pod względem wzrostu, budowy ciała i wieku facet odpowiada rysopisowi Orena Starksa. A, łysiał też od czoła! Miał na sobie spodnie khaki i ciemną koszulkę polo. Panna Malone mówi, że Starks był właśnie tak ubrany.

– Nikt nie podrzucił wędkarzowi tych szczegółów? Nie usłyszał rysopisu w telewizji albo od żony, kiedy wrócił do domu po wyprawie?

– Mówi, że nie, i wydaje mi się, że nie kłamie.

Dodge odkrztusił porcję flegmy i splunął.

– Też go o to nie podejrzewam, cholera jasna! Zwłaszcza jeśli przeszkadza mu określenie „odlać się”!

Ski zaśmiał się cicho.

– Na koniec pokazałem mu przefaksowane zdjęcie Starksa, które dostałem z działu kadr firmy marketingowej, gdzie pracował. Facet powiedział, że to ten sam gość, którego widział na stacji benzynowej, na dziewięćdziesiąt pięć procent.

– Nie na sto?

– Było ciemno i dzieliło ich mniej więcej dwadzieścia metrów, więc dlatego tylko dziewięćdziesiąt pięć. – Ski wskazał ścieżkę przed nimi. – Już niedaleko!

Promień światła zadygotał na żółtej taśmie, którą ogrodzono niewielki teren, coś w rodzaju ślepego zaułka na końcu zarośniętej dróżki.

– Moim zdaniem w trakcie budowy domu część robotników z ekipy parkowała tutaj, w cieniu. Pewnie nie chcieli też zajmować miejsca przed domem. Kiedy budowa dobiegła końca, droga i polana zarosły. – Ski oświetlił widoczne ślady opon. – Te są jednak bardzo świeże, widzi pan? I nie zostawił ich ciężki samochód, nie była to ciężarówka, spychacz czy coś w tym rodzaju. Odkryłem je dziś o świcie i zaraz sprowadziłem tu naszego

człowieka. Żaden z niego ekspert, ale wykonał całkiem przyzwoity odlew.

– Szczęście, że w nocy nie padało!

Ski kiwnął głową.

– Może wybiegam za daleko w przyszłość, ale założę się, że opony należały do standardowej toyoty.

– Znalazłeś tu coś jeszcze?

– Zatarte ślady butów. – Nyland skierował latarkę w dół. – Nie dało się z nich zrobić żadnych odlewów, niestety.

– Może jakiś papierek po cukierku, kapsel, strzęp materiału?

– Nie. Dwa razy sam przeczesalem teren, a po mnie zrobili to dwaj inni zastępcy szeryfa. Niczego nie znaleźliśmy. Mimo to, jeśli wiemy, czego szukać, łatwo zauważyć prowadzący do domu szlak, który zostawił za sobą Starks.

Pokazał Dodge'owi cienką, świeżo złamaną gałązkę, która smętnie zwisała tuż przy pniu drzewa, oraz placek wyraźnie zdeptanej trawy.

– Zdaniem panny Malone, Starks nie należał do entuzjastów natury.

Dodge przyjrzał się kilku nadłamanym gałęziom, które oświetlił Ski.

– Nie jest tak wprawnym tropicielem śladów jak ty, to pewne!

Przystanął i zamyślił się, w roztargnieniu przygryzając policzek od środka.

– O czym pan myśli?

– Dlaczego zatrzymał się i poszedł do toalety? Czemu ryzykował, że ktoś zwróci na niego uwagę?

– Rozumiem, o co panu chodzi. Panna Malone opisała człowieka, który stara się mieć nad wszystkim kontrolę, więc skąd takie nieuważne działanie? Mówiła jednak także, że wczorajszej nocy Starks zachowywał się jak kompletnie niezrównoważony, prawda? Postrzelił kogoś i nie myślał tak

jak zwykle, to oczywiste. Albo może zachowywał się normalnie, jak na niego, rzecz jasna, i poszedł do toalety, żeby spokojnie zorientować się, co z jego nogą.

– Krótko mówiąc, nie masz pojęcia, co się z nim działo – oświadczył Dodge.

Ski uśmiechnął się, chociaż nie przyszło mu to bez trudu.

– Jestem otwarty na pomysły – powiedział.

– Kto może wiedzieć, z jakiego powodu ludzie robią różne rzeczy, do diabła? Ja nie wiem. Jedno jest pewne – Starks zatrzymał się pod stacją benzynową, poszedł do toalety i został zauważony. Co z tego wynika, zastępczo szeryfa?

– Mamy dowód, że faktycznie był tutaj wczoraj w nocy.

Dodge zmrużył oczy.

– Wątpiłeś w to?

Ski lekko wzruszył ramionami.

– Potwierdza to zeznania panny Malone i Loflanda. Wyjaśnia też, dlaczego żadne z nich nie słyszało podjeżdżającego ani odjeżdżającego samochodu.

– Właśnie!

– Kiedy będziemy mieli rozpoznanie co do tych śladów opon, dowiemy się, co to za marka wozu i jaki model. Poszukamy wtedy właściciela. Na Orena Starksa nie wystawiono dowodu rejestracyjnego żadnej toyoty, ale panna Malone twierdzi, że na pewno nie przyjechał tu własnym samochodem, bo jest na to za sprytny.

– Z drugiej strony okazał się dość głupi, aby zostawić świeże ślady opon. – Dodge zastanawiał się na głos. – Podobno ten facet to geniusz, tak?

– Wysoki iloraz inteligencji nie czyni z człowieka genialnego

przestępcy – zauważył Ski.

– Ale chyba jednak pomaga mu nim zostać! – Dodge wskazał dość głębokie ślady. – A to jest zwyczajnie głupie!

– Tak samo jak to, że ktoś ucieka z miejsca przestępstwa i zaraz potem pokazuje się tam, gdzie łatwo go zauważyć.

– Tak, właśnie w taki sposób głupie – rzekł Dodge. – Ten świątobliwy wędkarz nie zapamiętał pewnie numeru rejestracyjnego toyoty, co?

– Nie, nie mieliśmy aż takiego szczęścia. Nie potrafił też dokładnie określić koloru, powiedział tylko, że samochód był ciemny, i tyle.

– I teraz wkurzycie wielu niewinnych kierowców toyot, których zatrzymacie do kontroli!

– Nic na to nie poradzę. – Ski na chwilę zamilkł. – Przyjrzał się pan tym śladom?

– Może później przyjdę jeszcze się tu trochę rozejrzeć, jeżeli nikomu nie będzie to przeszkadzało.

– Prosi pan o pozwolenie?

– Raczej nie.

– Tak myślałem.

Ski przeszedł wzdłuż żółtej taśmy na drugą stronę polany. Obaj przedzierali się przez chwilę zarośniętym traktem, aż wreszcie dotarli do drogi. Terenówka zastępcy szeryfa zaparkowana była częściowo w rowie. Nyland otworzył drzwi od strony kierowcy i wyjął butelkę z wodą. Podał ją Dodge'owi, który podziękował mu, odkręcił kapsel i pociągnął długi łyk.

– Chce pan chwilę odpocząć? – zagadnął Ski.

Dodge zakręcił butelkę i wrzucił ją do samochodu.

– Mam dość siły, żeby skopać ci tyłek, chłopcze, i to bez

odpoczynku!

– Nie w uczciwej walce.

– Nigdy nie walczę uczciwie, uczciwość zabija. Niczego nie nauczyli cię w tym wojsku?

Obaj długą chwilę mierzyli się wzrokiem, zupełnie tak samo jak kilka godzin wcześniej na szpitalnym korytarzu, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy. W końcu Dodge skinął głową, jakby właśnie podjął jakąś decyzję. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z niej coś, chwycił dłoń Nylanda i położył na niej mały przedmiot.

– Komórka Amandy Lofland.

Ski spojrzał na telefon i utkwiał wzrok w nieprzeniknionych oczach prywatnego detektywa.

– Znalazłem ją – rzekł Dodge. – W szpitalnej kawiarni.

– W szpitalu nie ma biur rzeczy znalezionych?

– Szukałem, ale nie trafiłem. Spieszyło mi się.

– Więc musiał pan włączyć telefon, żeby sprawdzić, do kogo należy.

Dodge wzruszył ramionami. Na jego twarzy nie było cienia zażenowania.

– Dopilnuję, żeby pani Lofland odzyskała komórkę – powiedział Ski.

– Na pewno będzie ci wdzięczna.

Znowu wymienili długie, badawcze spojrzenia. Potem Ski wskazał Dodge'owi miejsce pasażera. Dodge obszedł terenowy wóz dookoła i zaklął pod nosem, kiedy cienkie podeszwy jego miejskich butów raz i drugi poślizgnęły się na brzegu rowu.

Gdy mijali zaparkowany na końcu prowadzącego do domu podjazdu samochód, Dodge chrząknął.

– Zauważyłem go już po południu. Ochroniarz?

– Rezerwowo zastępca szeryfa. Mamy dwanaście osób, kobiet i mężczyzn, których nie jesteśmy w stanie zatrudnić na pełny etat, ale korzystamy z ich usług w sytuacjach wyjątkowych. Jeszcze jeden pilnuje doku.

– Wpadłem na niego. Bardzo dokładnie mnie obejrzał.

Ski uśmiechnął się, niezaskoczony tym oświadczeniem.

– Starks może wrócić i zrealizować swoje groźby wobec panny Malone, więc wolę nie ryzykować – odparł.

– Jasne. Jej mama to ważna szycha w tym mieście, prawda? Gdyby coś złego przydarzyło się córce Caroline King, twój szef dobrałby ci się do tyłka!

Nyland rzucił mu twarde spojrzenie.

– To paskudna sugestia – powiedział.

– Podaj mnie do sądu! – prychnął Dodge. – No dobra, dobra, masz rację.

Chwilę milczał, wpatrując się w przednią szybę.

– A co z miejską policją? – zapytał nagle. – Pomagają wam?

– To zespół, który liczy pięć osób. Najczęściej interweniują w sprawie bójek na meczach licealnych drużyn futbolowych i organizują paradę z okazji Czwartego Lipca.

– Tak sądziłem.

– My, ludzie z biura szeryfa, odwalamy prawie całą robotę. Odnalezienie Starksa to nasze zadanie.

– Twoje!

Ski wzruszył ramionami.

– Moje, niech będzie.

– Cóż, na pewno nie ma go w motelu Cypress Lodge. Sprawdziłem to

osobiście.

– Serdeczne dzięki! – sucho rzucił Ski. – Skreślę Cypress Lodge ze swojej listy. Myślałem, że zatrzymał się pan tutaj, u pani King.

Dodge uparcie milczał, ignorując uwagę Nylanda. Kiedy zbliżyli się do domu, reflektory nad drzwiami zapaliły się i na ganek wyszła Caroline. Na widok siedzącego obok kierowcy Dodge'a na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

– Zaczęłam już myśleć, że może wpadłeś do jeziora albo że dorwał cię aligator – odezwała się.

– Macie tu aligatory?

Caroline popatrzyła na Dodge'a, a potem na Nylanda, który wchodził za nim po schodach. Nie ulegało wątpliwości, że zastanawiała się, gdzie i przy jakiej okazji połączyli siły.

– Co się dzieje? – spytała.

– Nie zamknąłem jeszcze Starksa w areszcie, ale powinienem przekazać panie Malone parę informacji, a poza tym mam do niej jeszcze kilka pytań – oznajmił Ski.

– Jest w środku.

Caroline wprowadziła obu mężczyzn do domu i wskazała im drzwi do salonu.

– Zaraz poproszę Berry!

Zanim zdążyła się oddalić, Nylandowi tak głośno zaburczało w brzuchu, że zatrzymała się w pół kroku.

– Bardzo przepraszam – powiedział, wyraźnie zażenowany.

Caroline się uśmiechnęła.

– Zupełnie nie ma za co!

Berry kończyła sprzątać po obiedzie, kiedy do kuchni weszła jej

matka.

- Wstawiłaś już do lodówki resztę spaghetti?
- Przed sekundą.

Caroline otworzyła lodówkę, wyjęła plastikowy pojemnik i podała go córce.

- Mogłabyś odgrzać porcję dla szeryfa Nylanda?
- Słucham?

Caroline sięgnęła po sztućce.

- Szeryf Nyland i Dodge właśnie przyszli.

Berry popatrzyła przez okno na podwórko na tyłach domu, gdzie prywatny detektyw prawie godzinę temu postanowił wypalić papierosa, informując ją wcześniej, że po powrocie będzie chciał z nią omówić jej relacje z Benem.

- Jak to się stało? – spytała.
- Nie mam pojęcia, ale są tutaj. Szeryf Nyland przyznał się, że przez cały dzień nic nie jadł, więc możemy przynajmniej dać mu kolację.
- Możemy przynajmniej dać mu kolację?
- Mamo, on mnie nienawidzi!
- Nie rób sobie żartów! Przynieś też dzbanek z herbatą, dobrze?

Caroline wyszła z kuchni, zabierając ze sobą serwetkę, matę na stół oraz podstawkę pod talerz.

Berry z obrzydzeniem popatrzyła na pojemnik z jedzeniem, który matka wcisnęła jej do ręki. Czuła, że jest to kolejny obcy element w jej życiu, kolejny, bo w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin pojawiło się ich aż za dużo.

Najpierw akt przemocy, coś, co kompletnie wykraczało poza granice jej świata i doświadczenia.

Potem dochodzenie, proces, o którym nie miała najmniejszego pojęcia.

I wreszcie prywatny detektyw, którego obecność w jej życiu wydawała się niemożliwa do wyjaśnienia.

Wstawiła pojemnik do mikrofalówki i nastawiła zegar. Patrząc, jak mija sekunda za sekundą, zastanawiała się, dlaczego jej matka postanowiła zatrzymać w Merritt Dodge'a Hanleya, człowieka raczej szorstkiego w obyciu, łagodnie mówiąc. Stanowił całkowite przeciwieństwo innych znajomych Caroline, grona, w którego skład wchodziłi zamożni biznesmeni, bankierzy, prawnicy, lekarze – wykształceni, kulturalni ludzie, tacy jak ojciec Berry.

Co więcej, Caroline, zawsze prawdziwa dama, najwyraźniej nie miała nic przeciwko mało delikatnym uwagom Dodge'a i ten stan rzeczy poważnie Berry martwił. Istniało tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego Caroline tolerowała szorstkie maniery detektywa – musiała uważać, że Dodge jest im potrzebny. Był człowiekiem, którego chce się mieć u boku na wypadek walki, i młoda kobieta uznała, że jej matka spodziewa się rozmaitych komplikacji.

Ona sama także bardzo się ich obawiała. Wiedziała, że Oren Starks nie odpuści tak łatwo. Obsesja, którą miał na jej punkcie, przewróciła jej świat do góry nogami. Berry przez ostatnie dwa miesiące ze wszystkich sił starała się przywrócić równowagę, do jakiej przywykła, lecz poprzedniej nocy sytuacja zupełnie wymknęła się spod kontroli. Jej kontroli, rzecz jasna. I wszystko wskazywało na to, że cały ten chaos nieprędko się uspokoi.

Musiała jednak coś zrobić, więc na początek przyjęła do wiadomości, że zanim będzie lepiej, musi być gorzej.

Mikrofalówka cicho brzdęknęła. Berry przełożyła spaghetti na talerz, dołożyła dwie kromki pieczywa czosnkowego, postawiła talerz oraz

dzbanek z mrożoną herbatą na tacy i zaniósła to wszystko do kuchennego aneksu, gdzie cała trójka usiadła już przy stole. Caroline położyła nakrycie przed zastępcą szeryfa, który na widok Berry zerwał się z miejsca.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłem pani kłopotu.

– Absolutnie nie... – Podała mu talerz z jedzeniem i postawiła obok herbatę.

Nyland nie usiadł, dopóki Berry nie zajęła miejsca naprzeciwko niego. Nie zabrał się też do jedzenia, dopóki Caroline go nie zachęciła; dopiero wtedy rozłożył serwetkę na kolanach, wziął widelec i zaczął jeść.

Był taki... Jego obecność tak wyraźnie dało się odczuć. W półokrągłym aneksie wydawał się szczególnie duży, i to nie tylko ze względu na wzrost i sylwetkę. Przytłaczał emocjonalnie i psychicznie. Berry była świadoma każdego jego mrugnięcia, każdego ruchu. Zabierał jej powietrze, nie mogła oddychać, wyglądało jednak na to, że tylko ona odczuwała jego bliskość w taki sposób.

Podczas gdy jadł, Dodge, zapytawszy go wcześniej o pozwolenie, powiedział, że Oren przyszedł do domu nad jeziorem pieszo, a samochód zostawił w dobrze osłoniętym miejscu blisko głównej drogi. Zdradził im również, że później, już po postrzeleniu Loflanda, zatrzymał się obok stacji benzynowej i wszedł do toalety.

– Chyba mogę przestać robić sobie wyrzuty, że nie zanotowałam rejestracji jego wozu. – Berry uśmiechnęła się lekko.

– Nie mogłaś tego zrobić, skoro zostawił samochód daleko stąd – zauważyła jej matka.

Dodge zapytał Berry, czy Oren miał toyotę.

– Nie wiem – odparła. – Nie zwróciłam uwagi, jakim jeździł samochodem.

– Nigdy nigdzie pani z nim nie jeździła? – odezwał się Nyland.

Berry zawahała się i spojrzała na Dodge'a.

– Czy nie powinniśmy poczekać do jutra rana, kiedy pan Carlisle będzie mógł do nas dołączyć? – zapytała.

– Chodzi mi tylko o informacje na temat Starksa – powiedział Ski, zanim Dodge zdążył odpowiedzieć. – Pani nie jest podejrzana w tej sprawie.

Dodge popatrzył na niego spod zmrużonych powiek.

– W porządku, szeryfie, strzelaj! – rzucił. – Tylko ostrożnie, dobrze? Berry, jeżeli nie będziesz miała ochoty odpowiadać na jakieś pytanie, nie odpowiadaj.

Ski spojrzał na młodą kobietę i wymownie uniósł brwi. Bez słów poprosił o odpowiedź na wcześniejsze pytanie, ponieważ miał pełne usta.

– Nigdy nie jeździłam nigdzie z Orenem.

Nyland patrzył na nią przez parę sekund, a potem otarł usta serwetką.

– Dziękuję, to było pyszne!

Na talerzu nie została ani odrobina makaronu, ponieważ sos Ski wytarł resztką pieczywa.

– Proszę bardzo – powiedziała Berry, jako że podziękowanie skierowane zostało do niej. – Ja tylko podgrzałam spaghetti, to mama je zrobiła. Jestem fatalną kucharką, niestety.

Ski uśmiechnął się do Caroline.

– Cieszę się, że zaburczało mi w brzuchu w pani obecności!

Starsza kobieta bez wahania odwzajemniła jego uśmiech.

Dodge poruszył się niespokojnie, dotknął kieszonki na piersi, w której trzymał papierosy, i splótł ręce, wyraźnie z czegoś niezadowolony.

Ski odsunął talerz, oparł przedramiona na brzegu stołu i odwrócił się do Berry.

– Rozmawiałem z kilkoma pani koleżankami z pracy, których nazwiska mi pani podała.

– Mówiły panu o Orenie i jego krępującej skłonności do flirtów?

– Raczej o jego niezdarnych próbach flirtowania. O nieudanych żartach, braku umiejętności zachowania się w towarzystwie i tak dalej. Opisały go bardziej jako irytującego dziwaka niż wariata.

– Ale to wariat! – powiedziała twardo. – Inteligentny, nawet genialny, lecz przez to tym bardziej niebezpieczny. Do innych nie zalecał się z takim chorobliwym uporem jak do mnie i do Sally Buckland. Rozmawiał pan z nią?

– Tak.

– I co?

Ski popatrzył na Dodge'a i Caroline.

– Może jednak powinniśmy poczekać na pani adwokata. – Znowu przeniósł wzrok na Berry.

Można było odnieść wrażenie, że zastępca szeryfa proponuje takie rozwiązanie dla jej dobra, lecz w jego głosie wychwyciła nutę wyzwania, na którą nie mogła nie zareagować.

– Proszę zadawać pytania!

– Berry...

– Wszystko w porządku, Dodge.

– Wcale nie w porządku! Zaraz popelnisz jakieś głupstwo!

Zignorowała go, cały czas patrząc Nylandowi prosto w oczy.

– No więc?

– Sally Buckland powiedziała mi najzupełniej jednoznacznie, że Starks nie miał nic wspólnego z jej rezygnacją z pracy w Delray i że taka sugestia jest zwyczajnie śmieszna. Nie omieszkała dodać, że jeżeli twierdzi

pani, iż Starks panią prześladowuje, to jest to kłamstwo.

Berry powoli wypuściła powietrze, rozchylając wargi w wyrazie całkowitego zaskoczenia.

– Dlaczego Sally miałyby powiedzieć coś takiego? Dlaczego?

– Berry,..

– Nie, mam! Coś tu jest nie tak!

Młoda kobieta zerwała się, odsunęła krzesło, obeszła je dookoła i położyła obie dłonie na oparciu, stając przodem do pozostałych.

– Powtarzam raz jeszcze, że przez Orena Sally musiała zwolnić się z pracy, a on po jej odejściu skupił uwagę na mnie! Nie mam pojęcia, dlaczego ona teraz wszystkiemu zaprzecza, ale mówię prawdę!

– Ja ci wierzę – odezwała się Caroline. – Zresztą chyba nie tylko ja, bo ani szeryf, ani Dodge nie podali w. wątpliwość twoich słów, prawda? Usiądź, proszę, żebyśmy mogli spokojnie o tym porozmawiać.

– Dziękuję, wolę postać, ale oczywiście chcę omówić z wami tę sytuację. – Rzuciła ciężkie spojrzenie w stronę Nylanda, żałując, że w żaden sposób nie potrafi zburzyć jego chłodnego opanowania. – No dobrze, co jeszcze?

– Czy poszła pani ze Starksem na bożonarodzeniową imprezę w firmie?

Berry nisko spuściła głowę. Czowała niedowierzanie matki, milczącą dezaprobatę Dodge'a i pełną potępienia niechęć szeryfa. Wreszcie znowu na nich spojrzała i nieco wyzywającym ruchem odrzuciła do tyłu włosy.

– Tak, zgodziłam się pójść z Orenem na świąteczne przyjęcie. Myślałam, że jeśli zrobię to ten jeden raz, przestanie mnie dręczyć. Taka impreza wydawała się znacznie lepszym wyjściem niż spędzenie całego wieczoru tylko w jego towarzystwie. Wiedziałam, że będziemy otoczeni

znajomymi, i sądziłam, że to całkowicie bezpieczne. Przyjęłam jego zaproszenie pod warunkiem, że nie przyjedzie po mnie do domu, tylko spotkamy się na miejscu. Dotarłam tam sama i po imprezie sama wróciłam. Kiedy zapytał mnie pan, czy nigdy nie jeździłam z Orenem jego samochodem, powiedziałam prawdę.

– Jak zachowywał się na przyjęciu?

– Postarał się, aby wszyscy wiedzieli, że umówiłam się z nim na ten wieczór, nie odstępował mnie nawet na krok. Traktował mnie tak, jakbym była jego dziewczyną, bez przerwy mnie dotykał. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze... Zniosłam to wszystko z nadzieją, że kiedy już się pochwali tą randką, uspokoi się i odejdzie, ale stało się inaczej. – Przerwała i na moment zapatrzyła się w przestrzeń, wracając myślami do przeszłości. – Ostatniego dnia przed świąteczną przerwą Orenowi wręczono zwolnienie z pracy – podjęła wątek. – Zwrócił się wtedy do mnie, zupełnie jakbym była jego kochanką, przyjaciółką, sojuszniczką. – Znowu zawiesiła głos i przeniosła wzrok na Ski. – I wtedy zaczął mnie prześladować. – Nagle potrząsnęła głową, zdecydowana przeciąć wszystkie jątrzące się wrzody, i spojrzała na Dodge'a. – Amanda Lofland powiedziała ci dziś po południu prawdę o Benie i o mnie.

Dodge ze smutkiem przytaknął. Berry odwróciła się do Nylanda.

– Kiedyś łączyło nas coś więcej niż współpraca zawodowa. Widzę jednak, że nie jest to dla pana zaskoczeniem.

Ski lekko przechylił głowę.

– Pani Lofland zadzwoniła do mnie z informacją, że na ostatnim przyjęciu świątecznym towarzyszył pani Oren Starks i że pani oraz jej mąż byliście kochankami.

– Ben nie był wtedy jej mężem – odparła surowo. – Zresztą aż do

dzisiaj nie zdawałam sobie sprawy, że Amanda o nas wiedziała. Tak czy inaczej to stara historia, która nie ma żadnego związku z obecną sytuacją. – Oderwała dłonie od oparcia krzesła i zaczęła nerwowo przechadzać się po kuchni. – Pewnego wieczoru Ben i ja pracowaliśmy do późna. Potem poszliśmy na drinka, bo mieliśmy ochotę spuścić trochę pary, i tak jakoś wyszło. Fakt, że byliśmy kolegami z pracy i że codziennie widywaliśmy się w biurze, podziałał jak przyprawa i nadał przyjemny smak całej tej historii. Jednak bardzo szybko uświadomiliśmy sobie, że nawet to nie uczyni z nas namiętnych kochanków. Nie chcieliśmy, aby ten w gruncie rzeczy dość przypadkowy romans zaszkodził naszej bardzo udanej współpracy zawodowej, zdaliśmy też sobie sprawę, że ciągnięcie tego związku byłoby zwykłą głupotą, ponieważ tak naprawdę żadne z nas nie zaangażowało się emocjonalnie. Postanowiliśmy więc wrócić do poprzedniego układu, do wspólnej pracy i platonicznej sympatii. Cały ten romans trwał może ze trzy tygodnie, na pewno nie więcej, i Ben nie znał jeszcze wtedy Amandy. Kiedy ją poznał, byłam jedną z pierwszych osób, którym powiedział o tej „niezwykłej kobiecie”. Bardzo się ucieszyłam, a gdy się zaręczyli, wydałam na ich cześć przyjęcie, pamiętasz, mammo?

– Tak, wynajęłaś salę w klubie.

Berry kiwnęła głową i spojrzała na Nylanda.

– I to tyle – powiedziała. – To jest ten mój wielki, mroczny sekret! Aż do sceny, którą urządziła mi w szpitalu, Amanda zawsze traktowała mnie bardzo serdecznie. Może dzisiaj zachowała się tak, bo była wstrząśnięta i zaniepokojona stanem Bena, może jej wybuch to opóźniona reakcja na szok wywołany wiadomością, że jej mąż został postrzelony, nie wiem. – Rozłożyła ręce w geście bezradności. – Nie mam pojęcia, kiedy Ben powiedział jej o nas, przed ślubem czy po, a może dopiero dziś rano, gdy się

ocknął i przypomniał sobie, że pogotowie zabrało go z mojego domu w samych bokserkach. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wiem jedno – mój romans z Benem był krótki i łatwy do zapomnienia, i od czasu jego zakończenia nie doszło między nami do żadnych romantycznych wyznań czy sytuacji. I z całą pewnością nic takiego nie wydarzyło się wczoraj. Ben nie zdradził żony, naprawdę!

Ski podniósł się z krzesła, okrążył stół i stanął tuż przed Berry.

– Kiedy wczoraj wieczorem wszedłem do gościnnego pokoju, łóżko było nietknięte.

– Nie mam pojęcia dlaczego. Może Ben siedział na krześle i czytał, może był w toalecie, może... Nie wiem, co robił, bo nie widziałam go od chwili, gdy na górze powiedzieliśmy sobie dobranoc i rozeszliśmy się do swoich pokoi.

– Narzuta na pani łóżku leżała w nieładzie.

– Do czego zmierzasz, Nyland? – odezwał się Dodge.

Ani Ski, ani Berry nie zareagowali. Berry nie wiedziała, dlaczego ta kwestia ma tak wielkie znaczenie, chciała jednak całkowicie to wyjaśnić.

– Zdjęłam ją, zanim poszłam do łazienki wziąć prysznic.

– O co chodzi z tymi łózkami? – zapytał Dodge. – Co za różnica, czy ona i Lofland pieprzyli się jak napalone króliki, czy nie? Ważne jest to, że ten zwariowany Starks...

– Wiem, co jest ważne! – gniewnie przerwał mu Ski, nie odrywając wzroku od twarzy Berry.

– Więc dlaczego ciągle wracasz do sprawy łóżek i pokoi? – rzucił Dodge.

– Jej związek z Loflandem może stanowić motyw postępowania Starksa.

– Powiedziała ci, jak to z nimi było! – warknął Dodge. – Czy wobec tego możemy przejść do innych kwestii?

Jednak Ski nie sprawiał wrażenia człowieka, który jest gotowy przejść do innych kwestii, dopóki dokładnie nie wyjaśni akurat omawianej.

– Ben i ja mieliśmy kilka lat temu pozbawiony znaczenia romans – powtórzyła Berry. – Wczoraj nie wydarzyło się tu nic poza tym, co panu opowiedziałam.

– W porządku! Dobrze, że mamy to już z głowy – stwierdził Dodge.
– Jesteś zadowolony, Nyland?

Ski nawet nie drgnął.

Berry wzięła głęboki oddech.

– W odpowiedzi na pana wcześniejsze pytanie.

– Berry!

– Usiądź, Dodge – powiedziała Caroline.

– Berry ma swoje prawa i nie musi nic więcej mówić!

– Ale może chce!

Berry słyszała ich jak z bardzo daleka. Nyland cały czas wpatrywał się w nią badawczo.

– W odpowiedzi na pana wcześniejsze pytanie... podczas kolacji byłam całkowicie ubrana, rozebrałam się dopiero u siebie w pokoju, bezpośrednio przed prysznicem. To sanitariuszka z pogotowia mi zasugerowała, żebym coś na siebie włożyła. Dopóki nie zwróciła na to mojej uwagi, w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że jestem nago.

Rozdział 11

TO BYŁ SZCZĘŚLIWY WIECZÓR DAVISA COLDARE'A.

– Byle nie tutaj, gdzie każdy może nas zobaczyć! – Lisa Arnold wyjęła jego rękę spomiędzy swoich ud, zepchnęła go z siebie i usiadła, poprawiając top. – Nie na tylnym siedzeniu, daruj! To takie okropnie staroświeckie!

Davis, z pulsującą erekcją i mózgiem przyćmionym mgiełką żądz, nie był w stanie tak od razu wymyślić, gdzie jeszcze mógłby zabrać Lisę Arnold w celu dogłębnego cielesnego poznania.

– No, ale... – jęknął. – Nie mam...

– Jedźmy do motelu. – Lisa skromnie naciągnęła dżinsową spódniczkę na uda, zakrywając terytorium, które Davis przed chwilą badał; nie do końca dziewicze terytorium, rzecz jasna.

– Do motelu? – powtórzył jak idiota.

Pomysł Lisy nie całkiem do niego trafił, głównie z powodu zmysłowego chaosu, który panował w jego głowie.

Lisa otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

– Po prostu jedź przed siebie, dobra? Powiem ci, dokąd.

Zanim komórki mózgowe Davisa wreszcie zaskoczyły, dziewczyna zdążyła już przesiąść się na miejsce obok kierowcy. Krzywiąc się boleśnie, chłopak naciągnął bokserki, po czym przytrzymując dżinsy lewą ręką, wyskoczył na trawę, a następnie usiadł za kierownicą. Włączył silnik i poprowadził samochód wewnętrzną drogą kina pod chmurką, czynnego wyłącznie w miesiącach letnich i akurat tego dnia prezentującego dwa filmy kryminalne. Podobnie jak on i Lisa, większość osób w zaparkowanych tu samochodach bynajmniej nie przyjechała w celu obejrzenia mrozących krew

w żyłach thrillerów.

Gdy wydostali się na autostradę, Lisa kazała mu skrócić w lewo i przypomniała o włączeniu świateł. Wyciągnęła rękę i wsunęła ją za pasek spodni Davisa, ściskając go przez bokserki.

– Nie trać tego, zanim dojedziemy na miejsce – powiedziała.

– Nie ma szans! – sapnął.

Kiedy zaczęła go pieścić, dostał zęza z podniecenia i prawie stracił zdolność widzenia żółtej linii biegnącej środkiem drogi.

– Masz prezerwatywy? – zagadnęła.

– No...

– Bo ja mam – wyjaśniła. – Ale od dziś ty zabierasz je ze sobą, dobra?

– Dobra!

Zgodziłby się na wszystko, oczywiście. Dotarło do niego zresztą tylko sformułowanie „od dziś”, zapowiadające bogatą przyszłość wypełnioną seksualnymi przygodami.

– Już niedaleko, po prawej – powiedziała Lisa. – Nie pamiętam nazwy tego motelu, ale na szyldzie był opos.

Znał to miejsce. Zanedbany motel stał tam od dawna, pewnie jeszcze zanim Davis przyszedł na świat. Przejeżdżał obok niego wiele razy, praktycznie go nie zauważając. Nawet w najśmielszych snach nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia przyjedzie tu z Lisą Arnold, dziewczyną o najwięcej obiecującej reputacji w Merritt High School.

Podjechał do oświetlonej recepcji, nad którą na czerwono błyskał neon informujący o wolnych miejscach. Davis bez najmniejszego trudu doszedł do wniosku, że chociaż wynajęcie pokoju być może pochłonie cały jego dwutygodniowy dochód, zdobycie Lisy jest tego warte. Jego kumple, którzy

mieli już tę przyjemność, poinformowali go, że dziewczyna na pewno i bez wahania zrobi mu loda,, a ponieważ nalegała, aby z tylnej kanapy w samochodzie przenieśli się w jakieś wygodniejsze miejsce, nie mógł wykluczyć, że zamierza przekroczyć granicę swoich standardowych pieaszczot. Na samą myśl o roztaczających się przed nim możliwościach całkiem dosłownie kręciło mu się w głowie.

– Będiesz w stanie przejść z tym parę kroków? – Lisa żartobliwie pociągnęła go za zeszywniałego penisa.

Davis jęknął głucho. Czuł, że jeżeli dziewczyna zbyt szybko doprowadzi go do wytrysku, skona ze wstydu, a potem zabije ją za to, że zepsuła mu całą przyjemność.

– Chyba nie! – Zaniósł się głośnym chichotem. – Daj mi czterdzieści dolców!

Davis uniósł biodra z fotela i zaparł się stopami o podłogę, żeby wyciągnąć portfel z tylnej kieszeni dzinsów. Wyjął z niego dwie dwudziestki, które Lisa sprawnie zgarnęła z jego dłoni. Rzuciła mu przez ramię szeroki uśmiech i wysiadła. Gdy szła w kierunku recepcji, Davis nie spuszczał wzroku z jej tyłka zakrytego spódniczką mini, najkrótszą z możliwych, oraz stringami, o ile w tym wypadku można było mówić o jakimkolwiek zakryciu. Z jego piersi znowu wyrwał się jęk pożądania.

Za ladą w recepcji siedziała tłusta baba z rzadkimi siwiejącymi włosami i niebieskim tatuażem pokrywającym prawie całe zwiotczone ramię. Skrzywiła się lekko, niezadowolona, że ktoś odrywa ją od magazynu, który właśnie przeglądała, złapała podane przez Lisę dwudziestki i z donośnym plaśnięciem rzuciła na blat klucz do pokoju. Cała transakcja trwała najwyżej piętnaście sekund.

Davis ucieszył się, że nie trzeba wpisywać się do książki

meldunkowej, czy coś w tym rodzaju. Był zdecydowany na wszystko, ale wolałby, żeby jego rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli. Lisa należała do tego rodzaju dziewczyn, przed którymi ojciec (mama także, w czasie jednej szczególnie żenującej rozmowy) wielokrotnie go ostrzegał.

Kiedy wróciła do samochodu, spódniczka wysoko podjechała jej na udach, na moment odsłaniając przed nim widok na raj i każąc mu wyrzucić z pamięci kazania rodziców na temat zdrowego rozsądku oraz moralności. Jej znaczące mrugnięcie skutecznie przegnało resztki zapamiętanych ostrzeżeń przed koszmarnymi chorobami i niechcianymi ciążami, które mogły przekreślić plany zdobycia sportowego stypendium do college'u, a nawet dotyczące całego jego dalszego życia.

– Załatwione! – oświadczyła Lisa. – Pokój numer osiem, prosto, do samego końca!

Davis nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że już tu kiedyś była.

Zaparkował przed pokojem numer osiem. Lisa wysiadła. Davis otworzył drzwi od swojej strony i przez chwilę zastanawiał się, czy nie zostawić samochodu na tyłach budynku, żeby nikt nie mógł zobaczyć go od drogi, doszedł jednak do wniosku, że skoro rodzice pojechali na brydża do znajomych na drugi koniec miasta, to na pewno nie będą tędy wracać.

Wciąż przytrzymując jedną ręką dzinsy, na szeroko rozstawionych nogach ruszył do drzwi, przy których czekała na niego dziewczyna.

– Bądź dżentelmenem! – zachęciła go, podając mu klucz.

– Tak jest, proszę pani.

Davis przymierzył się do dziurki, za każdym razem chybiając. Lisa przysunęła się, ujęła biceps chłopaka między swoje fantastyczne piersi, lekko ścisnęła i polizała krawędź jego ucha.

– Mam nadzieję, że kiedy wejdziemy do środka, będziesz lepiej

celował – szepnęła.

Chłopak wreszcie wcisnął klucz gdzie trzeba i przekręcił go w zamku.

– Nie martw się – wymamrotał. – Na pewno trafię!

Pchnął drzwi i wszedł do pokoju. Przesunął ręką po ścianie, szukając włącznika, znalazł go i nacisnął. Niewielkie pomieszczenie zalało jasne światło i wtedy Davis Coldare ujrzał zaskoczonego, potarganego mężczyznę stojącego przy szerokim łóżku. Nietrudno było zgadnąć, że nie spodziewał się tego widoku.

Berry leżała na plecach, wpatrzona w sufit gościnnego pokoju, kiedy Caroline zapukała do drzwi i zapytała, czy może wejść.

– Poszedł już? – odezwała się Berry, gdy matka stanęła w progu.

Caroline uśmiechnęła się lekko.

– Podziękował za deser i kawę, ale chyba i tak nie mógłby zostać, bo odebrał telefon i wypadł stąd, jakby go ścigali – powiedziała. – Dodge pojechał razem z nim.

– Stworzyli zgrany zespół?

– Raczej nie. – Caroline złożyła narzutę z szenili i przerzuciła ją przez oparcie fotela, unikając wzroku córki. – Dodge chciał wiedzieć, czego dotyczył ten telefon, a kiedy Ski wyjaśnił mu, że to sprawa oficjalna, odparł: „W porządku, nie mów! Zdziwią się, gdy zjawię się tam razem z tobą! ”. Ski zauważył, że Dodge nie wie przecież, dokąd on się wybiera, ale ten powiedział, że po prostu pojedzie za nim. I chyba wtedy Nyland uświadomił sobie, że dalsza dyskusja nie ma większego sensu. Dodge wskoczył do terenówki szeryfa i odjechali.

Berry usiadła.

– Może ktoś poinformował Ski o zatrzymaniu Orena.

– Miejmy nadzieję! – Caroline zajęła miejsce na brzegu łóżka,

sięgnęła po dłoń córki i splotła jej palce ze swoimi. – Jesteś dziwnie nieswoja, Berry.

– Ja?! – wykrzyknęła młodsza kobieta. – To samo myślałam o tobie!

– Nieźle, ale ta taktyka nie działała na mnie, kiedy byłaś w szkole średniej, i teraz też nie podziała. Nie uda ci się odwrócić mojej uwagi.

– Poznałaś się na tych manipulacjach?

– Dawno temu, odkąd zaczęłaś je stosować. Nie jestem jednak pewna, czy manipulacja to właściwe określenie. To słowo ma złowrogie, mroczne konotacje, a ty nigdy nie byłaś zła czy złośliwa, tylko po prostu wyjątkowo sprytna.

– Widać nie aż tak bardzo, skoro od razu się zorientowałaś. A ja myślałam, że jestem taka inteligentna!

– Bo jesteś – w głosie Caroline zabrzmiała miękka, poważna nuta. – Jesteś też niezwykle opanowana i prawie nigdy nie tracisz kontroli nad sytuacją. Dlatego zupełnie nie rozumiem, czemu tak ostro reagujesz na wszystko, co mówi Ski...

– Ski? Dodge? Nigdy dotąd nie zaprzyjaźniałaś się tak szybko z dopiero co poznanymi mężczyznami, chociaż...

– Znowu to robisz! Cała ta sytuacja nie dotyczy przecież mnie, tylko ciebie!

– Chociaż wydaje mi się, że ty i Dodge Hanley znacie się nie od dzisiaj – stanowczo dokończyła Berry. – I wcale nie próbuję odwracać twojej uwagi od moich problemów. Dotrzemy do nich, obiecuję, najpierw chciałabym jednak dowiedzieć się czegoś, co wciąż mi umyka, bo czuję się w jakiś sposób wykluczona... – Młoda kobieta położyła się i wsunęła ręce pod głowę. – Więc teraz zamieniam się w słuch. Kim jest ten facet? Znałaś go wcześniej, wiem o tym. Gdyby tak nie było, zbrzydziłoby cię jego

zachowanie i słownictwo!

Caroline westchnęła.

– Dobrze, przyznaję się. Poznałam Dodge’a w Houston kilka lat temu.

– W jaki sposób?

– Przez przyjaciółkę, która wynajęła go, żeby przeprowadził dla niej prywatne śledztwo. Nie czuła się dobrze w tej sytuacji, miała wrażenie, że postępuje jak bohaterka filmu klasy B, a na dodatek mocno niepokoiły ją maniery Dodge’a, więc poprosiła mnie, żebym się z nim spotkała i uczciwie powiedziała jej, co o nim sądzę. Czy sprawia wrażenie odpowiedzialnego, czy moim zdaniem warto go zatrudnić i tak dalej. Naturalnie ja też nie miałam żadnego doświadczenia w tego rodzaju sprawach, ale ona ufała moim zdolnościom oceny.

– Co to za przyjaciółka? Znam ją?

– Tak, ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego?

– Ponieważ zdradziłabym pokładane we mnie zaufanie.

– Czy tata też go poznał? Chodzi mi o Dodge’a.

Caroline parsknęła śmiechem.

– Skądże znowu! Wyobrażasz sobie ich obu w jednym pokoju?

Berry uśmiechnęła się. Jej ojciec był smukłym mężczyzną, niezbyt wysokim, lecz tak dystyngowanym, że skromny wzrost i drobna budowa ciała nie miały żadnego znaczenia. Elegancki, kulturalny, łagodny i opanowany, stanowił całkowite przeciwieństwo Dodge’a Hanleya.

– Nie powiedziałam nikomu, nawet Jimowi, o kłopotach mojej przyjaciółki – ciągnęła Caroline. – To żałosna, upokarzająca sytuacja.

– Niewierny mąż?

– Mogę ci tylko zdradzić, że była kompletnie zdesperowana, zresztą inaczej nie zatrudniłaby przecież prywatnego detektywa, prawda?

Berry długą chwilę zastanawiała się nad słowami matki.

– To dlatego zwróciłaś się do niego o pomoc? – zagadnęła. – Moja sytuacja też wydaje ci się rozpaczliwa i beznadziejna?

– Na razie nie. Dodge Hanley zrobi, co trzeba, aby do tego nie dopuścić.

– Twardy z niego zawodnik.

– Na pewno.

– Nie uznaje zasad, poza własnymi, rzecz jasna. Nic nie jest dla niego święte.

– Nie sądzę, aby przejmował się zasadami, rzeczywiście.

– Jest szorstki i źle wychowany.

– Szkoda, że nie widziałaś go w herbaciarni „U Mabel”!

Berry roześmiała się.

– Zabrałaś go do herbaciarni?

– Musiałam się gdzieś z nim spotkać. – Caroline zamyśliła się na chwilę. – Szczerze mówiąc, zachował się lepiej, niż można było przypuszczać.

– Momentami wydaje się całkiem miły – powiedziała Berry. – Oczywiście jeśli ktoś lubi taki szorstki styl bycia.

– Nie myślałam o nim w takich kategoriach.

Berry żartobliwie trąciła matkę łokciem.

– No, przestań, jest naprawdę miłutki, przyznaj!

– Niektórym kobietom na pewno mógłby się podobać.

Berry uśmiechnęła się, rozbawiona staraniami Caroline, aby nie wyjawić swojej opinii. Kiedy minął okres żałoby po śmierci ojca,

wielokrotnie próbowała zachęcać matkę, aby zaczęła spotykać się z mężczyznami, zwłaszcza po przeprowadzce do Merritt, gdzie nikt nie znał ani jej, ani jej zmarłego męża. Spory procent populacji miasta stanowili ludzie w wieku emerytalnym, nie brakowało tu więc odpowiednich mężczyzn wolnego stanu. Caroline nie chciała jednak słuchać córki.

– Skończyłam z tym – oznajmiła, gdy Berry wystąpiła ze swoją sugestią. – Miałam dobre małżeństwo, spędziłam wiele lat z miłością mojego życia i nigdy więcej się nie zakocham.

Mimo to Berry nadal miała nadzieję, że któregoś dnia matka pozna mężczyznę, który skłoni ją do zmiany zdania. Caroline była piękna i inteligentna, zabawna i mądra. Miała dużo do zaoferowania i Berry z trudem przyjmowała do wiadomości, że jej mama mogłaby przeżyć resztę swoich dni w samotności.

– Lubię Dodge'a – odezwała się teraz, prawie pewna, że Caroline zaraz zakwestionuje jej opinię.

– Naprawdę? – zapytała starsza kobieta poważnym tonem.

– Tak. Najbardziej podoba mi się to, że nie przeprasza, że żyje.

– W takim razie cieszę się, że postanowiłam dalej korzystać z jego usług.

Berry zmarszczyła brwi i wessała dolną wargę między zęby.

– Celem działania Dodge'a jest zminimalizowanie powstałych szkód, prawda?

– Częściowo – odparła Caroline. – Jego zdolności detektywistyczne też są nie do pogardzenia, mógłby przydać się zastępcy szeryfa.

– Jeżeli Nyland zechce skorzystać z jego pomocy.

Caroline w zamyśleniu skinęła głową.

– Mężczyźni zawsze strzegą swojego terytorium, ale Ski wydaje mi

się zbyt inteligentny, aby odrzucić potrzebną pomoc.

Berry wyjęła jedną rękę spod głowy i zasłoniła oczy przedramieniem.

– Ta sprawa z Benem... – odezwała się po chwili milczenia.

– Jesteś dorosła, Berry, i nie musisz zdawać mi sprawy ze swoich związków z mężczyznami.

– Naprawdę? – Berry zerknęła na matkę spod ramienia. – Czy to nie ty ciągle rzucasz niezbyt subtelne aluzje, że chciałabyś mieć wnuki teraz, dopóki nie jesteś zbyt stara i niedołączna, aby się nimi nacieszyć?

Caroline uśmiechnęła się lekko.

– Zależy mi na wnukach, oczywiście, ale rozumiem także, jak ważna jest dla ciebie kariera, ponieważ sama zawsze kochałam swoją pracę. Równoczesne budowanie pozycji zawodowej i wychowywanie dzieci może sprawiać problemy.

– Wcale nie wykluczam założenia rodziny, mamó! Mój zegar biologiczny bije za każdym razem, gdy widzę kobietę w moim wieku z dzieckiem w wózku, a obok niej uśmiechającego się z zachwytem męża. Nie mam nic przeciwko temu, naprawdę! Zapewniam cię jednak, że Ben Lofland nigdy nie wydawał mi się wymarzonym kandydatem na męża. Spędziliśmy razem kilka nocy, to wszystko! Cały ten nasz romans bynajmniej nie zasługuje na uwagę, jaką poświęcił mu szeryf Nyland. Można by pomyśleć, że to sprawa o znaczeniu państwowym.

– Wcale tak tego nie przedstawiał.

– Ale prawie!

– Musi mieć jakiś powód, nie sądzisz?

– Powiedział, jaki ma powód! Chodzi mu o motyw działania Orena!

Caroline utkwiała w córce uważne, czujne spojrzenie, takie, w jakim specjalizują się matki.

– No co? – prychnęła Berry.

– Nic, nieważne.

– Co?

Caroline potrząsnęła głową.

– Och, pomyślałam sobie, że... Ale to zupełnie pozbawione podstaw, naprawdę. Przepraszam, że ci przerwałam.

Berry, doskonale wiedząc, że w tej chwili nie wyciągnie z matki nic więcej, wróciła do poprzedniego tematu.

– Nie zamierzam wkładać włosienicy tylko dlatego, że kilka razy przespałam się z Benem – oświadczyła.

– Cała sprawa nie miałaby takiego znaczenia, gdybyś od początku umiała być szczerą!

– Wiem – przyznała Berry. – Powinnam była o tym powiedzieć.

– Więc dlaczego to zataiłaś?

– Przez Amandę. Nie miałam pojęcia, czy Ben powiedział jej o nas, ale podejrzewałam, że raczej nie. Nie chciałam zaskoczyć jej informacją o przebrzmiałym romansie w tak trudnym dla niej momencie. Ostatecznie jej mąż dopiero co został postrzelony i przeszedł operację. Bałam się, że jeśli powiem wszystko szeryfowi, zupełnie niepotrzebnie otworzę puszkę Pandory. Chciałam oszczędzić Amandzie zdenerwowania, a Benowi kłótni z żoną, którą kocha i podziwia. I co wynikło z moich szlachetnych intencji? Nic dobrego, szczególnie dla mnie!

– Radziłabym ci, żebyś od teraz nie ukrywała niczego przed Nylandem – cicho odezwała się Caroline.

Berry opuściła rękę i spojrzała matce prosto w oczy.

– I uważasz, że powinnam powiedzieć mu o rozmowie telefonicznej z Orenem, którą odbyłam przedwczoraj?

Caroline popatrzyła na nią z przerażeniem.

– Przedwczoraj? – wykrztusiła.

– W czwartek po południu. Oren i ja rozmawialiśmy przez parę minut.

– Nic nie rozumiem! Przyjechałaś tu, żeby przed nim uciec, więc dlaczego do niego dzwoniłaś, na miłość boską?!

– Chciałam go przeprosić.

– Za co?!

Berry przesunęła się na drugą stronę łóżka i opuściła nogi na podłogę. Podeszła do okna i utkwiała spojrzenie w jeziorze, chociaż w gruncie rzeczy widziała tylko własne odbicie w szybie.

– Aby ci to wyjaśnić, muszę cofnąć się w czasie – zaczęła. – Pamiętasz... Och, na pewno pamiętasz tamten dzień, kiedy tak strasznie się wściekłam.

Caroline milczała. Berry odwróciła głowę – jej matka z uporem wpatrywała się we własne dłonie.

– Byłaś bardzo zdenerwowana, Berry, nie bez powodu. Powiedziałaś wtedy wiele rzeczy, jakie mówi się w złości.

– Nie szukaj dla mnie usprawiedliwienia, mamó! Wykrzyczałam to wszystko, bo tak myślałam!

Tamtego dnia jeden ze współpracowników Berry otrzymał pochwałę od szefa działu, który parę chwil wcześniej bez pardonowo skrytykował kilka jej sugestii i pomysłów. Dotknięta do żywego i wściekła, przyjechała do biura matki i przez bite pół godziny dosłownie szalała z gniewu. Powtarzała, jak niesprawiedliwa była krytyka jej pracy i jak mało inspirująca jest wychwalana przez szefa nowa kampania.

– Wyraźnie widać, jaki ma marny gust! – huknęła. – A moja pozycja w firmie zależy od opinii tego pieprzonego głupka!

Caroline usiłowała uspokoić córkę, lecz Berry nie chciała słuchać rozsądnych argumentów. Ze złością odrzuciła radę matki, że powinna spokojnie robić swoje i nie pozwolić, aby tak drobny incydent zakłócił jej dalszą karierę.

– Pracujesz jak szatan, skarbie – westchnęła Caroline. – Nie mam cienia wątpliwości, że jesteś najbardziej zaangażowanym pracownikiem, jakiego zatrudnia ta firma. Ktoś na pewno w końcu to zauważy i wtedy twoja pracowitość i cierpliwość zostaną wynagrodzone.

Łagodna zachęta dołała tylko oliwy do ognia. Berry uznała, że zamiast pełnego zrozumienia, którego oczekiwała, otrzymała jedynie kilka truizmów.

– A może, żeby trafić na szczyt, powinnam dać sobie spokój z całą tą harówką i zrobić to, co ty, czyli po prostu wyjść za szefa, co? – prychnęła drwiąco.

Ledwo wypowiedziała te słowa, a już zdała sobie sprawę, że to nieprawda. Caroline całymi latami harowała do późna, w weekendy i w czasie wakacji. Jej sukces był całkowicie zasłużony, oparty na intuicji i ciężkiej pracy, nie rodzinnych koneksjach.

Wiedziała także, jak głęboko zraniła matkę swoim oskarżeniem, i natychmiast tego pożałowała. Miała świadomość, że Caroline cierpi, ale nie przeprosiła jej. Wypadła z gabinetu, zostawiając matkę porażoną nieoczekiwanym i niesprawiedliwym zarzutem, którego źródłem było coś zupełnie innego niż gniew i rozczarowanie. Ten wybuch ujawnił od dawna skrywaną zazdrość, z jaką Berry obserwowała zawodowe osiągnięcia Caroline.

– Gdy wróciłam do domu, czekał tam na mnie Oren – powiedziała teraz, śmiejąc się niewesoło. – Pamiętam, że pomyślałam, iż taka kara

należy mi się za to, jak okropnie cię potraktowałam. Przyniósł mi jakieś danie od Chińczyka i zaczął mnie upominać, że pracuję za ciężko, za długo, że jem byle co i w ogóle o sobie nie dbam. Nie miałam najmniejszej ochoty wysłuchiwać następnej porcji dobrych rad, szczególnie od niego. I wtedy naprawdę straciłam panowanie nad sobą. Nawrzeszczałam na Orena, kazałam mu zabierać tę chińszczyznę i wynosić się z mojego ganku i życia. Krzyczałam, że mam już dość i że jeśli dalej będzie mnie prześladował, napuszcę na niego policję. Z początku zareagował łagodnie, o mało się nie rozplakał. Pytał, jak mogę być tak okrutna, dlaczego łamię mu serce, pozbawiam go nadziei, niszczę jego marzenia... W końcu mu przerwałam. Powiedziałam, że wszyscy się z niego śmieją, a szczególnie kobiety, że jest nudny jak flaki z olejem, do niczego się nie nadaje i że to nie tylko moja opinia. Że jest obleśny i żaloszny, i niedobrze mi się robi, kiedy na niego patrzę... – Berry potarła powieki, marząc, aby jak najszybciej udało jej się pozbyć przywołanych wspomnień. – Musiałam trafić w jego najczulszy punkt albo może nawet kilka punktów, bo nagle kompletnie oszalał – podjęła. – Na moich oczach przeistoczył się w potwora, w jakąś własną wersję Mr. Hyde’a... Nigdy w życiu nie widziałam tak dramatycznej metamorfozy, chyba że w teatrze. Poczzerwieniał z wściekłości, wyglądał naprawdę strasznie. „Nie możesz mi tego zrobić!” – krzyknął. „Niczym sobie na to nie zasłużyłem!” Rzucił pojemnikiem z jedzeniem w drzwi, wszystko się rozsypało i rozlało. Wyzywał mnie od najgorszych, mówił straszne, obrzydliwe rzeczy. Powiedział, że się nie dziwi, że nie odwzajemniam jego uczucia, skoro cały czas pieprzy mnie Ben Lofland. – Berry zadrżała. – Nie chcę powtarzać tego wszystkiego, zresztą po co... Na koniec oświadczył, że pożałuję, iż go odepchnęłam. Weszłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi na wszystkie zamki. Długo trzymałam komórkę w

ręku, gotowa wezwać policję, ale Oren wreszcie odjechał. Pobiełam do łazienki i zwymiotowałam. Kiedy skończyłam opłukiwać twarz, spojrzałam w wiszące nad umywalką lustro. – Młoda kobieta na moment zawiesiła głos. – I wtedy zobaczyłam, kim naprawdę się stałam, mamó! Takim samym potworem jak Oren. Potraktowałam go w okrutny sposób, powiedziałam mu mnóstwo strasznych rzeczy, a wcześniej byłam okropna w stosunku do ciebie, osoby, którą kocham i szanuję najbardziej na świecie. A dlaczego? Bo trochę dostałam po łapkach w pracy! – Odwróciła się do Caroline. – Chciałam odnieść sukces, sukces za wszelką cenę! Zżerała mnie ambicja, straciłam dystans, rzuciłam na szalę układy ze współpracownikami, znajomymi, przyjaciółmi, nawet z tobą. – Pośpiesznie otarła mokre od łez policzki. – Tamtego dnia Oren naprawdę mnie przestraszył, lecz wcale nie mniej przerażała mnie osoba, którą się stałam. Nie poszłam spać, przesiedziałam całą noc przy zapalonym świetle, obawiając się, że on wróci. Bałam się też, że zmienię zdanie, że jakoś wycofam się z już podjętej decyzji. Jednak kiedy nadszedł ranek, byłam spakowana i przyjechałam tutaj, z nadzieją, że uda mi się przywrócić równowagę mojemu rozchwianemu życiu i odnaleźć tamtą Berry, którą zgubiłam gdzieś po drodze.

Usiadła na brzegu łóżka obok matki, która położyła dłoń na jej plecach i zaczęła je łagodnie głaskać.

– Jestem z ciebie dumna – odezwała się Caroline.

Berry spojrzała na nią i parsknęła krótkim śmiechem.

– Dumna?! Po tym, co właśnie ci powiedziałam?!

– Niełatwo jest zdobyć się na tak brutalną szczerłość wobec siebie, kochanie. – Caroline pocałowała córkę w czoło. – Zatelefonowałam do Orena w czwartek po południu, żeby przeprosić go za to, co powiedziałam mu

tamtego dnia?

– Mniej więcej. Powiedziałałam mu też, że Ben i ja kończymy kampanię, nad którą pracował tuż przed zwolnieniem z firmy, że cały projekt świetnie wypadł i że może być z niego dumny.

– Jak zareagował?

– Neutralnie. Zaskoczył mnie, jeśli mam być szczerą. Nie groził, ale i nie dał mi do zrozumienia, że przyjmuje przeprosiny. Kiedy skończyłam, rzucił jakąś obojętną uwagę i odłożył słuchawkę. Tak czy inaczej myślałam, że jesteśmy kwita, oczywiście do chwili, gdy jednym szarpnięciem rozdarł zasłonę od prysznicza.

– Nie powiedziałaś mu chyba, że ty i Ben będziecie tu pracować w piątek?

– Nie! Jestem jednak prawie pewna, że Oren obserwował mój dom i biuro. Jest wystarczająco inteligentny, aby szybko się zorientować, że pracuję gdzie indziej. Musiał pojechać za Benem, kiedy ten w piątek rano ruszył w drogę do Merritt. Całkiem możliwe, że cały dzień przesiedział w samochodzie w miejscu, gdzie policja znalazła ślady opon, czekając na zmrok, na chwilę, gdy, jak sądził, przyłapie mnie z Benem w łóżku. – Berry podniosła ręce i zaczęła powoli masować czoło, mocno przyciskając palce do głowy. – Cały czas prześladowuje mnie myśl, że próbując pojednać się z Orenem, naraziłam Bena na jego atak, mamo... – powiedziała po chwili milczenia.

– Obudź się, skarbie!

Berry przewróciła się na plecy i jęknęła cicho, nagle wyrwana z głębokiego snu. Odgarnęła pasma włosów z twarzy i otworzyła oczy. Jej matka, tylko w krótkiej bawełnianej nocnej koszuli, stała pochylona nad łóżkiem.

– Która godzina?

– Piętnaście po piątej.

Znowu jęknęła. Po długiej, wywołanej wyrzutami sumienia rozmowie z matką była zbyt zdenerwowana i rozstrojona, aby od razu zasnąć. Kilka godzin przewracała się z boku na bok, aż wreszcie zdecydowała się wziąć łagodny środek nasenny. Teraz, po zaledwie trzech godzinach snu, jeszcze trochę nieprzytomna, powoli przetarła suche, zmęczone oczy.

Jednak ton głosu Caroline wyraźnie świadczył, że coś się stało.

– Wstań i ubierz się, dobrze? Przed chwilą dzwonił Dodge! Powinnyśmy jechać, i to jak najszybciej!

– Dokąd? – Berry zrzuciła z siebie kołdrę.

– Do biura szeryfa.

– Aresztowali Orena?

– Dodge powiedział, że wszystko wyjaśni nam na miejscu – Caroline była już w drzwiach. – Spotkamy się na dole.

Berry włożyła stare džinsy i T – shirt, umyła zęby, ściągnęła włosy w koński ogon i zbiegła na dół. Caroline włączyła alarm i powiedziała, że pojedą jej samochodem.

Kiedy podjechały pod budynek sądu okręgowego, zdziwione zobaczyły czekającego na nie zastępcę szeryfa. Policjant wskazał Caroline miejsce parkingowe i z szacunkiem dotknął dłonią daszka służbowej czapki.

– Stevens, zastępca szeryfa, do usług – odezwał się. – Ski prosił, żebym od razu zaprowadził panie na górę.

Skierował się do wejścia przeznaczonego tylko dla personelu, wstukał cyfry kodu i pchnął drzwi, które otworzyły się z metalicznym kliknięciem. Caroline i Berry poszły za nim do windy, także służbowej, i w mgnieniu oka znalazły się na drugim piętrze, w dużym biurowym pomieszczeniu.

Pierwszą osobą, którą zobaczyły, był Dodge; najwyraźniej też na nie czekał.

Nie marnował czasu na powitania.

– Przykro mi, że wyciągnąłem was z łóżek, ale Ski uznał, że powinniście to jak najszybciej usłyszeć – powiedział i spojrzał na Berry. – Uważa, że może ty będziesz w stanie nam pomóc.

– W jaki sposób? I o co chodzi?

Dodge ściągnął brwi.

– Oren Starks zabił jakiegoś chłopaka.

TTLRR

Rozdział 12

ZANIM TREŚĆ SŁÓW DODGE’A W PEŁNI DOTARŁA DO BERRY i Caroline, ich uwagę przykuł głośny, niekontrolowany szloch. Na ławce pod ścianą siedziało dwoje ludzi w średnim wieku. Przed nimi przykucnął na piętach młodszy mężczyzna w koloratce, obejmując ich oboje i przemawiając do nich cichym, łagodnym głosem.

– To państwo Coldare – powiedział Dodge, którego przyciszony z szacunku głos wibrował wściekłością. – Ich szesnastoletni syn, jedyne dziecko, został zastrzelony kilka godzin temu. Przez Orena Starksa.

Berry nagle zrobiło się słabo. Zachwiała się, lecz Dodge natychmiast ją podtrzymał.

– Spokojnie!

– Usiądź, kochanie – odezwała się Caroline.

Berry spojrzała na pogrążoną w żałobie parę i zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nic mi nie będzie – szepnęła. – Oni stracili dziś syna.

Ski wszedł do dużej sali z mniejszego, położonego

z boku pokoju. Spojrzenia jego i Berry od razu się spotkały.

– Jestem pani winien przeprosiny – rzekł, kiedy przedostał się do nich krętym szlakiem między biurkami.

– Za co?

– Za to, że nie potraktowałem pani słów wystarczająco poważnie. Wydawało mi się, że za bardzo przejmuję się pani Starksem i jego groźbami, ale się myliłem. Przepraszam.

Berry pośpiesznie stłumiła przyływ emocji, z którymi, jak wiedziała, będzie musiała poradzić sobie później.

– Tak czy inaczej dziękuję, że pani przyjechała – ciągnął Ski. – Pomyślałem, że jeśli posłucha pani, co dziewczyna...

– Dziewczyna?

– Nie miałem czasu przekazać wszystkich informacji – odezwał się Dodge.

Ski kiwnął głową.

– Davis Coldare był z przyjaciółką, której nic się nie stało – wyjaśnił. – Jest wstrząśnięta, ale cała i zdrowa. Wybrała zdjęcie Starksa spośród wielu innych, nie miała żadnych wątpliwości.

– Znowu zniknął?

– Chłopak padł martwy, dziewczyna rzuciła się do ucieczki. Wezwała policję z telefonu w recepcji motelu.

– Motelu? – powtórzyła Caroline.

– Takiego z pokojami na jedną noc. – Dodge mocno zacisnął wargi i z żalem pokręcił głową. – To tylko para napalonych dzieciaków szukających materaca, i tyle.

– Kiedy przyjechał pierwszy patrol, Oren Starks dawno się ulotnił – rzekł Nyland.

– Jaki był powód strzelaniny? – zapytała Berry.

– Nie było żadnego powodu.

– Zastrzelił chłopaka bez żadnego powodu, ot, tak sobie?

– Davis Coldare znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. – Ski mówił z tłumionym gniewem, podobnie jak Dodge.

– Mój Boże – szepnęła Caroline.

Berry nie zdołała wykrztusić ani słowa.

– Pomyślałem, że jeśli posłucha pani tej dziewczyny – nazywa się

Lisa Arnold – to może wychwyci pani w jej zeznaniu coś ważnego, co w jakiś szczególny sposób odnosi się do Starksa – podjął Ski. – Coś, co mogłoby nam pomóc. Warto spróbować.

– Oczywiście! Zrobię wszystko, co tylko można!

Nyland uznał chyba, że Berry potrzebuje wsparcia, ponieważ gdy szli przez salę, cały czas trzymał rękę na jej plecach, tuż nad linią bioder.

– Przynieś kawę, Andy – polecił, gdy mijali innego zastępcę szeryfa.

Berry rozpoznała w nim tego, który pojawił się w domu nad jeziorem zaraz po ucieczce Orena.

– Pije pani czarną czy z mlekiem? – zapytał Ski.

– Ze śmietanką, z mlekiem, wszystko jedno.

– Podaj coś do kawy. – Szeryf odwrócił się do młodszego policjanta.

– Pani King?

– Ja przyniosę kawę dla pani King – odezwał się Dodge. – I tak muszę wyjść na papierosa.

Ski zaprowadził Caroline i Berry do niewielkiego pokoju. Gdy zdjął rękę z pleców młodszej kobiety, ta nagle odczuła brak jej ciepła.

Wskazał im prostokątny stół o nogach z brązowego metalu i mocno porysowanym blacie ze sklejki.

– Proszę usiąść tutaj – rzekł. – Oczywiście może pani stanąć przy oknie, jeśli pani woli... Dźwięk przedostanie się do tego pokoju przez wewnętrzny głośnik, więc będzie pani wszystko bez trudu słyszała.

Caroline usiadła przy stole, a Berry podeszła do okna. W sąsiednim pomieszczeniu, przy identycznym stole, siedziała dziewczyna wyglądająca na siedemnaście, góra osiemnaście lat. Towarzyszyła jej starsza o jakieś piętnaście lat kobieta.

– To jej matka? – zagadnęła Berry.

– Macocha.

– A ojciec?

– Zostawił je w zeszłym roku i od tej pory nic o nim nie wiadomo.

Żadna z nich nie jest szczególnie zadowolona, że muszą mieszkać razem, ale nie mają innego wyjścia.

– Gdzie jest jej matka?

– Tego też nikt nie wie.

Lisa Arnold miała pełną, kuszącą figurę, której zmysłowe linie podkreślał brak biustonosza i top oraz króciutka spódniczka. Nie była typową amerykańską dziewczyną z sąsiedztwa, uśmiechniętą, rumianą i schludną; należała do innego rodzaju młodych kobiet, równie łatwo szufladkowanych.

Mimo wyzywającego wyglądu wyczuwało się w niej jakąś wrażliwość, co Berry natychmiast zauważyła. Oczy miała za mocno umalowane, ale łyzy rozmyły tusz i cienie i zostawiły brudne ślady na policzkach. Berry widziała, że ciałem dziewczyny raz po raz wstrząsa głęboki szloch.

Macocha siedziała z założonymi rękami i wpatrywała się w przestrzeń, znudzona, senna albo naćpana, jednak niezależnie od przyczyny całkowicie obojętna na rozpacz pasierbicy.

Wygląd obu kobiet, ich styl ubierania się i język ciała diametralnie różniły się od zachowania i wyglądu oplakujących syna rodziców, którzy modlili się razem z duchownym.

Ski stanął za plecami Berry.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał cicho.

Kiwnęła głową.

– W jaki sposób ta para nastolatków wpadła na Orena?

– Wolę, żeby usłyszała to pani bezpośrednio od dziewczyny.

Dodge i zastępca szeryfa imieniem Andy weszli do pokoju, niosąc kilka styropianowych kubków z kawą, parę jednorazowych opakowań śmietanki i mleczka oraz pudełka ze słodzikami. Dodge rzucił na stół garść mieszadełek i wyciągnął z kieszeni plik papierowych serwetek, które położył przed Caroline.

Uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję, że pamiętałeś.

Odpowiedział uśmiechem i niewyraźnym mruknięciem.

Ski podszedł do drzwi i otworzył je.

– To nie powinno potrwać zbyt długo – powiedział, patrząc na Berry.

– Wróć, jak tylko skończymy, żeby pokazać pani spisane zeznanie.

Gdy zniknął, Berry przygotowała swoją kawę. Zanim wróciła z kubkiem do okna, Nyland był już w sąsiednim pokoju, obok zastępcy, który czekał na nie przed budynkiem, a teraz poprawiał ustawioną na trójnogu kamerę wideo.

Ski powiedział coś do dziewczyny, poklepał ją po ramieniu i zajął miejsce naprzeciwko niej. Berry zauważyła, jak wsunął rękę pod stół i sekundę później usłyszała cichy syk włączonych głośników.

– Proszę zacząć mówić, kiedy będzie pani gotowa, panno Arnold – zabrzmiał jego wzmocniony siłą mikrofonu głos. – Proszę opowiedzieć nam o wszystkim, co się wydarzyło, jak najbardziej szczegółowo. Nie będę pani przerywał, chyba że jakiś punkt będzie wymagał dokładniejszego wyjaśnienia, w porządku?

– Tak. – Lisa wydmuchała nos w chusteczkę, poruszyła się, skrzyżowała nogi i po chwili znowu ustawiła je równoległe do siebie. – Mam patrzeć na pana czy w obiektyw kamery?

– Może pani mówić do mnie, jeśli pani woli.

– Jasne. To znaczy, chyba tak. Od czego mam zacząć?

– Co łączyło panią z Davisem Coldare'em?

– Poznałam go w tym tygodniu. Wcześniej widywałam go w szkole, ale nie mieliśmy żadnych wspólnych zajęć ani nic takiego. Nigdy nie rozmawialiśmy, czy coś w tym rodzaju. W zeszły poniedziałek poszłam na mecz baseballowy. Davis gra w drużynie, to znaczy grał... – Dziewczyna nerwowo czknęła. – Nie pamiętam, na jakiej pozycji, chyba na drugiej bazie. Tak czy inaczej po meczu całą grupą poszliśmy nad jezioro. Ja i Davis zaczęliśmy rozmawiać i trochę pokręciliśmy się razem, wie pan, o co chodzi. Był bardzo miły. Zapytał, czy moglibyśmy wybrać się gdzieś dziś wieczorem.

– I umówiliście się, że pojedziecie do letniego kina, tak?

Lisa kiwnęła głową.

– Niech pani zacznie od chwili, kiedy stamtąd wyjechaliście.

– No, w kinie trochę się rozgrzaliśmy, wie pan... – Pociągnęła nosem.

Ski przytaknął.

– Więc postanowiliśmy pojechać do tego motelu, żeby nam było wygodniej.

Skinął głową.

– Kiedy przyjechaliśmy, poszłam do recepcji, zapłaciłam tej starej, nie wiem, jak się nazywa, a ona dała mi klucz do pokoju numer osiem. Podjechaliśmy tam, wysiedliśmy i podeszliśmy do drzwi. Dałam klucz Davisowi. Bądź dżentelmenem – powiedziałam chyba albo coś takiego. Chodziło mi o to, że powinien przynajmniej otworzyć mi drzwi.

– Aha.

– Nie bardzo mógł trafić kluczem w dziurkę, bo jedną ręką przytrzymał dzinsy. Miał rozpięte spodnie, rozumie pan?

– Ach tak.

Macocha prychnęła znacząco i przewróciła oczami. Dziewczyna rzuciła jej pełne niechęci spojrzenie.

– Och, no bo ty jesteś czysta jak jakaś lilija, nie?

– Proszę mówić dalej, panno Arnold – powiedział Ski, zanim starsza z kobiet zdążyła zareagować.

Jego głos był łagodny, brzmiała w nim jednak rozkazująca nuta, która zapobiegła kłótni. Dziewczyna znowu skupiła na nim całą uwagę.

– No więc... Więc Davis miał problem z otwarciem drzwi, ale w końcu udało mu się. Pchnął je, wszedł do środka i zapalił światło. I wtedy zobaczyliśmy tego gościa, tak samo zaskoczonego jak i my... Spodziewaliśmy się przecież, że pokój będzie wolny, rozumie pan?

Ski kiwnął głową.

– I nagle on... On nagle... – Dolna warga Lisy zadygotała, jej oczy znowu wezbrały łzami. – On nagle strzelił.

– Sięgnął po broń?

– Nie, miał ją w ręku.

– Powiedział coś, zanim oddał strzał?

Dziewczyna przecząco potrząsnęła głową. Słowa nie mogły się przedostać przez jej ściśnięte gardło.

Ski pochylił się nad stołem.

– Chce pani zrobić sobie krótką przerwę? – zapytał.

– Jezu! – syknęła macocha. – Powiedz, co się stało, i zabierajmy się stąd! Mogłabyś to zrobić?

Nyland zignorował ją i powtórzył pytanie, lecz Lisa odparła, że jakoś sobie poradzi. Przysunął jej pudełko z chusteczkami higienicznymi. Wyjęła jedną, otarła oczy i wydmuchała nos.

– Nie odezwał się do was? – podjął Ski, gdy trochę się uspokoiła.

– Nie.

– Miała pani możliwość dokładnie mu się przyjrzeć?

– No tak. Davis zapalił światło, a tamten stał naprzeciwko drzwi, najwyżej dwa metry od nas.

– Powiedziała mi już pani, że był ubrany.

– Tak. Miał na sobie spodnie khaki i granatową koszulę.

– Na podłodze obok łóżka znaleźliśmy parę męskich butów.

– Nie zwróciłam uwagi na jego stopy. Był strasznie potargany, włosy stały mu dęba, dosłownie. I jeszcze te oczy... Oczy miał wytrzeszczone, rozumie pan? Jakby sekundę wcześniej jeszcze spał, jakbyśmy go obudzili, a on nagle zerwał się na równe nogi. I zaraz, na widok Davisa, nacisnął spust.

– Pod wpływem impulsu? Instynktownie?

– Tak. Tak mi się wydaje.

– Nie chciałbym na siłę wyciągać z pani zeznań, naprawdę.

– Nie ma potrzeby. Było tak, jak powiedziałam.

– I jest pani pewna, że to ten człowiek?

Ski otworzył tekturową teczkę, którą trzymał przed sobą, i wyjął z niej powiększone zdjęcie Orena otrzymane z działu kadr w Delray Marketing. Dziewczyna zdecydowanie pokiwała głową.

– Jestem całkiem pewna, że to on.

Ski odłożył fotografię do teczki.

– Co stało się po wystrzale? – zapytał.

Lisa znowu rozplakała się żałośnie.

– Nie wiem! – chlipnęła. – Nie sprawdziłam nawet, co z Davisem! Po prostu odwróciłam się i uciekłam! Pobiegłam do recepcji, gdzie ta stara maciora dalej spokojnie przeglądała magazyn, i wrzasnęłam, żeby

natychmiast wezwała policję. Powiedziałam jej, że Davis został postrzelony, a ta suka na to, że nie chce mieć żadnych kłopotów! Kazałam jej spadać, tej durnej... – Przerwała, zerknęła w kierunku kamery i znowu przeniosła wzrok na Nylanda. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. Proszę mówić dalej.

– Kazałam jej ruszyć tyłek i dzwonić na policję, ale ona tylko założyła ręce na wielkim brzuszysku, więc złapałam telefon i sama wybrałam numer. Nie zauważyłam, że kiedy tamten strzelił, upuściłam torebkę i dlatego nie miałam przy sobie komórki.

– Od odebrania pani wezwania do przybycia pierwszego zaalarmowanego patrolu upłynęło niecałe pięć minut – oświadczył Ski.

– Pięć minut?! – wykrzyknęła Lisa. – Wtedy wydawało mi się, że to cała wieczność!

– Co robiła pani w tym czasie?

Podbródek dziewczyny zaczął drżeć, po chwili cała jej twarz jakby zapadła się w sobie.

– Powinłam była wrócić i sprawdzić, co z Davisem. – Zaszlochała. – Ale tak strasznie się bałam! Nie wiedziałam, czy ten wariat jeszcze tam jest ani co robi! Umierałam ze strachu, że przyleci za mną do recepcji, więc przykucnęłam za ladą. Ta stara suka powtarzała, że jeśli policja zamknie jej motel, to ona sama mnie zabije. Krzyczałam, żeby przestała, żeby wreszcie się zamknęła, ale ona gadała w kółko to samo, aż do przyjazdu pierwszego policjanta.

– Nie widziała pani więcej tamtego człowieka?

– Nie.

– A jego samochodu? W jakim kierunku odjechał?

– Nie wiem. – Lisa osuszyła policzki i wzięła głębszy

oddech, żeby się uspokoić. – Całą resztę pewnie pan zna.

– Możemy już iść? – zapytała macocha.

Ski obrzucił ją wzrokiem, pod którego wpływem mleko zsiadłoby się w ułamku sekundy.

– Dziękuję, panno Arnold – powiedział do Lisy.

– Niech mi pan nie dziękuje! Czuję się okropnie, że zostawiłam tam Davisa!

– Oczywiście trzeba poczekać na oficjalne oświadczenie lekarza sądowego, ale widziałem już wiele ran postrzałowych i wydaje mi się, że w tym wypadku kula trafiła prosto w serce – w głosie Nylanda zabrzmiała łagodna nuta. – Jeżeli tak właśnie było, chłopak zginął na miejscu i w żaden sposób nie mogła mu pani pomóc.

Ski odprowadził Lisę Arnold oraz jej macochę do drzwi, polecił jednemu z zastępców odwiedzić je do domu i zostać na straży aż do odebrania innego rozkazu. Obawiał się, że Oren Starks może postanowić zlikwidować naocznego świadka śmierci Davisa Coldare'a. Ostrzegł już wszystkich pracowników biura szeryfa, żeby pod żadnym pozorem nie zdradzali mediom ani nikomu innemu danych Lisy Arnold.

Ponieważ urząd szeryfa okręgu Merritt nie dysponował własnym wydziałem dochodzeniowym, na pomoc wezwano najbliższą jednostkę Strażników Teksasu. Ski zatelefonował do nich, żeby posłali ludzi do zebrania odcisków palców i innych materiałów dochodzeniowych z pokoju w motelu, i poprosił o informacje. Przedstawiciel Strażników powiadomił go teraz, że zakończył już kompletowanie danych i spakował sprzęt.

– Zostawiam człowieka przed tym pokojem – rzekł Ski. – Nie mam zaufania do właścicielki motelu, podejrzewam, że mogłaby zignorować policyjną taśmę i próbować dostać się do środka. Ta kobieta ma u nas grubą

teczkę, sam dwukrotnie aresztowałem ją za sprzedaż narkotyków. Szczególną słabość przejawia do lekarstw na receptę.

Jego kolega z formacji Strażnicy Teksasu zaśmiał się głośno.

– Tak, już zrugła mnie za to, że robię bałagan w jej eleganckim lokalu!

– Przekaż mi, czego się dowiecie, dobra?

– Jasne, Ski!

Kiedy Nyland w końcu wrócił do grupki w pokoju przesłuchań, zastał zgromadzonych w ponurym nastroju. Kubki po kawie były puste. Caroline i Dodge przywitali go krótkimi kiwnięciami głowy. Berry siedziała przy stole, wpatrzona w patyczek do mieszania kawy, który mechanicznie obracała w palcach. Ski wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

– Ten chłopak zginął przeze mnie – powiedziała cicho.

– Zginął, ponieważ Oren Starks strzelił mu prosto w serce.

Wypuściła mieszadelko z palców, oparła łokcie o brzeg stołu i ukryła twarz w dłoniach.

– Nigdy nie zapomnę szłochu jego rodziców. To moja wina, moja wina.

– Jak to?

Berry milczała.

Caroline patrzyła na córkę, współczując jej całym sercem i starając się ją wesprzeć. Wreszcie Dodge odchrząknął, wydobywając z gardła przerażająco grzechotliwy odgłos.

– Berry uważa, że to jej wina, bo... – zaczął.

– Zadzwoiłam do niego.

– Słucham? – Ski odwrócił się ku niej.

Młoda kobieta zadrżała, wzięła głęboki oddech i wyprostowała się.

– Zatelefonowałam do Orena.

TTLR

Rozdział 13

SKI WPATRYWAŁ SIĘ W NIĄ PRZEZ PARĘ CHWIL, A POTEM przeniósł wzrok na Caroline, która celowo spuściła oczy. Nyland utkwił spojrzenie w twarzy Dodge'a, a ten wymamrotał coś pod nosem i poklepał kieszeń koszuli, szukając papierosów.

– O czym ona mówi? – zapytał go Ski. – Co to znaczy, że zatelefonowała do Starksa?

– Powiedziały mi o tym, kiedy byłeś... – Dodge machnął ręką w stronę drzwi, dając do zrozumienia, że chodzi mu o sprawy, które Nyland załatwiał na zewnątrz.

Później, posługując się typowym dla policjantów słownictwem, krótko i zwięźle opisał naturę rozmowy telefonicznej, streszczoną mu przez Caroline i Berry.

Ski przyjął wyjaśnienia do wiadomości, zamyślił się, próbując doszukać się w nich jakiejś logiki, i zrezygnował. Miał ochotę zapytać Berry, co jej, do cholery, strzeliło do głowy, zorientował się jednak, że powinien poskromić swoje niedowierzanie i przynajmniej trochę złagodzić język.

– Ten telefon... – zaczął. – Dzwoniła pani do niego do domu, na numer stacjonarny czy na komórkę?

– Do domu – odparła. – Dlaczego pan pyta?

– Liczyliśmy, że GPS – em uda nam się zlokalizować sygnał jego aparatu, ale za każdym razem odbieramy informację, że telefon jest wyłączony.

– Oren nie jest taki głupi, żeby nosić ze sobą włączoną komórkę.

– Jasne. – Ski przerwał na moment, starając się odpowiednio

zwerbalizować pytanie, które bardzo chciał jej zadać. – Dlaczego uważała pani, że należą mu się przeprosiny?

– Dodge powiedział panu, jak to było.

– Wolałbym usłyszeć to od pani.

– Wykrzyczałam mu sporo okropnych rzeczy, powiedziałam, że jest żałosny, nazwałam go wariatem.

– Bo nim jest – rzekł Ski.

– Wiem, ale może gdybym wtedy nie zachowała się wobec niego tak okrutnie, nie próbowałby.

– Nie ponosi pani żadnej odpowiedzialności za jego czyny.

Nie zaprzeczyła, nie sprawiała jednak wrażenia przekonanej.

– Zależało mi, żeby się z nim pogodzić. Staralam się być miłą.

Ski znowu popatrzył na Caroline, aby ocenić jej reakcję, ona jednak pośpiesznie odwróciła wzrok. Zdanie Dodge'a było oczywiste – mężczyzna wzruszył ramionami i uniósł brwi, jakby chciał dać Nylandowi do zrozumienia, że kobiety są kompletnie nieprzewidywalne.

Ski spojrzał na Berry, która z roztargnieniem wpatrywała się w punkt pośrodku jego klatki piersiowej.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że przeprosiny mogą pociągnąć za sobą tak przerażające konsekwencje. – Podniosła wzrok i ich oczy się spotkały.

Poczucie winy i rozpacz, które wyczytał w jej twarzy, dotknęły głęboko ukrytej struny w jego sercu. Zapragnął złagodzić jej cierpienie i jednocześnie gorzko pożałował, że zna jego smak.

– Skoro Orenowi chodziło o zemstę, to dlaczego nie zastrzelił mnie?
– kontynuowała. – Dlaczego strzelił do Bena? Dlaczego zabił tego Bogu ducha winnego chłopca?

Wyglądała na tak udreńczoną wyrzutami sumienia, że Ski nie miał serca powiedzieć, co naprawdę myśli – że powinna była dwa razy się zastanowić, zanim postanowiła być miła dla człowieka, który nieustępliwie nękał ją swoimi względami. Nie miał zresztą cienia wątpliwości, że sama wie o tym najlepiej, i zdawał sobie sprawę, iż w żadnym razie nie powinien tego podkreślać.

Doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem będzie zmiana tematu.

– Zwróciła pani uwagę na coś, co powiedziała nam panna Arnold? – zagadnął.

– Raczej nie. Zgadzam się z jej opinią, że Oren najprawdopodobniej spał w tamtym pokoju, pewnie z bronią w ręce. Obudzili go, zaskoczyli i wtedy instynktownie strzelił.

– Trafiając znacznie lepiej niż w wypadku Loflanda – skomentował Dodge.

– Dlaczego i tym razem nie chybił? – z rozpaczą w głosie zapytała Berry.

Wszyscy mieli zadawać sobie to pytanie przez długi czas, oczywiście bez satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Ślady opon idealnie odpowiadające tym, które znaleźliśmy w pobliżu domu nad jeziorem, zostały odkryte za motelem – odezwał się Ski po długiej chwili milczenia. – Zaparkował w gęstym zagajniku, dzięki czemu samochód nie był widoczny ani od strony autostrady, ani od drogi biegnącej za motelem.

– Teraz spróbuje jak najszybciej pozbyć się samochodu – zauważył Dodge. – Porzuci go gdzieś na uboczu.

Ski kiwnął głową.

– Tymczasem wszyscy przedstawiciele służb policyjnych szukają

tego modelu toyoty – mówił dalej. – Wciąż jednak nie znamy koloru ani numeru rejestracyjnego. Słyszeliście, jak powiedziałem Lisie Arnold, że w pokoju numer osiem znaleźliśmy parę męskich butów; wszystko wskazuje na to, że Starks zostawił je tam, uciekając. Mamy ślady butów prowadzące do motelu oraz odciski stóp biegnące z pokoju w kierunku samochodu. Użył tam ręcznika i mydła, co oznacza, że zdobędziemy jego DNA i dopasujemy markery, jeśli kiedykolwiek uda się go złapać. To dobrze, ponieważ będziemy mieli podstawy do postawienia go przed sądem. Ale najpierw musimy go wytropić, a on pozostawia za sobą niewiele śladów. Do pokoju w motelu nie wniósł ze sobą dosłownie nic.

– Poza rewolwerem – uzupełnił Dodge.

– Poza rewolwerem – ponuro powtórzył Ski. – Nie mamy jednak żadnych opakowań po jedzeniu, pustych puszek po napojach ani brudnych ubrań czy bielizny. W koszu na śmieci nie ma nic, zero pokwitowań, rachunków, map, broszur. Niczego, co mogłoby popchnąć nas we właściwym kierunku. – Zawahał się. – Mamy tylko kulę, która nadal tkwi w ciele. Kiedy zostanie wyjęta, porównamy ją z tymi z domu nad jeziorem, no i z tą, którą postrzelił Loflanda. Zakładamy, że nadal ma przy sobie tę broń.

W pokoju zapadła cisza.

– Myślałam, że wszystkie motele i pensjonaty zostały przeszukane – odezwała się wreszcie Caroline. – Czy akurat ten pominęliście?

Ski potrząsnął głową.

– Nasi ludzie sprawdzili go i skreślili z listy. Starks nie zameldował się w recepcji. Wybił w łazience okno wychodzące na tyły budynku i tamtędy wszedł do środka.

– Jak długo tam siedział? – zapytała Berry.

– Nie wiadomo – odparł Ski. – Pokój został wysprzątnięty trzy dni

temu, w każdym razie tak twierdzi właścicielka, i od tamtej pory nie był wynajmowany. Starks mógł tam przyjechać prosto z toalety obok sklepu z przynętą, w piątek w nocy, i spędzić w pokoju cały wczorajszy dzień. Możliwe też, że włamał się dopiero po zmroku wczoraj wieczorem. Potrzebował schronienia, miejsca, gdzie mógłby odpocząć, a na dodatek miał obolałą nogę.

Wyjaśnił zebrany, że ślady potwierdzają kontuzję Starksa.

– Odciski jednej stopy są głębsze, facet cały czas oszczędza drugą nogę. Zobaczył motel i zaryzykował, że pokój będzie wolny przynajmniej przez noc.

– Ale się przeliczył – cicho odezwała się Berry.

Objęła się ramionami i Ski dostrzegł gęsią skórkę, która nagle na nich się pojawiła.

– Nie mogę myśleć o tym, co przeżywają teraz rodzice tego chłopca – mruknęła.

– Przechodzą przez piekło i naprawdę trudno o tym myśleć! – Caroline podniosła się i sięgnęła po torebkę. – To, co spotkało Davisa Coldare’a, może jeszcze w każdej chwili spotkać ciebie, Berry! Oren Starks ma świadomość, że jeśli zostanie schwytany, można będzie postawić go przed sądem i skazać za zabicie Davisa w oparciu o zeznania naocznego świadka, czyli tej dziewczyny. Winą za swojego pecha obarczy ciebie, a to czyni go jeszcze groźniejszym niż do tej pory!

Dodge także wstał.

– Zgadzam się – powiedział.

– Wszyscy zgadzamy się z tym punktem widzenia – dodał Ski. – Zamierzam podwoić liczbę ludzi pilnujących domu nad jeziorem.

– Przenoszę się tam – rzucił Dodge.

Caroline rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Zamieszkać w pokoju, gdzie Starks postrzelił Loflanda. – Dodge popatrzył na nią spokojnie. – Nikt inny nie będzie chciał tam spać. – Odwrócił się do Nylanda. – Lepiej zaprzysięgnij mnie jako jednego z rezerwowych zastępców szeryfa.

– To wymaga szkolenia!

– Uznaj mnie za wyszkolonego!

– Nie mogę tego zrobić, Dodge. Mam do ciebie dość zaufania, żeby...

– Możesz mieć do mnie dość zaufania, aby uwierzyć, że zastrzelę tego skurwysyna, jeśli tylko pojawi się gdzieś w pobliżu. Biorę go na muszkę. Jeżeli go zobaczę, będzie po nim.

Oficjalnie Ski nie mógł aprobować samowoli, jednak to właśnie on musiał poinformować państwa Coldare o śmierci jedyne go syna, a potem towarzyszył im w drodze do kostnicy, gdzie zidentyfikowali ciało Davisa. Piątkowa strzelanina w domu nad jeziorem była aktem zazdrości, osobistą zemstą, incydentem, który początkowo uznał za niewart zamieszania, lecz teraz Oren Starks z zimną krwią zastrzelił niewinne dziecko. Starks nadal miał prawo do uczciwego procesu, ale Ski nie zamierzał się nad nim litować. W głębi serca wierzył, podobnie jak Dodge, że trafi się jakaś możliwość zastrzelenia mordercy.

Kiedy Dodge i Caroline przygotowywali się do wyjścia, matka Berry przypomniała detektywowi, że jego samochód został pod domem nad jeziorem.

– Będziesz musiał pojechać z Berry i ze mną – powiedziała. – Po drodze zatrzymamy się pod Cypress Lodge, żeby zabrać twoje rzeczy.

– Jedźcie we dwoje – wtrącił się Ski. – Ja odwiozę Berry do domu.

– Chciałem porozmawiać z tobą o Sally Buckland – odezwał się Ski,

kiedy byli już w samochodzie.

Berry siedziała sztywno na miejscu pasażera, ze wzrokiem wbitym w przednią szybę, zastanawiając się, czy Ski ma świadomość, że zaczął mówić do niej na „ty”. W ten sposób zostawili za sobą jeszcze jedną formalność. Oboje bez słów zaakceptowali nowy stan rzeczy, zgodnie z którym obecność adwokata Harrisa Carlisle’a przestała być potrzebna. Gdy odjeżdżali spod budynku sądu, Dodge nie ostrzegł Berry, aby nie rozmawiała z zastępcą szeryfa w cztery oczy. Wraz ze śmiercią Davisa Coldare’a stało się absolutnie jasne, kto jest winny w tej sprawie.

Kiedy Berry milczała, Ski zapytał, czy odpowiada jej temperatura w klimatyzowanym wozie.

– Tak, jak najbardziej – odparła. – Czego chcesz się dowiedzieć o Sally?

– Jaka ona jest? Jako osoba prywatna, rzecz jasna.

– Atrakcyjna, ale w skromny, intelektualny sposób. Typ bibliotekarki o bardzo dużych możliwościach.

– Rozumiem. A jej najbardziej charakterystyczne cechy?

– Jej cechy?

Próbując zneutralizować tępy ból głowy, Berry ściągnęła gumkę z włosów i odrzuciła je do tyłu. Nie dość, że bolała ją głowa, to jeszcze czuła się całkowicie wyczerpana. Spała za krótko, była więc senna i osowiała, a oczy swędziały ją ze zmęczenia i od łez. Słońce właśnie wschodziło, ale ten widok nie poprawił jej nastroju. W tych okolicznościach jego wschód wydawał jej się nawet czystą drwiną.

– Jest otwarta i rozmowna? – pytał Ski. – Czy raczej nieśmiała? Opowiedz mi o niej.

– Jest introwertyczką, ale trudno byłoby nazwać ją szczególnie

nieśmiałą. Dokładna, pracowita, sympatyczna, nastawiona na spełnianie pragnień innych. Właśnie dlatego tak jej przeszkadzało, że musiała rozczarować Orena.

– Lubi plotkować?

– Absolutnie nie!

– Kłamie?

– Skądże znowu!

– Jest zawistna? Złośliwa?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Więc dlaczego z uporem twierdziła, że kłamiesz, jeśli chodzi o Orena Starksa? Nie mam teraz żadnych wątpliwości, że wszystko, co o nim mówiłaś, jest prawdą. Można nawet powiedzieć, że oceniłaś go zbyt łagodnie.

– Niestety – szepnęła.

– Nie rób sobie wyrzutów sumienia z tego powodu.

– Nic nie mogę na to poradzić. Nie powinnam do niego dzwonić.

Ski nie odpowiedział, za co Berry była mu szczerze wdzięczna. Miał przecież pełne prawo wyrzucać jej to nieprzemyślane posunięcie.

– Skoro Sally Buckland miała ze Starksem podobne przeżycia co ty, dlaczego powiedziała mi coś zupełnie innego? – wrócił do poprzedniego tematu. – Bardzo mnie to niepokoi! Oskarżyła cię o kłamstwo, jeszcze zanim wspomniałem, że Oren Starks cię prześladował.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Sally wolą skłamać – szczerze powiedziała Berry. – Zupełnie to do niej nie pasuje! Może chciała uniknąć zaangażowania w tę sprawę, nie wiem. Wiem jedno: Sally odeszła z Delray z powodu Orena.

– W ten sposób znowu wracamy do jej kłamstwa. – Nyland ze

zniecierpliwieniem przeczesał włosy palcami. – Cała moja rozmowa z nią była...

– Jaka?

– Dziwna. I nie pytaj, w jakim sensie, bo najzwyczajniej w świecie nie wiem... Po prostu dziwna, i tyle. Prosiłem zastępcę szeryfa z okręgu Harris, żeby wpadł do niej, zadał kilka pytań i trochę jej się przyjrzał, ale nie było jej w domu. Potem dzwoniłem do niej jeszcze parę razy, niestety bez skutku. Wiesz może, gdzie ona teraz pracuje?

– Słyszałam, że w domu, jako wolny strzelec.

– Chciałbym jeszcze z nią porozmawiać, przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Jesteś zajęty.

– Kręcę się w kółko za własnym ogonem, a jedyny widoczny efekt tej bieganiny to martwy dzieciak, który był całym sensem życia swoich rodziców.

Pocieszanie go i nakłanianie, aby nie robił sobie wyrzutów, zupełnie miało się z celem. Berry miała bardzo podobne odczucia.

– Jak powiedział Dodge, tym morderstwem Oren przekreślił swoje szanse na stosunkowo bezbolesne wybrnięcie z sytuacji – odezwała się. – I na pewno czuje presję.

– Mam nadzieję. Zestresowani przestępcy stają się nieuważni i popełniają błędy. Moim zdaniem Starks szybko porzuci ten samochód, o ile już tego nie zrobił, a to oznacza, że będzie musiał ukraść następny, no, chyba że ktoś mu pomaga. Będę skrupulatnie przeglądał raporty o skradzionych wozach, także tych przeznaczonych do użytku publicznego. Może zresztą poszczęści się nam, toyota zostanie zatrzymana w ciągu najbliższych pięciu minut i Starks wysiądzie z niej z wysoko podniesionymi

rękami, kto wie.

– Nie liczyłabym na to!

– Ja też nie.

Berry, która przez chwilę wpatrywała się w profil Nylanda, bez trudu dostrzegła oznaki zmęczenia na jego twarzy.

– Nie oszczędzasz się przy tej sprawie – zauważyła.

– Na tym polega moja praca.

– Jak twoja żona przyjmuje to, że harujesz od świtu do nocy?

Ski odwrócił głowę i spojrzał na kobietę.

– Pytam tylko dlatego, że mam wrażenie, iż od dwóch dni nie miałeś ani jednej wolnej godziny – wyjaśniła pośpiesznie.

– Dopóki nie wsadzę Orena Starksa za kratki, nie wrócę do domu.

– Gdzie mieszkasz?

– Nad jeziorem. Mam motorówkę.

– Gdzieś niedaleko domu mojej mamy?

Ski zaśmiał się cicho.

– Nie, to zbyt droga okolica. Mój dom jest o połowę mniejszy, a działka niewielka, niecałe trzy czwarte akra. Dom jest ładny i przytulny, ale w niczym nie przypomina waszej posiadłości.

– To nie moja posiadłość, tylko mojej mamy.

– To chyba mniej więcej to samo, prawda?

Ski pomachał rezerwowemu zastępcy, który siedział w samochodzie naprzeciwko domu Caroline, i wjechał na podwórko na tyłach budynku. Berry otworzyła drzwi.

– Dziękuję, że mnie podwiozłeś.

Równie dobrze mogła pojechać z matką i Dodge'em. Ski nie miał do niej wielu pytań, a na te, które jej zadał, mogła odpowiedzieć przez telefon.

Wysiadł razem z nią.

– Nie musisz odprowadzać mnie pod drzwi – powiedziała.

– Będę spokojniejszy, jeżeli sprawdzę, czy wszystko w porządku.

– Mama i Dodge zaraz przyjadą, więc nie będę sama. – Berry spojrzała w stronę jeziora, gdzie przy pomoście czuwał inny zastępca. – No i mam dwóch strażników.

– Wolę sprawdzić.

Po co miała się z nim wyklócać? Odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów, po drodze wyjmując klucz spod doniczki z różową pelargonią.

– To średnio bezpieczna skrytka.

– Alarm jest włączony. – Weszła po schodkach, wsunęła klucz w zamek i pchnęła drzwi, automatycznie uruchamiając brzęczyk. – Widzisz?

Szybko wstukała kod. Ski wyciągnął rękę nad jej ramieniem i włączył monitor, sprawdzając, czy od chwili uruchomienia alarmu nie pojawiły się żadne przerwy w działaniu systemu.

– Wszystkie drzwi i okna są zabezpieczone? – zapytał.

– Tak mi się wydaje.

– Mają czujniki wykrywające ruch i stłuczenie szkła?

– Pewnie tak. Mama jest tu zwykle sama i myślę, że dba o swoje bezpieczeństwo.

– W porządku.

Berry położyła torbę na kuchennym stole.

– Napijesz się kawy?

– Dziękuję, muszę uciekać, a ty chyba powinnaś iść spać. Masz za sobą dwie nieprzespane noce.

– Chętnie się zdrzemnę. Później zamierzam podjechać do szpitala i odwiedzić Bena.

Ski lekko zmrużył oczy.

Berry natychmiast przeszła do ataku.

– Nie widziałam go od chwili, gdy wyniesiono go stąd na noszach – powiedziała. – Wczoraj nawet nie weszłam do jego pokoju, wszystko przez tę paskudną scenę z Amandą. Mam chyba prawo odwiedzić przyjaciela!

– Na pewno twój przyjaciel doceni ten gest, ale nie jego żona.

Nacisk położony na słowo „przyjaciel” nie umknął uwadze Berry.

– Nie, ona pewnie nie. Ponieważ ona, tak jak i ty, nie może przejść do porządku dziennego nad tym, że byłam naga w chwili, gdy Ben został postrzelony! Czy to nie jest trochę dziecinne, biorąc pod uwagę całą tę sytuację?

Wyminęła go i ruszyła ku drzwiom prowadzącym do salonu.

– Trafisz chyba do wyjścia, prawda? – rzuciła przez ramię.

Zanim zdążyła zrobić dwa kroki, Ski jedną ręką chwycił ją za przegub dłoni i pociągnął ku sobie.

– Nie mam żony – rzekł cicho. A nie mogę przejść do porządku dziennego nad tym, że byłaś wtedy naga, bo widziałem cię nagą!

Pocałował ją, namiętnie i gwałtownie, bez wahania wsuwając język do jej ust. Pocałunek trwał tylko parę sekund – potem Ski odsunął Berry od siebie, szybko i zdecydowanie. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Potoczył wzrokiem po kuchni, zatrzymując spojrzenie na przypadkowych przedmiotach, i wreszcie popatrzył jej prosto w oczy.

– Mogłabyś narobić mi przez to poważnych kłopotów – powiedział szorstko.

Berry oddychała szybko i płytko. Długą chwilę wpatrywała się w niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem podniosła ręce i splótła palce za jego głowę.

– Do diabła z regulaminem – mruknęła.

Pociągnęła jego głowę w dół, ku sobie, tak samo gwałtownie jak wcześniej zrobił to on. Przywarła wargami do jego ust i, po króciutkim wahaniu z jego strony, znowu zaczęli się całować, jeszcze namiętniej niż za pierwszym razem. Berry pomyślała, że właśnie do tego zmierzali przez cały czas, od owego fatalnego wieczoru. Wzajemna wrogość okazała się obronnym mechanizmem, maskującą mgłą, którą oboje bezskutecznie próbowali się osłaniać. To o to im chodziło, od samego początku.

Jednym ramieniem objął ją w talii, podczas gdy drugą ręką zaczął masować jej pośladki. Chwilę później uniósł ją lekko, aż musiała wspiąć się na palce, i przycisnął mocno, wtulając się w zakątek między jej udami. Ski był twardy i gorący, i Berry zakreśliło się w głowie z rozkoszy.

Jej ciało okazało się ciepłe i spragnione, a gdy wysunęła biodra do przodu, aby zintensyfikować kontakt, z gardła mężczyzny wyrwał się głuchy jęk.

Ich wargi płonęły żywym ogniem. Połączył ich pocałunek, którego doświadcza się tylko raz w życiu. Pocałunek, który łamie wszelkie reguły i odsuwa na bok sumienie, pocałunek czysto seksualny, budzący do życia, płomienny i żarliwy. Pocałunek, który mówi: „Umrę, jeśli nie pójdę z tobą do łóżka”...

Przez głowę Berry przemknęła myśl, że chyba rzeczywiście zaraz umrze.

Że umrą obydwójce...

Chyba że pójdą do łóżka... i pewnie by poszli, gdyby nie usłyszeli zbliżającego się samochodu.

Silnik zgasł, trzasnęły drzwi. Berry i Ski odskoczyli od siebie jak oparzeni. Kobieta pomyślała, że powinna poprawić bluzkę i przyglądzić

włosy, nie miała jednak czasu, bo Caroline i Dodge już wchodzili tylnymi drzwiami.

Na ustach Caroline zamarły słowa. Przystanąła tuż za progiem, ogarniając spojrzeniem córkę i Nylanda. Zatrzymała się tak gwałtownie, że Dodge wpadł na nią, zgniatając torbę z zakupami, którą trzymał w ręku. Natychmiast wyczuł wibrujące w powietrzu gigantyczne napięcie i teraz on z kolei zmierzył zaskoczonym wzrokiem dwoje młodych.

Matka Berry, jak zawsze dyskretna i delikatna, postanowiła zignorować trudny moment.

– Wstąpiliśmy do supermarketu po parę rzeczy na śniadanie – odezwała się miłym tonem. – Mam nadzieję, że przyłączysz się do nas, Ski.

– Dziękuję, ale nie mogę.

Bez słowa przecisnął się między nimi i wyszedł.

Caroline i Dodge odwrócili się, patrząc za nim, a potem skupili uwagę na Berry. Gdyby ktoś wymalował im na twarzach znaki zapytania, na pewno nie wyglądałoby na bardziej zaintrygowanych.

Berry cofnęła się i podeszła do drzwi.

– Nie jestem głodna – powiedziała.

Rozdział 14

Houston, Teksas, 1978

ŚMIERĆ BANKOWEGO STRAŻNIKA PRZEZ KILKA DNI utrzymywała się na pierwszych stronach gazet oraz w czołówkach wiadomości. Media doły ten temat jak mleczną krowę. Strażnik miał zaledwie dwadzieścia cztery lata i padł ofiarą bestialskiego mordu – leżał na podłodze, krwawiąc, już śmiertelnie ranny, kiedy uciekający z łupem napastnik zatrzymał się przy nim i dobił go strzałem prosto w głowę.

Zamordowany był zaręczony z dziewczyną, z którą chodził od liceum; za parę tygodni mieli się pobrać. Pochowano go w garniturze, w którym planował stanąć przed ołtarzem. Rozpacz, której dawali wyraz przed kamerami jego narzeczona i rodzice, głęboko poruszyła wszystkich widzów! Młodego człowieka wychwalali dawni nauczyciele, a przełożony z drużyny skautów opowiadał o jego zaangażowaniu i poświęceniu dla innych. Podczas nabożeństwa za spokój jego duszy wszyscy mieli twarze mokre od łez.

Kompetencje ludzi starających się schwytać rabusia, który przeistoczył się w mordercę, kwestionowane były przez dziennikarzy, urzędników miejskich, pragnących zachować swoje stanowiska, oraz licznych prowokatorów, zawsze chętnych, by podważyć umiejętności policji.

Negatywne opinie w mediach znacząco pogorszyły nastroje członków świeżo sformowanej grupy operacyjnej. Publiczna krytyka nie zaowocowała jednak większą determinacją i rozbudzeniem wzajemnej lojalności, wręcz odwrotnie, podkopała morale i osłabiła zaufanie do współpracowników. Zaczęto się nawzajem oskarżać, nie szczędząc sobie gorzkich słów; zespół podzielił się na grupy i grupki, na podwładnych i szefów.

Wszyscy chcieli też schwytać winnego w trakcie jakiejś widowiskowej policyjnej akcji, która zmusiłaby malkontentów do wycofania się z wcześniejszych negatywnych opinii. Niestety, każdy z policjantów kierował się własnymi celami oraz pragnieniem zabłyśnięcia na zawodowym firmamencie. Nikt nie przyjmował do wiadomości ewentualnej porażki i w rezultacie kłótnie wybuchały kilka razy dziennie.

Napięcie podczas spotkań wzrastało tak bardzo, że Dodge czasami z przyjemnością myślał o swojej pracy w fabryce opon. Tam mógł przynajmniej odpocząć od ciągłych sporów i pyskówek. Nikt się go nie czepiał, oczywiście pod warunkiem, że w odpowiednim tempie opróżniał kosze na śmieci.

Nadal musiał jednak uczestniczyć w spotkaniach grupy operacyjnej, podczas których jego koledzy przekrzykiwali się i ubliżali sobie nawzajem. Na ostatnim zebraniu czerwony z wściekłości kapitan przypomniał Dodge'owi o jego obowiązkach, nie kryjąc, że dopiero co sam został zrugany przez swoich zwierzchników. Całe pięć minut krztusił się ze złości, walił pięścią w stół i zarzucał Dodge'owi, że jego próby nawiązania znajomości z Crystal, dziewczyną Franklina Albrighta, okazały się nieskuteczne.

– Wracaj teraz do tej pieprzonej fabryki i zrób coś! – zakończył swoją tyradę. – Poderwij ją jakoś, Hanley, zdobądź informacje, które pozwolą nam albo posadzić tego skurwysyna, albo skreślić go z listy podejrzanych!

Dodge podwoił wysiłki i po pewnym czasie mógł przedstawić przełożonemu zadowalające wyniki działania.

– Poszedłem wczoraj do działu księgowości, udając, że mam wątpliwości co do kwoty podatku odprowadzanej z mojej pensji – oświadczył. – Wcześniej Crystal i ja kilka razy patrzyliśmy na siebie z

daleka, natomiast wczoraj rozmawialiśmy chwilę i teraz ona wie już nawet, jak mam na imię. Przerwę na lunch robię sobie w tym samym czasie co ona. W poniedziałek zabrakło jej drobnych, więc zaproponowałem, że kupię jej paczkę czipsów z automatu, i po długim zastanawianiu się, wahaniu i wachlowaniu rzęsami wreszcie mi pozwoliła. We wtorek oddała pieniądze. Nie, nie zacząłem się do niej dowalać! – Dodge rzucił pogardliwe spojrzenie gliniarzowi, który zadał mu pytanie. – Nie chcę, żeby uznała mnie za obleśnego prymitywa i uciekała na mój widok! Boże kochany... Ale to idiotyczne pytanie wyjaśnia, dlaczego sam nie możesz umówić się na żadną randkę, gościu! Wracając do rzeczy... w czasie, gdy Crystal miała popołudniową przerwę, ustawiłem się w holu pod damską toaletą, udając, że naprawiam gniazdko. Kiedy wyszła, przystanęła, żeby pogadać. Zapytała, czy mam jeszcze jakieś wątpliwości co do podatku, i powiedziała, że zawsze mogę wpaść do działu płac, a ona mi pomoże. Przyjąłem to jako zaproszenie i dzisiaj planuję tam zajrzeć. Przyjaciółka Crystal, która zwykle jadła z nią lunch, jest teraz na zwolnieniu lekarskim, bo lada chwila będzie rodzić. Wykorzystałem to, usiadłem przy ich stoliku i Crystal nie zgłosiła sprzeciwu. Próbowałem nakierować rozmowę na bardziej osobiste tematy, wspomniałem o ciąży jej koleżanki i zapytałem, czy ma dzieci. Odpowiedziała, że nie, ale w przyszłości chciałaby mieć, tylko oczywiście najpierw musi wyjść za mąż, a na to raczej się nie zanoszą, w każdym razie nie w najbliższym czasie. Zapytałem dlaczego, a ona na to, że jej chłopak nie należy do tych, którzy chętnie zakładają rodzinę. To jej pierwsza uwaga na temat Franklina. Dzisiaj powiedziała, że Franklin jest wspaniałym facetem. Naprawdę wspaniałym, powtórzyła z naciskiem. Tyle że miewa zmienne nastroje. W przeszłości narobił sobie kłopotów z prawem, więc jej rodzice nie mają do niego zaufania, nie lubią go i uprzedzili ją, że dopóki z

nim jest, nie chcą mieć z nią nic do czynienia. Zraniło ją to, ale kocha Franklina, więc go nie zostawi, i już. Wczoraj wieczorem trochę się pokłócili. Czepiał się jej, że flirtowała ze sprzedawcą ze sklepu Radio Shack, chociaż zarzekała się, że to nieprawda. Co może poradzić na to, że facet gapił się na nią jak zaczarowany? Odparłem, że biedak pewnie nie mógł się powstrzymać, a wtedy ona roześmiała się i trzepnęła mnie po ręce. Tak, jasne, można to uznać za flirt, lecz na tym etapie znajomości drobny flirt jest w porządku. Nic nie wiecie o kobietach, naprawdę? Crystal wolałaby, żeby Franklin nie był taki zazdrosny. Na przykład gdyby usłyszał, że codziennie jemy razem lunch, nie ucieszyłby się. Wręcz odwrotnie, powiedziała. Nigdy by nie zrozumiał, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Gdy zapytałem, czy naprawdę jesteśmy tylko przyjaciółmi, zmieszała się, zaczerwieniła i znowu odstawiła ten numer z rzęsami. Były sztywne i czarne, całkiem jak odnóża karalucha, słowo daję. O czym mówiłem? A, tak, zdecydowanie uważam, że posuwam się naprzód! Widzę jeden pewny znak: Crystal wkłada coraz krótsze spódniczki i coraz bardziej wydekoltowane bluzki. I trzeba przyznać, że jest na co popatrzeć. Wam na pewno ślina pociekłaby na widok jej cycków. Dzisiaj położyła rękę na moim udzie. Nie, nie kłamię, idioto! Zrobiła to wyłącznie dlatego, że akurat chciała podkreślić znaczenie czegoś, co mówiła, i trochę gestykulowała, ale mimo to fakt jest faktem. W którym miejscu położyła rękę? Użyj wyobraźni, kretynie! Wystarczająco wysoko, żeby jajka zaczęły mi dzwonić jak gwiazdkowe dzwoneczki! Nie, dziś nic nie mówiła o Franklinie, rzuciła tylko, że lepiej by było, gdyby nie zobaczył nas wychodzących razem z fabryki. A teraz bardzo ważna informacja, być może o kluczowym znaczeniu, więc słuchajcie! Nie, nie dobiegłem do drugiej bazy! Boże, co z was za ludzie? Macie po piętnaście lat czy co? Dacie radę na chwilę się

skupić? No, dobra! Crystal powiedziała mi, że Franklin czasami jeździ na ryby nad Falcon Lake. Umawia się tam ze swoim kuzynem. Czy któryś z was zna choć trochę geografie Teksasu, ignoranci? Falcon Lake leży tuż przy granicy z Meksykiem, gdzie kuzyn Franklina niedawno się przeprowadził, sami rozumiecie. Myślę więc, że... Bingo, kapitanie! Franklin napada na bank, jedzie nad jezioro, wsiada do łodzi i przekazuje łup prosto do rąk kuzyna mieszkającego w starym dobrym Meksyku, a ten pierze tam forszę, która później wraca do Stanów czyściutka jak łożka. Jedyne, co muszę zrobić, to wycisnąć z Crystal informację, kiedy ostatnio jeździł na ryby, i sprawdzić, czy ta data mniej więcej zgadza się z datą ostatniego napadu. Jeżeli tak, Franklin przesuwają się o kilka miejsc w górę na naszej liście podejrzanych. W jaki sposób zamierzam wycisnąć tę wiadomość z Crystal? Chcielibyście wiedzieć, co?

* * *

Caroline ze wszystkich sił starała się nie zasnąć. Tkwiła w tym miejscu już dwie i pół godziny i zostało jej tylko ostatnie pół, obawiała się jednak, że lada chwila zdrzemnie się z nudów.

Znajdowała się już na granicy snu, kiedy przy krawężniku zatrzymał się jakiś samochód. Kierowca wysiadł i bez pośpiechu ruszył w kierunku domu. Przez szybę jego sylwetka wydała jej się zaskakująco duża i Caroline poczuła niepokój, jak zwykle, gdy miała sama pokazywać dom mężczyźnie.

Otworzył drzwi i wszedł do holu.

Kiedy rozpoznała Dodge'a Hanleya, jej serce gwałtownie podskoczyło, tym razem bynajmniej nie ze strachu. Własna reakcja zdziwiła ją i wprawiła w zmieszanie. Minęły całe dwa miesiące od dnia, gdy poleciała mu nie wtrącać się w jej życie i ostrzegła przed poważnymi konsekwencjami wszelkich takich przedsięwzięć. Myślała, że nigdy go już nie zobaczy, ale

oto stał przed nią, a ona zupełnie nie wiedziała, co zrobić z podnieceniem, które ogarnęło ją kompletnie wbrew jej woli.

Podniosła się.

– Hej! – zawołał.

– Hej...

Siedziała na składanym krzeselku przy stoliku do gry w karty, przykrytym złocistą tkaniną i pełniącym rolę biurka. Na prowizorycznym obrusie rozrzucone były ulotki z opisem domu na sprzedaż oraz kilkanaście wizytówek

Caroline. Cieszyła się, że stolik oddziela ją od policjanta, ubranego nie w mundur, lecz w sportową kurtkę i beżowe spodnie.

– Co pan tutaj robi?

Uniósł złożoną gazetę, którą cały czas trzymał w ręku, i wskazał ogłoszenie na stronie z reklamami agencji nieruchomości.

– „Dom można obejrzyć w niedzielę, od czternastej do siedemnastej” – przeczytał. – Jest tu też zdjęcie posesji, adres oraz nazwa agencji: Jim Malone Realty.

– Znam treść tego ogłoszenia – powiedziała. – Sama je zredagowałam, ale to nie wyjaśnia, co pan tutaj robi.

– Dom jest otwarty i można go obejrzyć, tak?

Jego upór był irracjonalnie rozbijający i Caroline z trudem powstrzymała uśmiech. Założyła ręce na wysokości klatki piersiowej, gdzie jej serce wciąż całkiem mocno biło, i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Chce pan kupić dom, panie Hanley?

– Może... – Dodge ogarnął wzrokiem przestronny hol. – Jakie są zalety tego budynku? Tylko niech pani nie mówi mi, że należy do nich ta tapeta!

Udało jej się nie uśmiechnąć, chociaż kosztowało ją to dużo wysiłku.

– Za domem jest bardzo przyjemne podwórko ogrodzone płotem.

– Drewnianym?

– Metalowym.

Dodge ściągnął brwi.

– Podwórko otaczają stare, duże drzewa – ciągnęła Caroline. – Dają cień. Patio wymaga tylko niewielkich napraw.

– Napraw?

– Tak, bardzo niewielkich! Trochę pracy i znowu będzie nadawało się do użytku.

– Hmm... – Dodge zajrzał do salonu i skrzywił się na widok turkusowobrokatowego dywanu. – Paskudne meble!

– Umieblowanie nie jest na sprzedaż.

– Całe szczęście!

– Po odmalowaniu, wymianie tapet i urządzeniu to miejsce zyska zupełnie inny wygląd. Wystarczy odrobina wyobraźni.

– Nieokielznanej wyobraźni!

Świadoma, że to zabawa, Caroline postanowiła nie wychodzić ze swojej roli.

– Dom ma trzy sypialnie, jedną na parterze, dwie na piętrze, dwa kominki, jeden w salonie, drugi w pokoju telewizyjnym przerobionym z garażu podczas kompletnego remontu.

Dodge zerknął na pęknięcie biegnące przez całą szerokość sufitu.

– Który odbył się...?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku.

Gdy znacząco uniósł brwi, nie udało jej się stłumić śmiechu.

– Posesja jest w koszmarnym stanie – przyznała. – Ale to pierwsza

oferta, którą mi powierzono...

– Gratuluję!

– Dziękuję.

Oboje uśmiechnęli się w tym samym momencie.

– Agencja Jima Malone’a – rzekł Dodge. – To gigant na tym rynku, prawda? Jego reklamy widać w całym Houston.

– Mam szczęście, że mnie zatrudnił.

– To on może mówić o szczęściu!

Przyjęła komplement skromnym skinieniem głowy.

– Jego firma działa tu od bardzo dawna, a ja jestem prawie całkiem zielona. Muszę się jeszcze dużo nauczyć.

– I to dlatego zlecili pani tę ofertę?

– Zgłosiłam się na ochotnika.

– Jest pani bardzo ambitna.

– Nie chcę wracać do biura doradcy podatkowego.

– Nie dziwię się! – Dodge znowu się uśmiechnął i spojrzał na leżące na stoliku ulotki. – Dużo osób ogląda dom?

– Jest pan trzeci w ciągu prawie trzech godzin.

– I cały ten czas musiała tu pani siedzieć sama?

– Z początku towarzystwa dotrzymywał mi kot, ale zacząć syczeć na pierwszą parę, która się pojawiła, więc zamknęłam go w spiżarni.

Dodge zerknął na zegarek.

– Wytrzyma pani jeszcze dwadzieścia dwie minuty?

– Cały czas je odliczam i walczę, żeby nie zasnąć.

Umilkli i wymienili ostrożne uśmiechy. Panująca wokół cisza napierała na nich ze wszystkich stron. Obecność Dodge’a budziła w sercu Caroline niepokój, którego przyczyny nie umiała określić. Nawet podczas

rozmowy w sprawie pracy, gdy musiała przekonać samego Jima Malone'a, że mimo braku doświadczenia będzie znakomitym nabytkiem dla jego firmy, nie była aż tak zdenerwowana. Dodge Hanley sprawiał, że czuła się nieswojo i niepewnie, nie wiedziała, co powiedzieć i na czym zatrzymać wzrok.

Może to naturalna reakcja na obecność policjanta? Może... Kierowcy automatycznie zwalniają na widok radaru, nawet jeżeli wcale nie przekroczyli dozwolonej prędkości, więc zapewne to profesja Dodge'a wprawiała ją w ten stan.

A może wciąż czuła się zażenowana sytuacją, w jakiej ją poznał. Miała wtedy policzek zaczerwieniony od uderzenia Rogera i była głęboko poruszona tym, co ją spotkało. Nie potrafiła ukryć wstydu, podobnie jak teraz.

Możliwe też, że jej niepewność ma coś wspólnego z wyglądem Dodge'a. Jego mocne rysy i surowy sposób bycia mogą wskazywać na drżącą w nim gwałtowność, której efekty widziała na własne oczy, prawda? Ostatecznie Roger spędził dziesięć dni w szpitalu po tym, jak Dodge uznał za stosowne wymierzyć mu sprawiedliwość.

Nie obawiała się jednak o własne bezpieczeństwo. Hanley nie stanowił dla niej najmniejszego zagrożenia. Więcej, zachowywał się tak, jakby pragnął ją chronić. Jak prawdziwy dżentelmen. W gruncie rzeczy podobało jej się to, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest to typowo kobieca reakcja.

Tak czy inaczej właśnie ten odruch wywołał u niej to dziwaczne podniecenie. Kiedy Dodge był blisko, Caroline czuła się tak, jakby balansowała na czubkach palców na brzegu bardzo wysoko umieszczonej trampoliny. Było to jednocześnie ekscytujące i przerażające.

Gdy te myśli przebiegały przez jej głowę, cały czas na siebie patrzyli.

Nagle ogarnęło ją palące pragnienie, aby przerwać drażniącą ciszę.

- Nadal jest pan w grupie operacyjnej?
- Jeszcze mnie nie wyrzucili.
- Więc nie znaleźliście sprawcy?
- Pracujemy nad tym.
- To niebezpieczne zadanie?
- Bułka z masłem.
- Nie sędzę.

Znowu umilkli. Caroline wpatrywała się w pajęczynę w kącie, dokładnie za jego głową, a on nie spuszczał z niej wzroku. Czowała jego spojrzenie dotykające jej twarzy.

- Jak tam pana partner?
- Gonzales...
- Właśnie, sierżant Gonzales. Dobrze sobie radzi? – Tak, wszystko u niego w porządku. Wydaje mi się, że swojego nowego partnera polubił bardziej niż mnie, co trochę rani moje uczucia.
- W to też jakoś wątpię.
- W co? Że Gonzales bardziej lubi swojego nowego partnera czy że coś jest w stanie zranić moje uczucia?
- Że bardziej lubi swojego nowego partnera.

Dodge wzruszył ramionami.

- Może próbuje wzbudzić we mnie zazdrość. Uśmiechnęli się do siebie. Jego uśmiech zbladł szybciej.
- A jeśli chodzi o uczucia, to mam je i można mnie zranić.
- Gdyby było inaczej, nie byłby pan człowiekiem.
- Och, jestem człowiekiem, bez wątpienia.

Spojrzał na jej lewą dłoń obciążoną zaręczynowym pierścieniem z

dużym kamieniem.

– Jak postępują przygotowania do ślubu? – zapytał.

Uśmiech, który mu rzuciła, nawet jej samej wydał się trochę sztuczny.

– Świetnie! Wszystko idzie zgodnie z planem, chociaż trzeba jeszcze dopilnować wielu spraw, drobnych i ważniejszych.

– Wziąć udział w przyjęciach.

– Tak, w paru.

– Dwa tygodnie temu widziałem pani zdjęcie w rubryce towarzyskiej w „Chronicle”.

– Czytuje pan rubrykę towarzyską?

– Dawniej tego nie robiłem, ale kilka tygodni temu zacząłem ją przeglądać. Nigdy nie czytałem też niedzielnego dodatku z reklamami agencji nieruchomości, a teraz czytam go co tydzień. – Dodge pozwolił, aby jego słowa wsiąkły w ciszę. – Tak czy inaczej widziałem zdjęcie pani i Camptona – podjął po chwili. – Staliście pod tymi tam... – poruszył palcami nad głową. – Tymi, które wieszają się na drzewach, jak one się nazywają...

– Pod japońskimi lampionami.

– Właśnie... Wyglądało to na ekstraimprezę. W artykule napisali, że był nawet gubernator.

– Rodzice Rogera przyjaźnią się z gubernatorem i jego żoną.

– Aha. Będą na ślubie?

– Są na liście gości.

– A z pani strony? Najbliższa rodzina?

– Nie mam rodziny. Żadnego rodzeństwa, a moi rodzice nie żyją.

– Och, przepraszam.

– Niepotrzebnie! Byłam późnym dzieckiem, rodzice stracili już nadzieję. Okazałam się przysłowiową niespodzianką okresu menopauzy.

– Wspaniałą niespodzianką, rzecz jasna!

Uśmiechnęła się lekko.

– Mama i tata czuli się bardzo szczęśliwi, że mnie mają, a ja miałam szczęście, że trafiłam na takich cudownych rodziców. Należeli do klasy średniej i to napawało ich dumą. Mama była prawdziwą damą, tata dżentelmenem. Oboje lubili i szanowali pracę, kochali Boga, swój kraj i mnie. Dożyli normalnego wieku, ale miałam stosunkowo mało lat, gdy ich straciłam. Bycie sierotą to nic zabawnego.

– Ma swoje plusy.

Spojrzała na niego zdumiona.

Dodge poruszył barkami, zupełnie jakby nagle jego kurtka stała się za ciasna.

– Moja mama była w porządku – rzekł. – Umarła, kiedy kończyłem siódmą klasę. Z ojcem raczej się nie rozumiałem, więc obaj staraliśmy się nie wchodzić sobie w drogę do czasu, gdy mogłem wyprowadzić się z domu.

– Ile miał pan lat?

– Siedemnaście. Wyniosłem się dwa dni po ukończeniu szkoły średniej i jeszcze tego samego lata zapisałem się na zajęcia w Wyższej Szkole Technicznej, nie czekałem nawet na jesienny semestr.

– Ojciec musiał być z pana naprawdę dumny.

– Niekoniecznie. Kiedy mu powiedziałem, że chcę zostać gliniarzem, zaśmiał się i odparł, że jego zdaniem bardziej nadaję się na przestępcę.

– Na pewno zmienił zdanie, gdy otrzymał pan stopień!

– Nie dożył tego. Umarł przekonany, że nic dobrego ze mnie nie będzie.

Caroline nie umiała wymyślić niczego, co nie zabrzmiałoby banalnie,

więc milczała.

- Kto poprowadzi panią do ołtarza? – zagadnął Dodge.
- Drużba Rogera.
- Świetny pomysł!
- No, tak.
- Suknia gotowa?
- W zeszłym tygodniu miałam ostatnią przymiarke.
- Ładna?
- Tak mi się wydaje.
- Na pewno będzie pani wyglądała zjawiskowo.
- Mam nadzieję, że mój narzeczony też będzie tego zdania.
- Musiałby być ślepy!

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Caroline uznała, że hol, w którym siedzieli, dziwnie się skurczył. Powietrze stało się gęste, stary dom zaczął wydzielać zapach pleśni. I chociaż Dodge wciąż znajdował się w tym samym miejscu, ona nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób zbliżył się do niej. Była naprawdę wdzięczna losowi za stół, który oddzielał ją od tego przyprawiającego ją o wewnętrzne drżenie mężczyzny.

Spojrzała na zegarek.

- Jeszcze tylko moment – powiedziała. – Mogę już zacząć zamykać kramik.
- Przykro mi, że nie miała pani żadnych chętnych.
- Cóż, będę musiała zachęcić sprzedających do bardziej agresywnego podejścia.
- Do bardziej agresywnego podejścia?
- Mam na myśli obniżenie ceny.

Dodge parsknął śmiechem.

Spodziewała się, że pożegna się z nią i wyjdzie, lecz on nadal tam tkwił. Wykonała trudny do zinterpretowania gest ręką.

– No... – zaczęła.

– Zaczekam i odprowadzę panią do samochodu. Ten kot mógł się naprawdę potężnie wkurzyć!

Uwolniła zwierzę ze spiżarni. Kot był nadąsany, ale nie wściekły. Wyłączyła wszystkie światła. Zdjęła prowizoryczny obrus ze stolika. Dodge uparł się, że złoży krzeselko oraz stolik. Wsadził je do bagażnika jej wozu i schował do kieszeni jedną z wizytówek. Wreszcie stanęli przy krawężniku, twarzami do siebie.

Caroline nie wiedziała, jak przetrwać tę chwilę, zaczęła więc bawić się kluczykami do samochodu.

– Dziękuję, że pan wpadł.

– Proszę bardzo.

– Miło mieć towarzystwo. Rozmowa bardzo skróciła mi ostatnie pół godziny.

– Nie dałem pani zasnąć, przynajmniej tyle.

– Gdyby zmienił pan zdanie co do ewentualnego zakupu domu...

– Dam pani znać.

Uśmiechnęła się.

– Ma pani ochotę na kawę albo coś w tym rodzaju? – zagadnął po krótkim milczeniu.

– Dziękuję, ale nie mogę. Roger na mnie czeka.

– No, tak. Pewnie woli pani, żeby nie czekał zbyt długo, bo mógłby się zniescierpliwzić.

Gorzka nuta w jego głosie zabrzmiała aż zbyt wyraźnie.

– Roger zachowuje się teraz bez zarzutu – oświadczyła.

– To dobrze.

– Tamten przyjazd pana i oficera Gonzalesa był tylko przypadkowym incydentem.

– Tak pani mówiła. Kilka razy.

– Bo to prawda! Roger bardzo żałuje tamtego zdarzenia, głęboko żałuje. Przysiągł mi, że nigdy więcej nie podniesie na mnie ręki!

– Narzeczony nie musi składać takich przysiąg, bo takie zachowanie nie powinno mu nawet przyjść do głowy, nie sądzi pani?

– Jego skrucha jest szczerą.

Wyraz twarzy Dodge'a pozostał sceptyczny, co skłoniło ją do dalszych prób przekonania go.

– Roger uważa, że pobicie pod siłownią, którego padł ofiarą, było dziełem przypadku, a ja nie starałam się wyprowadzić go z błędu.

Dodge miał to gdzieś, czy Campton wie, że to on był napastnikiem, chociaż naturalnie wolałby, aby jego szefowie o niczym się nie dowiedzieli. Zakładał, że facet sam chroni go przed takim niebezpieczeństwem. Nawet gdyby ten cholerny damski bokser odgadł albo jakimś sposobem poznał tożsamość człowieka, który go pobił, na pewno nie złożyłby formalnej skargi na Dodge'a, ponieważ musiał zdawać sobie sprawę, że w takim wypadku jego zachowanie wobec Caroline wyszłoby na światło dzienne. Nie przypuszczał też, aby młody milioner chciał zmierzyć się z nim prywatnie, wiedział bowiem, że mężczyźni, którzy biją kobiety, najczęściej są tchórzami.

Najwyraźniej obu im odpowiadało więc, by sprawę zostawić w spokoju; Dodge'a tylko czasami ogarniało perwersyjne pragnienie, żeby jeszcze raz utrzyć sukinkotowi nosa.

– Pamiętaj, że napastnik mówił coś szeptem, ale był właściwie

nieprzytomny i niczego nie może sobie przypomnieć – dodała Caroline.

Dodge obrzucił ją jeszcze bardziej powątpiewającym spojrzeniem.

– Uważa, że ma szczęście, iż wyszedł z tego żywy.

– Słusznie – potwierdził.

– Od tamtego czasu zachowuje się po prostu cudownie. Myślę, że wypadek skłonił go do przetasowania hierarchii wartości. Znowu jest tym Rogerem, którego poznałam, i staje na głowie, aby spełnić wszystkie moje życzenia. Jest uroczy i troskliwy, zakochałam się w nim od nowa!

Dodge milczał, lecz jego spojrzenie stwardniało jak kamień.

– Swoją marną opinię o nim opiera pan na jednym incydencie – oświadczyła. – Nigdy nie widział pan prawdziwego Rogera! Wtedy, gdy mnie uderzył, nie był sobą!

– Nie?

– Nie. Gdyby mógł pan zobaczyć go teraz, dostrzegłby pan różnicę i wszystko zrozumiał. Wcześniej nigdy nie widziałam go w takim stanie, a tym bardziej później, po pobiciu.

– Krótko mówiąc, przeszedł tę cudowną przemianę z powodu mojej napaści i dlatego, że otarł się o śmierć, tak pani uważa?

– Tak.

– Bzdury! Ktoś taki nigdy się nie zmieni! Mój staruszek miał rację, jestem gliniarzem, i to cholernie dobrym, głównie dlatego, że potrafię myśleć jak przestępca. Mam instynkt przestępcy, rozumie pani? Ojciec wiedział o tym, a ja teraz przyznaję mu rację. Ludzie zmieniają zachowanie, aby dostosować się do społeczeństwa, w jakim żyją, integrują się z grupą, bo muszą, ale to, jacy są w środku, nigdy się nie zmienia. Dlatego jeśli nawet Campton znowu jest słodki i niezwykle sympatyczny, to nie dlatego, że doznał olśnienia przez Ducha Świętego. Kłamie w żywe oczy, gdy twierdzi,

że nie pamięta, co mówił napastnik. Czaruje panią, ponieważ boi się, że dotrzymam słowa i zabiję go, jeśli znowu zrobi pani krzywdę!

Policzki Caroline zarumieniły się z gniewu.

– Zamierzam wyjść za niego za mąż!

– Bo go pani kocha?

– Tak! Bardzo!

Zrobił krok w jej stronę. Musiała odchylić głowę do tyłu, żeby nadal patrzeć mu w oczy.

– Wie pani, co myślę?

– Nic mnie to nie obchodzi!

– Uważam, że ciągnie pani tę sprawę wcale nie z wielkiej miłości, ale z uporu. Nie życzy pani sobie, aby ktokolwiek kwestionował trafność osądu Caroline King. Nie chce pani, żeby pomyłka wyszła na jaw.

– Nic pan o mnie nie wie!

– Wiem jedno. – Zbliżył się jeszcze o krok. – Wiem, że nie potrafię myśleć o nikim poza panią, do cholery!

Odczuła te słowa jak mocne uderzenie, którego siła wprawiła jej ciało w dziwne, głębokie wibracje. Wstrzymała oddech. Serce biło jej jak oszalałe. Nagle ogarnęło ją pragnienie, aby skoczyć z tej wysokiej trampoliny.

Bała się, że Dodge ją pocałuje. Bała się też, że tego nie zrobi.

Nie zrobił.

Po długiej, pełnej napięcia chwili Caroline odwróciła się, podeszła do samochodu, otworzyła drzwi i wsiadła. Dodge nie próbował jej zatrzymać.

Trzeci raz zostawiła go patrzącego w ślad za nią. Za pierwszym razem wróciła do domu wzruszona troskliwością policjanta. Za drugim poszukała schronienia w biurówcu, poruszona tym, co zrobił Rogerowi, i świadoma, że

jego zainteresowanie nie jest ściśle zawodowe.

Tym razem najzwyczajniej w świecie rzuciła się do ucieczki. Uciekła od niego. Uciekała jednak również przed sobą i kolosalną pomyłką, którą mogłaby popełnić, gdyby została. Następnego dnia rano Dodge przyjechał do wytwórni opon w kwaśnym humorze, przeklinając na czym świat stoi godziny szczytu, wszystkie podłogi, które będzie musiał umyć, a przede wszystkim samego siebie za to, jak zachował się w czasie spotkania z Caroline.

A było całkiem nieźle, w każdym razie na początku. Posunąłby się nawet do stwierdzenia, że ucieszyła się na jego widok, i to nie tylko dlatego, iż zmarnowała niedzielne popołudnie, samotnie siedząc w paskudnym, pustym domu, i w tej sytuacji jakiegokolwiek towarzystwo można uznać za lepsze niż żadne.

Ale oczywiście on musiał rozpuścić gębę na temat jej narzeczonego! I ona natychmiast stanęła w obronie Camptona, i słusznie, skoro planowała wyjść za niego za mąż.

Dodge wiedział jednak, że się nie myli. Caroline King, choć drobna, filigranowa jak laleczka, kręgosłup miała ze stali. Wyczuł to już w chwili, gdy się poznali, kiedy była obolała fizycznie i psychicznie, lecz mimo to zbyt dumna i uparta, by płakać w jego obecności. Strata rodziców w młodym wieku niewątpliwie zmusiła ją do wypracowania większej pewności siebie oraz asertywności albo może ta kobieta po prostu przyszła na świat z tym swoim sztywnym kręgosłupem, a okoliczności tylko wzmocniły w niej te cechy, kto wie...

Tak czy inaczej była uparta jak osioł i właśnie dlatego, w dużej mierze, nie zamierzała zrezygnować z małżeństwa z Rogerem Camptonem.

Dodge zdecydowanie odrzucał możliwość, że Caroline kocha tego

bogatego, przystojnego skurwysyna.

Wczoraj znowu się wściekła. Jak mógł być takim cholernym idiotą? Dlaczego potrafił zagadać każdą kobietę tak, że bez wahania wyskakiwała z ciuchów i zwierzała mu się z najgłębiej skrywanych sekretów, ale kompletnie nie umiał porozumieć się z tą, na której najbardziej mu zależało? Dlaczego w jej obecności giętkość języka natychmiast go opuszczała?

Wrócił do domu, wypił sześć puszek piwa, przez co spał marnie, ponieważ co godzinę musiał wstawać, żeby się odlać, i w rezultacie przyjechał do fabryki w fatalnym nastroju. I pewnie właśnie dlatego na widok Crystal, stojącej za ogromną terenówką z gigantycznymi oponami i obszernie wielkimi błotnikami, pogrążonej w rozmowie ze swoim skłonny do przestępczych wybryków chłoptasiem, bez wahania ruszył przez parking w jej kierunku.

Podszedł blisko i stanął za nią, jak gdyby zapraszał tamtego do konfrontacji.

– Cześć, Crystal! – powiedział.

Odwróciła się gwałtownie, podobna do przerażonego królika unieruchomionego na szosie światłem reflektorów. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od płaczu, a jej mokre rzęsy wcale nie były tak sztywne jak zazwyczaj.

– O, cześć! – rzuciła nerwowo. – To jest... To jest Franklin... Mój chłopak...

Albright zmierzył Dodge'a chłodnym spojrzeniem od stóp do głów.

– Fajny mundurek! – Pochylił się i przeczytał imię wyszyte czerwonymi literami na lewej kieszeni koszuli Dodge'a. – Marvin... – dodał z pogardliwym prychnięciem.

Dodge zignorował go i zwrócił się do Crystal.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał. – Mogę jakoś pomóc?

Franklin Albright mocno szturchnął go w ramię.

– Pomożesz, jeżeli nie będziesz wtykał pieprzonego nosa w nie swoje sprawy, gościu!

Dodge, który tylko szukał pretekstu do walki, pohamował ogromną ochotę zdzielenia Albrighta bykiem w brzuch i poprzestał na zrzuceniu jego ręki ze swego ramienia.

– Uważaj, jak się wyrażasz w obecności damy – powiedział chłodno.

– Wszystko w porządku! – pośpiesznie wtrąciła Crystal. – Wcale nie płakałam, po prostu mam alergię! Sudafed powinien mi pomóc. – Rzuciła Franklinowi niespokojne spojrzenie i ruchem głowy wskazała Dodge'owi bramę wejściową. – Nie chcę, żebyś przeze mnie się spóźnił.

– Masz sudafed? Bo jeśli nie, z przyjemnością mogę skoczyć do apteki!

– Mam całe opakowanie w szufladzie biurka, dzięki. No, leć już! Jeżeli się spóźnisz, każą ci to odpracować!

– No, ty to wiesz najlepiej, panno księgowo! – odparł żartobliwie.

Crystal pozwoliła sobie posłać mu drżący uśmiech. Franklin Albright prawie zazgrzytał zębami ze złości.

Dodge przyjrzał mu się uważnie, starając się wyglądać jak pozujący na twardziela idiota, a potem bez pośpiechu ruszył w kierunku bramy. Tuż przed wejściem obejrzał się na tamtych dwoje i zachichotał w myśli.

– I słusznie przewidywałem, rzecz jasna – powiedział pozostałym członkom grupy operacyjnej na wieczornym spotkaniu tego samego dnia. – Gdy skończyłem zmianę, Franklin już na mnie czekał. Zaatakował mnie zaraz za bramą.

– Uściślij określenie: zaatakował – polecił kapitan.

– Złapał mnie za ramiona i przyparł do ogrodzenia. Nie spuściłem z tonu, ale tylko o tyle, o ile. Nie chciałem, by się domyślił, że gdyby mi zależało, bez większego trudu rozłożyłbym go na łopatki.

– Co powiedział?

– Kazał mi trzymać się z daleka od Crystal.

– Co ty na to?

– Że będę robił to, co mi się podoba, do cholery!

– Jak zareagował?

– Odparł, że mogę robić, co mi się podoba, jasne, zwłaszcza jeśli zależy mi na tym, żeby urwał mi łeb i użył go jako urynału.

– Franklin ma ogromny dar słowa, co? – zakpił jeden z policjantów.

– Dowiedziałaś się, dlaczego dziewczyna płakała?

– W czasie lunchu powiedziała mi, że znowu wspomniała o ślubie i Franklin natychmiast zaprotestował. Ze współczuciem wysłuchałem jej narzekań i oświadczyłem, że facet jest nie tylko brzydki, ale i głupi.

– Co ona na to?

– Roześmiała się. Uważa, że jestem zabawny i miły, i szanuje mnie za to, że mu się postawiłem. Ostrzegła mnie jednak, żebym nie drażnił Franklina, bo podobno gość jest wybuchowy i zawsze ma pod ręką nóż. Powiedziałem na to, że wcale się go nie boję. – Dodge spokojnie wzruszył ramionami. – I tak to zostałem jej bohaterem!

– Ale straciłeś maskę!

– Dlatego, że odegrałem rolę sir Galahada? Raczej nie!

– Albright zwrócił na ciebie uwagę.

– I widzi kompletnego idiotę, który przystawia się do Crystal. Jeżeli nawet teraz się dowie, że ją o niego pytałem, pomyśli, że po prostu próbuję odbić mu dziewczynę. Gdybym wypytywał o niego bez żadnego

widocznego powodu, od razu włączyłby mu się radar i facet nabrałby poważnych podejrzeń.

– Więc na czym stało? – odezwał się kapitan.

– Właśnie, nie wyjaśniłeś nam jeszcze, dlaczego masz obitą gębę! – zauważył inny oficer.

– Franklin uznał, że doszliśmy do porozumienia. Dźgnął mnie palcem w pierś i oznajmił, że mam więcej nie rozmawiać z Crystal, a na koniec zapytał, czy kapuję. „Jasne”, odparłem. „Przecież mogę pieprzyć ją bez gadania, prawda?”...

– O kur...

– Nie powiedziałaś tego!

– Ale numer, Dodge!

– Sam się prosiłeś!

– Oczywiście, że sam się prosiłem! – Dodge uśmiechnąłby się, ale rozcięta warga cholernie go bolała. Dolna i górna powieka prawego oka osiągnęły głęboki, bakłażanowy odcień fioletu i były potwornie opuchnięte.

– Jutro zjawię się w pracy z piętnem Franklina na gębie, a to znaczy, że Crystal będzie chora z poczucia winy! Pod jej dużymi cyckami serce mocno zabije na myśl, że nie ugiąłem się przed potężnym, złym Franklinem. Założę się, że w ten sposób zdobędę jej serduszko oraz lojalność!

– Przecież on powtórzy jej to, co powiedziałaś! Że możesz pieprzyć ją bez gadania!

– A ja zaprzeczę! Będę udawał zgnębionego i obrażonego, że mogła nawet pomyśleć, iż powiedziałem coś takiego. Moje zamiary wobec niej są czyste i honorowe.

– Zaraz się porzygam – zażartował jeden z kolegów Dodge’a.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że ona uwierzy tobie, a nie

Franklinowi? – dopytywał się kapitan.

Rozcięta warga bolała jak wszyscy diabli, lecz Dodge mimo to uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ponieważ chce mi wierzyć – odparł.

Pomyślał o Caroline King i jego uśmiech zbladł.

– Nawet kiedy kobieta ma przed sobą wszystkie dowody, że jej facet jest zły, i tak pragnie wierzyć, że jest od wrotnie – powiedział cicho, prawie do siebie.

TTLRR

Rozdział 15

JAKIE MAM SZANSE?

To pytanie Oren zadawał sobie przez większą część życia. Kiedy tylko los płatał mu paskudnego figla, co zdarzało się dosyć często, starał się określić, na co w danej sytuacji może liczyć.

Nie ulegało wątpliwości, że szanse, iż Oren Starks znajdzie się po pas w gównie, były zazwyczaj bardzo duże, ponieważ pech z uporem powracał.

Piątkowy wieczór okazał się kompletną porażką. „Incydent w domu nad jeziorem”, jak nazywały go media, komuś z zewnątrz mógł wydać się prawie zabawny. I nie bez powodu, ponieważ rzeczywiście przypominał marną farsę, na której zakończenie czarny charakter rzuca się do ucieczki i spada ze schodów.

Biorąc pod uwagę aspekt komiczny, postrzelenie Bena Loflanda prawdopodobnie zostałyby opatrzone mianem czegoś w rodzaju gwałtownej kłótni między dawnymi kolegami z pracy. Nikt nie zginął, stan Loflanda absolutnie nie jest poważny. Pojawiły się co prawda jakieś nieprzyjemne prawne rozważania, ale tak czy inaczej całe zdarzenie szybko zesłoby z czołówek w środkach przekazu.

Jednak teraz, teraz Oren Starks był poszukiwany za zastrzelenie szesnastoletniego chłopca, a to już zupełnie inna sprawa.

Jakie miał szanse?

Ukrycie się w marnym motelu wydawało mu się świetnym rozwiązaniem. Ostatecznie wiele wskazywało na to, że pokój numer osiem pozostanie wolny. Pokoi zostało jeszcze siedem, do ciężkiej cholery! Śmiało mógł obstawiać osiem do jednego!

Ale nie, właśnie ten krowa w recepcji przydzieliła Da – visowi

Coldare'owi i jego dziewczynie! Jakie były szanse, że chłopak okaże się świetnym uczniem, znakomitym baseballistą oraz ukochanym synem i przyjacielem? Skoro ktoś musiał stanąć w drzwiach pokoju numer osiem, dlaczego tym kimś nie mógł być jakiś ćpun, złodziej czy pedofil? Gdyby tak się stało, niewykluczone, że Oren Starks zostałby uznany za bohatera, który uwolnił społeczeństwo od poważnego zagrożenia.

Tymczasem teraz obywatele i wszyscy przedstawiciele prawa w tym stanie gorączkowo rozglądali się za pozbawionym serca mordercą wspaniałego dzieciaka.

Jakie były szanse, że tamta młoda kobieta, świadek zdarzenia, zachowa dość przytomności umysłu, aby później zidentyfikować mordercę? Podobno bez wahania wybrała zdjęcie Orena Starksa spośród wielu innych! I na domiar złego pokazano jej tę cholerną fotografię przeznaczoną dla działu kadr Delray Marketing, której Oren po prostu nie znosił! Zdjęcie w jego prawie jazdy uważał za o wiele bardziej pochlebne. Na tamtym miał zdecydowanie za wysokie czoło, zbyt blisko osadzone oczy i słaby, prawie niewidoczny podbródek.

Jakie były szanse, że Oren będzie musiał zmierzyć się z całkowicie niemożliwą do przewidzenia katastrofą, która przekreśliła i wykluczyła wszelkie możliwości rozwiązań awaryjnych?

Podobnie niewielkie jak szanse na to, że Mike Reader skręci sobie kark, kiedy Starks zepchnie go z karuzeli, a przecież tak właśnie się stało. Tamtego gorącego lata Oren skończył dziewięć lat i mieszkał w Beaumont w Teksasie. Upał był tak straszny, że prawie wszystkie dzieciaki w godzinach południowych siedziały w domu; z tego to powodu Oren i Mike Reader zostali na placu zabaw sami.

Oren zaparkował rower i zbliżył się do drugiego chłopca ostrożnie i z

szacunkiem. Mike, ten mały łobuz, ważył piętnaście kilo więcej niż Starks i przewyższał go o głowę. Jednak mimo całej czujności Oren z radością przyjął to przypadkowe spotkanie, dopatrując się w nim szansy na zrobienie dobrego wrażenia na ogólnie lubianym koledze z klasy. Gdyby Mike i Oren zawarli przyjaźń podczas tamtych wakacji, ten drugi zostałby przyjęty do grupy kumpli tego pierwszego.

Ale Mike ucieszył się na widok chłopca wyłącznie z jednego powodu – wreszcie mógł kogoś podręczyć. Zaprosił drobniejszego kolegę, żeby wsiadł z nim na karuzelę, a Oren chętnie przyjął propozycję. Jednak wtedy Reader błyskawicznie zeskoczył z krzeselka, chwycił jeden z metalowych prętów i biegnąc, zakręcił karuzelą tak mocno, że Oren kurczowo zacisnął dłonie na oparciu i zaczął jęczeć z przerażenia, bo zamiast parku widział tylko rozmazaną smugę.

Mike wskoczył na sąsiednie krzeselko i zaczął ze Starksa drwić. Krzyczał, że Oren nie ma taty, a gdy ten odpowiedział, że jego ojciec umarł, Mike parsknął pogardliwym śmiechem i nazwał chłopca maminsynkiem.

Uparcie wymyślał mu od dziwaków, słabeuszy i idiotów, wrzeszczał, że Oren pewnie sika jak dziewczyna, jak jego matka, siedząc na desce klozetowej. Starks krztusił się łzami i zaprzeczał, ale Mike Reader nie ustępował i zaczął rytmicznie wyśpiewywać swoje obelgi, układając z nich coś w rodzaju piosenki.

Na placu zabaw zapadła cisza, gdy Oren, zmobilizowawszy całą siłę, puścił pręt, którego rozpaczliwie się trzymał, i mocno pchnął swego dręczyciela w pierś obiema rękami. Mike, zupełnie zaskoczony tym śmiałym czynem, runął do tyłu i wylądował na ubitym żwirze. Dało się słyszeć dźwięk podobny do tego, z jakim ktoś łamie na kolanie wyschniętą gałąź.

Raz po raz zerkając na Mike'a Readera, Oren siedział na karuzeli, dopóki nie przestała wirować i nie zatrzymała się. Dopiero wtedy zszedł z krzeselka i zbliżył się do nieruchomo leżącego kolegi. Zwieracze Mike'a puściły w chwili śmierci i chłopak spoczywał w kałuży moczu i kału, co Oren uznał za swoistą sprawiedliwość, biorąc pod uwagę charakter ostatnich drwin.

Miał ochotę spokojnie nacieszyć się widokiem martwego ciała, lecz zamiast tego szybko zdjął koszulę i wytarł nią wszystkie miejsca, w których mogły zostać odciski jego palców. Zatarł też ślady pozostawione na ziemi przez podeszwy jego trampek. Zadowolony, że tak przewidująco usunął wszelkie dowody swojej obecności, wsiadł na rower i popedałował do domu, starając się jechać po chodniku, nie po piasku.

Mieszkańcy Beaumont do dziś uważali, że śmierć Mike'a Readera nastąpiła w wyniku tragicznego wypadku.

Od tamtego popołudnia Oren nie ukrywał przed samym sobą, że najchętniej pozabijałby wszystkich, którzy go źle traktowali. Pragnął wymierzyć każdemu, kto mu dokuczał, tę samą karę, jaka spotkała Mike'a Readera, potrafił jednak zawsze się powstrzymać i wytłumaczyć sobie, że nie warto ryzykować więzienia, ponieważ jego dręczyciele najzwyczajniej na świecie wcale na to nie zasługują.

Zdrada Berry Malone należała jednak do zupełnie innej kategorii i była jedyna w swoim rodzaju. Właśnie dlatego zemsta musiała mieć odpowiednią wagę.

Obiecał sobie, że ujrzy ją martwą, i zamierzał dotrzymać słowa. Szkoda tylko, że jego początkowy plan wziął w łeb i teraz, jeśli nie wykaże się sprytem, jak nic zostanie aresztowany za zastrzelenie tego małego Coldare'a, podczas gdy Berry będzie żyła długo i szczęśliwie. Nieukarana,

co było po prostu nie do pomyślenia.

Cała ta katastrofa miała jeden pozytywny aspekt: Oren Starks zdążył już przywyknąć do zmagania z pechem i zdobyć spore doświadczenie w tej dziedzinie. Wiedział na przykład, że w żadnym razie nie należy wpadać w panikę i że załamywanie rąk nad czymś, co poszło nie tak, jest pewnym sposobem na zadarczenie się poczuciem winy.

Po śmierci Mike'a Readera wrócił do domu, włączył telewizor, zjadł obiad złożony z paluszków rybnych oraz cheeseburgera i wykapał się, cały czas zachowując się najzupełniej normalnie. Tak normalnie, że nawet jego własna matka nie zgadła, iż to on jest sprawcą tragedii, jaka wydarzyła się dwie przecznice od ich domu. Kiedy usłyszał syreny radiowozów i karetki pogotowia, jego jedyną reakcją było pogłóśnienie telewizora.

Młody Coldare nie żył i nic nie mogło już tego zmienić. Oren musiał przyjąć ten fakt do wiadomości i jakoś sobie z tym poradzić. Nie miał innego wyjścia. Należało zachować spokój i działać w przemyślany sposób. Rozwiązywanie problemów stanowiło jego mocną stronę. Im bardziej skomplikowana zagadka, tym chętniej zabierał się do pracy. Wyjście z każdego labiryntu wymagało cierpliwości i zdolności logicznego rozumowania.

Był pewien, że istnieje jakaś ścieżka prowadząca do wyjścia z tego bagna. Musiał ją tylko znaleźć.

Gdyby nawet los zaczął realizować najgorszy z możliwych scenariuszy, Oren miał, rzecz jasna, przygotowaną drogę ucieczki, lecz w tej chwili stał przed ścianą. A wcale się tego nie spodziewał. Mógł tylko spróbować się wycofać. Z goryczą przyznał sam przed sobą, że aby w ostatecznym rozrachunku odnieść zwycięstwo, trzeba zgodzić się na pewne poświęcenia.

Po pierwsze, śmierć Bena Loflanda nie była mu do niczego potrzebna. Lofland i tak bał się go jak wcielonego diabła, a na dodatek wyszedł na idiotę, ponieważ dał się przyłapać z gołym tyłkiem, dosłownie. Starks uznał, że Lofland co prawda nie poniósł zasłużonej kary, ale na razie wystarczało samo jego przerażenie, podobnie jak doświadczany ból.

Natomiast Berry musiała umrzeć. Inna możliwość po prostu nie wchodziła w grę. Oren zdawał sobie sprawę, że nie zazna spokoju, dopóki jej nie zabije.

Jednak jak osiągnąć ten cel? Wszyscy ludzie z jej otoczenia byli w stanie pogotowia. Jego twarz i dane opublikowano w mediach. Każdy, nawet tylko z grubsza do niego podobny mężczyzna mógł zostać natychmiast aresztowany, jeśli nie zastrzelony, przez jakiegoś nadmiernie czujnego stróża prawa. W tej sytuacji ukrycie się było najlepszym rozwiązaniem.

Z drugiej strony, czekanie na dalszy rozwój wypadków wydawało się całkowicie bezproduktywne, a na dodatek nudne. Najgorszym zaś rezultatem tego biernego wyczekiwania był fakt, że Berry nadal żyła.

Jednak gdyby ktoś go zauważył i rozpoznał...

Nagle Oren doznał olśnienia i ujrzał wyjście z labiryntu.

Wywołać zamieszanie! Tak, tak! Zmyli ich, niech się pogubią! Trochę sprytu, umiejętność kalkulacji, wybór odpowiedniego momentu, odrobina szczęścia (należało mu się, czyż nie?) i Berry oraz chroniący ją ludzie zaczną rozpaczliwie drapać się po głowie, usiłując zrozumieć to, czego i tak nie da się pojąć.

Taka perspektywa napełniła Orena ogromną radością.

Rozdział 16

POCAŁOWAŁ BERRY.

Świat zmierzał prostą drogą do szaleństwa, a Ski Nyland pędził do tego celu trasą szybkiego ruchu i nie był w stanie zwolnić, ponieważ bez przerwy myślał o tamtym zdarzeniu. Pamięć podsuwała mu wspomnienia tego, jak idealnie jej długie, smukłe ciało pasowało do jego ciała, jak cudowny smak miały jej wargi, oraz wielu innych rzeczy, równie poruszających.

Nie mógł się w nie zagłębiać; równie dobrze mógłby wybrać się teraz na ryby albo spróbować odespać dwie nieprzespane noce.

Od Caroline pojechał prosto do domu. Ogolił się, wziął zimny prysznic i zanim przebrał się w czyste rzeczy, dzbanek ekspresu już się napełnił. Ski nalał sobie kawy do kubka termicznego, masłem orzechowym grubo posmarował kromkę czerstwego chleba, złożył ją na pół i pochłonał, wychodząc z domu do samochodu. Kawa była mocna i gorzka, i tak gorąca, że sparzył sobie język.

Język, który tańczył z językiem Berry.

Zajmie się pracą i szybko zapomni o erotycznych doznaniach, które teraz nie dawały mu spokoju. Nie przypuszczał, by udało mu się całkowicie je przegnać, ale skupienie na podstawowym zadaniu, którym było schwytanie Orena Starksa, powinno znacznie je osłabić.

Tak czy inaczej wszystkie sprawy prywatne wydawały się nieprzyzwoicie egoistyczne w sytuacji, gdy morderca młodego Coldare'a wciąż przebywał na wolności.

Jadąc w kierunku motelu, którego właścicielkę zamierzał ponownie przesłuchać, wybrał domowy numer szeryfa Drummonda. Pani Drummond

poinformowała go, że mąż jest pod prysznicem i oddzwoni.

Ski zatelefonował do biura. Przy centrali siedział Andy. Nyland powiedział mu, dokąd jedzie, i poprosił o wiadomość, gdyby ktoś zadzwonił z istotnymi informacjami.

Dopił reszkę kawy z kubka i odebrał połączenie z komórki.

– Dzień dobry, szeryfie! – odezwał się, nie sprawdzając numeru na wyświetlaczu.

– Tu Stevens, nie szeryf. Znalazłem samochód.

Reklama motelu z oposem znajdowała się kilkadziesiąt metrów przed nim, lecz Ski zawrócił z piskiem opon. Od miejsca, w którym Stevens natrafił na brązową toyotę, dzieliło go mniej więcej osiem kilometrów. Przejechał tę odległość z migającym kogutem na dachu. W niedzielny ranek panował niewielki ruch, dzięki czemu droga zajęła mu tylko parę minut.

Zastępca szeryfa stał przy drzwiach toyoty od strony kierowcy.

– Na pewno nie ma tam żadnych odcisków stóp? – zawołał Nyland, wysiadając z samochodu.

– Nie z tej strony! Nie stałbym tu przecież.

Stevens pracował w biurze szeryfa piętnaście lat dłużej niż Ski, był jednak spokojnym facetem i nie obraził się, kiedy w czasie rozmowy przez komórkę młodszy kolega kilka razy przypomniał mu, aby nie zniszczył śladów lub ważnych dowodów.

– Szkoda, że nie znalazłem go śpiącego za kierownicą! – rzekł Stevens.

– Szkoda, jasne!

– Chętnie skułbym mordę temu skurwysynowi.

– Daj spokój!

Nyland oparł dłonie na kolanach, schylił się i zajrzał do wozu. Na

przednich i tylnych siedzeniach nic nie leżało. Kluczyk nadal tkwił w stacyjce.

Szanse, że Starks wróci po samochód, były bliskie zera.

– Jakim cudem wysiadł, nie zostawiając żadnych śladów?

– Z drugiej strony – odparł Stevens.

Ski obszedł maskę od przodu, by uniknąć naruszenia odcisków opon w mokrej ziemi. Stevens także wykazał się przytomnością umysłu i zatrzymał radiowóz daleko z tyłu. Czekają ich porównanie tych śladów z pozostawionymi w pobliżu domu nad jeziorem i motelu.

Ski uważnie przyjrzał się odciskom butów. Wysiadając, Starks zostawił wyraźny prawej stopy i głębszy lewej, a obok tylko częściowo widoczny prawej. Dalej trop stawał się znacznie mniej czytelny. Facet mógł się ukryć właściwie gdziekolwiek. Przed nimi rozpościerało się otwarte pole graniczące z linią kolejową. Po drugiej stronie torów widać było następne pole, na którego krańcu zaczynały się zabudowania przemysłowe Merritt – rozmaite magazyny, budynek firmy transportowej, hurtownia artykułów papierniczych oraz fabryka roboczych rękawic.

Nylanda znacznie bardziej niepokoiły opuszczone budynki firm, które dawno temu zbankrutowały lub zmieniły siedzibę. Duże, wielopiętrowe, mniej lub bardziej zniszczone, stanowiły ogromny zbiór potencjalnych kryjówek. Dalej znajdował się teren szkoły średniej, miejski park z ogólnie dostępnym basenem oraz boiska do gry w piłkę nożną i baseball.

Zaledwie parę dni wcześniej, w poniedziałek, właśnie tam swój ostatni mecz zagrał Davis Coldare.

Ski zaklął paskudnie, szukając ratunku w szczególnie wulgarnym języku, którego nauczył się w wojsku. Stevens stał obok niego, rozsądnie milcząc i rytmicznie przesuwając żdźbło trawy z jednego kącika ust w drugi.

Za ich plecami, po przeciwnej stronie ulicy, widać było rząd domów mieszkalnych. Zbudowane na obrzeżach robotniczej dzielnicy co najmniej siedemdziesiąt lat temu, należały do ludzi, którzy ciężko pracowali na utrzymanie swoich rodzin. Przed jednym z nich stała przyczepa do przewożenia bali drewna.

– Rozmawiałeś z mieszkańcami? – odezwał się Ski.

Stevens potrząsnął głową.

– Nie chciałem oddalać się od samochodu, bo ktoś mógłby przypadkiem zdeptać ślady, ale od mojego przyjazdu nikt się tu nie kręcił.

Parę sekund wcześniej na miejsce przybyło trzech innych zastępców szeryfa. Ski zobaczył ich i natychmiast ostrzegł, aby obeszlą toyotę szerokim łukiem.

– Zastrzelę każdego, kto zniszczy choćby najmniejszy dowód! – zawołał, bynajmniej nie żartem.

Jednemu z kolegów zlecił przejście się po domach i popytanie lokatorów, czy nie widzieli mężczyzny, który zostawił w pobliżu samochód. Gdyby ktoś udzielił takich informacji, mieli natychmiast go przyprowadzić.

Nyland stanął na środku ulicy oparł ręce na biodrach i powoli obrócił się wokół własnej osi, szukając wzrokiem jakiegokolwiek wskazówki, dokąd mógł udać się Starks. Czy w tej chwili znajdował się gdzieś w pobliżu, czy wiele kilometrów stąd? Niewykluczone, że cały czas obserwuje mnie ze swojej kryjówki – pomyślał Ski – na przykład z zakurzonego okna jednego z pustych magazynów.

Zastanawiał się, czy porzucił samochód akurat tutaj z konkretnego powodu. Raczej nie. Nie znaleźli przecież żadnych innych śladów opon, które wskazywałyby, że ktoś po niego przyjechał. Ski był zdania, że Starks ruszył spod motelu i dopiero tutaj w pełni do niego dotarło, co zrobił.

Przestraszył się, że brązowa toyota mogła zwrócić czyjąś uwagę, na przykład kogoś, kto przejeżdżał obok motelu w momencie, gdy padł fatalny strzał. Albo może pomyślał, że Lisa Arnold widziała, w jakim kierunku się oddalił.

Niezależnie od tego, co działo się w umyśle Starksa, było jasne, że facet potrafił rozumować wystarczająco racjonalnie, aby sobie uświadomić, że musi zostawić samochód i uciekać dalej pieszo. Najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że to miejsce jest równie dobre jak każde inne. W tej części miasta nie ustawiono jeszcze latarni, a liczba osób, które mogły pojawić się na ulicy, ograniczała się do mieszkańców okolicznych domów.

Starks uciekł z samochodu w skarpetkach i był to punkt dla policji. Ski odwrócił się do Stevensa.

– Jesteś naszym najlepszym specem od odcisków. Leć do samochodu po swój sprzęt i przeczesz cały teren gęstym grzebieniem!

– Jasne! – Stevens posłusznie ruszył do wozu.

Ski spojrzał na pozostałych zastępców.

– Zaraz zadzwonię po posiłki, ale na razie zaczynajcie sami – powiedział. – Starajcie się jak najdalej dotrzeć tropem Starksa, sprawdźcie, czy po drugiej stronie torów są jeszcze ślady. Przeszukajcie wszystkie te opuszczone budynki, od parteru po dach, powoli i dokładnie, centymetr po centymetrze. Zwracajcie uwagę na wszystko, co wyda wam się świeżo ruszane albo w jakikolwiek sposób nienormalne. Jeżeli coś znajdziecie, niczego nie dotykajcie i starannie zabezpieczcie ślady. No i natychmiast dajcie mi znać! Przekażcie to innym, kiedy tu dotrą.

Skinęli głowami.

– Przy telefonie w biurze siedzi Andy – kontynuował Ski. – Powiem mu, żeby odszukał właścicieli tych posesji i uzyskał ich pozwolenie na

wejście do środka. Szukajcie śladów włamania, uszkodzonych alarmów, czegokolwiek, co odbiega od normy, kapujecie? To samo dotyczy budynków szkolnych. Chcę mieć informacje na bieżąco.

– Dobrze, Ski. Dokąd idziesz?

– Pogadać z szefem.

Jego komórka dzwoniła dwa razy, ale nie odebrał, wiedząc, że to Drummond. Teraz ponownie wybrał jego domowy numer.

– Ski? – szeryf odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry, szefie. Muszę zająć panu parę minut.

– W sprawie chłopaka Coldare'ów? Działalem w klubie rotariańskim razem z jego dziadkiem. Co za tragedia! Jesteś pewny, że zastrzelił go Starks?

– Tak, szefie, zidentyfikował go naoczny świadek. Za pięć minut mogę być u pana.

– Chcielibyśmy zdążyć na nabożeństwo o jedenastej.

– To nie potrwa długo – zapewnił szeryfa Ski.

Natychmiast się rozłączył, nie pozostawiając najmniejszej szansy na protest. Kiedy podjechał pod jego dom, pani Drummond siedziała już w lincolnie z włączonym silnikiem, a sam szeryf czekał na końcu podjazdu, ubrany w najlepszy garnitur, z Biblią w jednej ręce i stetsonem w drugiej.

Ski wyskoczył z wozu, nie przekręcając kluczyka w stacyjce.

– Nie chcę pana zatrzymywać, szefie, więc od razu przejdę do rzeczy!

– Nie musisz się tłumaczyć, Ski. Starks zastrzelił tego chłopaka z zimną krwią, a to coś więcej niż zranienie faceta podczas kłótni miłosnego trójkąta. Czego potrzebujesz?

– Pańskiego pozwolenia.

– Na co?

- Na sprowadzenie psów.
- Hej, jesteś Andy, prawda?

Dodge, który poprzedniego wieczoru poznał młodego zastępcę szeryfa, podszedł do siedzącego za biurkiem Andy'ego. Szczęście mu sprzyjało. Facet był jedynym obecnym w biurze policjantem, a ponieważ dzień wcześniej widział Dodge'a w towarzystwie Nylanda, nie kwestionował jego nieoczekiwanego pojawienia się w kwaterze szeryfa.

Dodge położył na biurku białe pudełko.

- W małych miastach najbardziej podoba mi się to, że zawsze jest w nich piekarnia, która codziennie rano wypieka świeżutkie pączki.
- Donut Hole – dopowiedział Andy.
- Częstuj się!
- Dzięki.

Policjant z nieskrywanym entuzjazmem uniósł wieczko i przyjrzał się ułożonym w środku ciastkom.

– Nie mnie powinieneś dziękować – rzekł Dodge. – To nie był mój pomysł. Ski przysłał mnie po dowody przeciwko Starksowi, które otrzymał wczoraj wieczorem, a ponieważ ty siedzisz tu, podczas gdy wszyscy pozostali są w terenie, doszedł do wniosku, że należy ci się poczęstunek.

Andy zmarszczył brwi i zlizął z palców truskawkowy lukier.

- Przed chwilą rozmawiałem z Nylandem i nie mówił mi nic.
- Świeża ta kawa? – zainteresował się nagle Dodge.
- Zaparzona jakieś dwie godziny temu.

Dodge uśmiechnął się szeroko.

– Więc powinna być akurat! – Wetknął sobie w usta jagodowego pączka, podszedł do ekspresu, napełnił styropianowy kubek i dosypał dwa opakowania cukru. – Masz te dowody? – zagadnął, widząc, że Andy nie

ruszył się zza biurka.

Andy popatrzył na niego niepewnie.

– Ski jedzie teraz do motelu, żeby jeszcze raz przepytąć właścicielkę.

– Tak jest. Chce odwołać się do tych materiałów.

– Ale on... Przepraszam, panie Hanley, ale kiedy z nim rozmawiałem... Dzwonił tu parę minut przed pana przyjściem i nie...

– Nie powiedział nic o tym przez telefon, tak?

– Tak, więc ja...

– No, w porządku! – Dodge odetchnął z udawaną ulgą. – Facet ma teraz tyle na głowie, że mógł się potknąć...

– Ski? Potknąć się?

– No, wiesz, przejęzyczyć. Jest koszmarnie zmęczony, od piątku chyba w ogóle nie zmrużył oka, więc mógł zapomnieć, że trzyma dowody pod kluczem.

– Pod kluczem?

– Z dała od oczu dziennikarzy, rozumiesz?

– Dziennikarzy?

– Tych z radia, synu! Gdzie ty byłeś? Ski polecił nadawać w lokalnej stacji radiowej informacje o Starksie, mniej więcej co dziesięć minut, czy coś w tym rodzaju.

Wiem o tym, ale...

– Media bywają użyteczne, bez dwóch zdań, dzięki publikowanym informacjom ludzie stają się czujniejsi. Nie chcemy jednak, żeby wiadomość o dowodach, jakie mamy przeciwko Starksowi, trafiła do każdej dziury we wschodniej części Teksasu, no nie?

– Nie, proszę pana, ale...

– Musimy pamiętać, że Starks też słucha radia, i Ski nie chce, żeby

facet dowiedział się, co udało nam się zdobyć wczoraj wieczorem.

Oczy młodego policjanta zabłysły.

– A kiedy go złapiemy, będziemy mogli posłużyć się tymi zdjęciami pani Malone, żeby go przyszpilić!

Dodge'owi zrobiło się słabo z wrażenia. Zmobilizował wszystkie siły, żeby z pełnym zadowolenia uśmiechem poklepać zastępcę szeryfa po ramieniu.

– Właśnie! – Wepchnął sobie resztę paczka do ust i zerknął na zegarek. – Ski kazał mi się śpieszyć.

Andy wstał i zniknął w malutkim pomieszczeniu z boku, a po chwili wyłonił się z niego z zapinaną na suwak torbą z przezroczystej folii, w której znajdowała się brązowa teczka.

– Musi pan podpisać...

Dodge wyrwał mu torbę z ręki.

– Ski powiedział, żebyśmy dali sobie spokój z formalnościami! Nie mamy dziś czasu na takie głupstwa!

Podziękował Andy'emu, wsunął torbę pod pachę i szybkim krokiem wyszedł z biura szeryfa.

Upragniona drzemka nie przyniosła Berry ani ulgi, ani odpoczynku.

Uciekła z kuchni, gdzie całowała się z Nylandem, z czystego tchórzostwa, podobnie jak on, i bez słowa wyjaśnienia zostawiła Dodge'a oraz matkę. Na górze wzięła prysznic, wślizgnęła się naga pod chłodną pościel, zamknęła zmęczone oczy i wreszcie pozwoliła sobie zapaść w sen.

Jednak jej umysł odmówił współpracy. W głowie kłębiły się myśli o Nylandzie. Obrazy przesycone zmysłowością przemykały pod jej powiekami, pobudzając ciało, które zaczęło płonąć gorączką w miejscach nie do zignorowania, miejscach, gdzie pragnęła poczuć jego oczy, dłonie i

usta.

Biorąc pod uwagę tragedię, jaka wydarzyła się poprzedniej nocy, dręczące ją pożądanie wydawało się wyjątkowo nie na miejscu. Pełna pogardy dla samej siebie, odrzuciła przykrycie, podniosła się i ubrała.

Gdy zeszła na dół, znalazła matkę siedzącą przy kuchennym stole, przeglądającą notes z numerami telefonów i robiącą notatki z aparatem pod ręką.

– Pracujesz? – zagadnęła.

Caroline zdjęła z nosa okulary do czytania.

– Jest niedziela – odparła. – Ludzie lubią oglądać domy w niedziele. Przydzieliłam wyznaczone na dziś oferty innym agentom, a teraz sprawdzam, czy niczego nie pominęłam.

– Powinnaś spróbować trochę się przespać.

– To strata czasu.

– Również jestem tego zdania – uśmiechnęła się Berry. – Gdzie Dodge?

– Nie mam pojęcia. Oświadczył, że nie zdąży zjeść śniadania, bo musi podjąć trop, i wyszedł zaraz po Nylandzie.

– Hmm...

Berry łudziła się, że matka nie powie nic więcej na temat zastępcy szeryfa, ale Caroline miała doskonałą intuicję.

– Co się między wami wydarzyło? – spytała. – Kiedy weszłam z Dodge'em, powietrze całkiem dosłownie pachniało ozonem! Przerwaliśmy wam kłótnię czy raczej coś zupełnie innego?

Leżąca na stole komórka rozdzwoniła się nagle, ratując Berry przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Caroline spojrzała na numer na wyświetlaczu.

- Z mojego biura!
- Odbierz, ja już sobie idę.
- Dokąd się wybierasz?
- Jest niedziela. Dzień wynagrodzenia krzywd.

Dwadzieścia minut później Berry stała pod drzwiami szpitalnego pokoju Bena Loflanda. Wzięła głęboki oddech, przygotowując się na wszystko, co może przynieść ta wizyta, i delikatnie zapukała. W progu stanęła Amanda Lofland. Na widok młodej kobiety jej twarz przybrała pełen niechęci wyraz.

Berry nie pozwoliła jej odezwać się pierwszej.

- Chciałabym zobaczyć się z Benem.
- Po co?
- Żeby przeprosić go za to, że został postrzelony.

Zaskoczona taką otwartością, Amanda zmierzyła Berry nieufnym spojrzeniem, ale odsunęła się i pozwoliła jej wejść do pokoju. Ben nie spał; siedział na łóżku, podparty ułożonymi pod plecami poduszkami.

Berry uśmiechnęła się i podeszła bliżej.

- Wyglądasz znacznie lepiej niż wczoraj – powiedziała.
- Ale czuję się gorzej – mruknął. – Gdy widziałas mnie ostatnim razem, byłem nieprzytomny i nic nie czułem.

Amanda stanęła po drugiej stronie łóżka i kwaśno popatrzyła na gościa.

- Bardzo cię boli? – spytała Berry, nie odrywając wzroku od Bena.
- Tylko kiedy oddycham.
- Leki nie pomagają?
- Powiedzmy, że wolałbym nie obywać się bez nich.
- Drzę na samą myśl o tym, co mogło się stać – powiedziała cicho.

– Tak. Ja też ciągle o tym myślę. Oboje o tym myślimy. – Ben ujął dłoń Amandy i lekko ją ścisnął.

Małżonkowie uśmiechnęli się do siebie, chociaż uśmiech kobiety był nieco wymuszony.

– Mam wyrzuty sumienia, że zlekceważyłam stan umysłu Orena.

– Komu mogłoby przyjść do głowy, że posunie się do szaleństwa? – Ben wymownie wzruszył ramionami.

– Powinnam była o tym pomyśleć – powiedziała Berry. – Widziałam go, kiedy kompletnie stracił nad sobą kontrolę.

– Wcześniej?

– Tak, ale tylko raz. Uznałam, że to przypadkowy wybuch, nietypowo gwałtowna reakcja, i tyle, lecz najwyraźniej popełniłam błąd. – Z piersi Berry wyrwało się ciężkie westchnienie. – Wydawało mi się, że nie stanie się nic złego, jeśli do niego zadzwonię...

Na bladej twarzy Bena odmalowało się zdumienie.

– Dzwoniłaś do niego? Kiedy?

– W czwartek po południu.

Chwilę patrzył na nią z otwartymi ustami.

– Zwariowałaś?!

– To była pomyłka. Teraz to widzę, ale jakiś czas temu powiedziałam mu parę rzeczy, których nie powinnam była mówić, i chciałam go za to przeprosić. Czułam też, że muszę się czegoś dowiedzieć o ukończeniu projektu, nad którym pracował, i że wszystko dobrze wypadło. Sądziłam, że... Że ja... Że jesteśmy mu to winni.

Ben obliznął wargi. Jego spojrzenie kilka razy przewędrowało z twarzy Berry na twarz Amandy i z powrotem, ostatecznie zatrzymując się na tej pierwszej.

– Szkoda, że nie zapytałaś mnie o zdanie!

– Też tego żałuję. Gdybym to zrobiła, może wyperswadowałbyś mi ten telefon i nie doszłoby do tragedii.

– Nie do wiary – wymamrotała Amanda. – To naprawdę twoja wina.

Berry podzielała tę opinię, jednak na krytykę ze strony żony Bena zareagowała natychmiast.

– Myślałam, że Oren podziękuję mi za telefon i na tym się skończy – powiedziała chłodno. – Jednak najwyraźniej z całej mojej wypowiedzi on wyłowił tylko informację, że Ben i ja spędzimy razem ten dzień. Jest mi strasznie, strasznie przykro, naprawdę!

– Z wielu powodów, prawda?

– Tak, Amando, lecz cudzołóstwo do nich nie należy! Z twoim mężem od bardzo dawna łączyła mnie tylko przyjaźń, wszelkie romantyczne konotacje znikły na długo, zanim poznał cię.

– Mówiłem jej o tym – rzekł Ben. – Uwierzyła mi.

Berry przełknęła tę wiadomość i spojrzała prosto w gniewne oczy Amandy.

– Jednak mi nie wierzysz – zauważyła.

– Wierzę, że Ben mnie nie zdradził, ale sędzę, że ty wezwałaś go nie tylko ze względu na kampanię, którą opracowywaliście. Wyjechałaś z Houston, zostawiłaś za sobą codzienne zajęcia, pracę, bez której nie umiesz żyć. Zostawiłaś przyjaciół, życie towarzyskie i znalazłaś się tutaj, na zapadłej wsi. W zeszłym tygodniu ogarnęło cię znudzenie i niepokój, więc wymyśliłaś powód, żeby ściągnąć Bena na cały dzień, no i na noc... Wiedziałaś, że przyjedzie, ponieważ ta kampania ma duże znaczenie dla was obojga, ale moim zdaniem była to tylko przynęta, którą się posłużyłaś. Potrzebowałaś rozrywki, chciałaś oderwać się od nudnej egzystencji na

provincji. Zachciało ci się seksu i wybrałaś mojego męża.

– Mylisz się! – z naciskiem przerwała jej Berry. – Nie ściągnęłam go tu z powodów, o których mówisz! – Na moment zawiesiła głos. – Chociaż jeszcze parę miesięcy temu być może nie wahałabym się tak postąpić.

Jej szczerość wyraźnie zaskoczyła ich oboje. Berry sama ze zdumieniem pokręciła głową.

– Gdybym przed moim przyjazdem do Merritt ze względów zawodowych lub jakichkolwiek innych zechciała przespać się z Benem, najprawdopodobniej znalazłabym jakiś sposób, żeby dopiąć swego – dodała.

Ben wpatrywał się w nią ponownie z otwartymi ustami. Na twarzy Amandy malowała się mieszanka satysfakcji i gniewu.

– Więc się przyznajesz!

– Przyznaję, że moja hierarchia wartości była postawiona na głowie – powiedziała Berry. – Aby pokonać kolejne szczeble kariery, robiłam w Delray rzeczy, które zupełnie mi się nie podobały. Czasami nie znosiłam samej siebie. Wyjechałam z Houston, żeby uciec przed Orenem, to prawda, ale także po to, by spojrzeć na swoje życie z innej perspektywy. Jestem tak samo ambitna jak dawniej, nadal chcę wspiąć się na sam szczyt, lecz w tej chwili nie zamierzam już handlować własną duszą, by osiągnąć ten cel.

Zmierzyła Bena długim, uważnym spojrzeniem. Lofland uniknął go, przenosząc wzrok na mały płócienny namiocik, który podtrzymywał palce jego stóp w nogach szpitalnego łóżka.

Żadne z małżonków nie przyjęło przeprosin Berry, w każdym razie nie powiedziało tego na głos. Młoda kobieta doskonale zdawała sobie sprawę, że oboje, a szczególnie Amanda, będą pielęgnować swoje pretensje do niej. Nie mogła mieć o to żalu. Ben naprawdę o mały włos nie stracił życia.

Nie była w stanie nic więcej zrobić; nie zamierzała upokarzać się przed

nimi, nie widziała też powodu, by to uczynić.

– Dziś wieczorem jadę do Houston – oświadczyła. – W ten sposób jutro z samego rana będę w biurze i zdołam zaprezentować kampanię zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

Amanda drgnęła.

– Bez Bena?

– Wszyscy wiedzą, że ta kampania to nasze wspólne dzieło.

– No tak, jasne!

– Dopilnuję, aby nazwisko Bena znalazło się na wszystkich dokumentach, Amando! Daję ci słowo!

Żona Loflanda pogardliwym prychnięciem dała do zrozumienia, co sądzi o wartości tej obietnicy.

Berry spojrzała na kolegę.

– Nie zawiodę, zadbam, żeby nie ominęły cię wyrazy uznania – powiedziała.

Lekko kiwnął głową.

– Dzięki.

Berry miała nadzieję, że atmosfera jej spotkania z Loflandami będzie inna. Czuła rozczarowanie, że ich rozmowa kończy się w taki sposób, ale powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Małżonkowie patrzyli na nią nieprzychylnie, odwróciła się więc na pięcie i bez słowa wyszła.

Na korytarzu dogoniła ją salowa z ażurowym czepkiem na włosach i w zielonym fartuchu. Kobieta popychała grzechoczący metalowy wózek obładowany tacami z lunchem.

– Panna Malone, prawda? – zagadnęła.

– Tak.

– Pani przyjaciel niedługo dojdzie do siebie.

– Tak, widziałam, że czuje się już lepiej.

Berry szła dość szybko, lecz pracownica szpitala dotrzymywała jej kroku.

– Bardzo mi żal tego chłopca Coldare’ów – powiedziała. – Mój syn grał z nim w baseball.

– Tragiczna historia.

– Facet, który go zastrzelił, powinien jak najszybciej trafić za kratki!

– Całkowicie się z panią zgadzam. – Berry zatrzymała się i wcisnęła guzik wzywający windę.

Kobieta skręciła w boczny korytarz.

– Nagroda powinna pomóc – oświadczyła.

Berry popatrzyła za nią ze zdumieniem.

– Chwileczkę! – zawołała. – Wyznaczono jakąś nagrodę? Kiedy?

– Pół godziny temu mówili o tym w radiu! – rzuciła przez ramię salowa. – Pani matka wyłożyła pieniądze!

Rozdział 17

MOIM ZDANIEM TO ZMARNOWANE PIENIĄDZE!

– Nie pytałam cię o zdanie.

Spokojna replika Caroline wprawiła Dodge'a w jeszcze większe rozdrażnienie. Za każdym razem gdy zapalał papierosa, ona z dezaprobatą marszczyła brwi, co psuło mu całą przyjemność i prowadziło do drastycznego spadku poziomu nikotyny w organizmie, który rozpaczliwie domagał się codziennej dawki. Skóra swędziała go od środka i sikał znacznie częściej niż zwykle.

Siedzieli jednak w jej samochodzie, więc nawet gdyby chciał zignorować jej obiekcje, i tak nie mógłby tego zrobić. Postanowił więc, że natychmiast po dotarciu do celu wypali papierosa do samego filtra, a jeśli Caroline się to nie spodoba, to trudno.

Zaproponował, że będzie prowadził, bo w ten sposób mógł przynajmniej zająć czymś ręce.

– W mieście jest tylko jeden supermarket Walmart?

– Tak. Pokierować cię?

– Nie, widziałem go wczoraj.

– Przed pogawędką z Grace czy później?

Było mu miło, że jego rozmowa z barmanką wciąż denerwuje Caroline, wołał jednak ograniczyć się do lekkiego uśmiechu.

– Dwadzieścia pięć patoli? – odezwał się, wracając do tematu nagrody, jaką zaproponowała. – Każdy burak z tej części Teksasu będzie teraz stawał na głowie, żeby wypatrzeć Orena Starksa!

– Nyland na pewno przefiltruje napływające przez centralę sygnały.

– Dużo to pomoże – mruknął Dodge. – Moja grupa operacyjna

uruchomiła gorącą linię dla informacji o facecie, który napadał na banki, i wiesz, co otrzymaliśmy?

– Wiadomości o radzieckiej łodzi podwodnej w porcie, spotkaniach trzeciego stopnia z UFO, zbliżającym się końcu świata, stadzie wściekłych wilków w okolicy... No i parę telefonów od kobiety, która przez kilka dni z rzędu proponowała seks za darmo wszystkim zainteresowanym.

– Mówiłem ci już o tym?

– Trzydzieści jeden lat temu opowiadałeś mi to za każdym razem, gdy miałeś dość pracy w grupie.

– Więc musiałaś często tego słuchać.

– Co najmniej tysiąc razy!

– Hmm...

– Zdziwiłabym się, gdyby Ski nie spodziewał się telefonów od wariatów – powiedziała Caroline. – Nie da się jednak wykluczyć, że dostanie też jakąś pożyteczną wskazówkę. Poza tym dzięki ogłoszeniu o tej nagrodzie czuję, że w jakiś sposób przyczyniam się do schwytania Orena Starksa, a nie tylko siedzę i nic nie robię.

Dodge zamruczał coś pod nosem.

– Co? – Caroline spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

– Nic.

– Usłyszałam coś o pieniądzach! Co mówiłeś?

– Że nie zabraknie ci drobnych.

– Powiedziałeś coś więcej!

– Nie powtarzam wulgaryzmów.

– Dlaczego w ogóle ich użyłeś?

– Wolisz, żebym jednak je powtórzył?

– Dlaczego użyłeś wulgaryzmów w odniesieniu do moich pieniędzy?

Dodge rozpoznał ten ton – Caroline nie zamierzała zostawić sprawy w spokoju. Nie przeszkadzało mu to, ponieważ jej status finansowy mocno go drażnił i nie zamierzał ukrywać, co leży mu na wątrobie.

– Nie zauważyłabyś problemów z kasą, nawet gdyby któryś nagle ugryzł cię w tyłek, bo nigdy ich nie miałaś!

Caroline ze złością pokręciła głową.

– No co, nie powiesz mi chyba, że kiedykolwiek miałaś problemy z pieniędzmi!

– Poszczyściło mi się.

– Jasne! Bo w końcu wyszłaś za swojego bogatego szefa!

Był rozdrażniony, więc nie żałował sobie, jednak od razu się zorientował, że posunął się za daleko.

– Nie waż się krytykować mnie za to, że wyszłam za Jima – powiedziała zimno.

– Nie krytykowałem cię.

– Ale sugerowałeś, co na ten temat myślisz.

– Słyszysz nieistniejące sugestie, ponieważ jesteś przewrażliwiona na punkcie swojego małżeństwa.

– Nie ma żadnego powodu, żebym była przewrażliwiona.

– Nie?

– Nie. Miałam dobrego męża, z którym przeżyłam dwadzieścia sześć lat. Było nam dobrze ze sobą aż do dnia jego śmierci.

– Gratuluję!

Jego sarkazm nie uszedł jej uwagi.

– Wolałbyś, żebym była nieszczęśliwa?

– Wolałbym, żebyś była szczęśliwa ze mną! – Dodge podniósł głos.

– Czyja to wina, że tak nie było? – odpaliła.

Zaklął. Oboje przez chwilę milczeli.

– Jak umarł Malone? – zapytał wreszcie Dodge.

Nie odpowiadała tak długo, że pomyślał, iż nie powinien pytać.

– Dostał udaru – odparła w końcu. – Przy biurku, w pracy. Zapadł w śpiączkę. Umarł po dwóch dniach, nie odzyskując przytomności, co w tej sytuacji można uznać za błogosławieństwo. Neurolog powiedział, że w rezultacie udaru mózg Jima został poważnie uszkodzony.

Dodge kilka minut prowadził w absolutnej ciszy.

– Więc go kochałaś? – zagadnął nagle.

– Tak, kochałam. Głównie za to, że kochał mnie i Berry. Miała już prawie rok, kiedy poprosił mnie o rękę. Był czterdziestoletnim starym kawalerem, ale chętnie przyjął żonę z dzieckiem.

– Chciał cię zdobyć, a że miałaś dziecko... – Dodge wymownie wzruszył ramionami.

– Nie patrzył na Berry w kategoriach poświęcenia, jakiego musi dokonać, żeby ożenić się ze mną. Przyjął ją bez żadnych wyjaśnień z mojej strony, pokochał całym sercem i wychował jak własną córkę. I całe szczęście, bo nie mieliśmy innych dzieci.

– Dlaczego?

– Bez powodu, tak się po prostu złożyło. Nie robiliśmy z tego wielkiej sprawy, częściowo dlatego, że oboje bardzo zaangażowaliśmy się w rozwój firmy. Pracowaliśmy dużo i ciężko, no i byliśmy całkowicie zadowoleni z córki, którą już mieliśmy.

Być może była to kwestia niedoboru nikotyny, a być może rozmowy o obcym człowieku, który wychował jego córkę, ale nagle wyraźnie poczuł kłujący ból serca. Mimo to nie potrafił przestać zadawać pytań, które prześladowały go przez ostatnie trzydzieści lat.

– Jakim dzieckiem była Berry? Szczęśliwym?

Caroline spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Bardzo szczęśliwym... Wesołym, otwartym, niezwykle bystrym, psotnym, wysportowanym... Czasami była uparta, ale nie rozpuszczona.

– Uparta jak ty.

– Przebiegła jak ty.

– Odziedziczyła twój temperament rudowłosej?

– Nie mam temperamentu rudowłosej!

Roześmiał się, ubawiony jej natychmiastową odpowiedzią, a ona szybko mu zawtórowała. Dodge pierwszy przestał się śmiać.

– Powiedziałaś jej?

– Co takiego?

– Muszę ci to przeliterować, Caroline?

Odwróciła głowę i utkwiała wzrok w szybie. Robiła coś z dłońmi, zaciskała je i rozluźniała, dobrze pamiętał ten nawyk. Wracała do niego zawsze, kiedy porządkowała myśli, zwłaszcza te trudne.

– Tak, powiedziałam jej. Jim zaadoptował ją i dał jej nazwisko, uznałam jednak, że powinna wiedzieć, iż nie był jej biologicznym ojcem. Nie chciałam, żeby ten wielki, mroczny sekret tkwił gdzieś w tle naszego życia, czyhając, by zniszczyć nasze relacje.

Dodge przygryzł wargę, gdy mu przypomniła, że dobrowolnie zrezygnował z ojcowskich praw do córki. Prawnicy przeprowadzili formalną procedurę. W tamtym czasie był wściekły i uważał, że Caroline nie pozostawiła mu wyboru.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby zaprotestował. Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, jeśliby się nie zrzekł prawa do wychowywania córki na rzecz innego mężczyzny?

Dziś, po trzydziestu latach, nie widział żadnej korzyści, jaka mogłaby wyniknąć z szarpaniny o dziecko; jego sprzeciw przesunąłby tylko w czasie nieunikniony ostateczny rezultat i wyrządził wiele złego wszystkim zainteresowanym, a zwłaszcza Caroline i Berry.

– Kiedy była dość duża, aby wiedzieć, skąd biorą się dzieci, powiedziałam jej, że Jim nie jest mężczyzną, który umieścił nasionko w moim brzuchu – mówiła Caroline. – Albo coś w tym rodzaju. – Uśmiechnęła się lekko. – Zapewniłam ją jednak, że jest jej tatą. Przyjęła to bez słowa.

Dodge zatrzymał się na światłach. Dotknął kieszeni na piersi, gdzie bezpiecznie spoczywała paczka papierosów, poprawił się na fotelu i cicho sklął na czym świat stoi czekającego przed nimi kierowcę, który nie włączył prawego kierunkowskazu, chociaż powinien był to zrobić.

Odchrząknął.

– Nie chciała wiedzieć, kto umieścił tam to nasionko? Nigdy nie pytała, co stało się z jej prawdziwym tatą, dlaczego ją zostawił i już nie wrócił?

– Zapytała, ale tylko jeden raz – odparła Caroline. – Była już nastolatką i uważałam, że powinnam ostrzec ją przed ryzykiem uprawiania seksu pod wpływem impulsu i bez ochrony. Spytała, czy jest efektem wypadku, niechcianą odpowiedzialnością, przed którą uciekł jej prawdziwy ojciec.

Popatrzyła na Dodge'a. Posłał jej badawcze spojrzenie.

– Serce o mało mi nie pękło, gdy usłyszałam tę nutę niepewności w jej głosie. Najwyraźniej prześladowała ją myśl, że jej poczęcie nastąpiło w rezultacie nieszczęśliwego przypadku. Musiała poznać prawdę, ale bała się zapytać, pełna podejrzeń, że potwierdzę jej przypuszczenia.

– Jezu... – jęknął Dodge.

– Udało mi się ją uspokoić. Podkreśliłam, że została poczęta w bardzo szczęśliwym okresie i że ani jej ojciec, ani ja nie żałowaliśmy, gdy zaszłam w ciążę. Powiedziałam, że wiele nas różniło, ale chociaż te sprawy nie miały żadnego związku z jej pojawieniem się na świecie, były na tyle poważne, że nie mogliśmy być razem. I jej ojciec uznał, że lepiej będzie, jeśli dziecko, czyli ona, zostanie ze mną. – Popatrzyła na dłonie, wciąż zaciskając je i rozluźniając na kolanach. – Uwierzyła, przynajmniej tak mi się wydaje, bo później już nigdy nie wróciła do tego tematu.

– A teraz?

– Teraz?

Dodge spojrział na nią spod ściągniętych brwi.

– To bystra dziewczyna, przecież wiesz. Jak mogłaby się nie zorientować?

– Może rzeczywiście się zorientowała. Nie pytała o nic wprost, ale starała się wycisnąć ze mnie informacje na twój temat.

– Czyli podejrzewa, że nie jestem tylko znajomym poleconym przez jedną z twoich przyjaciółek.

– To prawdopodobne. Nie można jednak wykluczyć, że po prostu była ciekawa twoich referencji i wcale nie próbowała się dowiedzieć, czy jesteś jej ojcem. Może już dodała dwa do dwóch, ale jeszcze nie uświadomiła sobie, co właściwie oznacza wynik. – Caroline na moment zamilkła. – Jedno jest pewne...

– Co?

– Nawet jeśli się zastanawia, co nas łączy, nie powie, o czym myśli, dopóki nie będzie gotowa.

– Nie pokazuje kart, które ma w ręku?

Caroline uśmiechnęła się.

– Pod tym względem jest podobna do ciebie.

Byli już pod Walmartem. Na ogromnym parkingu rozpętało się prawie niekontrolowane pandemonium. Pod ścianą stało kilka samochodów z biura szeryfa i parę radiowozów stanowej policji, wszystkie migające światłami. Psy biegały w kółko, obwąchując ziemię w pobliżu rzędu pojemników na śmieci. Stróże prawa w mundurach rozmaitych agencji, w tym miejskiej policji Merritt, zatrzymywali gapiów.

A w samym środku całego tego zamieszania znajdował się Ski Nyland.

Dodge natychmiast zrozumiał, dlaczego telefon zastępcy szeryfa był tak pośpieszny. W tej chwili Ski wraz z kilkoma innymi policjantami skupili się wokół pękatego faceta w średnim wieku, ubranego w służbową niebieską kamizelkę pracowników Walmarta. Kiedy Nyland zauważył wjeżdżającego na parking Dodge'a, odłączył się od grupy i ruszył truchtem w jego kierunku.

– Ski ma chętkę na naszą córkę – odezwał się Dodge.

– O ile dobrze odczytuję vibracje, to uczucie jest w pełni odwzajemnione – odparła Caroline.

– Gdzie jest Berry? – zapytał Ski, kiedy tylko do nich podszedł.

– Pojechała do szpitala zobaczyć się z Benem – powiedziała Caroline.

– Nie mogłam dodzwonić się na jej komórkę.

– Proszę spróbować znowu, trzeba jak najszybciej ją tu ściągnąć!

Dorzucił „proszę”, chociaż Caroline nie zwróciła uwagi na jego szorstkość. Natychmiast wyjęła telefon i wybrała numer Berry.

Dodge wysiadł z samochodu i zapalił papierosa.

– Co jest, do diabła? – warknął Nyland.

Mężczyzna zgasił zapalniczkę i dmuchnął dymem w niebo. Nie potrzebował wyjaśnień co do przyczyny gniewu zastępcy szeryfa.

– Wpadłem na pewien pomysł i postanowiłem działać – rzekł.
– Nie miałeś prawa zabierać dowodów!
– Podaj mnie do sądu. A poza tym dowodom nic nie grozi, dobrze wiem, jak się z nimi obchodzić.

– Gdzie teraz są te zdjęcia?
– Bezpiecznie schowane. No, co chcesz robić? Roztrząsać przed Bogiem i ludźmi nasze różnice zdań na temat protokołu oraz kanału przepływu dowodów? Czy raczej pomówić o znaczeniu fotografii?

Ski zdjął ciemne okulary i otarł spocone czoło rękawem. Zerknął na Caroline, która nadal rozmawiała w samochodzie przez komórkę, i zaraz przeniósł wzrok na Dodge'a.

– O ile byłem w stanie się zorientować, zrobiono je aparatem z teleskopowym obiektywem – rzekł przyciszonym głosem.

– Ale z dość bliskiej odległości, prawda? Aż strach myśleć.

Ski poważnie skinął głową.

– Z dość bliskiej, to prawda. Na dodatek to ogromny zbiór zdjęć, cały fotograficzny zapis życia Berry tutaj. Ze wszystkich stron obfotografował dom nad jeziorem, a także ją w mieście.

– W różnych strojach – uzupełnił Dodge. – Co znaczy, że śledził ją wiele razy.

– Jest tam też sporo ujęć o charakterze bardzo osobistym.

Ski wysunął do przodu dolną szczękę i Dodge od razu się zorientował, że młodszy mężczyzna myśli o serii zdjęć zrobionych przez okno sypialni Berry oraz na molo, gdzie opalała się, kompletnie nieświadoma, że człowiek, który poprzysiągł jej śmierć, obserwuje ją uważnie, perwersyjnie zadając jej gwałt. Na samą myśl o tym krew gotowała się w żyłach Dodge'a.

– Wykazał się nieostrożnością, zostawiając je w motelowym pokoju.

– Nie zostawił ich w pokoju – odparł Ski. – Znalazłem je w pojemniku na śmieci przy drodze za motelem, niedaleko miejsca, gdzie ukrył samochód.

– Więc nawet po zabiciu chłopaka zachował dość przytomności umysłu, aby zabrać fotki ze sobą i spróbować się ich pozbyć.

– Nie chciał dać się przyłapać z czymkolwiek, co stanowiłoby dowód jego winy.

– Ostrożny skurwysyn!

– Berry mówiła mi, że facet jest entuzjastą zagadek. To metodycznie działający drań, który na pewno się nie wycofa.

– Czyli musimy go powstrzymać – rzekł Dodge, rzucając niedopałek na ziemię.

– Przemieszcza się pieszko, w każdym razie jeszcze niedawno tak było.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Znaleźliśmy porzuconą brązową toyotę. Sądząc po śladach opon, tak na gorąco, jestem prawie pewny, że to ten sam samochód, którym przyjechał nad jezioro i do motelu. Wsiadł z wozu bez butów i tak też się oddalił.

– Próbowaliście go wytropić. – Dodge ruchem głowy wskazał trzy niemieckie owczarki na smyczach, wciąż kręcące się w kółko, z nosami przy asfalcie.

– Mój kolega z wojska ma psy, które wynajmuje do akcji ratunkowych i do tropienia. Wezwał jednego ze swoich najlepszych trenerów i błyskawicznie przywiózł go tu razem z psami. Mieliśmy buty Starksa. Psy złapały trop i pobiegły wzdłuż torów aż do skrzyżowania z drogą numer 287, prawie kilometr stąd.

Caroline wysiadła z samochodu i dołączyła do nich.

– Złapałam Berry, gdy wychodziła ze szpitala. Powinna być tutaj za parę minut.

– Co dalej? – Dodge znowu odwrócił się do Nylanda. – Starks przyjechał tutaj i...?

– Nic. Psy zgubiły trop.

– Cholera jasna!

– Właśnie... – mruknął Ski. – Wszystkie zatrzymały się tam, niedaleko śmietników. Znaczący to, że Starks albo ukradł samochód, w co wątpię, ponieważ nikt nie zgłosił kradzieży, porwał wóz z kierowcą albo wsiadł do samochodu, którym ktoś po niego przyjechał.

– Wykluczyłeś możliwość uprowadzenia przez ufoludki?

Ski prychnął.

– Wtedy wiedziałbym przynajmniej, gdzie zacząć go szukać, tymczasem teraz mam tylko pewność, gdzie skończył się trop. – Wskazał brodą pracownika Walmartu, wyraźnie zachwyconego uwagą, którą udało mu się na sobie skupić. – Kierownik sklepu. Ma Starksa na kilku nagraniach kamer z monitoringu, przynajmniej tak mi się wydaje. Dlatego zależy mi, żeby Berry przejrzała fragmenty taśm, na których go widać.

– O, właśnie przyjechała! – powiedziała Caroline.

Parking zatłoczony był przez policjantów i gapiów, wśród których znajdował się niewielki autokar z pensjonariuszami pobliskiego domu opieki dla starszych osób, ale Berry już z daleka dostrzegła matkę, Dodge'a i Nylanda.

Zatrzymała samochód jak najbliżej nich i wysiadła.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałaś – odezwał się Ski.

– Mama powiedziała mi, że Oren tu był – odparła równie formalnym

tonem.

Ski streścił jej przebieg wydarzeń, które miały miejsce od czasu odkrycia porzuconego wozu.

– Pomyślałem, że mogłabyś popatrzeć na nagrania i potwierdzić, że to Starks.

– Oczywiście.

– Pójdę po kierownika i zaczekamy na ciebie przy głównym wejściu, w środku.

Odwrócił się i typowym dla siebie wydłużonym krokiem ruszył w stronę grupy policjantów zebranych wokół mężczyzny w niebieskiej kamizelce.

Kiedy Berry szła z matką i Dodge'em w kierunku wejścia do supermarketu, Caroline zapytała o Bena.

– Cieszy się, że dostaje środki przeciwbólowe.

Nie miała nic więcej do powiedzenia na temat Loflanda i odetchnęła z ulgą, gdy tamci poprzestali na jednym pytaniu. Klimatyzowane wnętrze sklepu pozwoliło im odrobinę ochłonać po upale. Ski i starszy zastępca szeryfa, który, o ile Berry dobrze zapamiętała, nazywał się Stevens, zbliżyli się do nich razem z kierownikiem.

– Tędy, proszę! – rzucił mężczyzna i zagrzechotał przypiętym do paska pękiem kluczy.

Zanim ruszyli za nim, wskazał głową bar z przekąskami, gdzie jakiś młody człowiek w swobodnej pozie siedział przy stoliku naprzeciwko kobiety w mundurze zastępcy szeryfa okręgu Merritt. Postawa i wyraz twarzy chłopaka świadczyły o znudzeniu i niechęci; kobieta z nieskrywanym zniecierpliwieniem postukiwała długopisem w okładkę notatnika.

– Co to za facet? – zapytał Dodge.

– Kasjer, który przyjął pieniądze za zakupy Starksa. Nie udało nam się dużo z niego wyciągnąć.

– Mogę spróbować?

Ski wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo.

Stevens obrzucił Nylanda zdziwionym spojrzeniem, nie zakwestionował jednak jego decyzji, aby pozwolić Dodge'owi przesłuchać świadka.

Starszy mężczyzna nieśpiesznym krokiem zbliżył się do stolika. Ignorując młodego człowieka, powiedział coś do kobiety w mundurze, która zerknęła przez ramię na Nylanda. Gdy Ski kiwnął głową, podniosła się z krzesła i wyszła ze sklepu. Dodge zajął jej miejsce naprzeciwko kasjera.

– Wydawało mi się, że jego specjalnością są kobiety – mruknęła Berry.

Caroline uśmiechnęła się lekko.

– Z mężczyznami też nieźle sobie radzi.

– Muszę wyjść na zewnątrz, więc zostawiam was pod opieką Stevensa – powiedział Ski.

Kierownik sklepu poprowadził Berry, Caroline i Stevensa na tyły budynku, gdzie znajdowało się jego biuro. Sprawiał wrażenie mocno rozczarowanego, kiedy Berry już po paru sekundach nagrania rozpoznała Starksa.

– To on, niewątpliwie! – Na monitorze widać było wchodzącego do supermarketu Orena Starksa. – Ma nawet na sobie to samo ubranie i kuleje!

Wyglądał zupełnie przeciętnie, lecz na jego widok Berry zadrżała z obrzydzenia i strachu.

– Nikt nie zauważył, że był bez butów? – zapytała Caroline.

– Sklep jest otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę – Stevens wskazał cyfry zegara u dołu ekranu. – Starks wszedł tu dwanaście minut po trzeciej w nocy. O tej porze obsada stanowisk jest ograniczona do minimum. W środku była tylko garść klientów, widać jednak, że facet omijał alejki, w których kręcili się inni kupujący.

Oren bardzo szybko wybrał sportowe buty i zapłacił za nie. Cały pobyt w sklepie zajął mu parę minut.

– Dlaczego po prostu nie włożył butów i nie wyszedł? – odezwała się Caroline. – Po co ryzykował, że kasjer go rozpozna?

– A po co miał ryzykować, że zostanie zatrzymany za kradzież?

– Poza tym to nie byłoby w jego stylu – powiedziała Berry, skupiając na sobie uwagę pozostałych. – Wiedział, że kamery utrwały jego wizytę w sklepie, i postanowił przekazać nam wiadomość: „Jestem mordercą, to prawda, ale nie złodziejem”...

– Jest pani pewna, że to on?

– Absolutnie.

– Ski też nie miał wątpliwości, wolał jednak uzyskać potwierdzenie. Jest bardzo ostrożny.

Pożegnali kierownika i przez halę supermarketu poszli do wyjścia. W barze nie było już Dodge’a ani młodego kasjera, ale gdy wyszli na zewnątrz, zobaczyli tego ostatniego stojącego obok policjantki, która wcześniej go przesłuchiwała. Teraz chłopak był o wiele bardziej rozmowny i kobieta szybko spisywała w notesie jego zeznania.

– Wygląda na to, że wasz przyjaciel nakłonił go do większej otwartości – zauważył Stevens, idąc z Berry i Caroline w stronę zajętych rozmową Nylanda oraz Dodge’a.

Dodge mocno zaciągał się papierosowym dymem.

– Zdumiewające, jak skorzy do współpracy stają się ludzie, gdy poczują, że gra toczy się o ich jaja! – rzucił.

Kąciki ust Berry uniosły się leciutko.

– Nawet nie śmiem pytać – powiedziała.

Dodge uśmiechnął się w odpowiedzi, ale nie był to pogodny uśmiech.

– Pouczyłem go, że powinien zmienić swoje podejście do obywatelskich obowiązków, i to natychmiast, do kurwy nędzy. Sądzę, że zrozumiał i mnie posłuchał.

– Co mówił o Orenie?

Dodge gasił właśnie obcasem jednego papierosa i zapalał drugiego, więc Ski odpowiedział za niego.

– Młody w ogóle o nim nie słyszał. Dopiero co przeprowadził się tutaj z Fort Worth i zamieszkał u babci, która ogląda w telewizji tylko kanał meteo. Ponieważ nie chodził tu do szkoły, nie znał też Davisa Coldare'a. Nienawidzi swojej pracy i szefa, ale potrzebuje pieniędzy.

– Na narkotyki – uzupełnił Dodge. – W czasie przerwy pół godziny przed pojawieniem się Starksa najarał się trawy.

– Wycisnąłeś to z niego? – Ski z podziwem pokręcił głową.

Dodge wzruszył ramionami.

– Doszliśmy do pewnego porozumienia, jak już mówiłem...

– Starks podszedł do kasy z butami w pudełku – podjął Ski. – Zapłacił gotówką. Kasjer wydał mu resztę z siedemdziesięciu dolarów, trzech dwudziestek i dziesiątki. Zapamiętał to, ponieważ wszyscy inni klienci płacili kartami. Zapytał Starksa, czy chce wziąć torbę, lecz ten podziękował i wyszedł z pudełkiem pod pachą. To pudełko i komputerowy wydruk pokwitowania znaleźliśmy w jednym ze śmietników. Można przyjąć, że

właśnie tam włożył buty.

– A później rozplynał się w powietrzu, całkiem jak Duszek Kacperek – zakończył Dodge.

– I to była cała jego rozmowa z kasjerem? – spytała Berry. – „Chce pan torbę? ”, „Nie, dziękuję”? To wszystko?

– Chyba tak, niestety – odparł Dodge. – Pytałem go, czy Starks dziwnie się zachowywał, ale zaprzeczył. Pytałem, czy nie sprawiał wrażenia przestraszonego. Chłopak chciał wiedzieć, co mam na myśli, więc dokładnie opisałem takie zachowanie. „No, tak, gościu, może... ”, odpowiedział. Cokolwiek to znaczy...

Komórka w torebce Berry rozdzwoniła się nagle. Wyjęła ją i dotknęła ekranu.

– Halo?

– Cześć, Berry!

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Na parkingu panował hałas, lecz mimo to doskonale usłyszała głos Orena.

– Zaskoczyłem cię?

Caroline i Dodge kłócili się o jego kolejnego papierosa, ale szare oczy Nylanda utkwione były w twarzy Berry. Natychmiast właściwie odczytał malujący się tam szok, wymownym ruchem polecił pozostałym, aby umilkli, i stanął tuż obok niej.

Kobieta skinęła głową i nerwowo oblizała wargi.

– Tak, Oren, zaskoczyłeś mnie – powiedziała. – Gdzie jesteś?

Roześmiał się. Dźwięk jego śmiechu sprawił, że Berry dostała gęsiej skórki.

– Chciałabyś wiedzieć, co? – Zanucił krótki fragment jakiejś melodii.

Odwróciła wyświetlacz komórki w stronę Nylanda, aby mógł spisać

widoczny tam numer telefonu, z którego dzwonił Starks. Zanotował go na otwartej dłoni i podsunął ją Dodge'owi, który upuścił papierosa i rzucił się w kierunku grupy policjantów.

Ski wykonywał głową okrężne ruchy, dając Berry do zrozumienia, że powinna jak najdłużej ciągnąć rozmowę, ona jednak miała poważne problemy z koncentracją. Przyszło jej na myśl, żeby przełączyć telefon na tryb głośnomówiący, ale bała się, że Oren się zorientuje, iż nie tylko ona go słucha, i przerwie połączenie.

– Powiedz mi, gdzie jesteś, żebym mogła przyjechać i ci pomóc.

– Pomóc mi? – Starks prychnął lekceważąco. – Akurat, już to widzę!

– Potrzebujesz pomocy, przecież spadłeś ze schodów.

– Głupio mi, że straciłem równowagę na tych schodach, bo gdyby nie to, już byłabyś martwa!

Z trudem przełknęła ślinę.

– Złamałeś nogę?

– Nie jestem pewny – odparł nonszalancko, zupełnie jakby pytała go o zmianę pogody. – Jest sinoczarna i bardzo spuchnięta.

– I pewnie bardzo boli.

– Ibuprofen działa cuda, moja droga.

– Powinieneś pójść do lekarza. Coś takiego może zakończyć się fatalną infekcją.

– Och, nie zginę tak marnie, Berry! I nie odejdę z tego świata bez ciebie!

Młoda kobieta zadrżała i natychmiast poczuła na ramieniu pokrzepiający dotyk Nylanda.

– Posłuchaj głosu rozsądku, Oren! Wpakowałeś się w poważne kłopoty! Ben wyzdrowieje, ale chłopak, do którego strzeliłeś wczoraj w

nocy, nie żyje.

- To nie moja wina!
- My też tak sądzimy.
- My? Czyli ty i zastępca Nyland?

Zobaczyła, jak Ski unosi brwi, i dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że zastępca szeryfa słyszy głos Orena.

- Skąd znasz jego nazwisko?
- Wymieniają je we wszystkich serwisach informacyjnych.
- Nieważne. Posłuchaj, zastępca szeryfa wierzy, że nie chciałeś zabić młodego Coldare'a.

Ski zachęcająco kiwnął głową.

- Uważa, że to był wypadek.
- No, jasne, na pewno!
- Naprawdę tak myśli, sam mi to powiedział! Mógłbyś wyjść z tej sytuacji obronną ręką, ale musisz oddać się w ręce policji i...
- Nyland jest tam z tobą i słucha mnie.
- Nie, nieprawda. Jestem sama.
- Kłamczucha! Słyszę hałas w tle!
- Jestem w barze, czekam na zamówienie.
- W jakim barze?
- Co za różnica?
- W jakim barze? Nieźle poznałem Merritt, wiesz? Jesteś w „Chicken Shack” czy w „Smokehouse”? – Starks roześmiał się głośno. – Nie musisz odpowiadać! Wiem, że kłamiesz, wszystko jedno, co powiesz!
- Oren...
- Zamknij się i posłuchaj, Berry! Zamierzam cię zabić. Będziesz umierała powoli, bardzo powoli, a ja będę na to patrzył i miał niezłą

rozrywkę. Odwróć się!

– Co? – wychrypiała.

– Dziś rano pod Walmartem panuje wielkie zamieszanie, prawda? Założę się, że człowiek mógłby stanąć w tłumie i nikt nie zwróciłby na niego uwagi.

Odwróciła się gwałtownie, szukając jego twarzy w morzu innych.

– Buuu! – wybuchął Starks i zaniósł się piskliwym chichotem, znowu zanucił fragment piosenki i przerwał połączenie.

Ręka, w której Berry trzymała komórkę, opadła bezwładnie. Caroline pośpiesznie wyjęła telefon z dłoni córki. Ski wciąż stał przed Berry, solidny jak skała, obejmując jej ramię.

Dodge przybiegł z powrotem, mocno zasapany.

– Wyłapali sygnał komórki GPS – em! Starks jakimś cudem zdołał wrócić do Houston, bo właśnie stamtąd telefonował!

– To niemożliwe – słabym głosem odparła kobieta.

Dodge obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Dał jej do zrozumienia, że obserwuje ją gdzieś tutaj – wyjaśnił Ski.

– Tutaj? Nic z tych rzeczy! Chciał cię tylko nastraszyć!

– I udało mu się – przyznała Berry. – Powiedział, że wie, iż Ski jest ze mną, że pod Walmartem panuje wielkie zamieszanie. Skąd mógłby to wiedzieć, gdyby mnie nie śledził?

– Nie przypisuj mu nadnaturalnych zdolności! – rzucił Dodge. – Domyślił się, że trafiliśmy już jego śladem do sklepu i że w pierwszym rzędzie sprawdziliśmy nagrania z kamer. Facet bawi się z tobą jak kot z myszką! – Odwrócił się do Nylanda. – Nie udało się bardzo dokładnie określić miejsca jego pobytu, ale namiary z GPS – u przekazano policji w Houston. Ludzie już tam jadą. Cholera, żałuję, że nie mieliśmy takich

zabawek, kiedy byłem gliniarzem!

Berry nie wątpiła, że Ski zapamiętał wszystko, co usłyszał od Dodge'a, jednak jego oczy ani na moment nie opuściły jej twarzy.

– Świetnie sobie poradziłaś – rzekł cicho.

Z wielkim trudem przywołała słaby uśmiech i kiwnęła głową.

– Dziękuję.

– Jakże ten skurwysyn sprawiał wrażenie? – zapytał Dodge.

– Bardzo zadowolonego z siebie – odrzekł Ski.

– Co powiedział?

– Że zamierza ją zabić. Powoli. Że będzie się przyglądał, jak umiera, i się tym cieszył.

Dodge zaklął pod nosem.

– Można było wywnioskować, skąd telefonował?

– Z parkingu pod Walmartem – głucho odpowiedziała Berry.

– Nie ma go tutaj! – powtórzył Dodge. – Dzwonił z Houston, możesz mi wierzyć! Słyszeliście jakieś odgłosy w tle?

– Nic charakterystycznego – odparł Ski. – A ty, Berry?

Potrząsnęła głową.

Ski przesunął dłoń na jej bark.

– Świetnie sobie poradziłaś – powtórzył i przeniósł wzrok na pozostałych. – Jeżeli rzeczywiście dzwonił z Houston.

– Dzwonił – kiwnął głową Dodge.

– Jadę tam. Nadal masz przy sobie broń, Dodge?

– A jak myślisz?

– Zostaniesz z Berry?

– Chcę być obecny przy aresztowaniu tego skurwysyna!

– Jeszcze go nie złapali.

- Ale złapią!
- Wciąż masz nadzieję, że uda ci się do niego strzelić, co?
- To chyba oczywiste.

Ski pokręcił głową.

– Przykro mi, stary! Jesteś tu nieoficjalnie, a poza tym jeśli Starks znowu ucieknie, wolałbym, żeby Berry miała przy sobie ciebie, nie kogoś innego.

Dodge zaklął, spojrzał na Caroline, potem na Berry.

- W porządku – powiedział. – Nie spuszczę jej z oka!
- Dziękuję.
- Nie tracę nadziei, że zastrzelę drania, jeżeli tylko nadarzy się okazja. Znam świetnego adwokata.

Ski uśmiechnął się szeroko, odwrócił i ruszył biegiem w stronę samochodu.

- Jeszcze jedno!

Nyland przystanął i obejrzał się.

- Znasz numer, z którego dzwonił Starks? – zapytał Dodge.
- Policja z Houston na pewno już go sprawdza.
- Nie ma potrzeby. To numer komórki Sally Buckland, nie zauważyłeś?

Rozdział 18

NIEWIELE TO DAŁO – RZEKŁ DODGE, NALEWAJĄC WHISKY DO pękatego kieliszka i podsuwając go Berry.

- Nie, dziękuję.
- Wypij trochę, lepiej się poczujesz!
- Nie mogę. Zaraz jadę do Houston.

Włożył kieliszek w jej drżącą dłoń.

- Dwa łyki.

Dodge pojechał za Berry i Caroline do domu nad jeziorem, przez całą drogę trzymając się tuż za nimi. Kiedy skręcali na podjazd, opuścił okno i powiedział zastępcy szeryfa stojącemu tu na straży, żeby natychmiast strzelał, jeżeli tylko zauważy kogoś obcego na terenie posesji.

- Co na to Ski? – dopytywał się policjant.
- Kazał strzelać dwa razy – skłamał Dodge. – I przekaz to swojemu koledze na pomoście!

W domu sprawdził, czy system alarmowy nie został naruszony, i zapytał Caroline, gdzie przechowuje alkohol. Kiedy wskazała mu stojącą w salonie szafę, wyjął butelkę whisky i nalał kieliszek dla Berry, która teraz powoli sączyła trunek, zgodnie z radą Dodge'a.

- Dziękuję – powiedziała.
- Co z Sally Buckland? – spytała Caroline.

Dodge westchnął. Wiedział, że Caroline nie ustąpi, dopóki nie usłyszy wyjaśnienia.

- Jak powiedziałem, moja rozmowa z nią właściwie nic nie dała. Zadzwoń do niej.
- Dlaczego?

– Ponieważ pomyślałem, że może uda mi się wydobyć z niej więcej niż Nylandowi. Ski jest niezły, ale jego umiejętność prowadzenia konwersacji pozostawia wiele do życzenia.

– Podczas gdy twoja jest doskonała!

– Mamo, daj spokój... – w głosie Berry brzmiała nuta zmęczenia. – Pozwól mu dokończyć! Skąd wzięłeś numer telefonu Sally? – zwróciła się do Dodge'a.

– Dojdę do tego. Chodzi o to, że dzwoniłem do niej kilka razy, ale bezskutecznie. W końcu udało mi się złapać ją pod numerem stacjonarnym. Rozmawiała ze mną równie wymijająco jak z Nylandem. Strzelanina w Merritt to nie jej sprawa, nie widziała żadnej z zamieszanych w to osób od dnia swojego odejścia z Delray Marketing, i tak dalej, i tak dalej...

– Powiedziała, że Oren wcale mnie nie prześladował? – zapytała Berry. – Że skłamałam?

– Prawie słowo w słowo powtórzyła to, co mówiła Nylandowi.

– Nie rozumiem tego – wymamrotała Berry.

– Postanowiłem dać jej się z tym przespać. Zatelefonowałem do niej znowu dziś rano, z nadzieją, że zastanę ją w lepszym nastroju, bardziej skłoną do współpracy, ale oba telefony milczą.

– Zobaczyła twój numer na ekranie – zauważyła Berry. – Nie chciała z tobą rozmawiać, więc nie odebrała.

– Domyśliłem się. Dlatego doszedłem do wniosku, że pojedę tam dzisiaj i pogadam z nią w cztery oczy, ale widzisz, co dzieje się tu od samego rana.

Berry nie wiedziała o zdjęciach, które podstępem wyłudził z biura szeryfa, i Dodge nie zamierzał jej o nich mówić, przynajmniej na razie. Ski najwyraźniej był tego samego zdania. Telefon od Orena kompletnie wytrącił

Berry z równowagi, Caroline także nie wyglądała zbyt dobrze. Ski zostawił je obie pod jego opieką, a to oznaczało, że miał prawo nie dzielić się z nimi informacjami, o których nie musiały wiedzieć. Wieści o fotografiach przstraszyłyby je tylko jeszcze bardziej.

– Wczoraj Sally Buckland broniła Orena Starksa – Dodge wrócił do głównego tematu. – A dzisiaj on korzysta z jej komórki.

Berry przygryzła dolną wargę.

- To nie wróży niczego dobrego, prawda?
- Z pewnością.
- Niepokoję się o nią!
- Nie bez powodu.
- Uważasz, że Sally jest w niebezpieczeństwie?

Dodge zmarszczył brwi.

- Nie to chciałem powiedzieć.
- Coś chodzi ci po głowie – oświadczyła Caroline. – W czym rzecz?
- Starks i Sally Buckland mogą działać wspólnie.
- Nigdy w to nie uwierzę! – oburzyła się Berry.
- Więc podaj mi lepsze wyjaśnienie jej zachowania.
- Nie potrafię, ale wiem na pewno, że Sally nie znosiła Orena. Może nawet bała się go, tak samo jak później ja.

– Nawet antagoniści czasami łączą się w walce z poważniejszym wrogiem.

- Czyli ze mną? Ja mam być tym ich wrogiem?
- Nie złość się tak, ja tylko biorę pod uwagę rozmaite opcje i próbuję je z tobą przedyskutować. Czy wydaje ci się możliwe, choćby w najmniejszym stopniu, że Starks i Sally postanowili razem odegrać się za coś na tobie?

Berry pociągnęła jeszcze jeden łyk whisky. Dodge zauważył, że jej ręka mocno drżała, gdy podnosiła kieliszek do ust.

Milczenie przeciągało się.

– Liczę, że Ski wydusi jakieś odpowiedzi z Sally Buck – land – przerwała jej w końcu Caroline.

– W pierwszym rzędzie zapyta ją o Amandę Lofland – Dodge celowo rzucił to zdanie nieoczekiwanie i twardo, czujnie obserwując twarz Berry.

Jej zdumienie wydało mu się szczere, a przecież miał spore doświadczenie.

– Amanda i Sally? Co miałyby je łączyć?

– Nie wiesz?

– Nie wiedziałam nawet, że się znają!

– Znają się.

– Skąd wiesz?

– Zwinąłem wczoraj komórkę Amandy Lofland;

– Co takiego?! – zawołała Berry. – Dlaczego?!

Dodge wzruszył ramionami.

– Z ciekawości. Przejrzałem listę jej kontaktów i połączeń.

– I znalazłeś wśród nich numer Sally Buckland – powiedziała Caroline.

– Tak. Wydzwaniały do siebie od paru tygodni, w tę i z powrotem. Żona Loflanda chyba nigdy nie czyści swojej skrzynki, słowo daję! Później oddałem komórkę Nylandowi. Jeżeli odrobił lekcje, a możemy raczej założyć,

że tak, zobaczył numer Sally oraz liczbę połączeń i zaczął zastanawiać się, co te dwie damy oraz Oren Starks mają ze sobą wspólnego. Bystry z niego chłopak, więc na pewno wpadnie na ten sam pomysł co ja. – Dodge

spojrzał na Berry. – Chodzi o ciebie.

Nie odpowiedziała. Opuściła głowę i utkwiała wzrok w zawartości kieliszka.

– Ale Ski nie rozmawiał z tobą na temat Amandy Lofland? – spytała Caroline.

– Nie. Zadzwoił do mnie jednak, kiedy tu jechaliśmy, i zorientowałem się, że ma podobne podejrzenia. Pytał, czy wydaje mi się prawdopodobne, że Sally Buckland i Starks działają ręka w rękę, że może to ona przyjechała po niego pod Walmart.

– Co naprowadziło go na ten tok myślenia? – Caroline lekko przechyliła głowę.

– Dzwonili do niego z policji w Houston. Podobno w domu Buckland nikogo nie ma, a garaż jest pusty. Starają się namierzyć jej samochód. W komórce od razu włącza się poczta głosowa i nic dziwnego, bo po rozmowie z Berry Starks woli unikać bezpośredniego kontaktu.

– Mam jeszcze jedno pytanie – odezwała się Caroline. – Dlaczego dzwonił do Berry z tej komórki? Dlaczego w ogóle do niej telefonował?

– Ski i ja też się nad tym zastanawialiśmy – przyznał Dodge. – Na pierwszy rzut oka to bez sensu! Starks wiedział, że go zlokalizujemy, chociaż wybrał sobie niezłe miejsce. Chcecie wiedzieć, skąd się odezwał? Z parkingu przed barem „Minute Maid”. Zrobił to w momencie, gdy kończył się mecz baseballowy drużyny Astros. Policjanci z Houston już tam byli, ale nikt nie wie, czym jeździ Starks.

– Samochodem Sally Buckland? – zapytała Caroline.

– To najbardziej prawdopodobne, jednak nie mamy pewności. Tak czy inaczej trochę to trwało, zanim puściliśmy w obieg numer rejestracyjny jej wozu, więc Starks miał szansę wcześniej dać nogę. Ze stadionu wychodziły

wtedy tysiące ludzi, wszędzie panował tłok, ruch uliczny był bardzo spowolniony. Spryciarz z tego skurwysyna, bez dwóch zdań.

– Chcesz nam powiedzieć, że on znowu uciekł, tak? – zachrypniętym głosem odezwała się Berry.

– Tak – niechętnie odparł Dodge. – Właśnie to chcę wam powiedzieć. Warto jednak dodać, że popełnił głupi błąd, wskazując policji, gdzie należy zacząć go szukać.

– Oren nie jest głupi, wręcz przeciwnie. Posłużył się telefonem Sally z jakiegoś powodu, do mnie także zadzwonił nie bez przyczyny. Nie wiemy, dlaczego to zrobił, ale zapewniam cię, że każde jego posunięcie stanowi część doskonale obmyślonego planu. – Berry postawiła do połowy pełny kieliszek na stoliku do kawy i wstała. – Idę się spakować.

– Możesz dopić tę whisky, bo dziś wieczorem na pewno nie pojedziesz do Houston! – rzucił Dodge.

Nieznacznie uniosła głowę.

– Na pewno pojedę!

– Nie, moja pani! Nic z tych rzeczy!

– Jutro rano muszę być w Delray Marketing i zrobić prezentację!

– Ustaliłaś to z Nylandem?

– Nie mam obowiązku niczego z nim ustalać!

– Facet dostanie ataku furii!

– Nyland ma swoją pracę i swoją karierę, a ja swoją! Jutro muszę przedstawić plan kampanii, nie mogę się spóźnić. To moje zlecenie i owoc całorocznej pracy.

Dotrzymam terminu, nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

– Berry, wiem, jakie to dla ciebie ważne, lecz w tej sytuacji i twoi przełożeni w Delray, i klient rozumieją, jeśli poprosisz o przełożenie daty

prezentacji – powiedziała Caroline.

– A ty przełożyłabyś podpisanie ważnego kontraktu?

Caroline zamierzała chyba odpowiedzieć niezgodnie z własnym przekonaniem, ale w końcu bezradnie pokręciła głową.

– Raczej nie – odparła.

– Więc rozumiesz, dlaczego muszę tam być jutro rano! Ben nie zaprezentuje planu kampanii, a ja mu obiecałam, że zrobię to w jego imieniu. Klient spodziewa się, że dotrzymam warunków umowy, moi zwierzchnicy też na mnie liczą.

– Pieprzyć Delray, Loflanda, klienta i całą resztę! – eksplodował Dodge. – Zdażyłyście już zapomnieć, że ten szaleniec grozi Berry śmiercią?!

– Jeżeli ukryję się tutaj i przestanę normalnie żyć, Oren wygra! – zaprotestowała Berry. – Jadę!

Wyszła z pokoju i pobiegła na górę. Dodge oparł ręce na biodrach i utkwiał gniewne spojrzenie w twarzy Caroline.

– Będziesz tu tak stała? – warknął. – Zrób coś, zatrzymaj ją!

– Jak? Już próbowałam. Słucham propozycji.

– Nie wiem jak, ale trzeba ją powstrzymać! Przedstawić jakieś logiczne argumenty!

– To niemożliwe, Dodge.

– Słusznie! Bo jest uparta jak osioł, tak samo jak ty!

Caroline przeszła obok niego i zaczęła wspinać się po schodach.

– I piekielnie ambitna, tak samo jak ty! – odpaliła.

Berry postanowiła przedstawić kampanię następnego dnia rano, a Caroline nie zamierzała pozwolić córce jechać samej. Dodge obiecał Nylandowi, że nie spuści Berry z oka. Oznaczało to, że wszyscy troje

wyruszą razem do Houston.

Dodge narzekał, że czeka ich długa droga, lecz w głębi duszy bardzo się cieszył. Upór Berry dał mu wymówkę, aby pojechać tam, gdzie chciał być. Zamierzał stawić czoło sukinkotowi, który od dłuższego czasu terroryzował jego córkę, a zdawał sobie sprawę, że kiedy Starks trafi za kratki, trudno będzie to zrobić.

Dodge wiedział jedno – gdyby udało mu się dopaść Starksa przed policją, facet będzie miał szczęście, jeżeli ujrzy wnętrze więziennej celi.

Zdecydowali, że wezmą samochód Caroline, większy i wygodniejszy od wynajętego przez Dodge'a. Świadomy, że nie będzie mógł palić, postarał się nasycić organizm jak największą ilością nikotyny, czekając, aż obie kobiety spakują swoje rzeczy.

Berry dołączyła do niego pierwsza. Przydźwigała dużą skórzaną teczkę i małą walizkę i ogarnęła wzrokiem spoczywające na podstawce doniczki niedopałki.

– Myślisz, że to wystarczy ci na czas podróży? – zapytała.

– A mam jakiś wybór?

Jego zrzędlawy ton wyraźnie ją rozbawił. Razem włożyli torby do bagażnika. Berry miała już usiąść z tyłu, ale zawahała się.

– Wiem, że uważasz to zadanie za coś w rodzaju pilnowania dzieci, Dodge... – powiedziała. – Wolałbyś włączyć się do akcji, to oczywiste, lecz ja cieszę się, że jesteś przy mnie. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. – Dziękuję.

Dodge wiele razy kpił z ludzi, którzy rozczulali się nad swoimi dziećmi. Uważał ich za sentymentalnych głupków, nudziarzy i kłamców, jednak gdy Berry uśmiechnęła się do niego i dotknęła go, w ułamku sekundy pojął absurdalny, niemożliwy do wyjaśnienia i nieograniczony wymiar

rodzicielskiej miłości.

Minęło kilka minut, zanim odzyskał zdolność normalnego oddychania.

Kiedy ruszyli, próbował złapać Nylanda, ale dodzwonił się tylko na jego pocztę głosową. Zostawił wiadomość, krótko go informując, co zamierzają. Ski odezwał się dopiero, gdy byli w połowie drogi do Houston i zatrzymali się na dużej stacji benzynowej. Dodge trzymał straż pod drzwiami damskiej toalety, kiedy zadzwoniła jego komórka.

Sprawdził numer na ekranie, westchnął i przygotował się na najgorsze.

– Próbowałem, słowo daję! – uprzedził atak.

Pozwolił Nylandowi kląć przez bite trzydzieści sekund.

– Berry jest zdecydowana przedstawić jutro tę swoją kampanię – przerwał mu w końcu.

Ski wypuścił powietrze z płuc i dorzucił jeszcze kilka soczystych wyrazów.

– Zaraz po prezentacji ma wracać do Merritt! – oświadczył.

– Jasne. Co się dzieje?

Nyland mówił przez parę minut.

– Jak Berry? – zapytał na koniec. – Poza tym, że jest upierdliwa jak wrzód na tyłku.

– Nienormalnie milcząca.

– Przestraszona?

– Tak. I nic nie wie o tych zdjęciach.

– Nie powiedziałaś ani jej, ani Caroline?

– Nie.

– To dobrze. – Ski przerwał na moment. – Kazałem jednemu z zastępców odwieźć Amandzie Lofland jej komórkę. Nie udawajmy, że nie przejrzałeś zawartości.

– Znalazłeś numer Sally Buckland?

– Trudno go nie znaleźć.

– Berry nie miała pojęcia, że te dwie się znają.

– Pytałeś ją?

– Tak. Wyglądała na naprawdę zaskoczoną, że kontaktowały się ze sobą. Jaki miały wspólny temat, jak sądzisz?

Ski nie odpowiedział.

– Jedźcie ostrożnie! – rzucił i rozłączył się.

Caroline i Berry wyszły z toalety w momencie, gdy

Dodge wkładał komórkę do etui przy pasie.

– Kto dzwonił? – zagadnęła Berry.

– Ski.

– Coś nowego?

– Porozmawiamy w samochodzie.

Kiedy wjechali z powrotem na autostradę, przekazał im wiadomości od Nylanda.

– Jest teraz pod domem Sally Buckland i czeka na nakaz przeszukania, żeby móc wejść do środka, ale dziś niedziela. Wszyscy starają się zlokalizować sędziego. – Popatrzył w lusterko wsteczne, prosto w oczy Berry. – Pytał mnie też, co ty sobie, do diabła, łagodnie mówiąc, myślisz, wybierając się do Houston! Nie był zadowolony, trzeba ci wiedzieć. Miał pewność, że bezpiecznie siedzisz w domu nad jeziorem, pod opieką jego uzbrojonych ludzi, wliczając w to mnie.

– Nie potrzebuję jego pozwolenia, żeby pojechać do Houston!

– Chętnie popatrzę, jak mu to mówisz. Ski powiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno nam zatrzymać się na noc u ciebie, nie w miejscu, gdzie Starks mógłby cię bez trudu znaleźć.

– Więc gdzie mamy przenocować? – zapytała Caroline.

– Ski zarezerwuje nam pokoje w hotelu. Oświadczył, że ponieważ ty i szeryf Drummond jesteście tak bliskimi przyjaciółmi, szeryf na pewno zaaprobuje ten wydatek!

Ski nic takiego nie powiedział, ale Dodge nie mógł sobie darować tej uwagi.

– Po zrobieniu rezerwacji da nam znać, dokąd mamy jechać. Chce znaleźć jakiś hotel w pobliżu siedziby Delray. Na koniec powiedział, że zaraz po jutrzejszym spotkaniu z klientem masz wziąć tyłek w troki i wracać do Merritt, bez żadnych „ale”, rozumiesz, Berry?

– Tak. Dostrzegam też dobre strony noclegu w hotelu, musimy jednak najpierw wstąpić do mnie.

– Dlaczego?

– Muszę zabrać jakieś ubranie.

– Co jest nie tak z tym, które masz na sobie?

Berry i Caroline spojrzały na niego jak na imbecyla.

– Najwyżej pięć minut – rzekł z rezygnacją. – W porządku?

– W porządku – Berry skinęła głową.

– Powiedz, jak tam dojechać!

W miarę jak zbliżali się do miasta, ruch na drodze stawał się coraz większy. Wyglądało na to, że połowa populacji Houston wracała do domu po weekendowych wypadach. Dodge miał ochotę zapalić i odetchnął z ulgą, kiedy

Berry w końcu poinstruowała go, gdzie zjechać z zatłoczonej autostrady.

Dzielnica, do której go skierowała, była bardzo zadbana i emanowała aurą zamożności, a gdy wskazała mu swój dom, ogarnął go najszczerzy

podziw. Sam nigdy nie byłby w stanie zapewnić córce tak imponującego miejsca do mieszkania. Naturalnie Caroline pewnie utargowała spory upust, sporządzając umowę zakupu, ale jednak...

Podchodząc z obiema kobietami do drzwi, czuł się niepewnie i nieswojo. Pragnąc odzyskać równowagę, wyjął rewolwer z kabury u pasa z tyłu.

– Wejdę pierwszy – powiedział.

– Muszę wyłączyć alarm – oświadczyła Berry.

– Pamiętaj, co spotkało Davisa Coldare’a!

Zrezygnowała z dalszej dyskusji, podała mu kod i razem z matką zaczęła na ganku, aż Dodge wejdzie do środka, rozbroi alarm i wreszcie, ostrożnie przechodząc z pokoju do pokoju, powłącza wszędzie światła.

Usatysfakcjonowany, że Starks nie czyha gdzieś w kącie, włożył broń do kabury i pozwolił kobietom wejść.

– Rozgoście się – powiedziała Berry i poszła korytarzem prosto do swojej sypialni.

– Pięć minut! – zawołał za nią Dodge.

W innych okolicznościach z przyjemnością obejrzałby dom córki. Umeblowanie i styl wystroju mogą dużo powiedzieć o człowieku, a on chciał dowiedzieć się o Berry jak najwięcej. Na razie jeden rzut oka wystarczył, aby przekonać go, że dobry gust i upodobanie do ładu i porządku odziedziczyła po matce, nie po nim.

Miał już powiedzieć o tym Caroline, gdy oboje usłyszeli głośny krzyk Berry.

Rozdział 19

NA ULICY PRZED DOMEM BERRY STAŁO KILKA RADIOWOZÓW oraz karetka pogotowia, uniemożliwiając innym samochodom normalny przejazd. Trawnik został ogrodzony żółtą taśmą. Gapie stali grupkami za tą barykadą, głośno zastanawiając się nad naturą nagłego zdarzenia.

Ski przedarł się przez tłum i kordon i pokazał legitymację policjantowi stojącemu przy drzwiach. Usłyszał, że może wejść i że detektyw Rodney Allen z wydziału zabójstw w Houston już na niego czeka.

Wkroczył do holu wyłożonego płytami piaskowca, z wysokim, roslym fikusem w kącie. Normalnie rozejrzałby się z zaciekawieniem, lecz teraz, po znalezieniu zwłok Sally Buckland w głównej sypialni, dom stał się miejscem zbrodni i jego ciepła, przyjazna atmosfera uległa skażeniu wszystkim, co zawierało się w tym określeniu.

Ludzie z dochodzeniówki i fotograf kręcili się po salonie.

– Szuka pan detektywa Allena? – zapytał jeden z mężczyzn w lateksowych rękawiczkach.

Ski kiwnął głową.

– Jest w kuchni.

– Co robicie?

– Czekamy, aż lekarz sądowy skończy robotę w sypialni. Wtedy my weźmiemy się do pracy.

Ski zajrzał do krótkiego korytarza, skąd dobiegał szmer głosów, zerknął w kierunku, który wskazał mu mężczyzna, i znalazł drogę do kuchni. Dodge stał oparty plecami o granitowy blat. Obok tkwił przystojny czarnoskóry mężczyzna z gładko ogoloną głową i wyraźnie zaznaczonymi mięśniami szyi, typ entuzjasty siłowni. Czujny, skupiony i napakowany,

policjant sprawiał wrażenie gotowego na wszystko.

Dodge zaś wyglądał na żadnego krwi.

Caroline i Berry siedziały obok siebie przy prostokątnym stole o rustykalnym wykończeniu, w stylu francuskiej wsi z okresu międzywojnia. Caroline opiekuńczo obejmowała córkę ramieniem.

Naprzeciwko nich zasiadł mężczyzna, który na widok Nylanda odsunął krzesło od stołu i wstał, wyciągając do przybysza rękę. Był wysoki, w średnim wieku, z lekko zaokrąglonym brzuchem, który stanowił chyba jedyny miękki punkt w jego ciele. Miał zmęczone życiem oczy i nieco sztywny sposób bycia detektywa wydziału zabójstw w wielkim mieście. Długie lata oglądania najstraszniejszych dzieł człowieka pozostawiły wyraźne piętno na jego twarzy. Uścisk twardej jak podkowa dłoni był mocny, suchy i zdecydowany. Jasne mimiczne zmarszczki w kącikach intensywnie niebieskich oczu kontrastowały z opalenizną.

- Rodney Allen.
- Ski Nyland.
- A to detektyw Somerville.

Czarnoskóry policjant krótko skinął głową, nie mówiąc ani słowa.

- Niech pan siada – powiedział Allen.

Ski usiadł. Na moment pochwycił spojrzenie Berry, która zaraz znowu opuściła głowę.

- Dziękuję za zaproszenie – rzucił.
- To był wasz facet, zanim go przejeśliśmy. Oczywiście jeżeli osobnik, który zabił panią Buckland, jest tym samym, który wczoraj wieczorem zastrzelił tego chłopaka w Merritt.

– Oren Starks niewątpliwie powinien znaleźć się w centrum waszego zainteresowania – zauważył Ski.

– W centrum zainteresowania, do kurwy nędzy... – wymamrotał Dodge. – Ten pieprzony morderca kobiet i dzieci.

Zadzwoił do Nylanda zaraz po tym, jak powiadomił policję o ponurym odkryciu w sypialni Berry. Ski czekał właśnie na wydanie przez sędziego nakazu przeszukania domu Sally Buckland na drugim końcu Houston. Pędził przez miasto na złamanie karku, lecz mimo czerwonego światła na dachu terenówki droga zajęła mu ponad pół godziny.

W tym czasie Allen i Somerville przybyli na miejsce, aby rozpocząć dochodzenie w sprawie morderstwa Sally Buckland. W trakcie wstępnego przesłuchania Dodge poinformował detektywów o dochodzeniu, które Nyland prowadził w Merritt, nie ulegało więc wątpliwości, że Allen nie zaprosił go tutaj wyłącznie z zawodowej uprzejmości. Poszukiwał informacji o wspólnym podejrzanym.

Ski potrafił mówić zwięźle i treściwie. Zaczął od strzelaniny w domu nad jeziorem, do której doszło w piątek wieczorem.

– Starks był poszukiwany za napad na Loflanda, ale wczoraj wpakował się w znacznie gorsze bagno.

– Zastrzelił chłopaka – krótko uzupełnił Allen.

– Davis Coldare został zastrzelony w motelu, a naoczny świadek zidentyfikował Orena Starksa. Starks uciekł z miejsca zbrodni, porzucił samochód mniej więcej dziesięć kilometrów dalej i pieszo dotarł do supermarketu Walmart. Mamy go na nagraniu wideo.

Ski wyjaśnił, z jakiego powodu Starks kupił w sklepie buty.

– O której tam się zjawił?

– Tuż po trzeciej nad ranem. Wyszedł z supermarketu i zniknął.

Wszystko wskazuje na to, że ktoś zabrał go z parkingu i odwiózł do Houston. Możliwe, że była to Sally Buckland.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Ponieważ dziś po południu, koło szesnastej, dzwonił do panny Malone z komórki Sally Buckland. Telefon wykonano z parkingu przed „Minute Maid”. Na miejsce wysłano policję, ale Starks natychmiast wyłączył telefon. Poza tym tłumy opuszczały właśnie stadion po meczu, a na ulicach panował duży ruch, nie wiemy więc, jakim samochodem się poruszał. Mógł to być wóz Buckland, nie mamy jednak pewności. Znowu zgubiliśmy trop. – Ski przerwał na sekundę, żeby złapać oddech. – I utknęliśmy w martwym punkcie.

– Cóż, to nie ona zabrała go spod Walmartu i zawiozła do Houston, ponieważ koło trzeciej już od dawna nie żyła – rzekł Allen. – Z oceny biegłego sądowego wynika, że zginęła co najmniej dwadzieścia cztery godziny wcześniej, a może i więcej.

Umysł Nylanda cofnął się do poprzedniego dnia z prędkością szybko przewijanej taśmy.

– Wczoraj po południu rozmawiałem z nią przez telefon – oznajmił.

– Ja też! – dorzucił Dodge.

– W takim razie musiała zginąć zaraz po tych rozmowach – powiedział Allen. – Być może sekcja zwłok pomoże nam dokładniej określić czas zgonu, lecz gość, który teraz tam siedzi, to prawdziwy ekspert. Od wielu lat pracuje w policji i bez przerwy dokonuje oględzin zwłok. Jego zdaniem Sally Buckland umarła wczoraj po południu.

Dodge zaklął pod nosem.

– Była wyraźnie zdenerwowana, spięta i broniła Starksa. Myślałem, że staje w jego obronie, ponieważ działają razem, ale teraz rozumiem, że była po prostu przerażona. – Spojrzał na Nylanda. – Starks stał obok niej, kiedy dzwoniłem...

Berry skuliła się i przygarbiła.

– Zgaduje pan, że tak było. – Allen pokiwał głową.

– I chyba słusznie – wtrącił się Ski. – Moja rozmowa z nią też była dziwna. Nie potrafię tego dokładniej określić, lecz teraz znacznie lepiej to czuję. Sally rozmawiała pod przymusem, mówiła rzeczy, które Starks chciał usłyszeć. Próbowwała ratować życie.

– Zginęła od strzału w lewą skroń – powiedział Allen. – Oddanego z bardzo bliska, ale nie w tym domu... Została zabita w innym miejscu, potem przywieziono jej zwłoki tutaj.

– Jak udało mu się wnieść ciało i nie włączyć alarmu?

– Pracowaliśmy nad tym, kiedy pan przyjechał.

Wszyscy odwrócili się do Berry.

– Oren miał zwyczaj czekać pod drzwiami, kiedy wracałam z pracy albo z jakiejś imprezy – powiedziała cichym, rwącym się głosem. – Wchodziłam przy nim do środka i wyłączałam alarm. On zawsze... Zawsze był tuż obok. Może zobaczył kombinację, nie wiem... Zamierzałam ją zmienić, ale w końcu przeniosłam się do Merritt i już nie miało to sensu.

– Starks poważnie ryzykował, przewożąc zwłoki – zauważył Ski.

– Uznał, że gra jest warta świeczki – odparła Berry. – Zależało mu, żebym to ja znalazła Sally, to miała być część kary, którą postanowił mi wymierzyć.

Wszyscy chwilę milczeli.

– Miejsce zbrodni da nam więcej wskazówek, ale najpierw musimy je znaleźć – przerwał ciszę Allen.

– Musimy! – przytaknął Somerville, którego bas doskonale pasował do muskularnej budowy. – Dostałem właśnie wiadomość. – Uniósł swoją komórkę. – Detektywi w domu Sally Buckland znaleźli krew w jej łóżku,

dużo krwi, poduszka była nią przesiąknięta. Na pościeli chyba ślady spermy. Zgadzałoby się to z tym, co wykazały oględziny zwłok.

– Dziękuję, Somerville! – Allen uciał przerażający raport swego podwładnego.

Te słowa zupełnie wystarczyły. Caroline King pobladła, Berry przycisnęła opuszki palców do oczu. Dodge zamruczał coś niewyraźnie.

– Muszę zapalić! – warknął i wyszedł tylnymi drzwiami.

Wpatrzony w czubek głowy Berry, Ski myślał o wszystkim, co usłyszeli od detektywa, a także o zdjęciach zrobionych przez okno sypialni Berry i na pomoście na brzegu jeziora. Młoda kobieta była piękna i naturalna, nieświadoma niebezpieczeństwa i bezbronna. Ze wszystkich sił starał się zachować zawodowy dystans, okazało się to jednak niemożliwe. Chciał dopaść Orena Starksa i zrobić mu krzywdę. Dużą krzywdę.

– Kiedy dostaniecie raport balistyczny pocisku, który zabił Sally Buckland, chciałbym porównać go z danymi pocisku wyjętego z ciała Davisa Coldare’a – powiedział.

– Oczywiście.

– Proszę powiedzieć zastępcy szeryfa o wiadomości – odezwała się nagle Berry.

Ski spojrzał na nią i przeniósł wzrok na Allena.

– O jakiej wiadomości?

– Zwłoki znajdowały się w zapinanym na zamek błyskawiczny dużym pokrowcu, jednym z tych do przechowywania zimowych okryć wierzchnich – wyjaśnił detektyw. – Z wieszakiem w środku, wie pan, o czym mówię.

Ski kiwnął głową.

– Na zewnętrznej stronie wypisana była wiadomość, krwią, pewnie

pani Buckland.

– Jaka wiadomość?

Ski skierował pytanie do detektywa z Houston, ale odpowiedziała na nie Berry.

– „Sally powinna ci podziękować”...

Zaraz potem zwłoki Sally Buckland zostały wyniesione i zabrane do kostnicy, a zespół dochodzeniowy wkroczył do sypialni Berry, aby przeczesać każdy centymetr pokoju w poszukiwaniu dowodów. Somerville wyszedł na moment, by odebrać telefon, a po powrocie do kuchni poinformował obecnych, że samochód ofiary znaleziono na ogromnym wielopoziomowym parkingu w znanej medycznej dzielnicy Houston.

– Bilet wjazdu znajdował się za przednią szybą, wystawiony wczoraj wieczorem, o dziewiętnastej siedemnaście.

– Kilka godzin po moim telefonie do niej – zauważył Ski.

– System monitoringu zarejestrował tego faceta. – Somerville podsunął swoją komórkę Nylandowi, żeby ten mógł z bliska obejrzeć przesłaną przed chwilą stop – klatkę.

Ujęcie było niewyraźne i gruboziarniste, niewątpliwie ukazywało jednak siedzącego za kierownicą Orena Starksa.

– To on.

Somerville podszedł z telefonem do Berry, chcąc uzyskać potwierdzenie identyfikacji. Młoda kobieta mocno przygryzła wargę i skinęła głową.

– Ujęcie pochodzi z okolic wjazdu do garażu – podjął Somerville. – Starksa nie złapała jednak żadna z kamer wewnątrz składających się na ten kompleks budynków.

– W pobliżu miał zaparkowany inny samochód – zauważył Ski. –

Najprawdopodobniej brązową toyotę.

– Policjanci z patrolu, którzy znaleźli samochód na parkingu, mówią, że na miejscu kierowcy i w bagażniku widać ślady krwi. Wygląda na to, że Starks zabił Sally Buckland w jej domu, przywiózł zwłoki tutaj jej samochodem, wjechał nim na parking i porzucił go. Niezły ruch, bo tu mógł stać nawet dłuższy czas, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Pacjenci klinik i ośrodków medycznych oraz ich krewni często spędzają tutaj wiele dni.

– Starks zmienił wóz na parkingu i wyjechał tym drugim – dorzucił Allen.

– Kamery nie rejestrują opuszczających parking samochodów – wyjaśnił jego partner. – A szkoda.

Ski ściągnął brwi. Allen natychmiast to zauważył.

– O co chodzi? – zapytał czujnie. – Widzi pan jakieś braki w tym scenariuszu?

– W zasadzie nie. Znaczyłoby to jednak, że Starks zaparkował w tej dzielnicy, pieszo udał się do domu Sally Buckland, zamordował ją i zabrał jej wóz, tak?

– Chyba tak.

– No dobrze. Jaka odległość dzieli obsługujący kliniki parking i dom Sally Buckland? Ze trzy kilometry, lekko licząc?

Somerville lekceważąco wzruszył ramionami.

– Jakież trzydzieści minut na piechotę.

– Dla nas – uściślił Ski. – Ale nie dla człowieka z kontuzjowaną nogą!

– Powiedział mi, że jest cała sinoczarna i spuchnięta – odezwała się Berry.

– To, że utykał, nie zwróciłoby tam niczyjej uwagi – rzekł Somerville.

– W pobliżu jest dużo klinik rehabilitacyjnych, przychodni i tak dalej. Zawsze kręci się tam mnóstwo ludzi o kulach albo na wózkach inwalidzkich.

Ski pokręcił głową, wyraźnie nieprzekonany.

– Dla kogoś z chorą nogą to naprawdę długi spacer. Na dodatek Starks przeszedł jeszcze ponad kilometr od porzuconej toyoty do Walmartu w Merritt, częściowo po nierównym terenie i po ciemku. Niepokoi mnie też, dlaczego w ogóle zmienił samochód? Dlaczego przewiózł zwłoki samochodem pani Buckland, nie toyotą?

– Nie chciał, żeby toyotę zobaczył któryś z sąsiadów, ktokolwiek, kto mógłby ją później zidentyfikować – odparł Somerville.

Było to marne, lecz mimo wszystko dość logiczne wyjaśnienie, a Ski nie miał lepszego.

– Co wynika z pobieżnych oględzin toyoty? – zagadnął Allen.

– Numer identyfikacyjny wozu został zeszkrobany, tablica rejestracyjna należy do niebieskiego taurusa 2001 z Conway w Arkansas. Jeden z naszych ludzi rozmawiał z właścicielem wozu. Facet ostatnio był w Houston. Tablice zostały skradzione w czasie tego pobytu, nie jest jednak pewny, gdzie i kiedy to się stało.

– Starks przygotowywał sobie grunt.

– Najwyraźniej, ale nie wykazał się zbytnią inteligencją, wracając do Merritt po zamordowaniu Sally Buckland. – Ski lekko zmarszczył brwi. – Musiał wiedzieć, że

wszystkie służby policyjne wschodniej części Teksasu szukają go po strzelaniu w domu nad jeziorem, i mimo to po przewiezieniu tutaj zwłok, co również wydaje mi się nieostrożnym posunięciem, wrócił do Merritt i ukrył się w podrzędnym motelu. Po co, do diabła? – Bezradnie pokręcił

głową. – Moim zdaniem to zupełnie bez sensu!

– Miał w Merritt niedokończoną sprawę – cicho zauważyła Berry. – To znaczy nadal ją ma. Ja jeszcze żyję.

Caroline mocniej przytuliła córkę.

– Czy na razie to wszystko? – zapytała.

Allen i Somerville przytaknęli. Kiedy wszyscy zebrali się przy drzwiach, aby wymienić numery telefonów, Ski zauważył, że Berry patrzy w kierunku swojej sypialni. Gdy po chwili się odwróciła, w oczach miała łzy. Pomyślał, że minie dużo czasu, zanim będzie w stanie wejść do tego pokoju i otworzyć drzwi szafy, nie wspominając ponurego odkrycia, jeżeli w ogóle kiedykolwiek uwolni się od tego obrazu. Oren Starks na zawsze skaził także i jej dom.

Kiedy Caroline i Berry wyszły, Allen zatrzymał Nylanda.

– Tylko sekundę, dobrze?

– Jasne.

– Kto to jest? – Mężczyzna ruchem głowy wskazał stojącego przy żółtej taśmie Dodge'a, który palił papierosa i gawędził z policjantem w mundurze.

– Prywatny detektyw, zatrudniony przez panią King.

– Ma broń.

– I pozwolenie.

– Tak twierdzi.

– Więc o co chodzi? – Ski uniósł brwi.

Allen wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Stwarza jakieś problemy?

– Nie, to porządny gość. Były policjant, pracował dawniej tutaj, w Houston. Kiedy wstąpił pan do policji?

– W osiemdziesiątym szóstym.

– Więc minęliście się, bo on odszedł w siedemdziesiątym dziewiątym.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

Ski spojrzał ponad ramieniem Allena i zobaczył opartego o ścianę domu Somerville'a zajętego rozmową przez komórkę.

– Kazał pan swojemu człowiekowi sprawdzić Hanleya?

– Tak. – Allen uśmiechnął się chłodno.

– Dodge miał jakąś sprawę o niesubordynację, ale nie został wyrzucony. Odszedł na własne życzenie.

– To dobrze. Policji nie trzeba takich ludzi.

Ski zmierzył Allena uważnym spojrzeniem.

– Myli się pan – odparł zdecydowanym tonem. – Przydałoby się ich parę tysięcy. Przepraszam, muszę już iść.

Kiedy dołączył do Caroline i Berry, Dodge był już przy nich. Ski wyczytał z jego twarzy, że zdobył nowe informacje.

– Co jest?

Dodge ostrożnie zerknął na kobiety.

– Nie oszczędzaj nas, słabych niewiast – zakpiła Caroline. – Czego się dowiedziałeś?

Zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek na ziemię.

– Ten policjant przyjechał tutaj jako jeden z pierwszych – rzekł. – Rozmowny facet. – Spojrzał na Berry. – Czy Sally Buckland miała chłopaka?

– Nic o tym nie wiem. Ale inny mężczyzna na pewno nie był powodem, dla którego odrzuciła zaloty Starksa. Czemu pytasz?

– Bo ten gość powiedział, że jedyną rzeczą, jaką miała na sobie, była

srebrna bransoletka, taki łańcuszek.

Berry zbladła.

– Z wisiorkiem w kształcie serca – wyszeptala.

Dodge popatrzył na nią i przeniósł wzrok na Nylanda, który natychmiast odpowiedział na jego niewypowiedziane na głos pytanie.

– Starks dał Berry taką bransoletkę.

Żadne wyjaśnienia nie były konieczne, wszyscy zrozumieli, co to oznacza. Oren Starks miał obsesję na punkcie dwóch kobiet, którym podarował identyczne bransoletki. Obie go odrzuciły. Jedna już nie żyła.

– Miałaś rację, Berry – odezwał się Dodge. – Bałaś się o nią.

Przykro mi, że źle odczytałem sygnały.

– Mnie także – powiedział Ski.

– Nie mogliście jej uratować – szepnęła ze smutkiem. – Kiedy Oren zadzwonił do mnie z jej komórki, Sally już od dawna była martwa.

– Berry powinna się teraz położyć – Caroline pośpiesznie przerwała ciszę. – W którym hotelu zarezerwowałeś nam pokój, Ski?

– W Sheratonie, parę kilometrów od siedziby Delray. Zawsze jest tam tłok, a zależało mi, żeby dookoła kręciło się jak najwięcej ludzi.

Caroline objęła córkę i poprowadziła ją do samochodu. Mężczyźni poszli za nimi.

– Pojadę przodem, ale trzymaj się blisko mnie – polecił Ski Dodge'owi, który miał prowadzić wóz Caroline.

– Postaw koguta na dachu, będzie mi łatwiej.

– Nie chcę, żeby ktoś mógł nas łatwo wyśledzić. – Ski lekko poruszył głową.

Dodge spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył wóz transmisyjny jednego z kanałów telewizyjnych, próbujący wepchnąć się między

radiowozy.

TTLR

Rozdział 20

CAROLINE NIE SPODZIEWAŁA SIĘ, ŻE SKI POJEDZIE Z NIMI DO hotelu, ale była mu wdzięczna, iż to zrobił. Czowała się tak zmęczona, że z trudem się ruszała, a Berry dosłownie leciała z nóg. Legitymacja Nylanda pomogła przyśpieszyć proces meldunkowy w recepcji. Kiedy Ski przedstawił się kierownikowi zmiany, mężczyzna osobiście odprowadził gości do pokoi, zapewniając, że Berry będzie całkowicie bezpieczna.

– Wpisaliśmy państwa do książki meldunkowej jako gości specjalnych, szeryfie, bez nazwisk.

– Jeżeli ktoś ją tutaj odnajdzie, a chodzi mi zwłaszcza o dziennikarzy, będę wiedział, skąd dostali cynk – oświadczył Ski, nie bawiąc się w subtelności.

Kierownik zmiany stał się jeszcze bardziej uprzejmy. Napełnił lodem wiaderka we wszystkich pokojach i ustawił termostaty na optymalną temperaturę.

– To pokoje dla niepalących – rzekł ostrożnie, widząc paczkę papierosów w kieszeni na piersi Dodge'a.

Ten zmierzył go morderczym spojrzeniem i celowo zdjął marynarkę, żeby pokazać, iż jest uzbrojony. Mężczyzna pośpiesznie życzył im dobrej nocy i uciekł.

Berry podskoczyła nerwowo na dźwięk komórki. Wszyscy znieruchomieli, czekając, aż odczyta numer na ekranie.

– To nie on. – Kobieta odetchnęła z ulgą. – Muszę odebrać ten telefon, przepraszam.

Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Caroline zauważyła, że Ski wpatrywał się w nie długo, zanim odwrócił się w stronę okna.

Z każdą mijającą godziną od chwili, gdy Berry dowiedziała się o śmierci Davisa Coldare'a, Caroline obserwowała, jak jej córka coraz bardziej zamyka się w sobie. W czasie drogi do Houston młoda kobieta wydawała się nienaturalnie milcząca i opanowana.

Caroline przypuszczała, że źródłem tego zjawiska jest cały łańcuch traumatycznych przeżyć, nie była jednak do końca przekonana, czy nie kryje się za tym coś jeszcze. Berry miała prawo do prywatności, oczywiście, lecz ukrywanie czegoś przez dłuższy czas nie mogło dobrze na nią wpłynąć. Pani King zastanawiała się, jak długo powinna wstrzymać się z propozycją, by córka podzieliła się z nią tajemnicą, która w widoczny sposób pogłębiała jej niepokój.

Ski i Dodge obejrzelili zamki na wszystkich drzwiach, upewniając się, czy są dość mocne, a potem wyszli na balkon, teoretycznie po to, by sprawdzić zabezpieczenia połączonych ze sobą pokoi, lecz tak naprawdę w celu odbycia rozmowy.

Kiedy wrócili, Caroline już na nich czekała. Oparła dłonie na biodrach i zażądała, aby natychmiast powiedzieli jej, o czym tak szeptali.

– Bardzo proszę! – powtórzyła z naciskiem. – Nie chcemy, żebyście traktowali nas jak małe kobietki, ani ja, ani Berry!

– Co to niby ma znaczyć?

– Dobrze wiesz, co to znaczy, Dodge! – zirytowała się. – Co się dzieje?

– Dziennikarze dorwali się do historii Berry – odparł Ski.

Caroline jęknęła.

– Spragnione krwi szakale, cholera jasna! – zaklął Dodge.

– Moi ludzie twierdzą, że informacja o morderstwie Sally Buckland znalazła się w czołówkach wszystkich serwisów – kontynuował Ski. –

Widzom obiecano, że pełną wersję zdarzeń poznają w wiadomościach o dziesiątej. Sfilmowali dom Berry, od zewnątrz, rzecz jasna, razem z karetką pogotowia, radiowozami oraz Allenem i Somerville'em, którzy wychodzą z kamiennymi twarzami. W ostatniej chwili zabraliśmy stamtąd Berry, bez dwóch zdań! Dziennikarz na miejscu oświadczył, że nie udało im się z nią skontaktować i...

– Uzyskać komentarza – dokończyła Berry, wychodząc z łazienki i rzucając komórkę na łóżko. – Co, rzecz jasna, stwarza wrażenie, że mam coś do ukrycia. Nikt nie poprosił mnie o komentarz, chociaż naturalnie nie chciałabym niczego im wyjaśniać, ale takie sformułowanie ma zdecydowanie negatywne konotacje, prawda?

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Ski.

Wskazała na swój telefon i przysiadła na brzegu podwójnego łóżka, opierając łokcie na kolanach i kryjąc twarz w dłoniach.

– Boże, czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Ski chwilę milczał.

– Przedstawili cię jako, cytuję, córkę magnatów rynku nieruchomości, Caroline King oraz nieżyjącego Jima Malone'a – podjął. – Nadaje ci to status celebrytki, ponieważ te nazwiska są powszechnie znane. Dziennikarz wspomniał też o strzelaninie w domu twojej matki.

– A przyczyną były nieporozumienia w miłosnym trójkącie – uzupełniła Berry, nie podnosząc głowy.

– Taka była sugestia.

Dodge syknął coś paskudnego. Caroline usiadła na drugim łóżku; chciała podejść do Berry i przytulić ją, ale się powstrzymała.

– Najbardziej wkurza mnie to, że teraz się przyczepią do tego trójkąta – wyznał Ski.

Berry podniosła głowę.

– Nie było żadnego trójkąta! – rzuciła gniewnie.

– Rozumiem! – Nyland też podniósł głos. – Chodzi mi o to, że morderstwo Davisa Coldare’a jest prawie pomijane w komentarzach, jakby nie miało żadnego znaczenia, jakby było jakimś cholernym przypisem do całej tej historii. Media próbują teraz dopasować Sally Buckland do trójkącika i właśnie na tym skupi się cała uwaga widzów, podczas gdy najważniejszy jest fakt, że Oren Starks to przebiegły morderca, który wciąż pozostaje na wolności.

Berry trochę złagodniała.

– Ludzi zwykle karmi się takimi soczystymi kawałkami. – Odrzuciła do tyłu włosy i obiema dłońmi odgarnęła je z twarzy. – Seks i skandal to rzeczy, które ich podniecają. Szefa poważnie zaniepokoiła moja rola w tej sprawie.

Caroline dostrzegła ślady łez na twarzy córki. Spojrzała na leżący na łóżku telefon.

– To z nim rozmawiałaś?

Berry kiwnęła głową.

– Nie pracuję już w Delray.

– Co takiego?! – Caroline zerwała się na równe nogi. – Wyrzucił cię?!

– Nie żartuj, mamó! – Berry parsknęła gorzkim śmiechem. – Gdyby zwolnili mnie z takiego powodu, podałabym ich do sądu, a oni dobrze o tym wiedzą. Delray jest jednak firmą, w której bardzo podkreśla się poważne podejście do kwestii zdrowia psychicznego pracowników. Biorąc pod uwagę traumatyczne przeżycia, jakie w ostatnich dniach stały się moim udziałem, w najlepiej pojętym interesie własnym oraz firmy leży mój długi urlop, to

chyba jasne. Kiedy zapewniłam szefa, że w pełni wrócę do równowagi, kiedy Oren zostanie aresztowany, zaczął nalegać, abym dała sobie więcej czasu na odzyskanie sił po tych strasznych wydarzeniach. Inaczej mówiąc, on i wszyscy w Delray życzą sobie, abym raczej nie pokazywała się więcej w firmie.

– Co z twoją jutrzejszą prezentacją?

– Ach, jeszcze to... W świetle mojego udziału w tej kampanii, klient w żadnym razie nie zamierza stać się dla mnie przyczyną dodatkowego stresu w tak trudnym dla mnie okresie. Dlatego godzi się poczekać, aż Ben wróci do sił i przedstawi plan kampanii reklamowej, a także przejmie pełną odpowiedzialność za jego realizację.

Caroline o mały włos nie zgrzytnęła zębami.

– Chwileczkę! – rzuciła. – Czy to znaczy... Czy mam rozumieć, że uznali cię po tych wydarzeniach za rozchwianą emocjonalnie, a Bena Loflanda nie?!

– Na to wygląda. Na dodatek, by rozwiać wszelkie wątpliwości co do stanu umysłowego i fizycznego Bena, Amanda odbyła dziś po południu długą i wyczerpującą na ten temat rozmowę z naszym szefem, w trakcie której zapewniła go, że Ben jest gotowy przejąć obowiązki kierującego kampanią. Wyobrażam sobie, że przedstawiła mnie jako rozwiązłą kobietę, która ponosi konsekwencje swojego niemoralnego prowadzenia się.

– A to suka!

– Amanda pokazała pazurki, to fakt! – Berry znowu zaśmiała się niewesoło. – Ciekawe, czy jeśli Oren zraniłby mnie zamiast Bena, zostałabym uznana za bohaterkę, czy też dalej widziano by we mnie wstrętną dziwkę, która próbowała rozbić małżeństwo i dostała, co jej się słusznie należało. Dobry temat do dyskusji, nie sądzicie?

– Moim zdaniem twoi szefowie to słabe dupki – oznajmił Dodge. – Najlepiej będzie, jeżeli nigdy więcej się tam nie pokażesz.

– Zgadzam się z tobą i jestem pewna, że kierownictwo Delray żywi nadzieję, iż właśnie tak postąpię. – Berry pokiwała głową. – Troska o moje zdrowie i bezpieczeństwo, którą z takim zapałem wyrażał mój szef, to tak naprawdę jego własna siatka zabezpieczająca. Chce, żebym złożyła rezygnację. Chodzi tylko o to, by decyzja wyszła ode mnie, bo wtedy będzie miał czyste ręce. Na razie zostawiłam sprawę otwartą, niech trochę się spocą, ale już wiem, co zrobię.

– Jesteś za dobra dla nich – rzekł Ski.

Popatrzyła na niego zażawionymi oczami.

– Dzięki – mruknęła ochryple.

– Nie ma za co.

Na kilka sekund zapomnieli chyba, że Caroline i Dodge są z nimi w tym samym pomieszczeniu, lecz w końcu Ski przywołał się do porządku. Czekały na niego obowiązki.

– Muszę lecieć – powiedział.

– W moim pokoju jest dodatkowe łóżko – poinformował go Dodge. – Możesz z niego skorzystać, proszę bardzo.

Ski podziękował mu, lecz oświadczył, że nie skorzysta z propozycji.

– Morderstwem Sally Buckland zajmuje się policja z Houston, ale ja prowadzę dochodzenie w sprawie Davisa Coldare’a.

– Kiedy Starks dzwonił do Berry, był tutaj, w Houston.

– Tak, Dodge, jednak ja nie mogę się oprzeć wrażeniu...

– Że co?

Mężczyzna przeczesał włosy palcami.

– Oren chciał zagrać na nosie nam i wszystkim, którzy go szukają.

Właśnie dlatego tu wrócił i dzisiaj zadzwonił do Berry. Wiedział, że dotrzemy w to miejsce i spróbujemy go dopaść. Chciał wywołać zamieszanie, żebyśmy poczuli się niekompetentni, także w oczach mediów.
– Uśmiechnął się krzywo. – I udało mu się!

– *Spinning Wheel*.

Spojrzeli na Berry, która wyszeptała te słowa.

– Krew, pot i łzy – powiedziała. – *Spinning Wheel*... To melodia, którą Oren nucił w czasie naszej rozmowy.

– Masz rację, do diabła! – zawołał Ski.

– Sprytny z niego chłopaczek, co? – rzekł sarkastycznie Dodge. – Zabiję tego skurwysyna, słowo daję!

– Zgwałcił Sally, prawda? – odezwała się Berry, kierując pytanie do Nylanda.

– Nie wiem, jak było – odparł wymijająco. – Może tylko...

Zawiesił głos, za co Caroline poczuła szczerą wdzięczność.

– Dowiem się wszystkiego dopiero po otrzymaniu raportu z sekcji zwłok – powiedział.

Wszyscy umilkli, nie mogąc przestać myśleć o cierpieniach, jakie ta młoda kobieta musiała przejść przed śmiercią. Po długiej chwili Caroline z ciężkim westchnieniem ponownie zwróciła się do Nylanda.

– Miałeś jakieś teorie co do motywu, który skłonił go do zatelefonowania do Berry...

– Tak. Najbardziej niepokoi mnie myśl, że być może miał jakiś plan, skłaniając nas do wyjazdu z Merritt.

– Na przykład jaki? – zapytał Dodge.

– Nie wiem. Dlatego muszę wracać. – Spojrzał na Berry. – Rozumiem, że jutro będziesz już tam z powrotem?

– Nie mam przecież żadnego innego miejsca, do którego mogłabym pojechać.

– W porządku. Zostawię swoich ludzi na straży pod domem nad jeziorem, ale spróbuję stworzyć wrażenie, że ich wycofuję. Nadal tam będą, kiedy wrócisz, tyle że niewidoczni.

– Zamierzasz zastawić na niego pułapkę? – domyślił się Dodge.

– Oren nie da się tak nabrać – powiedziała Berry.

– Też mi się tak wydaje – zgodził się Ski. – Nie zaszkodzi jednak spróbować.

Poprosił Dodge'a o zachowanie czujności i *znowu* przeniósł wzrok na Berry.

– Dasz sobie radę?

Pytanie zostało zadane przyciszonym głosem; było osobiste i całkowicie wykluczało udział Caroline i Dodge'a w rozmowie tych dwojga. Berry skinęła głową, zrobiła to jednak z wyraźnym wahaniem. Patrzyli sobie w oczy długo, bardzo długo, aż wreszcie Ski odwrócił się bez słowa i wyszedł.

W momencie, gdy drzwi zamknęły się za nim, Berry zerwała się gwałtownie, przebiegła przez pokój i przystanęła. Caroline widziała, jak córkę opuszcza energia. Młoda kobieta przycisnęła czoło do drzwi i stała tak kilka sekund, zanim zdecydowanym ruchem przekręciła zamek i założyła łańcuch.

Potem odwróciła się i poszła prosto do łazienki.

– Zamierzam trochę poleżeć w wannie – rzuciła od progu.

Wyszła dopiero po godzinie, owinięta w kąpielowy ręcznik, z drugim na włosach. Skórę miała zaróżowioną, oczy czerwone.

– Płakałaś – stwierdziła Caroline.

– Wyrzuciłam to z siebie. – Berry zdjęła ręcznik z głowy i zgarnęła mokre włosy do tyłu. – Chociaż nie wiem, czy to dobrze. Kiedy myślę o ostatnich godzinach Sally, chce mi się krzyczeć z wściekłości, nie płakać. To ona i Davis Coldare są prawdziwymi ofiarami Orena, nie ja.

Otworzyła małą walizkę i wyjęła z niej krótką koszulkę na ramiączka oraz bokserki.

– Czekałam na ciebie ze złożeniem zamówienia na kolację – powiedziała Caroline.

– Nie trzeba było, nie jestem głodna. Gdzie Dodge?

– W swoim pokoju. Uznał, że powinniśmy spędzić trochę czasu tylko we dwie.

Berry zdjęła ręcznik i włożyła strój na noc.

– Miał jakieś wiadomości od Nylanda?

– Dzwonił do Dodge'a jakieś piętnaście minut temu, chciał się tylko upewnić, czy dobrze się czujesz. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego, że musi jechać.

– Powinien był najpierw trochę się przespać i dopiero później ruszać w drogę do Merritt. Jest kompletnie wykończony. Widziałaś, jakie ma oczy?

– Widziałam, że nie mógł ich od ciebie oderwać.

Berry odwróciła się i spojrzała na matkę. Położyła się, wsuwając sobie dwie poduszki pod głowę i przyciskając trzecią do brzucha. Zaczęła nerwowo skubać poszewkę.

– Nic z tego nie będzie – powiedziała. – Nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Dlaczego tak uważasz?

– Z tysiąca różnych powodów.

- Wymień choć kilka.
- Żebyś mogła je zakwestionować?
- Jeden po drugim.

Berry utkwiała powątpiewające spojrzenie w twarzy matki.

- Podoba ci się pomysł, że moglibyśmy stworzyć związek?
- Tylko wtedy, jeżeli tobie również przypadłby do gustu, skarbie.

Oczywiście mielibyście moje błogosławieństwo.

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, mamó. Jesteśmy tak zupełnie różni...

- No tak. On jest mężczyzną, ty kobietą.

Berry uśmiechnęła się lekko.

– Doskonale wiesz, co mam na myśli. Zależy nam na kompletnie innych rzeczach.

- A zależy wam na sobie nawzajem?

Gdy Berry rzuciła Caroline kolejne czujne spojrzenie, ta zaśmiała się głośno.

– Nie musisz odpowiadać, już to zrobiłaś! Tak czy inaczej łatwo zorientować się w waszych uczuciach, wystarczy, że jesteście blisko siebie.

– Uśmiechnęła się do córki z ogromną czułością. – Możliwe, że ty i Ski bardzo się różnicie i że różnice te dotyczą także waszych życiowych priorytetów, ale ma to naprawdę niewiele wspólnego z wzajemnym przyciąganiem. Ski walczy z tym nie mniej zaciekle niż ty, lecz jest oczywiste, że bardzo mu się podobasz.

Berry zapatrzyła się w sufit. Duża łza spłynęła z kącika jej oka i wsiąkła w mokre włosy.

- Zmieni zdanie – wyszeptała.
- O czym ty mówisz?

– Nie teraz, mam, dobrze?

Caroline zawahała się.

– Dobrze – odparła wreszcie.

Chciała, żeby córka otworzyła się przed nią, lecz jeżeli dziewczyna nie była na to gotowa, równie dobrze mogły spróbować odpocząć. Caroline położyła walizkę, rozpięła ją i wyjęła koszulę nocną, którą w pośpiechu zapakowała przed wyjazdem z domu nad jeziorem. Teraz miała wrażenie, że opuściła go bardzo dawno, znacznie wcześniej niż zaledwie parę godzin temu.

Wtedy Berry gorączkowo sprawdzała zawartość teczki, upewniając się, czy ma wszystkie materiały do prezentacji, która nieoczekiwanie została odwołana. Dodge czekał na nie obok samochodu, nieświadomy, że Caroline przygląda mu się przez okno i zastanawia, dlaczego jego twarz, mimo malującego się na niej cynizmu oraz wyraźnych śladów nadużywania nikotyny i alkoholu, jako jedyna na świecie potrafi sprawić, że jej serce zaczyna bić znacznie szybciej i mocniej niż zwykle. Trzydzieści lat minęło jak jedna chwila i Caroline wciąż czuła to samo radosne podniecenie na widok Dodge'a.

Mogła wiele powiedzieć Berry na temat siły przyciągania, ponieważ dobrze знаła jej niezwykłą moc. Nawet gdy wszystko wskazywało na to, że związek między dwojgiem ludzi nie ma najmniejszego sensu, właśnie ta siła czyniła ich kompletnie bezbronnymi.

– Zawsze wydawało mi się, że to Roger Campton.

Zagubiona w myślach Caroline nie od razu zrozumiała, o czym mówi jej córka, a kiedy znaczenie jej słów wreszcie do niej dotarło, znieruchomiała. Potem powoli odwróciła się, przyciskając koszulę nocną do piersi tak mocno, jakby to była tarcza.

– Myślałam, że to on jest moim biologicznym ojcem.

Caroline, całkowicie zaskoczona, milczała.

– Byłam wtedy w szkole średniej – ciągnęła Berry. – W ósmej klasie. Roger Campton zginął w katastrofie samolotowej w Meksyku. Jedna z dziewczyn powiedziała mi, że słyszała od swojej matki, iż byłaś z nim zaręczona, zanim wyszłaś za tatę. I zapytała, czy śmierć Camptona bardzo cię zasmuciła. Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym człowieku, ani ty, ani tata nie wymienialiście przy mnie jego nazwiska. Powiedziałam tamtej koleżance, że się myli, ale ona z uporem powtarzała, że jej matka nigdy nie kłamie, więc dlaczego miałyby wymyślić sobie coś takiego. Następnego dnia rano wzięłam gazetę taty i przeczytałam artykuł o Rogerze Camptonie, o jego dzieciństwie i młodości, które spędził w Houston, o tym, jak po ukończeniu studiów menedżerskich rozpoczął pracę w firmie swojego ojca. Należał do zamożnej, wpływowej rodziny, bardzo popularnej w kręgach towarzyskich Houston. Obejrzałam zdjęcie i doszłam do wniosku, że był niezwykle przystojny. Ponieważ nie miał żony, zaczęłam snuć romantyczne fantazje na jego temat – że odrzuciłaś go i wyszłaś za tatę, raz na zawsze łamiąc mu serce. Nie wątpiłam jednak, że ty, tak bardzo rozsądna, musiałaś z nim zerwać z jakiegoś ważnego powodu. Byłam szczęśliwym dzieckiem. Kochałam tatę całym sercem i nie potrafiłam płakać po śmierci człowieka, którego nie znałam. Mimo to miałam ogromną satysfakcję, że odkryłam, kim był mój prawdziwy ojciec. Tyle że wcale nie był to Roger Campton, prawda, mamó?

Caroline potrząsnęła głową.

– Po śmierci taty, kiedy zachęcałam cię, żebyś zaczęła spotykać się z mężczyznami, powiedziałaś, że w ogóle cię to nie interesuje, ani randki, ani nowy związek. Powiedziałaś, że miałaś wspaniałe małżeństwo, że byłaś

żoną cudownego człowieka. Mówiłaś też, że dane ci było spotkać miłość swojego życia. Założyłam, że chodzi ci o jednego i tego samego mężczyznę.
– Berry uśmiechnęła się lekko. – Ale było inaczej.

Caroline ciężko usiadła na łóżku.

– Miłością twojego życia był mój biologiczny ojciec.

Matka Berry skinęła głową.

– Dodge.

Spod jej powiek wy dostały się łzy i swobodnie popłynęły po policzkach.

TWILR

Rozdział 21

Houston, Teksas, 1978

DODGE CZEKAŁ NA CAROLINE, KIEDY PCHAJĄCA JEJ fotel na kółkach pielęgniarka pojawiła się w drzwiach szpitala. Fotel nie był konieczny, ale szpital twardo przestrzegał tej zasady.

Samochód Dodge'a został przez niego zaparkowany przy krawężniku, nielegalnie, rzecz jasna. Wetknięta za wycieraczkę kartka informowała ewentualnych zainteresowanych, że wóz należy do przedstawiciela policji w Houston, a sam Dodge czekał oparty o drzwi od strony pasażera, z rękami założonymi na piersi. Na widok pielęgniarki i Caroline oderwał się od wozu i podszedł bliżej.

Panna King popatrzyła na niego zza ciemnych okularów.

– Wezwałam taksówkę.

– Dałem taksówkarzowi dziesięć dolców za fatygę. Zabieram cię do domu.

Powiedział to wszystko nieznoszącym sprzeciwu tonem i gestem polecił pielęgniarce, aby podjechała do samochodu.

– Panno King...? – z wahaniem odezwała się kobieta.

Caroline skinęła głową. Opuszczała szpital w tych samych rzeczach, w których przyjęto ją trzy dni wcześniej, w ręku miała tylko torebkę. Dodge położył ją teraz na tylnym siedzeniu, podsunął Caroline ramię i pomógł jej wstać. Młoda kobieta podziękowała pielęgniarce, która, zanim się oddaliła, z miłym uśmiechem wyraziła nadzieję, że pacjentce uda się szybko odzyskać siły.

Dodge zapytał, czy Caroline nie chciałaby położyć się na tylnym siedzeniu.

– Nie, usiądę z przodu.

Chyba miał ochotę zaprotestować, zwłaszcza gdy zobaczył, jak sztywno i niepewnie się porusza, bez słowa pomógł jej jednak wygodnie się usadowić, okrążył samochód, zajął miejsce za kierownicą i ruszył. Trzy przecznice przejechali w całkowitym milczeniu.

Kiedy przystanęli na światłach, Dodge popatrzył na Caroline.

– Jak się czujesz?

– Słabo. Zupełnie jakbym spędziła w łóżku całe trzy dni.

– Nie dawali ci nic do jedzenia?

– Nie miałam apetytu.

– Trudno się dziwić! – Zrobił zabawną minę. – To szpitalne jedzenie...

– Kiedy byłeś w szpitalu?

– Nigdy, ale słyszałem to i owo.

Uśmiechnęła się, lecz wargi jej drżały. Dodge natychmiast to zauważył.

– Boli?

– Nie jest tak źle, jak wygląda. Jedna z pielęgniarek naprawdę szczerze mi współczuła i przyniosła te okulary.

Dodge starał się dostrzec coś za matowymi szklami i ocenić wielkość szkód, ale kierowca za nimi nacisnął klakson, bo światło zmieniło się na zielone.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytała, gdy znowu ruszyli.

– Od Jimmy’ego Gonzalesa.

– Przecież to nie on przyjechał w odpowiedzi na wezwanie.

– Miał akurat wolne, ale to jego teren, więc usłyszał o wszystkim następnego ranka. Byłem mocno zajęty, dlatego dodzwonił się do mnie dopiero wczoraj, późnym wieczorem. Dziś rano zatelefonowałem do szpitala

i dowiedziałem się, że cię wypisują.

– Nie musisz jechać do pracy?

– Powiedziałem, że jestem chory.

Oboje umilkli.

– Szukałeś Rogera? – zagadnęła w końcu.

– Chciałem go dopaść. – Dodge zacisnął palce na kierownicy tak mocno, że skóra zupełnie mu zbielała. – Najchętniej bym go zabił, ale nie zrobię tego.

Milczała, czekając, aż dokończy. Zahamował przed następnymi światłami i spojrzał na nią.

– Nie zabiłem go wyłącznie dlatego, że prosiłaś mnie, bym tego nie robił. Twoja prośba znaczy dla mnie znacznie więcej niż obietnica, którą złożyłem mu tamtego wieczoru, gdy go pobitem.

Aż do jej domu milczeli jak zakłęci. Dodge pomógł jej wspiąć się po schodach i wszedł za nią do środka. Na podłodze w salonie leżały skorupy wazonu i konające róże, rozlana woda zostawiła wilgotną plamę na dywanie. Jeden obraz wisiał krzywo, abażur był wgnieciony.

Te milczące dowody przemocy rozbudziły w niej gorący gniew, równie wściekła była jednak na siebie, za to, że tak długo znajdowała usprawiedliwienia dla charakteru Rogera. O wiele za długo. Pełna buntu, zdjęła okulary, odsłaniając twarz.

Dodge zacisnął zęby i powoli zakołysał się na piętach, starając się powstrzymać wybuch.

– Może zmienię zdanie i jednak go zabiję – powiedział.

– Nie warto.

Chciał coś dodać, ale dał spokój.

– Dziękuję, że podwoziłeś mnie do domu.

- Nie ma za co. Zaczekam, aż pozbierasz rzeczy.
- Jakie rzeczy?
- Twoje. Ubrania, które chcesz zabrać, jakieś tam drobiazgi. Przez pewien czas pomieszkasz u mnie. To żaden pałac, ale...
- O czym ty mówisz? Nie mogę się do ciebie wprowadzić!
- Możesz i wprowadzisz się.
- Wybij to sobie z głowy!
- Spakuj się.
- Uważasz, że masz prawo mi rozkazywać?! – wściekła się. – Niby dlaczego? Bo masz policyjną odznakę? Bo miałeś rację co do Rogera? Oskarżyłeś mnie, że trzymam się go przez głupi upór, i nie myliłeś się, to prawda! Powinnam była zerwać z nim dawno temu, ale nie zrobiłam tego z idiotycznej dumy. Nie chciałam przyznać, jak wielki błąd popełniłam, lecz to jeszcze nie daje ci prawa, żeby zachowywać się tak jak on!

Wyprostowała się, ale nadal sięgała mu tylko do ramienia.

- Nie pozwolę się więcej terroryzować, Dodge! Nie dam się szturchać, ani emocjonalnie, ani fizycznie, ani pod żadnym innym względem!

Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc.

- Słuchaj, fatalnie radzę sobie z całą tą tak zwaną komunikacją międzyludzką, naprawdę. Zawsze mówię takim tonem, jakbym wydawał polecenia, chociaż najczęściej po prostu próbuję coś spokojnie powiedzieć. Przysięgam, że nie rozstawiam cię po kątach, nic z tych rzeczy. Staram się zachowywać jak przyjaciel, słowo. Potrzebujesz pomocy, więc próbuję ci pomóc. I jeszcze jedno – żebyś nie wiadomo jak się opierała, nie zostawię cię tutaj samej. Koniec i kropka!
- To brzmi jak polecenie.

– Podaj mnie do sądu!

Uśmiechnęła się, trochę niepewnie.

– Będę tu bezpieczna. Roger siedzi w areszcie.

– Już nie. Wypuścili go wczoraj wieczorem, jego rodzina wpłaciła kaucję.

– Nie wróci do mnie.

– Skąd wiesz?

– Tak mi powiedział. Był wściekły, oznajmił, że ma mnie dość.

– Zmieni zdanie, a ja nie chcę, żebyś tu była, kiedy dojdzie do wniosku, że jednak cię kocha. Szczerze mówiąc, powinnaś się przeprowadzić. Zajmujesz się handlem nieruchomościami, więc wystaw dom na sprzedaż i poszukaj sobie nowego.

Roześmiała się, ale w jej głosie nie było cienia wesołości.

– To byłby dowód sprawiedliwości losu.

– Czyli?

– Właśnie to go tak wkurzyło. Byłam okropnie podekscytowana kontraktem, który mam podpisać. Jeżeli sprawa dojdzie do skutku, dostanę najwyższą dotąd sumę. Opowiadałam mu o tym, a on nagle oświadczył, że ma nadzieję, iż podpiszę umowę, zanim będę musiała złożyć wypowiedzenie. Myślałam, że źle go zrozumiałam, ale kiedy zapytałam, o co mu chodzi, zdecydowanym tonem odparł, że po ślubie nie będę dłużej mogła być „kobietą pracującą”. Nie ma mowy, żebyśmy mieli oboje pracować, i tyle. Co ludzie by sobie pomyśleli? Że on nie jest w stanie zarobić na utrzymanie żony? Dodał, że będę bardzo zajęta, już on o to zadba. Parsknęłam śmiechem. Powiedziałam, że jeśli sądzi, iż zamierzam rzucić pracę tylko z powodu wyjścia za mąż, to chyba oszalał. – Podniosła obie ręce i uśmiechnęła się sarkastycznie. – To mu się nie spodobało, chyba

widać.

– Ten skurwiel o mało nie wybił ci oka!

Rzeczywiście mało brakowało. Wezwany na izbę przyjęć okulista oznajmił jej później, że powinna dziękować Bogu, iż cios Rogera nie uszkodził jej oka na trwałe.

– Gliniarze, którzy przyjechali w odpowiedzi na twoje wezwanie, powiedzieli Gonzalesowi, że nie byłaś w stanie utrzymać się na nogach!

– Roger bił mnie też po żebrach. Byłam pewna, że niektóre popękały. Okazało się, że są całe, ale miejsca, gdzie mam siniaki, bardzo bolały. Nadal bołą, wystarczy, że szybko się poruszę albo wezmę głęboki oddech.

– Jezu kochany... – szepnął Dodge. – Ten facet...

Oparł dłonie na biodrach i zaczął chodzić w kółko po pokoju. Znowu wyglądał jak człowiek, który ma ochotę kogoś udusić. Wreszcie przystanął i spojrzał na nią.

– Pakuj się! – rzucił krótko.

– Dobrze, zaraz spakuję trochę ubrań. Możesz mnie gdzieś zawieźć, ale bądź rozsądny, zrozum, że nie mogę się zatrzymać u ciebie.

– Niby dlaczego?

– Prawie się nie znamy.

Lekceważąco machnął ręką.

– To się poznamy. Jeżeli się boisz, że przekroczę jakąś tam granicę...

– Nie boję się.

– I dobrze! Gdybyś jednak się bała, zawsze możesz zadzwonić do Jimmy'ego Gonzalesa. Jeśli cię dotkne, Jim – my żywcem obedrze mnie ze skóry.

– Mogłabym... Mogłabym pojechać do jakiejś koleżanki.

– Czy Roger nie zna twoich przyjaciół? Nie sądzisz, że zacznie cię u

nich szukać? Poza tym założę się, że nie mówiłaś im o jego szczególnych skłonnościach. Musiałabyś wytłumaczyć, skąd masz te siniaki. Zresztą po co ja ci to wszystko wyjaśniam? Sama dobrze wiesz, jakie są minusy tego planu. Gdyby było inaczej, już wcześniej zadzwoniłabyś do jednej czy drugiej przyjaciółki i nie jękałabyś się, proponując to bzdurne rozwiązanie.

– Mogę jeszcze zatrzymać się na dłużej w jakimś motelu.

Dodge założył ręce na piersi, jakby w głębokim namyśle.

– Dokonałem wielu aresztowań w motelach – powiedział po chwili. – To idealne miejsca dla podejrzanych typów, dziwek, dealerów prochów, złodziei...

– Nie wszystkie są takie! Niektóre robią bardzo dobre wrażenie.

– No, dobrze! Załóżmy, że zamieszkas w porządnym motelu z przyzwoitą klientelą. Będzie to wymagało sporo wysiłku.

– Wysiłku?

– Z mojej strony. Bo ciągle jeździłbym w tę i z powrotem, kilka razy dziennie sprawdzając, czy nic ci nie jest.

– Nie trzeba.

– To twoje zdanie. I kto nam zagwarantuje, że Campton nie będzie szukał cię tak długo, aż cię znajdzie?

– U ciebie też może mnie znaleźć!

– Tak, ale musiałby mnie zabić, żeby się do ciebie zbliżyć. No, dosyć tego! – Dodge zerknął na zegarek. – Zmarnowaliśmy za dużo czasu na tę dyskusję. Idź się spakować.

Mieszkał w kondominium w kompleksie złożonym z dziesięciu identycznych budynków połączonych oświetlonymi alejkami. Między domami rozpościerały się trawniki pokryte ozdobnymi roślinami i skalnikami. Na terenie znajdował się przeznaczony dla mieszkańców basen,

a także kort tenisowy i klub. Było to miejsce dla pracujących singli, nie dla osób, które zamierzały zainwestować swój czas, pracę i pieniądze w stworzenie gniazdka na resztę życia.

Przed wyjazdem do szpitala Dodge opróżnił dla Caroline dwie szuflady biurka i połowę szafy, dając jej do dyspozycji znacznie więcej przestrzeni, niż rzeczywiście potrzebowała.

– Nie wzięłam żadnych ubrań do pracy – wyjaśniła, gdy zauważył, jak mało rzeczy zabrała z domu.

– Tak? Dlaczego?

– Dzień po wypadku zadzwoniłam ze szpitala do pana Malone’a. Zasugerowałam, że cierpię na jakąś drobną kobiecą przypadłość, która wymaga zabiegu chirurgicznego. Nie pytał o szczegóły, tak jak się spodziewałam. Poprosiłam o miesiąc urlopu, żeby odzyskać siły i wrócić do formy. Odparł, że mogę wziąć tyle wolnego, ile chcę.

– Miesiąc wolnego?! Twoje obrażenia muszą być znacznie poważniejsze, niż mówiłaś!

– Tak naprawdę nie potrzebuję aż miesiąca. Już wcześniej ci mówiłam, że łatwo robią mi się siniaki, a to - wskazała chore oko – zniknie dopiero za jakieś dwa, trzy tygodnie. Siniak będzie zmieniał kolory, nie da się tego zamaskować. Wolałabym wrócić do pracy, kiedy całkowicie się wchłonie, i tym samym uniknąć pytań klientów i współpracowników.

Jej wyjaśnienia uspokoiły go, rozbudziły jednak także zazdrość. Nie podobało mu się, że z tak wyraźnym szacunkiem i zachwytem mówi o swoim szefie i mistrzu, Jimie Malonie, chociaż jednocześnie cieszył się, że nie pracowała dla jakiegoś niecierpliwego, wymagającego dupka, który niechętnie przyznałby jej prawo do paru dni urlopu.

Kiedy rozpakowała rzeczy, zmusił ją do zjedzenia niewielkiej porcji

ziemniaczanego purée, które przygotował całkiem sam. Przyznał, że żaden tam z niego wielki kucharz, ale nigdy nie głodował i jej też nie pozwoli umrzeć z głodu, choć sama niewątpliwie próbowała to zrobić.

W końcu Caroline oświadczyła, że więcej już w siebie nie wdusi, wzięła proszek przeciwbólowy i poszła spać. Obudziła się następnego dnia rano, po szesnastu godzinach snu, tuż przed jego wyjściem do pracy.

– Marvin? – zapytała, patrząc na imię wyszyte na jego koszuli.

Dodge zmarszczył brwi.

– Lepiej nie pytaj, naprawdę.

Kazał jej zamknąć drzwi na klucz, nie wychodzić i nie wstawać cały dzień, chyba że nie mogłaby dłużej wytrzymać w łóżku. Caroline obiecała, że tak właśnie zrobi. Dodge przypomniał, żeby miała pod ręką numer jego pagera i nie wahała się dzwonić, jeśli będzie czegoś potrzebowała. Powiedział, że sam raczej nie zamierza jej niepokoić, ale gdyby jednak zatelefonował, po jednym sygnale przerwie połączenie i za chwilę zadzwoni znowu; w ten sposób da jej znać, że to on.

Mimo tych środków bezpieczeństwa z wielką niechęcią zostawił ją samą.

Po zmianie w fabryce pojechał na codzienne spotkanie grupy operacyjnej. Poinformował szefa i kolegów, że on i Franklin Albright nadal darzą się antypatią. Albright spuścił mu powietrze z opon.

– Idiotyczne posunięcie, biorąc pod uwagę, że samochód stał na parkingu fabryki opon i zmiana kół zajęła mi pięć minut.

Nie był całkiem pewny, czy to Albright dobrał się do jego wozu, ale nie miał tu żadnych innych wrogów, no i kiedy czekał pod bramą na Crystal, gość uśmiechnął się do niego kpiąco. Poza tym Dodge wiedział, że Albright ma wielką słabość do swojego noża.

Odgrywanie roli chłopca do bicia zaczynało mu przeszkadzać, ale w tym wcieleniu zaprezentował się draniowi i musiał w nim wytrwać. Tymczasem Crystal z każdym dniem okazywała mu coraz więcej sympatii. Ostatnio czule pogładziła go po ręce i wyznała, że bardzo żałuje, iż nie poznała go wcześniej.

Dodge odparł, że on z kolei bardzo żałuje, iż Crystal nie wie o Franklinie czegoś, co posłałoby go z powrotem za kratki na długi, długi czas, ponieważ w ten sposób uniknęłaby stresu związanego z koniecznością zerwania z narzeczonym, aby ona i on, czyli Marvin, mogli być razem.

Uśmiech Crystal nieco zbladł i dziewczyna szybko zmieniła temat. Ta reakcja rozbudziła podejrzenia Dodge'a, że coś zdecydowanie ją niepokoi, ona jednak była jeszcze daleka od wyznania, iż jej facet planuje napad z bronią w rękę na bank.

Dodge nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszystkie jego działania są raczej bezowocne, ale poza nim nikt w grupie nie miał żadnych pomysłów, musiał więc dalej pracować w fabryce i zalecać się do Crystal z nadzieją, że albo uda mu się wpaść na coś, co pozwoli zidentyfikować Albrighta jako winnego, albo skreśli go z listy podejrzanych. Musiał też dołożyć starań i nie dać się zamordować Franklinowi Albrightowi, zazdrosnemu kochankowi. Utrzymanie się przy życiu stało się niezwykle ważne dla Dodge'a. Naprawdę chciał żyć.

Z Caroline.

Kiedy tego pierwszego wieczoru wrócił do domu, zastał ją drzemiącą na kanapie. Zażenowana, pośpiesznie usiadła, nerwowo splatając i rozplatając dłonie, i przepaszając za wzburzone włosy i pogniecione ubranie. Jej onieśmienie i niepewność sprawiły, że serce Dodge'a zaczęło wywijać koziołki.

– Jak minął ci dzień? – zagadnął.

– Leniwie.

– To świetnie!

Przywiózł duże opakowanie gęstej, kremowej zupy pomidorowej z bazylią, specjalności baru, do którego często zaglądał. Usiedli przy kuchennym stole i zjedli zupę z bagietką, z której Dodge odrywał kawałki, grubo smarując je masłem.

– Próbujesz mnie utuczyć? – zapytała, kiedy podał jej drugą tak przygotowaną porcję.

– Próbuję doprowadzić cię do takiego stanu, żebym mógł cię widzieć z boku.

Po deserze, złożonym z lodów waniliowych z kremem toffi, chwilę oglądali telewizję, ale o dziesiątej Caroline ziewała już na całego.

– Przepraszam – powiedziała. – To nie przez ciebie, słowo!

– Nie musisz przeproszać. Ja też lecę z nóg.

Podobnie jak poprzedniego dnia uparła się, żeby oddać mu jego łóżko i spać na kanapie.

– Jestem drobniejsza. I nie jestem tu u siebie. Chętnie prześpię się na sofie, naprawdę, nie mam nic przeciwko temu.

– Ale ja mam.

W końcu, widząc, że Dodge nie ustąpi, poddała się. Dodge spędził drugą noc na cholernie twardej i niewygodnej kanapie, ciesząc się każdą chwilą bolesnej bezsenności, ponieważ Caroline przebywała pod jego dachem i smacznie spała w jego łóżku.

Ten pierwszy dzień okazał się pierwowzorem następnych. Caroline wstawała co rano, aby pożegnać go w drzwiach, i czekała na niego, gdy wracał. Na jej prośbę zaopatrzył spiżarnię i lodówkę w większe zapasy żyw-

ności niż kiedykolwiek dotąd. Caroline chciała mieć pod ręką wszystkie potrzebne produkty, zioła i przyprawy, aby codziennie móc przygotować kolację.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby podziękować ci za gościnę.

Dodge nie protestował, postawił tylko warunek, aby zjadała połowę wszystkiego, co ugotuje, i obiecała, że nie będzie się przemęczać.

Obserwował, jak siniak wokół jej oka powoli blednie, przechodząc z ciemnego, bakłażanowego fioletu w jaśniejszy, a potem w zieleń. Policzki Caroline odzyskały normalną barwę. Jej szczupłe ciało z każdym dniem stało się odrobinę pełniejsze, aż wreszcie przestała wyglądać na niebezpiecznie niedożywioną.

Skarżyła się na beczynność, lecz zdaniem Dodge'a była cholernie pracowita. Codziennie przeglądała ogłoszenia agencji nieruchomości w prasie, opłakiwała okazje, jakie jej umknęły, i planowała, w jaki sposób po powrocie do pracy nadrobi stracony czas.

Bez przerwy coś zapisywała w notesie, który ze sobą przywiozła, między innymi świeże pomysły. Wymuszony urlop nie osłabił jej ambicji, wręcz przeciwnie, była teraz jeszcze bardziej zdeterminowana, aby odnieść sukces. Dodge przypuszczał, że chciała zdobyć wysoką pozycję w zawodzie także i dlatego, by zrobić na złość Rogerowi Camptonowi oraz jego nietykalnej rodzinie.

Omawiała z Dodge'em planowane posunięcia, zupełnie jakby on był w stanie udzielić jej cennych rad. Miał niewiele do powiedzenia na temat sprzedaży czy kupna domów i posiadłości, ale dziewczyna chyba nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Pochlebiali mu, że tak często pytała go o zdanie.

Była znacznie lepiej wykształcona od niego. Przeczytała więcej

książek, wysłuchała więcej utworów muzyki klasycznej oraz wykładów akademickich, zwiedziła więcej muzeów. Do diabła, Dodge był tylko w jednym muzeum, i na dodatek odwiedził je wyłącznie dlatego, że usłyszał, jak ktoś wychwala pod niebiosa wystawę złożoną z samych kobiecych aktów.

Caroline zdecydowanie górowała nad nim pod względem intelektualnym, lecz skupienie, z jakim go słuchała, pozwalało mu wierzyć, że mówił coś zasługującego na uwagę.

– Założę się, że w szkole zbierałaś same szóstki – zażartował któregoś wieczoru.

Zarumieniła się, co śmiało mógł uznać za przyznanie się do winy.

Roześmiał się.

– Ja tylko cudem skończyłem uczelnię.

– Ale masz mnóstwo zdrowego rozsądku.

– Zdobytego na ulicy.

– Nie lekceważ tego – powiedziała poważnie. – W twojej pracy mądrość nabyta na ulicy może uratować ci życie.

Nie mógł opowiedzieć jej o swoim obecnym zadaniu, mówił jej jednak o poprzednich sprawach, nad którymi pracował, czasami zabawnych, czasami tragicznych. Zafascynowana słuchała nawet najbardziej banalnych historii.

W jeden z jego wolnych dni pierwszy raz wybrali się gdzieś razem. Dodge zabrał ją do kina. Ciemne okulary zdjęła dopiero wtedy, gdy zgasły światła na sali.

Podzielili się pudełkiem popcornu. Ich dłonie natrafiały na siebie co jakiś czas i urządzali sobie zawody na jak najszybsze wyciągnięcie kolejnej porcji z opakowania. Raz, gdy zakładała nogę na nogę, musnęła stopą jego

kolano, ale zaraz przeprosiła i odsunęła się.

Film opowiadał o dwóch braciach, jednym dobrym, drugim złym, którzy nienawidzili tyranizującego ich ojca i kochali tę samą kobietę. Była w nim scena, gdy dwoje bohaterów, ogarniętych niepokonanym, zakazanym pragnieniem, kocha się namiętnie, żarłocznie i gwałtownie. Dodge nigdy w życiu nie był tak podniecony miłosną sceną, i to wcale nie dlatego, że sławna aktorka pokazała przed kamerą swój słynny biust, najpewniej ubezpieczony na milion dolarów przez londyńską agencję Lloyd'a, lecz dlatego, że siedział obok Caroline, której drobne piersi grały główną rolę w gorących fantazjach, jakie noc w noc doprowadzały go do siódmych potów na tej przeklętej kanapie.

Pragnął pójść z nią do łóżka. Och, jak bardzo tego pragnął! Wiedział jednak, że nie może jej dotknąć, a już na pewno nie podczas filmowej sceny. Nawet najmniejszy ruch w jej kierunku mógł bezpowrotnie zniszczyć zaufanie, jakim go obdarzyła. Nikt z jego znajomych nie uwierzyłby, że ich relacje są czysto platoniczne, lecz wykorzystanie sytuacji, w jakiej Caroline się znalazła, byłoby czymś znacznie gorszym niż przemoc, której doznała od Camptona.

Dodge nie wybiegał myślą w przyszłość, nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia Caroline nie przywita go wieczorem w domu. Nie myślał o tym, że nie usłyszy jej dobiegającego z kuchni nucenia, że nie poczuje w łazience zapachu jej szamponu. Udawał, że ich życie już zawsze będzie tak wyglądało, i gdyby nie szaleńcze pożądanie, które dopadało go w najmniej spodziewanych momentach, byłby absolutnie szczęśliwy.

Było tak aż do chwili, kiedy cały jego świat stanął na głowie, dotknięty bezsensowną, niepotrzebną tragedią, która sprawiła, że zapragnął chwycić kij baseballowy i zaatakować Boga.

Tamtego dnia, po zmianie w fabryce, Dodge zatelefonował do Caroline i powiedział jej, że do domu wróci za jakąś godzinę albo trochę więcej, a potem pojechał na spotkanie grupy operacyjnej.

Od razu po wejściu do budynku powinien był wyczuć wiszące w powietrzu przygnębienie, ale myślał o Caroline i pieczeni, którą obiecała zrobić mu na kolację. Pieczeń, zdaniem Dodge'a, symbolizowała domowe ognisko i stałość.

Marzył o szczęśliwej przyszłości i widział świat przez tak różową mgiełkę, że ponury nastrój kolegów zauważył dopiero w chwili, gdy zorientował się, że wszyscy jak jeden mąż starają się nie patrzeć mu w oczy.

– Co zrobiłem? – zwrócił się z pytaniem do całego zgromadzenia.

Milczenie.

– Co się dzieje?

Cisza.

– No, co jest, mieliśmy kolejny napad? Ktoś zginął? Cholera jasna! Czy to Albright? Na który bank napadł? Kiedy?

– To nie to, Dodge – jeden odważny przerwał w końcu jego tyradę. – Chodzi o to, że... że...

– Że co? O co chodzi, do diabła?!

– O Gonzalesa.

Minęła dłuższa chwila, nim myśl Dodge'a przeskoczyła od nieuchwytnego, sprytnego rabusia do byłego partnera i najlepszego przyjaciela. Później już bez trudu skojarzył ponurą atmosferę z Jimmym.

Serce na moment przestało mu bić. Wstrzymał oddech. Z trudem przełknął ślinę. W ustach zrobiło mu się zupełnie sucho.

– Zdarzył się wypadek – powiedział inny policjant. – Gonzales był... Nie przeżył.

– Przykro nam, Dodge.

– Naprawdę, stary.

– Tak to już bywa w naszym fachu, ale... Ech, do diabła z tym wszystkim.

– Gdybym mógł coś zrobić, Dodge, to wal jak w dym, dobra?

Dodge prawie nie słyszał słów pocieszenia. Odwrócił się plecami do kolegów, starając się pojąć, co do niego mówią. Nie był w stanie tego zrozumieć. Po prostu nie potrafił. Odwrócił się i popatrzył na nich.

– Jimmy nie żyje? – zapytał tępo.

Zobaczył, że potwierdzająco kiwają głowami, i nagle zaczął bardzo szybko oddychać, jak po biegu.

– Spokojnie, Dodge!

– Gdzie on jest?

– W kostnicy. Jego rodzina jest przy nim.

– Muszę...

– Dodge, nie możesz!

Rzucił się do wyjścia, ale złapali go z tyłu i zatrzymali, chociaż ze wszystkich sił próbował strząsnąć z siebie ich ręce.

– Nie możesz tam jechać, stary!

– Zastanów się, człowieku!

– Zawalisz całą operację!

– Pieprzę to! – ryknął. – I was też! Puście mnie!

Długo jeszcze wyrzaskiwał przekleństwa, lecz w końcu zabrakło mu sił i powoli zaczęło docierać do niego, że tamci mają rację. Przestał się szarpać. Osunął się na najbliższe krzesło i znieruchomiał, starając się pozbierać i żałując, że jednak uwierzył w to, co wydawało mu się absolutnie niewiarygodne. Wreszcie podniósł głowę.

– Mówiliście, że to był wypadek. Co się stało?

Pewien gwiazdor rocka przyleciał do Houston dać koncert, który miał odbyć się tego wieczoru na Astrodome. Gonzales, któremu zależało na nadgodzinach, zgłosił się do eskorty limuzyny piosenkarza. Informacja o godzinie przylotu gwiazdy w jakiś sposób przedostała się do mediów i od lotniska za limuzyną pędzili paparazzi oraz samochody pełne oszalałych, naćpanych wielbicieli.

Gonzales i towarzyszący mu policjant jechali tuż za limuzyną. Jeden z samochodów z fanami gwiazdora, próbując znaleźć się jak najbliżej niego, uderzył z boku w przedni zderzak policyjnego wozu. Jechali z tak dużą prędkością, że policjant za kierownicą stracił panowanie nad samochodem. Wóz okręcił się w kółko i, rzucony siłą rozpędu, runął bokiem na słup telegraficzny, który prawie przeciął go na pół.

Jimmy Gonzales został przecięty na pół, dosłownie i bez żadnej przesady.

Kapitan zapytał Dodge'a, czy chciałby porozmawiać z policyjnym kapelanem albo psychologiem. Dodge kazał mu się odpieprzyć. Nie został na spotkaniu.

Przez pewien czas jeździł po mieście, szukając miejsca, gdzie mógłby wyładować swój gniew, ale szybko uświadomił sobie, że stanowi zagrożenie dla niewinnych kierowców oraz ich pasażerów. Mógł spowodować wypadek i kogoś zabić, a przecież nikt nie zrozumiałby ironicznej wymowy takiej sytuacji, nikt, a już na pewno nie Jimmy Gonzales, który ostro zwymyślałby go z wysokości zimnego blatu w kostnicy, gdzie teraz spoczywały obie połowy jego ciała.

Ostatecznie pojechał na salę treningową, wypożyczył kij do baseballu i zaczął ćwiczyć uderzenia. Dobrze czuł się z czymś twardym i potencjalnie

śmiertelnie niebezpiecznym w ręku, raz po raz waląc w coś równie bezbronnego jak Gonzales, który nie miał najmniejszych szans w starciu z prawami fizyki i tym cholernym telegraficznym słupem.

Do domu wrócił dopiero parę godzin później. Pieczeń była już w lodówce. Caroline przywitała go w progu spojrzeniem pełnym najszczerzego współczucia.

– Mówili o tym w wiadomościach o dziesiątej. Strasznie mi przykro, Dodge.

Skinął głową, wyminął ją i poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, ale nie wiedział, czego szuka, i tylko bezmyślnie wpatrywał się w białe wnętrze.

– Chciałabym jakoś ci pomóc – odezwała się Caroline. – Ale nie wiem, co robić.

Zatrzasnął drzwi lodówki tak mocno, że szklane pojemniki w środku zagrzechotały rozpaczliwie.

– Nic nie możesz zrobić. Ani ja. Nie mogę nawet pójść na jego pogrzeb. Nie wolno mi! Nie mogę zobaczyć się z jego rodzicami, bardzo miłymi ludźmi, którzy zawsze byli cholernie dumni ze swojego Jimmy'ego, dobrego policjanta. – Gardło zacisnęło mu się spazmatycznie.

O Jezu kochany...

Caroline postąpiła krok w jego stronę, ale powstrzymał ją ruchem ręki.

– Nikt nic nie może zrobić! – krzyknął. – Nie rozumiesz?! Ten durny dupek powinien był siedzieć wtedy w domu, a teraz nie żyje! Dlaczego? Bo eskortował tego pieprzonego pedała w różowej peruce i spodenkach z zielonej satyny, którego głos, szczerze mówiąc, brzmi jak miauczenie gwałconego od tyłu kota! A drań, który spowodował wypadek, po prostu uciekł! Nie miał nawet na tyle odwagi, by przyznać, że jest winny śmierci dobrego gliniarza i wspaniałego faceta! Dam głowę, że to jakiś głupi ćpun!

Jeżeli kiedykolwiek dowiem się, kto... – Podniósł ręce, mocno zaciskając dłonie w pięści. – Jeżeli kiedykolwiek dowiem się, kto siedział za kierownicą tego samochodu, zabiję go!

– Dodge, przecież...

– Myślisz, że nie mówię poważnie, tak?!

– Dodge...

– Dobrze się zastanów, grzeczna panienko! Pobiłem twojego narzeczonego, prawda?! Zapomniałaś o tym?!

– Nie jesteś sobą.

– Jestem sobą, jak najbardziej! – warknął. – To cały ja, Caroline! – Z całej siły uderzył się pięścią w klatkę piersiową. – Popatrz uważnie! Taki naprawdę jestem!

Czuł, jak krew pulsuje mu w głowie i szyi. Wiedział, że oczy płoną mu wściekłością, że każde słowo wyrzuca z ust wraz z kroplami śliny, że pewnie wygląda jak szaleniec.

Że pewnie wygląda jak ojciec.

Jednak nawet świadomość tego, co się z nim dzieje, nie zdołała powstrzymać go od wywrzeszczenia słów, które stary zwykle kierował pod jego adresem.

– Kurwa mać, daj mi wreszcie spokój!

Caroline odwróciła się na pięcie, zdumiewająco spokojna, i wyszła z kuchni.

Dodge nie miał już teraz nikogo, kto mógłby się stać celem jego wściekłego ataku, rzucił się więc na kuchenne krzesło, położył głowę na stole i szlochał tak długo, aż zachrypnął.

Siedział tam aż do świtu, sparaliżowany żalem i smutkiem, pełen nienawiści do samego siebie.

Kiedy się zorientował, że wschodzi słońce, zrzucił buty i na palcach przemknął do łazienki, gdzie opłukał twarz zimną wodą. Koszula wyszła mu ze spodni, włosy sterczały jak siano, policzki ocieniał zarost. Wyglądał jak lump po tygodniowej popijawie, był jednak zbyt zmęczony na ciele i umyśle, żeby coś z tym zrobić.

Wychodząc z łazienki, spojrzął w stronę sypialni. Drzwi były uchylone. Trudno uznać to za zaproszenie, ale przecież jednak nie zamknęła się przed nim, do czego, biorąc pod uwagę jego zachowanie, miała absolutne prawo. Więcej, w gruncie rzeczy powinna była się zamknąć.

Podszedł. Zawiasy zaskrzypiały, lecz nie to ją obudziło, bo i tak już nie spała. Wyczuł to, nie zobaczył, ponieważ leżała na boku, plecami do niego, z kolanami podciągniętymi pod brodę, na pościeli, w pełni ubrana, chociaż bosa. Opuszki jej palców u stóp wyglądały jak cudowne kuleczki.

Jej widok sprawił, że cała gorycz, jaką hodował w sobie od poprzedniego wieczoru, rozplynęła się nagle, zostawiając po sobie pustkę.

Dwoma krokami pokonał odległość od progu do łóżka i wyciągnął się obok niej, blisko. Spodziewał się, że każe mu się wynosić, powie, że nie może znieść jego widoku, głosu i zapachu, lecz ona nie zrobiła nic takiego. Leżała zupełnie nieruchomo i ta milcząca akceptacja jego obecności ośmieliła go na tyle, że w końcu się odezwał.

– Nie miałem racji – powiedział bardzo cicho, prawie szeptem, chociaż rzadko mu się to udawało.

Mimo to doszedł do wniosku, że mówi za głośno, i spróbował jeszcze przyciszyć ton.

– Myliłem się, kiedy powiedziałem, że nie możesz mi pomóc, że nic nie możesz zrobić.

– Jak to? – zapytała głosem stłumionym przez przyciśniętą do

policzka poduszkę.

– Już robisz coś takiego.

– Przecież nic nie robię.

– Robisz! Ty... Ty po prostu jesteś i to wystarczy.

Przysunął głowę do jej głowy, zamknął oczy i wtulił twarz w jej włosy.

– Po prostu jestem?

– Tak. To wystarczy. To bardzo dużo dla mnie znaczy.

Odwróciła się twarzą do niego. Nie zrugwała go za to, że dotykał jej włosów, chociaż obawiał się, że mu nie daruje. Jej spojrzenie nie było surowe, raczej miękkie i czułe.

– Przepraszam, że tak się wściekłem – prychnął z niechęcią. – To za mało powiedziane, wiem.

– Byłeś głęboko poruszony.

– Tak, byłem. Jestem. Jednak nic nie tłumaczy mojego zachowania i tego, co powiedziałem.

– Nie wzięłam tego do siebie.

– To dobrze, bo nie chciałem cię obrazić.

– Wiem, rozumiem.

Łagodny wyraz jej oczu mówił, że rzeczywiście rozumiała. Gardło ścisnęło mu się ze wzruszenia.

– Myślisz, że będziesz mogła mi wybaczyć?

– Widziałam twoją najgorszą twarz i nadal tu jestem.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

– To nie była moja najgorsza twarz, Caroline. O, nie.

– Wciąż tu jestem – powtórzyła cicho.

I kiedy tak patrzył w jej spokojne oczy, poczuł, jak twardy pancierz

okrywający jego paskudne serce zaczyna miejscami pękać. Pancierz ten utworzył się wcześniej, po śmierci matki, która go kochała, narastał latami, utwardzany słowami ojca, który go nie kochał, aż wreszcie pod wpływem bezustannego domowego okrucieństwa stał się gruby i solidny jak kamień.

Nie miał jednak szans, musiał rozpaść się na kawałki, porażony spojrzeniem Caroline. Drobne rysy rozszerzały się coraz bardziej, przepuszczając do środka strumyczki jej łagodności, dobroci i serdeczności.

Pragnienie, by jej dotknąć, o mało go nie udusiło.

– Caroline...

Przerwał, głośno przełknął ślinę, spróbował znowu.

– Caroline, parę tygodni temu byłaś zaręczona z innym. – Znowu przerwał, daremnie szukając odpowiednich słów. – Nie dam rady, cholera. Staram się powiedzieć ci, że...

– Wiem, co próbujesz powiedzieć – jej głos, w przeciwieństwie do jego nieudanych prób, rzeczywiście był szeptem.

Bardzo cichym szeptem, prawie westchnieniem, ruchem powietrza, raczej wyczuwalnym niż słyszalnym.

Wychyliła się do przodu i dotknęła jego warg swoimi. Gdy się cofnęła, jej oczy ogarnęły jego twarz, której daleko było przecież do klasycznej urody. Aż do tej chwili Dodge nigdy nie zastanawiał się jednak, czy jest przystojny, czy nie. Teraz ogarnął go lęk, czy w jego asymetrycznych rysach jest coś, co mogłoby jej się spodobać.

Uniosła dłoń i na pokrytym zarostem policzku i podbródki poczuł opuszki jej palców, delikatne i chłodne jak płatki kwiatu. Potem znowu wychyliła się ku niemu i przycisnęła wargi do jego warg. I tym razem już się nie cofnęła.

Dodge wydał z siebie odgłos, który, nie miał co do tego cienia

wątpliwości, mógłby przerazić każdą kobietę. Był to dźwięk, jaki pewnie można usłyszeć w samym sercu dżungli. Jednak Caroline nawet nie drgnęła. Jej wargi rozluźniły się zachęcająco i jego język wykonał ruch, który języki wykonują najzupełniej instynktownie. Kilka uderzeń serca, później nie pamiętał już, jak smakowały pocałunki innych kobiet, ponieważ całował Caroline i słowo „pocałunek” zyskało kompletnie nowe, cudowne znaczenie. Pocałunek był teraz aktem miłości, połączeniem nie tylko ust, lecz i dusz.

Jeszcze cudowniejsze było to, że Caroline odwzajemniała jego pocałunki z zapalem i entuzjazmem, który zaskoczył go i podniecił. To ona pierwsza oderwała się od jego warg, aby pocałować go gdzie indziej. Odsunęła kołnierzyk jego koszuli i przycisnęła rozchylone usta do jego szyi. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może nie będzie miała nic przeciwko temu, aby wsunął rękę pod jej koszulę na plecach i dotknął jej skóry. Nie zaprotestowała. Przysunęła się do niego tak blisko, że ich ciała zetknęły się, a niektóre miejsca zaczęły się o siebie ocierać.

Dodge nie miał pojęcia, jak rozbiera się uczciwą kobietę, nie miał w tej kwestii żadnego doświadczenia. Jednak Caroline rozwiązała problem za niego i sama wdzięcznie zrzuciła ubranie. On zerwał swoje tak szybko, jakby materiał płonął żywym ogniem.

Kiedy położyła się obok niego na plecach, całkiem naga, o mało nie oszalał ze strachu. Była taka piękna, że wydawało mu się, iż ma skalać narodowy skarb albo święty obraz. Ktoś inny mógłby uznać jej nosek za zbyt zadarty lub wargi za zbyt wąskie, ale on nigdy w życiu nie widział tak zachwycającej twarzy. Jej drobne ciało nie było ideałem kobiecej urody, lecz Dodge nigdy nie pożył żadnej kobiety aż tak gorąco i namiętnie.

Słońce wpadające do pokoju pomiędzy deszczułkami żaluzji

pomalowało w brzoskwiowo – kremowe paski jej jasną skórę usianą uroczymi piegami. Sutki były dziewiczo różowe, a okrywające płeć włosy złociście rude.

Uśmiechnęła się do niego.

– Zamierzasz mnie dotknąć?

Ostrożnie położył rękę na jej torsie, prawie obejmując całą klatkę piersiową. Czuł się przy niej ciężki, zbyt potężny, zbyt mocno owłosiony.

– Jesteś taka... Taka różowa... I maleńka... Boję się, że sprawię ci ból.

– Na pewno nie.

– Twoje żebra...

– Już prawie nie boją. – Położyła dłonie na jego ramionach i pociągnęła go ku sobie. – Nie sprawisz mi bólu, Dodge.

Znowu zaczęli się całować i jego obawy szybko zniknęły. Jedno muśnięcie językiem i jej sutki wyzywająco stwardniały. Wyszepiała jego imię i poruszyła się pod nim. Jej mała dłoń zamknęła się wokół niego i pokierowała nim. Dotknął jej czubkiem wzwiedzionego penisa. Była miękka, wilgotna i otwarta, więc wszedł w nią z głuchym jękiem.

Palcami rozczesał jej włosy i objął głowę. Zbliżył usta do jej ucha.

– Chciałem tego, odkąd zobaczyłem cię pierwszy raz. Chciałem wejść w ciebie, być w tobie. Poczuć twoją... Twoją...

Znał wszystkie wulgarne słowa i zwroty, brakowało mu jednak tych czułych i romantycznych.

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

Odwróciła twarz i przesunęła wargami po linii jego szczęki.

– Dobrze sobie radzisz.

Zanurzył się w nią głębiej i znowu jęknął.

– Boże, jaka jesteś cudowna.

– Ty też. – Objęła jego biodra nogami. – Zostań we mnie, jak długo zechcesz.

Nie został długo, nie był w stanie. Nie za pierwszym razem. Całe miesiące powstrzymanego pragnienia pchały go ku szybkiemu spełnieniu, ale następny raz trwał dłużej, a później...

Dodge nie wiedział, że człowiek może być aż tak szczęśliwy. Nie miał takich doświadczeń. W ciągu następnych dni i tygodni nasycił się głębokim spokojem, szczęściem i radością, których nie zdołał przyćmić nawet żal po śmierci Jimmy'ego Gonzalesa.

Wydawało mu się, że nie może być jeszcze bardziej szczęśliwy.

Mylił się.

Sześć tygodni później Caroline nieśmiało powiedziała mu, że będą mieli dziecko.

Rozdział 22

POBUDKA, DROGIE PANIE! SKI WŁAŚNIE DZWONIŁ Z MERRITT! – Dodge szarpnął ciemne zasłony.

Berry uniosła się na łokciach i zamrugała, oślepiona jasnym światłem.

Caroline usiadła.

– Co się stało?

– Starks znowu w akcji! Opowiem wam wszystko po drodze.

Poszedł do swojego pokoju. Caroline i Berry popatrzyły na siebie, próbując sobie uświadomić, gdzie się znalazły i z jakiego powodu, co stało się z Sally Buckland oraz o czym rozmawiały do późnej nocy.

Kilkanaście sekund później, zupełnie jakby nagle usłyszały wystrzał pistoletu startowego, zerwały się z łóżka. Po pięciu minutach Dodge zastał je ubrane, spakowane i gotowe do wyjścia. Ponieważ zameldował ich Ski, a rachunek uregulować miało biuro szeryfa, mogli pominąć proces wymeldowywania się.

Dodge szorstko potraktował obsługującego hotelowy parking chłopaka, który nie podstawił ich wozu tak szybko, jak tego oczekiwał. Jego niecierpliwość rozbawiła Berry, która także posiadała tę cechę. Jaki ojciec, taka córka, pomyślała z uśmiechem.

Czuła, że potrzebuje czasu, aby przemyśleć wszystko, co poprzedniego wieczoru powiedziała jej matka. Caroline mówiła tak długo, aż sama się zmęczyła, a Berry była zbyt senna, żeby zapamiętać więcej szczegółów nietypowej historii miłosnej, dzięki której przyszła na świat. Obie doszły do wniosku, że z resztą informacji lepiej będzie zaczekać do rana, ale sytuacja w Merritt najwyraźniej stała się krytyczna. Młoda kobieta zrozumiała, że pozostałą część historii jej rodziców, a zwłaszcza powód, dla którego

rozstali się na trzydzieści lat, pozna dopiero za jakiś czas.

Dodge mamrotał pod nosem nieprzyjemne komentarze na temat godzin szczytu w Houston. Caroline z uporem powtarzała, że powinni zatrzymać się gdzieś na kawę.

- Będziesz nieznośny, dopóki nie wypijesz przynajmniej jednej!
- Rozumiem, że papieros nie wchodzi w grę?

Caroline nie zniżyła się do odpowiedzi.

– Kiedy zamierzasz powiedzieć nam, co się stało? Schwytali Orena Starksa czy co?

- Nie.
- Więc o co chodzi?
- Po kawie.
- Dokuczasz mi, bo nie pozwalam ci zapalić!
- Podaj mnie do sądu!

Kolejka do zewnętrznego okienka w McDonalddie posuwała się w ślimaczym tempie, lecz w końcu udało im się pokrzepić kawą.

– No, Dodge, teraz możesz już mówić – odezwała się Berry z tylnego siedzenia.

Przedstawione przez Dodge'a streszczenie wydarzeń było zdecydowanie mętne, więc obie zasypały go pytaniami.

– Nic więcej nie wiem! – oświadczył, usiłując je przekrzyczeć. – Ski musiał gdzieś lecieć, zanim zdążył przekazać mi wszystkie szczegóły. Kazał mi tylko przywieźć was z powrotem do Merritt, co właśnie robię. Poza tym mnie też zależy, żeby tam wrócić.

- Masz dość odgrywania roli mojej niańki.

Spojrzał w lusterko i napotkał wzrok Berry.

- Nie. Po prostu chcę być na miejscu, kiedy ten skurwiel zostanie

schwytany! Nie miałem czasu pogadać twarzą w twarz z Creightonem Wheelerem, a miałem mu sporo do powiedzenia po tym, co zrobił Maggie.

– Kto to jest Maggie?

– Pies Dereka.

Opowiedział im historię playboya z Atlanty, który teraz odsiadywał dożywocie.

– Umieścili go na oddziale dla naprawdę najgorszych psycholi, chociaż dla niego to i tak za łagodna kara. Żal mi trochę jego rodziny, bo jak na bogatych ludzi byli całkiem w porządku, a z powodu Creightona większość ich przyjaciół odwróciła się od nich. Julie jest dla nich bardzo dobra.

Mówił i mówił. Berry wiedziała, że robi to, aby ona i jej matka nie myślały o Orenie Starksie, i nie miała nic przeciwko temu. Zyskała teraz dodatkową motywację, aby uważnie go słuchać.

Odkąd potwierdziły się podejrzenia, że Dodge jest jej ojcem, Berry trudno było zachowywać się w taki sposób, jakby nadał nic nie wiedziała. Nawet gdy w pośpiechu opuszczali hotel, miała ochotę przystanąć i uważnie mu się przyjrzeć. Widziała go teraz w nowym świetle i pragnęła jak najwięcej dowiedzieć się o jego życiu.

Spokojnie słuchała więc dygresyjnego monologu, ciesząc się niskim brzmieniem głosu Dodge'a i chwytając wszystkie słowa, których zdecydowana większość była barwna, nieco wulgarna i zabawna. Chociaż mówił głównie o Dereku Mitchellu i jego żonie Julie, Berry potrafiła wyłowić z tej opowieści kilka faktów z jego życia. Obraz, jaki powoli zaczynał rysować się przed jej oczami, był dosyć przygnębiający.

– Ski powiedział, że możemy dołączyć do niego na miejscu zbrodni, jeżeli będziecie trzymać się z daleka – rzekł, gdy byli już blisko celu

podróży. – W porządku?

Berry i Caroline obiecały nie robić nic, co mogłoby przeszkodzić w prowadzeniu czynności dochodzeniowych. Dodge zahamował przed wjazdem na teren parku krajobrazowego. Z boku zaparkowany był samochód oznakowany na drzwiach jako własność biura szeryfa. Z wozu wysiadł zastępca szeryfa, podszedł do nich i schylił się do okna.

– Pan Hanley?

– Tak.

– Proszę jechać główną drogą do pierwszego rozgałęzienia, a potem w lewo. Trochę dalej zobaczy pan ludzi i samochody.

Zastępca wrócił do swojego wozu i zjechał na bok, pozwalając Dodge'owi przejechać.

Park był ładny i zadbane.

– Ile mieli lat? – zapytała Berry, przypominając sobie, co przekazał Dodge'owi Ski.

– Byli po siedemdziesiątce.

– Dobry Boże... – westchnęła Caroline. – Kto zrobił krzywdę takim staruszkom?

– Ten, kto nie waha się zabić kobiety strzałem w skroń, a później wepchnąć jej zwłok do torby na ubrania.

Mniej więcej sto metrów za rozgałęzieniem tchnący spokojem park przybrał wygląd biwaku sił zbrojnych. Kręciło się tu dwa razy więcej przedstawicieli służb policyjnych i porządkowych niż poprzedniego dnia na parkingu przed Walmartem, a także dwa razy więcej gapiów i turystów, którzy wieczorem rozbili w pobliżu obóz na noc i rano zostali obudzeni szokującą wiadomością.

Umundurowani policjanci przesłuchiwali ich w grupkach lub

pojedynczo, inni rozmawiali przez krótkofalówki albo komórki. Niektórzy sprawiali wrażenie nieszczególnie zajętych, starali się jednak wyglądać na zapracowanych. Nad terenem krążył helikopter, wzmagając hałas warkotem silnika i rytmicznym szumem śmigieł.

Dodge podjechał jak najbliżej żółtej taśmy i zaparkował obok karetki pogotowia. Przez otwarte tylne drzwi Berry zobaczyła mężczyznę, na pewno niemającego siedemdziesięciu lat, którego badała pielęgniarka.

Dodge wysiadł i donośnie gwizdnął.

– Szeryfie!

Młody zastępca szeryfa imieniem Andy odwrócił się, na widok Dodge'a poczerwieniał z gniewu i ruszył w jego stronę. Berry opuściła okno, żeby słyszeć, co powie.

– Przez pana wściekł się na mnie Ski! – odezwał się bez zbędnych wstępów.

Dodge bynajmniej nie przeprosił za kłopoty, jakie sprawił Andy'emu.

– Należało ci się za to, że jesteś taki cholernie naiwny! – rzucił. – Może teraz wreszcie się czegoś nauczysz! Gdzie on jest?

– W przyczepie campingowej – Andy ruchem głowy wskazał dużą szarą przyczepę z namalowaną z boku jaskrawoniebieską falą. Jej wszystkie drzwi były otwarte. – Ludzie z wydziału dochodzeniowego Strażników przed chwilą skończyli robotę. Ski rozmawia z nimi, ale prosił, żebym dał mu znać, kiedy przyjedziecie. – Sięgnął po przytroczoną do pasa krótkofalówkę.

– To ofiara? – zapytał Dodge, patrząc na otwarty ambulans.

Zastępca szeryfa potrząsnął głową.

– Nie, starszków przewieźli już do szpitala. Ten facet ich znalazł. Spuchła mu ręka po ugryzieniu przez pająka, karetka była na miejscu,

więc...

Z krótkofalówki rozległ się głos Nylanda.

– Słucham!

– Hej, Ski, tu Andy! Już są.

– Dajcie mi pięć minut!

Czekali. Parę chwil później Ski wyskoczył z przyczepy. Zobaczył ich od razu i podszedł, blady, zmęczony i ponury. Berry wysiadła razem z Caroline i dołączyły do Dodge'a stojącego obok żółtej policyjnej taśmy. Ski schylił się, uniósł ją i przeszedł do nich. Przez kilka sekund uważnie wpatrywał się w twarz Berry.

– Wiemy już, w jaki sposób Starks zniknął spod Walmartu – powiedział.

Mówiąc krótkimi, urywanym zdaniem, wyjaśnił im, że Oren porwał wóz z przyczepą, grożąc jego pasażerom rewolwerem.

– Starsze małżeństwo, niejacy Mittmayerowie. Dopiero co przyjechali z Iowa. Planowali spędzić tu dwa, trzy dni, a potem jechać dalej, do Corpus Christi. Chcieli zobaczyć wyspę Padre.

– Co robili pod Walmartem o trzeciej nad ranem, do diabła? – przerwał mu Dodge.

– Zamierzali zatrzymać się na noc w parku Ozarks, ale gdy dotarli na miejsce, wszystkie dobre miejsca były już zajęte, postanowili więc od razu przyjechać tutaj. To ich następny zaplanowany etap podróży. Zatrzymali się na parkingu pod Walmartem, żeby przespać tam resztę nocy i doczekać do godziny otwarcia recepcji parku. Pani Mittmayer mówi, że Starks podszedł do ich przyczepy, utykając, wyraźnie zboląły. Jej mąż, człowiek o dobrym sercu, otworzył mu, wbrew jej ostrzeżeniom. Starks wskoczył do środka, uderzył starego w głowę kolbą rewolweru. Pan Mittmayer stracił

przytomność, a Starks związał jego żonie ręce na plecach i oświadczył, że jeśli nie przestanie krzyczeć, najpierw zastrzeli jej męża, a potem ją. Wepchnął ich oboje do kąta, związał i zakneblował.

Dodge przejechał dłonią po twarzy. Caroline utkwiała wzrok w otaczających ich drzewach, z niedowierzaniem kręcąc głową. Ski spojrzął w oczy Berry.

– Wczoraj o dziewiątej rano Starks przyjechał samochodem z przyczepą tutaj i zmusił panią Mittmayer, żeby zameldowała się w recepcji, udając, że wszystko jest w jak największym porządku – podjął. – Zagroził, że jeżeli go wyda, odjedzie i zabije jej męża.

– Gdzie byli między Walmartem a przyjazdem tutaj? – spytała Berry.

– Pani Mittmayer nie wie, nic nie widziała i nie mogła wyjrzeć przez okno. Mówi, że po opuszczeniu parkingu pod Walmartem jechali przez jakieś pół godziny i zaparkowali. Starks przeszukał ich spiżarnię, zjadł trochę chleba i puszkę tuńczyka, wypił dwie dietetyczne cole. Noga wyraźnie dawała mu się we znaki. Kiedy podwinął nogawkę, pani Mittmayer zobaczyła, że od kostki była potwornie spuchnięta i zsiniała. Starks wziął garść przeciwbólowego advilu z apteczki i zapadł w drzemkę.

– Nie próbowali...

Ski przerwał Dodge'owi, potrząsając głową.

– Pani Mittmayer była sztywna z przerażenia i bardzo bała się o męża, który to odzyskiwał przytomność, to tracił. Krwawił z rany na głowie. Biedna kobieta myślała, że Starks go zabije, jeżeli ona wykona jakikolwiek ruch. Starks ocknął się o świcie. Zjadł parę krakersów z masłem orzechowym, wypił jeszcze jedną dietetyczną colę, łyknął dwie tabletki przeciwbólowe. Potem zapytał, dokąd zamierzali jechać, i powiedział, że jeśli spróbuje go okłamać, on bez trudu się zorientuje. Podała mu nazwę

parku i przyjechali tutaj.

– Gdzie przyczepa campingowa nie zwróciła niczyjej uwagi – zauważyła Berry.

– Mieli wcześniejszą rezerwację i przyjechali zgodnie z planem, więc faktycznie nikt nie zwrócił na nich uwagi – potwierdził Ski. – Gdy znaleźli się na terenie parku, Starks znowu związał i zakneblował panią Mittmayer. Zdrzemnął się, potem wziął prysznic, przebrał się w rzeczy pana Mittmayera, zamknął ich w przyczepie, odczepił samochód i odjechał. Było to wczoraj, koło południa, w czasie gdy my jeszcze nie trafiliśmy po jego śladach na parking pod Walmartem.

– Dojechał samochodem Mittmayerów do Houston i zatelefonował do Berry spod stadionu – odezwał się Dodge.

Ski kiwnął głową.

– Tak sędzę – powiedział. – Szukamy wozu Mittmayerów.

– Jak oni się czują? – zagadnęła Caroline.

– Andy powiedział nam, że znalazł ich tamten facet – rzekł Dodge.

Ugryziony przez pajaka mężczyzna rozmawiał właśnie z Andym. Rękę miał owiniętą gazą.

– Właściciel sąsiedniego wozu z przyczepą – wyjaśnił Ski. – Pani Mittmayer w końcu udało się zmienić pozycję i kilka razy mocno uderzyć pięścią w ścianę. Ten gość wstał dziś rano wcześnie, ponieważ wybierał się na pieszą wycieczkę, i usłyszał stukanie. Wczoraj widział, jak Starks odczepił samochód i odjechał, więc zaciekało go, kto został w przyczepie. Zajrzał do środka i znalazł Mittmayerów. Ona wyszła z tego obronną ręką, jest tylko poważnie odwodniona. Dochodzi do siebie w szpitalu.

Berry, Caroline i Dodge wpatrywali się w niego wyczekująco. Ski spuścił wzrok i odchrząknął.

– Jej mąż miał pękniętą czaszkę, nie przeżył. Niedawno skończył siedemdziesiąt sześć lat.

Dodge zaklął, Caroline jęknęła. Berry stała nieruchomo, nie odrywając oczu od Nylanda, bezradna i pełna wyrzutów sumienia.

– Pani Mittmayer zidentyfikowała Starksa na zdjęciu – dorzucił Ski. – Jedyną pozytywną stroną tej tragedii jest to, że zostawił niepodważalne dowody – odciski palców, DNA, naocznego świadka, no i dodał do innych zarzutów porwanie. Zostanie oskarżony o wielokrotne morderstwo.

– Jeżeli ja go dopadnę, nie doczeka procesu – zamruczał Dodge, nie wyjmując z ust papierosa.

Palił, chociaż wszędzie dookoła znajdowały się znaki zakazu.

– Chciałem, żebyście dowiedzieli się tego wszystkiego z pierwszej ręki, nie z telewizji ani pogłosek. – Ski zwrócił się do Dodge'a. – Odwieź je do domu – polecił. – Czekają tam już kobieta w randze zastępcy szeryfa, a przed domem dwóch ludzi, którzy patrolują cały teren i obserwują brzeg jeziora. Wszyscy troje są w stałym kontakcie ze mną oraz wydziałem.

– Z tego, co wiemy, Oren nadal jest w Houston – odezwała się Berry.

– Z tego, co wiemy – przyznał Ski. – Wszystko wskazuje jednak na to, że przestał liczyć się z ryzykiem, więc ja też nie zamierzam ryzykować.

– Odwiozę je – rzekł Dodge. – A potem wrócę i przyłączę się do poszukiwań.

Ski zawahał się i niechętnie wyraził zgodę. Pragnąc jak najszybciej włączyć się do akcji, Dodge ruchem ręki wskazał Caroline drzwi od strony pasażera. Ski zaś otworzył drzwi Berry.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Nie.

– Od piątkowego wieczoru przeżywasz jeden szok za drugim.

Zerknęła na Dodge'a.

– Nie wszystkie były przykre – odparła cicho.

Komórka szeryfa rozdzwoniła się głośno.

– Nyland – rzucił sucho.

Berry natychmiast wyczuła, że coś się stało.

– Tak, tak – powiedział. – Powtórz, dobrze? W porządku. – Szybkim krokiem ruszył w stronę swojej terenówki, a po chwili zaczął biec. – Znaleźli samochód Mittmayerów! – zawołał do Dodge'a, chowając telefon do kieszeni.

– Moja córka mówi, że to spora nagroda.

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, odsłaniając nierówne zęby, brązowe od żucia tytoniu.

– Kiedy mogę ją odebrać?

– Niedługo – odparł Ski. – W tej chwili wszyscy jesteśmy tu trochę zajęci.

– Próbujecie złapać przestępcę, który wam uciekł. – Mężczyzna z powagą pokiwał głową.

– Taki mamy plan, panie Mercury.

Ski trzymał telefon przy uchu. Czekał na połączenie z kolegą z wojska, który miał psy do tropienia. Gdyby nie to, na pewno nie poświęciłby tyle cennego czasu Rayowi Van Mercury'emu. Facet był jak upierdliwa mucha – bzyczał bez sensu i z uporem ciągle wracał do tematu wyznaczonej przez Caroline King nagrody.

– Jesteś tam, Ski? – usłyszał głos swego kumpla.

– Czekam na dobre wiadomości, stary!

– Wciąż próbuję złapać jednego gościa. Nie chcę, żebyś dalej czekał,

oddzwonię, dobra?

Ski jeszcze raz powtórzył, że sprawa jest wyjątkowo pilna.

– Rozumiem!

– Musimy poczekać, aż oddzwoni – powiedział Nyland do Dodge'a, który miał już kompletnie dosyć Raya Van Mercury'ego, i odszedł na bok, żeby spokojnie wypalić papierosa.

– Z każdą minutą, którą tutaj marnujemy, Starks coraz bardziej się oddala – warknął Dodge.

– Chyba że jest tam. – Ski spojrzał na las.

Ślady sportowych butów, takich jak te, które Oren Starks kupił w Walmarcie i które pani Mittmayer widziała na jego stopach, prowadziły od opuszczonego samochodu starszych państwa prosto w najgęstsza część lasu Big Thicket. Tę, w którą niemal nikt nie ośmielał się zapuszczać.

Z rezerwatem Big Thicket związane były niezliczone legendy i tajemnicze historie, opowiadające a to o mieszkającej w głębi lasu mitycznej Wielkiej Stopie, zwanej przez Indian Sasquatchem, a to o migotliwych, zwodniczych światłach pozbawionych źródła. Sławni bandyci z teksaskich legend ukrywali się przed prawem wśród tamtejszych bagnisk i mokradeł.

Rezerwat cieszył się dużą popularnością i był prawdziwą mekką dla turystów. Na jego terenie znajdowały się campingi, oznaczone szlaki turystyczne oraz wodne dla łodzi i kajaków. Sporą część parku stanowiły jednak bagna i lasy tak gęste, że człowiekowi trudno byłoby przez nie przejść – idealne środowisko dla jadowitych węży, niebezpiecznych insektów oraz mięsożernych drapieżników.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy po prostu... – zaczął Dodge.

– Już ci mówiłem! – przerwał mu Ski. – Nie masz pojęcia, jak tam jest! Szybko zgubilibyśmy trop i moi ludzie tylko chodziliby w kółko,

brodząc w błocie i szukając igły w stogu siana.

– Macie szczęście, że natrafiłem na ten samochód! – włączył się Ray Van Mercury. – Gdyby nie to, na pewno nie znaleźlibyście tego gościa!

Van Mercury był chudy jak szczapa, żyłasty i pełen energii. Zdaniem Nylanda ważył może z sześćdziesiąt pięć kilogramów, nie więcej. Tłuste szpakowate włosy, zaplecione w warkocz, zwisały mu do pasa, pomarszczona skóra była brązowa jak skorupa orzecha i świetnie wyeksponowana, ponieważ gość miał na sobie jedynie wyświechtane dżinsy, nierówno obcięte nad kościstymi kolanami.

– Tak, dobrze, że postanowiłem wybrać się dziś rano na ryby! – Ray Van Mercury konfidencjonalnie ściszył głos. – W Big Thicket nie wolno schodzić ze szlaku, wie pan, jak to jest. A łowić można tylko w wyznaczonych miejscach. Strażnicy pilnują, jak nie wiem co, ale ja nigdy nie dałem się złapać i nie zamierzam. Chodziłem po Big Thicket całe życie, byłem w zakamarkach, których nikt inny nie widział na oczy. Moja mama pochodziła z plemienia Koasati z terenu obecnej Alabamy. Wiem, wiem, nie wyglądam jak Indianiec, jestem podobny do taty, tak mówiła mama. Ja tam nigdy go nie widziałem. Zajmował się szukaniem ropy, ale nie był w tym zbyt dobry i miał same suche odwierty. Narobił sobie kłopotów z inwestorami i któreś nocy dał nogę, zostawiając moją mamę ze mną w brzuchu. Tak więc... – Mężczyzna splunął gęstą brunatną śliną w stronę krzaków i otarł usta wierzchem dłoni. – O czym to mówiłem?

– Zamknij się, bo uduszę gołymi rękami! – zgrzytnął zębami Dodge.

Mercury przekrzywił głowę jak zaciekawiony ptak i spojrzał na Nylanda.

– Co mu dolega?

– Martwi się, że zbieg nie zostanie schwyty. Może zaczeka pan

tutaj, co? Będziemy mieli pana pod ręką, gdyby się okazało, że potrzebujemy jeszcze jakichś informacji.

– Tutaj? – Mercury wskazał palcem szereg służbowych samochodów zaparkowanych wzdłuż rowu.

– Tam dalej! – warknął Dodge.

– Moja córka podała wam nasz numer, tak? Więc zadzwonicie i dacie mi znać, gdzie mam odebrać nagrodę?

Ski poklepał kieszeń koszuli.

– Mam go tutaj.

Mercury obdarzył ich szerokim uśmiechem i się oddalił.

– Facet od ropy, akurat! – prychnął Dodge.- Jego mamusia pieprzyła się ze swoim bratem!

Komórka Nylanda zadzwoniła. Ski odebrał i chwilę słuchał.

– Wiszę ci przysługę – powiedział w końcu i rozłączył się. – Trener psów jest już w drodze – rzekł do Dodge'a. – Powinien być tu za jakieś dwadzieścia minut. Zawiadomię resztę.

Jeden z zastępców szeryfa miał jechać za Caroline i Berry do domu nad jeziorem, gdzie czekała już na nie policjantka. W tym samym czasie, gdy obie kobiety ruszały w drogę, Ski i Dodge wsiadali do terenówki, aby jak najszybciej trafić na miejsce, gdzie Ray Van Mercury znalazł porzucony samochód.

Mercury mieszkał z córką oraz trojgiem jej dzieci w domu na kółkach niecałe pół kilometra od granicy Big Thicket. Rano zmierzał właśnie do zakątka, w którym najchętniej wędkował, kiedy zauważył wóz. Gdyby nie znał tak dobrze terenu, mógłby przejść obok i wcale go nie dostrzec, ponieważ Starks postawił go w kępie gęstych krzewów. Ray Van Mercury, który zdecydowanie nie lubił wtrącać się w nie swoje sprawy, poszedł dalej,

nałapał ryb i wrócił do swojej przyczepy, gdzie opowiedział córce o samochodzie. Ta, zajęta patroszeniem złowionych przez ojca ryb, dostała małego rozumu, jak ujął to Mercury.

– Ja tam nie śledzę wiadomości ani żadnych takich, bo jedyne, na czym warto zawiesić oko, to Vanna White i stare westerny – oświadczył.

Jednak córka miała zwyczaj codziennie rano oglądać wiadomości. Dzięki temu dowiedziała się o zbiegu oraz parze starszych ludzi, których zostawił związanych, gdy zabrał ich samochód. Zadzwoiła do biura szeryfa, a kiedy Ski przyjechał, Ray Van Mercury zaprowadził jego i Dodge'a do opuszczonego samochodu.

Ski w ciągu godziny zmobilizował sporą grupę, złożoną między innymi z rezerwowych zastępców szeryfa, strażników miejskich, policjantów, dwóch agentów z najbliższego położonego biura FBI oraz kilku Strażników Teksasu.

Teraz podszedł do zaparkowanych na poboczu samochodów, obok których zgromadzili się członkowie grupy. Helikopter straży miejskiej Merritt także już przyleciał i wylądował na polanie w pobliżu przyczepy Mercury'ego.

Niektórzy przedstawiciele prawa stawili się z osiodłanymi końmi, inni przyjechali terenówkami. Ski wątpił w przydatność i wierzchowców, i samochodów. Przez Big Thicket można było przedrzeć się jedynie pieszo, a i to nie wszędzie. Akcja poszukiwawcza zapowiadała się na wyjątkowo trudną; ludzie Nylanda musieli liczyć się z atakami dzikich zwierząt i niebezpiecznych insektów, a także z potwornym upałem.

Ski poprosił o uwagę i poinformował, że psy są już w drodze.

– Z jednym z najlepszych i najbardziej doświadczonych trenerów, jak mi powiedziano.

Poradził, aby wszyscy skrócili sobie czas oczekiwania, przeznaczając go na sprawdzenie sprzętu, nałożenie kremów z filtrem i zastosowanie środków odstraszających insekty oraz upewnienie się, czy mają dość dużo wody do picia.

Później dołączył do stojącego w cieniu pod drzewem Dodge'a, który właśnie dopalił papierosa, starannie zdusił niedopałek i roztarł go między dłońmi, aby przypadkiem nie zaproszyć ognia.

– Nic z tego nie rozumiem – mruknął.

– O co ci chodzi?

– O Starksa.

– Czyli o co konkretnie?

– O wszystko! Jego ostatnie posunięcia wydają mi się kompletnie bez sensu.

– Jestem tego samego zdania – powiedział Ski. – Wczoraj związał Mittmayerów i wyruszył w drogę do Houston tylko po to, żeby zadzwonić z komórki Sally Buckland. Dlaczego?

– Może wtedy przetransportował ciało. Chciał nas tam ściągnąć i wystraszyć Berry, wywołać w nas uczucie niepewności i zagubienia.

– No, może. Ale potem znowu przyjechał tutaj. Gdzie w tym jakiś sens?

– Nie wiem, kurwa! Uciekł nam, miał samochód, o którym nie wiedzieliśmy, więc po co wracał?

Ski zamyślił się.

– Szukał schronienia? Nie, w przyczepie Mittmayerów był względnie bezpieczny. Miał do dyspozycji przyzwoicie zaopatrzoną spiżarnię, lodówkę i telewizor, więc mógł trzymać rękę na pulsie.

– Środek przeciwbólowy – powiedział Dodge, przewidując myśl

Nylanda.

– Mittmayerowie mieli rezerwację w parku na trzy noce i nie stanowili żadnego zagrożenia dla Starksa. Mógł zostać u nich, odpocząć, podleczyć nogę...

– Albo pozwolić, żeby zgniła.

Ski uśmiechnął się ponuro.

– Sąsiedzi na parkingu często się zmieniają, całkiem prawdopodobne, że nikt nie zauważyłby braku ruchu wokół przyczepy. Starksi mógł tam siedzieć, ile by chciał, spokojnie czekając, aż nadarzy się szansa zaatakowania Berry.

Dodge ściągnął brwi.

– Dobrze, założmy, że taki miał plan. W takim razie co robił na polanie w pobliżu miejsca zamieszkania Mercury'ego?

– Zgubił się.

Dodge rzucił Nylandowi powątpiewające spojrzenie.

– W drodze z Houston przeoczył zjazd. – Ski lekko wzruszył ramionami. – Niewykluczone, że powód był aż tak prosty.

– Niewykluczone – przytaknął Dodge. – Tyle że zupełnie nie pasuje to do faceta, który jest ekspertem od labiryntów.

– Cholera! – Ski zdjął ciemne okulary i otarł mokre od potu czoło. – Coś nam umyka.

– Albo ktoś! – parsknął Dodge.

Ski popatrzył na niego spod oka.

– Też mam takie wrażenie – powiedział. – Ktoś raczej pomagał Starkowski.

– Myślałem o Amandzie Lofland – przyznał się Dodge.

– Ja także, ale ona nie opuszcza szpitala, odkąd tu przyjechała. Nawet

noce spędza w pokoju męża.

– Sprawdzales?

– Dziś rano, zanim znaleźliśmy Mittmayerów – odparł Ski. – Pojechałem do szpitala, żeby porozmawiać z Loflandami o morderstwie Sally Buckland. Poruszyłem sprawę połączeń z jej numerem komórkowym wykonywanych z telefonu Amandy.

– I co?

– Pani Lofland twierdzi, że prawie nie znała Sally, że tylko kilka razy spotkała ją na firmowych imprezach.

– Więc jak tłumaczy te wszystkie telefony? – skrzywił się Dodge.

– Dzwoniła do Buckland, żeby dostać jej adres. Chciała wysłać jej zaproszenie na przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin Bena, które zamierza wyprawić jesienią.

– Jak zareagowała, kiedy poruszyłeś tę sprawę?

– Wkurzyła się. Przyjęcie miało być niespodzianką.

Z gardła Dodge'a wydobył się grzechotliwy śmiech.

– Niezły numer z tej baby, słowo daję, ale nie mogła być w dwóch miejscach naraz! Jeżeli to nie ona jest partnerką Starksa, może była nią Buckland.

– Spełniła swoją rolę i zabił ją, żeby mu nie namieszała?

– Może. Nie wiem, cholera! – Dodge sięgnął po papierosy.

– Nie pal – rzucił Ski. – Są już psy.

Podeszli do furgonetki, która przed chwilą podjechała na parking. Wsiadł z niej mężczyzna i otworzył tylne drzwi, za którymi znajdowały się klatki.

– Miał tu na mnie czekać Ski – powiedział do grupy.

Nyland przedarł się między zebranymi i uścisnął rękę przybysza.

– Przywiozłem dodatkowego trenera. – Mężczyzna wskazał swojego towarzysza. – I jeszcze dwa psy, na wszelki wypadek.

– Dziękuję! Bardzo możliwe, że się nam przydadzą. Z iloma zaczniemy?

– Z trzema najlepszymi.

Zwierzęta zostały wypuszczone i przypięto im grube smycze. Trener wziął dwa czarne labradory, jego zastępcą ogara. Psy były bardzo chętne. Ski dał im do powąchania brudne ubrania, które Starks zostawił w przyczepie Mittmayerów.

– W porządku, złapały – powiedział trener.

– Lecimy za nimi – rzucił jeden z agentów FBI.

Ski z trudem powstrzymał uśmiech. Nie zamierzał nikogo pouczać, dobrze wiedział jednak, że określenie „lecimy” w żaden sposób nie pasowało do sposobu przemieszczania się po gęstym lesie.

Szybko okazało się, że tak właśnie jest. Szli wolno, z trudem, potykając się i ślizgając. Nie minęło pół godziny i ci, którzy nie użyli silnego środka odstraszającego insekty, zaczęli się wycofywać, uciekając przed natarczywymi komarami. Błoto o konsystencji smoły wsysało nawet najbardziej solidne buty.

Ubrania i skórę rozdzierały kolce grube jak ludzki palec albo cieniutkie jak włos. Szukając Orena Starksa, musieli wystrzegać się aligatorów, pum, żmij i grzechotników, którym bynajmniej nie podobało się, że ktoś zakłóca im spokój.

Ski nie potrafił wyobrazić sobie trudniejszego terenu. Pokonanie stu metrów zajęło im godzinę. W tak straszliwym upale nawet najtwardsi mężczyźni opadali z sił. Ci, którzy dobrze znosili wielogodzinne ćwiczenia na siłowni, tu ledwo łapali oddech. Także zapał zwierząt szybko zaczął

słabnąć, chwyciły jednak trop Orena Starksa, a instynkt oraz doskonale wyszkolenie kazały im walczyć ze zmęczeniem. Szarpały smycze, raz po raz wciągając ludzi w kolczaste zarośla, które trzeba było wycinać maczetą.

Ski dotrzymywał kroku psom, więc kiedy zastępca trenera wpadł w jakąś dziurę i skręcił nogę w kostce, ten bez wahania oddał mu smycz.

– Suka będzie pana słuchać, trzeba ją tylko często chwalić.

Nyland dobrze radził, sobie z psem, natomiast poważnie niepokoił się o Dodge'a, który mocno zadyszał się już w czasie ich krótkiej nocnej wędrówki przez las obok domu nad jeziorem, a przecież było to coś w rodzaju spaceru po parku. Na razie detektyw nie zostawał w tyle – oddech miał świszczący, kłął na czym świat stoi, ale twardo parł naprzód.

– I co, zastanowiłeś się, czy mogę pełnić rolę zastępcy szeryfa? – zapytał, gdy przystanęli, żeby napić się wody.

– Nie możesz go zastrzelić, Dodge.

– Akurat! Mam świetne oko!

– Nie o to mi chodzi.

– Wiem, o co ci chodzi. – Zakręcił butelkę i odsunął ciernistą gałąź. – Ale kiedy go znajdziemy, lepiej, żeby trzymał ręce na głowie i głośno błagał o litość.

– Bo co?

– Bo inaczej mogę uznać, że ucieka z bronią w rękę.

Czas mijał. Temperatura rosła, zapasy wody kończyły się. Poszukujący jeden po drugim kapitulowali, aż w końcu tylko kilku twardzieli przedzierało się dalej.

Kiedy topniejąca grupka zatrzymała się na odpoczynek, Ski podszedł do Dodge'a, który walczył o każdy haust powietrza.

– Daj już spokój, sam widzisz, jak jest – powiedział ostrożnie.

– Prędeż zdechnę! – Dodge otarł spoconą twarz chusteczką. – Co w tej chwili wydaje mi się cholernie przyjemnym rozwiązaniem.

– Słuchaj, Dodge, nie życzę sobie, żebyś mi tu umarł! – zdenerwował się Ski.

– Zakochałeś się we mnie, czy co?

Nyland nie dał się sprowokować.

– Kopniesz w kalendarz w mojej obecności i te twoje dwie kobiety nigdy mi tego nie wybaczą!

Dodge miał już na końcu języka ostrą odpowiedź, lecz się powstrzymał.

– Nie poddam się – oświadczył, chowając chusteczkę do kieszeni.

Ski zmierzył go czujnym spojrzeniem.

– Jak chcesz – rzucił.

Teren stał się jeszcze trudniejszy. Jeden z psów zaczął kuleć.

– Wbił jej się kolec – powiedział trener, obejrawszy przednią łapę suki.

– Da radę dojść z powrotem?

– Będzie musiała, ale trochę to potrwa.

– Niech pan się nią zajmie. Ja wezmę tamtego.

Mężczyzna przekazał Nylandowi smycz drugiego psa.

– Te dwa raczej za sobą nie przepadają – ruchem głowy wskazał sukę, którą wcześniej przejął Ski. – Jedyne nadzieje, że są już zbyt zmęczone, aby się awanturować.

Z całej grupy została zaledwie garstka ludzi. Dodge wciąż był z nimi. Kiedy jeden z agentów FBI zasugerował, że może powinni wycofać się i wrócić następnego dnia, detektyw spojrzał na niego z pogardą.

– Nie zamierzam zachowywać się jak jakaś pieprzona panienska –

mruknał.

Ski oświadczył, że też chce iść dalej.

– Psy nadal są na tropie – powiedział.

Strażnicy również jakoś się trzymali. Jeden z nieukrywany niepokojem przyglądał się Dodge'owi, który walczył o każdy oddech, Ski znowu spróbował przemówić mu do rozsądku.

– Wiem, że chcesz być przy ujęciu Starksa, ale...

– Idź przodem, szeryfie.

– Mógłbym kazać ci się wycofać, zdajesz sobie z tego sprawę? Zlecić jednemu ze Strażników, żeby cię odprowadził.

– Musiałbyś mnie najpierw zabić!

– Jeszcze trochę i oszczędzisz mi tego kłopotu!

Dodge machnął ręką.

– Jestem tuż za tobą.

I rzeczywiście, nadal trzymał się z przodu, nawet gdy inni zaczęli coraz częściej przystawać. Groźba, że zostanie odprowadzony pod eskortą, wyraźnie dodała mu sił, lecz przyroda mimo wszystko okazała się silniejsza od jego determinacji.

Ski został w końcu sam z dwoma psami, których wzajemna antypatia ustąpiła miejsca pragnieniu wykonania zadania. Uparcie przedzierały się przez porastające podmokły teren krzewy, ciągnąc za sobą Nylanda.

Aż wreszcie dopadły poszukiwanego.

Oren Starks nie trzymał rąk na głowie i nie błagał o litość. Siedział na brzegu bagna, między wystającymi z mętnej wody korzeniami olbrzymiego cyprysu, oparty plecami o pień. Był przechylony na jedną stronę tak mocno, że czołem prawie dotykał uda.

Psy rozszczękały się, uszczęśliwione, że dopięły swego, i runęły

naprzód przez pokrytą rzesą wodę. Kilka metrów od Starksa Ski ściągnął je mocno i przywiązał smycze do grubej gałęzi. Oddał trzy strzały w powietrze, powiadamiając idących za nim, że poszukiwanie dobiegło końca, i przedarł się do ściganego przez sięgającą do kolan wodę. Co chwilę potykał się o wystające z grząskiego dna korzenie, ukryte pod nieprzezroczystą, bagnistą ciecżą.

Starks miał ślad od kuli tuż nad kością policzkową, blisko zewnętrznego kącika oka. Najwyraźniej zastrzelił się, ponieważ w dłoni zanurzonej w wodzie wciąż trzymał broń.

Ski przysiadł na piętach, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Krew wokół opuchniętej i już naruszonej przez muchy rany skrzepła, ale nie zdążyła jeszcze całkowicie zaschnąć. Twarz Starksa była pocięta zadrapaniami i pogryziona przez insekty.

Mężczyzna zgubił jeden z kupionych w Walmarcie butów i skarpetkę pokrywało mnóstwo rzepów. Miał na sobie ubranie człowieka, którego niedawno zabił; Ski rozpoznał je na podstawie dostarczonego przez panią Mittmayer opisu. Szare bojówki poczerniały od brudu, koszula w zielone i niebieskie paski była podarta i cuchnąca.

Pozostali członkowie grupy stopniowo docierali na miejsce. Utworzyli półkole za Nylandem, który wciąż przyglądał się ciału, mamrocząc ponure uwagi.

Ski usłyszał świszczący oddech Dodge'a za swoimi plecami.

– O cholera!

Wszystko wskazywało na to, że dał w ten sposób wyraz gorzkiemu rozczarowaniu, iż Ski pozbawił go satysfakcji zabicia Starksa.

Spłoszone przez psy i ludzi ptaki krążyły nad drzewami, bijąc skrzydłami i hałaśliwie narzekając, że ktoś ośmielił się zakłócić im spokój.

Psy dyszały radośnie, wywalając ociekające śliną jęzory.

Pierwszy ze Strażników, który dotarł na miejsce, przez krótkofalówkę nawiązał kontakt z pilotem helikoptera i teraz, przekrzykując trzaski, instruował go, aby rozglądał się za racą oznaczającą miejsce postoju i by spuścił nosze potrzebne do zabrania zwłok.

Wszystkie te zewnętrzne sygnały jak przez mgłę docierały do świadomości Nylanda, którego cała uwaga wciąż skoncentrowana była na Starksie. Patrzył, jak duża mrówka przebiega po grzbiecie nosa Orena i szybko podąża w dół policzka. Niewielka ryba zaczęła właśnie skubać palec jego przykrytej wodą dłoni.

– Będziemy musieli jakoś przywiązać zwłoki! – krzyczał do krótkofalówki Strażnik.

– To nie zwłoki! – przerwał mu nagle Ski. – On jeszcze żyje!

Rozdział 23

POLICJANTKA PRZYDZIELONA DO OCHRONY BERRY I CAROLINE była tą samą kobietą, która przesłuchiwała opornego kasjera z Walmartu, zanim Dodge przejął jej zadanie. Przedstawiła się jako zastępca szeryfa Lavell i zachowywała bardzo profesjonalnie.

Także i wtedy, gdy weszła do salonu, gdzie Berry i Caroline starały się jakoś zabić czas w oczekiwaniu na wiadomości, i oświadczyła, że Oren Starks został doścignięty i schwytyany.

Obie kobiety zasypały panią szeryf pytaniami, ona jednak tylko wyprostowała się służbiście.

– Nie znam szczegółów – odparła. – Ski powiedział, żebyście spokojnie czekały, aż się z wami skontaktuje.

Berry chciała od razu jechać do biura szeryfa, lecz Caroline wykazała się większym opanowaniem.

– Będziemy im tam tylko przeszkadzać – pokręciła głową. – Najważniejsze, że go ujeli i już nic ci nie grozi! Ski odezwie się, kiedy złapie oddech.

– Dlaczego Dodge nie dzwoni? Musi chyba wiedzieć, że tu wariujemy!

– Na pewno też ma mnóstwo roboty. Policja musi teraz pozalać wszystkie formalności. Trochę cierpliwości, kochanie.

– Dam im godzinę!

Pięćdziesiąt trzy minuty później usłyszały warkot silnika samochodu. Berry wybiegła z salonu, Caroline podążyła za nią. Stłoczyły się w wejściowych drzwiach w chwili, gdy Dodge zatrzymał nieznany im samochód i wysiadł.

– Co się dzieje, na miłość boską?! – wykrzyknęła Caroline, zbiegając po schodach.

Powstrzymał ją uniesieniem ręki.

– Nie podchodź za blisko! Bóg jeden wie, co mogłem złapać w tym cholernym miejscu!

– Gdzie byłeś?

– W piekle i z powrotem. Tutaj nazywa się to Big Thicket, kurwa mać!

Berry spojrzała na niego ze zdumieniem.

– I tam znaleźliście Orena?

– Na brzegu bagna, w kępie cyprysów. Z raną po strzale, który sam oddał.

Ostatnie słowa Dodge'a skutecznie uciszyły obie kobiety.

– Strzelił sobie w skroń, tak samo jak zabił Sally Buckland – uzupełnił. – To najwyraźniej jego ulubione miejsce.

Berry była zbyt oszołomiona, aby cokolwiek powiedzieć.

– Nie żyje? – spytała Caroline.

– Prawie. W czasie upadku ze schodów złamał sobie kość piszczelową, co spowodowało potężną infekcję. Ma też obrzęk mózgu i na razie lekarze nie są w stanie ocenić, czy z tego wyjdzie. Ogólnie rzecz biorąc, nasz przyjaciel Oren Starks jest w bardzo marnej formie.

Po chwili milczenia Caroline ruchem ręki ponagliła Dodge'a, żeby wszedł do środka.

– Musisz się umyć – powiedziała. – Co to za odór?

– Bagienny gaz, psie gówno, sam nie wiem. Byłoby ze mną jeszcze gorzej, gdyby Ski nie pożyczył mi tych butów.

Na ganku pozbył się wysokich myśliwskich gumowców, a potem, nie

oglądając się na przyzwoitość, rozpiął i zdjął spodnie. Zrzucił resztę ubrania, pozostawiając je w postaci śmierdzącej kupki na deskach, i wszedł do domu w samych bokserkach.

Stojąca w progu pokoju szeryf Lavell nawet nie drgnęła, zmierzyła go jednak pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Ski polecił mi przekazać, że ma pan wracać do biura szeryfa – odezwała się.

– Dlaczego sam mi tego nie powiedział?

Dodge wytrzymał kontakt wzrokowy z Lavell przez piętnaście sekund, a później powtórzył pytanie. Kobieta wzruszyła ramionami i bez słowa wyszła.

Berry nie zwróciła uwagi na nieuprzejme zachowanie policjantki. Chciała natychmiast wyciągnąć z Dodge'a wszystkie informacje, on jednak uparł się, że najpierw musi wziąć prysznic.

– Od razu, zanim wylegną się na mnie jaja tych robali! – rzucił przez ramię, idąc na górę. – Nalejcie mi bourbona, bardzo proszę!

Wrócił po dziesięciu minutach, wyszorowany i pachnący mydłem, z zaczesanymi do tyłu mokrymi włosami, w bojówkach i koszuli z krótkimi rękawami, z przerzuconą przez ramię sportową marynarką. Dopiero teraz, gdy zmył z siebie cały brud, widać było gęstą siatkę zadrapań i ukłuć na jego twarzy i ramionach.

– Zdezynfekowałeś to wszystko? – Caroline podała mu drinka, o którego prosił.

– Nie. – Dodge pociągnął duży łyk whisky.

– Nie opowiadaj, dopóki nie wrócę.

– Lepiej, żeby nie szczypało! – zawołał za nią, gdy szybkim krokiem poszła w stronę sypialni.

Usiadł w fotelu na biegunach, tym samym, który upatrzył sobie w dniu przyjazdu, czyli w sobotę. Teraz był poniedziałek. Berry zdziwiła się, że w tak krótkim czasie stał się jej tak znany i w pewnym sensie bliski. W ciągu tych dwóch dni tyle się wydarzyło. I tyle z tych wydarzeń połączyło ją z ojcem, którego czterdzieści osiem godzin wcześniej jeszcze nie знаła.

– Jak Ski?

– Kto, bohater dnia?

– Naprawdę jest bohaterem dnia?

– Dotrwał do samego końca, jako jedyny, nawet Strażnicy Teksasu wypadli przy nim jak małe dziewczynki. – Dodge pociągnął kolejny łyk alkoholu. – Jest wykończony, ale poza tym wszystko z nim w porządku.

– Dokąd teraz pojechał?

– Kiedy ostatnio go widziałem, stał przy wejściu do szpitalnej izby przyjęć i odpowiadał na pytania dziennikarzy. Byli tam ludzie ze wszystkich kanałów telewizyjnych w Houston, z jednej w Tyler i chyba z Lafayette, o ile dobrze pamiętam. Widzowie nadal uwielbiają opowieści o zakończonej sukcesem pogoni za czarnym charakterem, szczególnie jeśli akcja rozgrywa się w Thicket, bo to miejsce emanuje aurą tajemniczości.

Berry ze zdziwieniem potrząsnęła głową.

– Nie potrafię wyobrazić sobie Orena zapuszczającego się w głąb dzikiego lasu.

– Ja nie potrafię go sobie wyobrazić robiącego rzeczy, które zrobił. – Dodge spod oka zerknął na buteleczkę dezynfekującego płynu, którą Caroline przyniosła razem z płatkami z waty. – Będzie piekło?

– Nie tak bardzo jak po wdaniu się infekcji – odparła. – Moim zdaniem trzeba by ci zrobić zastrzyk przeciwtężcowy.

– Już lecę!

Caroline zmarszczyła brwi, uklękła obok fotela, nasączyła wacik płynem i przemyła paskudną ranę na zewnętrznej stronie jego dłoni.

Ubarwiając narrację przekleństwami, Dodge streścił przebieg ostatnich paru godzin.

– Jakie Oren ma szanse? – zapytała Berry, kiedy skończył.

– Na przeżycie? Żadne. Albo umrze teraz, albo zostanie oskarżony o trzy morderstwa i dostanie wyrok śmierci. Tak czy inaczej już po nim.

Berry wstała i podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na jezioro. Słońce zachodziło, w tafli odbijało się stado ptaków. Sosny rzucały długie, proste cienie na kamienisty brzeg. Piękne, tchnące spokojem otoczenie było dokładnie takie samo jak w piątek wieczorem, kiedy razem z Benem po pracy najzupełniej niewinnie postanowili upiec steki na grillu, aby w ten sposób uczcić zakończenie projektu. Na samo wspomnienie tamtych chwil skrzywiła się lekko.

Odwróciła się do rodziców. Zabawne, że automatycznie pomyślała o Caroline i Dodge'u jako o parze. Tak, to byli jej rodzice.

– Chcę zobaczyć Orena.

Dodge zdecydowanym ruchem postawił kieliszek na stoliku.

– Do diabła!

– Co?

– Ski uprzedził mnie, że to powiesz! Założył się ze mną! Właśnie przegrałem pięć dolców!

– Czyj to samochód?

Mężczyzna znów chwycił kieliszek i wychylił resztę whisky.

– Zastępcy szeryfa, który pilnuje pokoju Starksa w szpitalu. Ski powiedział, że mogę go pożyczyć.

– Więc teraz możesz odstawić go na miejsce. Pojedzie – my za tobą

samochodem mamy.

* * *

Berry chciała porozmawiać z Nylandem albo przynajmniej go zobaczyć, chociaż z daleka.

Chciała też zobaczyć Orena. Ze wszystkich sił pragnęła zamknąć ten epizod swojego życia, a wiedziała, że stanie się to dopiero wtedy, gdy przyzna się przed Starksem, iż ma świadomość roli, jaką odegrała we wszystkich przerażających rzeczach, które zrobił.

Od początku musiał być chory umysłowo, ale być może jej zachowanie okazało się ostatnią kroplą. Gdyby była dla niego miłsza i bardziej tolerancyjna, jego mordercze instynkty pozostałyby uśpione aż do późnej starości.

Tak czy inaczej czuła, że nie zazna spokoju, dopóki nie przyzna się do winy.

Jeżeli stan Orena był tak zły, jak twierdził Dodge, powinna zrobić to jak najszybciej. Niestety, kiedy przechodziła przez szpitalny hol, zmierzając do windy, którą zamierzała dostać się na oddział intensywnej terapii, zatrzymali ją Ben i Amanda Lofland.

– Więc to jest Ben – wymamrotał Dodge.

Jego ton wyraźnie wskazywał, że Ben nie wzbudził jego zachwyty.

– Jedźcie na górę – powiedziała Berry do rodziców. – Zaraz do was dołączę.

Dodge niechętnie poprowadził Caroline do windy, zostawiając córkę sam na sam z Loflandami. Ben, siedzący na wózku inwalidzkim popychanym przez pielęgniarza, był blady, mizerny i chudy. U jego boku stała ziejąca złością Amanda.

– Dzień dobry – odezwała się Berry.

Mężczyzna poprosił pielęgniarza, aby dał im chwilę. Gdy ten odszedł, Amanda natychmiast przystąpiła do ataku.

– Dlaczego napuściłaś na mnie tego zastępcę szeryfa?

– Ski?

– Ski? – powtórzyła Amanda, krzywiąc się i naśladując głos Berry. – Jesteś z nim po imieniu? Ciekawe, ale jakoś w ogóle mnie to nie dziwi.

– Nie wiem, o czym mówisz!

– Przyjechał tutaj z samego rana i zaczął wypytywać mnie o Sally Buckland. Wypytywać mnie, rozumiesz? Urządził mi regularne przesłuchanie! Na liście połączeń z mojej komórki znalazł jej numer wybierany kilkakrotnie. A dlaczego przyszło mu do głowy, żeby przejrzeć tę listę? Bo ty zatrułaś jego umysł, nastawiłaś go przeciwko mnie!

Gdyby śmierć Sally nie była tak poważnym tematem, Berry niewątpliwie zbyłaby melodramatyczny ton Amandy wzruszeniem ramion.

– Jeśli chodzi o ciebie i Sally, to powiedziałam tylko, że nie miałam pojęcia, iż się znaliście.

– Nie znałyśmy się, natomiast obie znałyśmy ciebie! Obie dobrze wiedziałyśmy, jaka jesteś podstępna!

– Daj spokój, Amando – znużonym głosem odezwał się Ben, który pewnie musiał słuchać tych bzdur od dobrych paru godzin. – Jakie to ma teraz znaczenie, gdy Sally nie żyje, a jej morderca został schwytany?

– Więc słyszeliście o Orenie? – zapytała Berry.

– W moim pokoju był telewizor – odparł Ben. – Co za koszmar... – Przesunął dłonią po białej jak prześcieradło twarzy. – I Sally...

– Nie masz pojęcia, jakie to było straszne. Ja znalazłam ciało, w mojej sypialni. Policja uważa, że zanim Oren ją zabił, przez kilka godzin dręczył ją i torturował.

– Mam nadzieję, że ten psychol umrze – powiedziała Amanda. – Mało brakowało, a zostałabym przez niego wdową.

– Pani Mittmayer nie miała tyle szczęścia co ty – szepnęła Berry.

– Oby nie wyszedł stąd żywy! – powtórzyła Amanda, obrzucając Berry twardym spojrzeniem. – Przyjechałaś go zobaczyć?

– Tak.

– Po co? – Ben sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

– Dobrze wiesz, z jakiego powodu – z tego samego dzwoniłam do niego w czwartek po południu.

Pod jej znaczącym spojrzeniem Ben pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– Co to da, jeśli teraz mu to powiesz?

– Może nic. Po prostu chcę mu to powiedzieć, bo czuję, że powinnam.

Amanda popatrzyła na nich ze zniecierpliwieniem i demonstracyjnie spojrziała na zegarek. Berry pomyślała, że żona Bena jest zbyt samolubna i złośliwa, aby zwracać na nią uwagę.

– Życzę ci powodzenia z kampanią – zwróciła się do Bena. – Teraz jest już tylko twoja.

– Ben nie miał z tym nic wspólnego!

Zaprzeczenie Amandy było tak gwałtowne, że Berry natychmiast nabrała podejrzeń. Wyraz jej twarzy musiał stanowić odbicie tych myśli, ponieważ mężczyzna szybko poparł żonę.

– Przysięgam na Boga, Berry! Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Delray zajmie tak nieprzejednane stanowisko! Nie wobec ciebie, na miłość boską!

– Nie wobec mnie? – Prawie parsknęła śmiechem. – Nie wobec mnie, osoby, której zachowanie firma powinna jednoznacznie potępić? Przecież

właśnie taką postawę zasugerowała im Amanda.

– To nie tak, Berry! Wyciągnęli własne wnioski na temat tego, co wydarzyło się w domu nad jeziorem i dlaczego. Przysięgam, że ja... Że my... Że nie zrobiliśmy...

– Nie zarzekaj się tak, Ben. Niezależnie od tego, co powiedziałeś im ty albo Amanda, czy co im zasugerowaliście, przeprosiny, które próbujesz wykrztusić, nie mają teraz dla mnie żadnego znaczenia. Pozwoliłeś, żeby cała odpowiedzialność spadła na mnie. Zachowałeś się nieuczciwie i niełojalnie, i tyle, ale nie zamierzam z tego powodu płakać. Nie chcę pracować dla firmy, która ma do mnie tak mało zaufania, że nie pozwala mi nawet przedstawić mojej wersji wydarzeń. – Berry wyprostowała się. – Teczka z kompletnym projektem, od pierwszych szkiców po ostatnie makiety, jest w domu nad jeziorem, więc wyślę ci ją pocztą kurierską.

– On nie potrzebuje twojej łaski! – rzuciła Amanda. – Możesz sobie zatrzymać teczkę, bo cały czas robił kopie wszystkich nowych opracowań.

Berry przeniosła wzrok na Bena, którego policzki nagle zalał rumieniec.

– Ach, rozumiem – powiedziała cicho.

Kilka sekund patrzyła mu prosto w oczy, a potem bez słowa odwróciła się na pięcie i odeszła.

Prawie godzinę stała na korytarzu oddziału intensywnej terapii, kiedy w drzwiach pojawił się Ski, świeżo ogolony i ubrany w czyste rzeczy. Na jego widok jej serce gwałtownie przyśpieszyło, lecz on zachowywał się najzupełniej profesjonalnie, powstrzymała więc pragnienie zarzucenia mu rąk na szyję i przywitała go z odpowiednią rezerwą.

Ski odwrócił się do zastępcy, któremu zlecił pilnowanie pokoju Orena.

– Chcesz zrobić sobie przerwę? – zagadnął.

Facet albo rzeczywiście potrzebował paru minut dla siebie, albo zrozumiał sugestię, bo podziękował szefowi, zerwał się z krzesła i wyszedł, zostawiając ich samych.

– Dodge opowiedział mi o twoich heroicznych wysiłkach, aby schwytać Orena – cicho odezwała się Berry.

Ski machnął ręką.

– Powinienem był wcześniej go złapać.

– A ja nie powinnam była dzwonić do niego w czwartek, zapraszać tu Bena ani tak podle traktować Starksa. A jego rodzice i nauczyciele powinni byli rozpoznać u niego psychotyczne skłonności już dawno. – Berry posłała Nylandowi słaby uśmiech. – Nie tylko ty masz poczucie winy.

Spojrzała w kierunku drzwi do pokoju, gdzie wydające ciche dźwięki urządzenia monitorowały oznaki życia Orena Starksa.

– Pozwolili mi wejść do niego, naturalnie tylko na chwilę. Zamierzałam powiedzieć mu parę rzeczy i zrobiłam to. – Z żalem potrząsnęła głową. – Nie wydaje mi się jednak, żeby mnie słyszał.

Ski popatrzył na nią z namysłem.

– Dlaczego chciałaś się z nim widzieć? – zapytał. – Dlaczego jeszcze tu jesteś?

– Nie umiem tego wytłumaczyć, naprawdę. Po prostu czuję, że powinnam tu być. Czy to bardzo okropne, że stoję i czekam, aż coś się wydarzy?

– Okropne jest to, że musi być przykuty do łóżka.

Poza wszystkimi rurkami i kablami, jakie podłączono do ciała Orena, przeguby jego rąk i nóg otaczały metalowe kajdanki.

– Jednak Starksi zabił troje ludzi, bezwzględnie i bez wahania – ciągnął Ski. – Nie należy mu współczuć.

– Nie współczuję mu. Chyba nie. Sama nie wiem, co właściwie czuję. Na pewno ulgę, że już nie zagraża ani mnie, ani nikomu innemu, wciąż mam jednak mieszane uczucia. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. – Spojrzała mu w oczy. – Szczególnie o tym... – dodała bezradnie.

Ski doskonale wiedział, co Berry ma na myśli.

– No, tak, o tym – powiedział cicho. – O pocałunku, który wstrząsnął moim światem. Ja też nie mam pojęcia, co o tym myśleć, wiem tylko, że nie mogę przestać do tego wracać. – Pochylił się lekko w jej stronę. – Nie chciałem cię wczoraj zostawiać.

– Mało brakowało, a pobieglabym za tobą.

– Naprawdę?

– Zatrzymałam się przy drzwiach. Wiedziałam, że musisz jechać, ale nie chciałam zostać bez ciebie.

Głodne spojrzenia, które wymienili, zakłóciło jakieś poruszenie w końcu długiego korytarza. To zastępca szeryfa właśnie wrócił z przerwy i kłócił się z Lisą Arnold.

– Chcę rozmawiać ze Ski Nylandem!

– W porządku – powiedział Ski.

Zastępca odsunął się i dziewczyna przeszła obok niego. Jej klapki głośno stukały o podłogę.

– Jak się pani czuje? – uprzejmie zagadnął Ski.

Dziewczyna wsunęła kosmyk zniszczonych, ufarbowanych na kruczą czerń włosów za ucho, w którym tkwiło kilka kolczyków.

– W porządku, tak mi się w każdym razie wydaje – odparła. – Nadal smutno mi z powodu Davisa, rozumie pan.

– Oczywiście.

Przeniosła wzrok na Berry, więc Ski przedstawił je sobie.

– Wiem, kim pani jest – powiedziała Lisa. – To wszystko zaczęło się u pani w domu. Ten psychol strzelił też do pani chłopaka, prawda?

Zanim Berry zdążyła cokolwiek sprostować, dziewczyna odwróciła się i długą chwilę wpatrywała się w Orena.

– Oglądałam wiadomości w telewizji i dowiedziałam się, że go złapaliście – oświadczyła. – Zaraz potem zastępca, który stał pod moim domem, przyszedł i powiedział, że odjeżdża, bo nie ma już powodu, żeby dalej mnie pilnować.

– Czy to tego człowieka widziała pani w motelu? – zapytał Ski. – To on strzelił do Davisa Coldare’a?

– Tak, to on, przeklęty skurwysyn! – Lisa parsknęła złością. – Namówiłam Davisa, żeby zabrał mnie to tego motelu. Gdybyśmy zostali na parkingu w kinie, nadal by żył.

– Nie odpowiada pani za to, co się stało, więc proszę nie robić sobie wyrzutów – łagodnie powiedział Ski.

Lisa odwróciła ku niemu twarz i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– No, tak. Chciałam przyjść tutaj i podziękować panu, że go pan złapał.

– Nie zrobiłem tego sam, wiele osób mi pomogło.

– I coś jeszcze. Dziękuję, że był pan wtedy taki dla mnie miły.

– Nie ma za co.

– Przepraszam za moją macochę. Straszna z niej suka.

Ski uśmiechnął się.

– To nie pani wina.

– Proszę nie brać tego do siebie, ona po prostu taka już jest, dla wszystkich.

Rzuciła ostatnie, złowrogie spojrzenie w kierunku Orena, pożegnała

się i poszła korytarzem do windy. Gdy drzwi się otworzyły, Dodge i Caroline wyszli z kabiny, a Lisa do niej wsiadła.

Ski odsunął się o parę kroków, żeby odebrać telefon, który właśnie zaczął dzwonić w jego kieszeni.

– Coś nowego? – zagadnął Dodge, gdy podeszli bliżej.

– Nie – odparła Berry.

– Marnujesz czas, stojąc tu i gapiąc się na niego.

– Może, ale...

Ski wrócił do nich, z komórką przyciśniętą do piersi.

– Mamy małe zamieszanie w biurze szeryfa – oznajmił. – Człowiek, który znalazł samochód Mittmayerów...

– Jezu, znowu ten mieszaniec? – z niesmakiem prychnął Dodge.

Ski się uśmiechnął.

– Tak. Pan Mercury domaga się nagrody i oskarża wszystkich, że próbują go oszukać. Przykro mi, że zawracam ci tym teraz głowę, Caroline, ale gdyby nie sprawiło ci to zbyt wielkiego kłopotu...

– Skądże znowu – nie pozwoliła mu dokończyć. – Z wielką chęcią od razu wypiszę czek.

Postanowili, że pojedą razem i załatwią sprawę na miejscu, i natychmiast wyruszyli do biura szeryfa.

Dodge spojrzał na Berry.

– Cóż, zostaliśmy sami – zauważył. – Jeśli mam być szczery, to chyba powinnaś zrobić coś z tym facetem. Im szybciej podejmiesz jakąś decyzję, tym lepiej dla ciebie.

– Może masz rację.

– Zaufaj mi. No, jestem głodny! A ty?

– Też. – Berry dopiero teraz uświadomiła sobie, że nawet nie

pamięta, kiedy ostatni raz jadła. Spojrzała na zegarek. – Jak na Merritt jest już naprawdę strasznie późno. Nie wiem, co może być otwarte.

– Ja wiem.

– Cześć, Grace!

– Witaj, Dodge!

Uśmiech barmanki wyraźnie przygasł na widok towarzyszącej Dodge'owi osoby.

– Przedstawiam ci Berry Malone.

– Kiedyś już się spotkałyśmy – Berry uśmiechnęła się do starszej kobiety.

– Na pewno mocno pani ulżyło, że wreszcie złapali tego Starksa.

– Tak.

– Czy on jeszcze żyje?

– Ledwo ledwo – odpowiedział za Berry Dodge. – Podajecie o tej porze jeszcze coś do jedzenia?

Grace ruchem głowy wskazała im szereg stolików pod przeciwległą ścianą.

– Wybierzcie sobie miejsce – powiedziała. – Zaraz przyniosę menu. Czego chcecie się napić?

Dodge zamówił piwo w butelce, a Berry uznała, że to dobry wybór. Usadowili się naprzeciwko siebie na ławkach obitych skajem. Dzielący ich drewniany stół pokryty był grubą warstwą politur, na blacie stała prosta tuba z czerwonego szkła, z migoczącą świecą w środku. Gdy Grace przyniosła im piwo i karty w laminowanych okładkach, szybko przejrzeni oferowane zestawy i oboje zdecydowali się na cheeseburgery z frytkami.

Grace wróciła do baru i zostali sami. Dodge uważnie obserwował, jak Berry pociąga łyk piwa prosto z butelki. Po chwili zaśmiał się cicho.

– O co chodzi? – Młoda kobieta lekko uniosła brwi.

– O nic.

– Jesteś zdziwiony, że piję z butelki, tak?

Właśnie to go rozbawiło, ale nie przytaknął.

– Mama nigdy nie pozwoliłaby sobie na coś takiego – powiedziała kobieta. – Uważa takie zachowanie za niegodne damy. – Pociągnęła drugi łyk, patrząc na niego znad pokrytej rosą flaszki. – Ale przecież dobrze o tym wiesz, prawda?

Oparł się wygodnie i długo jej się przyglądał. Nie miał już cienia wątpliwości, że ona wie.

– To jeden z drażliwych punktów – przyznał niechętnie.

– Jednak ty kochasz ją mimo wszystkich jej słabości.

Dodge sięgnął po swoją butelkę, ale chociaż zaschło mu w ustach, stracił jakoś ochotę na piwo. Roztarł odrobinę wody między palcami, nie odrywając wzroku od dobrze mu znanej etykiety.

– Więc wiesz? – odezwał się. – O mnie... O nas...

Musiał zmobilizować całą odwagę, żeby spojrzeć córce w oczy.

Kiwnęła głową.

– Kiedy Caroline się dowie, będzie wściekła.

– Ona wie.

– Naprawdę? Odkąd?

– Od ostatniego wieczoru. Domyśliłam się wszystkiego, a ona potwierdziła moje przypuszczenia.

– Nie chciała, żebyś wiedziała.

Berry spojrzała na niego spod oka.

– Nie? Więc dlaczego zaangażowała cię w tę sprawę?

Grace przyniosła zamówione burgery, zapytała, czy podać coś jeszcze,

i znowu zostawiła ich samych. Berry od razu wbiła zęby w bułkę, natomiast Dodge stracił apetyt.

– Jak zgadłaś? Nie traktowałem cię inaczej niż...

– Nie chodzi o to, jak ty mnie traktowałeś. – Językiem usunęła plamkę musztardy z kącika ust. – Ale o to, jak ty i mama zachowywaliście się wobec siebie. Po pierwsze, mama z dnia na dzień stała się emocjonalnym wrakiem, a ona nigdy się nie denerwuje. To ja łatwo ulegam napięciu i tracę cierpliwość, tymczasem jeszcze nigdy nie widziałam jej tak spiętej. Z początku wydawało mi się, że to przez tę kryzysową sytuację, ale szybko zauważyłam, że w twojej obecności mama jest jakaś inna. Przy tacie nigdy taka nie była.

Dodge nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego żołądek zawiązany jest na twardy supeł. Miał wielką ochotę zapalić, ale jeszcze mocniej pragnął dowiedzieć się, w jaki sposób zachowanie Caroline wobec niego różniło się od jej zachowania wobec Jima Malone'a.

– Jaka była przy nim? – zapytał, nienawidząc samego siebie za to, że nie potrafi opanować palącej ciekawości.

– Byli bardzo dobrym, solidnym małżeństwem. Kochali się, jestem o tym głęboko przekonana, ale zawsze traktowali się z pewnym dystansem i ogromną uprzejmością. Nigdy nie czepiali się siebie, tak jak wy to robicie. Ich związek... Cóż, chyba po prostu nie było w nim tej iskry. Nie wiedziałam, że mama jest w stanie zachowywać się inaczej, więc w ogóle o tym nie myślałam aż do chwili, gdy zobaczyłam was razem. Między wami nie ma ani odrobiny uprzejmej oficjalności.

– Czy to znaczy, że między nami iskrzy?

Berry roześmiała się.

– Tak, między wami z pewnością iskrzy. – Zamyśliła się na chwilę. –

Kiedy teraz zastanawiam się nad związkiem mamy z ojcem, dochodzę do wniosku, że ona zawsze starała się zapewnić sobie jego aprobatę, a o twoją w ogóle nie zabiega.

– Nie mam tak wysokich wymagań jak on.

Uśmiechnęła się.

– Nie, to nie to. Mama wie, że przyjmujesz ją taką, jaka jest, bezwarunkowo.

Podeszła do nich Grace.

– Coś nie tak z tym burgerem, Dodge? – zagadnęła.

– Nie. Chyba po prostu nie jestem głodny.

– Za minutę robię sobie przerwę na papierosa. Chcesz wyjść ze mną?

– Muszę się już zbierać.

Grace, wyraźnie rozczarowana, sprzątnęła ich talerze. Berry podążyła za nią spojrzeniem.

– Podobasz się jej – powiedziała, znowu przenosząc wzrok na Dodge'a.

Wzruszył ramionami i sięgnął po piwo.

– Wszystkie kobiety mają do ciebie słabość.

– To duża przesada, słowo daję.

– Nie wydaje mi się. Mama też jest tego zdania.

– Tak?

– Czy to był właśnie ten problem? – spytała.

Popatrzył na nią w milczeniu.

– Kobiety cię lubią, Dodge. Czy to dlatego nie ożeniłeś się z moją matką?

Rozdział 24

Houston, Teksas, 1979

GDYBY SPRAWY W PRACY NIE UKŁADAŁY SIĘ TAK ŹLE, ŻYCIE Dodge'a byłoby po prostu doskonałe.

Rodzina Rogera Camptona wysłała go do Ameryki Południowej, podobno po to, aby zajął się rodzinnym interesem naftowym w Wenezueli. Dodge był zdania, że to dobrze dla wszystkich tutaj, iż się go pozbyli, lecz znacznie gorzej dla Wenezuelczyków.

– Mam nadzieję, że potrafią trzymać swoje córki z dala od łobuzów – powiedział do Caroline, kiedy na biznesowych stronach gazety przeczytali notkę o wyjeździe Rogera.

Caroline miała już lekko wystający brzuszek, który Dodge uważał za absolutnie czarujący.

– Wreszcie widzę cię z profilu – cieszył się.

Często dotykał wyraźnego zaokrąglenia, czasami ku jej rozdrażnieniu. Najzwyczajniej w świecie nie mógł się powstrzymać.

– Dodge, przeszkadzasz mi!

– Kiedy zaczniesz kopać?

– Dopiero za jakiś czas.

– Ale będzie odjazd, co? Poczucie, że coś się w tobie w środku porusza?

Mrugnęła do niego.

– Ty też poruszałeś się we mnie.

– Hmm... Wygląda na to, że ciąża skłania do obleśnych myśli. To mi się podoba.

Strząsnęła wędrujące po jej ciele ręce Dodge'a.

– Kiedy tylko poczuje, że dziecko się ruszyło, od razu ci powiem – obiecała. – W tej chwili jest głodne, a ja nie zdołam postawić obiadu na

stole, jeżeli dalej będziesz mnie obmacywał!

Dodge uśmiechnął się szeroko i przykrył jej nabrzmiałe piersi dłońmi.

– Jeśli o to chodzi...

Kolacja znalazła się na stole z dużym opóźnieniem.

Caroline wystawiła swój dom i jego mieszkanie na sprzedaż w agencji Jima Malone'a. Nabywców znaleźli szybko, w ciągu paru dni. Caroline kupiła „dom jak ta lala”, jak mówiła, w starszej dzielnicy z dobrymi tradycjami. Dodge przekazał swoje meble organizacji charytatywnej Goodwill, ponieważ i tak nie były szczególnie ciekawe, natomiast meble Caroline przewieźli do wspólnej rezydencji.

Dodge w ciągu czterech wieczorów pomalował dodatkową sypialnię na łagodny, odpowiedni dla obu płci odcień żółtego, a w ciągu trzech złożył kołyskę.

– Mam nadzieję, że dzieciak będzie zadowolony, bo nigdy więcej nie zamierzam tego robić – oświadczył.

– Przestań mówić „dzieciak” o moim dziecku!

Złapał ją za rękę i pociągnął na podłogę w pokoju, który przeznaczyci dla malucha. Wyciągnęli się obok siebie wśród narzędzi, których używał do składania kołyski.

– O naszym dziecku – poprawił ją. – Jakie chcesz dać mu imię?

– Moja mama przed ślubem nosiła nazwisko Carter. Jak ci się to podoba? Carter Hanley?

– A jeżeli to będzie dziewczynka?

– Muszę się zastanowić.

– Ładna jesteś, kiedy się zastanawiasz! – Pocałował ją w czubek nosa.

Po chwili kochali się już na dywaniku w kwiatki.

Do kwestii ustalenia daty ślubu odnosili się bardzo spokojnie.

– Kawałek papieru na pewno nie uczyni mnie jeszcze bardziej szczęśliwym – powiedział jej. – Chciałbym jednak zalegalizować nasz związek.

Zgodziła się z nim bez wahania.

– Zanim dziecko przyjdzie na świat.

Nigdy nie udało im się jednak ustalić daty, a że oboje byli absolutnie zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy, żadne nie zastanawiało się nad tym dłużej. Dni i tygodnie mijały, łącząc się w miesiące, lecz oni nadal nie czuli palącej potrzeby nadania swojemu związkowi oficjalnego charakteru.

Caroline wróciła do pracy, gdy tylko zniknęły siniaki dookoła jej oczu. Aby nadrobić stracony czas, podwoiła wysiłki, których celem było zdobycie pozycji najlepszej agentki w firmie. Często pracowała do późnego wieczora, pokazując domy w dogodnych dla klientów godzinach, a także w soboty i niedziele.

Dodge nie miał nic przeciwko jej stylowi pracy, ponieważ prawie wszystkie wieczory, po zakończeniu pracy w fabryce opon, spędzał na spotkaniach grupy operacyjnej. Powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że cała ta akcja to strata czasu i pieniędzy podatników. Gdyby nie kusząca perspektywa awansu, pewnie bez wahania poprosiłby o zwolnienie z obowiązków. Coraz gorzej znosił codzienną harówkę w fabryce. Mycie podłóg i wymienianie przepalonych żarówek raczej nie przypominało pracy policjanta.

Gdyby jednak odszedł z grupy operacyjnej i wrócił do patrolowania ulic, nigdy nie pozbyłby się uczucia, że zawiódł nie tylko swoją nową rodzinę, lecz także samego siebie, a już na pewno Jimmy'ego Gonzalesa. Trwał więc przy zadaniu, chociaż podtrzymywanie zaufania Crystal straciło

dla niego cały urok. Jedyłą kobietą, jakiej pragnął, była Caroline. Pożądanie, gwałtowne, płomienne i pochłaniające uwagę, sprawiało, że wykrzesanie z siebie choćby odrobiny entuzjazmu do romantycznych rozmów z Crystal okazało się prawie niemożliwe.

Jednak jego starania musiały jakimś cudem przekonać dziewczynę, ponieważ pewnego dnia w czasie lunchu rozplakała się przy nim.

– Martwię się o Franklina.

– W jakim sensie?

– Dziwnie się zachowuje. – Crystal wessała dolną wargę między zęby. – Nie powinnam o tym mówić, zresztą pewnie to nic ważnego.

Dodge zmarszczył brwi, dając wyraz udawanej trosce.

– A jeśli to jednak ważne? – zapytał. – Resocjalizacja w więzieniu nic nie dała?

Uśmiechnęła się słabo.

– Obiecał mi, że nigdy więcej nie złamię prawa, nigdy!

– I ty mu wierzysz? Czy on w ogóle jest w stanie dotrzymać słowa?

Z westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu. Objął ją w pasie.

– Jesteś dla mnie taki dobry, Marvin.

Lekko pocałował ją w policzek.

– Chciałbym się tobą opiekować, to wszystko.

Członkowie grupy operacyjnej przyjęli jego doniesienia z wielkim entuzjazmem.

– Albright planuje następny napad i Crystal wie o tym – oświadczył kapitan, radośnie zacierając ręce.

– Też mi się tak wydaje – przytaknął Dodge. – Muszę dostać się do ich domu. Wynajmują bliźniak. Crystal mówi, że druga połowa stoi pusta i Albright używa jej jako magazynu, oczywiście bez wiedzy i zgody

właściciela.

– Co tam przechowuje?

– Tego Crystal nie wie.

– Wierzysz jej?

– Tak. Ciągłe się o to kłóć. Muszę się dowiedzieć, co on tam składowuje.

– Nawet jeżeli czegoś się dowiesz, sąd i tak nie przyjmie tego jako dowodu – przypomniał mu kapitan.

– Tak, ale gdybym zobaczył coś podejrzanego, moglibyśmy objąć Albrighta stałą obserwacją. A gdyby się okazało, że chodzi o naprawdę grubą rzecz, może udałoby mi się namówić Crystal do przyjęcia statusu świadka i złożenia w sądzie zeznań obciążających Albrighta.

– Musiałbyś jej powiedzieć, że jesteś gliniarzem.

– Niekoniecznie i na pewno nie od razu. Dalej będę zatroskanym przyjacielem, który radzi, żeby zrobiła to, co dyktuje jej sumienie.

– Nie wierzę, że się zgodzi – mruknął jeden z policjantów. – Przecież musiałyby zdradzić swojego chłopaka.

Dodge obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Gdyby to było łatwe, to ty dostałbyś to zadanie – odparł.

Kapitan wziął stronę Dodge'a.

– Uda ci się dostać do ich domu i wyjść bez wiedzy Albrighta?

– Zrobię, co w mojej mocy. Gdybym zniknął, w pierwszym rzędzie szukajcie właśnie tam.

– To poważna sprawa, Dodge! Chroń swój tyłek, dobra? Nie daj się zabić, bo to postawiłoby nas w złym świetle – z bezlitosną szczerością podsumował sytuację kapitan.

– Jeszcze trochę popracuję nad Crystal i zobaczę, co da się zrobić.

Dodge nie wahał się wziąć na siebie dodatkowego ryzyka. Próbując wejść do nory Franklina Albrighta, podbijał stawkę, liczył jednak na większą nagrodę. Gdyby doprowadził do postawienia drania przed sądem, bez wątpienia dostałby odznakę detektywa, na której tak bardzo mu zależało.

Kilka dni później wrócił wieczorem do domu wyjątkowo zmęczony po długiej, męczącej zmianie. Caroline przywitała go w drzwiach i mocno uściskała. Pochylił się, żeby ją pocałować, lecz ona odepchnęła go i zaczęła obwąchiwać przód jego koszuli.

– Czy to Tabu?

– Słucham?

– Pytam, czy to perfumy Tabu.

O, cholera, pomyślał. Rozpiął dwa górne guziki roboczej koszuli, ściągnął ją przez głowę, przytknął do nosa i wziął głęboki wdech.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że tak mocno pachnie.

Otworzył drzwi garderoby, w której znajdowała się pralka z suszarką, i wrzucił koszulę do kosza. Odwrócił się i zobaczył Caroline, która wpatrywała się w niego z lekko przekrzywioną głową, nadal czekając na wyjaśnienie.

– To przez tę kobietę w pracy – rzekł. – W pracy u Mar – vina. Uściskała go dzisiaj.

– Uściskała cię?

– Uściskała Marvinina. Ze mną nie miało to nic wspólnego.

Podszedł do lodówki, wyjął piwo, otworzył puszkę i pociągnął duży łyk. Caroline wciąż przyglądała mu się uważnie.

– Nie mogę o tym rozmawiać, Caroline.

– Jak ona wygląda?

- Nie mogę o tym rozmawiać!
- Dlaczego obściskiwaliście się w pracy?

Rzucił jej spojrzenie, które powinno ją ostrzec, żeby przestała go wypytywać. Albo niewłaściwie odczytała jego wyraz twarzy, albo postanowiła machnąć ręką na ostrzeżenie.

- To jedna z tych sytuacji, o jakich mówił Jimmy, prawda?
- O jakich mówił Jimmy? Jimmy Gonzales?
- Tamtego wieczoru, kiedy przyjechał na kolację.

Niedługo po tym, jak Dodge przywiózł ją ze szpitala do siebie, ale jeszcze zanim zostali parą, Caroline namówiła go, aby zaprosił swojego partnera na kolację.

– Pan Gonzales kilka razy był dla mnie bardzo uprzejmy – powiedziała wówczas. – Chciałabym jakoś mu podziękować i przyszło mi do głowy, że przygotuję dla niego posiłek.

Tak więc, w swój następny wolny wieczór, przyjechał do nich Jimmy. Zjawił się przed powrotem Dodge'a z pracy. Kiedy Dodge otworzył drzwi, Jimmy i Caroline miło gawędzili.

- Co powiedział ci Jimmy? – zapytał teraz ostrożnie.
- Chyba wydawało mu się, że my już ze sobą sypiamy, bo oświadczył, że od samego początku byłeś mną zauroczony.
- To chyba cię nie zaskoczyło.
- Później dodał jednak, że teraz pewnie walkowerem oddasz tytuł wydziałowego romea, a kiedy zapytałam, co ma na myśli, natychmiast się wycofał. Tak czy inaczej zrozumiałam, że masz opinię gościa, który bez większego trudu wydobywa informacje z kobiet. – Caroline zmusiła Dodge'a, aby spojrzał jej w oczy. – Czy to prawda? Czy byłeś, a może dalej jesteś, policyjnym romeem?

– Faceci lubią dużo gadać. Głównie są to zwykłe bzdury.

– Głównie?

Nadal patrzyła mu prosto w oczy. Wiedział, że nie ustąpi, dopóki czegoś z niego nie wydusi.

– Dobrze, posłuchaj! Ta dziewczyna w pracy denerwowała się z powodu czegoś, co zrobił jej chłopak. Ja jestem jej kumplem, więc pozwoliłem jej wypłakać się na moim ramieniu. W odruchu wdzięczności uściskała mnie. Nie zdarzyło się nic więcej i nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Wyglądała na ułagodzoną, lecz nawet jeśli nie zdołał jej przekonać, i tak naprawdę nie mógł nic więcej zdradzić. Nie zamierzał opisywać Crystal, bo Caroline mogłaby pomyśleć, że dziewczyna interesuje go nie tylko jako pułapka, w którą chciał schwytać Albrighta. Nie zamierzał też informować Caroline, jak bardzo niebezpieczny może być Albright. Zminimalizował ryzyko, jakie przedstawiała praca tajnego agenta, żeby nie zamartwiała się przy każdym jego wyjściu z domu.

Przeprosił ją i poszedł wziąć prysznic. Chociaż intensywny zapach Tabu zniknął, Caroline była nietypowo milcząca w czasie kolacji, a później, kiedy poszli do sypialni, położyli się plecami do siebie.

Po godzinie przesyconej napięciem bezsenności Dodge bez trudu zorientował się, że Caroline też nie śpi. Przewrócił się na drugi bok, tak że teraz leżał zwrócony twarzą do jej pleców.

– Wszystko, co robię, robię dla nas.

Milczała.

Położył rękę na jej ramieniu.

– Próbuję awansować na detektywa. Jeżeli wykażę się przy tym zadaniu, moje szanse znacznie wzrosną. Oznaczałoby to również podwyżkę,

no i nie musiałbym więcej patrolować ulic. Marzyłem o tym od samego początku, odkąd wstąpiłem do policji, a nawet wcześniej, już jako dzieciak.

Wtedy wreszcie odwróciła się do niego i lekko oparła dłoń na jego policzku.

– Wiem, że ci na tym zależy. I rozumiem, dlaczego nie możesz rozmawiać ze mną o sprawie. Naprawdę rozumiem...

– Ale?

– Ale nie byłabym kobietą, gdybym nie zaczęła zadawać pytań, kiedy wracasz do domu, pachnąc perfumami z drugstore'u.

Znał co najmniej tysiąc jej bardzo kobiecych cech, wiedział jednak, że w tej chwili lepiej robi, jeśli nie zacznie ich wymieniać. Caroline nie była w nastroju na uwodzicielskie sztuczki.

– Wszystko, co robię, robię dla nas – powtórzył więc tylko. – Dla ciebie, dla mnie i dla dziecka.

– Obściskując tę babę od Tabu?

– To część mojego zadania, przysięgam.

Długą chwilę milczała.

– Jesteś jej kumplem? – zapytała wreszcie. – To wszystko?

– Wszystko.

– Ona ma chłopaka?

– Tak. Podobnie jak ty. – Jego ręka zsunęła się na jej pierś; zaczął ją pieścić.

– Czuję się gruba i brzydka. Nie śmieję się!

Musnął jej wargi swoimi.

– Nie jesteś gruba, jesteś w ciąży. I po prostu nie mogłabyś być brzydka, to niemożliwe, żeby tam nie wiadomo co.

– Nadal mnie kochasz?

– Musisz pytać?

W tym momencie rozmowa dobiegła końca. Temat Crystal został wyczerpany na całe siedemdziesiąt dwie godziny.

Znacznie później Dodge wrócił wieczorem do domu, wyglądając jak dodatek do filmu *Teksańska masakra piłą mechaniczną*.

Dwanaście godzin wcześniej, podczas porannej przerwy na kawę, Dodge zauważył Crystal pogrążoną w rozmowie z kobietą z księgowości.

– To dupek! – usłyszał.

– Mam nadzieję, że nie mówisz o mnie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Cześć, Marvin! Nie, to nie ty jesteś dupkiem!

– Pozwól mi zgadnąć. Chodzi o dupka nad dupkami, niejakiego Franklina Albrighta. Co tym razem znalazł?

– Zlew w kuchni jest zatkany już od tygodnia. Obiecał mi, że go naprawi, ale co wieczór znajduje sobie jakąś wymówkę, a dziś wybiera się do kumpla na pokera.

Bingo, pomyślał Dodge.

Natychmiast zaproponował swoją pomoc i Crystal chętnie przyjęła tę propozycję. Wszystko poszło aż zbyt łatwo.

– Franklin mówił, że wyjdzie koło ósmej trzydzieści albo dziewiętej, więc pamiętaj, że nie możesz przyjechać wcześniej. Nie spodobałoby mu się, gdyby zobaczył nas razem.

– Zanim podejść do drzwi, upewnię się, czy jego furgonetki już nie ma.

W czasie przerwy na lunch zadzwonił do kapitana, który wyraził zgodę na nakreślony przez Dodge'a plan i ponownie ostrzegł go, żeby zachował jak najdalej posuniętą ostrożność.

– Dowiedz się, ile zdołasz, ale nie daj się przy tym zabić.

– Nie musi mi pan tego powtarzać, słowo daję.

Kapitan zapytał, czy nie rozstawić w okolicy kilku tajnych agentów na wypadek problemów.

– Raczej nie – odparł Dodge. – Nic mi się nie stanie.

Nie zamierzał dzielić się z nikim sukcesem, oczywiście zakładając, że akcja zakończy się po jego myśli. Chciał zapisać wszystkie zasługi na swoje konto.

– Może pan zrobić jedną rzecz, sir.

– Strzelaj.

– Załatwić u mojego szefa w fabryce, żebym mógł wyjść dziś wcześniej. Mam ważną sprawę.

Kapitan wykonał telefon i Dodge wyszedł wcześniej. Najpierw wstąpił do sklepu „7 – Eleven”, w którym pracowała Doris. Wkroczył do środka w chwili, gdy zaczynała zmianę.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Dodge! Przyjechałeś zabrać mnie na tańce?

– Załatwić pewien interes.

– Chodźmy na tył sklepu – ton Doris zupełnie się zmienił.

Poprosiła chłopaka z magazynu, żeby zastąpił ją przy kasie, i poprowadziła Dodge'a do tylnych drzwi. Zapalili w alejce za budynkiem, wśród pojemników na śmieci.

– Słyszałam o Jimmym Gonzalesie. – Doris wypuściła kłęb dymu z ust. – Przykro mi.

– Fatalna sprawa.

– Lubiłam go.

– Ja też. Świetny był z niego partner. Najlepszy.

– Ale nigdy się nie zorientował, prawda? – Spojrzała na niego pytająco. – Nie dowiedział się, że ty i ja prowadzimy ten biznesik na boku, co?

– Nie. Nie przypadłoby mu to do gustu. Jimmy był porządnym gliną, najuczciwszym z uczciwych.

Dodge i Doris wiele razy świadczyli sobie przysługi. Natura przysług, którymi się wymieniali, nie zawsze mieściła się w granicach prawa, a już na pewno nie miała nic wspólnego z zasadami etyki.

Chwilę palili w milczeniu, aż wreszcie Doris zapytała, czego Dodge potrzebuje.

Powiedział jej.

– Na kiedy?

Powiedział jej.

– Dziś wieczorem?! Nie masz dużych wymagań, co?

– Możesz mi to załatwić?

– Będzie cię to kosztowało więcej niż wieczór na tańcach. – Znacząco poruszyła brwiami.

– Przykro mi, ale nic z tego.

– Zostałeś gejem?

Uśmiechnął się.

– Wręcz przeciwnie. W moim życiu pojawiła się kobieta.

– Na poważnie?

– Najpoważniej w świecie.

– To ci dopiero, cholera jasna! Co jeszcze masz na wymianę?

– Jak wygląda sytuacja twojego młodszego brata?

– Wciąż czeka w więzieniu na proces, podczas gdy ten cholerny idiota, jego adwokat z urzędu, świeżo upieczony zastępca prokuratora

okręgowego oraz sędziego zajmują się ważniejszymi sprawami.

– Jest oskarżony o włamanie, tak? Kto go aresztował?

Powiedziała mu. Odparł, że to jego kumple, i być może

uda mu się, jeśli ona załatwi mu to, o co prosił, namówić ich, żeby doznali zbawiennej dla jej brata amnezji, gdy jego sprawa wreszcie trafi na wokandę.

– Dwie butelki szkockiej i braciszek ma sporą szansę wyjść po odsiadce w areszcie.

– Mały dupek zasłużył sobie na ten areszt, bo jest głupi jak but.

– Zanim się zgodzisz, uczciwie uprzedzam, że jeśli kiedyś znowu trafi za kratki, będzie musiał radzić sobie sam. Ty robisz coś dla mnie, ja dla ciebie i jesteśmy kwita, umowa stoi?

– Stoi.

O zmroku miała już to, na czym mu zależało. Rzecz była używana, i to wyraźnie.

– Będzie działać?

– Chcesz mieć gwarancję, to idź do hipermarketu.

– Jak ostatnio traktuje cię ten twój Arab? – zagadnął przed wyjściem.

– Wciąż mnie podejrzewa, że coś mu podkradam.

Dodge parsknął śmiechem.

– Nie mam pojęcia, dlaczego, słowo daję.

Zadzwoił do Caroline z automatu i powiedział, żeby nie czekała na niego z kolacją. Zapytała, czy będzie w pracy, więc potwierdził. Chciała wiedzieć, czy coś mu grozi, więc zaprzeczył. Nie spytała, czy będzie z kobietą, która używa Tabu, a on nie był pewny, czy odpowiedziałby zgodnie z prawdą. A jeżeli już, to byłaby to wyjątkowo ogólna i niezobowiązująca

wersja prawdy.

O dziewiątej przejechał koło bliźniaka, w którym mieszkali Crystal i Franklin. Na podwórku co prawda nie stała furgonetka Albrighta, ale Dodge uznał, że zachowa się rozsądnie, jeśli jeszcze trochę poczeka i upewni się, że faceta nie ma w domu. O dziewiątej piętnaście zaparkował przy krawężniku i wysiadł, dźwigając torbę z zestawem narzędzi hydraulicznych kupionych po południu w specjalistycznym sklepie.

Drzwi były otwarte. Przez siatkę zajrzał do dużego pokoju umeblowanego przez kogoś, kto zrobił, co w jego mocy, wykorzystując bardzo niewielkie środki. Serce ścisnęło mu się ze współczucia dla Crystal. Biednej dziewczynie należał się wielki szacunek za to, że tak się starała.

Zapukał.

– Jest tu ktoś?

Pojawiła się w otwartym przejściu po drugiej stronie pokoju ubrana w dżinsowe szorty i czerwoną bluzkę koszulową, związaną na supeł pod piersiami pozbawionymi stanika, i z włosami luźno upiętymi na czubku głowy. Była boso i wyglądała jak wiejska dziewczyna z pornosa, która z chęcią zadowoli całą bandę miejscowych jebaków.

Jej stopy cicho uderzały o deski podłogi, kiedy szybko podeszła do siatkowych drzwi i odsunęła zasuwkę.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała, wpuszczając go do środka. – Ten cholerny zlew dalej jest zatkany. Obrzydliwie cuchnie.

Dodge podniósł torbę z narzędziami.

– Żaden ze mnie spec, ale spróbuję pomóc.

– Chodźmy!

– Gdyby nie otwarte drzwi, nigdy bym nie zgadł, w której części bliźniaka mieszkacie – niby od niechcienia rzucił Dodge, wchodząc za nią do

kuchni. – Czy to tam Franklin trzyma swój zapas prochów?

– Zapas prochów?

Dodge wzruszył ramionami, starając się wyglądać na niezbyt zainteresowanego.

– Nie wpuszcza cię tam, więc od razu pomyślałem, że chodzi o narkotyki.

– Przy mnie nigdy nic nie brał. – Crystal nerwowo przygryzła dolną wargę i wskazała zlew. – Widzisz, w czym problem.

Dodge gwizdnął. Zlewozmywak wypełniony był paskudną, mętną wodą, rzeczywiście obrzydliwą. Crystal wyjęła z lodówki dwie butelki piwa i je otworzyła. Wznieśli toast za przetkane rury i Dodge wziął się do roboty.

Kobieta usiadła na blacie. Jej nagie pięty rytmicznie stukały w drzwi kuchennej szafki, raz po raz przesuwając butelkę po dolnej wardze.

Śmiała się właśnie z czegoś, co przed chwilą powiedział Dodge, kiedy nagle wstrzymała oddech.

– Franklin! – wykrztusiła.

Rozdział 25

CHOLERNY SKURWYSYN PORUSZAŁ SIĘ CICHO JAK PANTERA. Dodge nie miał pojęcia, że Albright wrócił, dopóki facet nie wyrósł jak spod ziemi tuż za jego plecami. Trzeba jednak przyznać, że kołyszący ruch wyraźnie rysujących się pod bluzką piersi Crystal w dużym stopniu uśpił jego czujność.

Albright z głuchym warknięciem złapał dziewczynę za luźny koczek i jednym ruchem ściągnął ją z blatu. Wyrwał jej z ręki butelkę i rzucił nią o ścianę. Trysnęły okruchy szkła i strugi piwa. Wciąż trzymając Crystal za włosy, potrząsnął nią jak terier szczurem, zwyzywał od pizd i pchnął na stół, na którym leżał klucz francuski kupiony kilka godzin wcześniej. Albright chwycił go i wykonał zamach nad głową Dodge'a.

A raczej spróbował. Gdyby nie znakomity refleks, dodatkowo wyostrzony przez długie lata ulicznych bójek i policyjnego szkolenia, Dodge najprawdopodobniej skończyłby z rozwaloną czaszką. Zrobił jednak unik i przyjął cios na bark, co zabolalo jak diabli, ale jednak było mniej fatalne w skutkach.

Albright odrzucił klucz i przypuścił atak z gołymi pięściami.

W normalnych okolicznościach Dodge odpowiedziałby kontratakiem i pewnie zabił drania, ale przecież nadal grał Marvina, który w żadnym razie nie powinien znać morderczych technik walki. Niełatwo było przyjmować ciosy i nie reagować. Najtrudniej przyszło mu opanować się w momencie, gdy tamten otworzył nóż, chwycił go za włosy – facet miał słabość do włosów, bez dwóch zdań – odchylił głowę ofiary do tyłu i przytknął ostrze do cienkiej i napiętej skóry na jabłku Adama.

– Zbliź się do niej jeszcze raz, to poderżnę ci gardło! Kapujesz,

Marvin?!

Dodge nie wątpił, że skurwiel mówi poważnie, i z największym trudem powstrzymał chęć zaduszenia Albrighta na miejscu, tu i teraz. Oszczędziłby w ten sposób sporo pieniędzy teksaskich podatników, ponieważ Albright był złym człowiekiem, naprawdę złym i wszystko wskazywało na to, że wcześniej czy później i tak stanie przed sądem za morderstwo. Być może zabije tę nieszczęsną dziewczynę, która co prawda nie miała za dużo zdrowego rozsądku, ale nie zasługiwała na śmierć z tego powodu.

Niestety, na razie policja nie zebrała jeszcze twardych dowodów przeciwko Albrightowi, więc Dodge przewrócił oczami, zajęczał i wykrztusił, że przyjmuje ostrzeżenie do wiadomości.

Franklin zakręcił nim jak kukłą i kopnął w nerkę, wyrzucając go na zewnątrz przez kuchenne drzwi. Dodge wylądował na twarzy i przejechał w ten sposób kilkanaście centymetrów, zostawiając sporo naskórka na betonie. Potem jakoś doczołgał się do samochodu.

Udało mu się dojechać do domu, nie tracąc przytomności. Każda komórka jego ciała błagała o litość.

Na jego widok Caroline krzyknęła i upuściła na ziemię teczkę z papierami z pracy. Dokumenty sprzedaży i kupna rozsypały się po podłodze salonu. Poruszając się tak szybko, jak pozwalał na to ósmy miesiąc ciąży, pośpieszyła Dodge'owi na pomoc.

Oblizwała drżące wargi i zadała serię pytań. Co się stało, gdzie i jak bardzo go boli, czy był u lekarza. Dodge odpowiedział przecząco.

– Zabieram cię na pogotowie – oświadczyła.

– Nie trzeba – odparł. – Zdezynfekuję to wszystko, łyknę kilka tabletek aspiryny i rano będę jak nowy.

– Pozwól mi wezwać karetkę! – błagała prawie ze łzami, oglądając jego poharataną twarz.

Zdecydowanie potrząsnął głową i o mało się nie przewrócił. Doszedł do wniosku, że jeden z ciosów Albrighta mógł spowodować wstrząśnienie mózgu.

– To facet tej kobiety od Tabu, prawda? – zapytała Caroline, kiedy pomagała mu się rozebrać.

– Caroline, ja....

– Nie możesz o tym rozmawiać, rozumiem. Ale wiem też, że mam rację. Jej chłopakowi nie spodobały się te wasze uściski, tak samo jak mnie, a on jest przestępcą, tak? Nie, nic nie mów. Wiem, że nie możesz, ale to jego sprawka. Mógł cię zabić.

Po policzkach Caroline popłynęły łzy.

Dodge przyciągnął ją do siebie i objął, chociaż wszystko go bolało.

– Ciiiicho, cicho. Nie zabił mnie i nie zabije.

– Nie daj się zabić, błagam! Gdyby coś ci się stało...

– Nic mi się nie stanie.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już.

– Nie możesz wiedzieć tego na pewno!

– Ciiiicho, no, już. Nie płacz tak, zaszkodziś sobie i dziecku.

– Boję się.

Pocałował jej włosy.

– Nie musisz się bać.

Odsunęła się od niego i zajrzała w jego zapuchnięte oczy.

– Co z tego, że awansujesz na detektywa, skoro zginiesz?

Zaśmiał się, rozbawiony jej logiką, i o mało nie krzyknął z bólu.

– Umiem o sobie zadbać, możesz mi wierzyć.
– Wiem. Widziałam, co zrobiłeś Rogerowi. Dzisiaj mogłeś się bronić, ale nie chciałeś.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo muszę być przekonujący w swojej roli. Dużo od tego zależy.

– Twój awans!

– I wsadzenie tego drania za kratki.

– To jedno i to samo!

– Właśnie. Więc w gruncie rzeczy cena jest niewielka.

– Nie jest niewielka! – krzyknęła. – Popatrz tylko na siebie!

Odrzucił maskę sztucznej wesołości i ujął jej twarz między dłonie.

– Rzuciłaś dla mnie bogatego faceta, Caroline – powiedział bardzo poważnie. – Muszę to zrobić, i to tak, jak należy. Nie mogę cię zawieść.

– Ani Jimmy'ego Gonzalesa.

Nie odpowiedział.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie ważne – odezwała się drżącym głosem. – Ale jak bardzo ważne, Dodge?

– To nie jest po prostu „ważne” – odparł, bardzo serio. – Od tego wszystko zależy, absolutnie wszystko!

Dodge był obolały, spuchnięty i posiniaczony przez wiele dni po ataku Albrighta.

Jednak warto było znosić ten dyskomfort.

Misja zakończyłaby się całkowitym sukcesem, gdyby udało mu się dostać do sąsiedniej części domu i odkryć, co Albright tam przechowuje, lecz gdy Crystal wyjmowała piwo z lodówki, Dodge'owi udało się zainstalować pluskwę, zdobytą przez Doris, pod blatem kuchennego stołu.

Chociaż złożył zamówienie w ostatniej chwili, Doris załatwiła mu cały komplet. Jadąc do Crystal, miał przy sobie jeszcze kilka podsłuchów, które planował poumieszczać w kluczowych punktach budynku, ale nawet ta jedna pluskwa zawsze była lepsza niż nic.

Jego zwierzchnicy nie dali mu zielonego światła na założenie podsłuchu. Oficjalnie, ich silne przeczucie, że to Albright jest sprawcą, nie było wystarczającym uzasadnieniem dla takich działań, lecz Dodge nie potrzebował nic więcej. Gdyby ktoś się dowiedział, że zrobił to, co zrobił bez zezwolenia, jak nic wyleciałby z grupy operacyjnej, a może i z policji. Jednak jego zdaniem gra warta była świeczki.

W dzień po pobiciu zadzwonił do fabryki i powiedział, że jest chory. Kiedy Caroline wyszła do pracy, pojechał do dzielnicy, w której mieszkali Crystal i Albright, zaparkował o jedną przecznicę od bliźniaka i wypróbował sprzęt. Udało mu się podsłuchać strzępy ich rozmowy przy śniadaniu, złożone głównie z obelg, jakie Franklin wyrzaskiwał pod adresem dziewczyny, i łzawych zaprzeczeń Crystal, jakoby między nią i Marvinem doszło do jakiegokolwiek seksualnego zbliżenia.

Dodge nie wychwycił pełnej odpowiedzi Albrighta, dotarło jednak do niego słowo „eunuch”, co mocno go wkurzyło. Nie mógł się doczekać dnia, w którym ten sukinsyn dowie się, że został wpuszczony w maliny, i to nie przez idiotę zainteresowanym jego dziewczyną, lecz przez Dodge'a Hanleya.

Kiedy wrócił do pracy w fabryce opon, jego wygląd zszokował wszystkich kolegów. Starannie unikał odpowiedzi na pytania, co mu się stało, i w końcu wymyślił historyjkę z wypadkiem, na tyle poważnym, że z całej siły uderzył twarzą w przednią szybę. I to wreszcie go nauczyło, że trzeba zapinać pasy.

Crystal omijała go szerokim łukiem. W czasie przerwy na lunch

usiadła przy stoliku z innymi kobietami, rzuciwszy mu wcześniej wstydlivy, pełen współczucia uśmiech. Zachowywała się tak przez dwa dni. Patrzyli na siebie z daleka, lecz Crystal nie dała Dodge'owi szansy, by zamienił z nią choć parę słów.

Kapitan nie był zachwycony, a pozostali członkowie grupy operacyjnej uważali jego próbę przeniknięcia do domu Albrighta za kompletną klęskę.

Wieczorami, po kolacji, wymyślał rozmaite powody do wyjścia z domu. Wsiadał do samochodu i parkował w takiej odległości od bliźniaka, by wychwycić odgłosy odbierane przez pluskwę, nie rzucając się przy tym w oczy. Nie zamierzał ryzykować.

Tylko raz miał wrażenie, że cały wysiłek nie poszedł na marne. Usłyszał, jak Crystal pyta Albrighta, co robi w tej

części domu za ścianą. Dlaczego to taki wielki sekret? Dlaczego ona nie może tam wchodzić? Gdyby właściciel bliźniaka dowiedział się, że Franklin coś tam przechowuje, na pewno by ich wyrzucił. Zapytała też, czy Albright handluje narkotykami, i zagroziła, że jeśli tak, to ona natychmiast się wyprowadzi.

Franklin odparł, że Crystal wyprowadzi się wtedy, kiedy on jej każe, ani sekundy wcześniej. Potem ryknął, żeby się zamknęła i nie wtykała nosa w jego sprawy.

Wysłuchawszy tego przyjemnego dialogu, Dodge wrócił do domu cały podminowany i o mało nie skonał z przerażenia na widok Caroline, która siedziała na brzegu łóżka, jedną ręką głaszcząc brzuch, a drugą próbując masować sobie plecy.

Jednym skokiem znalazł się przy niej.

– O Boże, to dziecko?!

Z czułością potargała mu włosy.

– Dziecko urodzi się za jakieś dwa tygodnie, nie wcześniej. Mam skurcze Braxtona Hicksa.

– Co to, do diaska... Co powiedziałaś?

– To zupełnie normalne w tym okresie. Takie leciutkie skurcze.

– Ja mam wrażenie, że to coś więcej.

– Lekarz uprzedził mnie, że pojawią się na długo przed porodem.

– Skąd będziesz wiedziała, że dziecko rzeczywiście już się rodzi?

Zaśmiała się lekko.

– Och, doktor powiedział, że na pewno się nie pomylę.

Przez resztę nocy, nawet gdy już zasnęła, trzymał rękę na jej brzuchu i zastanawiał się, jak ona może spać, gdy wewnątrz jej macicy tyle się dzieje. Jego niepokój bynajmniej nie osłabł. Sądząc po drobnej budowie Caroline, jej macica też musiała być malutka. Uważał za najprawdziwszy cud, że osoba tak wątła w ogóle jest w stanie nosić dziecko, nawet maleńkie jak kociątko. Ale co będzie, jeżeli okaże się ono wyjątkowo duże? Nie mógł sobie przypomnieć, czy Caroline albo ktoś inny mówił mu, jaka jest przeciętna waga noworodka, w każdym razie na pewno nie zapamiętał takiej informacji. Nie dysponował też żadną skalą porównawczą, rzecz jasna. A jeśli on i Caroline poczęli giganta? Dziecko mogło przecież jakoś uszkodzić ją od środka, nie daj Boże! Rozedrzeć ją na pół!

Nie zmrużył oka, porażony strachem przed katastrofą anatomiczną. Gdy następnego dnia rano stanął się w fabryce, był w fatalnym nastroju. Nie poprawił mu humoru fakt, że Crystal nie przyszła do pracy. Zachorowała? A może Albright zmusił ją, by została w domu, próbując odseparować ją od zaprzyjaźnionego kolegi, niejakiego Marvina? A może jeszcze raz przemyślał epizod ze zlewozmywakiem, wściekł się od nowa i tym razem wyładował się na dziewczynie?

Po zakończeniu zmiany Dodge szybkim krokiem ruszył do wyjścia dla pracowników. Chciał jak najszybciej wrócić do Caroline, upewnić się, że nic jej nie dolega, a potem sprawdzić, co dzieje się w domu Franklina Al – brighta. O mało nie staranował kobiety, która stanęła na jego drodze.

– Cześć, Marvin!

– Cześć. Przepraszam, śpieszę się.

– Mam dla ciebie wiadomość od Crystal.

Dodge przystanął. Przyjaciółka Crystal podała mu kawałek papieru.

– Prosi, żebyś zadzwonił do niej na ten numer.

– Nic jej nie jest?

Dziewczyna albo nie знаła odpowiedzi na to pytanie, albo nie chciała jej udzielić.

– Zadzwoń jak najszybciej, w porządku?

– W porządku. Dzięki.

Skorzystał z automatu. Crystal odebrała po drugim sygnale. Jej głos brzmiał jakoś niewyraźnie, jakby się wahała.

– Tu Marvin. Dobrze się czujesz?

Od razu się rozpląkała.

– Nie, nie czuję się dobrze! Okropnie się boję!

Dodge długo uspokajał ją i pocieszał, i w końcu dowiedział się, że zostawiła Albrighta.

– Właściwie to uciekłam! – chlipnęła do słuchawki. – On... On...

– Gdzie jesteś?

Powiedziała mu i dwadzieścia minut później pukał już do drzwi pokoju w motelu, oglądając się przez ramię z nadzieją, że Albright nie czai się za jego plecami.

Crystal wyglądała strasznie. Twarz miała czerwoną i zapuchniętą od

płaczu, no i była w stanie kompletnego załamania. Dodge usiadł obok niej na łóżku i trzymał ją w ramionach, dopóki nie przestała się trząść. Potem odgarnął jej włosy z mokrych policzków i zachęcił, aby wszystko mu opowiedziała.

– Nie pomogę ci, jeżeli się nie dowiem, co się dzieje.

Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy istnieje ryzyko, że Albright znowu ich zaskoczy, wywijając nożem i robiąc wszystko, aby zrealizować swoją obietnicę podejrzenia Dodge'owi gardła.

– Czy on wie, że go zostawiłaś? – zapytał.

– Teraz już pewnie wie. – Crystal dostała czkawki. – Rano wyszedł i powiedział, że nie będzie go kilka godzin, ale nie uwierzyłam mu, nie po tamtym wieczorze, kiedy tak mnie podszedł. Zaraz po jego wyjściu zamówiłam taksówkę. Spakowałam tylko tyle rzeczy, ile byłam w stanie unieść, i przez cały czas umierałam ze strachu, że on wróci i przyłapie mnie, zanim ucieknę.

– Nie zostawiłaś mu żadnej wiadomości ani czegoś, co podpowiedziałoby mu, dokąd się wybierasz?

– Nie! Rzuciłam go na dobre i nie zamierzam wracać! Och, Marvin, Franklin mnie zabije, jeżeli mnie dopadnie!

– Nie zabije cię, nie dopuszczę do tego.

Objęła go mocniej i oświadczyła, że nie ma pojęcia, co zrobiłaby bez jego przyjaźni i opieki. I pocałowała go w usta, z wdzięczności.

– Posłuchaj, Crystal. – Dodge odsunął ją od siebie. – Czy masz jeszcze jakiś powód, żeby obawiać się Franklina?

Zamrugnęła pozlepianymi tuszem rzęsami.

– Niby jaki?

Dodge powiedział sobie, że musi być ostrożny, żeby nie spieprzyć

sprawy.

– No, nie wiem. Myślisz, że on planuje następne przestępstwo?

Odwróciła wzrok.

– Może. Na pewno coś knuje.

– Jezu!

– Ciągłe gada przez telefon z tym swoim kuzynem, który uciekł do Meksyku. Mówiłam ci o nim, pamiętasz?

Dodge z bijącym sercem kiwnął głową.

– Wydaje mi się, że oni razem coś planują. – Z jej oczu znowu zaczęły płynąć łzy. – I boję się, że jeżeli zrobią

jakiś skok, policja uzna mnie za ich współniczkę. – Pociągnęła nosem i otarła go wierzchem dłoni. – Rodzice próbowali mnie ostrzec... dlaczego ich nie posłuchałam? Dlaczego...

– Może powinnaś porozmawiać z policją.

Uniosła głowę i obrzuciła go przerażonym spojrzeniem.

– Tak. – Dodge ścisnął jej dłoń między swoimi. – Jeżeli ich uprzedzisz, że Franklin coś knuje, będą mieli pewność, że nie masz z tym nic wspólnego, rozumiesz?

Przez następne pół godziny starał się namówić ją do działania i wydusić z niej jakiegokolwiek informacji co do planów Albrighta, nie chciała jednak powiedzieć nic konkretnego, nic, co mogłoby przydać się grupie operacyjnej. Jej oczy bez przerwy produkowały świeże łezki, a z ust płynęły narzekania i żale, że w ogóle związała się z Franklinem Albrightem. Dlaczego wcześniej nie spotkała Mar – vina, dlaczego nie miała tyle szczęścia? Jej rodzice zaaprobowaliby kogoś takiego jak on. Gdyby poznała go przed Albrightem, nie żyłaby teraz w strachu przed policją i zemstą ze strony zazdrosnego, skłonnego do przemocy byłego więźnia.

– O Boże, moje życie jest takie okropne... Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać, Marvin, poza tobą nie mam nikogo!

Drugi raz pocałowała go już nie z czystej wdzięczności. Dodge wiedział o kobietach i pocałunkach wystarczająco dużo, aby wyczuć różnicę. Crystal wsunęła mu język do ust, a kiedy opadła z powrotem na łóżko, pozwolił, aby pociągnęła go ze sobą.

– Franklin dużo gada, ale niewiele robi – powiedział, czując, jak dziewczyna całuje jego szyję.

– Jesteś dla mnie taki cudowny. – Wzięła jego rękę i położyła ją sobie między udami.

– Albright znowu wylądował w więzieniu, wystarczy, że go złapią, i wtedy będziemy mogli być razem, nie bojąc się, że nas dopadnie. Im szybciej, tym lepiej. Powinnaś pomóc policji schwytać go na gorącym uczynku.

Crystal wygięła się w łuk, prosto w jego dłoń.

– Chcę być z tobą.

– Więc chodźmy razem na policję. Cały czas będę z tobą.

Nie była zdecydowana.

– Zastanowię się nad tym.

– Moim zdaniem najlepiej byłoby pojechać od razu, zanim Franklin zrobi to, co zamierza.

– Może jutro. – Rozpięła mu spodnie.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, że o tym pomyślę, ale teraz nie chcę dłużej o tym gadać.

Więc przestali.

Zacząła mówić znacznie później, kiedy leżała przy nim zwinięta w kłębek jak kotka, pomiaukując z podziwu nad włosami na jego piersi,

wilgotnymi od ich potu, jego i jej.

Dopiero wtedy, senna i zaspokojona po seksie, pozwoliła mu wrócić do tematu. I dopiero wtedy zwolniła hamulce. Bo jeżeli kobieta ma do faceta tyle zaufania, by podzielić się z nim tym, powierzy mu nawet najgłębiej skrywane, najmroczniejsze sekrety. Tak uważał Dodge, oczywiście opierając się na swoim bogatym doświadczeniu, które stało się przyczyną jego reputacji w wydziale.

Crystal powiedziała mu wszystko, co wiedziała. Były to niezwykle cenne informacje, pochodzące z podsłuchanych rozmów między Franklinem i jego kuzynem z Meksyku, wzbogacone zwrotami z charakterystycznego dla przestępczego środowiska żargonu, takimi jak „samochód do zjazdu z akcji”, „półautomat”, „puknięcie każdego, kto stanie na drodze” i tak dalej. Wszystko wskazywało na to, że akcja planowana jest na dwudziesty piąty, czyli za dwa dni.

W końcu zasnęła.

Dodge rozwinął kabel telefoniczny i zamknął się z aparatem w łazience. Wybrał domowy numer kapitana, obudził szefa i powtórzył mu to, co usłyszał od Crystal.

Ku jego irytacji i zdziwieniu kapitan sceptycznie odniósł się do tych rewelacji.

– Do jakiego stopnia można jej wierzyć? – zapytał. – A jeśli dziewczyna cię zwodzi i celowo opowiada bzdury, żeby cię zmylić? Gada, co ślina na język przyniesie, żeby zaciągnąć cię do łóżka?

Dodge ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał. Crystal spała spokojnym i głębokim snem osoby, która zrzuciła z serca nieznośny ciężar.

– Nie wydaje mi się, kapitanie. Ona naprawdę boi się Albrighta, jestem tego pewny. Mówi też, że nie chce być uznana za jego współniczkę.

Mieszkała z nim przecież przez cały ten czas, gdy planował przestępstwo. Poza tym nie powiedziała mi nic ważnego aż do... Aż dopiero później.

Kapitan milczał.

– Nie nabiera mnie – ciągnął Dodge. – Używa określeń, które mogła usłyszeć tylko z ust kogoś takiego jak Albright. Wiem, że mam rację.

Kapitan nie odzywał się jeszcze dłuższą chwilę.

– No dobra – westchnął w końcu. – Muszę zaufać twojemu instynktowi, Hanley. No i doświadczeniu – dorzucił kpiąco. – Ostatni raz byłeś dziś w fabryce. Z samego rana zamelduj się w kwaterze głównej grupy operacyjnej. Od dwudziestego piątego dzieła nas tylko dwa dni, nie mamy więc dużo czasu na zaplanowanie kontrakcji.

Dodge podziękował mu za zaufanie, wziął prysznic, starając się zachowywać jak najciszej, i ubrał się. Na biurku zostawił list do Crystal, prosząc ją, aby nie jechała do pracy, dopóki on się z nią nie skontaktuje. Obiecał jej, że wszystkim się zajmie, byle tylko zaufała mu i została w motelu, póki po nią nie wróci.

Jechał przez miasto pustymi, skąpanymi w blasku świtu ulicami, zastanawiając się, jak wyjaśni Caroline, że spędził całą noc poza domem i nawet nie zadzwonił, żeby ją o tym uprzedzić. Zawsze gdy spotkania grupy operacyjnej przeciągały się do późna (a przecież nigdy nie trwały do piątej rano, na miłość boską!), telefonował, żeby nie musiała się denerwować.

Postanowił powiedzieć jej, zresztą zgodnie z prawdą, że wypadło mu coś bardzo ważnego, że w sprawie nastąpił nieoczekiwany przełom i nie miał szans zadzwonić, a kiedy już mógł, zrobiło się na tyle późno, że bał się ją obudzić.

Poukładał sobie to wszystko w zmęczonym umyśle, ale gdy podjechał pod dom, zobaczył, że samochodu Caroline nie ma w garażu.

– O Jezu! – jęknął.

Nie wyłączył nawet silnika, zaciągnął tylko ręczny hamulec i popędził do wychodzących na tyły budynku drzwi. Wygrzebał klucz z kieszeni, otworzył mieszkanie i wpadł do środka.

Przebiegł przez dom, odbijając się od ścian i potykając o leżący w holu dywan, wpadł do sypialni i stanął jak wryty na widok jasnoczerwonej plamy na prześcieradle. Jeszcze wilgotnej.

Dyszał tak ciężko, że coś zakłuło go w płucach. Serce waliło mu jak szalone. Podeszedł do garderoby i szarpnął drzwi. Walizka Caroline, ta, którą razem spakowali parę tygodni wcześniej, żeby w każdej chwili mogła zabrać ją na porodówkę, zniknęła.

Znowu przebiegł przez mieszkanie, tym razem w odwrotnym kierunku. Postawił koguta na dachu samochodu, nie zważając na swój status tajnego agenta, i z pulsującym czerwonym światłem pojechał do szpitala.

Zostawił wóz w strefie dla ciężarówek z zaopatrzeniem i wpadł do holu. Walił pięścią w guzik windy tak długo, aż przyjechała. Dobiegł do pokoju pielęgniarek na oddziale położniczym i zajrzał do środka. Pokój był pusty.

– Jest tu kto, do diabła?!

Jego krzyk nadal odbijał się echem od sterylnych powierzchni korytarza, gdy Dodge już biegł dalej.

Na każdych drzwiach wisiał niebieski albo różowy wianuszek oraz pluszowy miś. W końcu z któregoś pomieszczenia wyszła pielęgniarka i Dodge omal się z nią nie zderzył.

– W czym mogę pomóc? – zagadnęła.

– Caroline King...

– A pan jest...

– Ojcem.

Uśmiechnęła się.

– Gratulacje! Ma pan przesłodkie maleństwo!

Poczuł się tak, jakby ktoś wywrócił go na drugą stronę i rzucił na podłogę.

– Jest tutaj?

– Ona jest tutaj! – zaśmiała się pielęgniarka. – Chciałby ją pan zobaczyć?

Bez słowa skinął głową i pozwolił zaprowadzić się do okna zasłoniętego żaluzjami.

– Proszę poczekać, przyniosę dziecko.

Otwierała już drzwi sali noworodków, kiedy ją zatrzymał.

– Chwileczkę. Gdzie jest Caroline?

– W pokoju numer czterysta osiemnaście.

– Dobrze się czuje?

– Miała krótki i łatwy poród. Szkoda, że nie udało się panu zdążyć!

Tak, nie udało mu się. Pieprzył Crystal, gdy Caroline odeszły wody, gdy zaczęła rodzić, gdy musiała sama zanieść starannie spakowaną walizkę do samochodu i dojechać do szpitala, i gdy wydała na świat ich córkę.

Z trudem chwycił oddech. Nie potrafił wyobrazić sobie, aby można było czuć do siebie nienawiść większą i bardziej gorzką niż on w tej chwili. Wpatrywał się w deszczułki żaluzji, dopóki się nie uniosły. Wtedy zobaczył stojącą za szybą pielęgniarkę, która trzymała na rękach najmniejszą istotę ludzką, jaką kiedykolwiek widział.

Twarzyczkę miała czerwoną, nosek płaski, powieki opuchnięte i była zawinięta w kocyk jak laleczka. Na głowę wsunięto jej zrobioną na drutach różową czapeczkę, którą pielęgniarka teraz zdjęła, odsłaniając rudy puszek

w brzoskwiowym odcieniu porastający całą maleńką czaszkę. W tym mięciutkim punkcie na czubku głowy skóra poruszała się miarowo. Ciemiączko, przypomniał sobie. Tak, ciemiączko.

Łzy napłynęły mu do oczu. Jeżeli wcześniej miał problemy z oddychaniem, to teraz prawie się dusił.

Pokazał pielęgniarce uniesiony do góry kciuk i ruchem warg podziękował jej przez szybę, a potem odwrócił się i ruszył na poszukiwanie pokoju 418. Kiedy go znalazł, przed drzwiami przygładził włosy, przejechał obiema dłońmi po twarzy i wziął głęboki oddech.

Drzwi były ciężkie. Uchylił je tylko i wślizgnął się do środka. Lampka nad łóżkiem nie dawała dużo światła, wyraźnie widział jednak leżącą na plecach Caroline. Jej twarz zwrócona była w stronę okna. Płaski brzuch wyglądał jakoś dziwnie.

Musiała usłyszeć szmer zamykających się drzwi, ponieważ odwróciła głowę.

Spojrzała na niego i z jej oczu wyczytał, że wie, co zrobił.

Droga do łóżka wydała mu się nieskończenie długa. On, zawsze tak wygadany, nie miał pojęcia, co powiedzieć. Słowa całkowicie go zawiodły.

Caroline odezwała się pierwsza.

– Kiedy nie wróciłeś do domu i nie dałeś mi znać, co się dzieje, zadzwoniłam na policję. Powiedziałam, że to pilna sprawa i muszę natychmiast się z tobą skontaktować. Ponieważ pracujesz w grupie specjalnej, jako tajny agent, jeden z twoich kolegów obiecał, że ci przekaże, żebyś do mnie zatelefonował. Ale ty się nie odezwałeś. Zadzwoniłam znowu, jeszcze bardziej przerażona. Ten sam facet wyjaśnił mi, że nie zdołał się z tobą skontaktować, ale, jeśli może mnie to pocieszyć, wie z całą pewnością, że nie zostałeś zabity ani ranny na służbie. – Jej głos i oczy były

kompletnie pozbawione wyrazu. – Przespałeś się z nią, prawda? Żeby złapać tego swojego przestępcę, poszedłeś do łóżka z jego dziewczyną.

Wolałby, żeby obrzuciła go inwektywami i rozplakała się. Wolałby, żeby wymierzyła mu policzek. Z tym byłby sobie w stanie jakoś poradzić. Ale ta powstrzymywana furia budziła w nim lęk.

Otworzył usta, lecz nadal nic nie przychodziło mu do głowy. Nie zamierzał zaprzeczać. Nie chciał dorzucić kłamstwa do zdrady, nie chciał powiększać jej cierpienia, zresztą i tak byłoby to bez sensu.

– Masz się wyprowadzić, zanim wrócę z dzieckiem do domu.

Ogarnęła go panika.

– Caroline...

– Mówię poważnie, masz się wynieść. Z naszego życia, jej i mojego. Nie życzę sobie, żebyś próbował się z nami widywać. Nigdy więcej, Dodge.

– Nie możesz...

– Mogę. Podjęłam już decyzję.

– Ja...

– Wszystko zniszczyłeś.

– Zrobiłem głupstwo.

– Nazywaj to, jak chcesz. Potraktowałeś mnie gorzej niż Roger Campton.

Te słowa przeszły jego serce jak ostrze włóczni.

– Jak możesz tak mówić?

– Jak mogłeś to zrobić? – jej głos załamał się gwałtownie, co dużo mu powiedziało. – Jak mogłeś? – powtórzyła, dobitnie wymawiając słowa.

Zadawał sobie to samo pytanie. Nie miał żadnej wymówki, po prostu żadnej.

Caroline utkwiała wzrok w suficie.

– Widzisz mnie ostatni raz, Dodge. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nasza córka nigdy cię nie pozna, ty jej także nie. Ciesz się swoim awansem na detektywa. Życzę ci dobrego życia. A teraz odejź!

Stał przy łóżku bite dwie minuty, ale ona już na niego nie spojrzała. Wyszedł z pokoju i ze szpitala, ponieważ musiałby być ostatnim brutalem, żeby nękać kobietę, która dopiero co urodziła dziecko. Nie chciał robić scen i upokarzać Caroline przed szpitalnym personelem oraz innymi świeżo upieczonymi matkami, których partnerzy byli przy nich w czasie porodu.

Poszedł do samochodu i o mały włos nie pobił się z parkingowym, który oskarżył go o podszywanie się pod oficera policji. Ponieważ Dodge nie nosił przy sobie identyfikatora ze względu na Crystal i Albrighta, nie mógł dowieść, że rzeczywiście jest policjantem, odepchnął więc faceta, pokazał mu środkowy palec, kazał pozwać się do sądu i szybko odjechał, nie słuchając litanii grózb.

W domu, z którego Caroline poleciła mu się wynieść, zdjął z łóżka poplamioną pościel i założył świeżą. Odkurzył dywan w salonie. Opróżnił wszystkie kosze na śmieci i wyszorował krany w łazience na wysoki połysk. Wykonując te wszystkie czynności, rozmyślał, co jeszcze mógłby zrobić, żeby odzyskać serce Caroline.

Postanowił, że w dniu jej powrotu ze szpitala postawi kwiaty w sypialni i pokoju dzieciennym, najlepiej różowe. Zaopatrzy lodówkę i spiżarnię w ulubione przysmaki Caroline i co wieczór będzie kładł jej czekoladki na poduszce. Będzie wstawał razem z nią za każdym razem, gdy ona zbudzi się do karmienia dziecka. Zrobi wszystko, co tylko Caroline zechce, będzie na każde jej skinienie. Będzie masował jej plecy. Będzie kupował małej pluszowe zabawki i koronkowe sukieneczki, które ona uzna za zbyt ekstrawaganckie i drogie, chociaż w głębi duszy zachwyci się nimi.

Nie cofnie się przed niczym, była tylko w końcu zmieniła zdanie.

Musi mieć ją w swoim życiu, bo bez niej wszystko straciłoby sens. Proste, prawda? Przekonają, żeby przyjęła go z powrotem, ale najpierw jej pokaże, że jest tego wart.

Kiedy cały dom dosłownie błyszczał, Dodge wziął prysznic, ogolił się, ubrał i pojechał do siedziby grupy operacyjnej. W dużej sali siedział tylko jeden facet, zajęty rozmową przez telefon. Na widok Dodge'a pośpiesznie odłożył słuchawkę.

– Gdzie byłeś? Dlaczego nie odbierałeś połączeń z pagera?

– Ja...

– Teraz to już bez znaczenia! Nasz gość napadł na bank siedem po ósmej rano, zaraz po otwarciu!

– Boże! Chyba żartujesz! Crystal mówiła mi, że napad planowany jest na dwudziesty piąty! Albright musiał...

– Albright? Zapomnij o nim! Nasz sprawca to jeden z dyrektorów firmy farmaceutycznej, dotąd nienotowany. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby mu się przyjrzeć! Nie do wiary, co?

Rozdział 26

DODGE DOTARŁ DO KOŃCA SWOJEJ DŁUGIEJ HISTORII.

– Ten facet z firmy farmaceutycznej uważał się za najsprytniejszego na świecie. Pierwszy bank obrabował dla żartu, tylko po to, żeby zobaczyć, czy uda mu się zrobić to bezkarnie. Kiedy okazało się, że tak, spróbował drugi raz, a potem następny. Mówił, że uzależnił się od tych uderzeń adrenaliny całkiem jak od narkotyku. Śmierć tego młodego strażnika pewnie dała mu ekstrakopa. Ciekawe, czy równie dobrze bawił się w celi śmierci. Do tej pory musiał już zostać dawno stracony, chyba że sąd zmienił mu wymiar kary. Kiedy przeniosłem się do Atlanty, straciłem kontakt ze sprawą. – Dodge poprawił się na obitej sztucznej skórze ławie. – Ale dla ciebie to już pewnie najmniej interesująca część tej opowieści.

Berry prawie przez godzinę słuchała go w zupełnym milczeniu. Teraz odchrząknęła i pociągnęła łyk wody ze szklanki, którą Grace niepostrzeżenie napelniła.

– Co stało się z Franklinem Albrightem? – zapytała.

– Straż graniczna przyłapała Albrighta i jego tak zwanego kuzyna na prowadzeniu lukratywnego handlu bronią automatyczną. Sprzedawali ją kartelom narkotykowym w Meksyku.

– A Crystal?

Dodge z westchnieniem potrząsnął głową.

– W końcu pewnie się zorientowała, że Marvin nie przyjedzie po nią do motelu. Nie wiem, jakie były jej dalsze losy.

– Nigdy więcej jej nie widziałeś?

– Nie. Marvin na zawsze zniknął z jej życia.

Berry się zawahała.

– A mama? – zagadnęła lekko drżącym głosem.

– Nie dotrzymałem ani jednej obietnicy z tych, które jej złożyłem, zrobiłem więc to, o co prosiła, i wyniosłem się z domu, zanim wróciła z tobą ze szpitala. Nie widziałem jej aż do ubiegłej soboty. I ciebie także. – Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – Włosy nadal masz rude, ale twój nos nie jest już płaski.

Odwzajemniła jego smutny uśmiech. Kiedy słuchała tej historii, jej nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie, od zaciekawienia poprzez gniew, aż po głęboki żal. Nie była pewna, które uczucie powinna zatrzymać w sercu, pozwoliła im więc przepływać swobodnie, nie wywołując dodatkowych napięć.

– Grupa operacyjna została rozwiązana, prawda? – odezwała się.

– Tak.

– A ty awansowałeś na detektywa.

– Nie. Nigdy nie zdobyłem dobrej opinii w policji, moi zwierzchnicy uważali mnie za faceta, który potrafi spieprzyć każdą sprawę. Znowu zacząłem jeździć w patrolu, z innym partnerem. Miałem ich kilku, ponieważ zachowywałem się jak najwredniejszy sukinsyn i nikt nie chciał ze mną pracować. Stałem się nieostrożny i niechlujny. Źle odnosiłem się do kolegów i pyskowałem przełożonym. – Poklepał się po kieszeni, w której trzymał papierosy. – Zacząłem palić, bo szukałem czegoś, co zajęłoby mnie i zagłuszyło ból po stracie Caroline, a nikotyna nie była tak ryzykowna jak kokaina czy alkohol. Przeżyłem w tym stworzonym własnymi rękami czyścicu prawie pół roku, a potem zacząłem się bawić. Faza wyrzutów sumienia minęła i doszedłem do wniosku, że muszę pokazać Caroline, jak niewiele dla mnie znaczyła. Wpadłem w ciąg, ale po paru miesiącach romansów na jedną noc jedynie udowodniłem samemu sobie, jak bardzo

kochałem twoją matkę. Pewnego ranka obudziłem się i zrozumiałem, że nigdy jej nie odzyskam, jeśli nadal będę tak postępował. Zmieniłem się. Zacząłem ratować swoją opinię w pracy. Od palenia zdażyłem się już uzależnić, ale z kobietami dałem sobie spokój. Żyłem jak jakiś cholerny mnich. – Zmarszczki i bruzdy na twarzy Dodge’a ułożyły się w maskę smutku.

– Zmiana na lepsze nie trwała zbyt długo? – cicho zapytała Berry.

– Trwała do dnia, kiedy dowiedziałem się o ślubie twojej matki z Jimem Malone’em.

– Przeczytałeś o tym w gazecie?

– Tak. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Los bywa okrutny, naprawdę! Nie miałem pojęcia, że Caroline spotyka się ze swoim szefem, nie w ten sposób, rozumiesz. I nagle zobaczyłem to w gazecie, czarno na białym. Wyszła za niego, i tyle.

Jego szorstki, zachrypnięty głos był najlepszym dowodem, że nadal go to bolało.

Długą chwilę siedział nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń.

– Przez adwokatów ustaliliśmy, że Malone cię adoptuje i da ci swoje nazwisko – rzekł w końcu. – Złamałem się, nawet nie próbowałem walczyć. Nic nie mogłem ci dać.

Miałaś nowego tatę, który wyglądał na bardzo przyzwoitego faceta i był w stanie ci zapewnić dobre, wygodne życie. Wyjechałem więc i już nie wróciłem. – Spojrzał na nią. – To wszystko, Berry. Nie jest to zbyt przyjemna historyjka, nie jedna z tych, które powinno się opowiadać córce na dobranoc, prawda? Żadna piękna bajka.

– To smutna historia. Szczególnie dla ciebie.

– Nie opowiedziałem jej po to, żeby wzbudzić twoje współczucie.

Nie chcę, żebyś zaczęła widzieć we mnie tragiczną postać, nic z tych rzeczy. Popęniłem całą serię fatalnych w skutkach błędów i zapłaciłem za nie. Mogę tylko mieć nadzieję, że może potraktujesz to jako lekcję życia. To najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić.

Wymienili długie spojrzenia i oboje drgnęli, kiedy komórka przy pasie Dodge'a zaczęła dzwonić. Wyjął ją z futerału i spojrzał na ekran.

– To Caroline. – Odebrał i chwilę słuchał. – Dobrze, zaraz tam będziemy – powiedział i zakończył połączenie. – Caroline i Ski załatwili już wszystko w biurze szeryfa – oświadczył. – Ten kretyn Mercury dostał czek i wreszcie się odczepił. Caroline mówi, że Ski musi zostać w biurze, bo cały czas ktoś od niego czegoś chce. Pytała, czy moglibyśmy po nią przyjechać.

Berry chwyciła torebkę i wstała.

– Możesz podrzucić mnie do szpitala?

– Nie, zabieram cię do domu – rzekł surowo, udaremniając wszelkie protesty. – Jestem twoim ojcem, czy ci się to podoba, czy nie, i teraz zamierzam cię odwieźć, żebyś wreszcie trochę odpoczęła!

W drodze do domu nad jeziorem Dodge obserwował córkę we wstecznym lusterku. Z obojętnym wyrazem twarzy wpatrywała się w noc za oknem samochodu, nieruchoma i milcząca. Dałby tysiąc dolarów, żeby dowiedzieć się, o czym myśli. O nim? O Starksie? O pracy, którą straciła? A może o Nylandzie? Czy go jej brakowało? Któż to mógł wiedzieć, do diabła.

Niezależnie od tego, co ją dręczyło, Dodge chciał jej pomóc. Dopiero teraz zrozumiał, że trudno być rodzicem nawet wtedy, gdy dziecko jest już dorosłe. Może nawet trudniej, właśnie dlatego, że przestało być dzieckiem. Postawił się i nie pozwolił jej czuwać przy bandycie, który i tak był już warzywem, ale później nie potrafił powiedzieć córce nic, co nie brzmiałoby głupio i banalnie, więc milczał. Caroline podzielała chyba jego zdanie,

ponieważ przez całą drogę nie odezwała się słowem.

W domu poszedł na górę, wziął prysznic w łazience, w której zaczęła się cała ta historia ze Starksem, i usiadł na łóżku w pokoju gościnnym. Wiedział jednak, że nie zaśnie, dopóki nie sprawdzi, czy z Berry wszystko w porządku, więc włożył świeże rzeczy i zszedł na dół, aby poczekać na Caroline.

Minęła prawie godzina, zanim usłyszał na schodach jej lekkie kroki. Nie zauważyła go w ciemnym salonie i ruszyła dalej, do swojej sypialni.

Dał jej parę minut, a potem zbliżył się do drzwi i zapukał.

– To ja.

Gdy otworzyła, wyraz jej twarzy powiedział mu, że się zaniepokoiła, czy znowu nie spadła na nich jakaś katastrofa.

– Co się stało?

– Nic. Chciałem tylko się upewnić, czy Berry dobrze się czuje. Wyglądała na strasznie zmęczoną.

Caroline gestem zaprosiła go do pokoju i zamknęła drzwi. Rozejrzał się dookoła. Sypialnia nie była zagracona mnóstwem najzupełniej zbędnych sprzętów, sprawiała jednak wrażenie bardzo kobiecej. Przy metalowym wezłowi łożka leżał stos poduszek, trzy okna ozdobiono drapowanymi zasłonami. Ściany miały dokładnie ten sam kolor, na który przed laty pomalował pokój Berry, poza tym dominowała tu biel; nawet miękki kąpielowy płaszcz, otulający smukłe ciało Caroline, miał ten odcień.

– Berry jest wyczerpana – powiedziała. – I głęboko poruszona.

– Czym? Mam nadzieję, że nie losem Starksa, bo ten po prostu dostanie to, co mu się należy. Chyba że spokojnie umrze i uniknie kary, na którą zasłużył.

– Brzmi to dość okrutnie, ale zgadzam się z tobą. Nie przestał dręczyć

Berry nawet teraz, gdy umiera. Biedna dziewczyna dźwiga ciężar wszystkiego, co się wydarzyło.

– Wiesz, co myślę? – Dodge spojrział na nią spod oka. – Wydaje mi się, że Starks robił wszystko, aby było jej go żal, i udało mu się.

– Jestem tego pewna – odparła. – To urodzony manipulator.

Dodge podszedł do jednego z okien i popatrzył na znajdującą się za domem część posesji, na pogrążony w ciemności las, basen, taras i rozciągające się dalej jezioro. Był to przyjemny widok. Promienie księżyca migotały na powierzchni wody, która leniwie lizała brzeg. Pilnujący terenu zastępcy szeryfa zostali odwołani, wokół domu znowu panował niczym niezakłócony spokój.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego uciekł na te cholerne bagna – rzekł Dodge. – Ski też nie ma pojęcia, co o tym myśleć.

– Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Ja po prostu cieszę się, że teraz jest tam, gdzie jest.

– Odetchnę, kiedy wreszcie znajdzie się w ziemi – wyznał Dodge.

Odwrócił się od okna. Caroline siedziała na brzegu łóżka.

– Rozmawiałem z Berry – zaczął niepewnie. Podszedł do dużego, wygodnego fotela i usiadł. – Przy cheeseburgerach, kiedy ty i Ski załatwialiście sprawę z Mercurym – dodał.

– Berry wszystkiego się domyśliła.

– Wydaje mi się, że nie zajęło jej to zbyt dużo czasu.

– Co jej powiedziałaś?

– Wszystko. Całą paskudną prawdę.

– Nie musiałeś, Dodge.

– Musiałem. Ze względu na mnie, nie na nią. Chciałem, żeby wiedziała.

– Dlaczego?

– Żeby nie winiła cię za nasze rozstanie, to przede wszystkim. Pewnie nigdy nie przyszłoby jej do głowy, by mieć do ciebie pretensje, ale wolałem wykluczyć taką możliwość. Zależało mi też, aby to, co do mnie czuje, oparte było na zimnych, twardych faktach, nie na jakiejś wizji dobrego tatusia. Nie chciałem stać się w jej oczach romantycznym bohaterem. Mówiąc jej prawdę, ryzykowałem, że spojrzy na mnie z pogardą, ale może da mi jakiś kredyt zaufania za to, iż nie próbowałem udawać kogoś innego.

– Pewnie tak, bo zawsze była uczciwa i sprawiedliwa. – Caroline pokiwała głową. – Nie potrafi też chować urazy. No i nie ukrywała przede mną, że cię polubiła. Uważa, że jesteś zabawny i uroczy.

Dodge parsknął śmiechem.

– Jak szeryf z Dzikiego Zachodu – dodała.

– Widzisz, właśnie o to mi chodziło! – zdenerwował się. – Ma mnie za kogoś lepszego, niż w rzeczywistości jestem! – Spojrzał na Caroline i po raz tysięczny poczuł głębokie ukłucie żalu. – Inaczej niż ty. Ty zawsze widziałaś mnie takim, jakim byłem.

– I mimo to cię kochałam.

Zamilkli.

– Nie zapukałeś do moich drzwi tylko po to, żeby porozmawiać o Berry – odezwała się po długiej chwili.

Dodge wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze, odwrócił wzrok i znowu spojrzał Caroline w oczy.

– Nigdy cię nie przeprosiłem – zaczął. – Rozmowa z Berry sprawiła, że tamte dni odżyły. – Przerwał i ciężko westchnął. – Wtedy nie byłem w stanie naprawić tego, co zrobiłem. To, że przespałem się z Crystal, w gruncie rzeczy było najmniej istotne. Wiem, że zabrzmiało to jak ostatni banał,

ale ona naprawdę nic dla mnie nie znaczyła. Tak było, przysięgam. Zrobiłem to mechanicznie, cały czas planując, co zrobię, kiedy będzie już po wszystkim. Nie zdradziłem cię z powodu pożądania. Zdradziłem cię, ponieważ moje ego było dla mnie ważniejsze niż ty. I nic tego nie zmieni. To była zdrada, ale chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo tego żałowałem i nadal żałuję. Kiedy rzuciłaś mi w twarz, że potraktowałem cię gorzej niż Roger Campton, znenawidziłem samego siebie. – Znowu przerwał i wziął głęboki oddech. – Przez trzydzieści lat myślałem o tym, żeby ci to powiedzieć. Przepraszam, że sprawiłem ci tyle bólu.

W oczach Caroline zabłyśły łzy.

– Przyjmuję twoje przeprosiny – odparła trochę drżącym głosem.

– Dziękuję! – Dodge klepnął się po udach i wstał. Czuł się głupio i niezręcznie. – Jestem wykończony, nie pamiętam już nawet, co działo się rano.

– Wszedłeś do pokoju w hotelu w Houston i obudziłeś nas.

– To naprawdę było dzisiaj?

– Mamy za sobą długi dzień, ale przynajmniej Oren Starks został schwytany. Możemy spokojnie zasnąć, nie martwiąc się o bezpieczeństwo naszej córki.

Kiedy ruszył w stronę drzwi, Caroline wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Nie zrobiłem nic specjalnego.

– Odpowiedziałeś na moją prośbę o pomoc.

– Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś.

– Byłeś pierwszą i jedyną osobą, o której pomyślałam.

Minęła minuta, potem druga. Caroline nie puściła dłoni Dodge'a.

Uważnie obejrzała jej wierzch i kciukiem delikatnie pogładziła nabrzmiałe żyły. Później powoli odwróciła ją, podniosła do ust i pocałowała. Trzymała ją tak długo, aż wreszcie uniosła głowę i popatrzyła na niego oczami, w których tak łatwo mógł utonąć.

– Minęło tyle lat, a ja nadal tak dobrze cię znam – odezwała się niskim, zachrypniętym głosem. – Poznałabym twoją rękę wśród miliona innych.

Dodge patrzył na nią bez słowa. Nie śmiał się poruszyć, nie śmiał uwierzyć, że naprawdę to przeżywa.

– Miałeś po mnie dużo kobiet. Dwie żony i wiele innych.

Wykonał niepewny ruch ramieniem.

– Czy ty... – zaczęła.

– Co?

– Czy ty chociaż trochę mnie pamiętasz?

– Pamiętam wszystko – odparł szorstko.

Uśmiechnęła się nieśmiało i trochę smutno.

– Nie jestem już młoda i zgrabna.

Powstrzymywał się długo, ale dłużej już nie był w stanie i nie chciał. Teraz objął ją i przytulił. Nie wyobrażał sobie ciaśniejszego uścisku. Ukrył twarz w jej włosach i wyrzucił z siebie słowa, których, jak sądził, miał już nigdy nie wypowiedzieć.

– Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem, Bóg mi świadkiem. – Wsunął palec pod jej podbródek i unióś jej głowę. – Wszystko spieprzyłem, Caroline, ale pragnałem cię od chwili, gdy na ciebie spojrzałem, i to nigdy się nie zmieniło.

Leżała na piersi Dodge'a, z policzkiem przyciśniętym do jego serca, czując dotyk podbródka na czubku głowy.

– Nic nie mówisz – szepnęła.

– Jestem stary. Zmęczyłaś mnie.

Lekko szturchnęła jego krocze kolanem.

– Niezły z ciebie ogier – zamruczała.

– Tak uważasz?

Oparła się na łokciu i zajrzała mu w twarz.

– Taaaak.

Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała tym samym. Przesunęła palcem po jego szczęce, nie odrywając czułego spojrzenia od jego twarzy.

– Dopiero dziś mnie przeprosiłeś. A ja dopiero dziś ci dziękuję.

– Za co?

– Za Berry.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Ostrożnie przeczesał palcami jej włosy.

– Podziękowałaś mi wcześniej. Za każdym razem, gdy na nią patrzysz, widzę, jak bardzo ją kochasz. I właśnie wtedy mi dziękujesz, Caroline.

Pocałowali się. Caroline odsunęła się pierwsza.

– Kiedy zamierzasz mi powiedzieć?

Udało mu się nie zmienić wyrazu twarzy.

– O czym?

– O tym, co ci chodzi po głowie.

– Teraz myślę o tobie. Nagiej. I o tym, jak bardzo podniecają mnie twoje piegi. Szczególną słabość mam do tych na twoich cycuszkach.

Roześmiała się, ale jego żart nie rozproszył jej uwagi.

– Nie powiesz mi?

– Nie mam nic do powiedzenia.

Długą chwilę szukała prawdy w jego oczach.

– No, dobrze – wymamrotała w końcu.

Znowu położyła głowę na jego piersi. Co jakiś czas szeptali do siebie czułe słówka, lecz poza tym milczeli. Dodge rzucił czasem jakąś uwagę, po której Caroline wzdychała, śmiała się lub czerwieniła. Nie potrzebowali słów, aby wyrazić swoje uczucia, i właśnie to było najważniejsze.

W końcu musnęła jego szyję rozchylonymi wargami.

– Chciałabym leżeć tak bez końca, ale chyba zaraz zasnę – szepnęła sennie.

Dodge pocałował ją, odwrócił tyłem do siebie i przyciągnął jej biodra do swoich.

– Wiem, że lubisz zasypiać w takiej pozycji.

– Ja też wiem, co lubisz. – Położyła jego dłoń na swojej piersi. – Nie są już tak jędrne jak dawniej.

– Wszystkie te zachwyty nad jędrnymi piersiami są mocno przesadzone. Teraz już śpij.

Zasnęła prawie natychmiast. Dodge długo leżał z otwartymi oczami. Był bardzo zmęczony, ale, podobnie jak ona, nie chciał stracić ani ułamka sekundy z tej wspólnej nocy. Wolał cieszyć się łagodnym ciepłem Caroline i słuchać każdego jej oddechu.

I było coś jeszcze, ten przytłumiony niepokój, który szybko w nim wyczuła, ta przyczajona gdzieś głęboko dręcząca myśl, jak szczur podgryzająca jego podświadomość. Myśl, która nie pozwalała mu zaznać spokoju.

Mimo wszystkiego, co przeżyła, Berry spała głęboko i nic jej się nie śniło, obudziła się jednak o świcie. Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół, żeby zrobić kawę. Kiedy napełniała filiżankę, w kuchni pojawił się

wyraźnie onieśmielony Dodge.

Berry kusiło, żeby rzucić jakiś żart, ponieważ widziała, że wyszedł z sypialni jej matki, ale powstrzymała się i zaproponowała mu kawę.

– Dziękuję. – Wsypał do filiżanki dwie łyżeczki cukru i pociągnął łyk. – Mówiłaś coś o bransoletce z amuletem, pamiętasz?

– Jasne. To był jeden z prezentów, które dał mi Oren.

Berry powtórzyła mu to, co wcześniej powiedziała Nylandowi i szeryfowi Drummondowi, że Starks nie chciał przyjąć podarunków, które próbowała mu zwrócić.

– Wolałam uniknąć dalszych spotkań z Orenem, więc poddałam się i przestałam nalegać. Dlaczego teraz o to pytasz?

– Uświadomiłem sobie, że nie rozmawialiśmy o tej bransoletce po tym, jak dowiedzieliśmy się, iż Sally Buckland miała na ręku identyczną. Nie wiedziałaś, że Starks jej też taką podarował, prawda?

Berry potrząsnęła głową.

– Masz tutaj swoją?

– Na górze. Kiedy wyprowadzałam się z Houston, zabrałam ze sobą wszystkie rzeczy, które dostałam od Orena.

– Może przeczułaś, że będą ci potrzebne jako dowody.

– Może. Całkiem możliwe, że odziedziczyłam intuicję po tobie.

Wyglądało na to, że jej spostrzeżenie sprawiło mu ogromną przyjemność.

– Mógłbym obejrzeć tę bransoletkę? – zapytał po chwili.

Pobiegła na górę. Gdy po paru minutach wróciła, jej matka stała przy kuchennym blacie i nalewała sobie kawę. Caroline była potargana, ale dosłownie promieniała radością. Rzuciła Berry nieśmiały uśmiech, lecz jej oczy prawie cały czas utkwione były w twarzy Dodge'a.

Berry włożyła wszystkie otrzymane od Orena podarunki do małej zamszowej sakiewki. Teraz otworzyła ją i wysypała zawartość na kuchenny stół, rozgarniając drobiazgi w poszukiwaniu bransoletki. Nie dostrzegła jej, więc poszukała jeszcze raz.

Po chwili podniosła zaniepokojone oczy na Dodge'a i Caroline.

– Nie widzę jej. Jak to możliwe? Jestem przekonana, że miałam ją w tej torebce, razem z innymi rzeczami.

– Kiedy ją widziałaś ostatnio? – zapytał Dodge.

– Nie pamiętam, ale...

– Zanim się tu przeprowadziłaś czy później?

– Później. Nosiłam się z zamiarem wyrzucenia wszystkiego, co przypominało mi Orena, ale ostatecznie zmieniłam zdanie. W każdym razie bransoletka tu była, jestem pewna. To najbardziej osobisty z prezentów od niego.

– Może ją wyjął i wyleciało ci to z głowy.

– To niemożliwe! – krzyknęła Berry.

Natychmiast pożałowała, że wyładowuje narastające napięcie na matce, chwyciła jej dłoń i ścisnęła ją lekko.

– Nie zapomniiałabym o tym, mamó. – Ciężko opadła na stojące przy stole krzesło. – Nie sądzisz chyba, że...

– Że właśnie tę bransoletkę miała na ręce Sally Buckland? – dokończył Dodge, wypowiadając na głos przerażającą myśl.

– To niemożliwe – powtórzyła Berry i jęknęła. – Kiedy Oren zdążyłby ją stąd zabrać?

Dodge odchrząknął.

– Starks mógł tu być – rzekł. – To tylko ewentualność, rzecz jasna, ale powinniśmy brać ją pod uwagę.

– Tutaj? W tym domu?

Berry i Caroline słuchały z niedowierzaniem, gdy opowiadał im o fotografiach znalezionych w pojemniku na śmieci niedaleko motelu, w którym Oren zabił Davisa Coldare’a.

– Wiele wskazuje na to, że przygotowywał sobie dość dokładny plan terenu. Zrobił zdjęcia domu z wielu stron, część ich z tobą na pierwszym planie, Berry. Nawet zakładając, że użył teleskopowego obiektywu, musiał podejść całkiem blisko. Niewykluczone, że ośmielił się wejść do środka, gdy was nie było, i poznał rozkład domu.

– Tamtego wieczoru, gdy postrzelił Bena Loflanda, bez trudu trafił do twojej sypialni – zauważyła Caroline.

Berry zaczęła rozcierać dłońmi gęsią skórę, która pojawiła się na jej ramionach.

– Przeglądał szuflady mojego biurka? Grzebał w moich rzeczach? – Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze.

– Nie wiemy czy tak było, ale to możliwe.

– Chcę obejrzeć te zdjęcia – oznajmiła Berry.

– Tak ci się tylko wydaje. Lepiej, żebyś ich nie oglądała, wierz mi.

– Chcę je zobaczyć, Dodge.

Zamruczał coś pod nosem, przeklinając samego siebie, że w ogóle jej o tym powiedział.

– Ski je ma, więc będziesz musiała jego poprosić – odrzekł. – Kazał mi je oddać.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Dodge’a. Zerknął na wyświetlacz.

– O wilku mowa. – Odebrał połączenie. – Już jedzie – my! – rzucił po paru sekundach. – Starks chyba odzyskuje przytomność – powiedział do

Berry.

– To paskudny widok – uprzedził ich Ski, kiedy dołączyli do niego pod drzwiami oddziału intensywnej terapii.

Przy szpitalnym łóżku kręciło się kilka pielęgniarek oraz lekarz. Wszyscy zajęci byli różnymi czynnościami medycznymi i wyraźnie starali się uspokoić rozgorączkowanego pacjenta. Oren próbował uwolnić się z więzów, które uniemożliwiały mu podniesienie się z łóżka.

Do drzwi szybkim krokiem podeszła jedna z pielęgniarek.

– Proszę poczekać w holu – powiedziała do Nylanda. – Zawołam was, jeżeli zacznie mówić w zrozumiały sposób.

Była to subtelna aluzja, aby przenieśli się w inne miejsce, weszli więc do niewielkiej poczekalni. Berry i jej matka usiadły na małej kanapie.

– Co za koszmar – wyszeptała Caroline, z żalem kręcąc głową.

Nie powiedziała nic więcej, lecz te słowa starczyły za wszystko.

Dodge wybrał krzesło. Wyjął paczkę papierosów z kieszeni koszuli, kilka razy obrócił ją w palcach i znowu schował. Ski stanął w pobliżu drzwi, opierając się plecami o ścianę. Był spięty i czujny, jak żołnierz oczekujący na wystrzał zwiastujący koniec krótkiego zawieszenia broni.

Przez pewien czas nikt się nie odzywał, jednak ciężar, jaki Berry dźwigała na sercu, skłonił ją wreszcie do przerwania milczenia.

– Okradłam go – wykrztusiła. – Okradłam Orena.

Tamci troje popatrzyli na nią w oszołomieniu.

– Wiecie, że Oren pracował nad kampanią, której projekt ukończyliśmy z Benem w piątek – podjęła, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. – Było to wtedy, gdy jego stosunki z Sally weszły w fazę ostrego konfliktu. Sally złożyła rezygnację i wszyscy zdawali sobie sprawę, że to Oren jest przyczyną jej decyzji. – Zawahała się i spuściła głowę. – Nie, to

nie tak. To ja dałam wszystkim do zrozumienia, że Oren ponosi odpowiedzialność za odejście Sally.

– Jak to? – zdumiała się Caroline.

– Szefowie zapytali mnie, dlaczego się zwolniła, a ja powiedziałam im, że to przez Orena.

– Przecież tak właśnie było.

– Pozwól mi skończyć, mamó. – Berry przerwała na moment, żeby pozbierać myśli. – Wprowadziłam ich w błąd. Zasugerowałam im, że firma cudem uniknęła kosztownego procesu o molestowanie, chociaż Sally nigdy nie wspominała o zamiarze podania Delray do sądu. Posunęłam się jeszcze dalej, wmawiając szefom, że w firmie są także inne kobiety, które zastanawiają się nad podjęciem kroków prawnych. Przestraszyli się. Zaczęli wypytywać, jak bardzo zła jest sytuacja i co należy zrobić z Orenem Starksem. Pytali o to mnie, jako kobietę i pracownicę firmy. Czy powinni udzielić mu nagany i na jakiś czas zawiesić w obowiązkach, czy od razu zwolnić. Czy Oren zmieni swoje zachowanie, czy też nic na to nie wskazuje. Możecie się domyślić, co im powiedziałam. Przemilczałam znakomite rozwiązania i projekty Orena, nie wspomniałam, że to jego pomysł był od początku najlepszy i że Ben i ja budujemy całą kampanię na projekcie Starksa. Cały czas wmawiałam im tylko, że jeżeli Oren zostanie w firmie, powinni obawiać się najgorszego. I został zwolniony, praktycznie następnego dnia po mojej rozmowie z szefostwem. Nie pozwolono mu zabrać ze sobą żadnej pracy, żadnego projektu. Ochroniarze wyprowadzili go z budynku, potraktowano go jak przestępcę. – Berry ściszyła głos. – I pewnie właśnie dlatego ostatecznie nim został.

W pokoju zapadła cisza.

– Chwileczkę, do cholery! – odezwał się nagle Dodge. – Nie możesz

mieć do siebie pretensji, że Oren został mordercą. Nie on jeden wyleciał z pracy, wiele osób przeżywa coś takiego, a jednak nie zaczynają zabijać. Starks miał takie, a nie inne skłonności, i dlatego zrobił to, co zrobił.

– Dodge ma rację, Berry – powiedział Ski.

– Ale to jeszcze nie koniec. Później Oren kilkakrotnie mnie prosił, żebym wstawiła się za nim. Zwodziłam go, mówiłam, że robię, co w mojej mocy, lecz kierownictwo Delray twardo trzyma się swego stanowiska. Kłamałam. Nigdy nie stanęłam w jego obronie, ani razu! Wręcz przeciwnie, po jego odejściu przedstawiłam jego projekt jako własny. Ben o tym wiedział, ale nie protestował. Miał świadomość, w co gram, i postanowił grać razem ze mną. Nigdy nie podniósł kwestii cennego wkładu Orena w kampanię. I od tej chwili już nigdy nie miał do mnie całkowitego zaufania. – Berry umilkła na moment, aby złapać oddech. – Jeśli chodzi o Sally, to sama zachęcałam ją do odejścia z firmy – podjęła. – Powiedziałam jej, że jeśli zostanie w Delray, nigdy nie pozbędzie się Orena.

– To również była prawda! – oświadczyła Caroline.

– Możliwe – zgodziła się Berry. – Nastawiłam ją tak jednak z zupełnie egoistycznych pobudek. Sally była świetna, klienci bardzo ją lubili i cenili jej skromność, dyrekcja także. Uznałam, że jest przeszkodą na drodze do mojego awansu, i zależało mi, by zniknęła, dlatego straszylam ją Orenem. Nakłoniłam ją do odejścia z Delray i dopilnowałam, żeby Oren został zwolniony, a wszystko to dla własnej korzyści. – Odwróciła głowę i spojrzała na Caroline. – Nikt nie jest tak dumny z twoich niezwykłych sukcesów jak ja, mam, ale bardzo trudno ci dorównać. Jestem tak samo ambitna, brakuje mi jednak twojej cierpliwości, sposobu bycia i uroku osobistego. Po prostu jestem inna, taka już się urodziłam. – Popatrzyła na Dodge'a. – Tak czy inaczej wyrzuty sumienia, które mnie męczyły,

narastały. Dlatego tamtego dnia cię zaatakowałam, mamó, a później pokłóciłam się z Orenem. Przyjechałam tu, do Merritt, żeby od nowa uporządkować swoją hierarchię wartości, i uświadomiłam sobie, że muszę przyznać się do winy i spróbować naprawić wyrządzoną Orenowi krzywdę. Kiedy zadzwoniłam do niego w ubiegły czwartek wieczorem, powiedziałam mu, że jego nazwisko znajdzie się na projekcie kampanii. Niestety, to go nie zadowoliło.

W poczekalni znowu zapanowało nabrzmiałe napięciem milczenie.

– Moim zdaniem to kompletne bzdury! – Z piersi Dodge’a wyrwało się ciężkie westchnienie. – W porządku, może rzeczywiście poniosła cię ambicja, może faktycznie nie zachowałeś się tak, jak należało, ale przecież Sally Buckland miała wolną wolę. Nawet jeśli próbowałaś nakłonić ją do odejścia, ona sama podjęła decyzję. A co do Starksa – Dodge skrzywił się z nieskrywaną niechęcią – cóż, może i był wybitnie inteligentny, lecz pod tą błyskotliwością ukrywał się psychol o skłonnościach do przemocy, chyba nikt w to nie wątpi. – Pogroził Berry palcem. – Przyznałaś się do winy, i dobrze, ale teraz przestań robić sobie wyrzuty.

Berry popatrzyła na niego z czułością i na pewno dałaby wyraz temu uczuciu, gdyby w otwartych drzwiach nie pojawił się nagle lekarz Orena.

– Chory pyta o jakąś Berry – oznajmił.

Młoda kobieta zerwała się z miejsca.

– Raz po raz powtarza pani imię.

– Czy powinnam...

Lekarz wzruszył ramionami.

– To już od pani zależy – powiedział i wyszedł.

Caroline wzięła córkę za rękę.

– Nie idź tam – poprosiła. – Niepotrzebnie przyjechaliśmy, daj

spokój.

Berry spojrzała na Dodge'a, bez słów prosząc o radę.

– Bardzo żałuję, że ten przeklęty drań nie umarł w Thicket – mruknął.

– Oszczędziłby ci w ten sposób cierpienia.

– Jeżeli będziesz chciała tam wejść, pójdę z tobą – odezwał się Ski, gdy Berry przeniosła na niego wzrok. – Muszę wysłuchać tego, co ci powie.

Podeszła do niego. Wsunął dłoń pod jej łokieć i razem opuścili poczekalnię.

Pokój, w którym leżał Oren, wyglądał jak wyjęty z horroru. Berry lękliwie zbliżyła się do łóżka. Powieki Starksa drgały, usta cicho i niewyraźnie powtarzały jej imię. Jego ręce poruszały się niespokojnie, palce spazmatycznie skubały pościel, przeguby dłoni napinały unieruchamiające je więzy.

– Czy on coś słyszy? – zapytała Berry.

– Może pani spróbować – odparła jedna z pielęgniarek.

Berry głośno przełknęła ślinę.

– Oren? – Kiedy nie zareagował, odchrząknęła. – Oren? – powtórzyła. – Słyszysz mnie? To ja, Berry.

Jego powieki zamrugały i uniosły się, odsłaniając rozbiegane, nieprzytomne źrenice. Znowu wypowiedział jej imię.

– Tak, to ja. – Szukała w myśli czegoś, co nie zabrzmiałoby zupełnie idiotycznie. – Jesteś w szpitalu. Lekarze i pielęgniarki starają ci się pomóc.

– Berry. – Zamrugał, usiłując skupić wzrok na jej twarzy. – Berry.

– Jestem tutaj.

– Żyjesz...

– Tak.

– A powinnaś być martwa.

Wciągnęła powietrze i cofnęła się gwałtownie. Ski położył rękę na jej ramieniu.

– Chodźmy stąd.

Jednak zanim zdążyła się poruszyć, Oren zdołał przekreślić rękę i zacisnąć palce na przegubie jej dłoni. Spojrzała na nie z przerażeniem. Oczy Starksa były teraz szeroko otwarte i utkwione w jej twarzy. Czające się w nich szaleństwo sprawiło, że Berry zaszlochała ze strachu.

– Umrzesz – wykrztusił zimnym głosem. – Umrzesz.

Wyrwała rękę i zatoczyła się do tyłu. Natrafiła na Nylanda i oparła się o niego, nie umiając uciec przed pełnym wściekłości spojrzeniem Starksa. Nagle jego powieki znowu zamrugały. Szyja niemal wygięła się w łuk, głowa uderzyła o poduszkę. Opatrunek, zasłaniający dziurę z boku jego czaszki i częściowo widoczny mózg, zsunął się na bok. Ciało Orena zaczęło się trząść.

– Ma drgawki! – krzyknęła stojąca najbliżej pielęgniarza.

Ski zdecydowanym ruchem odwrócił Berry i wyprowadził ją z pokoju. Kiedy znaleźli się na korytarzu, oparła się o niego całym ciężarem, a on wziął ją w ramiona.

Rozdział 27

SKI ZDAWAŁ SOBIE SPRAWĘ, ŻE JEŚLI WRÓCI DO BIURA SZERYFA

bezpośrednio po śmierci Orena Starksa, zostanie otoczony przez dziennikarzy oraz kolegów, którzy aż palili się do tego, by poznać wszystkie ponure szczegóły. Potrzebował trochę czasu, żeby wrócić do równowagi, postanowił więc zadzwonić w parę miejsc ze swojego domu, gdzie nikt nie powinien mu przerywać.

Miał przed sobą komórkę, dzbanek mocnej kawy i listę osób, do których należało się odezwać. Pierwsze miejsce zajmował szeryf Drummond. Najpierw, z odpowiednią w tej sytuacji powagą, przyjął wiadomość o marnym końcu Orena Starksa, a następnie udzielił pochwały swemu zastępcy z racji schwywania przestępcy.

– To był wspólny wysiłek, szefie.

Szeryf zbył tę skromną uwagę prychnięciem i zapytał o Caroline i Berry. Ski zapewnił go, że czują się na tyle dobrze, na ile jest to możliwe, po czym Drummond całkowicie go zaskoczył, oświadczając, że postanowił nie ubiegać się o ponowny wybór.

– Czas przekazać pałeczkę – rzekł. – Z przyjemnością poprę cię jako mojego następcę, Ski. Nie będzie lepszego kandydata i nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś bohaterem dnia.

– Doceniam pańskie zaufanie, szefie.

– Zasłużyłeś na nie. Zastanów się, czy nie chciałbyś kandydować.

Pogadamy o tym później.

Ski był podekscytowany i zadowolony, nie mógł jednak pozwolić sobie na rozmyślania o przyjemnie rysującej się przyszłości, ponieważ

wzywały go obowiązki. Spokojnie przytknął palec wskazujący do następnej pozycji na liście; był to numer domu opieki, w którym przebywała matka Orena Starksa. Pracownica działu administracji, która podniosła słuchawkę, przypomniała mu, że stan pensjonariuszki jest nie najlepszy.

– Nie reaguje na bodźce zewnętrzne, szeryfie.

– Rozumiem. Pomyślałem tylko, że powinna zostać oficjalnie powiadomiona o śmierci syna.

Ponieważ wśród papierów w domu Starksa w Houston nie znaleziono testamentu ani żadnego dokumentu wskazującego osobę bądź osoby, które miałyby zająć się jego sprawami, a matka nie była w stanie podjąć decyzji co do pochówku syna, Ski skontaktował się z zakładem pogrzebowym w Merritt.

Na koniec zatelefonował do detektywa Rodneya Allena z Houston i streścił mu przebieg wydarzeń, które doprowadziły do ujęcia Starksa.

– Nie miał żadnych szans na przeżycie – powiedział. – Nie z taką raną w głowie. Umarł dziś rano. Bardzo cierpiał i do ostatka życzył śmierci pannie Malone.

– Cieszcie się, że go schwytaliście.

– Cieszymy się, może mi pan wierzyć.

Allen poprosił o uzupełnienie dokumentacji niezbędnej do zamknięcia sprawy morderstwa Sally Buckland i Nyland obiecał, że postara się jak najszybciej to załatwić.

– Sprawdziłem Hanleya – odezwał się detektyw po chwili milczenia.

– To naprawdę przyzwoity gość – rzekł Ski. – Dobrze mieć kogoś takiego przy sobie w trudnej sytuacji.

– Skoro tak pan uważa...

– Tak uważam. – Ski rozłączył się, zanim Allen zdążył coś więcej

dodać.

I właśnie w tej chwili ktoś zapukał do drzwi wychodzących na podwórko z tyłu jego domu.

Berry patrzyła na Nylanda przez prostokątne szybki w górnej połowie drzwi, mając nadzieję, że uda jej się odgadnąć jego reakcję na tę nieoczekiwaną wizytę. Jednak zanim zdołała się zorientować, jakiego przyjęcia może się spodziewać, Ski już jej otworzył. Miał na sobie dżinsy i wypuszczoną na wierzch białą koszulę. Był bez butów.

– Cześć.

– Cześć.

Odsunął się, wpuszczając ją do środka. Wspięła się na ostatni stopień schodów i weszła do pachnącej świeżo zaparzoną kawą kuchni. Ogarnęła wzrokiem leżące na stole przedmioty, wśród nich notatnik z zapiskami zrobionymi zdecydowanym, męskim charakterem pisma.

– Pracujesz?

– Musiałem załatwić parę oficjalnych telefonów, ale właśnie skończyłem. Trzymasz się jakoś?

– Nawet całkiem nieźle.

Kilka minut po tym, jak Ski wyprowadził ją z pokoju Orena, lekarz stwierdził zgon pacjenta.

– Nie całkiem doszłam jeszcze do siebie, ale jest nie najgorzej – powtórzyła.

– To okropne przeżycie.

– Tak.

Wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów i znowu je wyjął. Wskazał głową kuchenny stół.

– Masz ochotę na kawę?

– Nie, dziękuję.

– Kiedy wyszliśmy ze szpitala, powiedziałaś, że wracasz do domu, żeby się przespać.

– Taki miałam zamiar, ale mama oświadczyła, że wszyscy powinniśmy coś zjeść. Dodge zaproponował, że po – jedzie do supermarketu i coś kupi, a ja pomyślałam, że przyjadę tu i zaproszę cię do nas. – Wzięła głęboki oddech, świadoma, że gra na zwłokę, i mimo wszystko gotowa zaryzykować. – Ale zaproszenie to tylko wymówka. Tak naprawdę przyjechałam, bo chciałam, żebyś mnie przytulił.

Wystarczył jeden długi krok i już był przy niej. Chwycił Berry w ramiona i mocno objął. Przez jakiś czas zupełnie jej to wystarczało. Dopiero po paru chwilach uniósł jej podbródek i pocałował ją, zdumiewająco łagodnie i delikatnie. Kiedy nieco się odsunął, popatrzył jej w oczy, jakby prosił o pozwolenie, i chyba wyczytał w nich to, czego szukał.

Pochylił głowę i potarł jej usta rozchyłonymi, głodnymi wargami. Berry otoczyła go ramionami. Jej dłonie spotkały się na linii jego kręgosłupa. Oboje kilka razy zmieniali kąt nachylenia głów, nie przerwali jednak pocałunku, dopóki Ski nie oderwał się od ust Berry, aby zacząć pieścić jej szyję.

– Czy moglibyśmy kontynuować bez ubrań?

Wydała cichy odgłos, który uznał za zgodę. Wziął ją za rękę i poprowadził przez cały dom do dużej, widnej sypialni. Z podziwem zauważyła, że łóżko było posłane, ale ten stan nie trwał długo. Ski ściągnął narzutę i natychmiast zaczął rozpinać bluzkę Berry, a potem biustonosz i zsunął miseczki. Ujął jej piersi w dłonie i znowu ją pocałował.

Wargi, język, opuszki palców. Pod wpływem ich tańca dyszała coraz szybciej, zupełnie bezradna, aż w końcu uświadomiła sobie, że rozlegające

się w pokoju ciche dźwięki wydobywają się z jej gardła. Ski nadal pieścił ją ustami, podczas gdy ręce sięgały pod spódnicę. Jedna dłoń spoczęła na pośladkach kobiety, druga wsunęła się z przodu pod majtki.

Jęknęła, ponieważ dokładnie wiedział, co należy robić, i robił to doskonale. Ruch jego palców szybko doprowadził ją prawie na krawędź orgazmu.

– Przestań, Ski – zamruczała. – Przestań.

– Nie – odparł cicho, nie odrywając ust od jej piersi.

Było jej aż zbyt dobrze. Jego dotyk, ledwo wyczuwalne pieścizny... Zaczęła kołysać się na jego dłoni, ujeżdżać ją. Ponaglana gorączkowo szeptanymi zachętami, odrzuciła zahamowania i pozwoliła, aby rozkosz zalała ją niczym potężna fala. Orgazm oszołomił ją i zostawił rozluźnioną i bezbronną w jego ramionach.

Położył ją na łóżku i odgarnął włosy z jej twarzy. Lekkim pocałunkiem musnął usta i zdjął z niej wszystko, co na sobie miała. Nie przestając patrzeć Berry prosto w oczy, szybko zrzucił z siebie T – shirt. Potem sprawnie rozpiął dżinsy, zsunął je w dół i cisnął na podłogę.

Pod spodniami był zupełnie nagi i ten niewiarygodnie podniecający widok sprawił, że poczuła, jak głęboko w jej ciele znowu rozwija się spirala rozkoszy. Ułożył się nad Berry, opierając się na sztywnych ramionach. Pełne szczerego zaciekawienia spojrzenie, jakim zmierzył jej ciało, onieśmieliło ją, a jednocześnie natchnęło pragnieniem, aby go dotknąć. I zrobiła to. Jego powieki opadły a oddech przyśpieszył gwałtownie, gdy kciukiem odnalazła to najbardziej wrażliwe miejsce i poczuła perlącą się tam wilgoć.

Kiedy wszedł w nią, przygryzła dolną wargę, aby powstrzymać jęk. Przyjęła jego ciężar całym ciałem. Instynktownie odciągnęła kolana, by

wpuścić go głębiej, a on odpowiedział nie tylko ruchem, ale także cicho wymruczaną litanią wulgaryzmów, szorstkim, prymitywnym językiem mężczyzny bez reszty pochłoniętego chwilą, całkowicie skoncentrowanego na akcie seksualnym.

Nyland leżał na plecach, ciasno obejmując Berry. Ich nogi były splecione. Zdążył już złapać oddech, lecz jego ciało wciąż pulsowało w rytmie doznań, których wspomnienie nadal pobudzało nerwy. I nic dziwnego, bo kobieta, która stała się przedmiotem jego pożądania, leżała w jego łóżku, całkiem naga i niewiarygodnie piękna.

– Było mi cudownie, gdy mnie pocałowałaś.

Jej zachrypnięty głos przeszył go strzałą żądz. Odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć.

– Wtedy gdy kochaliśmy się, rozumiesz. To było słodkie. Podniecające, jasne, ale także strasznie miłe. – Spojrzała na niego z dołu. – Wyjątkowo miłe.

Dla niego także miało to duże znaczenie. Nigdy wcześniej nie pocałował kobiety, głęboko i naprawdę, w czasie stosunku. Berry pewnie nie uwierzyłaby mu, gdyby jej to powiedział, było jeszcze zresztą za wcześnie na takie wyznania. Szczerze mówiąc, było za wcześnie, żeby czuć do świeżo poznanej kobiety to, co czuł do Berry, ale na to nic nie mógł poradzić.

Patrząc na nią teraz, pomyślał, że to naprawdę musiałyby być cholernie wspaniałe – przez resztę życia codziennie po przebudzeniu widzieć jej twarz na sąsiedniej poduszce... Ta refleksja była dziwnie natarczywa, prawie bolesna i do złudzenia przypominała tęsknotę.

– Nauczyłeś się tych paskudnych wyrażen w wojsku? – zagadnęła.

– O cholera – jęknął. – Co mówiłem?

– Nie pamiętasz?

– Byłem zajęty. Jeżeli wymknęło mi się coś obraźliwego, to przepraszam.

Rzuciła mu łobuzerski, lekko kpiący uśmieszek.

– Właściwie całkiem mi się to podobało.

– Taaaak?

– Taaaak.

Pocałowali się leniwie. Berry odsunęła się pierwsza.

– Tę bliznę też masz z wojska?

Zerknął na wypukłą, poszarpaną linię na udzie. Doświadczeni chirurdzy starali się ją oczyścić i uczynić mniej widoczną, lecz mimo ich wysiłków nadal wyglądała tak, jakby ktoś rozdarł jego ciało zardzewiałym otwieraczem do puszek, a potem zszył otwartą ranę drutem kolczastym.

– Powinienem być cię ostrzec.

– Możesz o tym mówić?

Pomasował nieprawdopodobnie miękki płatek jej ucha czubkami palców.

– Przywiozłem to z Afganistanu. Mieliśmy pilnować porządku i w razie potrzeby udzielać pomocy, nie wdawać się w potyczki. Talibowie zrozumieli to zupełnie inaczej. Mój oddział wszedł do domu faceta, który pracował jako nasz tłumacz. Zamierzaliśmy omówić kwestię bezpieczeństwa w pewnej szkole. Wpadliśmy w zasadzkę. Gość był talibem, a oni walczą, aby zwyciężyć. Krwawa jatka. Zabiliśmy ich wszystkich, w tym dwie kobiety i jednego dzieciaka, który wyglądał na jakieś trzynaście lat. Z całego naszego oddziału przeżyłem tylko ja i jeszcze jeden żołnierz, który nigdy nie doszedł do siebie po tej historii. – Ski spojrzał w oczy Berry.
– Miałem szczęście.

– Boli?

– Czasami przypomina mi o swojej obecności, ale niezbyt często. –

Uśmiechnął się lekko. – Masaż zwykle pomaga.

– A pocałunki?

Nie czekając na odpowiedź, zsunęła się niżej. Delikatnie przejechała palcem po bliźnie, biegnącej od kolana aż do pachwiny, a potem powtórzyła tę samą trasę leciuteńkimi muśnięciami warg. Położył dłoń na jej karku, nie mocno, w żadnym razie, wyłącznie po to, aby pokazać, jak mu dobrze i jak bardzo docenia fakt, że blizna nie budzi w niej obrzydzenia.

Po chwili pocałowała jego penisa, wzięła go w usta i wszystkie komórki w ciele Nylanda zaczęły dzwonić na alarm.

– O Boże. – Ostrożnie chwycił garść jej włosów i podciągnął ją do góry. – Przestań, Berry.

Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, dostrzegł wyraz niepewności w jej oczach. Wyglądała na odrobinę dotkniętą.

Przesunął kciukiem po jej wargach.

– Chcę, żebyś to zrobiła, przecież to jasne – odezwał się. – Poczuję się niesamowicie i pewnie za parę minut będę szlochał, że cię powstrzymałem, ale... Ale muszę ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

– Nigdzie się stąd nie wybieram.

– Słucham? – Potrząsnęła głową, nie kryjąc zdumienia.

– Z Merritt. Nie zamierzam się stąd wyprowadzać. Ludzie zastanawiają się, dlaczego zdecydowałem się zostać tu na dobre. Gadają, że brak mi ambicji, że marnuję się w tej dziurze, i może w pewnym stopniu to prawda, ale nie do końca. Widzisz, kiedy odszedłem z wojska, miałem dość widoku krwi i umierających, umierających w okropny sposób. Pragnąłem

być policjantem, marzyłem o tym od dziecka, lecz nie chciałem pracować w wielkim mieście, gdzie przemoc jest na porządku dziennym.

– Przemoc zdarza się wszędzie – szepnęła Berry. – Popatrz tylko na sprawę Starksa.

– Tak, ale nie codziennie. Jeśli nie liczyć ostatnich kilku dni, moim głównym zadaniem w Merritt jest utrzymywanie ładu i porządku. Robię tu coś dobrego. Jasne, ładuję przestępców do więzienia, jak to policjant. Robiłem naloty na składy narkotyków i czasami strzeliłem, nigdy jednak nie stawałem wobec wyboru, że albo zabiję jakąś kobietę, albo ona zabije mnie. Nie musiałem celować do chłopca, który jeszcze nie zaczął się golić.

– Przecież to była...

– Wojna, wiem. Na drugim końcu świata. Rozumiem to, naprawdę, ale przeczytaj tylko gazetę, Berry. Obejrzyj wiadomości. Chcę mieszkać i pracować w miejscu, gdzie istnieje mniejsza szansa na to, że kogoś zabiję. Mógłbym – mógłbym, rozumiesz? – zastanowić się, czy nie kandydować na szeryfa, kiedy Drummond odejdzie na emeryturę, lecz wyżej nie zamierzam sięgać. Nie chcę łądować się w coś tylko po to, by się dowiedzieć, że nie jestem człowiekiem, za którego się uważałem albo jakim chciałabyś mnie widzieć.

Uśmiechnęła się, nieszczególnie wesoło.

– Zabawne.

– Mnie to jakoś nie bawi.

– Nie, nie o to mi chodzi. Zabawne, bo wczoraj Dodge powiedział mi właściwie to samo.

– Jezu kochany, zaczynam gadać jak Dodge?

Odwróciła się ku niemu i przysunęła bliżej.

– Dodge i moja matka spali ze sobą wczoraj – zwierzyła mu się prawie

szeptem.

- Chyba nie pierwszy raz.
- Dodge jest moim ojcem.
- Od jak dawna o tym wiesz?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wiedziałaś?
- Domyśliłem się.
- W jaki sposób?

– Od początku patrzył na nią i na ciebie z takim wyrazem twarzy, który zupełnie do niego nie pasował. Innych ludzi z trudem trawi, a was darzy całkiem innym uczuciem, i to widać. Nietrudno było odgadnąć, z jakiego powodu.

Opowiedziała mu historię, którą poprzedniego wieczoru usłyszała z ust Dodge'a.

– Bardzo mi go żal – powiedziała na koniec. – Popelnił fatalny błąd, ale płaci za niego od trzydziestu lat. To okropnie długa kara za jeden grzech, nie sądzisz? Mamy też mi żal, bo był miłością jej życia, a żyła bez niego.

– A ty?

– Co ja?

– Dodge odszedł, Caroline pozwoliła mu odejść. Potrafisz im wybaczyć, że tak wybrali?

– Tak. Oboje mieli rację i mylili się.

– Hmm...

Uniosła się na łokciu i zajrzała Nylandowi w twarz.

- To było bardzo wymowne hmm. O co ci chodzi?
- Ty i Dodge jesteście bardzo podobni.
- Oboje mamy płaską klatkę piersiową.

Ski się uśmiechnął, ale nie pozwolił odwieść się od tematu.

– Nie to miałem na myśli.

– A co? Że oboje umiemy manipulować ludźmi? Że posłużyłam się jego metodą i próbowałam awansować po trupach?

– Chciałem powiedzieć, że jesteście gotowi przebaczyć wszystkim, ale nie sobie. – Ski wyraźnie starał się zachować cierpliwość.

Popatrzyła mu w oczy i zmarszczyła brwi.

– Może – odparła. – Chyba nigdy sobie nie wybaczę, że Oren wyrządził tyle zła.

– Nie ty jesteś odpowiedzialna za to, co się z nim stało. Po dokładnej analizie życia i zachowania kogoś, kto przekracza wszelkie granice, zwykle dziwne wydaje się tylko to, że nie przekroczył ich wcześniej. To nie była twoja wina, Berry!

– Doceniam, że mi to mówisz.

– Nie mówię tego ot, tak sobie, możesz mi wierzyć. Naprawdę tak myślę. W całej tej sprawie z Delray twoje wyrzuty sumienia są nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do winy. Jakie zasady stosuje twoja firma, kiedy pracownik odchodzi przed ukończeniem projektu? Co dzieje się z jego niedokończoną pracą?

– Wszystko zostaje w Delray – cicho odparła Berry.

– Czy Sally zabrała swoją pracę, gdy odchodziła?

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale jednak nie postąpiłam tak, jak należało. A już na pewno kierowałam się niewłaściwymi motywami.

– W porządku, może rzeczywiście górę wzięła ambicja. Trochę oszukiwałeś, to prawda, w pewnym momencie rzuciłeś zasady moralne w ką, ale teraz daj już spokój, jak powiedział Dodge. Przestań się wreszcie obwiniać, bo wyrzuty sumienia zeżrą cię żywcem.

- Nie wiem, jak to zrobić.
- Trzeba się tego nauczyć.
- Tak? – obrzuciła go ostrym spojrzeniem.
- Tak. Musisz codziennie próbować.

Pieszczotliwie dotknęła jego policzka.

– Czyżbym słyszała głos doświadczenia?

– Przekonałem ludzi z mojego oddziału, że możemy zaufać naszemu tłumaczowi – powiedział Ski, patrząc jej prosto w oczy.

Zrozumiała, co chciał powiedzieć, położyła głowę na jego piersi i mocno go objęła. Nyland posunął się dalej – wciągnął ją na siebie, tak że leżeli teraz twarzą w twarz. Berry znieruchomiała, gdy zaczął głaskać jej plecy czubkami palców. Gładził jej pośladki i uda, tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć. Ponieważ nie poruszała się, pomyślał, że może zasnęła. Nie przeszkadzało mu to. Chętnie leżałby tak z nią całymi godzinami, lecz gdy w końcu drgnęła i jęknęła z rozkoszy, ton jego pieszczot uległ zmianie.

– Tamtej pierwszej nocy w domu nad jeziorem błysnęło mi to – wyszeptał, wsuwając rękę między ich ciała i obejmując jej łono.

– Tak mi się właśnie wydawało.

– I zapragnąłem cię tam dotknąć. Pragnąłem tego bez przerwy. – Zaczął ją pieścić i poczuł jej przyśpieszony, gorący oddech w swoich ustach.

– A teraz...

– Ski – westchnęła.

– Pragnę cię.

Rozdział 28

BERRY I SKI WESZLI DO DOMU NAD JEZIOREM TYLNYMI DRZWIA-mi, lekko zniecierpliwieni, ale bez uczucia żalu.

W kuchni nie było nikogo. W całym domu panowała cisza.

– Puk, puk! – zawołała Berry.

– Tutaj jestem – głos Caroline popłynął ku nim z jadalni.

Ski pochylił się do ucha Berry.

– Dzięki Bogu – zamruczał. – Już myślałem, że przyłapaliśmy ich w trakcie tych samych czynności, przez które nie zjedliśmy drugiego śniadania.

– Ciiii...

Oboje z trudem powstrzymali chichot.

Caroline siedziała przy stole w jadalni, całkiem sama. Berry przeraziła się, widząc malujące się na twarzy matki przygnębienie.

– Co się stało?!

– Dodge odszedł.

– Jak to, odszedł?!

– Czego nie rozumiesz? – ostry ton Caroline zaskoczył ich wszystkich, a zwłaszcza ją samą. Bezradnie opuściła ramiona i podniosła rękę do czoła. – Przepraszam – szepnęła.

Berry usiadła obok niej i rzuciła pytające spojrzenie Nylandowi, który zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Rozłożył ręce, dając jej do zrozumienia, że nie ma pojęcia, jak zinterpretować zaskakujący zwrot akcji.

– Kiedy odszedł? – zapytała Berry.

– Po prostu nie wrócił ze sklepu. – Caroline splotła palce obu dłoni i zaraz je rozluźniła. – Gdy po półgodzinie nadal go nie było, zadzwoniłam na

jego komórkę. Nie odebrał i wtedy przyszło mi do głowy, że... – Z trudem stłumiła szloch. – Zajrzałam do gościnnego pokoju i zobaczyłam, że jego rzeczy też nie ma. Odszedł. – Ze złością otarła płynące po policzkach łzy. – Przez trzydzieści lat jakoś radziłam sobie bez niego, i to całkiem nieźle. Lepiej niż nieźle. Potem znowu go zobaczyłam i... W ciągu niecałych czterech dni stał się niezbędną częścią mojego życia. I teraz... – Ukryła twarz w dłoniach. – Teraz nienawidzę samej siebie za to, że znowu przez niego płaczę.

Wszyscy troje milczeli, dopóki Caroline nie opuściła rąk. Pierwsza odezwała się Berry.

– Przecież to nie było jednostronne, mamó. Ostatnią noc spędziliście razem.

Caroline uśmiechnęła się przez łzy i lekko skinęła głową.

– Było wam dobrze?

Starsza kobieta zaśmiała się cicho.

– Tak dobrze, jakbyśmy nigdy się nie rozstawali.

– Więc to niemożliwe, żeby Dodge tak po prostu odszedł bez słowa.

– Zrobił to.

– Nie powiedział nic, co wskazywałoby, że zamierza wyjechać? – zagadnął Ski.

– Coś go niepokoiło. Pytałam go o to w nocy i dziś rano, ale zbył mnie, powiedział, że to nic ważnego, rzucił jakiś żart. Wydaje mi się jednak...

– Że co? – ponaglił ją Ski.

– Że po prostu wykonał zadanie, z którym tu przyjechał. – Caroline bezradnie wzruszyła ramionami. – Przestępca został złapany, prawda? A Dodge nie miał ochoty na długie pożegnania, bał się tego.

Nyland odsunął krzesło od stołu, wstał i podszedł do okna. Wsunął dłonie do tylnych kieszeni dżinsów – Berry poznała już ten jego nawyk i szczerze go polubiła. Po chwili odwrócił się do obu kobiet.

– Z całym szacunkiem, Caroline, ale nie wydaje mi się, żebyś miała rację. W każdym razie nie do końca. Rzeczywiście coś go dręczyło.

– Co masz na myśli?

– Kiedy wychodziliśmy ze szpitala po śmierci Starksa, wspomniał mi o bransoletce, której nie mogła znaleźć Berry. Bardzo mu się nie podobało, że nie widzi żadnego logicznego wyjaśnienia tej kwestii i że nie wie, czy to tę samą znaleziono na przegubie Sally Buckland. Narzekał, że cała ta historia od początku była dziwna, że Oren Starks w ogóle nie zachowywał się jak metodyczny facet, na dodatek taki, który lubi zagadki. Coś naprawdę nie dawało mu spokoju, i nie była to tylko myśl o rozstaniu.

– Więc dlaczego wyjechał bez słowa? Dlaczego nie odbiera telefonów?

– Bo jest tchórzem – oświadczyła Berry.

– W takich sytuacjach rzeczywiście brakuje mu odwagi. – Caroline ujęła dłoń córki między swoje i uśmiechnęła się smutno. – Myślałam jednak, że mimo wszystko będzie chciał ci coś powiedzieć, nawet jeżeli ze mną wcale nie zamierzał się żegnać.

Tak jest znacznie lepiej, powiedział sobie Dodge, już któryś raz z rzędu. Przyjechał, a teraz wyjeżdża. Zrobił, co miał zrobić. Pomógł swojemu dziecku wydostać się z niezłego bagna. Winny umarł, zadanie zostało wykonane.

Rozwiązał też problem natury osobistej. Poznał córkę i nawiązał z nią dobry kontakt, znacznie lepszy, niż miałby prawo przypuszczać.

Jeśli chodzi o niego i Caroline, to nigdy w życiu nie przyszłoby mu do

głowy, że pójdzie z nim do łóżka. Nigdy! Tymczasem ta poprzednia noc...

Wystarczy, skarcił się ostro.

Wiedział, że jeżeli pozwoli swoim myślom podążać tym torem, zawróci i pojedzie z powrotem do Merritt. Ta noc, pełna czułości, była bonusem, darem, którego się nie spodziewał i na który nie zasłużył. Do śmierci będzie jej wdzięczny za ten niezwykły prezent. Do śmierci. I tyle.

Po co psuć piękne chwile łzawą sceną pożegnania? Lepiej wyjechać, i już.

Bez niego ich życie szybko wróci do normy. Parę dni i jego nieobecność okaże się równie niezauważalna jak fakt, że ktoś wyjął rękę z pełnego wody wiadra. Tak mawiał jego staruszek, kiedy Dodge groził mu ucieczką z domu.

– Wiesz, co się dzieje, gdy wyjmiesz rękę z wiadra z wodą? Ułamek sekundy i woda wygląda tak, jakby nic w niej nigdy nie było. Więc idź sobie, jeżeli chcesz, i przekonaj się, jak długo będę za tobą tęsknił.

No właśnie. Caroline ma pracę, która trzyma ją w pionie. Berry jest ambitna, uparta i utalentowana i szybko odzyska równowagę po traumatycznych przeżyciach ostatnich paru dni. A jeśli będzie potrzebowała wsparcia, jest przy niej Nyland ze swoimi potężnymi ramionami. I wielkim kutasem, niewątpliwie.

Jednak jeżeli zastępca szeryfa wyrządzi choćby najmniejszą krzywdę Berry, Dodge przyjedzie i zabije go.

Zaczęła dzwonić komórka, już któryś raz.

– Dlaczego ta przeklęta kobieta nie chce zrezygnować?!

Ale na ekranie ukazał się numer Dereka, razem z informacją, że odzywa się drugi raz tego dnia. Dodge uznał, że równie dobrze może mieć tę rozmowę za sobą.

- Tak? – warknął.
- Dodge?
- A niby kto? Do kogo dzwonisz?

Derek parsknął śmiechem.

- Ja też życzę ci miłego dnia!
- No, cześć.
- Jak się czujesz? Wszystko w porządku?
- Dlaczego miałoby być nie w porządku?
- Julie i ja trochę się już martwiliśmy. Mówiłeś, że zatelefonujesz, ale się nie odezwałeś.
- Byłem zajęty.
- Jak sprawy?
- Dobrze.
- Więc dlaczego jesteś taki wściekły?
- Bo pewnie każą mi zapłacić karę za palenie w tym przeklętym wynajętym samochodzie!
- I słusznie.
- To jawna dyskryminacja! Przydałby mi się dobry prawnik, który w moim imieniu wystąpiłby przed sądem, ale nie znam nikogo takiego.
- Bijesz poniżej pasa! Czyli jesteś naprawdę potężnie wkurzony! Co się dzieje?
- Nic. Już wracam.
- Tak szybko?
- Wylatuję dzisiaj wieczorem lub jutro rano, to zależy. – Od czego?
- Może zostanę tu dzisiaj i pójdę gdzieś na dobre meksykańskie żarcie, bo w Atlancie takiego nie uświadczysz.
- A ta sprawa, którą miałeś rozwiązać?

- Jest rozwiązana.
- To dobrze, doskonale. Zaczekaj chwilę.

Dodge usłyszał gorączkowe szepty w tle.

- Julie pyta, jak twoja córka – odezwał się Derek.

– W porządku.

– Więc widziałeś się z nią?

– Tak.

– I jakoś wszystko się ułożyło?

– Tak.

– Jaka ona jest?

– Podobna do matki.

– To dobrze czy źle?

– Słuchaj, radco prawny, nabijasz sobie rachunek.

– Daj spokój, Dodge, pogadaj ze mną.

– Przecież gadamy!

– Jeżeli masz jakiś kłopot i potrzebujesz mojej pomocy...

– Nie mam żadnych kłopotów, a twojej pomocy potrzebuję tylko przy płaceniu rachunku za telefon!

Derek zamilkł.

– Daj spokój – odezwał się po chwili. – Co się dzieje?

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Więc podaj mnie do sądu.

– Mówiłeś, że twoja córka ma poważne kłopoty, że w sprawę zamieszana jest policja.

– Pogratulować pamięci.

– Czy ta sprawa została rozwiązana?

- Tak, prawie.
- Prawie?
- Sprawca nie żyje, a jej nic już nie grozi.
- Więc dlaczego nie jesteś zadowolony?
- Kto tak powiedział?
- Przecież słyszę.

Dodge pomyślał nagle, że mógłby podzielić się z Derekiem swoim niepokojem i poprosić go o radę. Naprawdę cenił zdanie szefa, chociaż nigdy w życiu by się do tego nie przyznał. Jednak osobisty aspekt całej sprawy był mocno smętną historią, w której on, Dodge, odegrał raczej negatywną rolę. Nie chciał, by Derek i Julie zaczęli o nim źle myśleć, chociaż pewnie i tak nie myśleli za dobrze. A jeśli chodzi o jego wątpliwości, to pozostaną tylko wątpliwościami, i tyle. Nie było żadnych dowodów i tylko to się liczyło.

– Nie masz dosyć dramatów we własnym życiu, radco? – zapytał ze złością. – Musisz pożyczać moje?

Derek westchnął z rezygnacją.

– Spokojnego lotu.

Rozłączyli się. Podekscytowany, zły i spragniony nikotyny, Dodge zjechał na pobocze i zapalił. Znajdował się na rozstaju dróg, najdosłowniej. Tuż przed nim autostrada rozdzielała się na dwa ramiona – prawe prowadziło na lotnisko, gdzie wieczorem pewnie udałoby mu się złapać samolot do Atlanty, lewe prawie na pewno zawiodłoby go donikąd.

Tylko po co właściwie udawał, że jeszcze się zastanawia? Dlaczego od razu nie rusza w drogę? Załatwił już przecież wszystko, co należało.

Bzdury! Bzdury, w które sam nie potrafił uwierzyć.

Nie załatwił wszystkiego; wykradł się jak złodziej.

Uciekł, ponieważ brakowało mu odwagi, żeby się pożegnać. Dwie kobiety, które zostały w Merritt, niewątpliwie były teraz rozczarowane, wściekłe, może trochę smutne.

Zresztą nawet gdyby zupełnie nie brał pod uwagę ich uczuć, to i tak nosił w sobie ten niepokój, który powstrzymywał go przed wyniesieniem się z tego cholernego Teksasu.

– Cholera jasna!

Ostatni raz mocno zaciągnął się dymem i wyrzucił niedopałek przez okno. Zaklął pod nosem, wymyślając sobie od ostatnich idiotów, włączył silnik i przejechał przez cztery pasma, aby skręcić w lewo.

– Nie powinien pan tu wchodzić. Nie czyta pan napisów? Godziny odwiedzin już się skończyły.

Dodge odwrócił się od łóżka. Stojąca w drzwiach pielęgniarka miała najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu i była prawie kwadratowa. Jej kombinezon ozdabiał wzór w postaci twarzy klaunów, a włosy nosiła zaplecione w kilkadziesiąt zakończonych barwnymi koralikami warkoczyków, które opadały na ramiona.

Rzucił jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

– Bardzo podoba mi się pani fryzura.

Oparła na biodrze pięść wielkości szynki. Dodge natychmiast zmienił taktykę i przybrał pokorny wyraz twarzy.

– Musiałem przegapić ten napis, przykro mi.

– Yhmm – mruknęła z taką intonacją, jakby słyszała już absolutnie wszystkie wymówki.

Rozkołysanym krokiem zbliżyła się do łóżka i spojrzała na leżącą na nim drobną postać.

– Jak tam, skarbie? – zagadnęła. – Usiądziemy i pogawędzimy z tym

dżentelmenem, który złożył nam wizytę?

Z widocznym współczuciem pogładziła krótko ostrzyżone włosy chorej. Kobieta, która wydała na świat Orena Starksa, miała otwarte oczy, lecz poza tym nie dawała żadnych znaków życia.

– Zawsze taka jest, Glendo? – zapytał Dodge, który przeczytał imię na identyfikatorze przypiętym do kombinezonu pielęgniarce.

Zmierzyła go baczny spojrzeniem od stóp do głów.

– Jest pan krewnym?

– Przyjacielem rodziny.

– Znał pan jej syna, tego, który zginął? Dziś rano dostaliśmy wiadomość.

– Sam się zastrzelił. Na szczęście go nie znałem, ale sporo o nim wiem. Wyrządził ludziom dużo zła. – Dodge poczuł nagle rzadko ogarniające go pragnienie, aby powiedzieć prawdę. – Byłem przy jego ujęciu.

– Aha. – Znowu obrzuciła go szacującym spojrzeniem. – Wygląda pan na glinę. Ma pan broń?

Dodge odwrócił się do niej plecami i uniósł marynarkę.

Chrząknęła znacząco.

– Tu nie wolno nosić broni.

– Ten napis też musiałem przegapić.

Syknęła ze zniecierpliwieniem i pokręciła głową, jakby miała przed sobą beznadziejny przypadek, po czym znowu skupiła uwagę na pacjentce.

– Nie wydaje mi się, żeby śmierć syna miała dla niej jakieś znaczenie.

– Od dawna nie ma z nią kontaktu?

– Takie choroby postępują stopniowo, wie pan, jak to jest. Ona nie reaguje na bodźce od ponad roku. Część personelu ignoruje biedaczkę, ale ja

staram się nią porządnie opiekować i zawsze do niej mówię. – Glenda wyjęła chusteczkę z pudełka na nocnej szafce i otarła strumyczek śliny spływającej z rozchylnych warg pani Starks. – Rozmawiamy sobie, prawda, słonko? I mam nadzieję, że może kiedyś się do mnie odezwiesz.

– Jest pani świętą osobą, Glendo.

– A pan gada bzdury.

– Nie, naprawdę tak uważam.

– Ja też. – Jednak się uśmiechnęła.

Dodge roześmiał się głośno.

– Przyznaję się do winy, faktycznie często gadam bzdury.

– Co pan tu robi, panie policjancie?

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nie i tym razem nie gadam ot, tak sobie, słowo daję. – Z namysłem popatrzył na panią Starks. – Chyba liczyłem na to, że ona jakoś mi pomoże, rzuci światło na pewną sprawę.

– Jaka?

– Myślałem, że opowie mi o Orenie coś, co wyjaśni, dlaczego kompletnie mu odbiło, dlaczego zabił kobietę, szesnastoletniego chłopaka i staruszkę, a konając, życzył komuś śmierci.

– Mój Boże kochany. – Pielęgniarka potrząsnęła głową, aż koraliki głośno zagrzechotały. – Przykro mi, ale ona nie jest w stanie panu pomóc. Kiedy ostatnio Oren przyjeżdżał w odwiedziny, już go nie poznawała, chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że tu był.

Dodge zapytał, jak często Oren odwiedzał matkę i kiedy ostatni raz to się stało.

– Jakiś czas temu – odparła Glenda. – Parę miesięcy, może więcej.

Szczerze mówiąc... Tylko niech to zostanie między nami, dobrze? Oczywiście nigdy nie powiedziałabym tego na głos, gdyby ta biedaczka mogła mnie zrozumieć, ale...

– Będę milczał jak grób.

Pochyliła się w jego stronę.

– Nie lubiłam go – wyznała scenicznym szeptem.

– Nikt go nie lubił. Ja w ogóle go nie znałam, a i tak go nie lubiłam.

– Facet miał nierówno pod sufitem, wie pan? Właściwie to bałam się z nim rozmawiać, zawsze czułam się wtedy jakoś nieswojo.

Dodge kiwnął głową.

– Nigdy się nie cieszyłam, kiedy przyjeżdżał, za to zawsze żegnałam go z zadowoleniem. – Potężna dłoń Glendy zdumiewająco delikatnie pogładziła ramię chorej. – Biedactwo. Nikomu bym nie życzyła, żeby znalazł się w takim stanie jak ona, ale właściwie to chyba dobrze, że nie wie, jak nisko upadł jej syn. Nie zasłużyła na to, zwłaszcza po wszystkich tych smutnych przeżyciach.

Serce Dodge'a podskoczyło. Włosy na karku podniosły mu się pod wpływem napięcia.

– Glendo?

– Tak?

– Po jakich smutnych przeżyciach?

– Musisz jechać? – spytała Berry, kiedy Ski pocałował ją na pożegnanie, w tylnych drzwiach domu nad jeziorem.

– Obowiązek mnie wzywa. Muszę przygotować oficjalny komunikat dla dziennikarzy, powinienem porządnie się przyłożyć.

– Wrócisz na kolację? Mamie chyba dobrze zrobi, jeśli tu będziesz. – Otarła się o niego. – I mnie również.

Zaczął pieścić wargami jej ucho.

– Niemożliwe.

Roześmiała się, wyraźnie onieśmielona.

– Jestem tak bezwstydnie łatwa!

– Faktycznie nie było zbyt trudno cię zdobyć. – Pocałował ją z czułością. – Nakryj dla mnie, dobrze?

Pomachała mu, jak jakaś zakochana małolata patrzyła za jego terenówką, dopóki nie zniknęła za zakrętem podjazdu, a potem wbiegła po schodach na piętro, do gościnnego pokoju, w którym mieszkała od piątkowej nocy.

Weszła do środka i od razu zauważyła leżącą na łóżku sakiewkę z prezentami od Orena. Na sam jej widok dreszcz przebiegł jej po plecach. Tego ranka wyjęła ją z szafy w swojej sypialni, tej, w której do ubiegłego wieczoru sypiał Dodge. Gdy Ski zadzwonił z wiadomością, że Oren odzyskuje przytomność, wszyscy troje wybiegli z domu, zostawiając sakiewkę wraz z zawartością na kuchennym stole.

Kto przyniósł ją do tego pokoju? Nie chciała na nią patrzeć, lecz jeszcze większą niechęcią przejmowała ją myśl, że miałyby jej dotknąć, więc na razie zostawiła ją tam, gdzie była. Teraz pragnęła jak najszybciej poczuć na skórze gorący dotyk słońca i chłodny wody, przekonana, że kąpiel w jeziorze pomoże odegnąć wspomnienia ostatnich chwil życia Orena.

Szybko przebrała się w kostium, zbiegła na dół i zajrzała do sypialni matki. Korciło ją, żeby zapytać Caroline o sakiewkę, ale kiedy uchyliła drzwi, zobaczyła matkę zwiniętą w kłębek na łóżku, mocno obejmującą poduszkę, na której niewątpliwie spał Dodge. Berry domyśliła się, że biedaczka w końcu zasnęła, zmęczona płaczem, i postanowiła dać jej

spokój.

Skoczyła do jeziora z końca pomostu. Płynęła pod wodą, dopóki starczyło jej powietrza w płucach, a potem wychynęła na powierzchnię i ruszyła dalej energicznym crawlem. Napięcie w mięśniach powoli ustępowało, pokonane palącym, przyjemnym uczuciem fizycznego zmęczenia.

Kiedy miała już dosyć, położyła się na plecach i pozwoliła kołysać się łagodnym falom, wpatrzona w białe kłębiaste chmury. Mimo zmęczenia nie mogła przestać myśleć o dziwnych wydarzeniach, które miały miejsce w jej życiu od ostatniego razu, gdy wybrała się popływać.

Tyle złych rzeczy.

Ale także dobrych.

Poznała Dodge'a i, wbrew słowom Caroline, nie zamierzała przyjąć do wiadomości, że tak po prostu znowu je porzucił. Dodge kochał jej matkę, Berry była gotowa założyć się o połowę życia, że tak właśnie było. A ją chyba naprawdę polubił. O tym także była głęboko przekonana.

Nie, pomyślała nagle, Dodge wcale nie zniknął. Nawet jeżeli sam się ludził, że odchodzi na dobre, ona szybko wyprowadzi go z błędu.

No i był jeszcze Ski. Początek ich znajomości zaczął się burzliwie, lecz pod względem seksualnym byli do siebie idealnie dopasowani, a nawet więcej. Pozostawił ją jednocześnie spragnioną i zaspokojoną i chyba to samo odnosiło się do niego. Dawali sobie rozkosz, dopóki nie opadli z sił, ale nawet wtedy pożądanie nie mijało.

Poza wspaniałym seksem podobało jej się i to, że był solidny, pragmatycznie nastawiony do świata i kryształowo uczciwy, chociaż oczywiście dostrzegała również jego wady. Pociągał ją fizycznie, intelektualnie i emocjonalnie. Można powiedzieć, że chyba podniecająco

zbliżył się do ideału, do obrazu tego jednego.

Rozważając różne przyjemne możliwości, przewróciła się na brzuch, zanurkowała i popłynęła w kierunku pomostu. Gdy dotarła do drabinki, chwyciła najwyższy szczebel i już miała podciągnąć się w górę, kiedy nagle nad krawędzią molo pojawiła się czyjaś głowa.

TTLR

Rozdział 29

O REN STARKS PATRZYŁ NA NIĄ Z SZEROKIM, OBLEŚNYM uśmiechem.

– Niespodzianka!

Berry krzyknęła przeraźliwie i spróbowała odepchnąć się od szczebli, lecz złapał ją za przegub dłoni, zatrzasnął na nim obręcz kajdanków i z całej siły szarpnął.

– Wyłaż z wody!

Berry myślała tylko o tym, w jaki sposób uciec. Kopała i szarpała się. Usiłowała oswobodzić uwięzioną rękę, ale metal z coraz większym okrucieństwem wgryzał się w skórę i kość.

– Berry, jeśli natychmiast nie wyjdiesz z wody, zabiję twoją matkę! – Oren postukał kolbą rewolweru w deski pomostu. – Bang, bang i po wszystkim!

Od razu przestała walczyć.

Uśmiechnął się pogodnie.

– Dzięki, skarbie.

Wpatrywała się w niego, osłupiała z przerażenia. Zęby głośno jej szczękały. Nie była w stanie się odezwać.

– Można by pomyśleć, że zobaczyłaś ducha. Sądziłaś, że nie żyję, co?

Bez słowa pokiwała głową.

– No, najwyraźniej się pomyliłaś. – Starks szarpnął kajdankami. – Wyłaż z wody!

– Nie. Nie mogę.

– Beerr – rry! – zaśpiewał, prawie pieszczotliwie. – Liczę do trzech! Raz, dwa...

– Dobrze! – z trudem złapała oddech. – Już wychodzę, ale musisz puścić moją rękę, bo nie dam rady wejść po drabince.

Przytknął lufę do grzbietu jej nosa.

– Jestem pewien, że te twoje długie, kształtne uda dadzą radę wszelkim wyzwaniom. Jestem pewien.

– Potrzebuję obu rąk, żeby się podciągnąć.

– Naprawdę nadużywasz mojej cierpliwości, Berry! Albo jakoś poradzisz sobie jedną ręką, albo rozwalę ci głowę jednym strzałem, a potem pójdę do domu i to samo zrobię twojej matce, jasne? Naturalnie najpierw wsadzę jej fiuta we wszystkie otwory, jakie posiada, rozumiemy się? Jeżeli sądzisz, że mnie na to nie stać, to przypomnij sobie Sally, skarbie.

Skoro mógł powstać z martwych, to rzeczywiście stać go było na wszystko. Nie widząc innego wyjścia, Berry postawiła stopę na najniższym szczeblu, ale dygotała tak mocno, że się poślizgnęła. Upadła do przodu i uderzyła podbródkiem w metalowy szczebel.

– Szybciej! – syknął Oren.

Najwyraźniej przyszło mu do głowy dokładnie to samo co jej – że w pobliżu może pojawić się jakaś łódź i Berry zacznie wzywać pomocy. Co chwilę odrywał od niej wzrok i zerkał na jezioro. Niestety, jak to w powszedni dzień, niewielu entuzjastów żeglarstwa wybrało się popływać, a ten zakątek był zupełnie pusty.

Berry podciągnęła się na pomost. Przez moment zastanawiała się, czy nie opuścić głowy i nie rzucić się prosto na Starksa, zaskakując go agresywnym atakiem, wiedziała jednak, że nawet wtedy mógłby do niej strzelić, a jej matka nadal byłaby kompletnie bezradna i bezbronna.

Poza tym wcale nie miała pewności, czy stać ją na taki wysiłek. Wciąż drżała na całym ciele ze strachu i zimna. Ponieważ lekki wiatr chłodził jej

mokrą skórę, znowu zaczęła szczekać zębami.

Oren uśmiechnął się i szturchnął jej sztywny sutek łufą.

– Zrobiłem ci takie zdjęcie – powiedział. – Widziałaś je? Leżysz wyciągnięta na pomoście, chyba w wietrzny dzień.

Wystawił język i wykonał nim kilka obscenicznych ruchów.

Berry go zignorowała, gorączkowo zastanawiając się, jak to możliwe, że Oren żyje i najwidoczniej ma się doskonale. Widziała przecież jego mózg, widziała, jak konał w konwulsjach. Lekarz powiedział, że Starks umarł, a jednak teraz miała go przed sobą. Głębsze i płytsze zadrapania na jego twarzy i ramionach, pozostałości po ucieczce przez Thicket, zniknęły bez śladu, nie miał też złamanej nogi.

Jedyna różnica między Orenem, którego widziała w tej chwili, a tym, który zaskoczył ją w łazience w ubiegły piątek, polegała na tym, że ten dzisiejszy miał ogoloną głowę. Gładką jak kula bilardowa.

Określił ją dookoła, szarpnął jej ramię do tyłu, skuwając obie ręce na plecach kajdankami, i pchnął Berry w kierunku domu. Nawet nie zwrócił uwagi, że potknęła się i niemal upadła.

– Kim jesteś?

– Jestem Oren, głuptasie, a co myślałaś?

– Przecież ty nie żyjesz.

– Umarlakom nie staje tak jak mnie na widok twoich sutków.

– Rzeczywiście jesteś Orenem – powiedziała. – To gówniarski, chamski dowcip, typowy dla ciebie.

Mocno uderzył ją kolbą w skroń. Nie spodziewała się ciosu i ból całkowicie ją oszołomił. Osunęła się na kolana, poczuła kolejną falę bólu i skuliła się. Żołądek podszedł jej do gardła, poczuła gorzki smak żółci i musiała ją wypluć, żeby jęknąć. Oren chwycił ją za włosy i podciągnął do

góry. Strumyczek krwi wpadł jej do oka.

– Widzisz, do czego mnie zmuszasz? – zamruczał. – To właśnie ta twoja wyniosłość sprawiła, że znalazłaś się w takiej sytuacji, Berry. Sama jesteś sobie winna, rozumiesz?

Zachwiała się, na wpół oślepiąca bólem głowy i krwią, która skapywała jej prosto do oka. Nagle zalała ją fala nienawiści i obrzydzenia do Starksa.

– Pieprz się!

Roześmiał się.

– Może i będę się pieprzył, jeszcze nie zdecydowałem. W tej chwili wyglądasz jak wcielenie diabła, moja droga, więc raczej nie wydajesz mi się szczególnie pociągająca, ale jeszcze się zastanowię. Na razie będę musiał zadowolić się twoją matką, a ty tylko sobie popatrzysz, dobra?

Mówił to takim tonem, jak gdyby właśnie wymyślił nową, świetną zabawę.

– Potem zabiję ją na twoich oczach, Berry, i dopiero później zajmę się tobą.

– Miał brata bliźniaka!

– Co takiego?

– Miał brata bliźniaka, identycznego!

Ski gwałtownie wyprostował się na krześle. W słuchawce Dodge dyszał tak ciężko, jakby jeszcze przed sekundą zajmował się przerzucaniem bel siana.

– Pojechałem do domu opieki, w którym przebywa jego matka – wykrztusił, z trudem łapiąc oddech, lecz mimo to mówił całkiem wyraźnie.
– Opiekująca się nią pielęgniarka powiedziała mi, że pani Starks miała

dwóch synów, jednojajowych bliźniaków!

– Kurwa mać!

– Co ty nie powiesz. Gość, którego wyciągnęliśmy z mokradła, to brat Orena, dam głowę!

– O cholera!

– Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Czułem, że coś zgrzyta, tylko nie wiedziałem co. Obu nam się wydawało, że Oren, którego opisała nam Berry, raczej na pewno nie ukryłby się w środku dzikiego lasu.

– Teraz sprawa jest jasna – to nie Oren.

– Ale to on był mózgiem całej akcji.

– Też tak uważam.

– A to znaczy...

– Że teraz zapoluje na Berry! – Ski już okrążał biurko. – Jadę tam!

Gdzie jesteś?

– Pędzę przez Houston. Zrobię wszystko, żeby jak najszybciej być na miejscu.

Ski nie marnował czasu na podziękowania. Rozłączył się i zaczął wykrzykiwać nazwiska innych zastępców, którzy znajdowali się w głównym pokoju, w tym samym czasie wybierając numer domu nad jeziorem.

Słuchawkę podniosła Caroline.

– Caroline, tu Ski. Gdzie jest Berry?

– Och, chwileczkę. Obudziłeś mnie. Zaraz.

– Musisz ją znaleźć!

– Mówiła, że może pójdzie popływać.

– Jeżeli jest na zewnątrz, każ jej wracać. Nie wychodźcie z domu i włączcie alarm. Miejcie broń pod ręką! – Zasłonił słuchawkę i zwrócił się do ludzi, którzy już zebrali się wokół niego. – Bądźcie w pogotowiu, mamy

nowy zwrot akcji w sprawie Starksa! – Wziął głęboki oddech i podjął rozmowę z Caroline. – Oren Starks żyje.

– Słucham?!

– Facet, który umarł, był jego bliźniaczym bratem.

– Co takiego?!

– Dodge pojechał do Houston, do domu opieki, w którym mieszka matka Orena. Powiedziała mu o tym pielęgniarka, która się nią zajmuje, nic więcej nie wiem.

– Gdzie jest Dodge?

– Wraca, bardzo się śpieszy. Ostrzeż Berry, dobrze?

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Zadzwońcie do mnie, kiedy obie będziecie już w domu. Muszę podzwonić w parę miejsc, ale jeżeli puścisz mi sygnał, na pewno odbiorę. Nie zapomnij o tym!

– Dobrze, obiecuję.

Ski przerwał połączenie i odwrócił się do swoich ludzi.

– Jak najszybciej wyślijcie wodny patrol na jezioro! – polecił. – Trzeba natychmiast sprawdzić zatoczkę, nad którą znajduje się dom pani King.

– Myślałem, że ten cholerny dupek nie żyje – jeden z mężczyzn pokręcił głową.

– Nie żyje jego brat bliźniak. Sam Starks nadal znajduje się na wolności, uzbrojony i niebezpieczny.

Ski rozdzielił zadania i poprosił siedzącą przy centrali kobietę, żeby zawiadomiła wszystkie służby.

– Miejską policję, Strażników, FBI, wszystkich, rozumiemy się?

– Jasne!

Sam zatelefonował do detektywów z Houston. Rodney Allen był chwilowo nieosiągalny, pod telefonem został tylko Somerville, który bez emocji i uwag wysłuchał raportu Nylanda.

– Poinformuję detektywa Allena – oświadczył chłodno. – Sprawdzimy dom Orena Starksa i roześlemy wiadomość.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Niech pan powie Allenowi, że sprawę rozgryź Dodge Hanley.

Ski zakończył rozmowę, otworzył schowek na broń i wyjął karabin z teleskopowym obiektywem. Siedzący przy telefonie Stevens uniósł brwi na widok Nylanda, który przeszedł obok jego biurka, niosąc na ramieniu potężną giwerę.

– Wytaczamy ciężką artylerię, Ski?

– Żebyś wiedział.

Caroline wpadła do kuchni w momencie, gdy Oren wepchnął Berry do środka wychodzącymi na podwórko drzwiami.

Kobieta krzyknęła i rzuciła się na pomoc córce, która upadła, mocno uderzając barkiem o podłogę.

Oren przycisnął lufę do brzucha Caroline.

– Zostaw telefon! Zostaw telefon, ale już!

Upuściła na ziemię bezprzewodową słuchawkę. Starks przesunął ją po podłodze czubkiem buta, celnym kopniakiem skierował na zewnątrz i zatrzasnął drzwi.

Berry z trudem dźwignęła się do pozycji siedzącej. Odgarnęła włosy do tyłu i spojrzała na matkę, mrugając raz po raz, aby pozbyć się

spływającej do oka krwi. Caroline wydała zduszony okrzyk na widok jej poranionej głowy.

– Co on ci zrobił?!

– Nic mi nie jest, mamó.

Berry próbowała wstać, lecz Oren położył rękę na jej ramieniu i pchnął ją z powrotem na podłogę.

– Pozwoliłem ci się podnieść?!

– Niech pan nie robi jej krzywdy – jęknęła Caroline.

– Och, zrobię jej krzywdę, bez dwóch zdań. I tobie także.

– Moja mama nie ma z tym nic wspólnego, to o mnie ci chodzi. Puść ją.

Oren parsknął śmiechem.

– Jasne, jasne. Pozwoliłem Carlowi ją także zabić, gdyby przypadkiem była w tym domu w ubiegły piątek wieczorem.

Berry popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Carl?

– Mój brat bliźniak.

– Bliźniak? – powtórzyła słabo.

– Bliźniak? – Starks wykrzywił usta, przedrzeźniając ją.

Wypełnione krwią oczy Berry spoczęły na twarzy matki, starając się ocenić, czy coś z tego rozumie, lecz Caroline wpatrywała się w Starksa, pozornie zupełnie zubożniała, być może w rezultacie szoku wywołanego nagłym pojawieniem się człowieka, którego obie uważały za zmarłego.

– Carl przez całe życie wisiał mi na szyi jak młyński kamień – podjął opowieść mężczyzna. – Nie mogłem mieć przyjaciół, bo ten gnojek był najzwyklejszym psycholem. Nikt nie chciał przychodzić do naszego domu, a ja nigdy nie mogłem wyjść pobawić się z innymi dziećmi, ponieważ

musiałem bawić się z nim. Wreszcie moja durna matka umieściła go w domu wariatów, gdzie spędził wiele lat. To był nasz mroczny rodzinny sekret, ciii... Przeprowadziliśmy się z Beaumont do Houston. „Nie mówmy nikomu o twoim bracie i jego chorobie, Orenie!” Zupełnie jakbym miał ochotę obwieścić całemu światu, że brat, mój towarzysz z macicy, jest szaleńcem. – Zachichotał, wyraźnie rozbawiony. – Dzięki Bogu, w końcu udało mi się go pozbyć. Głupi skurwiel. Nawet zabić się nie umiał, wszystko musiał spieprzyć. – Nagle w głosie Starksa zabrzmiała inna nuta. – Dokąd to się wybierasz, do diabła?!

Złapał Caroline w połowie drogi do drzwi jadalni. Berry przypomniała sobie, że na stole leżała komórka matki. Wcześniej Caroline usiłowała dodzwonić się z niej do Dodge’a.

Dlaczego cię tu nie ma, Dodge?

Gdzie jesteś, Ski?

Nie mogła liczyć na to, że ktoś je uratuje. Musiała stoczyć tę walkę sama, całkiem sama. To od niej zależało, czy ona i Caroline przeżyją.

Nyland pędził już w kierunku domu nad jeziorem, kiedy zadzwonił jego telefon. Odebrał, nie sprawdzając kto to.

– Berry?

– Tu szeryf Drummond. Czy dobrze zrozumiałem, że Oren Starks nadal przebywa na wolności?

– Obawiam się, że tak, szefie.

Ski przedstawił Drummondowi skróconą wersję wydarzeń. Szeryf właśnie zaczął coś mówić, gdy Ski usłyszał sygnał oznaczający, że ktoś czeka na połączenie.

– Przepraszam! – rzucił. – Szczegóły przekażę, kiedy je poznam, a teraz muszę odebrać drugi telefon.

Nawet nie zaczekał, aż Drummond się pożegna.

– Berry?

– Ski, mamy tu problem! – w słuchawce rozległ się głos innego zastępcy.

– Wal!

– Czyjeś konie uciekły z pastwiska.

Myśli Nylanda były tak skupione na kryzysowej sytuacji, że minęła dłuższa chwila, zanim zorientował się, o czym mowa.

– Konie?

– Biegają po autostradzie, kompletnie przerażone. Kierowcy muszą je omijać. Kazałeś nam sprawdzić wszystkie miejsca, gdzie się wynajmuje łodzie, i właśnie tym się z Andym zajmujemy. Sęk w tym, że nie możemy się rozdzielić, a jeżeli ktoś potrąci jakiegoś konia...

Nylandowi nie trzeba było tłumaczyć, co się wówczas stanie. Zwierzę zginie, lecz kierowca również ma na to szansę. Albo dozna poważnych obrażeń.

– Jesteście w jednym samochodzie? – zapytał.

– Tak. Stevens zamierzał wziąć...

– Nieważne! Zagońcie konie z powrotem na pastwisko, a później dalej sprawdzajcie punkty wynajmu łodzi. I informujcie mnie, co się dzieje.

– Jasne.

Ski sprawdził, czy w międzyczasie ktoś do niego nie dzwonił, przekonany, że musiał przegapić jakiś telefon. Mylił się. Wybrał numer domu nad jeziorem i czekał, dopóki nie włączyła się poczta głosowa. Zaklął i spróbował skontaktować się z Berry, lecz efekt był taki sam. Zerknął na zegarek. Od chwili gdy skończył rozmawiać z Caroline, minęło siedem minut. Ponownie wystukał numer stacjonarny, lecz w domu pani King nadal

nikt nie odbierał. Skontaktował się z Dodge'em.

– Mów, co się dzieje.

– Mógłbyś zadzwonić na komórkę Caroline? – odezwał się Ski. – Nie mam jej numeru.

Powiedział, że miała do niego zatelefonować.

– Obiecała, że ona albo Berry dadzą mi znać, czy wszystko w porządku, ale się nie odezwały.

– Jesteś w drodze nad jezioro?

– Właśnie skręcam w Lake Road. Zaraz znowu spróbuję złapać Berry, a ty zadzwoń do Caroline.

– Już się robi.

Nyland wybrał numer telefonu Berry, a potem ponownie stacjonarnego. I tu, i tu włączyła się poczta. Od rozmowy z Caroline mijala jedenasta minuta. Wystarczająco dużo czasu, aby zdążyła ściągnąć córkę do domu. Chyba że Berry poszła pływać w jeziorze, nie w basenie – pomyślał, z pewną ulgą witając tę możliwość.

Kiedy Caroline wspomniała, że Berry chciała popływać, automatycznie pomyślał o basenie, tuż za tarasem. Jeśli jednak wybrała jezioro, sprowadzenie jej do domu musiałyby potrwać nieco dłużej.

Caroline musi dotrzeć na sam koniec pomostu i zawołać córkę. Niewykluczone, że wypłynęła daleko i nie od razu zauważyła machającą do niej matkę. Śmiało można założyć, że cała operacja zajęłaby kilkanaście minut.

Dzwonek telefonu.

– Berry?

– To ja – powiedział Dodge. – Caroline nie odpowiada.

– Jezu Chryste! Powinienem jej przypomnieć, żeby wzięła ze sobą

telefon!

– Caroline nie jest głupia, Ski.

Dodge miał absolutną rację. Caroline nie należała do tych, którym trzeba tłumaczyć takie proste rzeczy. Na pewno natychmiast się zorientowała, co to oznacza, że Starks żyje i nadal przebywa na wolności. I zastosowała wszelkie możliwe środki ostrożności, czyli zabrała ze sobą aparat.

Myśli Dodge'a biegły tym samym torem.

– Skoro nie zadzwoniła, to znaczy, że nie mogła.

Żołądek Nylanda skurczył się ze zdenerwowania. Mężczyzna zaczął kłaść, potem się modlić i wcisnął gaz do dechy.

Oren zaprowadził obie kobiety do salonu, cały czas trzymając je na muszce. Ruchem głowy kazał Caroline usiąść na kanapie. Berry nadal stała przed nim, z lufą przytkniętą do skroni.

– Uroczy pokój – zauważył uprzejmym tonem, rozglądając się dookoła.

– Byłeś tu – powiedziała Berry. – Zabrałeś bransoletkę.

Zaśmiał się.

– Więc spostrzegłaś, że jej nie ma? Byłem ciekaw, czy się zorientujesz. Myślałem, że może zaczniesz jej szukać, kiedy zobaczysz tę na ręku Sally, i okazuje się, że miałem rację.

– Byłeś tu także dziś rano, w czasie naszej nieobecności.

Znowu parsknął śmiechem.

– Znalazłaś sakiewkę w pokoju gościnnym? Chyba nie mogę winić cię za to, że przeniosłaś się do innego, jak sądzisz? Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy zobaczyłem podarunki, które ode mnie dostałaś, na stole w kuchni. Włożyłem je z powrotem do torebki i nawet dorzuciłem kopie paru

zdjęć, które ci zrobiłem, tych zbliżeń. – Obscenicznie oblizwał wargi.

Berry z obrzydzeniem odwróciła wzrok, lecz Starks wcisnął jej lufę rewolweru w policzek i zmusił, żeby na niego popatrzyła.

– W zeszły piątek wieczorem przyjechał tu Carl, nie ja. Przygotowałem mu teren, pokazałem fotografie i naszkicowałem plan domu. Tysiąc razy mówiłem, żeby zaczekał, aż ty i Ben wskoczycie do łóżka. Miał zastrzelić was oboje i uciec. Wszystko wskazywało na to, że mu się uda, ale nawet najlepsze plany... – Starks westchnął.

Wolną ręką sięgnął po stojące na końcu stołu oprawione w ramkę zdjęcie i uważnie mu się przyjrzał.

– Jesteś bardzo fotogeniczna – zwrócił się do Caroline. – Tak samo jak Berry.

Caroline zmierzyła go morderczym spojrzeniem.

– Powiedziałeś, że Carl był w zakładzie psychiatrycznym – odezwała się Berry. – Kiedy go wypuszczono?

– Jakieś dwa lata temu. Państwo uznało go za wyleczonego. Z powodu fatalnego stanu zdrowia matki teraz ja miałem obowiązek go utrzymywać. Był przekleństwem mojego dzieciństwa, a teraz miałem odpowiadać za niego do końca jego dni. Wspaniałe, co? Tak się jednak złożyło, że gdy zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób zemścić się na was, wszystkich tych potworach z Delray, wpadłem na znakomity pomysł, jak wykorzystać psychologa. Zafundowałem mu gruntowne pranie mózgu, przez wiele dni powtarzałem bez końca, że jesteś z gruntu zła, że trzeba cię zabić, że musi to zrobić, jeśli chce iść do nieba i na zawsze połączyć się z mamusią.

Chichot Orena przyprowadził Berry o dreszcz.

– I podziałało!

– Nie do końca – chłodno rzuciła Caroline.

Berry była zaskoczona i wdzięczna, że matka wykazuje się tak ogromnym opanowaniem. Nie wątpiła, że boi się tak samo jak ona, jednak całkiem skutecznie grała rolę zupełnie spokojnej.

– Moja mama ma rację. – Berry spojrzała na Orena. – Carl popełnił mnóstwo błędów. Ben przeżył, to po pierwsze. Po drugie, twój brat wpadł w panikę i nie był w stanie do mnie strzelić. A później...

– Zamknij się! – szczechnął Starks. – Wiem, wiem o wszystkim!

– Dowiedziałeś się od Carla? Widziałeś się z nim po piątkowej nocy?

– To Carl był idiotą, nie ja, Berry! Nie spotkałem się z nim, to chyba oczywiste, ale dałem mu komórkę, żebyśmy mogli się kontaktować. Miał zadzwonić do mnie natychmiast po załatwieniu sprawy, lecz gdy w końcu zatelefonował, płakał i zawodził, że mnie zawiódł, i ryczał, że teraz nie pójdzie do nieba. Szczegóły usłyszałem w wiadomościach. Oren Starks był poszukiwany, musiałem więc usunąć Carla z pola widzenia. Kazałem mu znaleźć sobie jakąś kryjówkę.

– Motel.

– Wydawało się, że to dobry pomysł – odparł gniewnie. – Całe to zamieszanie było...

– Zginął niewinny chłopiec!

Oren wzruszył ramionami.

– Widać przyszedł jego czas.

– To samo powiesz o panu Mittmayerze, prawda?

– Wściekłem się na Carla, gdy o tym usłyszałem. Porwanie przyczepę było sprytnym posunięciem, ale niepotrzebnie tak mocno walnął starego w głowę. – Oren w zamyśleniu postukał palcem w dolną wargę. – Chociaż ostatecznie wypadło to nie najgorzej. Carl wpadł w morderczy szal, jak

nazwali to w telewizji, a przez ostatnie morderstwo wyszedł na jeszcze gorszego wariata.

– Zaczął się łamać.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo. – Oren wymownie przewrócił oczami.

– Powiedziałeś mu, że pójdzie do nieba, jeśli się zabije. Że nie ma innego wyjścia.

– Naturalnie. Kazałem mu wejść głęboko w Big Thicket.

– To był dziwaczny pomysł. Dlaczego akurat tam?

– Bo im trudniejsza akcja, tym bardziej wszyscy byliby później wykończeni. Liczyłem, że twój przyjaciel Nyland odetchnie z ulgą i zapomni o czujności, rozumiesz?

Berry nie odpowiedziała.

– Carl miał wyrzucić komórkę w takim miejscu, żeby nikt nie mógł jej znaleźć, a później się zastrzelić – ciągnął Starks. – Obiecałem mu, że nie będzie cierpieł i pójdzie prosto do nieba, że tam zaczeka na mamę, która wkrótce do niego dołączy. Szkoda, że go nie słyszałaś. Był taki szczęśliwy, rozplakał się z radości. Ale niestety. – Oren zrobił kolejną dramatyczną przerwę. – Ten głąb nawet tego nie umiał zrobić jak należy.

– Dlatego sam zabiłeś Sally, tak? By mieć pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem?

Starks zarechotał.

– Tak, jednak i dlatego, żeby cała zabawa nie przypadła w udziale tylko Carlowi.

Berry z trudem przełknęła ślinę.

– Wróciła do domu i zastała mnie w salonie. – Uśmiechnął się, jakby przypominał sobie tę scenę z prawdziwą przyjemnością. – Wiedziała już o

strzelaninie z poprzedniego wieczoru i zdawała sobie sprawę, co oznacza moja obecność w jej domu. Przeczuwała, co dla niej szykuje. – Zaśmiał się cicho. – Miałem w zanadrzu kilka niespodzianek, które obmyśliłem specjalnie dla niej.

Berry stłumiła kolejną falę mdłości.

– Obiecałem, że jeżeli wypadnie przekonująco, rozmawiając z policją, nie zabiję jej, a ona mi uwierzyła. – Starks zaniósł się śmiechem. – Spędziliśmy razem sporo cudownych chwil, mam jednak wrażenie, że kiedy w końcu ją zabiłem, przyjęła to z ulgą.

Berry spojrzała na Caroline. Ich oczy spotkały się i przekazały sobie dość oczywistą w tej sytuacji wiadomość – los Sally Buckland z całą pewnością przypadnie im w udziale, chyba że same temu zapobiegną. Podczas gdy Starks mówił, Berry rozglądała się po pokoju, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń. Pogrzebacz stojący przy kominku? Mosiężny świecznik? Kryształowa waza?

Żaden z tych przedmiotów nie wyglądał na wystarczająco skuteczny, zresztą nawet gdyby w salonie znajdowało się coś znacznie odpowiedniejszego, Berry i tak miała skute ręce, a jej matka była zbyt drobna i wiotka, aby obezwładnić Orena, który niewątpliwie bez trudu zdołałby ją zastrzelić.

Uznała więc, że jedynym ratunkiem będzie głaskanie ego Starksa poprzez zadawanie mu kolejnych pytań. Musiała bezustannie go obserwować, z nadzieją, że jakimś cudem uda im się uśpić jego czujność, i w odpowiednim momencie zacząć działać. Jak słusznie zauważył, miała długie, mocne nogi.

– Rzeczywiście świetnie to wszystko zaplanowałeś – powiedziała.

– Prawda?

– Ale jednak sporo ryzykowałeś, dzwoniąc do mnie z Houston z komórki Sally po tym, jak zostałeś zauważony w Walmarcie.

– W Walmarcie był Carl, rzecz jasna. Ja przebywałem w tym czasie w domu Sally, zastanawiając się, co zrobić z jej ciałem. Oren Starks wszedł do sklepu o trzeciej nad ranem i kupił buty. Parę godzin później podjechał pod stadion Astros w Houston. Mój telefon do ciebie faktycznie był ryzykowny, ale wprowadził jeszcze większe zamieszanie i zamknął poszukiwania Carla w Merritt i okolicy, oczywiście do następnego ranka, gdy znaleziono tych starych w przyczepie campingowej. Jednak do tego czasu udało mi się już namówić brata, żeby wszedł do lasu i zakończył sprawę.

– Dlaczego zawiozłeś zwłoki Sally do mojego domu?

– Ponieważ powiedziałaś mi, że w poniedziałek masz prezentację dla klienta. Znałem cię i podejrzewałem, że wydarzenia w Merritt nie zmienią twoich planów. I miałem rację, prawda? Doszedłem do wniosku, że w niedzielę wieczorem przyjedziesz do Houston, żeby się przygotować, i pomyślałem, że taka dodatkowa mała niespodzianka wzbudzi niemałe zdziwienie. I znowu się nie myliłem. A właśnie, miałem zapytać, czy rozpoznałaś piosenkę, którą nuciłem w czasie naszej pogawędki przez telefon. To *Spinning Wheel*, skarbie.

Berry nie odpowiedziała. Postanowiła nie dawać mu tej satysfakcji.

– Nadal niewiele wskazuje na to, aby miało ci się udać – zauważyła po chwili.

– Sądzisz, że coś zaniedbałem? Nie. Na ubiegły weekend przygotowałem sobie kilka różnych alibi. W sobotę rano pojechałem do Luizjany i wynająłem domek na całe lato, wśród lasów, w krainie Cajunów. Wszyscy doskonale się tam znają i są ze sobą spokrewnieni, więc każdy obcy rzuca się w oczy. Ogoliłem sobie głowę u miejscowego fryzjera. Facet

na pewno mnie zapamiętał, wierz mi, ponieważ długo się wahałem, czy zafundować sobie tak drastyczną zmianę wyglądu. W supermarkecie zrobiłem awanturę z powodu nieświeżego mleka, które kupiłem kilka dni wcześniej. Oczywiście miałem paragon. Ludzie, którzy byli wtedy w sklepie, po prostu musieli mnie zapamiętać, bez dwóch zdań. Jeżeli policja przeszuka wynajęty domek, okaże się, że naprawdę tam mieszkałem. W koszu leżą śmieci sprzed paru tygodni, lodówka pełna jest świeżych produktów. Nie ma telewizora, radia ani komputera z podłączeniem do Internetu, co oznacza, że nie miałem żadnego kontaktu ze światem. Dopiero po powrocie do Teksasu dowiedziałem się, że mój niezrównoważony brat zamordował trzy osoby i sam także nie żyje. O, ja nieszczęsny! Co za rozpacz! – Oren uśmiechnął się z zadowoleniem. – Widzisz, Berry? Jestem absolutnie kryty.

– Może i tak, ale zapominasz o jednej rzeczy – ja nadal żyję-

– To sytuacja przejściowa.

– Jeżeli mnie zabijesz, policja nie przypisze już tego Carlowi.

– Dojdą do wniosku, że padłyście ofiarą przypadkowego aktu przemocy – rzucił lekkim tonem. – Dwie kobiety w domu nad jeziorem, całkiem same... Zjawia się jakiś zbok i po sprawie.

– To zakrawa na zbyt dogodny zbieg okoliczności. – Berry pokręciła głową. – Nie sądzę, aby jakikolwiek policjant w to uwierzył.

– Jakikolwiek policjant, czyli na przykład twój dzielny zastępca szeryfa Nyland? – zakpił Starks.

– Jeżeli coś teraz stanie się mamie i mnie, będziesz pierwszym podejrzanym.

– Nyland może i zacznie coś podejrzewać, ale...

– Nyland wie!

Wszyscy podskoczyli na dźwięk głosu, który rozległ się z otwartego przejścia łączącego kuchnię z jadalnią. Berry o mało nie zemdląła z wielkiej ulgi. Stał tam Dodge, z rękami uniesionymi wysoko nad głową.

Oren z całej siły przycisnął lufę do skroni Berry.

– Zabiję ją! – zapiszczał.

– Nie! – Dodge gorączkowo zamachał podniesionymi rękami. – Nie rób tego, proszę!

Był czerwony jak burak i zdyszany, zupełnie jakby przed wejściem do domu przebiegł co najmniej dwa kilometry. Jego koszula była mokra od potu. Berry spojrzała na matkę, która w ogóle nie wyglądała na zaskoczoną pojawieniem się Dodge'a, i w jednej sekundzie zrozumiała, iż w głębi duszy Caroline doskonale wiedziała, że on wróci, kiedy będą go naprawdę potrzebowały.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać, Oren – odezwał się teraz.

– Coś ty za jeden?

– Jestem ojcem Berry.

Starks prychnął lekceważąco.

– To nieprawda. Jim Malone nie żyje, myślisz, że trafiłeś na głupiego? Jesteś gliniarzem, przysłali cię tu, żebyś...

– Nie jestem z policji, jestem ojcem Berry! I wcale nie mam cię za głupiego! Wiem, że jesteś inteligentny i przebiegły, zbyt sprytny, by nacisnąć ten spust. Bo jeśli to zrobisz, szeryf Nyland natychmiast cię zastrzeli. Facet służył w komandosach, w siłach specjalnych, i w tej chwili mierzy do ciebie z karabinu, który wygląda bardzo profesjonalnie, wierz mi. Jeżeli zabijesz Berry, Nyland też strzeli. Do tej pory wstrzymywał się wyłącznie dlatego, że istnieje maleńka możliwość, iż chybi i przypadkiem

zrani dziewczynę, ale jeżeli ją zabijesz, nie będzie miał nic do stracenia. Naciśnię spust i twoja głowa rozpadnie się na tysiąc kawałków.. Mówię prawdę.

Oren oblizwał wargi i mocniej chwycił rewolwer.

– Próbujesz mnie nabrać.

– W chwili, gdy trzymasz lufę przy skroni mojego jedyne dziecko?

W żadnym razie.

– Ona nie jest twoją córką!

– Jest. Porzuciłem ją w szpitalu w dniu jej narodzin i dopiero trzy dni temu znowu ją zobaczyłem. Nie odbieraj mi jej teraz, proszę.

– Zaraz pęknie mi serduszko – rzucił Starks.

– W porządku, nas masz gdzieś, ale pomyśl o sobie. Nie wyobrażaj sobie, że Nyland przysłał mnie tutaj na negocjacje. Ten gość to urodzony kowboj, chce cię zabić, i tyle. Musiałem stoczyć walkę, żeby tu przyjść, bałem się, że wpakuje mi kulkę w plecy.

– Jesteś gliniarzem.

– Przysięgam, że nie.

– To prawda – odezwała się Caroline. – On jest biologicznym ojcem Berry. Porzucił ją, dokładnie tak jak powiedział.

– Nie wierzę wam!

– Kto poza zdesperowanym ojcem zdecydowałby się stawić czoło Nylandowi, co? – Dodge spojrział na Berry i jego głos nagle się zmienił. – Krwawisz. Bardzo boli?

– Nie, nic mi nie jest.

– Zamknijcie się! Mordy w kubel! – krzyknął Starks. – Nie dam się oszukać!

– Nie rób krzywdy mojemu dziecku, błagam – powiedział Dodge.

Nagle skrzywił się, ze świstem wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

– Nyland jest na mnie tak wściekły, że pewnie mnie też zastrzeli – oświadczył. – Ale jeżeli zabijesz moją córkę i Caroline... – Przeniósł na nią wzrok i dopiero po dłuższej chwili znowu skupił uwagę na Orenie. – Jeżeli zrobisz im krzywdę, chętnie umrę.

Berry kątem oka widziała profil Starksa. Jego twarz lśniła od potu. Wyczuwała napięcie i wahanie. Brawura mordercy zniknęła bez śladu. Oren był przerażony, że to, co mówi Dodge, jest prawdą.

Dodge postąpił kilka kroków w ich stronę, lecz gdy Starks mocniej wcisnął lufę w skroń Berry, natychmiast przystanął.

– W porządku, w porządku – powiedział szybko. – Nie podejść bliżej. Pamiętaj o jednym – jeśli chcesz żyć, musisz się poddać.

– Nie! – Oren potrząsnął głową, trochę jak dziecko, które upiera się, że nie zje warzyw.

– To zły czas na robienie głupstw. Nyland wie o twoim bracie i domyślił się, że będziesz próbował dopaść Berry. To miejsce jest...

Dodge znowu się skrzywił i wstrzymał oddech.

– Dodge? – Caroline zerwała się z kanapy.

Starks wrzasnął, żeby usiadła i usłuchała go, przycupnęła jednak tylko na samym brzegu, z niepokojem obserwując Dodge'a.

– Wszystko w porządku, zdyszałem się tylko, zmagając się z Nylandem. – Znowu popatrzył na Orena. – Dom jest otoczony. Szeryf przyjechał pierwszy i przez okno zobaczył, że trzymasz broń przy skroni Berry. Ściągnął tu wszystkich, Strażników, FBI... Są uzbrojeni po zęby i chcą cię załatwić. – Rzucił niepewne spojrzenie w kierunku okna. – Oczywiście nie powinienem ci tego wszystkiego mówić, ale co tam!

Posłuchaj mnie uważnie, Oren – nie uciekniesz, jesteś bez szans. Zastanów się. Uwolnij Berry i Caroline i się poddaj.

– Mówiłem już, że nie!

– Dobrze, więc się nie poddawaj. Zostanę twoim zakładnikiem i pomogę ci wydostać się stąd w jednym kawałku. Podejmę negocjację.

Dodge wydał z siebie ostry okrzyk i przycisnął prawą dłoń do lewego barku. Zgięty wpół, zatoczył się do przodu i wyciągnął broń z kabury na plecach.

Nie był w stanie oddać strzału. Kiedy powalony bólem runął na podłogę, rewolwer wypadł mu z bezsilnej dłoni.

Caroline, nie zważając na ostrzegawczy krzyk Orena, zerwała się z kanapy i rzuciła na ratunek Dodge'owi, raz po raz wołając jego imię.

– Mamo! Dodge! – krzyknęła Berry.

Starks, świadomy, że stracił kontrolę nad sytuacją, kopniakiem odsunął rewolwer, schylił się nad Caroline i spróbował oderwać ją od Dodge'a.

– Zamknąć się! Wracać na miejsce!

Berry z całej siły kopnęła go w kolano. Oren zachwiał się i zawył z bólu, nie puścił jednak Caroline, która wciąż trzymała się Dodge'a, z jękiem powtarzając jego imię.

Starks podwoił wysiłki, aby ją podnieść.

Berry zaatakowała go obiema stopami, starając się uderzyć jak najmocniej. Puścił Caroline, odwrócił się i wymierzył lufę w twarz dziewczyny.

– Mówiłem, że cię zabiję!

Dwa głośne strzały rozległy się jeden po drugim. Berry ledwo zdążyła zauważyć wyraz całkowitego zaskoczenia, który odmalował się na twarzy Starksa, zanim ten osunął się na podłogę z dwoma rozpryskami czerwieni na

piersi.

Ski wpadł do pokoju z bronią w ręku, a za nim inni policjanci. Pochylił się nad Berry, która próbowała się podnieść.

– Pomóż mi.

Dźwignął ją i podparł, kiedy zataczając się, podeszła do skulonej na podłodze pary. Z rękami wciąż skutymi na plecach, niezgrabnie przyklękła obok nich, ze łzami powtarzając razem z matką imię Dodge'a.

– Starks nie żyje, Ski! – zawołał jeden z zastępców szeryfa.

Berry prawie nie zwróciła na to uwagi, którą całkowicie skupiła na Dodge'u. Westchnęła z ulgą, gdy mężczyzna powoli odsunął od siebie Caroline i podniósł się na łokciach. W prawej ręce trzymał mały pistolet o krótkiej lufie.

Caroline zarzuciła mu ręce na szyję, otwarcie zalewając się łzami.

– Przez ciebie o mało nie umarłam ze strachu!

Dodge popatrzył na Nylanda.

– Skurwiel stawiał czynny opór przy aresztowaniu – wyrzeźił.

– Nie miałeś wyboru, mógł zabić Berry. – Ski rzucił mu znaczące spojrzenie. – Zapomniałeś powiedzieć mi o tym drugim pistolecie. Miałeś go przyczepionego do łydki?

Dodge skinął głową, wciąż walcząc o swobodny oddech.

– No, nabrałeś go – rzekł Nyland. – Zwłaszcza z tym atakiem serca.

Caroline, która nie spuszczała oka z twarzy Dodge'a, nagle uświadomiła sobie, co się dzieje, i wydała zdławiony okrzyk.

– Wcale nie udawałem – jęknął Dodge.

Epilog

DZWONIĘ W SPRAWIE DODGE’A HANLEYA – POWIEDZIAŁ SKI niezwykle uprzejmej, lecz twardej osobistej asystentce Dereka Mitchella, która przed sekundą poinformowała go, że jej szef jest w tej chwili nieosiągalny. – Jeżeli pan Mitchell jest w biurze, proszę mnie z nim połączyć, a jeśli nie, chciałbym wiedzieć, gdzie mogę go znaleźć.

Usłyszał, że ma chwilę poczekać, lecz został połączony prawie natychmiast.

– Szeryf Nyland? – odezwał się męski głos. – Tu Derek Mitchell. Marlene powiedziała mi, że dzwoni pan w sprawie Dodge’a. O co chodzi? Wszystko z nim w porządku?

– Niezupełnie – Ski postanowił nie owijać niczego w bawełnę, co prawnik powinien z pewnością docenić. – Miał rozległy zawał, w karetce dwa razy doszło do zatrzymania akcji serca. Reanimacja się udała, ale nie było łatwo. Nie dzwoniłem do pana wcześniej, bo nie miałem nic konkretnego do powiedzenia, kardiochirurg dopiero parę minut temu wyjaśnił nam, jak wygląda sytuacja. Dodge przeżył zabieg, lecz prognozy nie są szczególnie optymistyczne.

– To znaczy? Jest źle?

– Dają mu pięćdziesiąt procent szans na przeżycie, w najlepszym razie. W każdej chwili grozi mu następny zawał albo udar. Chirurg mówi, że jeśli przetrwa następne czterdzieści osiem godzin, później powinno być już trochę lepiej.

Cisza, która zapanowała po drugiej stronie, była bardzo wymowna. Nie ulegało wątpliwości, że Derek Mitchell szczerze niepokoił się stanem Dodge’a. Adwokat musiał dwa razy odchrząknąć, zanim znowu zdołał się

odezwać.

– Powiedział pan, że chirurg wyjaśnił to wszystko „nam”. Kogo właściwie miał pan na myśli?

– Jak dużo wie pan o sytuacji?

– Tylko tyle, że Dodge pojechał pomóc swojej córce, której nie widział od dnia jej narodzin. Rozmawiałem z nim dzisiaj, pytałem, co się dzieje, ale oczywiście niczego się nie dowiedziałem. Był zirytowany i unikał odpowiedzi, co jest dość typowe.

Ski nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Tak, wiem.

Krótko streścił Mitchellowi wydarzenia, które doprowadziły do pojawienia się Dodge’a w domu nad jeziorem i podjęcia próby negocjacji z Orenem Starksem.

– Uparł się, oświadczył, że wejdzie tam niezależnie od tego, czy mu pozwolę, czy nie. Że nie zatrzyma go ani stado dzikich koni, ani szwabski czołg i że uratuje te dwie kobiety albo zginie.

Ponura ironia tej przysięgi bynajmniej nie umknęła uwadze Nylanda.

– Berry zachowała dość przytomności umysłu, aby zachęcać Starksa do gadania, ale Dodge i ja marnowaliśmy cenny czas, spierając się o jego plan, więc w końcu się zgodziłem. Był pewny, że uda mu się namówić sukinsyna do uwolnienia Berry i Caroline, no i do poddania się.

I rzeczywiście, prawie wszystko poszło zgodnie z jego planem. Wszystko poza zawałem. Kiedy zobaczyłem, jak upuszcza broń i się przewraca, sam o mało nie dostałem ataku serca. Myślałem, że gra skończona, i wiem, że Starks też doszedł do takiego wniosku. Dodge nie przyznał mi się, że bierze ze sobą dodatkowy pistolet. Można powiedzieć, że mnie również wpuścił w maliny.

- Kabura na łydce?
- Skąd pan wie?
- Zawsze ją nosi.
- Teraz już wiem.

Ski zerknął na Berry, która siedziała obok Caroline przy stoliku w szpitalnej kawiarence. Kardiochirurg uprzedził je, że Dodge'a będą mogły zobaczyć dopiero za jakiś czas, więc zeszły tu na kawę. Nyland zauważył jednak, że nawet jej nie tknęły. Na blacie spoczywały ich mocno splecione dłonie, zupełnie jakby czerpały siłę z wzajemnej bliskości.

Obaj mężczyźni szybko zakończyli rozmowę.

– Co powiedział? – zagadnęła Berry, kiedy Ski przysiadł się do stolika.

– Bardzo serdecznie dziękował za wiadomość. Zamierza wynająć prywatny odrzutowiec i przylecieć tu razem z żoną. Gdy tylko się dowie, gdzie będą lądować, napisze mi SMS – a, a ja wyślę kogoś, kto przywiezie ich od razu tutaj. Pewnie przylecą nad ranem, ale Mitchell nie chciał czekać do jutra.

Żadne z nich nie kwestionowało przyczyny pośpiechu Dereka Mitchella.

– Ich przyjazd ucieszy Dodge'a – powiedziała Berry. – Ciągłe o nich mówi. Kocha ich.

– Sądząc po reakcji Mitchella, uczucie to jest w pełni odwzajemnione.

– Dodge uważa, że nie zasługuje na miłość.

Ski i Berry ze zdziwieniem spojrzeli na Caroline, która odezwała się cichym, zachrypniętym od łez głosem. Ski nie był nawet pewny, czy matka Berry przysłuchuje się ich rozmowie. Młoda kobieta pochyliła się nad

stołem.

– Czemu tak mówisz, mammo?

– Jego ojciec wpoił mu to przekonanie. Być może nie powiedział Dodge’owi tego wprost, lecz jego zachowanie wobec syna wyraźnie o tym świadczyło. I Dodge w to uwierzył. Aż do dnia, kiedy przyszedł na świat, a ja kazałam mu się wynosić z naszego życia, bezustannie starał się zasłużyć na szacunek i akceptację, na miłość wszystkich, którzy go otaczali. – Popatrzyła na swoje splecione ręce. – Później już tylko próbował zabić sam siebie za to, że okazał się niegodny miłości.

Ski w myśli przyznawał jej słuszność i Berry chyba też była tego samego zdania, chociaż oczywiście nie zamierzali powiedzieć tego głośno, gdyż to oznaczałoby podsycenie wyrzutów sumienia, które niewątpliwie dręczyły Caroline. Dodge celowo kłamał i oszukiwał, odrzucając najlepszą rzecz, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła. Caroline postanowiła nie iść na ustępstwa. Żadne z nich nie odniosło zwycięstwa.

Strata, jakiej oboje doznali, była ogromna i nadała kierunek ścieżkom ich życia na następne trzydzieści lat. Mogli przeżyć ten okres w szczęściu i radości, podobnie jak ich córka. Gdyby tylko Dodge nie zdradził Caroline. Gdyby tylko ona nie odepchnęła go w tak zdecydowany i nieodwracalny sposób.

Zadzwoiła komórka Caroline, która podała swój numer pielęgniарce z oddziału intensywnej terapii, więc wszyscy troje zareagowali przerażeniem. Caroline odebrała, przygotowując się na najgorsze.

– Zaraz będę – rzuciła po paru sekundach.

Drżąc na całym ciele, odsunęła krzesło i wstała.

– Odzyskuje przytomność.

– Bogu niech będą dzięki! – szepnęła Berry, dzieląc ogromną ulgę

Nylanda, że wiadomość nie była tą, której tak się obawiali.

– Jak się pośpieszę, pozwolą mi wejść do niego na pięć minut.

– Idź, mamó! – Berry gorączkowo zamachała dłońmi. – Biegnij, my przyjdziemy za chwilę.

Caroline posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie i ruszyła w kierunku wyjścia.

Berry niepewnie podniosła się z krzesła. Popatrzyła na Nylanda załzawionymi oczami, skrzywiła się jak dziecko i zaczęła płakać. Ski przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Trzymałam się ze względu na nią, ale dłużej już nie dam rady.

– Popłacz sobie, poczujesz się trochę lepiej.

Nie zwracając uwagi na obecnych w kafejce ludzi, głaskał po plecach i tulił szlochającą dziewczynę. Berry mogła w każdej chwili stracić ojca, którego dopiero odnalazła. Była to gorzka, trudna prawda. Dźwigała też na barkach poczucie winy za wszystko, co się wydarzyło, i miała nosić ten ciężar jeszcze bardzo długo.

Podziwiał ją, bo nie próbowała szukać wymówek, co na pewno uczyniłaby każda płytsza i słabsza osoba. Jego podziw zabarwiało współczucie, ponieważ dobrze wiedział, jak ciężkie potrafią być wyrzuty sumienia. Tylko ogromna siła woli mogła skłonić Berry do dalszego życia i, być może, wybaczenia samej sobie. Ski miał pewność, że Berry znajdzie w sobie tę siłę – ostatecznie była owocem miłości dwojga upartych, twardych ludzi.

Kiedy się wyplakała, odsunęła się od niego, wyjęła chusteczkę z pudełka na stoliku i otarła oczy i twarz.

– No, urządziłam niezłe przestawienie.

– Wcale nie! Zresztą, co z tego?

Uśmiechnęła się drżącymi wargami.

– Dziękuję ci.

– Proszę bardzo.

– Chodźmy już na górę. Mama może mnie potrzebować.

Nyland lekko położył rękę na jej karku i wyprowadził z kafejki do głównego holu, gdzie znajdowały się windy. Jedna była wolna i pusta.

Ski schylił się i ostrożnie pocałował małą klamrę w kształcie motylka, którą trzeba było założyć na rozcięcie powstałe w wyniku uderzenia kolbą rewolweru Starksa.

Berry oparła się o Nylanda.

– Wiem, że masz mnóstwo obowiązków – szepnęła. – Ale jeśli możesz, bardzo bym chciała, żebyś przy mnie został.

– Będę przy tobie.

Zajrzała mu w twarz.

– Zastanów się, zanim coś mi obiecasz. Może to trochę potrwać, a ostateczny wynik jest niepewny.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że Berry nie mówi tylko o czuwaniu przy łóżku Dodge'a, ale również o ich wspólnej przyszłości. Delikatnie ujął jej twarz między dłonie i musnął jej wargi czułym pocałunkiem.

– Będę przy tobie.

Dodge ocknął się i przeżył spore zaskoczenie. Co się z nim działo? Wyraźnie rozróżniał tylko to, co znajdowało się na krawędziach jego pola widzenia, reszta była kompletnie zamglona, a poza tym miał uczucie dziwnej senności i zmęczenia. Trochę tak, jakby ktoś położył mu na piersi spory ciężar. Najwspanialsze było to, że Caroline pochylała się nad nim i gładziła jego włosy.

Więc nawet jeżeli umarł, to życie po śmierci, które przypadło mu w

udziale, wcale się nie okazało takie złe. Ciekawe, czy pozwolą mu palić. Jeśli tak, wszystko wskazuje na to, że trafił prosto do raję.

Ale może na razie umieścili go w przechowalni, w czymś w rodzaju czyścica, i dopiero stąd pójdzie dalej. W dobrą stronę czy w złą?

Ciężar na jego piersi powoli przeistoczył się w tępy ból. Cóż, miał sporo do odpokutowania. Lepiej oprzytomnieć, bo pewnie zaraz odprowadzą go na następny poziom. Ten niższy, rzecz jasna.

Zamrugął, żeby lepiej widzieć Caroline.

– Kopnąłem w kalendarz.

Uśmiechnęła się i położyła rękę na jego policzku.

– Nie pożegnałem się.

Spróbował przełknąć ślinę, ale kompletnie zaschło mu w ustach. Język nie chciał się odkleić od podniebienia, więc słowa wymawiał z trudem, chociaż i tak niewiele przychodziło mu do głowy.

– Nic nie mogę ci dać. Wtedy niczego nie miałem i teraz też nie mam.

W ogóle niczego.

Uciszyła go i dalej kojącym ruchem głaskała po włosach.

Cholera jasna, musiał jakoś ją skłonić, żeby go posłuchała. Potrzęsnał głową i dopiero wtedy zorientował się, że w nosie ma jakieś rurki. Jezu! Co za upokorzenie! Uniósł dłoń i wyciągnął je. No, w każdym razie spróbował. Caroline włożyła je z powrotem, a on nic nie mógł na to poradzić, ponieważ zabrakło mu siły, żeby znowu wykonać jakiś ruch.

Tępy ból nasilił się. Dodge przypomniał sobie nagle, że wieźli go długim korytarzem, u góry migają oślepiająco jasne światła, ludzie biegli obok jego łóżka na kółkach i rozmawiali głośno, z podnieceniem. Facet z kozią bródką siedział mu na piersiach, tak, nie inaczej, i mocno walił w nią pięściami. A może to był tylko, jakiś dziwaczny sen?

Czyżby te jasne lampy świeciły spod sufitu sali operacyjnej? Całkiem możliwe, że jakiś dupek z żoną w wieku własnej córki, kartą klubu golfistów oraz sześciocyfrowym dochodem grzebał mu w klatce piersiowej, i właśnie dlatego wydawała mu się teraz tak ciasna i obolała.

Spokojny, łagodny głos docierał do niego z daleka, jakby z drugiego końca jakiegoś tunelu czy czegoś w tym rodzaju.

– Jeszcze tylko minutę, pani King – usłyszał. – Potem będzie pani musiała wyjść.

Dodge nie zdawał sobie sprawy, że zamknął oczy, dopóki nie okazało się, że musi je otworzyć. Caroline nadal przy nim była. Spojrzał w jej twarz i pomyślał, jak wielkie ma szczęście, że może jeszcze raz na nią popatrzeć. Była tak piękna, że aż go to zaskoczyło. I poczuł na policzkach własne ciepłe łzy. No pięknie, nie ma co. Leży tu, umiera, ma rurki w nosie i płacze jak jakiś pieprzony mięczak.

Siłą odkleił język od podniebienia, ponieważ wiedział, że ostatnia minuta w całej tej przechowalni zaraz dobiegnie końca i Caroline zniknie, tym razem na zawsze.

– Przepraszam, że byłem...

Cholera! Sześćdziesiąt sekund to naprawdę niedużo, jeśli chce się wymienić wszystkie swoje winy. Powinien tylko powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha, że zawsze ją kochał i nigdy nie przestanie, ale musiał się pośpieszyć, bo ta obca osoba o łagodnym głosie już wstrzykiwała coś do rurki tkwiącej w jego ramieniu. Prawie natychmiast zalała go fala ciepłego spokoju. Świetny środek, bez dwóch zdań. Dodge westchnął i prawie wbrew sobie podjął próbę zwalczania ogarniającej go senności.

Musi powiedzieć Caroline to, co trzeba, i w taki sposób, żeby wreszcie dotarł do niej bezmiar jego miłości.

Poszukał jej dłoni, znalazł ją, ścisnął najmocniej jak potrafił.

– Chętnie znowu oddałbym za ciebie życie.

Odwróciła jego rękę i przycisnęła, otwartą, do swego serca. Biło mocno i regularnie. Pochyliła się i pocałowała go w usta. Wcale nie delikatnie, nie! Z ogromną namiętnością, tak jak dawniej, kiedy była albo naprawdę podniecona, albo wkurzona.

Przerwała pocałunek.

– Wiem, że kochasz mnie dość mocno, aby oddać za mnie życie, Dodge – wyszeptała. – Nie wiem tylko, czy dość mocno, aby żyć.

Do diabła z tą kobietą! Teraz nie mógł odejść. Nie teraz, kiedy znowu rzuciła mu wyzwanie.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję:

Mojemu wiernemu przyjacielowi, Barry'emu Hansonowi, który dostarczył mi mnóstwa informacji o Parku Narodowym Big Thicket. Bez jego pomocy całkowicie zagubiłabym się w tej dzikiej puszczy.

Szeryfowi J. B. Smithowi z okręgu Smith w Teksasie, który skorygował wszystkie moje błędne wyobrażenia na temat ludzi z błyszczącą gwiazdą na piersi. No, w każdym razie na temat większości ich.

I oczywiście Dodge'owi Hanleyowi, który jest postacią fikcyjną, lecz wykazał się tak wielką siłą charakteru i uporem, że był ze mną przez cały czas pisania następnej powieści. Mam nadzieję, że go nie zawiodłam.

Sandra Brown